

Karin Slaughter

Z angielskiego przełożył Andrzej Leszczyński

ROZDZIAŁ PIERWSZY

8.55

- No, proszę! Kogo tu przyniosło?! - huknęła Marla Simms, mierząc Sarę czujnym spojrzeniem znad krawędzi dwuogniskowych okularów w srebrnej drucianej oprawce. Sekretarka komisariatu policji trzymała w powykręcanych artretyzmem palcach jakieś kolorowe czasopismo, ale natychmiast je odłożyła, dając tym samym znać, że ma dużo czasu na rozmowę.

- Cześć, Marlo. Co słychać? - wycodziła Sara, siląc się na odrobinę słodczy w głosie, chociaż celowo przysłała do komisariatu w czasie przerwy na kawę.

Starsza pani popatrzyła na nią z lekką dezaprobatą, co prawda słabo zauważalną, bo kąciki ust miała stale wygięte ku dołowi, lecz Sara ledwie się pohamowała przed grymasem niechęci. Marla nauczała w niedzielnej szkółce dla dzieci przy kościele pierwotnych baptystów już od dnia założenia parafii i wciąż potrafiła wzbudzać strach w każdym, kto przyszedł na świat w miasteczku po roku 1952.

- Dość długo się tu nie pokazywałaś - odparła, świdrując ją wzrokiem.

- No cóż - mruknęła Sara, próbując ponad ramieniem sekretarki zajrzeć w głąb gabinetu Jeffrey'a.

Drzwi były otwarte, ale za biurkiem nikt nie siedział.

W sali ogólnej także nikogo nie było, co oznaczało, że Jeffrey prawdopodobnie znajdował się gdzieś na tyłach. Zdawała sobie sprawę, że może po prostu obejść stanowisko Marli i bez wyjaśnienia ruszyć w głąb budynku, jak czyniła to wcześniej setki razy, ale instynkt samozachowawczy podpowiadał jej, że wyjątkowo nie powinna przekraczać tego mostu bez opłacenia myta.

Marla odchyliła się na krześle i skrzyżowała ręce na piersiach.

- Piękną mamy pogodę - oznajmiła.

Sara obejrzała się na przeszklone drzwi wejściowe i widoczną za nimi Main Street. Powietrze falowało nad rozgrzany asfalem. Panowała taka duchota, że odnosiła wrażenie, jakby siedziała w parówce w salonie kosmetycznym.

- To prawda.

- Ale się wystroiłaś z samego rana. - Marla zmierzyła taksującym spojrzeniem

Inianą garsonkę, którą Sara wybrała dopiero po wyrzuceniu niemal wszystkich ubrań z szafy. - Cóż to za okazja?

- Nic specjalnego - skłamała. Uświadomiła sobie nagle, że nerwowo przestępuje z nogi na nogę i przebiera palcami po rączce swojej teczki, jakby z czterdziestolatki zmieniała się nagle w pierwszoklasistkę.

W oczach starszej pani pojawiły się triumfalne błyski. Przeciągnęła jeszcze trochę napięte milczenie, po czym zadała obowiązkowe pytanie:

- Jak się miewa twoja mama i reszta rodziny?

- Dziękuję, dobrze. - Sara usiłowała zachować obojętny ton.

Nie była tak naiwna, by wierzyć, że życie prywatne jest jej wyłączną sprawą, skoro w całym okręgu Grant trudno było nawet kichnąć, żeby zaraz nie zadzwonił ktoś z sąsiedztwa z sakramentalnym: „Na zdrowie”. Nie miała jednak zamiaru w jakikolwiek sposób ułatwiać innym zbierania informacji o swojej rodzinie.

- A co u twojej siostry?

Otworzyła już usta, żeby odpowiedzieć, gdy nadszedł ratunek w postaci Brada Stephensa, który potknął się w progu komisariatu. Omal nie runął jak długi na posadzkę. Zdołał złapać równowagę, ale spadła mu czapka i potoczyła się do nóg Sary, a ciężka kabura z pistoletem i pałka zawieszona na drugim boku zakołysały się szeroko niczym dwa dodatkowe ramiona. W idącej za nim gromadce kilkuletnich dzieci rozległy się tłumione chichoty.

- Uff - syknął Brad, spojrzał na nią, potem na swoich podopiecznych, wreszcie znowu na nią. Podniósł czapkę z podłogi i zaczął ją wycierać z kurzu, o wiele staranniej, niż to było konieczne.

Sarze przemknęło przez głowę, że nawet nie potrafi ocenić, co jest bardziej żenujące, pełne drwiny chichoty ośmiorga dziecięciolatków czy widok z trudem powstrzymującej uśmiech lekarki, która znała go od niemowlęctwa.

Najwyraźniej doszedł do wniosku, że to drugie wprawia go w większe zakłopotanie, gdyż odwrócił się do dzieci i oznajmił z przekonaniem:

- Znajdujemy się, rzecz jasna, w budynku komisariatu, gdzie policjanci zajmują się swoimi sprawami. Oczywiście policyjnymi. Stoimy teraz w lobby...

Jeszcze raz zerknął na Sarę. Określenie miejsca, w którym się znajdowali, mianem „lobby” było zdecydowaną przesadą, gdyż prezes komisariatu miał nie więcej niż dziesięć metrów kwadratowych, a w dodatku na wprost drzwi wejściowych stał goły betonowy mur, ścianę po prawej zdobił szereg oprawionych w ramki zdjęć

tutejszych funkcjonariuszy z zajmującym centralne miejsce wielkim portretem Mac Andersa, jedyne go policjanta w historii miejscowych służb, który stracił życie podczas wykonywania swoich obowiązków.

Na wprost tej swoistej galerii, za wysokim kontuarem o blacie krytym beżowym laminatem, było usytuowane stanowisko Marli, które oddzielało gości od sali ogólnej. Sekretarka nie należała do kobiet szczególnie niskiej postury, lecz zaawansowany wiek wygiął jej sylwetkę w niemal idealny kształt znaku zapytania. Do tego zawsze miała okulary zsunięte na czubek nosa, i Sarę - która także musiała już wkładać okulary do czytania - nieustannie kusilo, by je poprawić, ledwie mogła się powstrzymać przed tym odruchem. Oczywiście nigdy by się na to nie odważyła. Marla wiedziała absolutnie wszystko o mieszkańcach miasteczka, a nawet o ich psach czy kotach, o niej wiedziano niewiele. Była bezdzietną wdową, jej mąż zginął na froncie w czasie drugiej wojny światowej. Od urodzenia mieszkała przy ulicy Hemlock, czyli dwie przecznice od rodzinnego domu Sary. Robiła na drutach, nauczała w szkółce niedzielnej, a przede wszystkim pracowała na całym etacie w komisariacie policji, gdzie odbierała telefony i próbowała zapanować nad wiecznie porzucanymi stertami papierzyśk. Szczerze mówiąc, niewiele to mówiło o życiu prywatnym Marli Simms. A Sara była przekonana, że w ciągu osiemdziesięciu z górą lat musiały w nim nastąpić jakieś ważne wydarzenia, nawet jeśli kobieta spędziła całe życie w tym samym domu, w którym się urodziła.

Wskazując obszerne pomieszczenie za stanowiskiem sekretarki, Brad tłumaczył dalej dzieciom:

- A tam detektywi i funkcjonariusze tacy jak ja prowadzą wszystkie sprawy... rozmawiają przez telefon i w ogóle... przesłuchują świadków, spisują raporty, wprowadzają dane do komputera...

Umilkł stopniowo, uświadomiwszy sobie, że chyba nikt go nie słucha. Większość dzieciaków ledwie mogła dostrzec sufit sali ogólnej nad kontuarem. Zresztą, nawet gdyby było inaczej, widok około trzydziestu biurk ustawionych w pięciu rzędach i porozdzielanych różnymi regałami oraz metalowymi szafkami na akta i tak nie przykułby ich uwagi. Sara pomyślała, że cała grupa zaczyna teraz gorzko żałować, iż nie została dzisiaj na lekcjach w szkole.

- Za parę minut pokażę wam cele, w których trzymamy aresztowanych... - podjął Brad. Zerknął nerwowo na Sarę, jakby się bał, że za chwilę wytknie mu oczywistą nieścisłość, po czym wyjaśnił: - To znaczy... nie aresztujemy ich tam, tylko

zamykamy już po aresztowaniu. Przetrzymujemy zatrzymanych w celach.

W zapadłej nagle ciszy wyraźnie dał się słyszeć nerwowy chichot dobiegający gdzieś z tylnych rzędów wycieczki. Sara, która znała większość jej uczestników ze swojej praktyki w przychodni dziecięcej, powiodła po grupie karcącym wzrokiem. Dzieła dokonała Marla, podnosząc się energicznie z miejsca, aż głośno zaskrzypiało jej obrotowe krzesło. Ledwie wytknęła głowę nad kontuar, chichoty umilkły jak nożem uciął.

Maggie Burgess, której rodzice dbali o reputację ośmiolatki dużo bardziej, niż można by oczekiwać, odważyła się odezwać śpiewnym głosem:

- Dzień dobry, doktor Linton. Sara skinęła głową.

- Witaj, Maggie.

- Uff - syknął ponownie Brad, jakby chciał w ten sposób zamaskować głęboki rumieniec, który pojawił się na bladych policzkach. Sara zwróciła uwagę, że jego spojrzenie zdecydowanie za długo zatrzymało się na jej nogach. - No więc... wszyscy znacie doktor Linton.

Maggie uniosła wzrok do nieba.

- No pewnie - pisnęła, a jawna ironia obecna w jej głosie wywołała kolejną falę chichotów.

- Powinniście wiedzieć, że doktor Linton jest nie tylko pediatrą, ale także naszym patologiem - ciągnął Brad mentorskim tonem, chociaż mówił o rzeczach powszechnie znanych. Nie bez powodu był przedmiotem wielu żartów w napisach zdobiących ściany toalet w podstawówce. - Jak się domyślam, przyszła dzisiaj na komisariat w sprawie służbowej. Mam rację, pani doktor?

- Oczywiście - odparła Sara, wcielając się w rolę osoby równej mu statusem, chociaż doskonale pamiętała, jak zalewał się rzewnymi łzami na samo wspomnienie o zastrzyku. - Przyszłam na rozmowę z komendantem w sprawie, nad którą wspólnie pracujemy.

Maggie już otworzyła usta, żeby zapewne wypaplać jakąś zastysznaną od rodziców przerażającą plotkę na temat stosunków łączących Sarę z Jeffreyem, ale szybko ugryzła się w język, gdy znów groźnie zaskrzypiało krzesło Marli. Sara obiecała sobie w duchu, że w najbliższą niedzielę podczas nabożeństwa w kościele podziękuje Bogu za tę nieświadomą interwencję sekretarki.

Marla odezwała się jednak tonem równie wyzywającym, jak mała Maggie:

- Lepiej pójde sprawdzic, czy komendant Tolliver bedzie mogl cię przyjac.

- Bardzo dziękuję - odparła Sara, pospiesznie rewidując swoje postanowienie co do wizyty w kościele.

- No więc... - mruknął Brad, wciąż strzepując palcami kurz z czapki. - Może przejdziemy dalej? - Otworzył wahadłowe drzwiczki kontuaru, żeby przepuścić swoich podopiecznych, skinął głową Sarze i mruknął: - Pani wybaczy. - Po czym ruszył za nimi.

Podeszła do ściany zawieszonych zdjęciami i popatrzyła na znajome twarze. Nie licząc okresu nauki w college'u oraz praktyki w szpitalu Grady'ego w Atlancie, ona również całe życie spędziła w okręgu Grant. Większość mężczyzn uwiecznionych na fotografiach grywała z jej ojcem w pokera. Młodszy za czasów jej dzieciństwa byli ministrantami w tutejszym kościele czy też pilnowali porządku podczas meczów lokalnej drużyny futbolowej, gdy miała kilkanaście lat i bezskutecznie próbowała poderwać Steve'a Manna, kapitana klubu szachowego. Zanim wyjechała do Atlanty, Mac Anders przyłapał ją właśnie ze Steve'em w niedwuznaczonej sytuacji na tyłach baru House of Chilidogs. Kilka tygodni później jego wóz patrolowy sześciokrotnie przeokoziółkował w czasie pościgu za piratem drogowym, z czego Mac nie wyszedł z życiem.

Aż wstrząsnął ją dreszcz na to wspomnienie i przemknął po plecach niczym odrażający dotyk łapek biegnącego pająka. Szybko przesunęła się do następnej grupy zdjęć, które ukazywały obsadę komisariatu w chwili objęcia przez Jeffrey'a stanowiska komendanta. Przeniósł się z Birmingham i wszyscy odnosili się sceptycznie do jego umiejętności, zwłaszcza po tym, jak przyjął do służby Lenę Adams, pierwszą policjantkę w historii okręgu Grant. Sara odszukała ją na zdjęciu grupowym. Lena trzymała brodę wyzywająco zadartą ku górze, w jej oczach tliły się błyski zaciętości. Obecnie w całym okręgu służyło kilkanaście kobiet, jednakże Adams na zawsze miała zachować palmę pierwszeństwa. Musiała wtedy odczuwać niesamowitą presję otoczenia, choć zdaniem Sary ani trochę nie nadawała się do roli męczennicy. Prawdę powiedziawszy, odznaczała się paroma cechami charakteru, które Sara uważała za odrażające.

- Powiedział, że możesz wejść - odezwała się Marla, stając w wahadłowych drzwiczkach. - To smutne, nieprawdaż? - zapytała, ruchem głowy wskazując zdjęcie Mac Andersa.

- Chodziłam jeszcze do szkoły, kiedy zginął.

- Więc ci nie powiem, co zrobili temu bydlakowi, który zepchnął go z drogi -

wycedziła Marla z nieskrywaną satysfakcją w głosie.

Sara i tak wiedziała, że podczas aresztowania gliniarze tak skatowali podejrzanego, że stracił jedno oko. Ben Walker, który był wtedy komendantem, w niczym nie przypominał Jeffreya.

Marla otworzyła szerzej wahadłowe drzwiczki i powiedziała:

- Siedzi nad jakimiś papierami w pokoju przesłuchań.

- Dzięki - mruknęła Sara i po raz ostatni rzuciła spojrzenie na zdjęcie Maca, zanim ruszyła do sali ogólnej.

Komisariat powstał w połowie lat trzydziestych, kiedy to władze leżących blisko siebie miast Heartsdale, Madison i Avondale postanowiły połączyć jednostki policji i straży pożarnej we wspólne służby okręgowe. Wcześniej mieściła się w tym budynku hala targowa miejscowej spółdzielni rolniczej. Burmistrz odkupił ją za psi grosz, gdy zbankrutowały ostatnie spółdzielcze gospodarstwa rolne. W trakcie przebudowy całkowicie zatracony został charakter gmachu, czemu nie zaradziły nawet liczne remonty w kolejnych dziesięcioleciach. Z jednego obszernego prostokątnego pomieszczenia przekształconego w salę ogólną wyodrębniono jedynie gabinet komendanta w jednym rogu i łazienkę w drugim. Syntetyczna ciemna boazeria nadal śmierdziała zatęchłym dymem tytoniowym pochodzącym jeszcze sprzed wprowadzenia rygorystycznych przepisów antynikotynowych. Podwieszany sufit sprawiał wrażenie pokrytego grubą warstwą kurzu bez względu na częstotliwość wymiany płytek, a terakota na podłodze wciąż zawierała azbest, toteż Sara zawsze wstrzymywała oddech, ilekroć szła po spękanej części posadzki przed drzwiami łazienki. Zresztą, w tej części sali i tak musiałaby wstrzymywać oddech, gdyż nic tak wymownie nie świadczyło o dominacji mężczyzn w tutejszej policji, jak chociażby krótki pobyt przed wejściem do łazienki komisariatu.

Pchnęła ramieniem ciężkie żelazne drzwi przeciwpożarowe, oddzielające salę ogólną od tylnej części komisariatu. To skrzydło dobudowano przed piętnastu laty, kiedy burmistrz wpadł na pomysł zarobienia dodatkowych pieniędzy za przetrzymywanie aresztantów z sąsiednich okręgów. Powstał wtedy blok mieszczący trzydzieści cel, salę konferencyjną oraz pokój przesłuchań, robiący w tamtych czasach wrażenie wręcz luksusowego, tyle że zestarzał się wyjątkowo szybko i nawet mimo położonej niedawno świeżej farby wyglądał niemal równie obskurnie, jak starsza część komisariatu.

Stukając obcasami po kafelkach podłogi, przeszła prawie na sam koniec

długiego korytarza i zatrzymała się przed drzwiami pokoju przesłuchań, żeby wygładzić spódnicę i zyskać trochę na czasie. Od dawna nie była już tak zdenerwowana przed spotkaniem z byłym mężem, weszła jednak do środka z nadzieją, że niczego po niej nie widać.

Jeffrey siedział przy długim stole zawałonym stertami dokumentów i zapisywał coś w notatniku. Był bez marynarki, rękawy koszuli miał podwinięte. Nawet nie podniósł głowy, kiedy weszła, musiał ją jednak zauważyć, bo gdy chciała zamknąć za sobą drzwi, rzekł:

- Zostaw otwarte.

Stanąła nad nim i postawiła teczkę na brzegu stołu. Kiedy wciąż nie podnosił wzroku znad papierów, zaczęła się zastanawiać, czy huknąć go tą teczką po głowie czy może raczej rzucić mu się do stóp. Podobne mieszane uczucia towarzyszyły jej przez cały okres znajomości z Jeffreyem, to znaczy prawie od piętnastu lat, przy czym, jak dotąd, to on zawsze się przed nią kajał, jeszcze nigdy nie było odwrotnie. Dopiero niedawno, cztery lata po rozwodzie, zdołali jako tako ułożyć stosunki między sobą. I trzy miesiące temu poprosił ją, by powtórnie za niego wyszła, bo urażona duma nie pozwalała mu się pogodzić z odrzuceniem niezależnie od tego, ile razy Sara tłumaczyła mu swoje powody. I od rozwodu spotykali się wyłącznie na gruncie zawodowym, jej zaś brakowało już pomysłów na wyszukiwanie nowych pretekstów.

Tłumiąc głośne westchnienie rozpaczy, mruknęła:

- Jeffrey?

- Wystarczy, jak położysz tam swój raport - rzekł, ruchem głowy wskazując wolny róg stołu, jakby całkowicie pochłaniało go podkreślanie niektórych wyrazów w spisanych notatkach.

- Sądziłam, że będziesz chciał go przejrzeć razem ze mną.

- Odkryłaś coś niezwykłego? - zapytał, przysuwając sobie kolejną stertę dokumentów i wciąż nie podnosząc wzroku.

- Owszem. Znalazłam w dolnym odcinku jelita mapę z zaznaczonym miejscem ukrycia jakiegoś skarbu.

Nie dał się złapać na tę przynętę.

- Opisałaś to w raporcie?

- Oczywiście, że nie - syknęła rozpaczliwym tonem. - Nie mam zamiaru dzielić się taką fortuną z urzędem podatkowym.

Obrzucił ją ostrym spojrzeniem, świadczącym wyraźnie, że nie podziela jej

poczucia humoru.

- Nie sądzisz, że zmarłym należy się trochę więcej szacunku?

Zawstydziała się i na krótko odwróciła głowę.

- Jaka jest twoja opinia? - zapytał.

- Śmierć z przyczyn naturalnych. W próbkach krwi i moczu niczego nie wykryto. Nie znalazłam też żadnych podejrzanych śladów na ciele w trakcie oględzin zwłok. Miała przecież dziewięćdziesiąt osiem lat. Odeszła w spokoju podczas snu.

- To dobrze.

Przyglądała się, jak dalej coś zapisuje, w nadziei, że w końcu dotrze do niego, że ona nie zamierza jeszcze stąd wychodzić. Miał piękny charakter pisma, którego pod żadnym pozorem nie można by się spodziewać po byłym graczu futbolowym, a obecnie policjancie. W pewnym sensie zakochała się w nim między innymi właśnie z powodu tego pięknego charakteru pisma.

Nerwowo przestąpiła z nogi na nogę.

- Usiądź - zaproponował w końcu, wyciągając rękę po raport.

Przysunęła sobie krzesło, usiadła, wyjęła dokumenty z teczki i podała mu.

Pospiesznie przebiegł je wzrokiem.

- Prosta sprawa - mruknął.

- Już rozmawiałam z jej dziećmi - odparła, czując się nieswojo na brzmienie tego słowa, jako że najmłodszy syn zmarłej był trzydzieści lat od niej starszy. -

Wiedzą, że ich podejrzania były bezzasadne.

- Dobrze - powtórzył Jeffrey, składając podpis na ostatniej stronie raportu.

Odłożył go na brzeg stołu, założył skuwkę na pióro i zapytał: - To wszystko?

- Mama przesyła ci pozdrowienia. Z wyraźnym ociąganiem zapytał:

- A co u Tess?

Wzruszyła ramionami, nie wiedząc, co odpowiedzieć, gdyż jej stosunki z siostrą znacznie się pogorszyły od czasu rozvodu z Jeffreyem. Postanowiła więc spytać wprost:

- Jak długo zamierzasz to jeszcze ciągnąć?

Na pewno zrozumiał, o co jej chodzi, postukał jednak palcem w rozłożone papiery i rzekł:

- Muszę się z tym wszystkim uporać do rozprawy, która zaczyna się w przyszłym miesiącu.

- Dobrze wiesz, że nie o to pytałam.

- Nie sędę, byś miała prawo odzywać się do mnie tym tonem.

Odchylił się na oparcie krzesła. Widać było, że jest przemęczony.

Bezpowrotnie zniknął uśmiech, który niemal zawsze widniał na jego wargach.

- Dobrze sypiasz?

- To poważna sprawa - mruknął.

Sara pomyślała jednak, że powód niewyspania może być całkiem inny.

- Czego naprawdę chcesz?

- Nie możemy po prostu porozmawiać? - O czym? - Wychylił się z krzesłem do tyłu, balansując na dwóch nogach. Nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał: - No więc?

- Chciałam tylko...

- Czego? - przerwał jej i wydał wargi. - Przecież rozmawialiśmy na ten temat setki razy. Nie wierzę, byś mogła mi powiedzieć coś nowego.

- Chciałam się z tobą zobaczyć.

- Powiedziałem już, że jestem zavalony robotą.

- Ale kiedyś ją skończysz...

- Saro!

- Jeffreyu! - sparowała odruchowo. - Jeśli w ogóle nie chcesz się ze mną widywać, powiedz to wprost i nie szukaj wymówek. Bywaliśmy niejednokrotnie bardziej zavaleni robotą i jakoś znajdowaliśmy czas dla siebie. Jeśli dobrze pamiętam, właśnie dzięki temu łatwiej przychodziło nam to znieść. - Wskazała piętrzące się przed nim papierzyska.

Z hukiem postawił z powrotem krzesło na czterech nogach.

- Nie rozumiem, do czego zmierzasz. Postanowiła jeszcze raz zaryzykować.

- Na przykład do seksu.

- Wszędzie mogę sobie znaleźć partnerkę.

Sara uniosła brwi, ale powstrzymała się od złośliwego komentarza. To, że Jeffrey faktycznie mógł sobie w każdej chwili znaleźć inną partnerkę, było jedną z podstawowych przyczyn rozwodu.

Sięgnął po pióro, żeby wrócić do robienia notatek, lecz gwałtownym ruchem wyrwała mu je z ręki. Próbując stłumić desperację w swoim głosie, syknęła:

- Uważasz, że tylko powtórny ślub umożliwiłby nam powrót do normalności?

Odwrócił szybko głowę, najwyraźniej rozbawiony jej reakcją.

- W końcu byliśmy już małżeństwem - przypomniła - i omal nie skończyło

się to dla nas katastrofą.

- Owszem. Pamiętam.

Zdecydowała się zgrać swoją kartę atutową.

- Mógłbyś wynająć swój dom na przykład studentom z college'u.

Zamyślił się na chwilę i zapytał:

- Niby dlaczego miałbym to robić?

- Żeby się przeprowadzić do mnie.

- I żyć z tobą w grzechu? Zaśmiała się.

- Od kiedy to stałeś się taki religijny?

- Od czasu, gdy twój ojciec zasiał we mnie lęk przed karą boską - odparł natychmiast z całkiem poważną miną. - Zrozum, Saro, ja chcę mieć żonę, a nie tylko kogoś do łóżka.

Zakłuło ją to określenie.

- Tak o mnie myślisz?

- Sam już nie wiem - bąknął, jakby dopadło go poczucie winy. - Zmęczyło mnie to szamotanie się na końcu smyczy, za którą pociągasz tylko wtedy, kiedy czujesz się samotna.

Otworzyła już usta, ale odpowiedź nie przeszła jej przez gardło.

Jeffrey pokręcił głową i mruknął pojednawczo:

- Przepraszam. Nie chciałem cię urazić.

- Zatem myślisz, że przyszedłem tu robić z siebie idiotkę, bo dokucza mi samotność?

- Powiedziałem przecież, że niczego już nie jestem pewien poza tym, że naprawdę mam kupę roboty. - Wyciągnął rękę. - Czy mogłabyś mi oddać pióro?

Jeszcze mocniej zacisnęła je w palcach.

- Naprawdę chcę być z tobą.

- Przecież właśnie jesteś. - Wyciągnął dłoń jeszcze dalej.

Złapała go lewą ręką za nadgarstek.

- Tęsknię za tobą - powiedziała. - Bardzo mi ciebie brakuje.

Wzruszył lekko ramionami, ale nie cofnął ręki. Pospiesznie przycisnęła do swoich warg jego palce pachnące atramentem i owsianym kremem nawilżającym, którego używał w tajemnicy przed wszystkimi.

- Brak mi dotyku twoich dłoni. Wpatrywał się w nią nieruchomym wzrokiem. Przeciągnęła jego palcami po swoich wargach i zapytała:

- A ty nie tęsknisz za mną?

Przekrzywił nieco głowę i ponownie lekko wzruszył ramionami.

- Zrozum, że naprawdę chcę być z tobą. Zależy mi... - Zerknęła szybko przez ramię, żeby się upewnić, że w korytarzu nikogo nie ma, po czym szeptem przedstawiła mu propozycję tego, za co szanująca się prostytutka naliczyłaby podwójną stawkę.

Jeffrey aż rozdziawił usta i oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia. Zacisnął palce na jej dłoni i rzekł z ociąganiem:

- Nie robiłaś tego od naszego ślubu.

- No cóż... - uśmiechnęła się skąpo. - Teraz znów nie jesteśmy małżeństwem, prawda?

Zastanawiał się wciąż nad kuszącą propozycją, gdy rozległo się donośne pukanie w futrynę otwartych drzwi. Zareagował tak, jakby tuż nad uchem ktoś wypalił mu z rewolweru. Wyszarpnął rękę z jej uścisku i poderwał się z krzesła.

Frank Wallace, jego zastępca, odezwał się nieśmiało:

- Przepraszam, że przeszkadzam...

Jeffrey zrobił poirytowaną minę, tyle że Sara nie potrafiła ocenić, czy to ona jest powodem tej irytacji, czy też pojawienie się Franka.

- O co chodzi? Wallace zerknął na telefon wiszący na ścianie i odparł:

- Nie odłożyłeś słuchawki.

Jeffrey nadal przyglądał mu się w milczeniu.

- Marla prosiła, bym ci przekazał, że w lobby czeka jakiś chłopak. - Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł spocone czoło. - Witaj, Saro.

Otworzyła już usta, żeby odpowiedzieć, lecz zaskoczył ją widok Franka.

- Dobrze się czujesz?

Skrzywił się i przycisnął rękę do brzucha.

- Chyba coś mi zaszkodziło.

Wstała i przytknęła dłoń do jego policzka. Skórę miał lepka od potu.

- Jesteś odwodniony. - Złapała go za rękę i zaczęła mierzyć puls. - Powinieneś dużo więcej pić.

Wzruszył ramionami.

Jeszcze przez chwilę wpatrywała się w tarczę zegarka, po czym zapytała:

- Wymiotowałeś? Miałeś rozwolnienie? Poruszył się nerwowo, najwyraźniej zmieszany.

- Nic mi nie jest - bąknął, przecząc oczywistym faktom. - Ślicznie dziś wyglądasz.

- Cieszę się, że w końcu ktoś to zauważył - odparła, posyłając Jeffreyowi znaczące spojrzenie.

Ten zabębnił palcami o brzeg biurka, wciąż tak samo poirytowany.

- Idź do domu, Frank. Kiepsko wyglądasz. Wallace popatrzył na niego z wyraźną ulgą.

- Jeśli nie poprawi ci się do jutra, zadzwoń do mnie - powiedziała Sara.

Skinął głową i zwrócił się do Jeffreya:

- Nie zapomnij o tym chłopaku czekającym w lobby.

- Kto to jest?

- Jakiś Smith. Nic więcej nie wiem... - Znowu przycisnął rękę do brzucha i jęknął gardłowo. Pospiesznie odwrócił się do wyjścia, rzucając przez ramię: - Przepraszam.

Jeffrey zaczekał, aż Frank się oddali, po czym syknął:

- Wszystko na mojej głowie.

- Przecież sam widziałeś, jak on się czuje.

- Na szczęście wraca dziś Lena - rzekł, nawiązując do byłej partnerki Franka. - Powinna się stawić na służbie o dziesiątej.

- I co z tego?

- Nie natknęłaś się jeszcze na Matta? Dzwonił rano i próbował się wymówić chorobą, ale kazałem mu przyjeżdżać na komisariat.

- Podejrzewasz, że dwóch najstarszych rangą śledczych specjalnie się zatruli, żeby nie spotkać dzisiaj Leny?

Jeffrey podszedł do telefonu i odwiesił słuchawkę na widełki.

- Pracuję tu już od piętnastu lat i jeszcze nigdy nie widziałem, żeby Matt Hogan kupował chińskie zarcie.

Może i coś w tym było, Sara wołała jednak traktować te przypadki jak zwykły zbieg okoliczności. Niezależnie od tego, co Frank mówił o Lenie, z pewnością nie była mu obojętna. W końcu pracowali razem prawie przez dziesięć lat. Wiedziała z własnego doświadczenia, że po tak długim czasie trudno po prostu o kogoś zapomnieć.

Jeffrey przełączył aparat na głośnik i wybrał numer wewnętrzny.

- Marla?

Rozległa się seria trzasków i po chwili doleciał głos sekretarki.

- Słucham, komendancie.

- Czy Matt się już pojawił?

- Jeszcze nie. Zaczynam się martwić, czy nie rozchorował się na dobre.

- Jak tylko przyjedzie, powiedz mu, że go szukałem. Nadal ktoś tam na mnie czeka?

- Tak. I zaczyna się powoli denerwować - odparła ściszym głosem.

- Zaraz przyjdę. - Przerwał połączenie i mruknął pod nosem: - Nie mam czasu na żadne pogawędki.

- Jeff...

- Muszę sprawdzić, o co chodzi - rzucił i wyszedł z pokoju.

Ruszyła za nim korytarzem prawie biegiem, chcąc go dogonić.

- Jeśli skręcę sobie kostkę w tych przeklętych szpilkach...
Zerknął na jej buty.

- Czyżbyś myślała, że jak przydrepczesz tu z nieprzyzwoitą propozycją, w szpilkach i garsonce, od razu zacznę cię błagać, żebyś pozwoliła mi do siebie wrócić?
Rosnące zakłopotanie doprowadziło ją do złości.

- Jak to jest, że gdy mi na tym zależy, mówisz o nieprzyzwoitych propozycjach, ale gdy nie mam ochoty, a mimo wszystko to robię, jest to wyłącznie kwestią seksu?

Zatrzymał się przed żelaznymi drzwiami przeciwpożarowymi z ręką na klamce.

- To nie w porządku.

- Pan też tak uważa, doktorze Freud?

- Dla mnie to nie jest zabawa, Saro.

- A myślisz, że dla mnie jest?

- Nie wiem, z jakim zamiarem tu przyszedłeś - syknął ze złością, a lodowate błyski w jego oczach zmroziły ją do szpiku kości. - W każdym razie nie mogę tak dłużej żyć.

Położyła mu dłoń na ramieniu i szepnęła:

- Zaczekaj. - Kiedy nadal wpatrywał jej się prosto w oczy, zmusiła się, by wyznać: - Kocham cię.

Uśmiechnął się lekceważąco.

- Dzięki.

- Proszę. Przecież niepotrzebny nam urzędowy świstek, byśmy mogli sobie

nawzajem powiedzieć, co naprawdę czujemy.

- Czy nadal do ciebie nie dociera, że mnie on jednak jest potrzebny? -
wycedził, otwierając drzwi.

Wkroczyła za nim do sali ogólnej, lecz urażona duma nakazała jej zwolnić kroku. Kilku funkcjonariuszy z patroli i detektywów przystąpiło już do pracy, siedzieli przy swoich biurkach i pisali raporty, bądź rozmawiali przez telefon. Brad zaciągnął grupkę swoich podopiecznych w kąt przy ekspresie do kawy, gdzie zapewne tłumaczył dzieciom, jakiego typu filtrów papierowych należy używać w tym urzędzeniu albo ile tyżeczek kawy trzeba wziąć na dzbanek napoju.

W lobby stało dwóch młodych ludzi. Jeden tkwił w niedbałej pozie, oparty ramieniem o ścianę, drugi czekał przed stanowiskiem Marli. Sara domyśliła się, że to właśnie on chciał się widzieć z Jeffreyem. Oceniała, że Smith jest bardzo młody, mniej więcej w wieku Brada. Ubrany w czarną pikowaną skórzaną kurtkę, zapiętą pod szyję mimo sierpniowego upału, z wygoloną do gładkiej skóry głową. Nawet grube ubranie nie było w stanie ukryć jego muskularnej, atletycznej sylwetki. Nerwowo wodził spojrzeniem po całej sali, na nikim nie zatrzymując dłużej spojrzenia. Do tego przy każdym obrocie głowy zerkał na drzwi frontowe, jakby uważnie lustrował ulicę przed komisariatem. W samej jego postawie było coś, co kazało go wiązać z wojskiem, a co dodatkowo nasiliło podenerwowanie Sary.

I ona zaczęła się rozglądać po sali, próbując zidentyfikować obiekt zainteresowania Smitha. Jeffrey zatrzymał się na chwilę przy jednym ze stanowisk, żeby zamienić parę słów ze swoim podwładnym. Przesunął kaburę z bronią bardziej do tyłu i przysiadł na brzegu biurka, żeby wpisać coś do komputera. Brad wciąż tłumaczył coś dzieciom, trzymając rękę na tkwiącym za pasem pojemniku z gazem łzawiącym. Poza tym w sali naliczyła jeszcze pięciu policjantów, wszyscy byli zajęci spisywaniem raportów albo mozolnym stukaniem w klawisze komputerów. Poczucie bliżej nieokreślonego zagrożenia przeszło ją niczym wstrząs elektryczny. Miała wrażenie, że obraz przed oczami nagle zadziwiająco jej się wyostrzył.

Frontowe drzwi otworzyły się z cichym szumem i do środka wszedł Matt Hogan. Na jego widok Marla powiedziała:

- No, jesteś wreszcie. Wszyscy tu na ciebie czekają. Młodzieniec pospiesznie wsunął dłoń pod połę kurtki, a Sara krzyknęła ostrzegawczo:

- Jeffrey!

Wszystkie głowy zwróciły się w jej kierunku, ona jednak nie spuszczała z

oczu Smitha, który błyskawicznie wyszarpnął zza pazuchy obrzynka z opiłowaną lufą, wymierzył Mattowi w twarz i nacisnął oba spusty.

Krew i szara tkanka mózgowa trysnęły na oszklone drzwi niczym rozpylone z węża pod wielkim ciśnieniem. Hogan, z krwawą miazgą w miejsce twarzy, poleciał do tyłu i grzmotnął plecami o drzwi, w których szyba popękała promieniście, ale się nie stłukła. Dzieci podniosły chóralny pisk, a Brad pospiesznie pchnął je na podłogę i zwałił się na całą grupę, przygważdzając ją swoim ciężarem do posadzki. Wybuchła bezładna strzelanina. Jeden z policjantów zwałił się na ziemię u stóp Sary z wielką dziurą w piersi, a jego pistolet wypalił od uderzenia o kafelki i z brzękiem potoczył się w głąb sali. Wszędzie dokoła sypały się okruchy szkła z roztrzaskiwanych fotografii, w powietrzu latały różne przedmioty podrywane z biurków przez pociski. Spadały monitory komputerów, sypały się iskry, rozchodził się swąd palonej izolacji. Dokumenty fruwały niczym suche liście miotane porywami gwałtownego wiatru, a huk wystrzałów był tak ogłuszający, że Sara odniosła wrażenie, iż lada moment Popękają jej bębunki.

- Uciekaj! - wrzasnął Jeffrey.

W tej samej chwili poczuła ostre ukłucie w policzek i błyskawicznie przytknęła dłoń do miejsca, w którym jakiś odłamek rozciął jej skórę. Uświadomiła sobie, że kłęczy na podłodze za biurkiem, chociaż nie miała pojęcia, jak się tu znalazła. W pośpiechu dała nura za najbliższą metalową szafkę na akta. Swąd prochu tak mocno drapał w gardle, jakby się napiła żrącego kwasu.

- Teraz! - huknął Jeffrey przykucnięty parę biurków dalej.

Z lufy jego pistoletu zaczęły raz za razem bluzgać białe języki ognia, kiedy próbował osłonić jej odwrót. Nagle całą frontową częścią budynku wstrząsnął potężny huk, potem drugi.

- Tędy! - krzyknął Frank kryjący się za żelaznymi drzwiami przeciwpożarowymi i strzelający zza nich na oślep w kierunku lobby.

Jeden z funkcjonariuszy rzucił się do ucieczki na tyły komisariatu i otworzył szerzej drzwi, na krótko odsłaniając przycupniętego za nimi Wallace'a. W drugim końcu sali inny gliniarz próbował skoczyć na ratunek dzieciom, lecz tylko skrzywił się gwałtownie z bólu, zwałił na podłogę i poczołgał za osłonę regału. W powietrzu było już gęsto od dymu, swąd prochu dławił w gardle, a w lobby huk strzałów tylko przybierał na sile. Sarę obleciał śmiertelny strach, gdy rozpoznała charakterystyczny terkot pistoletu maszynowego. Bandyci byli świetnie przygotowani na rzeź.

Ktoś zawołał:

- Doktor Linton!

Chwilę później poczuła na swojej szyi parę drobnych dziecięcych rączek.

Maggie Burgess jakimś cudem zdołała się przedostać aż tutaj, a Sara instynktownie objęła ją i przytuliła do siebie. Dostrzegłszy to, Jeffrey sięgnął do kabury na nodze i gwałtownym wymachem ręki dał jej znać, żeby skoczyła z dziewczynką do wyjścia, gdy będzie je osłaniał. Szybko ściągnęła z nóg szpilki i przyczała się w kucki za szafą. Miała jednak wrażenie, że minęła cała wieczność, zanim Jeffrey w końcu wychylił się zza biurka i zaczął strzelać z obu pistoletów jednocześnie. Poderwała się na nogi, dopadła drzwi przeciwpożarowych i wcisnęła małą w objęcia Franka. Mimo że kule świstały w powietrzu i na wszystkie strony bryzgały odłamki roztrzaskanych kafelków, pospiesznie wycofała się na czworakach pod osłonę żelaznej szafki na akta.

Obmacała się błyskawicznie, żeby sprawdzić, czy nie została ranna. Była cała zakrwawiona, ale zorientowała się, że to nie jej krew. Frank ponownie uchylił drzwi prowadzące na tyły budynku i pociski zabębniły o nie ze zdwojoną siłą. Wyciągnął rękę i znów zaczął na oślep odpowiadać ogniem w kierunku lobby.

- Uciekaj! - krzyknął ponownie Jeffrey, szykując się, by znów zapewnić jej osłonę.

Ona jednak nie mogła oderwać wzroku od następnego dziecka kryjącego się za kilkoma przewróconymi krzesłami. Rozpoznała znanego jej z przychodni Rona Carvera, który wyglądał na równie przerażonego jak ona. Uniosła obie ręce, dając mu na mięci znać, żeby pozostał na miejscu, dopóki komendant nie zacznie strzelać. Ale chłopczyk nie wytrzymał i rzucił się w jej kierunku z nisko pochyloną głową i brodą wbitą w piersi, szeroko wymachując rączkami. Jeffrey pospiesznie zaczął strzelać, chcąc odciągnąć od niego uwagę bandyty uzbrojonego w pistolet maszynowy, lecz pocisk trafił Rona w nogę i omal nie oderwał mu stopy. Chłopiec zwałił się na bok i w panice zaczął się gwałtownie czołgać, odpychając się od terakoty nawet zranioną nogą, byle tylko jak najszybciej wydostać się z sali.

Kiedy padł wreszcie w objęcia Sary, poczuła, że jego serduszko tłucze się w oszalałym rytmie niczym spłoszony ptak w klatce. Błyskawicznym ruchem ściągnęła z Rona bawełnianą koszulkę, szarpnięciem oderwała rękaw i zrobiła z niego prowizoryczny opatrunek na silnie krwawiącej nodze chłopca. Resztą koszulki przywiązała dyndającą na skrawku ciała stopę, modląc się w duchu, by w szpitalu dało się ją uratować.

- Niech mnie pani nie zabiera do wyjścia - chlpał mały. - Proszę, doktor Linton. Niech mnie pani stąd nie rusza.

- Musimy wyjść, Ronny - odparła, siląc się na surowy ton.

- Proszę! Niech mnie pani nie zabiera! - zapiszczał głośniejsze.

- Sara! - krzyknął Jeffrey.

Przytuliła Rona do siebie i wyjrzała zza szafki w oczekiwaniu na sygnał. Jak tylko Jeffrey zaczął strzelać, z chłopcem w ramionach po raz drugi skoczyła do drzwi przeciwpożarowych.

Ledwie wynurzyli się w przejściu, chłopiec zaczął wierzgać i histerycznie piszczeć na cały głos:

- Nie! Ja nie chcę! Proszę mnie zostawić! Zakryła mu dłonią usta i pobiegła, ledwie zwracając uwagę na dotkliwy ból w dłoni, gdy zęby małego wbiły jej się głęboko w skórę. Frank wyciągnął ręce i wyrwał Rona z jej objęć. Zanim odwrócił się i pognął korytarzem, ją także próbował złapać pod pachę, ale wyszarpnęła się i pobiegła z powrotem za osłonę szafki na akta, rozglądając się za pozostałymi dziećmi. Jakiś pocisk świsnął jej tuż koło ucha, lecz nie bacząc na zagrożenie, skoczyła w głąb sali.

Dwukrotnie próbowała policzyć, ile jeszcze dzieci zostało pod opieką Brada, ale z powodu kul świszających w powietrzu i panującego wokół chaosu za każdym razem traciła rachubę. Zaczęła się więc rozglądać za Jeffreyem. Dostrzegła go jakieś pięć metrów dalej przeładowującego broń. Ledwie ich spojrzenia się zetknęły, poleciał nagle do tyłu, jakby szarpnięty za ramię, i zwałił się między biurka. Za nim kwiatek spadł z parapetu, a doniczka roztrzaskała się w drobny mak. Ciałem Jeffrey'a wstrząsnęły dreszcze, kilka razy konwulsyjnie wierzgnął nogami i znieruchomiał. Niespodziewanie w sali zapadła cisza. Sara dała nura pod najbliższe biurko, wciąż mając w uszach huk gwałtownej kanonady. Dotarł do niej tylko histeryczny pisk Marli, której głos to wznosił się, to opadał, niczym zawodzenie syreny.

- Boże... - szepnęła, próbując pod biurkami rozejrzeć się po sali.

Przy brzegu kontuaru w sekretariacie zauważyła Smitha stojącego z dwoma pistoletami w rękach i rozglądającego się w poszukiwaniu jakiegokolwiek ruchu. Jego kolega stał obok, mierząc z pistoletu maszynowego o długiej lufie w drzwi frontowe. Smith pod rozpiętą czarną kurtką miał kamizelkę kuloodporną i na piersi umocowane dwie kabury z kolejnymi pistoletami. Obrzynek leżał na kontuarze. Obaj mężczyźni stali na otwartej przestrzeni, lecz nie było już komu do nich strzelać. Sara próbowała

sobie przypomnieć, ilu policjantów znajdowało się w sali, ale było to ponad jej siły.

Wyłowiła jakieś poruszenie na lewo od siebie. W tej samej chwili padł pojedynczy strzał, pocisk z brzękiem odbił się od metalowej szafki na akta, ale towarzyszył temu stłumiony okrzyk. Rozległ się też zduszony pisk któregoś dziecka. Rozpłaszczyła się na podłodze, żeby lepiej widzieć całą przestrzeń sali. Dojrzała w odległym kącie leżącego nieruchomo Brada, który szeroko rozpostartymi ramionami przyciskał swoich podopiecznych do posadzki. Wszystkie dzieci zanosili się od szlochu.

Ranny gliniarz, który padł niedaleko nich za regałem z papierami, próbował jeszcze unieść broń. Dopiero teraz rozpoznała w nim Barry'ego Fordhama, funkcjonariusza z patrolu miejskiego, z którym tańczyła na ostatnim balu Policyjnym.

- Odłóż to! - wrzasnął Smith. - Słyszysz?! Odłóż broń!

Barry jednak wciąż próbował w niego wymierzyć, choć nie był w stanie utrzymać w ręku pistoletu, którego lufa chwiała się na wszystkie strony. Chłopak z pistoletem maszynowym odwrócił się powoli w jego stronę i z przerażającą precyzją oddał pojedynczy strzał w głowę Barry'ego. Jego czaszka huknęła o regał i zabity osunął się na podłogę. Zanim Sara zdążyła się przyjrzeć drugiemu bandycie, ten jakby nigdy nic odwrócił się z powrotem do drzwi frontowych komisariatu.

- Kto jeszcze?! - ryknął Smith. - Kto tam został?! Sara usłyszała za sobą jakiś szmer. Zauważyła tylko niewyraźną sylwetkę, gdy któryś z ocalałych detektywów rzucił się w otwarte drzwi gabinetu Jeffreya. Natychmiast posypał się za nim grad kul. Chwilę później rozległ się brzęk wybijanego okna.

- Zostać na miejscach! - wrzasnął bandyta. - Wszyscy mają zostać tam, gdzie są!

Z gabinetu komendanta doleciał pisk dziecka, czemu towarzyszył kolejny brzęk wybijanej szyby. Jakimś cudem okno w ścianie działowej oddzielającej gabinet od sali ogólnej zostało nietknięte. Smith wybił je teraz jednym strzałem. Sara zasłoniła głowę rękoma, gdy dookoła posypały się odłamki szkła.

- Kto tam jeszcze jest?! - krzyknął Smith, ładując zapasowy magazynek do pistoletu. - Pokazać się, bo inaczej zastrzelę również tę starszą panią!

Głośniejszy wrzask Marli urwał się wraz z odgłosem wymierzonego jej policzka.

Sara ponownie odszukała wzrokiem Jeffreya leżącego bliżej środka sali. Mogła stąd dostrzec tylko jego ramię i odrzuconą w bok rękę. Leżał na wznak. Nie

ruszał się. Przy jego ramieniu na podłodze szybko powiększała się kałuża krwi. Pistolet, który wcześniej trzymał w ręku, teraz leżał w jego rozwartej dłoni. Dzieliło ją od niego pięć biurek, ale nawet z tej odległości mogła dostrzec na jego palcu błyszczący złoty sygnet drużyny piłkarskiej z Auburn.

Gdzieś z prawej doleciał ją stłumiony szept:

- Saro!

Frank kucał za uchylonymi drzwiami przeciwpożarowymi, trzymając broń w pogotowiu. Energicznym ruchem ręki dał jej znak, żeby skoczyła do wyjścia, ale pokręciła głową. Powtórzył więc z naciskiem:

- Saro!

Znów popatrzyła na Jeffrey'ego, błagając go w myślach, żeby się poruszył, dał jakiś znak życia. Z kąta pod ekspresem do kawy dolatywały tłumione przez strach szlochy dzieci przyciskanych przez Brada do podłogi. Nie mogła ich tam zostawić. Dała to Frankowi do zrozumienia, wskazując grupę szybkim ruchem głowy. Prychnął ze złością.

- Kto jeszcze został?! - powtórzył Smith. - Pokazać się natychmiast, bo jak nie zastrzelę tę starą sukę! - Marla pisnęła głośniej, ale zagłuszył ją wrzask bandyty: - Kto tam jeszcze jest, do kurwy?!

Sara chciała już odpowiedzieć, kiedy rozległ się głos Brada:

- Jestem tutaj.

Sara niemal odruchowo prześliznęła się na czworakach do następnego biurka, mając nadzieję, że cała uwaga Smitha jest skupiona na Bradzie. Wstrzymała oddech, spodziewając się w każdej chwili kolejnych strzałów.

- A gdzie są dzieci?!

- Tutaj, ze mną - odpowiedział Brad nadzwyczaj spokojnym głosem. - Nie strzelaj. Zostałem tylko ja i trzy małe dziewczynki. Nie zamierzamy ci się przeciwstawiać.

- Wstań!

- Nie mogę, człowieku. Muszę osłaniać dzieci będące pod moją opieką.

- Proszę, nie... - zaczęła histerycznie Marla, ale natychmiast uciszyło ją uderzenie w twarz.

Sara zamknęła na chwilę oczy, próbując wrócić myślami do swojej rodziny i przypomnieć sobie wszelkie niedomówienia, jakie zostały między nimi. Zaraz jednak odepchnęła od siebie te rozważania i spróbowała się skoncentrować na dzieciach

leżących w kącie sali. Wciąż wpatrywała się w pistolet spoczywający na otwartej dłoni Jeffreya, jakby od niego wszystko teraz zależało. Rozważała swoje szanse, gdyby udało jej się niepostrzeżenie dopaść broni. Dzieliły ją od niej jeszcze cztery biurka. Tylko cztery. Przeniosła wzrok na wyciągniętą w bok rękę Jeffreya. Wciąż leżał nieruchomo. Nawet nie drgnął.

Smith nadal był zajęty Bradem.

- Gdzie masz pistolet?!

- Przy sobie.

Rzuciła się za następne biurko, ale źle obliczyła odległość, omal nie huknęła w nie głową, toteż w pośpiechu dała nura za stojący obok niski regalik zasłaniający widok na przejście między rzędami biurek.

- Zrozum, człowieku, że mam tu kilka małych, bez: bronnych dziewczynek. Nie odważyłbym się strzelać stąd do ciebie. Nawet nie wyjąłem pistoletu z kabury.

- Rzuć go na środek.

Sara znów wstrzymała oddech i gdy usłyszała brzęk broni o podłogę, przeskoczyła do następnego biurka.

- Nie ruszaj się! - wrzasnął Smith.

Zastygła bez ruchu. Spoczone stopy ślizgały się po te rakocie, ponadto ciągnęły się za nią dwie grube krwiste smugi na kafelkach. Z impetem omal nie wynurzyła się po drugiej stronie biurka, zdołała wyhamować w ostatniej chwili.

- Proszę! - zawyła Marla.

Tym razem odgłos uderzenia był jeszcze głośniejszy. Obrotowe krzesło w sekretariacie zaskrzypiało żałośnie jakby rozdierano je na części. Sara wyciągnęła się na podłodze i popatrzyła pod biurkami w samą porę, by dostrzec walące się bezwładnie ciało Marli. Z ust prysnęła jej ślina przemieszana z krwią, a proteza potoczyła się po terakocie.

- Kazałem ci się nie ruszać! - ryknął Smith i z wściekłością kopnął krzesło, które zakreśliło się jak bąk i odjechało pod ścianę.

Wstrzymując oddech, Sara wyjrzała ostrożnie zza rogu w kierunku Jeffreya. Dzieliło ich już tylko jedno biurko, ale było przesunięte i tarasowało dalszą drogę. Gdyby się zza niego wynurzyła, znalazłaby się na linii strzału bandytów. Ale za to mogła stąd dojrzeć dziewczynki w kącie. Znajdowały się trzy biurka dalej. Gdyby tylko zdołała dosięgnąć pistoletu... Nagle serce podeszło jej do gardła. Cóż mogłaby zdziałać nawet uzbrojona, skoro dziesięciu wprawionych policjantów nie potrafiło się

obronić przed napastnikami?

Przyszło jej do głowy, że miałyby za sobą element zaskoczenia. Przecież Smith i jego kumpel nie mieli pojęcia o jej obecności w sali. Mogłaby ich zaskoczyć.

- Gdzie masz zapasową broń? - zapytał bandyta.
- Służę w patrolu miejskim. Nie noszę zapasowej...
- Nie kłam!

Smith strzelił w kierunku Brada, lecz zamiast spodziewanego okrzyku bólu dalej panowała cisza. Sara jeszcze raz spojrzała tuż nad podłogą, próbując dojrzeć, czy Brad przypadkiem nie zginął na miejscu. Napotkała szklisty wzrok trzech rozszerzonych z przerażenia par oczu. Dziewczynki były w głębokim szoku. Paniczny strach do reszty odebrał im głos.

Przedłużająca się cisza zalegała w sali niczym obłok trującego gazu. Sara doliczyła aż do trzydziestu jeden, zanim padło kolejne pytanie Smitha:

- Jesteś tam jeszcze?

Przycisnęła dłoń do piersi w obawie, że głośny łomot serca zdradzi jej kryjówkę. Nie wiedziała, co się stało radem. Oczyma wyobraźni ujrzała trupa z krwawą miazgą zamiast głowy i szeroko rozrzuconymi ramionami, przygważdżającego swoim ciężarem do podłogi trzy przerażone dziewczynki. Aż zacisnęła powieki, próbując wypędzić ten obraz z myśli.

Odważyła się jeszcze raz wyjrzeć zza rogu biurka na Smitha, który tkwił nieruchomo dokładnie w tym samym miejscu, gdzie Marla witała ją na komisariacie ledwo kilkanaście minut temu. W jednym ręku trzymał ciężki pistolet kalibru dziewięć milimetrów, a w drugim obrzynek. Na kamizelce kuloodpornej pod rozpiętą skórzaną kurtką zauważyła nie tylko dwie dodatkowe kabury z pistoletami, ale także pas z zapasem nabojów do strzelby. Drugi pistolet miał teraz wetknięty za pasek dżinsów na brzuchu, a obok niego stała na podłodze długa czarna nylonowa torba sportowa, zawierająca prawdopodobnie dalszy zapas amunicji. Jego kolega stał za kontuarem, wciąż mierząc z pistoletu maszynowego w drzwi frontowe. Wyglądał na spiętego, gotowego do działania. Delikatnie muskał palcem spust broni. Nerwowo żuł gumę i na Sarę te rytmiczne ruchy jego szczęki podziały jeszcze bardziej denerwująco niż wykrzykiwane groźby Smitha.

- Jesteś tam czy nie? - powtórzył bandyta. - No jak? Nic nie słyszę!
- Jestem - odezwał się po chwili Brad.

Sara odetchnęła z ulgą i rozluźniła mimowolnie napięte mięśnie ramion.

Rozpłaszczyła się na podłodze i szybko oceniła, że najlepszą drogą dotarcia do Jeffreya będzie przeczołganie się za osłoną przewróconego regału. Powoli ruszyła, przywierając całym ciałem do zimnych, kafelków i wyciągając ręce daleko przed siebie. Wreszcie, dosięgnęła czubkami palców mankietu jego koszuli. Zacisnęła powieki i przesunęła się jeszcze trochę.

Pistolet leżący w jego dłoni był bez magazynka. Ostro skarciła się w duchu, bo przecież powinna o tym pamiętać, gdyby się tylko dobrze zastanowiła. Jeffrey przeładowywał broń, kiedy został trafiony, i upuścił trzymany magazynek, który odjechał jakiś metr dalej po śliskiej podłodze. Dokoła wałały się naboje, teraz już całkiem bezużyteczne. W głowie kołatało jej tylko, że nie powinna być zaskoczona tym widokiem, tak samo jak jego zimną skórą, gdy w końcu zdołała zacisnąć palce na jego nadgarstku, w którym nie dało się wyczuć pulsu.

ROZDZIAŁ DRUGI

9.22

- Ethan - jęknęła Lena, dociskając ramieniem słuchawkę do ucha i zawiązując jednocześnie sznurówki nowych czarnych butów z wysoką cholewką. - Muszę już kończyć.

- Dlaczego?

- Przecież wiesz dlaczego - rzuciła ze złością. - Nie mogę się spóźnić na służbę pierwszego dnia po urlopie.

- Nie podoba mi się, że wracasz do służby.

- Naprawdę? Czyżby nie dotarło do ciebie nic z tego, co próbowałam ci wytłumaczyć milion razy?

- Wiesz co? - burknął ze śmiertelną powagą, jakby rzeczywiście był na tyle głupi, by sądzić, że zdoła ją jeszcze namówić do zmiany decyzji. - Czasami potrafisz być cholernie nieprzyjemna.

- Trochę długo ci zajęło odkrycie tego faktu. Rozpoczął zwykłą dla siebie monotonną tyradę, ale ona go już nie słuchała. Przejrzała się w lustrze na drzwiach szafy. Oceniła, że wygląda całkiem nieźle. Włosy zebrała gumką w koński ogon, a garsonka, którą kupiła w zeszłym tygodniu na wyprzedazy, leżała jak ulał. Poprawiła ją tylko na ramionach i wyprostowała się, opierając dłoń na kolbie tkwiącego w kaburze służbowego dziewięciomilimetrowego pistoletu. Dotyk zimnego pietału podziałał na nią kojąco.

- Słuchasz mnie? - zapytał nieco głośniejszym głosem Ethan.

- Nie - odparła. - Zrozum, że jestem policjantką. Detektywem. I nikim innym nigdy nie będę.

- Dobrze wiem, kim jesteś - syknął nieco ostrzej, ze złością. - I oboje doskonale wiemy, do czego jesteś zdolna.

Zamilkł na chwilę. Lena aż przygryzła wargi, żeby powstrzymać się od ciętej riposty na tę jawną zaczepkę.

Najwyraźniej postanowił zmienić taktykę, gdyż zapytał:

- Czy twój szef już wie, że znowu się spotykamy?

- Przecież nie przemykamy się kanałami przez miasto.

Musiał wyczuć defensywność w brzmieniu jej głosu, bo rzekł z naciskiem:

- To z pewnością bardzo ci pomoże w pracy, nie sądzisz? Nie minie nawet tydzień, nim wszyscy zaczną plotkować, że związałaś się ze skazańcem.

Opuściła rękę opartą na kolbie pistoletu, ledwie się pohamowując, żeby nie zakląć na głos.

- Co powiedziałaś? - zapytał.

- Że na pewno już wszyscy o tym gadają, kretynie. Wszyscy na komisariacie muszą już wiedzieć, że jesteśmy razem.

- Ale nie wiedzą jeszcze wszystkiego - odparł miękko, jakby chciał, żeby potraktowała to jak pogrózkę.

Spojrzała na budzik stojący przy łóżku. Za nic w świecie nie mogła się spóźnić pierwszego dnia po urlopie. I tak czekał ją trudny dzień, nie musiała jeszcze pogarszać sytuacji choćby pięciominutowym spóźnieniem. Tylko dałaby Frankowi kolejny powód do tego, żeby się sprzeciwiał jej powrotowi do służby, co jego zagorzały Poplecznik, Matt, z pewnością gorliwie by poparł. Nie wątpiła, że tak samo jak wtedy wszyscy będą uważnie patrzyli jej na ręce, czekając na jakąś wpadkę. Zmieniło się tylko tyle, że za to, za co przed laty spotykały ją jedynie drwiny, teraz mogła oczekiwać wyłącznie współczucia. Prawdę powiedziawszy, wolałaby już nawet najbardziej cięte kpiny od przejawów litości. Nie miała pojęcia, co robi, jeśli ten pierwszy dzień po urlopie zakończy się dla niej porażką. Może się gdzieś przenieś? A nuż nadal poszukiwali chętnych do służby na Alasce?

- Podejrzewam, że będę musiała dziś zostać po godzinach - powiedziała do słuchawki.

- Nie ma sprawy - odparł swobodnie, najwyraźniej zakładając, że i tak spotkają się wieczorem. - Może byś tym razem wpadła do mnie?

- Nie ma mowy. U ciebie za bardzo cuchnie rzygowinami i szczynami.
- To może ja przyjadę do ciebie.
- Pewnie, jeszcze lepiej. Z kochanką mojej zmarłej siostry podsłuchującą

przez ścianę? Nie, dziękuję.

- Daj spokój, złotko. Naprawdę chcę się z tobą zobaczyć.
- Nie wiem, o której skończę. Poza tym, pewnie będę za bardzo zmęczona.
- To pójdziemy od razu spać. Wszystko mi jedno.! Chcę się z tobą zobaczyć.

Na razie mówił jeszcze łagodnym tonem, dobrze jednak wiedziała, że jest gotów na kłótnię, jeśli będzie się dłużej opierać. Ethan miał dopiero dwadzieścia trzy lata, był prawie dziesięć lat od niej młodszy i nie docierało jeszcze do niego, że jedna noc spędzona osobno nie musi oznaczać zerwania. Niemniej w takich chwilach, jak ta, Lena czasami żałowała, że nie da się z nim tak prosto zerwać. Może teraz, gdy znów miała pracę i znacznie ważniejsze sprawy na głowie niż tylko program telewizyjny, nadarzy się jakaś okazja, żeby się wreszcie od niego uwolnić.

- Lena? - zagadnął, jakby szósty zmysł mu podpowiedział, że ona zastanawia się nad sposobem zerwania. - Tak bardzo cię kocham, skarbie - wycedził jeszcze bardziej przymilnym tonem. - Przyjedź dziś wieczorem do mnie. Przygotuję jakąś kolację, może nawet kupię dobre wino...

- Opóźnia mi się miesiączka.

Tylko syknął przez zaciśnięte zęby, aż pożałowała, że nie może teraz zobaczyć jego miny.

- To wcale nie było zabawne.
- Myślisz, że żartuję? Opóźnia mi się już trzy tygodnie.

Zatkało go na jakiś czas. Wreszcie bąknął:

- To może być wina silnego stresu, prawda?
- Prędzej spermy.

Znów zamilkł. W słuchawce dał się słyszeć tylko szmer jego oddechu.

Lena zmusiła się do czegoś, co powinno zabrzmieć jak chichot.

- Nadal mnie kochasz, skarbie?
- Przestań - syknął spiętym głosem, jakby z trudem nad sobą panował.

- Posłuchaj - rzekła pojednawczo, żałując, że w ogóle o tym wspomniała. - Nie masz się czym przejmować. Jasne? Sama się tym zajmę.

- Jak mam to rozumieć?
- Dokładnie tak, jak powiedziałam. Jeśli jestem... - urwała, nie mogąc wydusić

z siebie tego słowa -...jeśli coś się wydarzyło, sama się tym zajmę.

- Przecież nie możesz...

Telefon pisnął cicho. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie była nikomu tak wdzięczna za przerwanie niezręcznej rozmowy.

- Mam drugi telefon. Zobaczmy się niedługo. Przełączyła aparat na drugą rozmowę, zanim Ethan zdążył cokolwiek powiedzieć.

- Lee? - rozległ się w słuchawce chrapliwy głos.

Lena z trudem powstrzymała jęk rozpaczony. Przemknęło jej przez głowę, że chyba już lepiej było kontynuować rozmowę z Ethanem.

- Cześć, Hank.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, dziecińko!

Uśmiechnęła się mimowolnie.

- Dostałaś moją kartkę z życzeniami i czekiem?

- Tak. Dziękuję - mruknęła.

- I kupiłaś sobie coś ładnego?

- Owszem.

Jeszcze raz poprawiła zakiet na ramionach. Nie mogła się uwolnić od myśli, że dwieście dolarów od wuja Hanka powinna przeznaczyć na bieżące wydatki albo na spłatę raty za samochód, ale ten jeden raz w życiu postanowiła zaszaleć. W końcu dzisiaj był dla niej bardzo ważny dzień. Mogła się znowu czuć policjantką.

Tym razem pisnął jej telefon komórkowy. Popatrzyła na ekranik. Znowu dzwonił Ethan, mimo że na tej linii wciąż byli połączeni.

- Musisz odebrać? Coś pilnego? - zaciekał się Hank.

- Nie - odparła, wyłączając komórkę w połowie kolejnego sygnału i chowając ją do kieszeni.

Otworzyła drzwi i wyszła na korytarz, tylko jednym uchem po raz kolejny słuchając opowieści Hanka o tym, jak to dzień, w którym ona wraz z siostrą bliźniaczką Sibyl zostały oddane pod jego opiekę, stał się najszcześniejszym dniem jego życia. Weszła do łazienki i jeszcze raz przejrzała się w lustrze. Miała wyraźnie podkrążone oczy, ale puder w kremie, którym zamaskowała ciemne półkole, niezłe spełniał swoje zadanie. Nic nie mogła tylko zaradzić na krwistą pręgę na dolnej wardze, w miejscu, gdzie zagryzła ją, aż do krwi.

Za ramę lustra było wetknięte zdjęcie Sibyl. Zostało zrobione mniej więcej na miesiąc przed jej śmiercią i chociaż Lena bardzo chciała je stąd usunąć, to jednak nie

była w swoim domu. Jak co dzień rano, porównała swój wygląd z podobizną siostry i ani trochę nie spodobał jej się rezultat tej konfrontacji. Do śmierci Sibyl wyglądały prawie identycznie. Natomiast teraz miała zapadnięte policzki, a jej ciemne włosy utraciły połysk i sprawiały wrażenie przeredzonych. Wyglądała po prostu staro, jak na swoje trzydzieści trzy lata, do czego przyczyniał się głównie surowy, lodowaty wyraz oczu. Nawet cery nie miała tak gładkiej jak kiedyś, chociaż wierzyła, że ten efekt się cofnie. Uprawiała jogging i prawie każdego wieczoru ćwiczyła z Ethanem, korzystając z darmowego wstępu na siłownię.

Telefon znowu pisnął, sygnalizując połączenie, i aż zazgrzytała zębami, żałując, że powiedziała Ethanowi o swoim okresie. Nigdy nie miesiączkowała regularnie, ale też nigdy jeszcze nie miała aż takiego opóźnienia. Może faktycznie wynikało to ze stresu oraz intensywnych przygotowań do powrotu do służby. Przez ostatnie sześć tygodni trenowała tak, jakby szykowała się do startu w maratonie. Ethan mógł mieć rację. Znajdowała się ostatnio pod bardzo silną presją. Zresztą, nie tylko ostatnio, pod presją była już od dwóch lat.

Docisnęła palcami kąciaki oczu. Nie mogła teraz zawracać sobie głowy takimi rozważaniami. W ubiegłym roku dość znana psychoterapeutka powiedziała jej, że czasami odmowa bardzo dobrze robi. Więc dzisiejszy dzień zdecydowanie nadawał się na to, żeby pójść w ślady Scarlett O'Hary. Posępne rozmyślenia należało odłożyć do jutra. Do diabła, może nawet do przyszłego tygodnia.

Przerwała monolog Hanka, który jak zwykle pomijał milczeniem pewne istotne szczegóły, jak choćby to, że gdy opieka społeczna oddała mu bliźniaczki pod opiekę, był alkoholikiem i notorycznie zbierał mandaty za niedozwoloną prędkość, co faktycznie można było jeszcze uznać za szczęśliwszą część tej historii. Zapytała:

- Jak przeszedł weekend?

- Lepiej, niż się zapowiadało - odrzekł z entuzjazmem w głosie.

Ostatnio przekształcił The Hut, swoją rozsypującą się knajpę na przedmieściach zapadłej dziury, w której musiały się wychowywać, w weekendowy bar karaoke. Biorąc pod uwagę przekrój stałej klienteli owego przybytku, było to co najmniej ryzykowne posunięcie, jednakże sukces Hanka zdawał się potwierdzać od dawna wyznawaną przez Lenę teorię, że nawet żalosny pijaczyna może do czegoś dojść, jeśli tylko nie będzie mu się świeciło reflektorem po oczach.

- Kochanie - odezwał się po chwili poważniejszym tonem. - Wiem, że dzisiaj jest twój wielki dzień, i w ogóle...

- Bez przesady - odpowiedziała. - Zwykła rzecz.

- Przede mną nie musisz niczego ukrywać - rzucił ostro. Czasami potrafił reagować tak gwałtownie, że mimo upływu lat nadal ją zaskakiwał. - W każdym razie chciałem powiedzieć, że gdybyś czegoś potrzebowała...

- Wszystko w porządku - przerwała mu ponownie, chcąc jak najszybciej zmienić temat.

- Pozwól mi skończyć, do diabła! - warknął. - Otóż chciałem powiedzieć, że gdybyś czegoś potrzebowała, zawsze możesz na mnie liczyć. Nie chodzi mi tylko o pieniądze, choć i pod tym względem możesz być pewna, że zawsze ci pomogę.

- Naprawdę niczego mi nie trzeba - odparła z naciskiem, rozmyślając, że prędzej wygasną ognie piekielne, nim ona zwróci się do Hanka z jakąkolwiek prośbą.

Telefon znowu pisała, lecz zignorowała sygnał. Weszła do kuchni i już w progu miała zawrócić, gdy Nan złapała ją za ramię.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! - zawołała i klasnęła w ręce z radości.

Z kieszeni fartuszka wyjęła pudełko zapalek i zapaliła samotną małą świeczkę wetkniętą w grubo polukrowaną żółtą babeczkę. Druga taka sama babeczka, również z wetkniętą świeczką, stała na blacie kuchennym, lecz tamtą Nan zostawiła niezapaloną. Zaczęła śpiewać:

- Happy birthday to you...

Lena pospiesznie rzuciła do słuchawki:

- Muszę kończyć.

- Jeszcze raz wszystkiego najlepszego! - powtórzył, jakby chciał się dołączyć do chóru.

Przerwała połączenie. Natychmiast rozległ się sygnał wywołania, ale szybko włączyła aparat i go wyłączyła, zanim Nan skończyła śpiewać.

- Dzięki.

Zdmuchnęła świeczkę, mając nadzieję, że gospodyni nie każe jej od razu zjeść tej babeczki. W żołądku czuła nieznośny ciężar, jakby połknęła wielki kamień.

- Pomyślałaś jakieś życzenie?

- Oczywiście - odparła, myśląc, że za żadne skarby nie zdradzi, jakie to życzenie.

- Domyślam się, że jesteś za bardzo zdenerwowana, by ją teraz zjeść - powiedziała Nan, odchylając marszczony pergamin przyklejony po bokach babeczki.

Uśmiechnęła się i odgryzła spory kęs. Czasami odznaczała się tak niezwykłą intuicją, że Lena czuła się przy niej nieswojo, jakby były starym, dobrym, znającym się na wylot małżeństwem. - Mogę coś dla ciebie zrobić?

- Nie, dzięki.

Nalała sobie kawy do kubeczka. Ekspres do kawy był jednym z niewielu nowych sprzętów, jakie Lena zostawiła do wspólnego użytkowania. Większość czasu i tak spędzała zamknięta w swoim pokoju, czytając książki czy oglądając telewizję na małym turystycznym czarno-białym odbiorniku, który dostała w prezencie od banku, gdy otworzyła nowe konto oszczędnościowe.

Przeprowadziła się do Nan wyłącznie z potrzeby chwili i niezależnie od tego, jak bardzo gospodyni starała się uprzyjemnić jej pobyt, wciąż czuła się obco w jej domu. Co prawda, Nan była wręcz idealną współlokatorką, jeśli tylko umie się tolerować ten rodzaj perfekcji, ale Lena osiągnęła ten etap, kiedy bardzo chciała mieć własny dom wypełniony własnymi sprzętami. Pragnęła mieć lustro, w którym swobodnie będzie się mogła przeglądać co rano bez konfrontacji z natłokiem wspomnień z ostatnich dwóch lat. Pragnęła wykreślić Ethana ze swego życia. Pragnęła uwolnić się od kamieni zalegających jej w żołądku. I chyba po raz pierwszy w życiu bardzo chciała mieć miesiączkę.

Telefon zadzwonił po raz kolejny. Pospiesznie wcisnęła dwa razy klawisz odbioru, przerywając połączenie.

Nan odgryzła następny kęs babeczki, uważnie zerkając na Lenę znad warstwy lukrowej polewy. Powoli przeżuła ciasto i przełknęła.

- Tak mi szkoda, że teraz nie możesz się ruszyć na krok bez makijażu. Masz piękną cerę.

Telefon znowu zadzwonił i bez namysłu powtórzyła tę samą czynność.

- Dzięki.

- Wiesz co? - zagadnęła Nan, przysiadając na brzegu kuchennego stołu. - Nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby Ethan czasami został tu z tobą na noc. - Szerokim gestem omiotła całą kuchnię. - Przecież to także twój dom.

Lena próbowała odpowiedzieć równie miłym uśmiechem.

- Masz resztki lukru na górnej wardze.

Nan Thomas z gracją otarła usta serwetką. Nigdy nie oblizywała warg ani nie ocierała ich wierzchem dłoni. Zresztą była jedyną znaną Lenie osobą, która dbała o to, żeby w stojaku na stole zawsze były serwetki. Choć Lena sama zaliczała się do

wielbicielkę porządku i pilnowała, by wśród jej rzeczy panował ład, niemniej wielokrotnie czuła się zażenowana pedanterią gospodyni, która niemal wszystko musiała trzymać w pojemnikach z dopasowanymi pokrywkami, najlepiej ozdobionymi wizerunkiem pluszowego misia albo z obszyciem z tkaniny z frędzelkami.

Nan dojadła babeczkę i tą samą serwetką zgarnęła okruchy ze stołu. W milczeniu zapatrzyła się na Lenę, gdy P^o raz kolejny zadzwonił telefon.

- A więc nadszedł ten twój wielki dzień - powiedziała. - Pierwszy dzień służby po urlopie.

Lena błyskawicznie rozłączyła połączenie.

- Owszem.

- Myślisz, że urzędują ci przyjęcie powitalne?

Lena prychnęła pogardliwie. Frank i Matt dali jasno do zrozumienia, że nie zaliczają jej już do obsady komisariatu. W licznych chwilach zwątpienia była nawet gotowa podzielić ich zdanie, ale dzisiejszego ranka, kiedy tylko zapięła na biodrach pas z kaburą i wetknęła kajdanki na miejsce, poczuła się tak, jakby wreszcie znów podejmowała normalny tryb życia.

Zadzwonił telefon i rozłączyła go po raz kolejny. Zerknęła na Nan, żeby sprawdzić jej reakcję, ale gospodyni była bez reszty pochłonięta składaniem pergaminowej foremki po babeczce w idealnie równy maleńki kwadracik, jak gdyby nic szczególnego się nie wydarzyło. Gdyby to Nan Thomas zdecydowała się wstąpić na służbę w policji, przestępcy ustawialiby się w kolejce, żeby wyznać przed nią swoje winy. A gdyby postanowiła wkroczyć na drogę zbrodni, z pewnością nigdy nie zostałaby schwytana.

- W każdym razie - podjęła Nan - wcale nie musisz się wyprowadzać. Ani trochę mi nie przeszkadza, że mieszkasz u mnie.

Lena utkwiała spojrzenie w drugiej babeczce stojącej na blacie kuchennym. Nan jak zwykle kupiła dwa ciastka, jedno dla siebie, a drugie dla Sibyl.

- W ciastkami była promocja, dawali dwie babeczki w cenę jednej - pospieszyła Nan z wyjaśnieniami, jakby czytała w jej myślach. Zaraz jednak sprostowała: - Nie, kłamie. Sibyl uwielbiała babeczki. To był jedyny rodzaj słodczy, jakim nie gardziła. Kupiłam je po normalnej cenie.

- Tak myślałam.

- Przepraszam.

- Nie masz za co przeproszać.

- No tak... - Nan zsunęła się ze stołu i podeszła do kosza na śmieci, ozdobionego zielonymi i żółtymi króliczkami, podobnie jak jej fartuszek. - Ale poszłam do cukierni specjalnie, żeby kupić coś dla ciebie. Chciałam uczcić twoje urodziny. Tyle że od śmierci Sibyl...

- Dziękuję, Nan. Jestem ci wdzięczna. Naprawdę to doceniam.

- Bardzo się cieszę.

- To dobrze - bąknęła Lena. Nan, chociaż na swój sposób była pedantyczna, to jednak nigdy nie zmywała szklanek i kubeczków. Z daleka widać było na nich tłuste odciski palców. Ale pod wpływem świdrującego spojrzenia oczu, które przez grube szkła okularów wydawały się wielkie jak u sowy, Lena ugryzła się w język i przełknęła kąśliwą uwagę.

- Bardzo mi ciężko bez niej - powiedziała Nan. - Chyba sama to wiesz. Rozumiesz, co teraz czuję.

Pokiwiała głową, czując nieprzyjemne ściskanie w gardle, na które nie pomógł nawet tak duży haust kawy, że omal się nie zachłysnęła.

- I rozumiesz też, dlaczego się cieszę, że zamieszkałaś ze mną.

- Bardzo cenię to, że pozwoliłaś mi zostać u siebie tak długo.

- Mówiąc szczerze, Lee, możesz tu zostać na zawsze. Ani trochę mi to nie przeszkadza.

- Jasne.

Lena zmusiła się, żeby pociągnąć jeszcze jeden łyk kawy. A co byś powiedziała na dziecko? - przemknęło jej przez myśl. O mało nie jęknęła. Nan pewnie bardzo pokochałaby dzieciaka, robiłaby mu na drutach miękkie wełniane buciki i szykowała jakieś idiotyczne przebrania na Halloween. Może nawet zrezygnowałaby z pracy na pełnym etacie w bibliotece, żeby pomagać jej przy dziecku. Wtedy już bez wątplenia przypominałyby stare dobre małżeństwo, będące ze sobą tak długo, aż powypadają im wszystkie zęby i obie będą potrzebować balkoników do chodzenia.

Jakby na przypomnienie roli Ethana w tej wizji, znów zadzwonił telefon. Jak poprzednio, rozłączyła go bez namysłu.

- Sibyl też by się cieszyła, że mieszkasz z nami - ciągnęła gospodyni. - Zawsze myślała o tym, jak cię ochronić.

Lena odchrząknęła nerwowo, czując, że zaczyna się intensywnie pocić.

Czyżby Nan czegoś się domyślała?

- Chronić cię przed rzeczami, co do których tylko ci się zdaje, że sama sobie z nimi poradzisz.

Tym razem na sygnał telefonu zareagowała odruchowo, nawet nie patrząc na klawiaturę.

- Dlatego bardzo się cieszę, że mam przy sobie kogoś, kto dobrze znał Sibyl - ciągnęła Nan. - Kogoś, kto ją kochał i... - urwała, słysząc kolejny dzwonek telefonu, zanim Lena wyłączyła aparat -...troszczył się o nią. Kogoś, kto świetnie wie, jak trudno bez niej żyć. - Ponownie umilkła, ale tym razem nie z powodu sygnału telefonu. - Teraz nawet nie wyglądasz już tak, jak ona.

Lena spuściła wzrok na swoje dłonie.

- Wiem.

- Jej też by się to nie spodobało, Lee. Na pewno byłaby zła jak nie wiem co.

Obu równocześnie łzy napłynęły do oczu, choć zapewne z odmiennych powodów. Kiedy znowu zadzwonił telefon, Lena odebrała tylko po to, żeby przerwać kłopotliwe milczenie.

- Lena? - warknął Frank Wallace. - Gdzie ty się podziewasz, do cholery?!

Szybko spojrzała na zegar nad kuchnią. Rozpocząła służbę dopiero za pół godziny.

Frank nie czekał na jej odpowiedź.

- Doszło do napadu na komisariat, bandyci wzięli zakładników. Przyjeżdżaj tu jak najprędzej.

Głośny trzask na linii obwieścił koniec połączenia.

- Co się stało? - zapytała Nan.

- Napad. Bandyci wzięli zakładników - powiedziała powoli, odkładając telefon na stół. Ledwie się powstrzymała, żeby nie przycisnąć ręki do piersi, bo serce tłuło się jak oszalałe, aż czuła pulsowanie na karku. - Ktoś napadł na komisariat.

- Mój Boże... - jęknęła gospodyni. - To nie do wiary, i Czy ktoś ucierpiał?

- Tego nie wiem. - Jednym haustem dopiła kawę, chociaż nie musiała już podnosić poziomu adrenaliny we krwi. Zaczęła się nerwowo rozglądać za swoimi kluczykami.

- Pamiętasz, jak coś podobnego wydarzyło się w Ludowici?

- Słabo - odparła, coraz bardziej zdenerwowana. Sześć lat wcześniej w sąsiednim okręgu aresztanci zdołali złapać patrolującego policjanta. Zastrzelili go z

jego własnego pistoletu, zabrali klucze i uwolnili się. Oblężenie trwało trzy dni, zginęło lub zostało rannych aż piętnastu więźniów. Jak również czterech policjantów. Stąd też zaczęła szybko przypominać sobie tutejszych funkcjonariuszy, zachodząc w głowę, czy któryś mógł odnieść rany w czasie napadu.

Odruchowo sprawdziła wszystkie kieszenie, mimo że była pewna, iż nie widziała od rana kluczy.

Znowu zadzwonił telefon.

- Gdzie moje... - zaczęła.

Nan bez słowa wskazała haczyk przy drzwiach w kształcie kaczego dzióbka. Kiedy rozległ się drugi sygnał, nieproszona podniosła aparat ze stołu i nie włączając go, zapytała:

- Co mam mu powiedzieć?

Lena zerwała kluczyki z haczyka i nie oglądając się, ruszyła do wyjścia, burknąwszy przez ramię:

- Że już wyszłam do pracy.

Kiedy dotarła swoją toyotą celicą do Main Street, zaskoczyło ją, że miasto wygląda jak wymarłe. Co prawda Heartsdale nie należało do tętniących życiem metropolii, niemniej nawet w poniedziałkowe ranki sporo osób kręciło się tu przed sklepami, a studenci przejeżdżali na rowerach. Skręciwszy na skrzyżowaniu, zaczęła się uważnie rozglądać w poszukiwaniu oznak życia. Nie świecił się neon z napisem OTWARTE w witrynie sklepu ze sprzętem gospodarstwa domowego, a na drzwiach sklepu odzieżowego wisiała kartka z odręcznym napisem ZAMKNIĘTE. Kilka metrów dalej przejazd blokowały dwa radiowozy z drogówki ustawione w poprzek ulicy, toteż wprowadziła wóz na wolne miejsce w zatoczce przed restauracją. Wysiadła, nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że znalazła się w widmowym mieście. Dokoła panowała martwa cisza, powietrze wisiało nieruchomo jakby w oczekiwaniu na coś strasznego. Przechodząc przed witryną restauracji, kątem oka pochwyciła swoje odbicie w szybie. W środku krzesła ustawiono nogami do góry na stolikach, menu wypadło z plastikowej ramki przymocowanej na przyssawkach i leżało na parapecie. Nie było w tym nic niezwykłego, restaurację zamknięto już ponad rok temu.

W głębi ulicy dostrzegła dwa dalsze wozy patrolowe stojące przed pralnią Burgessa, czyli dokładnie na wprost komisariatu. Inne radiowozy stały na parkingu przed Przychodnią dla dzieci, natomiast trzy zaparkowano zderzak w zderzak przy

krawężniku, blokując dostęp do posterunku. Wjazdu na teren college'u bronił wielki van z emblematem służb ochrony uczelni, ale ochroniarza, który powinien czuwać przy bramie, nie było nigdzie w zasięgu wzroku.

Przystanąwszy na chodniku, Lena popatrzyła wzdłuż Main Street, jakby spodziewała się ujrzeć toczone wiatrem kule suchych pędów szarłatu. Szyby w oknach pralni były mocno przyciemnione, nawet z niewielkiej odległości nie dało się przez nie zajrzeć do środka. Mimo to domyślała się, że właśnie tam Jeffrey zorganizował prowizoryczne centrum dowodzenia. Na tyłach aresztu ciągnął się tylko rozległy parking, zresztą, prawdopodobnie do tego czasu więźniowie zdążyli już zabarykadować drzwi od środka. Zatem pralnia na wprost komisariatu stanowiła jedyne sensowne miejsce, z którego można było kierować akcją.

- Cześć - odezwała się do pierwszego policjanta czuwającego przy wozach patrolowych, który stał do niej tyłem, zapatrzony w głąb ulicy.

Odwrócił się gwałtownie, kładąc dłoń na kaburze z bronią. Nieznośne napięcie biło od niego niczym dokuczliwy smród.

Pospiesznie wyciągnęła przed siebie obie ręce.

- Spokojnie. Jestem na służbie.

- Detektyw Adams? - zapytał policjant roztrzęsionym głosem.

Nie знаła go, zresztą nawet gdyby było inaczej, i tali nie zdołałaby go w żaden sposób uspokoić. Twarz miał tak pobladłą, że aż popielatą, i gdyby nawet udało mu się wydobyć broń z kabury, prędzej postrzeliby się w stopę, nim zdążył do kogoś wymierzyć.

- Co się dzieje? - zapytała.

Sięgnął do przełącznika mikrofonu krótkofalówki przymocowanego na ramieniu.

- Jest tu detektyw Adams.

Odpowiedź Franka nadeszła niemal natychmiast.

- Skieruj ją do tylnego wejścia.

- Proszę iść przez sklep z drobiazgami - powiedział gliniarz. - Drzwi prowadzące na zaplecze pralni są otwarte.

- Co się dzieje?

W milczeniu pokręcił głową. Grdyka zadrgała mu pod skórą na szyi, gdy nerwowo przełknął ślinę.

Lena skierowała się zgodnie ze wskazówkami do drzwi sklepu. Dzwonek

zamocowany nad nimi w przerażającej ciszy zadźwięczał tak głośno, że omal nie zazgrzytała zębami ze strachu. Pospieszenie sięgnęła w górę, uciszyła go palcami i ruszyła w głąb sklepu. Pośrodku głównego przejścia między regałami stał do połowy wypełniony koszyk, jakby któryś klient zostawił go tam w pośpiechu. Ktoś z personelu zapewne mocował jaskrawozielony szyld reklamujący nową markę kremu do opalania i nie skończył, gdyż tablica wisiała ukośnie, zaczepiona tylko z jednej strony na cienkim drucie. Świeciły się wszystkie światła, w głębi sklepu jaśniał neon wskazujący drogę do regału z podręcznymi lekami, ale nie było żywej duszy, nawet tej żolży ze skołtunionymi włosami ufarbowanymi na słomkowo, która wiecznie przesiadywała w kantorku na tyłach sklepu.

Drzwi na zaplecze otworzyły się z cichym szelestem, kiedy pchnęła je energicznie. Plastikowe pojemniki, poustawiane pod ścianami jeden na drugim aż do sufitu, starannie opisano: pasta do zębów, chusteczki higieniczne, czasopisma. Aż dziw, że żaden obibok z pobliskiego college'u jeszcze nie odkrył, iż drzwi niestrzeżonego magazynu są otwarte na oścież. Przez kilka miesięcy pracowała w ochronie wydziału politechnicznego i dobrze wiedziała z doświadczenia, że te łobuziaki znacznie więcej czasu niż na naukę poświęcają na obmyślanie sposobów okradania się nawzajem.

Kiedy wyszła przez drzwi dostawcze na podwórze, oślepiło ją jaskrawe słońce. Czuła kropelki potu ściekające po karku, nie wiedziała tylko, czy poci się bardziej z gorąca, czy ze zdenerwowania. Żwir zazgrzytał pod stopami, gdy energicznym krokiem skierowała się do tylnego wejścia pralni, przed którym stało na straży dwoje funkcjonariuszy z patrolu miejskiego, w tym niska, ale raczej atrakcyjna kobieta, która z pewnością przeszłaby do sekcji śledczej, gdyby Lena nie zdecydowała się wrócić do służby. Towarzyszył jej zupełny żółtodziób, sprawiający wrażenie jeszcze bardziej przerażonego niż gliniarz z drogówki, który czuwał na ulicy.

Wyjęła portfel z odznaką i przedstawiła się, chociaż była pewna, że kobieta musi ją znać.

- Detektyw Adams.

- Hemming - rzuciła tamta krótko, groźnie opierając dłoń na kolbie pistoletu, i obrzuciła ją wyzywającym spojrzeniem, jakby nawet niezwykle okoliczności nie powstrzymały jej przed demonstracyjnym okazaniem pogardy. Nie zadała sobie trudu, żeby przedstawić swego partnera.

- Co się dzieje? - zapytała Lena. Hemming wskazała kciukiem zaplecze pralni.

- Są tam.

Chłodne powietrze wewnątrz budynku bardzo szybko osuszyło Lenie kark. Przepisnęła się obok stojaków zawieszonych czystymi ubraniami do odbioru. Dominował tu odrażający smród chemikaliów, które tak drapały w gardle, że aż zaniósła się kaszlem, mijając stanowisko do krochmalenia. Wielkie przemysłowe prasownice wciąż były włączone, gdyż bił od nich żar jak z otwartego pieca. Starego Burgessa nie było nigdzie widać, i to, że zostawił swoje gospodarstwo w takim stanie, wydało się Lenie bardzo dziwne. Na własną rękę wyłączyła więc prasownice, spoglądając na gromadkę mężczyzn, stojących pięć metrów dalej. Kiedy rozpoznała typowej stroje agentów GBI, Stanowego Biura Śledczego, czyli beżowe spodnie i granatowe koszule, aż zatrzymała się przy ostatniej prasownicy. Przyjechali wyjątkowo szybko. Nick Shelton, agent GBI na okręg Grant, stał wrócony do niej tyłem, lecz od razu rozpoznała go po kowbojskich butach i obciętych jak przy linijce włosach z tyłu głowy.

Rozejrzała się po sali, wypatrując znajomych twarzy. Pat Morris, śledczy, który dopiero niedawno awansował z sekcji patrolowej, siedział na wielkiej sklepowej lodówce i przyciskał do ucha worek z lodem. Płomienście rude włosy miał pozlepiane potem i całą twarz zabryzganą drobnymi kropelkami krwi, które Molly, pielęgniarka z dziecięcej przychodni, zmywała wacikiem. Nie licząc jeszcze jednego umundurowanego gliniarza z patrolu miejskiego, pochylającego się nad składanym stolikiem turystycznym, Frank był w tym gronie jedynym znanym jej miejscowym policjantem.

- Lena! - zawołał, przywołując ją energicznymi ruchami ręki.

I on miał koszulę na piersi pokrytą smugami rozmazanej krwi, wyglądało jednak na to, że nie odniósł żadnych obrażeń. Za to wyglądał okropnie, aż trudno było uwierzyć, że nie tylko trzyma się jeszcze na nogach, ale w dodatku próbuje ustalić plan działania z Nickiem.

Obaj pochylali się nad stolikiem, na którym leżał duży, schematyczny plan komisariatu. Czerwone i czarne krzyżyki tworzyły dwa skupiska, jedno w kącie sali ogólnej przy ekspresie do kawy, a drugie w tylnej części, przy drzwiach prowadzących do nowego skrzydła. Przy każdym krzyżyku zostały zapisane inicjały. Szybko domyśliła się, że mniejsze i większe prostokąty pokrywające środkową część rysunku symbolizują biurka i szafki na akta. Jeśli można było wierzyć temu

schematowi, sala ogólna posterunku musiała wyglądać jak po przejściu huraganu.

- Jezu... - syknęła, zachodząc w głowę, jakim cudem aresztantom udało się opanować cały komisariat.

Nick zrobił jej miejsce przy stole i dorysował jeszcze jeden prostokąt w miejscu, gdzie stała szafka na dokumenty pod oknem gabinetu Jeffreya.

- Właśnie mieliśmy zaczynać - rzekł. Postukał palcem w plan i zwrócił się do Pata: - I jak? Teraz lepiej, kolego?

Morris przytaknął ruchem głowy.

- W porządku. - Shelton rzucił marker na stół i dał znak Frankowi, żeby zaczynał.

- Zabójca i jego kumpel czekali na nas tutaj. - Wallace wskazał dwa punkty w lobby przy drzwiach frontowych. - Około dziewiątej na posterunek wszedł Matt. Z najbliższej odległości dostał dwie kule prosto w twarz.

Lena aż oparła się dłońmi o kant stołu, żeby pohamować drżenie rąk. Odruchowo spojrzała przez okno na budynek komisariatu po drugiej stronie ulicy. Drzwi frontowe były uchylone na parę centymetrów, coś je blokowało, ale z tej odległości nie mogła dostrzec żadnych szczegółów.

Frank wskazał na ostatnie biurko usytuowane najbliżej żelaznych drzwi przeciwpożarowych.

- Sara Linton znajdowała się tutaj.

- Sara? - Lena ledwie mogła wydobyć głos przez zaciśnięte gardło. Jak to się mogło stać? Komu zależało na śmierci Matta Hogana? Dotąd zakładała, że doszło do buntu więźniów. Nawet do głowy jej nie przyszło, że na posterunek mógł wtargnąć ktoś z ulicy, kto z zimną krwią zaczął strzelać do ludzi.

- Udało nam się wyciągnąć stamtąd dwójkę dzieci - mówił dalej Wallace. Wskazał skupisko czerwonych krzyżyków przy tylnych drzwiach sali ogólnej i wyjaśnił: - Burrows, Robinson i Morgan zostali tu zabici już na samym początku. - Ruchem głowy wskazał Pata. - Morris zdołał wybić okno w gabinecie Jeffreya i wyciągnąć przez nie troje dzieci. Keith Anderson wypadł na korytarz, gdy uchyliłem drzwi od zewnątrz. Dostał postrzał w plecy. Jest już na sali operacyjnej.

Odzyskawszy zdolność mowy, Lena zapytała:

- Skąd tam się wzięły dzieci?

- Brad oprowadzał właśnie szkolną wycieczkę - odparł Nick.

Z trudem przełknęła ślinę, odczuwając niezwykłą suchość w gardle.

- Ile ich tam zostało?

- Troje - odezwał się znowu Shelton, wskazując trzy małe czarne krzyżyki skupione wokół czwartego większego. - To Brad Stephens. - Przesunął palec w drugi koniec planu. - Sara Linton, Marla Simms, Barry Fordham.

Zatrzymał się na krzyżyku symbolizującym Fordhama, przy którym był narysowany znak zapytania. Z pamięci Leny natychmiast wypłynęła twarz Barry'ego, doświadczonego funkcjonariusza pracującego w tutejszej policji już od ośmiu lat. Miał żonę i dziecko.

- Barry został ranny, nie wiemy tylko, jak poważnie - ciągnął Nick. - Jakieś piętnaście minut temu padł kolejny pojedynczy strzał, prawdopodobnie ze szturmowego pistoletu maszynowego. Nic jeszcze nie wiemy o dwóch innych policjantach, ale naszym zdaniem nie ma ich wśród zakładników. - Urwał na chwilę, po czym dodał: - Wszyscy pozostali żyją.

Frank zakasłał w chusteczkę, w gardle mu zacharczało, jakby miał gruźlicę. Otarł usta i podjął:

- Dwa wozy policyjne zjawiły się przed posterunkiem już na samym początku strzelaniny. - Wskazał je na planie.

Lena znowu wyjrzała przez okno. Trzecim, który stał przed nimi przy krawężniku, był wóz Brada parkującego zazwyczaj w tym miejscu. Z ulicy ich nie zauważyła, ale stąd świetnie było widać czterech gliniarzy przyczajonych za osłoną samochodów i mierzących z pistoletów We frontowe drzwi komisariatu.

- Na odgłos strzałów Burgess wybiegł ze strzelbą na ulicę - relacjonował Wallace. Wiekowy właściciel pralni zazwyczaj ruszał się jak mucha w smole i nigdy nie mógł odnaleźć właściwych ubrań przy odbiorze. Wręcz trudno było go sobie wyobrazić ze strzelbą w rękach. - Jego wnuczka też znajdowała się na posterunku. To właśnie ją jako pierwszą Sara wyniosła z sali. - Urwał i skrzywił się jakby pod wpływem bolesnych wspomnień. - Burgess próbował strzelać przez drzwi do bandytów, ale...

- Są kuloodporne - wtrąciła Lena.

- Wytrzymały - przyznał Frank. - Jednakże rykoszet zranił w nogę Steve'a Manna stojącego przed sklepem gospodarstwa domowego. Po tym już wszyscy wycofali się przed posterunku.

- Interwencja Burgessa i pojawienie się wozów patrolowych sprawiły, że bandyci znaleźli się w potrzasku - odezwał się Nick. Wskazał na planie stanowisko

recepcyjne w lobby, gdzie zawsze urzędowała Marla. - Jak udało nam się ustalić, jeden zabójca czuwa teraz za kontuarem z bronią wymierzoną w drzwi frontowe, natomiast drugi zapewne trzyma na muszce zakładników.

Lena po raz kolejny wyjrzała na ulicę. Szyby drzwi frontowych komisariatu też były przyciemnione, ale nie tak bardzo, jak w oknach pralni. Widniały na nich białe ślady po kulach i rozchodzące się promieniście linie pęknięć w szkłe. Domyśliła się, że ciemne smugi od środka to ślady krwi Matta. Na podłodze przy drzwiach leżał jakiś duży ciemny niewyraźny kształt, zapewne ciało zabitego. I to ono blokowało drzwi.

Odwróciła się i zapytała:

- Zidentyfikowaliście już samochód bandytów?

- Jeszcze trwają poszukiwania - odparł Nick. - Zdaje się, że zaparkowali na terenie kampusu i przyszli na posterunek pieszo.

- Co by oznaczało, że byli tu wcześniej - podsumowała Lena, po czym zwróciła się do Pata i Franka: - Nie rozpoznaliście żadnego z nich?

Obaj przecząco pokręcili głowami.

Ponownie utkwiła spojrzenie w schematycznym planie i syknęła:

- Jezu...

- Pierwszy zabójca jest prawdopodobnie uzbrojony w trzy rodzaje broni. Do Matta strzelił z ciężkiego obrzynka, chyba marki Wingmaster. - Nick urwał na chwilę. - Drugi ma szturmowy pistolet maszynowy.

- Zatem może przebić szyby kuloodporne, jeśli dysponuje odpowiednimi nabojami - wtrąciła Lena, nie mogąc się uwolnić od myśli, że bandyci musieli przeprowadzić dość szczegółowy rekonesans na komisariacie.

- Zgadza się - potwierdził Shelton. - Ale tego nie wiemy, bo do tej pory jeszcze nie strzelał w kierunku ulicy. Wciąż próbujemy nawiązać kontakt, lecz na posterunku nikt nie podnosi słuchawki. - Wskazał jednego ze swoich podwładnych, stojącego nieco dalej z przenośnym aparatem przy uchu. - Tymczasem zażądaliśmy przylotu ekipy negocjacyjnej z centrali w Atlancie. Powinna tu dotrzeć helikopterem za niecałą godzinę.

Lena znów wyjrzała na ulicę, próbując sobie wyobrazić, jak to wszystko się zaczęło. Heartsdale uchodziło za spokojne, senne miasteczko. Ludzie osiedlali się właśnie z chęci ucieczki przed brutalnością i przemocą rządzącymi w metropoliach. Już na samym początku służby dowiedziała się od Jeffreya, że i on przeniósł się z

Birmingham dlatego, że nie był dłużej w stanie wytrzymać potworności życia w wielkim mieście. I oto teraz potworności odnalazły go aż tutaj.

Nagle przeszył ją dreszcz, jakby zajrzała w głąb otwartego grobu. W środkowej części sali ogólnej na planie był narysowany pojedynczy czerwony krzyżyk z dopisanymi bok inicjałami. Łzy napłynęły jej do oczu, gdy na nie spojrzała. Kiedy podniosła wzrok, wszyscy wokół stolika wpatrywali się w nią z uwagą. Pokręciła głową i uśmiechnęła się krzywo, jakby usłyszała kiepski dowcip.

- Nie - mruknęła, wciąż mając przed oczami te czerwone inicjały, choć tylko przelotnie spojrzała na plan. - To niemożliwe.

Frank odwrócił się tyłem i znów zaczął kasłać w chusteczkę.

Chwyciła leżący na stole marker.

- Musieliście się pomylić - rzuciła, szarpnięciem zrywając z niego nasadkę. - Ten krzyżyk powinien być czarny.

Pochyliła się, żeby przemalować znaczek, ale ręce za bardzo jej się trzęsły.

Nick powoli wyjął jej marker z dłoni.

- On nie żyje, Leno - rzekł cicho, kładąc jej rękę na ramieniu. - Jeffrey zginął.

ROZDZIAŁ TRZECI

1991 Niedziela

Tessa upadła na wznak na tapczan i zamachała nogami w powietrzu.

- Aż nie chce mi się wierzyć, że jedziesz na Florydę beze mnie.

- No cóż - mruknęła od niechcienia Sara, składając bawełnianą koszulkę.

- Kiedy ostatni raz byłaś na wakacjach?

- Nie pamiętam.

Skłamała jednak. Tego lata, kiedy dostała maturę, Eddie Lin ton wyciągnął żonę i obie niechętnie jego pomysłowi córki na rodzinne wczasy w Sea World. Od tamtej pory każde lato spędzała albo na nauce, albo pracując w szpitalu, żeby zarobić na chesne i jak najszybciej skończyć studia. Jeśli nie liczyć okazyjnych długich weekendów spędzanych w domu rodzinnym, nie miała prawdziwych wakacji od tak dawna, że wydawało jej się to wiecznością.

- Ale teraz będziesz miała prawdziwe wakacje - powtórzyła z naciskiem Tessa. - Do tego z facetem.

- No cóż. - Sara sięgnęła po szorty.

- Słyszałam, że jest dobry w łóżku.

- Kto ci tak powiedział?

- Jill-June z Shop-o-ramy.

- Ona jeszcze tam pracuje?

- Jest teraz kierowniczką. - Tessa zachichotała. - Ufarbowała sobie włosy na paskudny słomiany kolor.

- Specjalnie?

- Można by to uznać za pomyłkę, gdyby nie fakt, że zyskała dostęp do darmowych próbek rozmaitych kosmetyków.

Sara rzuciła w siostrę parą cienkich letnich spodni.

- Lepiej pomóż mi je złożyć.

- Pomogę ci, jeśli mi opowiesz o Jeffreyu.

- A co ci dokładnie powiedziała Jill-June?

- Że nieźła z niego trzepaczka.

Uśmiechem skwitowała to niecodzienne określenie.

- Podobno umawiał się już z każdą babką w mieście, która jest tego warta. -

Tessa przerwała składanie spodni i mruknęła: - Aż ciśnie się na usta oczywiste porównanie, które pozwolę sobie przemilczeć dlatego, że jesteś moją siostrą.

- Miło z twojej strony.

Sara wrzuciła samotną skarpetkę do kosza na brudną bieliznę, usiłując sobie przypomnieć, czy w ostatnim praniu nie znalazła jakiejś nie do pary. Zależało jej na tym, żeby zmienić temat, toteż zapytała:

- Jak to jest, że człowiek nigdy nie może zgubić tych skarpetek, które chciałby zgubić?

- Naprawdę jest taki dobry w łóżku?

- Tess!

- Chcesz, żebym ci dalej pomagała, czy nie?

Sara nie odpowiedziała, zajęta składaniem koszulki.

- Wszędzie pokazujecie się razem już od dwóch miesięcy.

- Od trzech.

- Więc musiałas z nim spać, bo inaczej nie zaprosiłby cię na plażę.

Sara wzruszyła ramionami. Prawda była taka, że kochała się z Jeffreyem już na pierwszej randce. Nie zdążyli nawet wyjść z kuchni. Następnego ranka ogarnął ją taki wstyd, że wybiegła z domu na jogging jeszcze przed wschodem słońca. Gdyby nie sprawa napadu rabunkowego z zabójstwem, nad którą musieli razem pracować trzy dni później, pewnie już nigdy nie odezwałyby się do komendanta Tollivera ani

słowem.

- Był twoim pierwszym facetem od czasu... - zaczęła śmiertelnie poważnym tonem Tess.

Sara przeszła ją ostrym spojrzeniem, dając do zrozumienia, że nie zamierza dłużej rozmawiać na ten temat.

- Lepiej mi powiedz, co dokładnie usłyszałaś od Jill-June.

- Uff... - syknęła siostra, uśmiechając się nieśmiało. - Że jest wspaniale zbudowany.

- Regularnie ćwiczy na siłowni.

- Aha. Wysoki i postawny...

- Prawie dziesięć centymetrów wyższy ode mnie.

- Żebyś widziała swój uśmiech... - Tessa zaśmiała się krótko. - Już dobrze, dobrze. Tylko oszczędź mi wykładu o tym, jak było ci ciężko, gdy już w trzeciej klasie wyrosłaś na metr osiemdziesiąt.

- Metr pięćdziesiąt siedem. - Sara rzuciła w siostrę ściereczką. - Poza tym, to było dopiero w dziewiątej klasie.

Tessa głośno westchnęła i zaczęła składać ściereczkę.

- Podobno ma piękne, rozmarzone niebieskie oczy.

- Zgadza się.

- Jest niezwykle czarujący i ma nienaganne maniery.

- To prawda.

- I nadzwyczajne poczucie humoru.

- To też prawda.

- Zawsze płaci dokładnie odliczonymi pieniędzmi. Sara zaśmiała się w głos i pchnęła w stronę siostry stosik ubrań.

- Mów dalej, składając te rzeczy. Tessa ściągnęła ze sterty parę długich czarnych spodni.

- Powiedziała, że wcześniej grał zawodowo w futbol.

- Naprawdę? - zdziwiła się Sara, bo Jeffrey nigdy jej o tym nie mówił. Bogiem a prawdą, w ogóle bardzo mało mówił o sobie. Jego wyjątkowa niechęć do wspomniania swojej przeszłości należała do cech, które jej się bardzo podobały.

- Mam nadzieję, że jest tego wart - podsumowała Tessa. - Czy tata rozmawiał już z tobą na jego temat?

- Nie - odparła, siląc się na obojętny ton.

Choć jej rodzice nie mieli jeszcze okazji poznać Jeffreya, jak wszyscy w mieście mieli już wyrobioną opinię o nim.

- Powiedz coś więcej - poprosiła Tessa. - Co o nim wiesz, czego nie można się dowiedzieć od Jill-June?

- Nie za dużo - przyznała szczerze.

- Przestań - mruknęła siostra, najwyraźniej sądząc, że chce utrzymać ten związek w tajemnicy. - Powiedz wreszcie, jaki on jest.

- Przede wszystkim za stary dla niej - odezwała się z korytarza Cathy Linton.

Tessa uniosła wzrok do nieba, jeszcze zanim matka weszła do pokoju.

- Można by pomyśleć, że to wcale nie jest mój dom - bąknęła Sara.

- Jak nie chcesz, żeby ludzie tu wchodzili, to nie zostawiaj otwartych drzwi. - Cathy cmoknęła ją w policzek i podała zielone plastikowe pudełko do przechowywania żywności oraz zatłuszczoną szarą torbę papierową. - Przyniosłam ci coś na podróż.

- Ciasteczka! - pisnęła Tessa, sięgając po torbę, ale Sara delikatnie zdzieliła ją po łapie.

- Ojciec upiekł placek kukurydziany, lecz nie dał mi odkroić nawet kawałka - ciągnęła matka, zerkając na nią z ukosa. - Powiedział, że nie po to harował w kuchni, żeby teraz dokarmiać twojego fagasa.

Te słowa zawisły w powietrzu jak czarna chmura gradowa. Nawet Tessa zdołała się powstrzymać od śmiechu, gara zdjęła ze sterty ubrań dzinsy i zaczęła je składać.

- Daj mi je - syknęła Cathy, wrywając jej dzinsy z ręki. - To się robi tak. - Złożyła równo nogawki, wetknęła ich końce pod brodę i kilkoma wprawnymi ruchami, niczym magik na scenie, złożyła dzinsy w idealną kostkę. Obrzuciła podejrzliwym wzrokiem stertę ubrań piętrzącą się na tapczanie i zapytała: - Dopiero dziś to wszystko uprałaś?

- Wcześniej nie miałam...

- Nie pomogą ci żadne wymówki, skoro nadal mieszkasz sama.

- Ale pracuję na dwóch etatach.

- No cóż, ja miałam na głowie dwie córki i hydraulika, a jakoś zawsze ze wszystkim dawałam sobie radę.

Sara zerknęła na siostrę, oczekując jej pomocy, ale Tessa była całkowicie pochłonięta dobieraniem skarpetek do pary i tylko miotła na boki wzrokiem zdolnym

chyba rozszczepiać atomy.

- Najlepiej wkładaj brudne rzeczy od razu do pralki - ciągnęła Cathy - a gdy uzbiera się ich cały bęben, puszczaj pranie, żeby nigdy więcej nie mieć do czynienia z taką stertą ubrań. - Rozpostarła w rękach bawełnianą koszulkę, którą Sara przed chwilą starannie złożyła. Obejrzała ją dokładnie i wykrzywiła usta z dezaprobatą. - Dlaczego nie używasz płynu zmiękczającego do tkanin? Przecież w ubiegłym tygodniu zostawiłam ci na stole w kuchni bon promocyjny.

Zrezygnowana Sara uklękła na podłodze przed stertą książek, próbując wybrać sobie coś do czytania na plaży.

- Z tego, co słyszałam - podjęła ochoczo Tessa - nie będziesz miała zbyt wiele czasu na lekturę.

Sara właśnie na to liczyła, ale nie mogła powiedzieć tego głośno przy matce.

- Mężczyzna jego pokroju... - zaczęła Cathy, ale zająknęła się, po czym dodała łagodniejszym tonem: - Wiem, że nie masz ochoty tego wysłuchiwać, Saro, ale widzę, że zadurzyłaś się po uszy.

Obejrzała się na matkę.

- Dzięki za zaufanie, mamó. Cathy zmarszczyła brwi.

- Nie masz zamiaru włożyć stanika pod tę koszulkę? Przecież wyraźnie widać ci oba...

- Teraz lepiej? - Sara ze złością wyszarpnęła spód koszulki zza paska, wstając z podłogi.

- Poza tym te szorty kiepsko na tobie leżą. Czyżbyś ostatnio schudła?

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Prawie godzinę poświęciła na to, by wybrać na podróż strój dość luźny i swobodny, ale nie sprawiający wrażenia, że dobierała go przez godzinę.

- One muszą być workowate - powiedziała, odciągając szorty na pośladkach. - To taki krój.

- Na miłość boską, Saro. Przeglądałaś się w lustrze od tyłu? Podejrzewam, że nie. - Tessa zachichotała, a Cathy I dodała łagodniejszym tonem: - Kochanie, w oczy rzucają się tylko twoje odstające łopatki i pośladki. „Workowate” rzeczy z pewnością nie są przeznaczone dla kobiet o twojej sylwetce.

Sara wzięła głębszy oddech, poprawiając ubranie przed lustrem.

- Przepraszam - syknęła najuprzejmiej jak potrafiła, po czym weszła do łazienki, z trudem się powstrzymując, by z hukiem nie trzasnąć drzwiami.

Opuściła pokrywę sedesu, usiadła na niej i zakryła dłońmi twarz. Przez drzwi doleciało utyskiwanie matki na elektryzujące się tkaniny i retoryczne pytanie, po co i ma zostawiać córce kupony promocyjne, skoro ona nie zamierza z nich korzystać.

Sara zasłoniła rękoma uszy, przez co gderliwy monolog matki zamienił się w nierozpoznawalny, stłumiony gwar, prawie równie nieznośny, jak tortura polegająca na wbijaniu rozżarzonych igieł w bębenki. Od czasu, gdy zaczęła się spotykać z Jeffreyem, Cathy nieustannie urządzała jej takie moralizatorskie pogadanki. Okazywało się, że niczego nie potrafi zrobić dobrze, poczynając od zachowania się przy stole podczas obiadu, a skończywszy na sposobie parkowania samochodu na podjeździe przed domem. Z jednej strony pragnęła otwartej konfrontacji z matką na temat jej bezmyślnego krytykanctwa, z drugiej zaś, tej bardziej ugodowej, dobrze rozumiała, że jest to jedynie przejaw matczynej troski.

Spojrzała na zegarek, błagając w duchu Jeffreya, żeby przyjechał jak najszybciej i wybawił ją z opresji. Rzadko się spóźniał, co również zaliczała do cech godnych podziwu. Cathy uważała go za chama i prostaka, a przecież zawsze miał w kieszeni czystą chusteczkę, zawsze otwierał drzwi i przepuszczał Sarę przodem. Kiedy w restauracji wstawała od stolika, i on natychmiast podrywał się z krzesła. Zawsze pomagał jej włożyć płaszcz i brał od niej teczkę, gdy szli razem ulicą. Jakby tego było mało, już przy pierwszej sposobności udowodnił, jakim jest wspaniałym kochankiem, tak że omal nie zmiażdżyła sobie zębów trzonowych, z całej siły zaciskając szczęki, żeby nie krzyknąć na cały głos z rozkoszy.

- Saro? - odezwała się Cathy z troską w głosie, pukając do drzwi. - Wszystko w porządku, kochanie?

Spuściła wodę i odkręciła kran nad umywalką, odczekała chwilę, po czym otworzyła drzwi i ujrzała przed sobą dwie pary oczu, matki i siostry, wpatrzone w nią wyczekująco.

Cathy podniosła trzymaną w ręku czerwoną bluzkę.

- Moim zdaniem w tym kolorze jest ci nie najlepiej.

- Dzięki.

Sara wyrwała jej bluzkę z ręki i rzuciła do kosza na brudną bieliznę. Znowu uklękała przed książkami, zastanawiając się, czy wziąć coś z klasyki, żeby zrobić wrażenie na Jeffreyu, czy raczej wybrać coś lżejszego, czym z przyjemnością będzie mogła zabić czas.

- Nie wiem nawet, dlaczego zdecydowałaś się wyjechać z nim nad morze -

ciągnęła matka. - Zawsze spiekasz się już pierwszego dnia na plaży. Masz wystarczający zapas olejku do opalania?

Nawet nie oglądając się, zdjęła z półki i uniosła nad głowę niedawno kupioną buteleczkę blokera przeznaczonego na pobyt w tropikach.

- Poza tym wiesz, jak łatwo wyskakują ci piegi. I masz takie białe nogi. Na twoim miejscu nie włożyłabym szortów, gdybym miała takie nogi.

Tessa znowu zachichotała.

- Jak się nazywała ta bohaterka Gidget, która chodziła po plaży w kapeluszu z ogromnym rondem?

Sara skarciła siostrę ostrym spojrzeniem. Tessa pokazała palcem najpierw papierową torbę z ciasteczkami, a następnie swoje usta, dając jej do zrozumienia, jakim sposobem może sobie kupić jej milczenie.

- Larue - odparła Sara, jeszcze dalej odsuwając torbę.

- Tessie - odezwała się matka. - Bądź tak dobra i rozjij łóż deskę do prasowania. - Przeniosła wzrok na Sarę i zapytała: - A czy ty w ogóle masz żelazko?

Ona jednak śmiało spojrzała matce w oczy.

- Owszem. Jest w spiżarni.

Cathy głośno cmoknęła, a gdy Tessa wyszła z pokoju, zapytała:

- Kiedy robiłaś to pranie?

- Wczoraj.

- Gdybyś od razu wyprasowała...

- Gdybym w ogóle nie nosiła ubrań, nie miałabyś się czym przejmować.

- Powiedziałaś mi dokładnie to samo, gdy miałaś sześć lat.

Sara zbyła tę uwagę milczeniem.

- Gdyby to zależało tylko od ciebie, pewnie chodziłabyś do szkoły nago - mruknęła matka.

Sara sięgnęła po pierwszą z wierzchu książkę i zaczęła ją bezmyślnie kartkować, bo nawet na nią nie zerknęła. Słyszała, jak za jej plecami matka roztrzępuje kolejne sztuki ubrania i składa je po swojemu.

- Gdyby chodziło o Tessę - odezwała się znowu Cathy - ani trochę bym się nie przejmowała. Prawdę powiedziawszy... - zaśmiała się gardłowo, roztrzępując następną koszulkę - ...prędzej bym się wtedy martwiła o Jeffrey'a.

Sara popatrzyła na okładkę kieszonkowego wydania, na której był narysowany zakrwawiony sztylet, i odłożyła książkę, żeby ją zabrać.

- Jeffrey Tolliver należy do mężczyzn mających wielkie doświadczenie. Dużo większe niż ty, moja droga. Więc nie masz się co tak ironicznie uśmiechać, młoda damo. Może dotrze do ciebie wreszcie, że nie mówię tylko o tym, co się dzieje w pościeli.

Sara sięgnęła po następną książkę.

- Naprawdę nie mam ochoty na tę rozmowę, mamo.

- Podejrzewam, że nikt inny poza mną nie odważyłby się powiedzieć ci prawdy prosto w oczy - syknęła Cathy. Przysiadła na brzegu tapczanu, jakby czekała, aż Sara się do niej odwróci. - Mężczyznom pokroju Jeffreya zależy tylko na jednym. - Sara otworzyła już usta, ale matka ciągnęła dalej: - Wszystko jest w porządku, dopóki dostają to, na czym im zależy.

- Mamo!

- Niektóre kobiety są zdolne uprawiać seks bez miłości.

- Świetnie to wiem.

- Mówię zupełnie poważnie, skarbie. Więc lepiej mnie posłuchaj. Otóż ty nie należysz do tego rodzaju kobiet. - Czułym ruchem pogłaskała ją po głowie. - Nie jesteś dziewczyną stworzoną do przelotnych romansów. Nigdy nie miałaś ku temu predyspozycji.

- Skąd o tym wiesz?

- Miałaś jak dotąd tylko dwóch chłopaków. A ile dziewcząt miał Jeffrey? Z iloma kobietami sypiał?

- Pewnie trochę by się ich nzbierało.

- Ty zaś jesteś tylko jedną z pozycji w jego spisie. Właśnie dlatego ojciec tak bardzo się na ciebie wścieka...

- Naprawdę nie sądzicie, że warto byłoby przynajmniej pobieżnie go poznać, nim zaczniecie wyciągać takie daleko idące wnioski? - wycedziła Sara, całkiem zapominając, że Jeffrey lada chwila po nią przyjedzie.

Kiedy to do niej dotarło, pospiesznie zerknęła na budzik. Mniej więcej za dziesięć minut matka miała się osobiście przekonać, że Sara ani trochę się nie myliła. Jeśli nawet taka Jill-June Mallard była w stanie tak szybko go rozszyfrować, to Cathy Linton z pewnością wystarczy jeden rzut oka zaraz po wejściu Jeffrey'a do pokoju.

- Naprawdę nie jesteś dziewczyną stworzoną do przelotnych romansów, kochanie - powtórzyła matka.

- Może teraz już jestem? Może stałam się do tego zdolna podczas pobytu w

Atlancie?

- No cóż... - Cathy zdjęła ze stosu górę od jedwabnej piżamy, żeby ją złożyć, i zmarszczyła brwi. - Przecież to jest za delikatne, żeby prać w pralce. Gdybyś prała tę piżamę ręcznie i suszyła rozciągniętą na wieszaku, nie zniszczyłaby się aż tak bardzo.

Sara uśmiechnęła się z przekąsem.

- Wcale nie jest zniszczona.

Cathy uniosła wysoko brwi i jeszcze raz popatrzyła uważnie na piżamę, po czym zapytała ostrożnie:

- Z iloma mężczyznami byłaś do tej pory? Sara spojrzała na zegarek i szepnęła:

- Proszę...

Ale matka to zignorowała.

- Wiem, że byłaś ze Steve'em Mannem. Dobry Boże, całe miasto się o tym dowiedziało, gdy Mac Anders przyłapał was na tyłach baru.

Sara spuściła głowę i wbiła wzrok w podłogę, mając nadzieję, że w zakłopotaniu nie spiecze od razu raka.

- Potem był Mason James - ciągnęła Cathy.

- Mamo!

- To dwóch.

- Zapomniałaś o tym ostatnim - wypaliła odruchowo Sara, czego natychmiast pożałowała, ujrawszy wydęte wargi i zmarszczone czoło matki.

Cathy zaczęła składać spodnie od piżamy i zapytała półgłosem:

- Czy mówiłaś już Jeffreyowi, że zostałaś zgwałcona?

- Jakoś do tej pory nie było ku temu okazji - odparła równie cicho, starając się zapanować nad drżącym głosem.

- Więc co mu powiesz, gdy zapyta, dlaczego przeniosłaś się z Atlanty?

- Nic. - Sara pomyślała z wdzięcznością, że na pewno nie będzie się dopytywał o takie szczegóły.

Cathy wygładziła jeszcze obie części piżamy i zaczęła się rozglądać za następnymi rzeczami do spakowania, ale na tapczanie niczego więcej nie było. Poskładała na nowo wszystkie ubrania.

- Nigdy nie powinnaś się wstydzić tego, co cię spotkało.

Sara obojętnie wzruszyła ramionami, spoglądając na otwartą walizkę. W gruncie rzeczy nigdy się tego nie wstydziła, miała tylko dość protekcyjnego

traktowania, zwłaszcza ze strony matki. Była w stanie znieść zaciekawione spojrzenia czy nagłe zamilknięcia tej garstki osób, które znały prawdziwą przyczynę jej powrotu do rodzinnego domu, ale napięte stosunki z matką spadały na jej barki nieznośnym brzemieniem.

Zaczęła wkładać przygotowane rzeczy do walizki.

- Powiem mu, gdy nadejdzie odpowiednia pora. Jeśli w ogóle nadejdzie. - Jeszcze raz wzruszyła ramionami. - Może nigdy nie będę musiała do tego wracać.

- Trudno stworzyć trwały związek, jeśli bazuje on na takich sekretach.

- Nie robię z tego żadnej tajemnicy - wycedziła. - To po prostu moja prywatna sprawa, coś, co mi się przydarzyło, i tyle. Mam też dość... - urwała, gdyż rozmowa z matką na temat gwałtu była zdecydowanie ponad jej siły. - Czy możesz mi podać ten bawełniany top?

Cathy obrzuciła krytycznym wzrokiem krótką bawełnianą bluzeczkę, zanim ją podała.

- Widziałam zbyt wiele kobiet, które z uporem walczą, by dojść do tego etapu, na którym teraz jesteś, a później w jednej chwili wszystko zaprzepaszczają dla jakiegoś mężczyzny, który rzuca je zaledwie po paru latach wspólnego pożycia.

- Na pewno nie zamierzam rezygnować ze swojej kariery dla Jeffreya. - Sara zaśmiała się krótko. - I nic też nie wskazuje na to, bym niespodziewanie zaszła w ciążę i musiała przemienić się w kurę domową, żeby wychowywać dzieci.

Cathy skwitowała tę złośliwą uwagę kolejnym zmarszczeniem brwi.

- Nie o to mi chodzi, Sara.

- A więc o co? Cóż cię tak naprawdę niepokoi? Myślisz, że jakkolwiek mężczyzna może mi zrobić coś jeszcze gorszego niż to, co już się stało?

Matka spuściła wzrok. Nigdy nie płakała, potrafiła jednak godzinami trwać w tak uporczywym milczeniu, że Sarze błyskawicznie miękło serce.

Przysiadła na brzegu tapczanu obok matki.

- Przepraszam - powiedziała, nie mogąc się jednocześnie uwolnić od myśli, że chyba jeszcze nigdy to słowo nie przeszło jej przez gardło z takim trudem. W głębi ducha czuła się jednak winna temu, że sprowadziła ból i cierpienie na skądinąd niemal doskonałą rodzinę, i nieraz rozmyślała, czy nie byłoby lepiej wyjechać gdzieś daleko, by wszystkie rany same się zabiłiły.

- Nie chcę, żebyś rezygnowała z własnych ambicji. Sara aż wstrzymała na chwilę oddech. Matka jeszcze nigdy nie wypowiadała się tak otwarcie o swoich

obawach. Ale przecież i Sara wiedziała z własnego doświadczenia, jak łatwo popada się w rezygnację. Po gwałcie potrafiła tylko leżeć całymi dniami w łóżku i zalewać się łzami. Nie chciała już być lekarką, gwoli ścisłości nie chciała też być siostrą i córką. Przez dwa miesiące Cathy próbowała ją pocieszać i uspokajać, zanim brutalnie zwlokła ją z tapczanu. Jak czyniła to setki razy w jej dzieciństwie, zawiozła ją do dziecięcej przychodni, gdzie tym razem doktor Barney bezbłędnie znalazł dla niej skuteczne lekarstwo i zatrudnił ją na pełnym etacie. Rok później objęła drugie stanowisko koronera okręgowego, żeby mieć lepszą pozycję wyjściową do przejęcia całej praktyki starego doktora Barneya. Przez ostatnie dwa i pół roku wyteżoną pracą odbudowywała swoje życie osobiste w rodzinnym miasteczku, dlatego teraz Cathy była tak przerażona perspektywą utraty wszystkiego z powodu romansu z Jeffreyem.

Sara wstała i podeszła do bieliźniarki.

- Mamo...

- Po prostu martwię się o ciebie.

- Ze mną jest już znacznie lepiej - odparła Sara, chociaż była przekonana, że nigdy nie odzyska stanu ducha sprzed gwałtu. Do końca życia miała dzielić wszystko na to, co było przed, i to, co jest teraz, niezależnie od upływu lat. - Nie musisz bez przerwy nade mną czuwać ani mnie wspierać. Stałam się dużo silniejsza. Naprawdę jestem gotowa na taki wyjazd.

Cathy rozłożyła szeroko ręce.

- Nie rozumiesz, że on się tylko tobą bawi? Dla niego to nic innego, jak świetna rozrywka.

Sara zaczęła wysuwać kolejne szuflady w poszukiwaniu kostiumu kąpielowego.

- Skąd wiesz, czy dla mnie to też nie jest tylko rozrywka? Może i ja postanowiłam się wreszcie zabawić?;

- Już to widzę.

- Szkoda - odpowiedziała Sara z całkowitą powagą. - Bo to prawda.

- Nie wierzę, skarbie. Masz takie wrażliwe serduszko.

- Już nie.

- Przecież to, co się stało w Atlancie, w żadnym stopniu nie wpłynęło na to, jaka jesteś.

Wzruszyła ramionami i wepchnęła kostium do walizki. Bardziej przerażało ją to, że zmienili się inni, bliscy jej ludzie. Wściekała się na siebie za to, że padła ofiarą

gwałtu, była zła, że to bydłę, które ją zaatakowało, już po kilku latach uzyska przedterminowe zwolnienie za dobre sprawowanie. Przepelniała ją gorycz za całe życie wywrócone do góry nogami, za konieczność rezygnacji z walki o stanowisko rezydenta w szpitalu Grady'ego, o co bardzo się starała przez całe studia, a wszystko tylko dlatego, że w czasie praktyki cały personel izby przyjęć traktował ją jak bezcenny okaz z kruchej porcelany, opiekun jej pracy dyplomowej nie potrafił jej spojrzeć w oczy, a koledzy ze studiów bali się żartować w jej obecności z obawy, że źle ich zrozumie. Nawet pielęgniarki w szpitalu nie podchodziły do niej bez grubych rękawic ochronnych, jakby nagle stała się męczennicą.

- Nic mi nie odpowiesz? - pytała Cathy. - Mam się zadowolić tym wrogim spojrzeniem, świadczącym wyraźnie, że nie masz ochoty o tym rozmawiać?

- Bo rzeczywiście nie mam - odparła, coraz bardziej zdesperowana. - W ogóle nie mam dzisiaj ochoty na żadne poważne rozmowy. - Zaczęła nerwowo zapinać walizkę, szarpiąc uchwyt suwaka. - Mam dość bycia klasową prymuską. Dość bycia za wysoką dla najprzystojniejszych chłopaków. Dość umawiania się z mężczyznami, którzy przejmują się wyłącznie moimi uczuciami, dlatego chcą działać bardzo powoli i ostrożnie, omawiać wszystko ze szczegółami, z wyprzedzeniem planować wspólną przyszłość i traktować mnie jak bardzo rzadki i nadzwyczaj wrażliwy egzotyczny kwiat. Mam dość...

- Mason James to bardzo miły chłopak.

- I właśnie o to chodzi, mamo. To chłopak. A ja mam dość chłopców. Mam dość ludzi, którzy będą chodzili przy mnie na paluszkach, byle tylko nie urazić moich uczuć. Potrzebuję faceta, który wstrząśnie moim światem. A przede wszystkim, chcę się dobrze bawić. - Po chwili bez namysłu dodała: - Chcę się pieprzyć, ile wlezie.

Cathy tylko syknęła. Wcale nie dlatego, że podobne słownictwo było jej obce, ale po raz pierwszy usłyszała coś podobnego właśnie od niej. Sara tylko wyjątkowo przeklinała, ale jeszcze nigdy w obecności matki.

- Powinnaś bardziej dbać o swoje słownictwo - wycodziła Cathy z naganą w głosie.

- Reagujesz zupełnie inaczej, kiedy klnie Tessa. Matka skrzywiła się z niechęcią.

- Bo Tessa używa takich słów z autentycznej potrzeby, a nie tylko po to, żeby zrobić na mnie wrażenie.

- Ja ich używam, kiedy chcę - skłamała Sara.

- I zawsze tak się czerwienisz ze wstydu, kiedy to robisz?

Poczuła, że czerwieni się jeszcze bardziej.

- To musi wypływać stąd - powiedziała Cathy, przyciskając dłoń do ciała na wysokości przepony. Drugą ręką zatoczyła szerokie półkole i zaintonowała śpiewnie, jakby występowała w operze: - Pieprzyć!

- Mamo!

- Jeśli chcesz używać takich słów, rób to z gustem.

- Nie musisz mi tłumaczyć, jak należy ich używać - rzuciła ze złością Sara, a gdy matka roześmiała się, dodała ciszej: - Ani jak to robić..

Cathy zaśmiała się jeszcze głośniej.

- Czyżbyś wiedziała już wszystko w tym zakresie? Sara gwałtownym szarpnięciem ściągnęła walizkę z tapczanu.

- Powiedzmy, że trochę się przetarłam w świecie.

- Cha, cha, cha - ryknęła teatralnie matka. Sara oparła zaciśnięte pięści na biodrach.

- W końcu robimy to przy każdej okazji.

- Naprawdę?

- W dzień i w nocy.

- Nawet w dzień? - Cathy zaśmiała się ponownie, siadając wygodniej na tapczanie. - To niesłychane!

- Chyba nie podejrzewałaś, że spotykam się z nim wyłącznie w celu prowadzenia wyszukanych dyskusji. Nawet nie wiem, czy zdał maturę.

- Saro? - nieśmiało odezwała się z korytarza Tessa.

- Jeśli mam być szczerą - ciągnęła ze złością, gotowa powiedzieć wszystko, byle tylko zetrzeć ten chytry uśmieszek z twarzy matki - wszystko nawet wskazuje na to, że nie jest specjalnie bystry.

Cathy nadal uśmiechała się z wyższością.

- Aż tak?

Tessa podjęła kolejną próbę:

- Saro?

- Owszem, aż tak. I wiesz co? Nic mnie to nie obchodzi. Niech sobie będzie głupi jak but z lewej nogi, mam to gdzieś. Nie spotykamy się po to, by roztrząsać tajemnice bytu.

- Saro, na miłość boską - syknęła Tessa. - Może się wreszcie zamkniesz i

obejrzysz.

Odwróciła się na pięcie i natychmiast pożałowała swojego wybuchu.

Jeffrey stał w drzwiach, oparty ramieniem o framugę, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Na jego wargach błąkał się niewyraźny uśmiezek, który jednak nie miał potwierdzenia w lodowatych błyskach oczu.

Ruchem głowy wskazał stojącą przy tapczanie walizkę i zapytał: - Gotowa?

Jeszcze przed granicą okręgu zaczęło mżyć. Przyglądając się rytmicznej pracy wycieraczek, Sara myślała gorączkowo, co powiedzieć. Z każdym ich ruchem powtarzała sobie, że za wszelką cenę musi przerwać milczenie, lecz gdy chwilę później rozpoczynały kolejny cykl, uświadamiała sobie z całą mocą, że nadal nie znalazła tematu do rozmowy. Wreszcie odwróciła głowę i zaczęła wyglądać przez boczną szybę, liczyć krowy na pastwiskach, potem kozy w stadach, wreszcie billboardy reklamowe. Tych zaś szybko przybywało, im bardziej zbliżali się do Macon i zanim jeszcze skręcili na obwodnicę miasta, doliczyła się ich kilkuset.

Jeffrey energicznie przełączył biegi, by wyprzedzić długi, osiemnastokołowy tir. Nie odezwał się ani słowem od chwili, gdy ruszyli spod domu. I to on postanowił w końcu przerwać kłopotliwe milczenie uwagą:

- Ten wóz świetnie się prowadzi.

- To prawda - przyznała, tak szczęśliwa, iż się do niej odezwał, że aż bliska płaczu. Od razu podziękowała w myślach Bogu, że zdecydowali się wziąć jej wóz, bo nie wiadomo, o ile dłużej trwałaby cisza w jego półciężarówce. Chcąc podtrzymać konwersację, dodała: - Niemiecka technika.

- Więc to chyba prawda, co mówią o upodobaniach lekarzy do bmw.

- Tata mi go kupił, kiedy dostałam się na studia medyczne.

- Ładnie z jego strony - skwitował i po chwili zauważył: - Twoja mama także wydała mi się bardzo miła.

Sara odchrząknęła, usiłując sobie przypomnieć jakąś formę przeprosin, nad czym łamała sobie głowę już od godziny.

- Wolalabym, żebyście się poznali w trochę innych i okolicznościach.

- Sądziłem, że w ogóle nie będzie mi dane jej poznać.

- Tak, masz rację - odparła szybko, spłoszona. - Rzeczywiście nie chciałam...

- Ale bardzo się cieszę, że doszło do tego spotkania. Pokiwała głową, myśląc w duchu, że ilekroć najdzie ją ochota otworzyć usta, powinna raczej wbić sobie w nie pięść, niż cokolwiek mówić.

- Twoja siostra też jest urocza.

- Owszem - przyznała, myśląc, że ktoś inny na jej miejscu pewnie od razu by znienawidził Tess. W końcu wysłuchiwała podobnych uwag niemal przez całe życie. To zawsze Tessa była urocza, zabawna, towarzyska, wszyscy chcieli się z nią przyjaźnić. A ona zawsze była „grochową tyczką”. Tylko wyjątkowo mogła liczyć na „rudą wieżę”.

Zanim zdołała ubrać myśli w słowa, wypaliła niemal odruchowo:

- Bardzo przepraszam za to, co powiedziałam w pokoju.

- Nic nie szkodzi - odparł, ale sądząc po jego tonie, nie było to szczere.

Można się było tylko domyślać, dlaczego nie zrezygnował z planu wspólnego wyjazdu na Florydę. Gdyby Sara miała choć trochę szacunku dla samej siebie, na pewno by mu zaproponowała, żeby pojechał sam. Ten fałszywy uśmiezek, który nie zniknął z jego warg do czasu zapakowania walizek do bagażnika, ranił niczym diament do cięcia szkła.

- Chciałam tylko... - Urwała i pokręciła głową. - Zresztą, sama już nie wiem, co chciałam. Może po prostu zrobić z siebie idiotkę?

- To ci się na pewno udało.

- Mam coś takiego w naturze, że muszę przejść samą siebie we wszystkim, co robię.

Nawet się nie uśmiechnął. Spróbowała ponownie:

- Wcale nie uważam, że jesteś głupi.

- Jak but z lewej nogi.

- Słucham?

- Dokładnie tak się wyraziłaś: „Głupi jak but z lewej nogi”.

- Aha. - Zaśmiała się krótko, lecz zabrzmiało to jak szczeknięcie foki. -

Przecież to nawet nie ma sensu.

- W każdym razie miło wiedzieć, że wcale tak nie uważasz.

Spojrzał we wsteczne lusterko i wyprzedził karawan. Sara popatrzyła na jego dłoń opartą na dźwigni biegów, na ściętna grające mu pod skórą przy każdym ruchu. Pewnie zaciskał palce na gałce, postukując kciukiem o jej górną powierzchnię.

- Nawiasem mówiąc, mam maturę - rzekł.

- Naprawdę? - zapytała mimowolnie, nie mogąc ukryć zdziwienia pobrzmiewającego w jej głosie. Zaraz jednak jeszcze pogorszyła sytuację, dodając: - No cóż, to dobrze. Oczywiście dla ciebie.

Zerknął na nią podejrzliwie.

- Chciałam powiedzieć, że to dobrze, bo... no, wiesz... z powodu... - Zaśmiała się nerwowo, zakryła dłonią usta i wymamrotała: - Och, na miłość boską, Saro, zamknij się wreszcie. Nic nie mów.

Sądziła, że przynajmniej skwituje to uśmiechem, ale nie zareagował.

Odważyła się więc zapytać:

- Ile dokładnie słyszałeś z naszej rozmowy?

- Poczynając od przecierania się w świetle.

- To jednak powiedziałam w pozytywnym sensie.

- Aha - mruknął. - Gwoli ścisłości, słyszałem już od ciebie równie trafne określenia. - Dopiero teraz wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. - Do tego nie wypowiedane, raczej wykrzykiwane. I to w trybie rozkazującym.

Zagryzła wargi, odwróciła głowę i przez chwilę przyglądała się mijanym krajobrazom.

- Ale to dobrze, że twoja mama tak się o ciebie martwi.

- Czasami.

- Utrzymujecie bardzo bliskie kontakty, prawda?

- Raczej tak - odrzekła, nie chcąc się wdawać w szczegóły.

- Powiedziałaś jej, że pomyślnie przeszedłem badania?

- Oczywiście że nie - zaprzeczyła, zaskoczona, że w ogóle przyszło mu to do głowy. - Przecież to poufne informacje.

Pokiwał głową, nie odrywając wzroku od drogi.

Ich druga randka zakończyła się tylko krótkim pocałunkiem przed drzwiami i jej prośbą, by przebadał się na obecność wirusa HIV. Co prawda, była to prośba nieco spóźniona, skoro ich pierwszy namiętny kontakt nie skończył się wnikliwą dyskusją na temat zapobiegania chorobom przenoszonym drogą płciową, niemniej Sarę zaniepokoiła reputacja Jeffreya barwnie przedstawiana w plotkach na długo przed tym, zanim dotarli za ladę Shop-o-ramy. I była mile zaskoczona, że okazał tylko drobne zniecierpliwienie, kiedy poprosiła go o próbkę krwi do analizy.

- Zetknęłam się już z wieloma przypadkami zachorowań w naszym okręgu - powiedziała - z wieloma kobietami w moim wieku, które nigdy nie sądziły, że i im się to przytrafi.

- Nie musisz się przede mną tłumaczyć - odparł.

- W ubiegłym roku kochanek Hare'a zmarł na AIDS.

Stopa zsunęła mu się z pedału gazu.

- Mówisz o swoim gejowskim kuzynie?

- Nie inaczej.

- Żartujesz? - bąknął, spoglądając na nią z niepokojem.

- Myślałeś, że od urodzenia mówi takim falsetem?

- Sądziłem, że tylko się tak wygłupia.

- Rzeczywiście uwielbia błaznować. Zawsze mnie rozśmiesza do łez. Zresztą nie tylko mnie. Wszystkich. Po prostu uwielbia wygłupy.

- Naprawdę grał w szkolnej drużynie piłkarskiej.

- Czyżbyś podejrzewał, że tylko heteroseksualiści grywają w futbol?

- No... nie - mruknął bez przekonania.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Sara znów nie mogła znaleźć tematu do rozmowy. I nie mogła też przestać myśleć, jak mało wie o człowieku, z którym wyruszyła nad morze. W ciągu trzech miesięcy znajomości nie dowiedziała się prawie niczego o jego rodzinie czy przeszłości. Wiedziała tylko, że urodził się w Alabamie, ale nie lubił mówić o swojej młodości. Kiedy nie byli w łóżku, Jeffrey najczęściej opowiadał jej o sprawach kryminalnych, którymi zajmował się w Birmingham, albo o najświeższych wydarzeniach w okręgu Grant. Teraz, gdy podsumowywała ten okres, uświadomiła sobie, że w czasie ich spotkań głównie to ona mówiła. On bardzo rzadko z własnej woli bąkał cokolwiek o sobie, a gdy tylko zbyt natarczywie zaczynała się o coś dopytywać, albo na dobre zamykał się w sobie, albo zaczynał wodzić dłonią po jej biodrach i udach, tak że szybko zapominała, czego się chciała dowiedzieć.

Odważyła się spojrzeć na niego. Ciemne włosy na karku były już trochę za długie, co zaczynało być niebezpieczne, wzięwszy pod uwagę, że nauczyciele w Heartsdale wciąż odsyłali do domu chłopców, których włosy ledwie dotykały kołnierzyka koszuli. Jak zwykle był starannie ogolony, miał gładkie policzki. Ubrał się w powycierane dżinsy i czarny T-shirt z wizerunkiem harleya davidsona. Jego sportowe buty sprawiały wrażenie dość drogich, miały wyściełane cholewki i grube czarne podeszwy. Obcisłe nogawki spodni dokładnie odwzorowywały kształty masywnych mięśni ud. Koszulka była za luźna, by tak samo oddać zarys muskularnego torsu, ale Sara miała już niejedną okazję, żeby się na niego napatrzeć.

Przeniosła wzrok na swoje nogi, żałując teraz, że nie włożyła czegoś innego. Pod wpływem krytycznych uwag matki przebrała się w spódnicę owijaną wokół bioder, ale na tle ciemnej wykładziny podłogowej samochodu jej całkiem białe łydki

przypominały odcieniem słoninę w surowym boczku. Mimo włączonego klimatyzatora, obficie pocila się pod jedwabną bluzką i gdyby tylko potrafiła jakimś magicznym sposobem zatrzymać na krótko czas, natychmiast zerwałaby z siebie stanik i wyrzuciła za okno.

- Więc? - zagadnął Jeffrey.

- Co więc? - rzuciła odruchowo, usiłując sobie przypomnieć, na czym skończyli rozmowę. Nawiązała do pierwszego tematu, jaki przyszedł jej do głowy: - Przynajmniej wiadomo, że jesteś dawcą uniwersalnym.

- Co?

- Dawcą uniwersalnym - powtórzyła. - Możesz dać krew każdemu. -

Chwytnąjąc się tego jak tonący brzytwy, dodała pospiesznie: - Oczywiście, ty nie możesz dostać krwi od każdego, kto nie ma grupy zero minus.

Znowu popatrzył na nią podejrzliwie.

- Postaram się o tym pamiętać.

- Masz we krwi przeciwciała, które...

- Zgłoszę się do punktu krwiodawstwa zaraz po powrocie.

Rozmowa znów się nie kleiła, toteż Sara zapytała:

- Masz ochotę na kanapkę z pieczonym kurczakiem?

- To on tak ładnie pachnie?

Wychyliła się z fotela i zaczęła przerzucać rzeczy na tylnym siedzeniu w poszukiwaniu plastikowego pojemnika, który przyniosła matka.

- Powinny też być domowe ciasteczka, jeśli Tess ich nie zje.

- Brzmi apetycznie - rzekł, muskając wierzchem dłoni jej udo. - Szkoda, że nie mamy do tego herbaty.

Próbowała nie zwracać uwagi na jego dotyk.

- Możemy się gdzieś zatrzymać.

- Zobaczymy. Uszczypnął ją lekko.

- Hej! - wykrzyknęła i zdzieliła go po rękę. Zarechotał głośno.

- Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy trochę zbczyli z trasy?

- Skądże - odparła, wyciągając pojemnik spod poduszki. Wyprostowała się w fotelu w samą porę, by dostrzec tablicę z nazwą miejscowości Winnebago. - Gdzie chcesz zjechać?

- Do Sylacaugi.

Zastygła bez ruchu ze zdjętą do połowy przykrywką plastikowego pojemnika.

- Syl... czego?

- Sylacaugi - powtórzył. - To moje rodzinne miasto.

ROZDZIAŁ CZWARTY

10.15

- Matt? - wycedził ktoś, jakby się jękał. - M-a-a-a-ł - a-att!

Tak mu dzwoniło w uszach, jakby słyszał zwielokrotnione echo:

- M-a-a-a-a-a-att!

Próbował się poruszyć, ale nie panował nad swoim ciałem. Z jakichś powodów bolały go wszystkie palce. Zrobiły się lodowate. W ogóle było mu strasznie zimno.

- Matt? - powtórzyła Sara, a jej głos zabrzmiał nagle ostro i wyraźnie. - Matt, ocknij się. - Poczul dotyk jej dłoni na twarzy. - Słyszysz mnie, Matt?

Zmusił się, żeby otworzyć oczy. Najpierw ujrzał tylko rozmazane plamy, potem wszystko podwójnie. Pochylały się nad nim dwie Sary. Nad nią stały dwie Marle. Obok dwójka identycznych dzieci, których wcześniej nigdy nie widział. Wszystko wydawało się ogromne, ludzie mieli rozmiary gigantów. Nawet płytki podwieszanego sufitu nad nimi sprawiały wrażenie dużo większych niż dotąd, przypominały kwadratowe latające spodki skapane w oślepiającym fluorescencyjnym blasku.

Spróbował się podnieść.

- Nie, Matt - powstrzymała go Sara. - Nie ruszaj się.

Uniósł rękę do czoła, gdyż czuł, jakby ściskano mu głowę w imadle. Prawe ramię piekło go niemiłosiernie, jak gdyby ktoś wbijał mu w ciało rozżarzony pogrzebacz. Chciał je pomacać lewą ręką, ale Sara złapała jego dłoń.

- Nie ruszaj, Matt - powtórzyła.

Przeciagnał językiem po podniebieniu, usiłując znaleźć rozcięcie, źródło metalicznego posmaku krwi w gardle. Kiedy Sara odgarnęła mu włosy z czoła, dostrzegł błysk złotego sygnetu na jej palcu. Zabrała jego pamiątkowy sygnet z drużyny piłkarskiej w Auburn. Czemu go włożyła?

- Matt?

Zamrugął ponownie, gdy znów odezwało się nieprzyjemne dzwonięcie w uszach, po czym zacisnął silnie powieki, próbując sobie przypomnieć, co się stało. Po chwili zrozumiał, że to dzwoni telefon na biurku w sekretariacie. A krew, którą czuł w ustach, pochodziła z jakiejś rany na głowie.

- Matt? - powtórzyła Sara. - Słyszysz mnie? Wycharczał:

- Dlaczego...

Pospiesznie przytknęła mu do warg butelkę z wodą.

- Napij się. Musisz dużo pić.

Jeffrey łapczywie pociągnął kilka łyków, czując, jak woda stopniowo rozwiera jego zaciśnięte gardło. Aż pociekła mu po szyi, gdy Sara zbyt gwałtownie przechyliła butelkę, chcąc go jak najszybciej napoić.

- Już, dzięki - mruknął, odsuwając jej rękę. Znowu zacisnął powieki, chcąc odzyskać jasność widzenia. Kiedy tym razem otworzył oczy, dwie Marle szybko zwały się w jedną. Sekretarka miała zapadnięte policzki, podbite oko i rozciętą wargę. Rzeczywiście stały przy niej dwie dziewczynki spoglądające na niego z identycznymi wyrazami twarzy, co upodabniało je do bliźniaczek. Trzecia tuliła się do Sary i gwałtownymi haustami tapiała powietrze, jakby się dusiła.

Odwrócił się do Sary. Jeszcze nigdy nie widział jej aż tak przerażonej. Uważnie wpatrywała mu się w oczy z takim napięciem, jakby chciała mu coś przekazać telepatycznie. Zrozumiał i powoli skinął głową. Miał uchodzić za Matta.

- W porządku? - spytała Sara.

- Tak.

Rozejrzał się wokoło, próbując zrozumieć, co się dzieje. Siedzieli na podłodze pod tylną ścianą sali ogólnej komisariatu, w części oczyszczonej z biurek i regałów. Brad przesuwiał ciężkie szafki na akta, barykadując nimi drzwi przeciwpożarowe. Wybite okno i drzwi jego gabinetu były już zabarykadowane. Na podłodze wśród porzucanych papierów i odłamków leżały ciała zabitych, Burrowsa, Robinsona, Morgana. Przypomniawszy sobie, że Morgan miał pięcioro dzieci. Burrows należał do niepoprawnych miłośników zwierząt i prowadził własne schronisko dla bezdomnych psów. A Robinson... Ten był nowy, Jeffrey nawet nie mógł przywołać z pamięci jego imienia, chociaż sam wprowadzał go do służby niespełna tydzień wcześniej.

Zacisnął powieki, gdy widok przed oczami znów mu się rozmazał, a bolesne wspomnienia ścisnęły za gardło.

- Oddychaj spokojnie - poleciła Sara, gładząc go po włosach.

Kłęczała i trzymała jego głowę na kolanach, a sądząc po zakrwawionej bluzce, robiła to od dłuższego czasu. Znów usiłował się poruszyć i spostrzegł, że nogi ma skrępowane w kostkach swoim pasem.

Nagle stanął nad nimi mężczyzna. Wymierzył obrzynek w Marłę, a ciężkiego,

wojskowego sig sauera w Brada. Dwa inne pistolety tkwiły w kaburach na jego piersi powyżej pasa wypchanego zapasową amunicją.

Smith. Jeffrey od razu sobie przypomniał, że tamten przedstawił się jako Smith. Nagle w jego głowie odżyły wszystkie wspomnienia: ostrzegawczy okrzyk Sary, ciało Matta padającego tyłem na drzwi frontowe, zaciekle strzelanina, padające trupy. Sam. Ten nowy policjant ze służby patrolowej miał na imię Sam.

Bandyta obrzucił go wyzywającym spojrzeniem.

- Siadaj.

- Trzeba go odtransportować do szpitala - zaproponowała Sara. Nie czekając na reakcję zabójcy, dodała szybko: - I dziewczynki są w szoku. Też powinny się znaleźć pod opieką lekarza.

Smith przekrzywił głowę na ramię, jakby czegoś nasłuchiwał. Po chwili odwrócił się w stronę lobby, gdzie jego kumpel czuwał za kontuarem stanowiska recepcyjnego, a leżący na nim pistolet maszynowy był wymierzony w drzwi frontowe. Podobnie jak Smith, miał na sobie czarną kamizelkę kuloodporną. Czarna czapeczka baseballowa nasunięta głęboko na oczy ocieniała jego twarz. Nawet nie spojrzał w ich kierunku, tylko szybko skinął głową.

Sara wykorzystała okazję i niemal bezgłośnie szepnęła do Jeffreya:

- Gramy na zwłokę. Smith obrócił się do nich.

- Siadaj!

Kopnął związane stopy Jeffreya, a gwałtowny ruch wywołał tak dotkliwą falę bólu w jego zranionym ramieniu, że o mało nie jęknął.

- Trzeba go zawieźć do szpitala - powtórzyła Sara.

- Hej! - odezwał się Brad piskliwym głosem, niczym dziecko usiłujące zaingerować w kłótnię rodziców. - Potrzebuję czyjejs pomocy. Sam nie dam rady przesunąć tej szafki.

Smith wymierzył z obrzynka w twarz Sary.

- Pomóż mu.

Nawet się nie poruszyła.

- Matt wymaga opieki lekarskiej - powiedziała szybko z naciskiem, kładąc dłoń na zdrowym ramieniu Jeffreya. - Ma słaby, nitkowaty puls. Kula prawdopodobnie uszkodziła którąś ważną tętnicę. Bardzo długo był nieprzytomny. Poza tym trzeba mu opatrzyć ranę na głowie.

- Jakoś o mnie się tak nie martwisz - wycedził bandyta, wskazując białą

szmatkę obwiązaną ciasno na lewym przedramieniu, na której ciemniała kolista krwawa plama.

- Wy dwaj wyglądacie na całkiem zdolnych, żeby zatroszczyć się o siebie. -
Ruchem głowy wskazała jego kolegę czuwającego w lobby.

- No jasne - rzucił Smith, kołysząc się na piętach.

Jeffrey próbował dojrzeć rysy twarzy drugiego napastnika, ale światła jarzeniówek tak bardzo go raziły, że nie mógł nawet przez parę sekund utrzymać otwartych oczu.

Brad pośliznął się i szafka na akta z hukiem opadła na podłogę. Obaj bandyci z szybkością błyskawicy odwrócili się w jego stronę, gotowi natychmiast otworzyć ogień.

Stephens poderwał obie ręce do góry.

- Przepraszam - bąknął. - Ja tylko...

Zabójca w lobby szybko wrócił do pilnowania drzwi frontowych, a Smith podszedł do Brada. Nie spuszczać oczu z bandyty w sekretariacie, Sara pospiesznie wsunęła rękę pod plecy Jeffreya i szepnęła:

- Portfel.

Uniósł się odrobinę, żeby ułatwić jej sięgnięcie do tylnej kieszeni spodni. Zdołała wyciągnąć portfel w samą porę, zanim Smith ponownie odwrócił się do nich. Czujnym spojrzeniem omiótł całą grupę, jakby szósty zmysł ostrzegał go przed zagrożeniem. Dziewczynki były tak przerażone, że bały się choćby poruszyć, natomiast Marla sprawiała wrażenie całkowicie pochłoniętej własnymi myślami, stała ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w podłogę.

- Może ty mógłbyś... - zaczął nieśmiało Brad. Smith pospiesznie uciszył go, podnosząc rękę. W sali panowała kompletna cisza, wyglądało jednak na to, że on słyszy coś podejrzanego. Jeffrey doszedł do wniosku, że może być ćpunem nafaszerowanym kokainą albo metadonem. Bo też z jakich powodów ktoś miałby napadać na posterunek policji i robić taką rzeź? Co chciałby na tym zyskać?

Bandyta cofnął się o parę kroków, wciąż mierząc z pistoletu w Brada. Zatrzymał się przed drzwiami łazienki i popatrzył w kierunku lobby, skąd jego kumpel po raz kolejny szybko skinął mu głową. Sprawiali wrażenie zgranych niczym części precyzyjnego mechanizmu. Pomijając nawet kwestię wojskowego wyposażenia, z ich zachowania można było wnioskować, że albo razem służyli w armii, albo trenowali jakieś walki.

Smith po cichu otworzył drzwi łazienki i wszedł do środka, wyciągając przed siebie pistolet. Jeffrey zaczął w myślach odliczać sekundy, spoglądając na zamykające się samoczynnie drzwi. Nagle doleciał zza nich histeryczny kobiecy pisk i huknął pojedynczy strzał. Niecałą minutę później Smith znowu pojawił się w drzwiach, trzymając w ręku policyjny pas z kaburą, jakby to było cenne trofeum.

- Ukrywała się pod umywalką - oznajmił swojemu koledze.

Tamten wzruszył ramionami, jak gdyby nic go to nie obchodziło, a Jeffrey znowu zacisnął powieki, myśląc z rozpaczą, że właśnie straciła życie jeszcze jedna osoba z grona jego podwładnych, zamordowana przez te dzikie bestie. Musiała się ukrywać za obudowaną umywalką w toalecie już od początku strzelaniny, w desperackiej nadziei, że nie zostanie tam odnaleziona.

Smith rzucił pas z kaburą w kierunku lobby i zwrócił się ponownie do niego:
Siadaj!

Kiedy Jeffrey zaczął się niemrawo prostować, złapał go za kołnierz i szarpnął do góry.

Żołądek podszedł mu do gardła i świat zawirował przed oczyma, zanim błędnik zdążył się dostosować do szybkiej zmiany położenia. Sara także się wyprostowała, położyła mu dłoń na karku i powiedziała cicho:

- Oddychaj głęboko. Nie daj się...

Mimo wszelkich starań opanowały go gwałtowne torsje i cała zawartość żołądka trysnęła na zewnątrz obfitą strugą.

- Kurwa mać! - Smith odskoczył szybko. - Coś ty jadł na śniadanie, człowieku?

Jeffrey, jakby chcąc mu dostarczyć więcej dowodów, gwałtownie zwymiotował po raz drugi. Znow poczuł dłoń Sary na karku i zimny dotyk swojego sygnetu. Wciąż nie mógł zrozumieć, dlaczego mu go zabrała i włożyła sobie na palec.

- Daj mi swój portfel - warknął bandyta. Otarł usta wierzchem dłoni.

- Zostawiłem go w kurtce mundurowej - odparł, wspominając z wdzięcznością, że podczas rozmowy w pokoju przesłuchań był tak wściekły na Sarę, że zapomniał zabrać marynarkę.

- A gdzie ona jest? - zapytał Smith. - Gdzie zostawiłeś kurtkę mundurową?

Jeffrey zaczerpnął głęboko powietrza, wciąż ledwie mogąc zapanować nad torsjami.

Smith kopnął go w stopę i zapytał ostrzej:

- Gdzie twoja kurtka mundurowa?

- W samochodzie.

Bandyta znowu złapał go za kołnierz i poderwał na nogi. Jeffrey aż jęknął z bólu, gdy przed oczyma rozbłysły mu kolorowe fajerwerki. Przycisnął policzek do chłodnej ściany, usiłując za wszelką cenę nie osunąć się po niej na podłogę. Mięśnie ramienia przeszywał nieznośny ból, pulsujący w rytm uderzeń serca, a kolana miał tak miękkie, że od razu zaczęły dygotać pod jego ciężarem.

- Wszystko w porządku - odezwała się Sara, chwytając go pod rękę. Nawet nie wiedział, że ona ma aż tyle siły. Pomyślał, że w tej jednej chwili zaskarbiła sobie więcej miłości, niż czuł do niej przez tyle wspólnie spędzonych lat. - Oddychaj głęboko - powtórzyła, delikatnymi kolistymi ruchami masując mu kark. - Wszystko w porządku.

- Odsuń się - warknął Smith, odpychając ją od niego.

Wetknął obrzynek za pas i pospiesznie obszukał Jeffrey a. Najwyraźniej miał sporą wprawę w rewidowaniu ludzi. Tyle że nie zadał sobie trudu, by choć trochę delikatniej obejść się z jego przestrzelonym ramieniem.

- W porządku - mruknął, odступując na krok. Jeffrey miał ochotę spojrzeć mu w oczy, ale musiał się skupić na utrzymaniu równowagi i oparł się ciężko o ścianę. Telefon w sekretariacie znów zaczął dzwonić, a jego donośny metaliczny terkot podziałął denerwująco na wszystkich.

- Dobrze się czujesz, Matt? - zapytał Smith, wyraźnie kładąc nacisk na imię. Jeffrey wciąż nie wiedział, czy jest to wynikiem jego paranoi, czy też paniki, coś mu jednak podpowiadało, że bandyta doskonale wie, z kim ma do czynienia.

- Przecież widać, że nie - odpowiedziała Sara. - Kula prawdopodobnie spowodowała jakiś ucisk na jego tętnicę. Jeśli dalej będziesz się z nim obchodził tak brutalnie, może pęknąć i wykrwawi się na śmierć.

- Serce mi się kraje - syknął ironicznie Smith, zerkając na Brada wyteżającego wszystkie siły.

W sekretariacie telefon nie przestawał dzwonić.

- Może byś jednak odebrał i powiedział, że zgadzasz się wypuścić dzieci? - podjęła Sara.

Przekrzywił głowę na ramię, jakby się zastanawiał nad tą propozycją.

- Może lepiej ty byś wzięła mojego kutasa w usta i porządnie go wysssała?

Sara zbyła milczeniem tę wulgarną uwagę.

- Powinieneś się wykazać dobrą wolą i uwolnić dzieci.
- Nie będziesz mi mówiła, co powinienem.
- Ona ma rację - odezwał się Brad. - Przecież nie jesteś dzieciobójcą.
- Nie. - Bandyta wyciągnął obrzynek zza pasa i wymierzył w niego. - Tylko

glinobójcą.

Zamilkł, żeby znaczenie jego słów do wszystkich dotarło. Telefon wciąż natrętnie terkotał.

- Im wcześniej przedstawiś swoje żądania, tym szybciej będziemy wszyscy mogli się stąd wynieść - powiedziała Sara.

- A może ja wcale nie chcę się stąd wynosić, doktor Linton?

Jeffrey zagryzł wargi, tknięty myślą, że jest coś znajomego w zachowaniu tego człowieka, który doskonale wiedział, kim jest Sara.

Smith zauważył jego reakcję.

- Coś ci się nie podoba, chłoptasiu? - syknął mu prosto w twarz. - Znamy się z doktor Linton sprzed lat. Prawda, Sara?

Popatrzyła na niego wzrokiem pełnym niepewności i zakłopotania.

- Sprzed ilu lat? Zaśmiał się gardłowo.

- Trochę minęło od tamtej pory, nie sądzisz? Próbowała ukryć zmieszanie, ale dla Jeffrey'a stało się jasne, że i ona nie ma pojęcia, kim jest bandyta.

- Chciałabym to usłyszeć od ciebie.

Przez chwilę spoglądali sobie w oczy wśród rosnącego napięcia. Wreszcie Smith głośno mlasnął i Sara szybko odwróciła wzrok. Jeffreyowi przemknęło przez głowę, że gdyby tylko mógł, z gołymi rękami rzuciłby się teraz na drania i zatłukł go na śmierć.

Smith znowu musiał wyczuć jego nastawienie, gdyż zapytał pospiesznie:

- Chcesz mi przysporzyć jakichś kłopotów, Matt? Jeffrey wyprostował się, jak dalece pozwalały mu ciasno skrupowane paskiem nogi. Obrzucił bandytę wzrokiem pełnym bezgranicznej nienawiści, ale Smith odpłacił mu tym samym.

Po raz kolejny Brad podjął próbę załagodzenia atmosfery.

- Weź mnie zamiast niego - zaproponował na ochotnika.

Napastnik jeszcze przez chwilę świdrował oczami Jeffrey'a, w końcu powoli przeniósł spojrzenie na Stephensa.

- Wypuść go i zatrzymaj tylko mnie - powtórzył Brad.

Smith skwitował tę propozycję głośnym rechotem, nawet jego kumpel w lobby

mu zawtórował.

- W takim razie weź mnie - podsunęła Sara.

Obaj natychmiast spowaźnieli.

- Nie - mruknął Jeffrey.

Ona jednak nie zwróciła na niego odwagi, nadal wpatrując się w Smitha.

- Już zastrześliłeś Jeffrey'a - powiedziała, kładąc trochę za duży nacisk na jego imię. Ciągnęła jednak bardziej wyważonym tonem: - Przyznałeś, że nie chcesz Brada ani Matta. Z pewnością nie chcesz też na zakładnika ani tej staruszki, ani żadnej z trzech dziesięciolatek. Więc wypuść ich wszystkich. Uwolnij ich, a zatrzymaj mnie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Niedziela

Podróż do Sylacaugi okazała się dużo dłuższa, niż obiecywał Jeffrey.

Powiedział, że będą mogli przenocować w domu jego matki, ale Sara była pełna obaw, że jeśli utrzymają dotychczasowe tempo, dotrą na miejsce dopiero rano. Im bliżej byli Talladegi, tym większy ruch panował na autostradzie, gdyż ludzie zdążyli na tor wyścigów samochodowych NASCAR, Jeffrey jednak traktował to bardziej jako wyzwanie niż utrudnienie w podróży. Coraz częściej wyprzedzał auta osobowe, ciężarówki i tiry w tak bliskiej odległości, że Sara w końcu zapięła pasy. Na szczęście wkrótce skręcili w boczną drogę. Przyjęła to z ulgą, ale tylko do czasu, aż doszła do wniosku, że ostatnim poruszającym się po niej pojazdem musiał być chyba wóz drabiniasty zaprzężony w konie.

Tymczasem Jeffrey robił wrażenie coraz bardziej odprężonego, im bardziej zagłębiali się w Alabamę. Okresy milczenia przestały być nieznośne i stały się chwilami wytchnienia. Złapał w radiu stację nadającą lokalne przeboje rockowe, toteż przemierzali leśną głuszę przy wtórze piosenek zespołów Lynyrd Skynyrd czy The Allman Brothers. Zaczął jej też pokazywać miejscowe atrakcje, jak trzy niedawno zamknięte przedzalnice bawełny czy fabrykę opon zlikwidowaną po groźnym pożarze. Centrum Niewidomych imienia Helen Keller okazało się imponującym kompleksem zabudowań, choć nie zdążyła mu się nawet dobrze przyjrzeć, gdyż minęli je z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę.

Wreszcie, gdy przejechali obok kolejnego więzienia okręgowego, poklepał ją po kolanie, uśmiechnął się i rzekł:

- Jesteśmy prawie na miejscu.

Ale powiedział to z dziwną miną, jakby już teraz żałował, że zaprosił ją w

rodzinne strony.

Gdy skręcili ostro w kolejną, równie wyboistą i dziurawą boczną drogę, zaczęła się zastanawiać, czy nie zabłądził, kiedy przed nimi zamajaczyła wielka tablica. Odczytała na głos:

- „Witamy w Sylacaudze, rodzinnym mieście Jima Naborsa”.

- Jesteśmy dumni ze swojej historii - oświadczył Jeffrey, nieco zwalniając przed zakrętem. - Od razu masz kolejną miejscową ciekawostkę. - Wskazał stojący przy drodze i chylący się ku ruinie wiejski sklep o nazwie Yonders Blossom.

Ledwie dała radę odczytać tę nazwę z wypłowiałego ze starości i łuszczącego się szyldu nad wejściem. Przed budynkiem stały wystawione rozmaite towary, jakich należało oczekiwać w takim miejscu, od przenośnego kaloryfera porośniętego mchem, po stare opony samochodowe pomalowane na biało i przekształcone w gazony do kwiatów. Przy bocznej ścianie stała wielka lodówka z reklamą coca-coli.

- Straciłem dziewictwo właśnie za tą lodówką - obwieścił dumnie Jeffrey.

- Poważnie?

- Tak - odparł, uśmiechając się lubieżnie. - W dzień moich dwunastych urodzin.

Sara próbowała ukryć osłupienie.

- A ile ona miała lat?

Zachichotał z nieskrywaną satysfakcją.

- Nie tyle, żeby matka nie przełożyła jej przez kolano, kiedy stary Blossom zapragnął się napić, wyszedł przed sklep i nas zaskoczył.

- A więc już wtedy wywierałeś podobny wpływ na matki.

Zaśmiał się głośno i znowu poklepał ją po kolanie.

- Nie na wszystkie, skarbie.

- Skarbie? - powtórzyła w osłupieniu, odczytując po jego tonie, że z taką samą czułością nazywał swój ulubiony kawałek wołowej pieczeni.

Zaśmiał się jeszcze głośniej, chociaż powiedziała to z całkowitą powagą.

- Chyba nie zamierzasz z mojego powodu zostać zagorzałą feministką?

Popatrzyła na jego dłoń spoczywającą na jej kolanie, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że powinien ją natychmiast zabrać.

- Uważaj, bo naprawdę się tego doczekasz.

Ścisnął palcami jej nogę i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, który chyba już setki razy wybawiał go z różnych opresji. Sara nie była nawet specjalnie zła,

bo wiedziała, że musi ponieść zasłużoną karę za nazwanie go głupim w obecności matki. Dlatego, rada nierada, postanowiła przejść nad tym do porządku dziennego.

Już powoli wjeżdżali do miasta, które jak dwie krople wody przypominało Heartsdale, tyle że było o połowę mniejsze. Wskazywał jej kolejne „miejscowe ciekawostki”, ale uśmiechał się przy tym tajemniczo, aż nabrała przekonania, że z każdą z nich są związane jego dalsze przygody z dziewczętami. Tylko z tego powodu wolała nie dopytywać się o szczegóły.

- A to moja szkoła średnia - rzekł, gdy mijali długi parterowy budynek, za którym stało zaparkowanych kilka przyczep mieszkalnych. - Uczyła w niej panna Kelley.

- Następna z twoich zdobyczy?

Jęknął gardłowo.

- Chciałbym. Na Boga, teraz ma pewnie z osiemdziesiąt lat, ale wtedy...

- Rozumiem - wtrąciła szybko.

- Czyżbyś była zazdrosna?

- O osiemdziesięcioletnią staruszkę?

- No to jesteśmy - rzucił, skręcając w Main Street, też bardzo podobną do tej w Heartsdale. - Coś ci to przypomina?

- Owszem, tyle że tutaj supermarket jest zdecydowanie bliżej rynku - odparła, oglądając się za wychodzącą ze sklepu kobietą dźwigającą trzy wypchane papierowe torby i holującą dwoje berbeci uczeponych jej spódnicy po obu stronach.

Na widok matki z dziećmi zaczęła się zastanawiać, jak mogłoby wyglądać jej życie w tej roli. Zawsze marzyła o tym, że gdy już będzie miała własną ustabilizowaną praktykę, wyjdzie za mąż i urodzi dzieci. Cięża pozamaciczna będąca wynikiem gwałtu kazała jej na zawsze zapomnieć o tych marzeniach.

Aż ścisnęło ją za gardło na wspomnienie tego wszystkiego, co jej odebrano.

Jeffrey wskazał duże gmaszysko po prawej.

- To nasz szpital. Tutaj się urodziłem, choć wtedy miał tylko dwa piętra, a parking był wysypany żwirem.

Zapatrzyła się na mijany szpital, próbując nad sobą zapanować.

Podał jej papierową chusteczkę.

- Wszystko w porządku?

Pospiesznie wytarła oczy. Bardzo często zbierało jej się przy nim na płacz, a podobne gesty sprawiały, że miała jeszcze większą ochotę zalać się łzami.

Wydmuchwała nos i bąknęła:

- To pewnie od pyłku.

- Jasne - rzekł, wychylając się w fotelu, żeby podnieść szybę po jej stronie. -

Tego przeklętego derenia.

Położyła mu dłoń na karku i zanurzyła palce we włosach z tyłu głowy.

Nieodmiennie ją zdumiewało, że były takie miękkie w dotyku, zupełnie jak puszek na główce niemowlęcia.

Popatrzył przed siebie i przeniósł wzrok na nią. Uśmiechnął się nieśmiało i mruknął:

- Boże, jaka ty jesteś piękna.

Po raz drugi wydmuchwała nos, chcąc ukryć swoją reakcję na ten komplement.

Wyprostował się, jeszcze bardziej zwalniając.

- Naprawdę jesteś bardzo piękna - powtórzył i pocałował ją za uchem.

Zdjął nogę z gazu, żeby pocałować ją po raz drugi.

- Zaraz zablokujesz cały ruch - ostrzegła, chociaż w zasięgu wzroku nie było żadnego samochodu.

Pocałował ją jeszcze raz, w usta. Sara tylko po części mogła się oddać przyjemnym doznaniom, bo była pewna, że połowa personelu i pacjentów szpitala wygląda ciekawie między listewkami żaluzji na to przedstawienie rozgrywające się na środku ulicy.

Delikatnie odepchnęła Jeffrey'a i powiedziała:

- Nie mam zamiaru skończyć jako jeszcze jedna „miejskowa ciekawostka” dla następnej dziewczyny, którą tu przywieziesz.

- Myślisz, że przyjeżdżałem tu z innymi dziewczynami? - zapytał tonem, po którym trudno było nawet rozpoznać, czy mówi poważnie.

Za nimi rozległ się klakson, toteż Jeffrey ruszył dalej przez miasto z przepisową szybkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Wolała mu nie wytykać, że dostosował się do ograniczenia prędkości po raz pierwszy od czasu, jak usiadł za kierownicą. Coś się zmieniło w atmosferze, jaką wokół siebie roztaczał, ale nie potrafiła tego sprecyzować. Zanim jednak zdążyła sformułować w myślach pytanie, zaraz za szpitalem skręcił w boczną uliczkę, a chwilę później na podjazd i zatrzymał wóz za granatowym pikapem. O poręcz werandy stał oparty różowy dziecięcy rowerek, opona wisząca pod konarem rozłożystego dębu pełniła rolę huśtawki.

- Tu mieszka twoja matka? - zdziwiła się Sara.

- Nie, to ostatni przystanek - odparł z nieco wymuszonym uśmiechem. - Zaraz wrócę.

Otworzył drzwi i wysiadł, nim zdążyła zapytać, kto tu mieszka.

Patrzyła, jak Jeffrey wbiega na werandę i puka do drzwi. Wetknął ręce do kieszeni, odwrócił się i zaczął się rozglądać. Pomachała mu ręką, ale szybko pojęła, że nie widzi jej z powodu odbłasku słońca na szybach. Zapukał po raz drugi, ale wciąż nikt nie otwierał. Znowu odwrócił się w stronę samochodu i osłaniając oczy od słońca, uniósł w górę palec, dając jej znak, że wróci za minutę. Otworzyła drzwi i także wysiadła, kiedy zniknął za rogiem budynku.

Rozejrzała się ciekawie po okolicy, czekając na jego powrót. Uliczka do złudzenia przypominała jej Avondale, które akurat nie było najładniejszą częścią Heartsdale. Sądząc po wyglądzie, domy zbudowano w pośpiechu dla żołnierzy wracających z frontów drugiej wojny światowej, gotowych do założenia rodziny, by jak najszybciej zapomnieć o wojennym koszmarze. Pod koniec lat czterdziestych musiało to być ładne osiedle, od tamtego czasu jednak bardzo podupadło. Przed niektórymi posesjami stały na klockach rozsypujące się graty aut pozbawione kół, wiele trawników porastało zielsko. Ze ścian większości domów płatami obłaziła farba, ze szpar między płytami chodnikowymi wyrastała trawa. Niektórzy właściciele jeszcze się nie poddali w tej z góry przegranej bitwie, ich trawniki były starannie przystrzyżone, ściany domów okrywały wielkie tafle winylowych okładzin. Ten, przed który zajechał Jeffrey, należał właśnie do tej drugiej kategorii. Frontowe podwórze było zadbane i wypielęgnowane, a wysypane żwirem ścieżki dokładnie zagrabione.

Ruszyła powoli w stronę domu, obchodząc pikapą. Miał z boku wymalowany szeroki, pomarańczowy pas z ciągnącym się przez całą długość granatowym napisem: AUBURN TIGERS. Przed frontowymi drzwiami widniała przymocowana do poręczy werandy pomarańczowa chorągiewka z granatowym odciskiem tygryziej łapy.

Zwróciła uwagę, że nawet skrzynka na listy przy ulicy nosi barwy pomarańczowo-granatowe. Najwyraźniej mieszkał tu zagorzały kibic uczelnianej drużyny piłkarskiej.

Niespodziewanie na podjazd wypadł nieduży pies i skoczył na nią, opierając ubłocone łapy o jej spódnicę.

- Nie - syknęła, ale bez rezultatu. Kucnęła więc przy podnieconym zwierzaku, mając nadzieję, że to go powstrzyma od skakania.

Pies szczeknął radośnie i aż odwróciła głowę pod wpływem nieprzyjemnego zapachu z jego pyska. Poczochrała mu palcami sierść na łebku, myśląc, że jeszcze nigdy nie spotkała tak brzydkiego kundla. Mniej więcej do połowy długości ciała miał gęstą poskręcaną sierść niczym pudel, ale łapy pokrywała twarda szczecina jak u teriera. Jego maść stanowiła przedziwną mieszankę odcieni czarnego, szarego i brązowego. Oczy miał wybałuszone, jakby ktoś ścisnął mu jądra, choć już na pierwszy rzut oka było widać, że to suczka.

Sara wstała i spróbowała otrzepać kurz ze spódnicy, jednakże pył z Alabamy w niczym nie przypominał gliniastych gleb z Georgii. Chyba tylko długotrwałe namaczanie w wodzie z mydłem było w stanie usunąć te plamy.

- Spokój! - rozległ się od strony ulicy męski głos. Sara spłoniła się, zanim zrozumiała, że nie było to skierowane do niej.

Mężczyzna w jednym ręku trzymał papierową torbę z zakupami, a drugą poklepał się po udzie i zawołał:

- Tig! Do nogi!

Suczka jednak ani myślała odczepić się od nóg nowej znajomej, toteż mężczyzna zaśmiał się głośno i ruszył przez podwórze. Stanął przed Sarą, obrzucił ją taksującym spojrzeniem od stóp do głów i aż gwizdnął przez zęby.

- Złotko, jeśli należysz do Świadków Jehowy, to jestem gotów od razu się przechrzcie.

Stuknęły frontowe drzwi domu i na werandę wyszła ciemnowłosa kobieta mniej więcej w jej wieku.

- Nie słuchaj tego starego głupka - powiedziała, obrzucając ją równie uważnym spojrzeniem, ale zdecydowanie wyzbytym choćby cienia podziwu. - Sara, zgadza się?

- Tak - wybąkała.

- Jestem Darnell, ale wszyscy mówią mi Neli. A to mój mąż, Jerry.

- Mów mi Opos - rzekł gospodarz, unosząc dłoń do daszka czapeczki baseballowej w kolorach pomarańczowym i granatowym.

Zmieszana Sara wydukała:

- Bardzo mi miło państwa poznać.

- Pani pozwoli - rzucił dwornie Opos, jeszcze raz uniósł dłoń do czapeczki i ruszył przodem w stronę domu.

Neli wpuściła do środka psa, ale Sarze zastąpiła drogę.

- Zatem - mruknęła, opierając się łokciem na klamce - jesteś nową zdobyczą Jeffreya?

Nie wiedziała, czy uznać to za żart, ale miała dość podobnego traktowania w rodzinnych stronach. Skrzyżowała ręce na piersiach i mruknęła z rezygnacją:

- Na to wygląda.

Neli wykrzywiła usta w bok, dając do zrozumienia, że jeszcze nie skończyła.

- Jesteś stewardesą czy striptizerką?

Sara zaśmiała się krótko, ale szybko spoważniała, widząc minę gospodyni. Zadarła dumnie brodę i bez namysłu wybrała striptizerkę, gdyż brzmiało to bardziej egzotycznie.

Neli obrzuciła ją ostrym spojrzeniem spod przymrużonych powiek.

- Jeffrey mówił, że pracujesz z dziećmi. Próbowала wymyślić jakąś ciętą ripostę, ale zdobyła się tylko na idiotyczne stwierdzenie:

- Pozuję do aktów z balonikami w kształcie zwierzątek.

- Aha. - Kobieta wreszcie odsunęła się na bok. - Wszyscy są na tylnym podwórku.

Sara weszła do skromnie urządzonego saloniku, w którym ilość pamiątek drużyny piłkarskiej z Auburn była już chyba niezgodna z prawem. Nad kominkiem wisiały pompony cheerleaderek i proporzyczki w klubowych barwach, centralne miejsce nad gzymsem zajmowała rozpięta na stelażu dżersejowa koszulka z numerem siedemnastym. W rogu na okrągłym stoliku do kawy pod szklanym kloszem stała makieta przedstawiająca zapewne uniwersytecki kampus. Na regale piętrzył się stos czasopism poświęconych uczelnianej lidze futbolowej, nawet klosz nocnej lampki był ozdobiony pomarańczowo-granatowym emblematem z literami AU.

Neli poprowadziła ją korytarzem do drzwi prowadzących na tylne podwórze, lecz Sara przystanęła przed oprawioną w ramki stroną tytułową pisma „SEC Monthly”. Na okładce znajdowało się zdjęcie Jeffreya stojącego na środkowej linii boiska. Włosy miał dłuższe niż obecnie, a delikatny chłopięcy zarost pozwalał szacować, że fotografia pochodzi mniej więcej sprzed piętnastu lat. Był ubrany w granatową piłkarską koszulkę i trzymał stopę opartą na jajowatej piłce futbolowej. Pod zdjęciem znajdował się napis: „Nowa gwiazda Tigersów?”.

Niemal odruchowo zapytała:

- To on grał zawodowo w drużynie z Auburn? Darnell wreszcie się roześmiała.

- Zaciągnął cię do łóżka, nie chwając się wcześniej swoim złotym sygnetem za udział w rozgrywkach o „Cukrowy Puchar”? - zapytała, wprawiając Sarę równocześnie w osłupienie i zmieszanie.

- Hej! - zawołał Jeffrey, pojawiwszy się w korytarzu zdecydowanie za późno jak na jej gust. W rękę trzymał butelkę piwa. - Widzę, że już się poznałyście.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś, że ona jest striptizerką, Spryciarzu?

- Bo występuje jedynie w weekendy - odparł, podając butelkę gospodyni. - I to tylko do chwili, aż wystarczająco się naładuje adrenaliną.

Sara próbowała spojrzeć mu w oczy i dać do zrozumienia, że ma ochotę natychmiast się stąd wynieść, lecz albo trzy miesiące jeszcze nie wystarczyły, by nauczył się czytać w jej myślach, albo też był w pełni świadom, jak została potraktowana, tyle że nic go to nie obchodziło. Chwilę później jego ironiczny uśmiech zdradził jej, jak jest naprawdę.

Objął ją za ramiona, przyciągnął do siebie i cmoknął w czoło. Odebrała to jak niemiłą prośbę, żeby grała dalej swoją rolę i nie marudziła. Pospiesznie uszczypnęła go pod pachą, co miało znaczyć, że nie godzi się na takie przedstawienie.

Skrzywił się i potarł obolałe miejsce.

- Neli, możesz nas zostawić na minutkę? Gospodyni poszła dalej i skręciła w bok, zapewne do kuchni. Przez otwarte drzwi na końcu korytarza widać było basen kąpielowy na podwórku i jeszcze jedną parę siedzącą nad nim na składanych turystycznych krzeselkach. Gdzieś dalej ujadały psy. Opos stał przy grillu z długim widelcem w dłoni. Pomachał im ręką.

- Coś mi się zdaje, że ten postój był z góry zaplanowany - syknęła Sara.

- Słucham?

Starła się mówić cicho z obawy, że Neli zapewne ich podsłuchuje.

- Czy to jakiś rodzaj indoktrynacji, jaką stosujesz wobec wszystkich swoich nowych zdobyczy?

- Nie rozumiem. Wskazała wejście do kuchni.

- Tak mnie określiła twoja przyjaciółka. Skrzywił się z niesmakiem.

- Ona po prostu...

- Wzięła mnie za jedną z twoich dziewczuch - wpadła mu w słowo, coraz bardziej rozżłoszczona. - Jak wynika z tego, co powiedziała, dokładnie takie miejsce przypisała mi u twego boku.

Uśmiechnął się niepewnie.

- Saro, skarbie...

- Nie waż się więcej nazywać mnie w ten sposób, palancie.

- Nie chciałem...

- Nie wiem, za kogo się uważasz, do cholery - szepnęła z naciskiem, ledwie zdolna dobrać z siebie głos - że przyciągnąłeś mnie taki kawał drogi za przekłętą granicę stanu, by tu wystawić na pośmiewisko, wiedz jednak, że mnie się to nie podoba i masz najwyżej dwie sekundy, żeby pożegnać się z gospodarzami, bo ja wracam do Heartsdale i nawet się nie obejrzę, czy będziesz ze mną w samochodzie, czy nie.

Minęły jednak co najmniej trzy sekundy, zanim wybuchnął gromkim śmiechem.

- Na Boga! - rzekł. - Nie powiedziałaś aż tyle naraz przez całą dotychczasową podróż.

Była tak rozwścieczona, że z całej siły grzmotnęła go pięścią w ramię.

- Auu - jęknął, rozmasowując rękę.

- I to ma być wielka gwiazda futbolu?! Zawodnik, który się boi uderzenia kobiety?! - Walnęła go drugi raz. - Właściwie dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś, że grałeś w drużynie zawodowej?

- Myślałem, że wszyscy to wiedzą.

- Niby skąd? Powinnam się była dowiedzieć od Rhondy z banku? - Zamierzyła się po raz kolejny, ale złapał ją za rękę. - Czy od tej zdziry z zakładu produkcji szyldów? - Próbowała wyrwać rękę z jego uścisku, ale nie puszczał.

- Skarbie... - zająknął się i uśmiechnął nieśmiało, jakby gotów był spełnić każdą jej zachciankę. - Saro...

- Myślisz, że nie wiem, że podrywałeś niemal każdą dziewczynę w mieście?

Zrobił obrażoną minę.

- Dla mnie były tylko jak kartki z kalendarza, bo czekałem na ciebie.

- Nie chrzań!

Obrócił ją do siebie i objął w pasie.

- W rozmowach ze swoją mamą też się tak wyrażasz? Próbowała się uwolnić, ale przycisnął ją plecami do ściany. Poczula dobrze znane sensacje wywołane bliskością jego ciała, jednakże w takiej chwili potrafiła myśleć tylko o tym, że jego przyjaciele przyglądają im się z podwórka przez otwarte drzwi. Spodziewała się podświadomie, że zaraz pocałuje ją żarliwie bądź w jakikolwiek inny sposób okaże

swą męską wyższość, po czym wyciągnie na zewnątrz, żeby zrobić rundę honorową wokół basenu, zbierając entuzjastyczne owacje Oposa, ale on tylko delikatnie cmoknął ją w czoło i mruknął:

- Jestem tu po raz pierwszy od sześciu lat. Spojrzała mu w oczy głównie dlatego, że trzymał twarz tuż przy jej twarzy.

Nagle stuknęły siatkowe drzwi i do korytarza wkroczył najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego Sara widziała na oczy, nie licząc okładek kolorowych czasopism. Był równie wysoki jak Jeffrey, ale jeszcze szerszy w ramionach i z bardziej zawadiacką miną.

Kiedy zaś otworzył usta, jej uszy mile połaskotał najśpiwniejszy południowy akcent, jaki do tej pory słyszała.

- Czyżbyś się bał przedstawić mi swą nową dziewczynę, Spryciarzu?

- Skądże znowu - wypalił Jeffrey i odwrócił się do niego, nie cofając jednak ręki zaborczo opartej na biodrze Sary. - Skarbie, poznaj Prysacza, który razem z Oposem był moim najlepszym kumplem w okresie dorastania.

- Z którego nadal nie wyszedłeś - odparł tamten, grożąc Jeffreyowi pięścią. - Teraz jestem już tylko Robertem.

Opos zawołał z podwórka:

- Czy któryś z was mógłby mi podzucić hamburgery z lodówki?!

- Może się tym zajmiesz, Spryciarzu? - zapytał pospiesznie Robert, po czym wziął Sarę pod rękę i poprowadził w głąb korytarza, zanim Jeffrey zdążył zareagować.

Otworzył przed nią siatkowe drzwi i zapytał:

- Jak minęła podróż?

- Dobrze - odparła, myśląc, że to sprawa dyskusyjna. Wołała jednak znaleźć jakieś pozytywy, toteż dodała pospiesznie: - Mój Boże, cóż za wspaniały ogród.

Opos natychmiast się rozpromienił.

- Neli uwielbia się nim zajmować.

- To widać.

Mówiła całkiem szczerze. Wszędzie było pełno różnokolorowych kwiatów, które zwieszały się ze skrzynek stojących na poręczy werandy i pięły się po drewnianym płotku. Na tyłach podwórka stała olbrzymia magnolia, a w jej cieniu wisiał hamak. Płot za nią zasłaniało kilka wybujałych krzaków ostrokrzewu. Gdyby nie psy ujadające na sąsiednim podwórku, byłaby to prawdziwa oaza ciszy i spokoju.

- Rety! - huknął Robert, który o mało się nie potknął, gdy suczka skoczyła mu

do nóg.

- Tig! - krzyknął Opos bez przekonania.

Kundel wskoczył do basenu, przepłynął go w poprzek, wdrapał się na drugi brzeg i zaczął tarzać w trawie, wierzgając łapami w powietrzu.

- Kurde - mruknął Opos. - Ile ja bym dał za takie beztróskie życie.

Kobieta siedząca na krzeselku przodem do basenu obejrzała się przez ramię.

- Ona już na pewno wie o nas wszystko od Jeffreya. - Poklepała puste krzeselko obok siebie. - Chodź, usiądź przy mnie, Saro. Nie jestem taką żołą jak Neli.

Sara z radością skorzystała z tej propozycji.

- Jessie - przedstawiła się kobieta. Leniwym gestem wskazała Roberta i wyjaśniła: - Ten okaz to mój mąż. - Z takim naciskiem wypowiedziała ostatnie słowo, że w jej ustach nabrało niemal pornograficznego znaczenia.

- Sprawia wrażenie bardzo miłego - odparła Sara.

- Jak każdy, dopóki się go nie pozna. Od jak dawna znasz Spryciarza?

- Nie za długo - przyznała otwarcie, zastanawiając się, czy tutaj wszyscy posługują się przezwiskami. Odnosiła mętne wrażenie, że Jessie ma jeszcze gorszy charakter od Neli. Była tylko kulturalniejsza. Wyraźnie czuć było od niej alkoholem, niewykluczone, że spora dawka trunku wpłynęła na jej łagodne usposobienie.

- Wszyscy są bardzo zżyci - powiedziała Jessie, wychylając się z krzesła, żeby sięgnąć po kieliszek z winem. - Ja jestem wśród nich nowa, co znaczy, że mieszkam tu dopiero od dwudziestu lat. Przeniosłam się z południa po pierwszym roku studiów.

Rzeczywiście mówiła z akcentem z wybrzeża Alabamy.

- Robert jest gliniarzem, tak samo jak Jeffrey. To miłe, prawda? Dawniej nazywałam ich Mutt i Jeff, tyle że Jeffrey nie cierpi tego zdrobnienia. - Pociągnęła spory łyk wina. - Natomiast Opos prowadzi sklep obok baru Tasty Dog. Żałuj, że nie masz okazji poznać ich dzieci, zwłaszcza starszego syna. To przeuroczy chłopak. Dzieci to jedyna prawdziwa radość człowieka. Mam rację, Bob?

- Co mówiłaś, kochanie? - zapytał Robert, chociaż Sara była pewna, że musiał wszystko słyszeć.

Neli usiadła po drugiej stronie Sary i podała jej butelkę piwa.

- To na znak pokoju - powiedziała.

Sara wzięła od niej butelkę, chociaż nie lubiła piwa, zawsze uważała je za obrzydliwe popłuczyny. Zdobyła się jednak na wysiłek i przyznała:

- Masz przepiękny ogród.

Neli wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze.

- Azalie w tym roku przekwitły wyjątkowo wcześnie. Sąsiadów nigdy nie ma w domu i nikt nie zajmuje się psem, który wiecznie ujada. Poza tym nie mogę się pozbyć mrówek, które założyły mrowisko pod hamakiem, chociaż Jared ciągle podrzuca mi pędy trującego bluszczu. Nie mam nawet pojęcia, skąd je bierze. - Urwała, żeby zaczerpnąć tchu. - Ale dziękuję. Staram się, żeby było ładnie.

Sara obejrzała się, chcąc wciągnąć Jessie do rozmowy, ta jednak miała oczy zamknięte.

- Pewnie już zasnęła. - Neli energicznie powachlowała się dłonią. - Przepraszam, że byłam dla ciebie taka nieprzyjemna.

Sara nie zareagowała.

- Zazwyczaj nie jestem aż taka drażliwa. Gdyby Jessie nie spała, pewnie powiedziałałaby ci co innego, ale jak można wierzyć kobiecie, która opróżnia butelkę wina jeszcze przed czwartą po południu, i to nie tylko w niedzielę. - Odpędziła od siebie muchę. - Mówiła ci już, że jest tu nowa?

Przytaknęła ruchem głowy, próbując się w tym połapać.

- Powinnaś się cieszyć, że zasnęła. Za parę minut zaczęłaby cię zanudzać wyznaniem, jak to zawsze jest zdana na łaskę nieznajomych.

Sara pociągnęła łyk piwa z butelki.

- Spryciarz bardzo długo nas nie odwiedzał. Wyjechał z miasta w takim pośpiechu, jakby ktoś mu polał portki benzyną i podpalił. - Umilkła na krótko. - Chyba byłam na niego wściekła, a skrupiło się na tobie. - Oparła dłoń na poręczu krzeselka Sary. - Jeszcze raz przepraszam, że pokazałam ci się od najgorszej strony.

- Przeprasiny przyjęte.

- O mało mnie szlag nie trafił, jak powiedziałaś o tych balonikach w kształcie zwierzątek. - Zaśmiała się. - Spryciarz mówił, że jesteś lekarką, ale nie chciało mi się w to wierzyć.

- To prawda. Jestem pediatrą. Neli rozsiadła się wygodniej.

- Trzeba być bardzo mądrym, żeby się dostać na studia medyczne. Mam rację?

- Mniej więcej.

Gospodyni z uznaniem pokiwała głową.

- W takim razie zakładam, że dobrze wiesz, co robisz z Jeffreyem.

- Dzięki - odparła zupełnie poważnie Sara. - Jesteś pierwszą osobą, która mi to

mówi.

Neli spoważniała nagle i popatrzyła na nią z wyraźnym politowaniem.

- Nie zdziw się, jeśli będę nie tylko pierwszą, ale i ostatnią.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W ciągu pięciu godzin spędzonych u Neli dowiedziała się znacznie więcej o Jeffreyu Tolliverze niż przez trzy miesiące ich bliskiej znajomości. Jego matka była nieuleczalną alkoholiczką, a ojciec siedział w więzieniu za coś, o czym nikt nie chciał mówić. Jeffrey rzucił studia w Auburn po drugim roku i wstąpił do policji, nie tłumacząc nikomu powodów tej decyzji. Wspaniale tańczył i nie znosił bobu. Zdecydowanie nie należał do kandydatów na męża i ojca, ale o tym sama wiedziała. Po prostu był żywym uosobieniem określenia „zaprzysięgły kawaler”.

Biorąc pod uwagę, że większość podobnych informacji Neli wymamrotała pod nosem w trakcie wyjątkowo wciągającej partii gry w tysiąc pytań, Sara miała świadomość, że zapoznała się tylko z samymi nagłówkami, nie mając dostępu do pełnej treści reportażu. Było już całkiem ciemno, kiedy się pożegnali i ruszyli pieszo do domu matki Jeffreya. Zaczęła rozmyślać, jak dowiedzieć się czegoś więcej.

Zaczęła od pytania:

- Czym zajmuje się twoja matka?
- Różnymi rzeczami - odparł wymijająco.
- A tata?

Przełożył walizkę do drugiej ręki i objął ją ramieniem.

- Odniosłem wrażenie, że nieźle się dzisiaj bawiłaś.
- Spodobało mi się trzeźwe spojrzenie Neli na życie.
- Ona uwielbia brzmienie własnego głosu. - Przesunął dłoń na jej biodro. - Nie

dawałbym wiary we wszystko, co mówi.

- Dlaczego?

Opuścił rękę jeszcze trochę niżej i pochylił się do jej karku.

- Ślicznie pachniesz.

Wiedziała, do czego zmierza, ale nie chciała zmieniać tematu.

- Jesteś pewien, że twoja matka nie będzie miała nic przeciwko temu, byśmy u niej przenocowali?

- Dzwoniłem do niej od Neli parę godzin temu - odparł. - Pamiętasz, jak z zapartym tchem wysłuchiwałaś historii mego życia?

Obrzucił ją spojrzeniem świadczącym wyraźnie, że doskonale wie, o czym

Neli jej opowiadała, Sara zakładała jednak, że nie zabrałby jej na spotkanie ze swymi przyjaciółmi, gdyby się nie domyślał, że tak właśnie będzie.

Postanowiła to wykorzystać.

- Poszedłeś na łatwiznę. Wolałeś, bym dowiedziała się o tobie od kogoś innego.

- Ale też powiedziałem, że nie warto wierzyć we wszystko, co wygaduje Neli.

- Przecież się znacie od początku podstawówki.

- Ale ona nie należy do moich wielbicielek. Zrozumiała wreszcie przyczynę wyczuwalnego napięcia panującego między nimi.

- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że z nią też chodziłeś?

Nie odpowiedział, co uznała za potwierdzenie.

- To już tutaj - mruknął, wskazując dom, przed którym stał poobijany Chevrolet impala.

Mimo że Jeffrey uprzedził telefonicznie o przyjeździe, matka nie zadała sobie trudu, by zostawić zapalone światło. Dom był pogrążony w ciemnościach.

- Nie lepiej byłoby przenocować w motelu? - zapytała niepewnie Sara.

Zaśmiał się i złapał ją pod rękę, gdy potknęła się na nierównej żwirowej ścieżce.

- Tu nie ma żadnego motelu, nie licząc przybytku na tyłach baru przy autostradzie, w którym kierowcy ciężarówek wynajmują pokoje na godziny.

- Brzmi romantycznie.

- Może dla niektórych - bąknął, prowadząc ją do schodków na werandę.

Mimo ciemności szybko zaklasyfikowała jego rodzinny dom do kategorii tych, które podupadły. Jeffrey rzucił ostrzegawczo:

- Uważaj na obłuzowane deski.

Stanął przed drzwiami i przeciągnął dłonią po górnej krawędzi framugi.

- Zamknęła drzwi na klucz?

- Okradli nas, kiedy miałem dwanaście lat - wyjaśnił, po omacku próbując wetknąć klucz w dziurkę. - Od tamtej pory matka żyje w strachu.

Stuknęła otwierana zasuwka. Wypaczone drzwi zaklinowały się na dole, toteż musiał je popchnąć nogą. Otworzył szeroko i rzekł:

- Witaj w moich progach. W środku wisiał dojmujący smród zatęchłego dymu papierosowego i alkoholu. Na szczęście mrok ukrył kwaśną minę Sary. Czuła się coraz bardziej nieswojo. Nie miała pojęcia, jak zdoła spędzić tu noc, nie mówiąc już o

dłuższym pobycie.

- Śmiało - rzekł zachęcająco, wskazując drogę na wprost.

- Nie powinniśmy być cicho? - zapytała szeptem.

- Matki nie obudziłoby nawet ryczące tornado - odparł i zamknął drzwi.

Sądząc po odgłosie, wrzucił klucz do szklanej wazy.

Sara poczuła jego dłoń na swoim ramieniu.

- Tędy - skierował ją nieco w bok.

Zrobiła najwyżej cztery kroki, gdy zamajaczył przed nią wielki stół w jadalni.

Okrążyli go i chwilę później znaleźli się w krótkim korytarzyku oświetlonym przez słabą nocną lampkę. Na wprost znajdowało się wejście do łazienki, po obu jej stronach były zamknięte drzwi do pokoiów. Jeffrey otworzył te z prawej, przepuścił ją przodem, zamknął za sobą drzwi i dopiero wtedy zapalił światło.

- Och... - zająknęła się, nagle oślepiąca, i zamrugła szybko.

Pokój był nieduży. W rogu pod oknem stał podwójny tapczan z zieloną pościelą, nieprzykryty żadną kapą. Wokół na ścianach wisiały plakaty z rozneglizowanymi dziewczętami, honorowe miejsce nad łóżkiem zajmowała podobizna Farrah Fawcett. Tylko drzwi szafy wyróżniały się pośród tej monotematycznej dekoracji, gdyż ozdobił je plakat przedstawiający wiśniowy kabriolet mustang z pochyloną nad jego maską oszałamiającą blondynką, zapewne mającą trudności z przyjęciem wyprostowanej postawy ze względu na ciężar niesamowicie naszprycowanych silikonem baloniastych piersi.

- Cudownie - mruknęła Sara, zachodząc w głowę, jak w takim razie wyglądają wnętrza motelu.

Chyba po raz pierwszy ujrzała zakłopotanie w jego oczach.

- Matka niczego tu nie ruszała od czasu mojego wyjazdu.

- To widać.

Mimo wszystko poczuła się zaintrygowana. W okresie dorastania rodzice wyraźnie dali jej do zrozumienia, że ma zabroniony wstęp do pokoiów chłopców, toteż nie miała nawet okazji ich nigdy zobaczyć. O ile plakat z Farrah Fawcett ani trochę jej nie zaskoczył, to jednak zdumiała ją panująca tu, ledwie wyczuwalna atmosfera. Na szczęście nie był to odór dymu nikotynowego i alkoholu, lecz tylko testosteronu i męskiego potu.

Jeffrey postawił walizkę na podłodze i rozpiął suwak.

- Zdaję sobie sprawę, że nie przywykłaś do takich warunków - rzekł, nadal

zmieszany.

Próbowała spojrzeć mu w twarz, ale zaczął wypakowywać swoje rzeczy z torby podróżnej. Pojęła szybko, że musiał się poczuć zawstydzony stanem rodzinnego domu. Pewnie się bał, że ona pomyśli coś złego, widząc warunki, w jakich się wychowywał. W tym świetle popatrzyła na jego pokój zupełnie innym wzrokiem, zwracając uwagę, że wszystkie rzeczy są starannie poukładane, a plakaty na ścianach rozmieszczone równiutko, jakby rozwieszał je przy linijce. Przypomniała sobie, że w jego domu w Heartsdale również widać tę samą dbałość o ład i porządek. Była w nim zaledwie dwa razy, lecz nigdzie nie zauważyła typowo kawalerskiego bałaganu.

- Nie przejmuj się tym - powiedziała.

- Dobra - mruknął, ale bez przekonania. Wyjął szczoteczkę i pastę do zębów, po czym rzucił: - Zaraz wrócę.

Popatrzyła, jak wychodzi na korytarz i po cichu zamyka za sobą drzwi. Postanowiła skorzystać z okazji i szybko przebrała się w piżamę, wciąż zerkając na drzwi z obawy, że lada chwila wejdzie tu jego matka. Neli nie wyrażała się nazbyt pochlebnie o May Tolliver, toteż Sara wolała uniknąć sytuacji, w której będzie musiała się przedstawiać z gołym tyłkiem.

Potem usiadła na podłodze i zaczęła grzebać w walizce w poszukiwaniu szczotki. Znalazła ją zawiniętą w parę szortów. Udało jej się bez większej szkody dla siebie powyciągać spinki z włosów, które były splątane i skołtunione. Rozczesując je, zaczęła się ciekawie rozglądać, zwracając baczną uwagę na dobór plakatów i przedmiotów zgromadzonych przez Jeffreya w czasach młodości. Na parapecie okiennym leżało kilka zasuszonych kości szkieletu jakiegoś małego zwierzątka. Na nocnym stoliku, który sprawiał wrażenie ręcznie robionego, obok małej lampki stała zielona szklana miseczka, w której leżała garstka drobnych monet. Na biurku przy ścianie dostrzegła parę kolorowych okładek kaset magnetofonowych, a same kasety stały poustawiane w plastikowej skrzynce od mleka, przy czym każda była zaopatrzona w nalepkę ze spisem nagranych piosenek. Naprzeciwko tapczanu znajdowała się prowizoryczna półka zrobiona z surowej deski ułożonej na ceglach, wypełniona od końca do końca książkami. Spodziewała się ujrzeć kolekcję komiksów, ewentualnie jakieś powieści przygodowe, toteż w zdumienie wprawiły ją tytuły na grzbietach opasłych tomów: Strategiczne bitwy wojny secesyjnej czy też Socjologiczne i polityczne konsekwencje odbudowy rolniczego południa Stanów Zjednoczonych.

Odłożyła szczotkę i zdjęła z półki jeden z cieńszych podręczników. Na karcie tytułowej ujrzała wypisane nazwisko Jeffreya, datę oraz tygodniowy rozkład zajęć na uczelni. Kartkując książkę, zwróciła uwagę na liczne notatki na marginesach oraz podkreślone czy pokolorowane żółtym zakreślaczem co ciekawsze fragmenty tekstu. Uświadomiła sobie ze zdumieniem, że po raz pierwszy ma okazję podziwiać jego nadzwyczaj staranny charakter pisma. W przeciwieństwie do jej bazgrołów, Jeffrey miał piękny, wręcz kaligraficzny charakter pisma, jakiego nie uczono już w szkołach. Precyzyjnie łączył wszystkie litery w każdym wyrazie, a zbiegające w dół ogonki były niemal identyczne, jak spod sztancy. W dodatku pisał prościutko na gładkim papierze, a nie ukosem, jak większość ludzi niekorzystających z kartek w linię czy kratkę.

Przecięgnęła palcem po jego zapiskach, wyczuwając zagłębienia w papierze, jakby litery zostały w nim wyciśnięte długopisem. Najwyraźniej musiał go bardzo mocno dociskać do papieru.

- Co robisz?

Poczuła się zakłopotana, jakby przyłapano ją na czytaniu pamiętnika.

- Wojna secesyjna? - zapytała zdumiona. Klęknął przy niej i wyjął jej książkę z ręki.

- Studiowałem historię Stanów Zjednoczonych.

- Ciągłe mnie zaskakujesz, „Spryciarzu”.

Skrzywił się, słysząc to przezwisko. Odstawił podręcznik na miejsce i starannie wyrównał, żeby jego grzbiet nie wystawał z szeregu. Na półce została ciemniejsza smuga po startym kurzu. Wyciągnął cieniutką broszurkę oprawioną w skórę, w której złotymi literami wytłoczono tylko jedno słowo: LISTY.

- To przykłady korespondencji, jaką żołnierze wysyłali z frontu do swoich ukochanych - wyjaśnił. Otworzył książkę na wybranej stronie, która musiała być bliska jego sercu, odchrząknął i zaczął czytać: - „Najdroższa. Nadchodzi noc, a ja nie mogę zasnąć i zastanawiam się nad tym, jakim człowiekiem się stałem. Patrzę w czarne niebo, rozmyślając, czy ty również wpatrujesz się w te same gwiazdy, i modłę się, byś zachowała w swej pamięci wizerunek tego człowieka, jakim byłem przy tobie. Modłę się, abyś nadal widziała w nim mnie”.

Jeszcze przez chwilę z dziwnym uśmiechem spoglądał na tekst, jakby z tą książką wiązała się jakaś jego tajemnica. Czytał jednak w taki sam sposób, w jaki się z nią kochał: namiętnie, ale z rozważą i wyczuciem. Miała ochotę, żeby jeszcze coś przeczytał, ukołysał ją do snu miękkiem brzmieniem swego głosu, ale tylko westchnął

głośno, zamknął broszurę i odstawiając ją na miejsce, rzekł:

- Powiniennem był sprzedać te wszystkie podręczniki, jak tylko skończył się rok akademicki, ale jakoś nie miałem serca.

Bała się poprosić, żeby czytał dalej.

- Ja także zachowałam część swoich książek - powiedziała.

Usiadł za nią, otaczając ją nogami.

- Tyle że mnie nie było na to stać.

- Myślisz, że jestem bogata? - zapytała, lekko rozdrażniona. - Przecież mój ojciec jest zwykłym hydraulikiem.

- Do którego należy pół miasta.

Zbyła tę uwagę milczeniem, mając nadzieję, że nie zechce drażnić tematu.

Rzeczywiście, Eddie Linton od ukończenia college'u szczęśliwie inwestował pieniądze, o czym Jeffrey miał okazję się przekonać, gdy kilka razy interweniował w wynajętych lokalach po odebraniu skarg na zbyt hałaśliwych sąsiadów.

Prawdopodobnie według standardów Jeffreyego rodzina Lintonów była bogata, niemniej obie z Tessą wychowywały się z rygorystycznym założeniem, że w żadnym wypadku nie wolno im wydawać więcej, niż mają aktualnie w kieszeni, a tego zawsze było mało.

- Podejrzewam, że Neli powiedziała ci też o moim ojcu.

- Niewiele.

Zaśmiał się krótko i nerwowo.

- Jimmy Tolliver był drobnym oszustem i krętaczem, który postanowił zorganizować wielki skok. Podczas napadu na bank zginęło dwóch ludzi, dlatego wylądował za kratkami bez możliwości przedterminowego zwolnienia. - Sięgnął po szczotkę do włosów. - Każdy w tym mieście powie ci, że nie jestem więcej wart od niego.

- Bardzo w to wątpię. - Pracowała z nim przy kilku sprawach i zdążyła się przekonać, że gotów byłby nawet zrezygnować z własnych przekonań, byle tylko postąpić uczciwie. Ta kryształowa czystość charakteru była chyba najpoważniejszą rzeczą spośród tych wszystkich, jakie ją w nim pociągały.

- W młodości miałem z tego powodu sporo kłopotów - powiedział.

- Jak większość dorastających chłopaków.

- Ale ja mówię o kłopotach z policją.

Nie wiedziała, jak zareagować. Na pewno nie mógł mieć specjalnie

zabazgranej kartoteki, bo władze żadnego stanu nie przyjęłyby go do służby w policji, a co dopiero mówić o mianowaniu na stanowisko komendanta.

- Myślę, że za to nasłuchiwałaś się od Neli na temat mojej matki - rzekł.

Nadał milczała. Zaczął szcztokować jej włosy i zapytał:

- Czy właśnie z tego powodu tak kiepsko ci szła gra w sto pytań? Byłaś zbyt pochłonięta słuchaniem Neli?

- Nigdy nie miałam zacięcia do gier planszowych.

- Tylko planszowych? Aż zamknęła oczy z rozkoszy, jaką sprawiało jej szcztokowanie włosów.

- Przecież wygrałam z tobą w tenisa, pamiętasz? - przypomniała.

- Bo ci na to pozwoliłem - mruknął, chociaż wypruwał sobie żyły, by jej dorównać.

Odsunął jej włosy do tyłu i pocałował ją w kark.

- To znaczy, że masz ochotę na rewanż?

Objął ją w ramionach i przytulił do siebie. Tak umiejętnie wodził czubkiem języka po jej skórze, że błyskawicznie zaczęła się rozluźniać.

Próbowała się od niego odsunąć, ale nie pozwolił. Szepnęła więc:

- Za ścianą śpi twoja matka.

- Za ścianą jest łazienka - odparł, wkładając dłonie pod jej górę od pizamy.

- Jeff... - syknęła, gdy wsunął jedną rękę za gumkę spodni, łapiąc go za palce, by nie próbował dalej.

- Zaufaj mi, absolutnie nic jej nie obudzi - szepnął.

- Nie o to chodzi.

- Przecież zamknąłem drzwi na klucz.

- To po co je zamykałeś, skoro nic nie jest w stanie obudzić twojej matki?

Syknął na nią zupełnie jak nauczyciel na rozgadane go ucznia.

- Czy wiesz, ile nocy w młodości przeleżałem na tym tapczanie, marząc o tym, żeby mieć u swego boku piękną kobietę?

- Wątpię jednak, żebym była pierwszą kobietą, z jaką jesteś w tym pokoju.

- Tutaj? - zapytał, wskazując miejsce, na którym siedzieli.

Wykręciła szyję, by spojrzeć mu w oczy.

- Myślisz, że podziała to na mnie jak afrodyzjak, gdy zaczniesz mi opowiadać, ile kobiet przewinęło się przez ten pokój?

Przesunął się o parę centymetrów do tyłu i pociągnął ją za sobą.

- Więc tutaj na pewno jesteś pierwsza. Westchnęła ciężko.
- To przynajmniej jeden element, który mnie wyróżnia.
- Daj spokój - warknął, nagle poważniejąc.
- Bo co? - odparła zaczepnie.
- Naprawdę nie sypiam z każdą napotkaną kobietą.
- Z tego, co słyszałam...
- Mówię poważnie, Saro. Nie traktuję tego jak sportu.

Jeszcze raz obejrzała się na niego i postanowiła nie ciągnąć tematu.

- Przypomnij sobie, co powiedziałaś swojej matce - rzekł, zsuwając jej kosmyk włosów za ucho. - Wcale nie traktuję cię jak zabawkę. - Zamilkł, po czym odwrócił głowę i zapatrzył się na półkę z książkami. - Zdaję sobie sprawę, że dla ciebie to tylko świetna zabawa, ale nie dla mnie. Dlatego proszę, żebyś przestała w kółko powtarzać głupie plotki, jakie o mnie krążą.

Natychmiast z jej pamięci wypłynęły wszelkie ostrzeżenia przed Jeffreyem, jakie słyszała w ciągu minionych miesięcy, dzięki czemu zdołała się powstrzymać przed zarzuceniem mu rąk na szyję i wyznaniem miłości. Instykt podpowiadał jej, że jednym z powodów, dla których to powiedział, była całkowita nieświadomość, co ona do niego czuje. Bo przecież nie była na tyle głupia, by mu wyznać prawdę.

Jej milczenie najwyraźniej podziałało mu na nerwy, gdyż zagryzł zęby i zapatrzył się w dal ponad jej ramieniem.

Spróbowała zwrócić na siebie jego uwagę, ale z uporem nie chciał na nią spojrzeć. Przeciągnęła więc palcem po jego wargach i uśmiechnęła się, bo zauważyła, że ogolił się specjalnie dla niej. Policzki miał znowu gładkie i pachniał płynem do golenia, który i tak nie mógł zabić zapachu śniadaniowych płatków owsianych.

- Powiedz mi, co naprawdę czujesz - poprosił.

W tym momencie nie ufała sobie na tyle, żeby spełnić tę prośbę. Pocałowała go w policzek, potem w szyję. Kiedy nie odwzajemnił pocałunku, uniosła jego dłoń i pocałowała jej wewnętrzną część, wyczuwając, że właśnie tę rękę trzymał przed chwilą pod jej piżamą.

Objął oburącz jej twarz i w napięciu popatrzył w oczy dziwnym, nieodgadnionym wzrokiem. Wreszcie pocałował ją namiętnie, a kiedy po dłuższej chwili się odsunął, już wiedział, że topnieją w niej ostatnie punkty oporu. Przytknął dłoń do jej piersi i znów zaczął wodzić czubkiem języka po skórze, wywołując w niej coraz silniejsze dreszcze. Bardzo powoli zaczął się zsuwać w dół, omywając ciepłym

oddechem kolejne partie jej ciała aż do podbrzusza. Kiedy wsunął w nią język, nagle poczuła się lekka jak piórko, zmysły wyłączyły się kolejno, by umożliwić jej koncentrację tylko na tym jednym doznaniu. Zanurzyła palce w jego włosach i przyciągnęła go do siebie.

- O co chodzi? - zapytał lekko chrapliwym szeptem.

Bez słowa przytuliła go mocno do siebie i pocałowała gorąco, czując własny zapach na jego wargach. Tym razem nic ich nie poganiało, ale nie mogła się pohamować, żeby nie sięgnąć błyskawicznie do suwaka jego spodni. Próbował jej pomóc, ale ofuknęła go:

- Zostaw!

Chwilę później zacisnęła palce na jego członku.

- Wejź we mnie - powiedziała, po czym zacisnęła mu zęby na uchu, przyprawiając go o gardłowy jęk. - Chcę poczuć cię w sobie.

- Jezu... - szepnął, rozdygotany, próbując się choć trochę opanować. Sięgnął do kieszeni spodni po prezerwatywę, ale złapała go za rękę, przyciągnęła znowu do siebie i pomogła odnaleźć drogę.

Odchyliła głowę do tyłu, kiedy w nią wszedł. Zaczął się poruszać, najpierw powoli, wręcz dramatycznie wolno, dopóki całe jej ciało nie wyprężyło się jak naciągnięta struna skrzypiec. Czuła, jak grają mu mięśnie karku, i mimowolnie wbiła mu paznokcie w skórę, jakby chciała w ten sposób zdopingować go do energiczniejszych ruchów. Utrzymywał jednak powolny rytm, uważnie wpatrując się w jej twarz i tak dostosowując swe poczynania, by kilkakrotnie doprowadzić ją na sam skraj orgazmu, po czym zwolnić i pohamować doznania. Wreszcie zaczął przyspieszać, mocniej napierając na nią biodrami i przygniatając do podłogi ciężarem ciała, dopóki jeszcze bardziej nie odchyliła głowy do tyłu i nie otworzyła szeroko ust. Pocałował ją szybko, chcąc stłumić rodzący się w jej gardle jęk rozkoszy, choć i jego ciało przeszył spazm szczytowania.

- Saro - szepnął jej do ucha, doprowadzając wreszcie do orgazmu.

Objęła go mocniej i przytuliła do siebie, a on zaczął ją znów całować, delikatnie i zmysłowo, wodząc dłonią po twarzy niczym łaszący się kot. Wstrząsały nim jeszcze gasnące dreszcze, toteż przyciągnęła go jeszcze mocniej i zasypała pocałunkami jego wargi, policzek, zamknięte powieki. Wreszcie przetoczył się na bok i ułożył przy niej, oparty na łokciu.

Wzięła głęboki oddech, czując, jak wszystkie nerwy jej ciała rozluźniają się

stopniowo. Ale w głowie nadal jej szumiało i za nic nie mogła rozewrzeć powiek, chociaż bardzo się starała.

Jeffrey musnął końcami palców jej skroń, przeciągnął nimi po zamkniętych oczach i policzku.

- Uwielbiam dotyk twojej skóry - powiedział, przesuając rękę w dół ciała.

Złapała go za dłoń, pozwalając sobie na głośne westchnienie. Mogłaby tak leżeć przy nim choćby i całą noc, może nawet do końca świata. Był jej teraz bliższy niż jakikolwiek inny poznany dotąd mężczyzna. Zdawała sobie sprawę, że nie powinna lekceważyć obaw i choć w pewnym stopniu zachować dystans, ale na razie potrafiła jedynie leżeć bez ruchu i pozwolić mu na wszystko, na co tylko przyjdzie mu ochota.

Dotknął blizny na jej lewym boku i poprosił:

- Opowiedz mi, skąd to masz.

Jej podświadomość zareagowała skrajną paniką, ledwie się powstrzymała, żeby nie odskoczyć.

- Po wyrostku robaczkowym - odparła, choć trudno było ukryć, że to rana od ząbkowanego noża myśliwskiego.

Otworzył już usta, chcąc zapewne spytać, jak może być lekarką i nie wiedzieć, że wyrostek robaczkowy jest po prawej stronie. Ugryzł się jednak w język i rzekł tylko:

- Przeszłaś operację?

Pokiwała głową, mając nadzieję, że to wystarczy. Kłamstwo nie leżało w jej naturze, zdawała sobie sprawę, że nie wolno jej wymyślać żadnych pokrętnych historyjek.

- Ile miałaś wtedy lat?

Wzruszyła ramionami, spoglądając, jak wodzi dłonią wzdłuż blizny, która miała poszarpane brzegi i na pierwszy rzut oka było widać, że nie jest to ślad po skalpelu chirurga, lecz po szerokim ostrzu o ząbkowanym brzegu.

- Na swój sposób to bardzo seksowna blizna - mruknął i pochylił się, by ją pocałować.

Położyła mu rękę na karku i zapatrzyła się w sufit, rozmyślając, że oto kolejne kłamstwo kładzie się cieniem na ich znajomości. A przecież to był dopiero początek. Jeśli myślała o wspólnej przyszłości z Jeffreyem, powinna mu powiedzieć prawdę już teraz, zanim będzie za późno.

Musnął wargami jej usta i szepnął:

- Myślę, że chyba jutro powinniśmy wyjechać z samego rana.

Mimo wszystko nie była w stanie wydusić z siebie prawdy.

- Nie chcesz się pożegnać ze swoimi przyjaciółmi? Wzruszył ramionami.

- Będziemy mogli do nich zadzwonić z Florydy.

- Nie zalewaj. - Usiadła i zaczęła się rozglądać za budzikiem. - Która godzina?

Chciał ją przyciągnąć z powrotem, ale dała nura pod jego rękę, odwróciła się i zaczęła przerzucać rzeczy w walizce.

- Nie widziałeś mojego zegarka?

Ułożył się na wznak i splótł dłonie pod głową.

- Kobietom zegarki nie są potrzebne.

- Niby dlaczego? Uśmiechnął się chytrze.

- Bo zawsze mają zegar nad kuchnią.

- Bardzo zabawne - odparła i rzuciła w niego szczotką do włosów. Złapał ją błyskawicznie jedną ręką. - Obiecałam matce, że zadzwonię, gdy tylko dojedziemy na Florydę.

- Więc zadzwonisz do niej jutro.

Znalazła swój zegarek, spojrzała na tarczę i zakłęta pod nosem.

- Już po północy. Będzie się niepokoiła.

- Telefon jest w kuchni.

Majtki i spodnie od piżamy miała zrolowane i owinięte wokół kostek nóg. Usiłując zachować tyle godności, ile tylko można było w tej sytuacji, pospiesznie doprowadziła się do porządku.

- Daj spokój - szepnął.

Spojrzała na niego, lecz szybko pokręcił głową, dając znak, że zmienił zdanie.

Zapięła górę od piżamy i ruszyła do drzwi. Położyła już dłoń na klamce, gdy nagle odkryła prawdę, więc obejrzała się i syknęła:

- Przecież tu nawet nie ma zamka. Zrobił zdziwioną minę.

- Poważnie?

Z dumnie zadartą brodą wyszła z pokoju, przymykając jedynie drzwi. Ruszyła korytarzem, ale po trzech krokach przystanąła i oparła się o ścianę, przypomniawszy sobie o stole w jadalni tarasującym przejście. Nocna lampka oświetlała tylko wejście do łazienki, toteż dalej poszła ostrożnie, sunąc dłonią po ścianie. Znowu uderzył ją zatęchły odór dymu papierosowego, jeszcze dotkliwszy niż poprzednio. Dotarła do

kuchni i szczęśliwym trafem szybko natrafiła na telefon wiszący przy lodówce.

Wybrała numer osiedlowej centrali i gdy zgłosiła się operatorka, szeptem podała swoje nazwisko, nie chcąc zbudzić matki Jeffreya. Szybko uzyskała połączenie i ktoś podniósł słuchawkę już po pierwszym sygnale.

- Sara? - odezwał się jej ojciec chrapliwym głosem. Z ulgą oparła się o blat kuchenny.

- Cześć, tato.

- Gdzie jesteś, do cholery?

- Zatrzymaliśmy się w Sylacaudze.

- A co to takiego, do diabła? Zaczęła tłumaczyć, ale przerwał jej szybko.

- Już po północy - warknął jak zwykle ostro, gdy dotarło do niego, że nic jej nie jest. - Co wyście robili tyle czasu, do pioruna?! Razem z matką zamartwiamy się cały wieczór.

Usłyszała w tle stłumiony głos Cathy, słowa ojca:

- Tylko nie wymawiaj przy mnie imienia tego łobuza! Dopóki go nie poznała, nigdy nie dzwoniła do domu tak późno!

Sara szykowała się już na kłótnię, ale matce jakimś cudem udało się przejąć słuchawkę.

- Kochanie? - zaczęła tonem tak pełnym zatroskania, że Sarę natychmiast dopadły wyrzuty sumienia za to, jak spędziła ostatnie dwie godziny, choć przecież mogła wcześniej poświęcić dwie minuty, żeby zadzwonić do domu i uspokoić rodziców.

- Przepraszam, że nie zadzwoniłam wcześniej - powiedziała. - Zatrzymaliśmy się w Sylacaudze.

- A co to jest?

- Miasteczko - wyjaśniła, tknięta przecuciem, że nieprawidłowo wymawia jego nazwę. - Rodzinne miasto Jeffreya.

- Aha - mruknęła matka. Sara miała nadzieję, że usłyszy coś więcej, ale padło tylko pytanie: - Wszystko w porządku?

- Tak - odparła z przekonaniem. - Bardzo miło spędziliśmy czas z jego przyjaciółmi ze szkoły. To takie samo - miasteczko jak nasze, tylko jeszcze mniejsze.

- v. - Naprawdę?

Próbowała cokolwiek wywnioskować z tonu matki, ale był nieodgadniony.

- Teraz jesteśmy w domu jego matki. Nie miałam jeszcze okazji jej poznać, ale

na pewno także jest bardzo miła.

- No cóż, daj nam znać, jak dojedziecie jutro na Florydę. Oczywiście, jeśli znajdziesz trochę czasu.

- Dobrze - odparła, wciąż próbując odgadnąć nastawienie matki. Bardzo chciała się jej zwierzyć z tego, co się stało, co usłyszała od Jeffreya, ale nie miała odwagi.

Przede wszystkim jednak nie chciała usłyszeć po raz kolejny, że jest głupia.

Cathy nie odgadła przyczyn jej wahania. Rzuciła krótko:

- W takim razie dobranoc.

- Dobranoc.

Sara w pośpiechu odwiesiła słuchawkę, bojąc się, by znów nie przejął jej ojciec. Przycisnęła czoło do drzwiczek szafki i zastanawiała się przez chwilę, czy nie zadzwonić jeszcze raz. Bo chociaż nie znosiła wtykania przez matkę nosa w jej sprawy, to jednak bardzo liczyła się z jej zdaniem. A tego dnia tak wiele się wydarzyło. Czuła ogromną potrzebę porozmawiania z kimkolwiek na ten temat.

Z jadalni doleciał nagle głuchy łoskot, któremu towarzyszyło stłumione przekleństwo.

- Halo! - odezwała się szybko Sara, nie chcąc przestraszyć matki Jeffreya.

- I tak wiem, że tu jesteś - rozległ się nieprzyjemny chrapliwy głos kobiety. -

Na miłość boską...

Otworzyła lodówkę i w wąskiej smudze światła ze środka Sara ujrzała pochyloną starszą panią o gęsto przetykanych siwizną włosach. Twarz miała pooraną zmarszczkami dużo bardziej, niż wynikałoby to z jej wieku, a pożółkła cera zdradzała nałogową palaczkę. Nawet teraz trzymała w palcach zapalonego papierosa, z którego zwieszał się długi słupek popiołu.

May Tolliver z hukiem postawiła na blacie butelkę dzinu, zaciągnęła się głęboko dymem, po czym spojrzała na Sarę.

- Co tutaj robisz? - zapytała ostro i brzydko zakasłała. - Oczywiście poza tym, że pieprzysz się z moim I synem.

Sara była tak zdumiona, że zająknęła się:

- Ja... nie chciałam...

- Fikuśna doktorka - burknęła gospodyni. - Zgadza się? - Zachichotała złowieszczo i znowu zakasłała, jeszcze głośniejsze. - Przeleci cię parę razy i tyle z tego będzie. Myślisz, że jesteś pierwsza? Uważasz się za kogoś wyjątkowego?

- Ja...

- Tylko nie kłam - warknęła starucha. - Nawet tutaj czuję jego zapach z twojej pizdy.

Po paru sekundach Sara znalazła się na ulicy. Nawet nie pamiętała, jak znalazła klucz, otworzyła drzwi i wybiegła z domu. W głowie kołatała jej tylko jedna myśl: żeby natychmiast znaleźć się jak najdalej od matki Jeffreya. Jeszcze nigdy żadna kobieta nie odezwała się do niej w ten sposób. Twarz paliła ją ze wstydu i kiedy wreszcie zatrzymała się dla złapania tchu w kręgu światła rzucanym przez latarnię, poczuła, że grube łzy spływają jej po policzkach.

- Cholera - syknęła pod nosem i rozejrzała się dookoła, próbując ustalić, gdzie się znalazła. Pamiętała tylko, że przynajmniej raz skręciła w lewo, ale poza tym nie potrafiła odtworzyć przebytej drogi. Nie wiedziała nawet, jak się nazywa ulica, przy której stoi rodzinny dom Jeffreya, nie miała pojęcia, jak on wygląda. Obszczekał ją pies, gdy mijala pomalowany na żółto dom ogrodzony drewnianym parkanem. Przeszył ją dreszcz grozy, gdy uświadomiła sobie, że nie pamięta ani tego płotu, ani psa. Co gorsza, piekły ją bosa stopy podrapane o chropowaty asfalt, a na dodatek zleciały się komary, chętne do urządzenia sobie uczyty na idiotce, która w środku nocy zgubiła się w obcym mieście, ubrana jedynie w cienką bawełnianą piżamę. Ale nie czuła potrzeby odszukania domu Jeffreya, bo gdyby nawet pamiętała drogę, i tak wolałaby spędzić tę noc na ulicy. Pozostała jej tylko nadzieja na powrót do Main Street i odtworzenie drogi do domu Neli i Oposa. W zamykanym magnetycznie schowku pod podwoziem bmw były zapasowe kluczyki. Jeffrey mógł wracać do Heartsdale na własną rękę. Nie dbała nawet o to, czy kiedykolwiek zobaczy jeszcze swoją walizkę i znajdujące się w niej rzeczy.

Nagle nocną ciszę rozdarł mrozący krew w żyłach krzyk. Zatrzymała się w pół kroku, mając wrażenie, że od napięcia powietrze wokół niej zgęstniało. Gdzieś strzelił uruchamiany silnik samochodu, poczuła przyływ adrenaliny i mimowolnie naprężyła wszystkie mięśnie ciała. Kiedy w oddali dostrzegła wysoką postać zmierzającą energicznym krokiem w jej kierunku, zawróciła instynktownie i rzuciła się do ucieczki. Za nią rozległy się szybkie dudniące kroki biegnącego człowieka. Przyspieszyła jeszcze, szeroko wymachując ramionami, choć miała wrażenie, że płuca trawi jej żywy ogień, a serce lada chwila wyskoczy z piersi.

- Saro! - zawołał Jeffrey, a chwilę później poczuła dotyk jego palców na plecach.

Zatrzymała się tak gwałtownie, że z impetem wpadł na nią i ściał ją z nóg. Zdołał jednak obrócić się w powietrzu, żeby zamortyzować jej upadek, sam jednak huknął ramieniem o ziemię.

- Co się stało? - zapytał, poderwawszy się z chodnika i pomagając jej wstać. Kilkomina ruchami otrząpał z kurzu jej nogawkę piżamy. - To ty krzyczałaś?

- Oczywiście, że nie - syknęła, tak rozwścieczona na niego, jak nigdy dotąd. Po co ją tu przywiózł? Co chciał w ten sposób osiągnąć?

- Uspokój się - mruknął, wyciągając ręce, żeby ją objąć.

Otwartą dłonią uderzyła go po palcach.

- Nie dotykaj mnie!

W tej samej chwili z głębi ulicy doleciał kolejny huk. Ale nie był to już odgłos uruchamianego samochodu. Sara wystarczająco często bywała na strzelnicy, by od razu rozpoznać stłumiony huk wystrzału z broni palnej.

Jeffrey błyskawicznie odwrócił głowę, jakby chciał zlokalizować źródło podejrzanego dźwięku. Kiedy padł kolejny strzał, zerknął na nią i rzucił ostro:

- Zostań tutaj!

Popędził ulicą w stronę żółtego domu otoczonego drewnianym parkanem.

Pobiegła za nim i odnalazła furtkę, którą zostawił otwartą. Udeptana ścieżka prowadziła przez frontowy trawnik na tył domu. Gdy dotarła do rogu, na podwórze wylała się struga światła, kiedy Jeffrey kopniakiem wyważył kuchenne drzwi. Ze środka doleciał kolejny dramatyczny okrzyk. Kiedy po paru sekundach wybiegł z powrotem na werandę, nagle w domu zapaliły się chyba wszystkie światła.

- Saro! - zawołał, przywołując ją ruchem ręki. - Szybko!

Ruszyła truchtem do niego, lecz coś ostro zakłuło ją w stopę, ledwie zeszła z ubitej ścieżki. Wszędzie walały się szyszki i sosnowe igły, zaczęła więc uważnie patrzeć pod nogi, usiłując nie zwalniać kroku.

Jeffrey złapał ją za rękę i pociągnął w głąb domu. Rozkład pomieszczeń był tu niemal identyczny jak u Neli i Oposa, przez środek budynku biegł długi korytarz, drzwi po prawej prowadziły do sypialni.

- Tam - rzekł Jeffrey, wskazując drzwi w głębi korytarza. Sam skręcił do kuchni i chwycił słuchawkę telefonu ze słowami: - Wezwę policję.

Ogarnęło ją przerażenie, ledwie stanęła na progu małżeńskiej sypialni.

Przekrzywiony wentylator pod sufitem wirował nierówno, furkocząc jak rotor helikoptera. Jessie stała przy otwartym oknie i bezgłośnie poruszała ustami. Nagi do

pasa męczyzna leżał na podłodze przy łóżku twarzą w dół. Prawa strona jego głowy przedstawiała sobą krwawą miazgę. Smugi rozmazanej krwi prowadziły od niego do masywnego pistoletu o krótkiej lufie, leżącego w pewnej odległości, jakby ktoś odsunął go kopniakiem spoza zasięgu jego lewej ręki. - Mój Boże... - szepnęła Sara.

Całe łóżko i podłoga przy nim były zabryzgane krwią, w której leżała oderwana łopatką i stłuczony klosz lampy wentylatora. Płat skóry z włosami zwieszał się z krawędzi szuflady nocnej szafki. Przy jej gałce tkwiło coś, co z daleka wyglądało na błyszczący oderwany kolczyk z ucha.

Wyszkolenie medyczne Sary wzięło po chwili górę nad przerażeniem. Podeszła do leżącego mężczyzny i przytknęła mu dwa palce do szyi, próbując wyczuć tętno. Odszukała tętnicę szyjną, ale nie stwierdziła pulsowania. Skóra zabitego była lepka od potu, na całym ciele perliły się drobniutkie kropelki. W powietrzu unosił się słodki aromat wanilii.

- Nie żyje?

Odwróciła się szybko, słysząc to pytanie.

Za drzwiami pokoju stał Robert, zgięty wpół i oparty o ścianę, by utrzymać równowagę. Lewą ręką zakrywał ranę z boku brzucha, krew przesączała się między palcami. W prawej dłoni ścisnął pistolet, z którego wciąż mierzył w zabitego.

Zwróciła się do Jessie:

- Przynieś ręczniki. Ale kobieta nawet nie drgnęła.

- Trzymaj się, zaraz ci pomogę - powiedziała Sara, woląc nie zbliżać się do Roberta.

Cały czas przyciskał pistolet do ciała, a jego szkliste oczy świadczyły wyraźnie, że nie za bardzo zdaje sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje.

Jeffrey wszedł do sypialni i obrzucił tę scenę jednym szybkim spojrzeniem.

- Robert? - odezwał się i zrobił parę kroków w stronę gospodarza.

Tamten zamrugnął szybko i chyba rozpoznał przyjaciela.

Jeffrey wskazał broń.

- Może byś mi to oddał, dobrze?

Robert wyciągnął drżącą rękę przed siebie i oddał Jeffreyowi pistolet. Ten zabezpieczył go szybko i wetknął za pasek dżinsów.

- Muszę ci ściągnąć podkoszulek, rozumiesz? - zwróciła się Sara do Roberta.

Popatrzył na nią zdumionym wzrokiem.

- On nie żyje?

- Lepiej usiądź - zaproponowała, lecz tylko pokręcił głową i pewniej oparł się plecami o ścianę. Był bardzo wysoki i atletycznie zbudowany. Nawet w samym podkoszulku i bokserkach wyglądał na człowieka, który nie przywykł do wykonywania poleceń innych.

Jeffrey pochwyił jej niepewne spojrzenie i zapytał:

- Co się stało, Bobby?

Robert poruszył ustami, jakby nie mógł wydobyć z siebie głosu.

- On nie żyje, prawda?

Jeffrey przesunął się, żeby zasłonić zabitego przed wzrokiem przyjaciela.

- Co się stało?

Jessie wskazała otwarte okno i wyrzuciła z siebie jednym tchem:

- Tędy wskoczył do pokoju.

Jeffrey ruszył w jej stronę, omijając szerokim łukiem miejsce zbrodni. Wyrzwał przez okno, nie dotykając parapetu, po czym rzekł:

- Okiennica jest oderwana.

Robert głośno syknął z bólu, kiedy Sara oderwała przesiąknięty krwią podkoszulek przylepiony do jego ciała. Mimo wszystko podciągnął go pod brodę, pozwalając, by dokładnie obejrzała ranę. Zaklął przez zaciśnięte zęby i kurczowo zacisnął palce na brzegu tkaniny, gdy delikatnie zaczęła mu obmacywać brzuch. Krew wypływała jednostajnym strumykiem z niewielkiego otworu w ciele i spływała pod gumkę bokserów. Zanim jednak Sara zdążyła dokonać oględzin, opuścił podkoszulek i ponownie docisnął palcami tkaninę do rany. Zdążyła jednak dostrzec otwór wylotowy po kuli nieco wyżej na jego plecach oraz zagłębienie w ścianie, gdzie pocisk zarył w mur, otoczone drobnymi, rozchodzącymi się promieniście rozbryzgami krwi.

- Bob - odezwał się Jeffrey ostrzejszym tonem. - Powiedz coś wreszcie, człowieku. Co tu się stało?

- Sam nie wiem - wydukał gospodarz, prawie wpychając materiał podkoszulka w głąb rany. - On po prostu...

-...strzelił do Bobby'ego - wtrąciła pośpiesznie Jessie.

- Pierwszy strzelił do ciebie? - syknął Jeffrey, za wszelką cenę usiłując zmusić Roberta do mówienia. Cedził słowa z zadziwiającą złością i rozglądał się przy tym po całym pokoju, jakby w wyobraźni próbował odtworzyć przebieg wydarzeń. Wskazał inny ślad po kuli w ścianie po drugiej stronie łóżka i zapytał: - To po twoim strzale czyjego?

- Jego - odparła Jessie piskliwym głosem.

Na podstawie jej zachowania Sara oceniła, że podniesionym tonem próbuje zamaskować, jak bardzo jest pijana. Chwiała się wyraźnie w przód i w tył niczym wahadło zegara.

Jeffrey uciszył ją ostrym spojrzeniem..

- Robert, powiedz mi wreszcie, co tu się stało. Ale on niemrawo pokręcił głową, silnie dociskając dłoń do rany.

Jeffrey huknął groźnie:

- Na miłość boską, lepiej przeciwicz swoje zeznania, zanim ktoś zacznie je spisywać!

- Po prostu opowiedz krótko, co się stało - próbowała mu pomóc Sara.

- Bob! - ryknął Jeffrey, kipiąc z wściekłości.

Chcąc załagodzić atmosferę, Sara odezwała się miękko:

- Może będzie ci łatwiej, jeśli usiądziesz?

- Będzie lepiej, do cholery, jeśli wreszcie zaczniesz gadać! - wrzasnął Jeffrey.

Robert spojrzał na żonę, zagryził wargi i pokręcił głową. Sara odniosła wrażenie, że dostrzega łzy w jego oczach. Jessie wciąż stała przy oknie i chwiała się rytmicznie, otulając się połamami szlafroka, jakby było jej zimno. Pewnie nawet nie zdawała sobie sprawy, jak blisko śmierci byli oboje.

- Wskoczył przez otwarte okno - odezwał się w końcu Robert. - Wymierzył w Jess. Przystawił jej broń do głowy.

Jessie odebrała to z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Już na pierwszy rzut oka było widać, że słowa z trudem do niej docierają. U jej stóp leżało na podłodze kilka fiolek z lekarstwami; prawdopodobnie spadły z nocnej szafki. Jedna się stłukła i rozsypane trójkątne tabletki były również zabryzgane krwią. Krwawe odciski bosych stóp prowadziły od brzegu grubego dywanu. Najwyraźniej Jessie przebiegła obok zabitego, zmierzając do okna. Ciekawe, po co to zrobiła? Czyżby chciała wyskoczyć na dwór, gdy jej mąż walczył z rabusiem o życie?

- I co było dalej? - zapytał Jeffrey.

- Jessie krzyknęła, a ja go odepchnąłem... - Robert zerknął na zwłoki leżące na podłodze. - Odepchnąłem go i upadł... A potem strzelił do mnie... Strzelił do mnie... A ja... - Urwał, najwyraźniej jeszcze oszołomiony tym, co zaszło.

- Padły trzy strzały - przypomniała Sara, rozglądając się po pokoju i próbując skorelować jego relację z tym, co słyszała z ulicy.

Robert znowu zapatrzył się na zabitego.

- On na pewno nie żyje?

- Na pewno - odparła, zdając sobie sprawę, że kłamstwo nic tu nie da.

- Więc skąd ten ślad? - zapytał Jeffrey, wskazując dziurę w ścianie nad łóżkiem, jakby chciał wyrwać przyjaciela z szoku konfrontacją z brutalną rzeczywistością. - Nie trafił za pierwszym razem?

Robert z trudem przełknął ślinę. Po skroni stoczyła mu się gruba kropla potu.

- Tak.

- A zatem wskoczył przez otwarte okno i przystawił Jessie pistolet do głowy - podsumował Jeffrey, spoglądając na Jessie, by to potwierdziła. Kiedy szybko skinęła głową, ciągnął: - Zepchnąłeś go z łóżka, a on strzelił do ciebie. Wtedy sięgnąłeś po swoją broń. Zgadza się? - Robert przytaknął z ociąganiem, lecz Jeffrey jeszcze nie skończył. - Gdzie trzymałeś pistolet? W nocnej szafce? W szufladzie? - Przyglądał mu się wyczekująco, ale Robert wyraźnie się wahał. - Gdzie leżał twój pistolet? - powtórzył z naciskiem.

Jessie otworzyła już usta, ale natychmiast je zamknęła, gdy Robert wskazał zamkniętą szafkę kredensu stojącego naprzeciwko łóżka.

- Tam - mruknął, jakby z obawy, że przyjaciel znów podniesie na niego głos.

- Złapałeś więc swój pistolet - rzekł Jeffrey, otwierając drzwi szafki. Na podłogę wypadła zmięta koszula, toteż podniósł ją i wepchnął z powrotem do środka. Sara popatrzyła na niewielki, obłany plastikiem sejf stojący na najwyższej półce. - Zapasową broń także trzymasz tutaj?

Gospodarz pokręcił głową.

- Nie, w salonie.

- Jasne. - Jeffrey zamyślił się na krótko z ręką na otwartych drzwiczkach kredensu. - Więc wyciągnąłeś stąd swój pistolet. I od razu do niego strzeliłeś?

- Tak - przyznał Robert, lecz nie zabrzmiało to przekonująco. Po chwili dodał pewniejszym głosem: - Wtedy go zastrzeliłem.

Jeffrey odwrócił się od kredensu i obrzucił uważnym spojrzeniem cały pokój, kiwając głową do swoich myśli. Jeszcze raz podszedł do okna i wyjrzał na dwór. Sara obserwowała jego poczynania z rosnącym zdumieniem. W jej ocenie nie tylko ingerował w miejsce zbrodni, ale skutecznie pomagał Robertowi w stworzeniu przekonującego opisu wydarzeń.

Jessie odchrząknęła i zapytała cicho, roztrzęsionym głosem:

- Nic mu nie będzie?

Minęło parę sekund, zanim Sara uświadomiła sobie, że to pytanie jest skierowane do niej, tak bardzo była pochłonięta działaniami Jeffreya. Zastanawiała się, do czego jeszcze będzie zdolny się posunąć. W końcu przez jakiś czas był sam na sam z Robertem i Jessie, zanim wybiegł za nią z domu. Co wtedy robił? Co zdążyli wspólnie uknuć?

- Sara? - rzuciła Jessie.

Oderwała się od posepnych rozważań nad tym, na co nie miała żadnego wpływu. Popatrzyła z powrotem na Roberta.

- Pozwolisz mi wreszcie obejrzeć swoją ranę?

Odsunął rękę, którą przyciskał zakrwawiony podkoszulek do ciała, mogła więc na nowo podjąć przerwane oględziny. Tkanina rozmasała krew na większej powierzchni ciała, lecz mimo to wydało jej się, że dostrzega poniżej otworu wlotowego charakterystyczne zaczerwienienie w kształcie odwróconej litery V.

Chciała ztrzeć krew wokół rany, ale Robert znowu zakrył ją pospiesznie dłonią i burknął:

- Nic mi nie jest.

- Powinnam sprawdzić...

- Powiedziałem, że nic mi nie jest - odparł ostrzej. Kiedy popatrzyła mu w oczy, szybko odwrócił głowę.

- Chyba jednak będzie lepiej, gdy usiądziesz, dopóki nie przyjedzie karetka.

- Źle to wygląda? - zapytał Jeffrey.

- Wszystko w porządku - odparł Robert i oparł się z powrotem o ścianę.

Spojrzał w dół na Sarę i dodał: - Dziękuję.

- Sara? - zagadnął Jeffrey.

Wzruszyła ramionami, nie wiedząc, co powiedzieć. Z oddali doleciało przybierające na sile wycie syreny. Jessie wzdrygnęła się i skrzyżowała ręce na piersiach. Sara miała ochotę obejrzeć podkoszulek Roberta, żeby sprawdzić, czy są na nim ślady osmalenia, ale rozmyśliła się, gdyż wciąż nerwowo miał w palcach jego brzeg, dociskając tkaninę do krwawiącego miejsca.

Dopiero od dwóch lat pracowała w biurze koronera okręgowego, ale dostrzeżone przez nią ślady były dokładnie opisywane w podręcznikach patologii. Nawet policyjny żółtodziób zaledwie po paru dniach służby powinien natychmiast się zorientować, co one oznaczają.

Do Roberta strzelono z najbliższej odległości, a wylot lufy dotykał jego ciała.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

11.45

Lena stała przed witryną pralni Burgessa i spoglądała na komisariat po drugiej stronie Main Street. Przyciemnione szyby w drzwiach nie pozwalały dostrzec, co się dzieje w środku, ale ona wpatrywała się tak, jakby chciała przeniknąć wzrokiem mury. Pół godziny temu padł kolejny pojedynczy strzał. Z dwójki policjantów, o których nic nie było wiadomo tuż po napadzie, zameldował się Mike Dugdale. Los Marilyn Edwards nadal był nieznany, a Frank utrzymywał, że młoda atrakcyjna blondynka prawdopodobnie znajdowała się w sali ogólnej w chwili wybuchu strzelaniny. Wszyscy funkcjonariusze z tutejszego posterunku snuli się wokół pralni niczym żywe trupy. Lena nie mogła się uwolnić od myśli, że gdyby wyszła z domu parę minut wcześniej, może zdołałaby jakoś zapobiec tragedii, chociażby ocalić życie Jeffreyowi. W tej chwili tak bardzo chciała się znaleźć w budynku po drugiej stronie ulicy, że nie mogła usiedzieć na miejscu.

Obejrzała się na Nicka i Franka, którzy wciąż obmyślali plan działania nad schematycznym planem komisariatu. Agenci GB1 stali gromadką przy ekspresie do kawy i naradzali się cicho w oczekiwaniu na rozkazy. Pat Morris rozmawiał z Molly Stoddard. Był na tyle młody, że mógł należeć do grona pacjentów Sary z przychodni dziecięcej.

- Nie chrzań głupot! - rzucił Frank na tyle głośno, że wszyscy obejrzeni się w jego stronę.

Nick wskazał kantorek właściciela pralni.

- Wejźmy tam - zaproponował.

Weszli razem do maleńkiego, pozbawionego okien pomieszczenia i zamknęli za sobą drzwi. Atmosfera w rozległej sali zrobiła się jeszcze bardziej napięta, kilka osób wyszło na podwórko pewnie po to, by zapalić papierosa i wymienić uwagi.

Lena wyjęła telefon komórkowy i włączyła go, czekając niecierpliwie, aż się połączy z siecią. Po chwili pisnął dwukrotnie, sygnalizując wiadomości czekające w poczcie głosowej. Zaczęła się zastanawiać, do kogo zadzwonić, do Nan czy Ethana. Przemknęło jej nawet przez myśl, żeby porozmawiać z wujem Hankiem, ale wzięwszy pod uwagę jego poranny monolog, w trakcie którego niemal otwarcie błagał ją, by zacieśniła z nim kontakty, telefon do niego oznaczałby rezygnację z przyjętych zasad, a na to nie miała najmniejszej ochoty. Brzydziła się myślą, że potrzebuje

kontaktów z innymi ludźmi, tym bardziej że to ona musi ich szukać. Ostatecznie wyłączyła telefon i schowała go do kieszeni, zachodząc w głowę, po co go w ogóle włączała.

Podszedł do niej Frank. Poczula jego kwaśny oddech jeszcze zanim padło pytanie:

- Snajperzy zajęli pozycje na dachach? Wskazała budynek sąsiadujący z posterunkiem.

- Tamtych dwóch widać jak na dłoni - odparła, spoglądając na ludzi w czarnych mundurach, rozciągniętych płasko na dachu i mierzących z karabinków o długich lufach.

- Zaraz się tu zwali jeszcze dwudziestu agentów z biura Nicka - oznajmił.

- Po co?

- Chyba tylko po to, żeby się wszystkiemu przyglądać z rękami w kieszeniach.

- Frank - zaczęła, czując narastający ucisk w gardle - jesteś całkowicie pewien?

- Czego?

- Że Jeffrey nie żyje.

- Widziałem to na własne oczy - mruknął, najwyraźniej przytłoczony świeżymi wspomnieniami. Otarł nos wierzchem dłoni i skrzyżował ręce na piersi. - Padł jak rażony gromem. Sara podczołgała się do niego, lecz chwilę później zabójca przystawił jej pistolet do głowy i kazał się odsunąć.

Lena przygryzła wargi, ogarnięta falą współczucia dla Sary Linton.

- Wygląda na to, że Nick dobrze wie, co robi - dodał Wallace. - Kazał odciąć dopływ prądu do całego budynku.

- Ale telefony będą działały?

- Aparat na biurku Marli ma bezpośrednie połączenie. Komendant kazał je zainstalować, gdy objął stanowisko. Aż do dzisiaj nie miałem pojęcia, po co.

Pokiwała głową, usiłując uwolnić się od natrętnych myśli o śmierci Jeffreya. Gdy tylko został mianowany komendantem tutejszej policji, wydał kilka zarządzeń, które wówczas wydawały się bezsensowne, teraz jednak należało je oceniać w zupełnie innym świetle.

- Centrala tak przestawiła połączenie, że jeśli ktoś tam podniesie słuchawkę, u nas zadzwoni telefon - dodał Frank.

Znowu pokiwała głową, zastanawiając się, kto mógł przewidzieć taką

sytuację. Gdyby to od niej zależało, już od dawna trwałby szturm policji na komisariat, a jedynym jego celem byłoby załatwienie tych skurwieli, którzy zorganizowali napad, i wyniesienie ich na ulicę nogami do przodu.

Oparła stopę na parapecie witryny i udała, że poprawia sznurowadła, żeby Wallace nie dostrzegł łez cisnących jej się do oczu. Była wściekła na siebie również dlatego, że teraz zbierało jej się na płacz z byle powodu. Czuła się przez to głupia, zwłaszcza że ktoś taki jak Frank mógł to wziąć za przejaw słabości, chociaż miała ochotę płakać wyłącznie z bezsilnej złości. Wciąż nie rozumiała, kto mógł się dopuścić czegoś tak okropnego, napaść na posterunek policji, a więc bodaj jedyne miejsce, które dla niej pozostawało święte, i urządzić prawdziwą rzeź. Jeffrey bardzo jej pomagał przejść przez całe to szambo, w którym tkwiła przez parę ostatnich lat. Więc jak ktoś mógł jej go zabrać właśnie teraz, kiedy zaczęła wreszcie wracać do normalnego życia?

- Przekłęci dziennikarze próbują się przedrzeć przez blokadę - mruknął Frank.

- Słucham? - spytała, żeby zamaskować pociągnięcie nosem.

- Dziennikarze - powtórzył. - Ściągnęli nawet helikopter, żeby mieć zdjęcia z miejsca napadu.

- Przecież przestrzeń powietrzna nad posterunkiem jest zamknięta - powiedziała, ocierając nos wierzchem dłoni.

Fort Grant, pobliska baza wojskowa, został zamknięty już za rządów Reagana, przez co tysiące ludzi straciło pracę, a Madison przekształciło się w prowincjonalną dziurę. Jednakże wciąż obowiązywał zakaz lotów nad tym obszarem, toteż śmigłowce reporterskie nie miały prawa zbliżyć się do komisariatu.

- Ale nad szpitalem już nie jest - odparł Wallace.

- Skurwiele - warknęła, zachodząc w głowę, jak ktoś może wykonywać taką pracę. Uważała dziennikarzy za sepy żerujące na padlinie, a o ludziach, oglądających w telewizji ich przekazy na żywo miała nie lepsze zdanie.

- Musimy przede wszystkim zachować kontrolę nad wydarzeniami - rzekł Frank ściszonego głosem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że teraz, kiedy nie ma Jeffrey'a... - Odwrócił głowę i zapatrzył się na ulicę. - Akcją i tak powinien kierować ktoś z nas.

- Masz na myśli siebie? - Spojrzała na niego z zaciekawieniem, ale po jego minie wcale nie dało się tego wyczytać. Zapytała z troską w głosie: - Co ci jest? Żle

się czujesz?

Wzruszył ramionami i otarł usta zaplamioną chusteczką.

- Razem z Mattem struliśmy się czymś wczoraj wieczorem.

Dostrzegła łzy w jego oczach na wspomnienie partnera. Nawet nie umiała sobie wyobrazić, co czuł, widząc na własne oczy śmierć długoletniego przyjaciela. Frank został opiekunem Hogana, gdy tamten zaraz po szkole zaciągnął się na służbę w policji. Od tamtej pory niemal przez dwadzieścia lat widywali się codziennie, nie tylko na komisariacie.

- Wszyscy znamy Nicka - dodał. - Wiemy, co potrafi. Będzie potrzebował z naszej strony wszelkiego możliwego wsparcia.

- Właśnie o tym rozmawialiście w kantorku? Jeszcze pięć minut temu nic nie wskazywało, że z taką gorliwością będziesz chciał wspierać jego pomysły.

- Różnimy się w poglądach co do sposobów kontynuowania akcji. Mnie zależy głównie na tym, żeby dowodzenia nie przejął jakiś tępy urzędnik, który wszystko spieprzy.

- Nie przesadzaj, nie gramy w westernie - ofuknęła go. - Jeśli negocjator zna się na swojej robocie, powinniśmy ściśle wykonywać jego polecenia.

- To nie negocjator, lecz negocjatorka - sprostował. Jeszcze raz spojrzała na niego z ukosa. Frank od pierwszego dnia jej służby dawał wyraźnie do zrozumienia, że według niego policyjny mundur nie pasuje kobietom. Najwyraźniej teraz też nie mógł się pogodzić, że z centrali w Atlancie ma przybyć negocjatorka, która będzie mu rozkazywać.

- Nawet nie chodzi o to, że jest kobietą - dodał. Pokręciła głową, rozszlochona, że w takiej chwili zawraca sobie głowę duperelami.

- Chyba nie zamierzasz się wtrącać w wewnętrzne rozgrywki federalnych?

- Nick poznał tę negocjatorkę podczas jakiegoś szkolenia na początku swojej kariery w agencji.

- I co ci o niej mówił?

- W ogóle nic nie chciał powiedzieć. Ale i tak wszyscy wiedzą, co ona ma na sumieniu.

- Ja nie wiem - odparła szybko Lena.

- Doszło do oblężenia pewnej restauracji na przedmieściach Whitfield, kiedy jakichś dwóch kretynów wtargnęło z bronią, żeby obrabować ludzi, którzy przyszli na lunch. - Pokręcił głową. - A tamta wahała się z podjęciem decyzji i sytuacja

wymknęła się jej spod kontroli. Zginęło sześć osób. - Zerknął na nią, przekrzywiając lekko głowę. Postu kał palcem w szybę i dodał: - A teraz nasi koledzy czekają tam na wybawienie z rąk bandytów. Boję się, żeby znów nie zabrakło jej odwagi.

Lena również popatrzyła na budynek po drugiej stronie ulicy. Tutaj zakładników było tylko sześcioro. Znów spojrzała na Franka.

- Przede wszystkim musimy wiedzieć, co się tam dzieje.

Zdawała sobie sprawę, że rodzice dzieci i najbliżsi uwięzionych funkcjonariuszy z niecierpliwością czekają na wiadomości o nich. Doskonale wiedziała, co to znaczy stracić kogoś ukochanego. Na szczęście, ona nie musiała czekać zbyt długo, dość szybko dotarła do niej informacja o śmierci Sibyl. Pod tym względem była w dużo lepszej sytuacji. Nie dość tego, Jeffrey, który przekazał jej smutną wiadomość, od razu zabrał ją do kostnicy.

- Co się stało? - zapytał Wallace, widząc jej minę.

Znowu dała się ponieść wspomnieniom. Usiłowała zliczyć, ileż to razy Jeffrey dawał jej szansę naprawienia błędu, włączając w to również dzisiejszy powrót do służby. Bez względu na to, jakie popełniała głupstwa, ani na chwilę nie stracił do niej zaufania. Na nikim innym nie mogła tak polegać, jak na nim.

- O co chodzi? - zapytał ponownie Frank.

- Myślałam właśnie... - zaczęła z ociąganiem, ale jej uwagę przykuł widok helikoptera zataczającego koło nad budynkiem college'u.

Frank także zapatrzył się na wielką czarną maszynę, która na krótko zawisała w powietrzu, po czym oddaliła się i osiadła na dachu Centrum Medycznego okręgu Grant. Był to dwupiętrowy stary gmach z cegły, sprawiający wrażenie tak kruchego, że Lenę na chwilę naszły obawy, by się nie zawalił pod ciężarem śmigłowca. Ale najwyraźniej nic złego się nie stało, gdyż po paru sekundach zadzwonił telefon komórkowy Sheltona. Odebrał połączenie, w milczeniu wysłuchał wiadomości i wyłączył aparat.

- Przybyła kawaleria - oznajmił, choć w jego głosie wcale nie było ulgi.

Ruchem ręki przywołał do siebie Lenę i Franka, po czym ruszył do wyjścia. Na podwórku za pralnią było duszno jak w saunie. Kiedy skręcili w kierunku szpitala, Lena zapytała:

- Możemy w jakiś sposób pomóc? Nick pokręcił głową i odparł:

- Teraz to już nie nasze przedstawienie. Negocjatorka nie pozwoli nam niczego tknąć.

Lena postanowiła uzyskać od niego potwierdzenie informacji przekazanej przez Franka i mruknęła:

- Podobno brałeś udział w jakimś szkoleniu razem z tą agentką.
- Niezbyt długo - rzekł spiętym głosem.
- Jest dobra?
- Jak automat.

W jego ustach nie zabrzmiało to jednak jak komplement.

Wyszli na Main Street i w milczeniu ruszyli wzdłuż ciągu sklepów. Nie minęło nawet pięć minut, gdy znaleźli się na placu przed szpitalem, ale z powodu upału i napiętej atmosfery Lena miała wrażenie, że trwa to strasznie długo. Nie umiała sprecyzować, czego się właściwie spodziewała, ale na pewno nie widoku elegancko ubranej kobiety, która pojawiła się w bocznych drzwiach i energicznym krokiem ruszyła im na spotkanie. Dwa kroki za nią trzymało się trzech atletycznie zbudowanych mężczyzn w obowiązkowych strojach Stanowego Biura Śledczego, granatowych koszulach i luźnych beżowych spodniach. Wszyscy byli uzbrojeni w ciężkie glocki i szli lekko rozkołysanym krokiem, jakby mieli stalowe jaja. W porównaniu z nimi negocjatorka była stosunkowo niska, miała niespełna sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, ale poruszała się w podobny sposób.

- Cieszę się, że już jesteście - odezwał się Nick z wyczuwalną rezygnacją w głosie. Przedstawił nowo przybyłym Franka i Lenę, po czym rzekł: - A to doktor Amanda Wagner, główna negocjatorka GBI. Zajmuje się takimi przypadkami dłużej niż ktokolwiek inny w naszym stanie.

Wagner ledwie zaszczyciła ich spojrzeniem, ściskając dłoń Nicka. Nie zadała sobie trudu, żeby przedstawić towarzyszących jej mężczyzn, ale żadnemu z nich najwyraźniej to nie przeszkadzało. Dopiero z bliska można było się przekonać, że jest dużo starsza, niż się początkowo wydawało, musiała przekroczyć pięćdziesiątkę. Miała starannie polakierowane paznokcie i delikatny makijaż. Nie nosiła biżuterii poza niedużym pierścionkiem z brylantem, a jej fryzura utrwalona lakierem zdawała się pasować niemal do każdej sytuacji. Roztaczała wokół siebie atmosferę spokoju, toteż Lena szybko doszła do wniosku, że nie najlepsze zdanie Sheltona musi wynikać z jakichś osobistych urazów. Niezależnie od tego, co opowiadał Wallace, nie wyglądała na kogoś, kto zawaha się w trudnej sytuacji. Wręcz przeciwnie, sprawiała wrażenie, że gotowa jest skoczyć nawet w ogień.

- Mamy więc dwóch pełnoletnich zabójców uzbrojonych po zęby i

przetrzymanych sześciu zakładników, w tym trójkę dzieci, zgadza się? - zwróciła się do Nicka z wyraźnym południowym akcentem.

- Tak. Linie telefoniczne oraz dopływ wody i prądu są pod naszą kontrolą. Monitorujemy łączność w sieciach komórkowych, ale jak dotąd nie próbowali się z nikim łączyć.

- Tędy? - spytała, a gdy skinął głową i poprowadził ich z powrotem w stronę pralni, rzuciła: - Znaleźliście już ich samochód?

- Jeszcze nad tym pracujemy.

- Wejścia do budynku?

- Zabezpieczone.

- Snajperzy?

- Rozmieszczeni w standardowym szyku sześciopozycyjnym.

- Minikamery?

- Tym będziecie musieli się sami zająć.

Wagner zerknęła tylko przez ramię i jeden z jej ludzi natychmiast wyjął telefon komórkowy.

- Co z aresztantami? - zapytała.

- Ewakuowani do Macon, śmigłowiec, którym przylecieli, wzbił się z dachu szpitala z donośnym łoskotem wirnika. Negocjatorka zaczekała, aż huk przycichnie, po czym ciągnęła:

- Nawiązaliście już kontakt?

- Jeden z moich ludzi bez przerwy czuwa przy telefonie, ale jak dotąd na posterunku nikt nie podnosi słuchawki.

- Ma jakieś doświadczenie w prowadzeniu negocjacji? - zapytała kwaśno, chociaż musiała znać odpowiedź. Kiedy Shelton pokręcił głową, mruknęła: - Miejmy nadzieję, że nie zechcą odebrać właśnie teraz, Nicky. Chyba pamiętasz, że osoba, która pierwsza nawiąże kontakt, powinna już do końca prowadzić negocjacje. - Zamilkła na chwilę, a gdy Nick się nie odezwał, podsunęła: - Nie byłoby lepiej, gdybyś już teraz zwolnił go z obowiązku i podał mi numer posterunku?

Shelton pospiesznie odpiął od pasa krótkofalówkę i idąc przodem, zaczął wydawać przez radio rozkazy. Kiedy podyktował na głos numer komisariatu, jeden z agentów Wagner wprowadził go do swojego telefonu komórkowego i przyłożył aparat do ucha.

- Kogo mamy w środku? - zapytała negocjatorka, przyspieszając kroku. -

Podaj mi jeszcze raz listę wszystkich znajdujących się na posterunku.

Shelton, jak posłuszny uczeń, zaczął wymieniać, zaginając kolejno palce:

- Marla Simms, sekretarka komisariatu. To starsza kobieta, nie ma co liczyć na jej pomoc. Brad Stephens, policjant z patrolu miejskiego, szósty rok na służbie.

- A czy na niego można liczyć? - zainteresowała się Wagner.

Frank popatrzył zdumiony, że zwróciła się z tym do niego.

- To uczciwy, doświadczony gliniarz. Lena poczuła się w obowiązku dodać:

- Ale niezbyt pewny w chwilach stresu.

Wszyscy obejrżeli się na nią. Wallace wykrzywił usta ze złością, lecz to jej bynajmniej nie zdeprymowało. Wyjaśniła szybko:

- W ciągu ostatniego roku jeździłam z nim na patrole i miałam okazję się przekonać, że pod presją reaguje za mało stanowczo.

Wagner obrzuciła ją pogardliwym wzrokiem.

- Od jak dawna służysz w sekcji dochodzeniowej?

Lenę ścisnęło za gardło, nagle utraciła resztki pewności siebie.

- W tym roku musiałam wziąć bezpłatny urlop z powodów osobistych...

- To miło z twojej strony - skwitowała agentka i zwróciła się ponownie do

Nicka: - Kto jeszcze?

Nie zwalniając kroku, zaczął wyliczać:

- Sara Linton, tutejszy pediatra i koroner.

Na wargach negocjatorki pojawił się ironiczny uśmiezek.

- A to ci nowina.

- Była żoną miejscowego komendanta policji, Jeffrey Tollivera - wyjaśnił

Shelton.

- Na razie zostanemy przy żywych.

Przystanął przed otwartymi drzwiami zaplecza pralni, przed którymi nadal czuwała Hemming i jej młody partner.

- Poza tym jest trójka dzieci, w przybliżeniu dziesięcioletnich dziewczynek, śmiertelnie przerażonych.

- Pani doktor powinna się nimi zająć. Ile dzieci zginęło w czasie strzelaniny?

- Żadne - odparł Nick. - Jedno jest w szpitalu, jeszcze nie wiadomo, czy uda się uratować mu stopę. Dyrektor szkoły podjął się zawiadomić rodziców. W większości dojeżdżają do pracy w Macon, w każdym razie wiemy, kim są trzy dziewczynki. - Urwał na chwilę, po czym dodał ciszej: - Jest tam jeszcze jeden

policjant, Barry Fordham. Według relacji Franka został poważnie ranny.

- Musimy więc zakładać, że nie żyje - skwitowała rzeczowym tonem Wagner, wchodząc do pralni.

Policjanci i agenci rozstąpili się, robiąc jej przejście. Negocjatorka szybko rozejrzała się po sali, szczególnie wnikliwym wzrokiem mierząc agentów ściągniętych wcześniej przez Sheltona oraz Molly Stoddard, pielęgniarkę Sary, w końcu popatrzyła znowu na Lenę i mruknęła:

- Mogłabyś mi przynieść kawy, moja droga? Czarnej, z dwiema kostkami cukru.

Lena poczuła się urażona, lecz bez słowa ruszyła w głąb sali, traktując to jak polecenie służbowe. Pat Morris odprowadził ją uważnym spojrzeniem, ale udała, że tego nie dostrzega.

Wagner podeszła do planu sytuacyjnego rozłożonego na turystycznym stoliku i zwróciła się do wszystkich:

- A więc w strzelaninie, do jakiej doszło na początku napadu, zginęło pięć osób. Zgadza się?

Lena przełknęła urażoną dumę i wrzucając dwie kostki cukru do papierowego kubeczka, odparła:

- Nie mamy jeszcze żadnych wieści o jednym funkcjonariuszu.

- A zatem sześć osób - skorygowała Wagner. - Całe miasto zostało postawione na nogi. Nie widzę innego powodu, dla którego miałyby do tej pory się nie zameldować.

- Chodzi o kobietę, Marilyn - sprostował Nick.

- Po zakończeniu strzelaniny słychać było jeszcze dwa pojedyncze strzały.

Wszystko wskazuje na to, że bandyci pozbyli się tych, którzy do końca próbowali stawiać opór. A może po prostu nie chcieli mieć wśród zakładników mundurowych.

W tym świetle twój niepewny kolega... - Wagner podeszła do ekspresu, wyjęła kubeczek z rąk Leny i sama naląła sobie kawy, po czym ciągnęła: -...musiał im się wydać niegroźny. Pewnie tylko dlatego nadal żyje. Przynajmniej na razie. - Spojrzała na zegarek i zapytała: - Macie plan systemu wentylacyjnego budynku?

- Wszystkie plany architektoniczne są w archiwum rady miejskiej - odparł Wallace. - Wysłałem dwóch ludzi, żeby je odszukali.

- To w tej chwili najważniejsza sprawa. - Negocjatorka zwróciła się do jednego ze swoich ludzi: - James, bądź tak miły i pomóż Nicky'emu przyspieszyć te

poszukiwania. - Kiedy się odwrócił, żeby wyjść z pralni, rzuciła jeszcze za nim: - Przy okazji sprawdź, jak można odciąć dopływ wody do komisariatu.

- Czemu miałyby to służyć? - zapytał Frank. Wagner pociągnęła łyk kawy i odparła:

- Na pewno już zabezpieczyli teren, umieścili zakładników w jednym miejscu, by łatwiej ich kontrolować. Powinni się też upewnić, że nikt nie zdoła dostać się do środka. Będą chcieli zabarykadować drzwi, a ponieważ mieli tyle oleju w głowie, żeby przyjąć we dwóch, więc jeden z nich zawsze będzie czuwał w sekretariacie, pilnując frontowego wejścia.

Urwała na krótko, jakby w myślach rozpatrywała różne warianty możliwego rozwoju wydarzeń, upiła jeszcze łyk kawy i podjęła swoje rozważania:

- Zatem mieli wystarczająco dużo czasu, by to wszystko już zrobić, co oznacza, że wkrótce przejdą do etapu czwartego, to znaczy przedstawienia swoich żądań. Wtedy rozpoczną się właściwe negocjacje. W pierwszej kolejności na pewno zażądają przywrócenia dopływu wody i prądu oraz jedzenia. Zyskamy wówczas szansę dostania się do środka. - Zauważyła, że Lena otwiera usta, by coś powiedzieć, toteż uciszyła ją, unosząc w górę palec, i dodała: - Przejdziemy do szczegółów, przyjdzie odpowiednia pora.

- Rodzice dziewczynek na pewno będą chcieli z nimi porozmawiać - odezwał się Wallace.

- Wykluczone - syknęła Wagner. - Jednym z naszych głównych zadań jest zapewnienie maksymalnego spokoju. Nie można dopuścić, żeby rozhisteryzowani rodzice zaczęli na własną rękę błagać bandytów o darowanie życia ich córkom. Zabójcy i bez tego świetnie wiedzą, jaką wartość przedstawiają dla nich poszczególni zakładnicy.

- I co dalej? - nie wytrzymała Lena. - Co się potem stanie?

- Zaczekamy, aż zgłodnieją albo zapragną pooglądać telewizję. Stopniowo doprowadzimy do sytuacji, w której za każdą rzecz będziemy się domagali czegoś w zamian, dopóki nie nabiorą ochoty na zakończenie całej akcji. Powinniśmy z góry przygotować się na spełnienie każdego ich żądania. Oczywiście, poza pieniędzmi. Tacy jak oni zawsze domagają się pieniędzy, nieoznakowanych i w małych nominałach. - Urwała na chwilę. - Trzeba też jak najszybciej odnaleźć ich samochód. Przecież nie sfrunęli tu na skrzydłach. I z pewnością nie zamierzają się w ten sposób ulotnić.

- Na tyłach college'u jest jezioro - wtrąciła Lena.

- Prywatne?

- Częściowo. Niewątpliwie trudno jest przypląć łodzią tak, żeby nikt nie widział, ale nie jest to nierealne, jeśli komuś bardzo zależy.

Wagner wycelowała palec w jednego z agentów Sheltona.

- Zajmiesz się tym, dobra? Weź kilku ludzi i przeszukajcie brzeg jeziora w poszukiwaniu ukrytej łodzi. Skoncentrujcie się na odcinku, do którego łatwo dostać się pieszo. Na pewno nie liczyli na czyjąś uprzejmość, planując drogę odwrotu. -

Ponownie odwróciła się do Franka. - Jak podejrzewam, wszelkie doniesienia o zaginionych łodziach znajdują się na posterunku?

- Tak.

- Przełączyliście wezwania alarmowe z miasta?

- Owszem, do straży pożarnej znajdującej się dalej przy tej samej ulicy.

- Mógłbyś sprawdzić w straży, czy dziś rano nikt nie zgłosił zaginięcia łodzi?

Frank podszedł do szeregu telefonów ustawionych na kontuarze.

Wagner obejrzała się na dwóch pozostałych agentów, z którymi przyleciała.

- W pierwszym rzędzie za podłączenie wody i dostarczenie żywności zażądamy uwolnienia dzieci. - Zwróciła się do Leny: - Czy na posterunku jest chłodzony zbiornik na wodę pitną?

- Tak, na tyłach aresztu.

- A ile jest toalet? Zdumiona, bąknęła niepewnie:

- Jedna.

Negocjatorka dostrzegła jej zmieszanie i wyjaśniła:

- Szacuję zapasy wody pitnej. W pełnym zbiorniku mieści się pięć litrów.

Frank odłożył słuchawkę i przekazał:

- Nikt nie zgłaszał zaginięcia łodzi. Kazałem rozesłać przez radio zapytanie do wszystkich patroli, czy ktoś nie pamięta takiego zgłoszenia.

- Bardzo dobrze - pochwaliła go Wagner i wróciła do instruowania swoich ludzi: - Po uwolnieniu dzieci postaramy się wyciągnąć starszą panią albo policjanta, bo przedstawiają dla bandytów najmniejszą wartość. Gliniarza nie mogą być do końca pewni, a sekretarka jest dla nich tylko ciężarem. Według mnie będą przede wszystkim chcieli zatrzymać panią doktor. - Zwróciła się do Franka i Leny: - Jest atrakcyjna?

- Nie powiedziałałabym... - zaczęła Lena.

- Tak - odparł równocześnie Wallace.

- Podejrzewam, że z naszego punktu widzenia jest też godna zaufania. Kobiety kończące studia medyczne są zazwyczaj powściągliwe. - Zmarszczyła brwi. - Im może się to nie spodobać.

- Jestem jej pielęgniarką w przychodni - odezwała się Molly. - Sara to najbardziej zrównoważona osoba, jaką znam. Na pewno nie podejmie żadnych ryzykownych działań, zwłaszcza że czuje się odpowiedzialna za dzieci.

Negocjatorka popatrzyła na swoich agentów.

- Co o tym myślicie, chłopcy?

Ten, który cały czas trzymał przy uchu telefon komórkowy, odparł:

- Bez dwóch zdań będą mieli z nią sporo kłopotów. Drugi dodał:

- Ale pewnie zechcą jak najszybciej uspokoić atmosferę. - Pokiwał głową. - Spróbują ją zatrzymać do samego końca.

- Też tak myślę - oznajmiła Wagner. Lena poczuła ciarki na plecach.

- Chyba nie sądzicie, że... - zająknęła się Molly. Ale Wagner ucięła ostro:

- Zabili już czworo funkcjonariuszy policji i bez skrupułów strzelali do dzieci, bardzo poważnie raniąc jedno z nich. Myśli pani, że powstrzymają się przed próbą seksualnego wykorzystania zakładniczki? - Znów popatrzyła na Franka. - Pan ich widział, detektywie. W jakim celu mogli zorganizować ten napad? Czego jeszcze mogą zażądać?

Wallace wzruszył ramionami, był wyraźnie zmieszany i rozdrażniony.

- Nie wiem.

Kobieta zapytała ostrzejszym tonem:

- Co zrobili na samym początku?

- Zastrzelili Matta. A potem zaczęli strzelać na oślep.

- Czy pańskim zdaniem ich głównym celem mogło być zastrzelenie detektywa Hogana?

Lenę, mimo że słyszała, jak Shelton w telefonicznym meldunku do centrali podawał różne szczegóły, zaskoczyło, że Wagner pamięta nazwisko Matta.

- Słuchamy, detektywie Wallace? - ponagliła Wagner Franka.

Ten ponownie wzruszył ramionami.

- Trudno mi powiedzieć.

- Wie pan dużo więcej niż ja, detektywie. Był pan tam. Co mówili zabójcy?

- Nie pamiętam. Głównie krzyczeli. A dokładniej krzyczał jeden z nich. Zaczął okładać Marłę pięścią po twarzy. Wtedy wycofałem się na tyły komisariatu, żeby

powiadomić Nicka.

Lena przygryzła wargi. Nigdy nie lubiła Marli, ale przeraziła ją wiadomość o fizycznym znęcaniu się nad biedną kobietą. Wziąwszy pod uwagę pozostałe działania zabójców, wcale nie powinna być tym zdziwiona, ale informacja o pobiciu sekretarki przyprawiła ją o jeszcze większą wściekłość.

- Chwileczkę - odezwał się znowu Frank, z taką miną, jakby nagle doznał olśnienia. - Na początku pytali o komendanta. Ten, który przedstawił się jako Smith, powiedział Marli, że chce się widzieć z komendantem. Przekazała mi to, bo szedłem właśnie do tylnego skrzydła, więc gdy spotkałem tam Jeffrey'a... - wyrzucił z siebie jednym tchem, dopóki nie wymówił imienia przełożonego.

Wagner jakimś cudem poskładała w całość tę chaotyczną relację.

- Zatem chcieli się widzieć z komendantem Tolliverem, ale zastrzelili detektywa Hogana?

- No... Tak, zgadza się. - Frank jeszcze raz wzruszył ramionami.

Negocjatorka popatrzyła dookoła i odnalazła wzrokiem Pata stojącego obok Leny.

- To pan jest Morris?

Skinął głową, najwyraźniej speszony, i bąknął:

- Tak, proszę pani.

Uśmiechnęła się do niego rozbrajająco, jakby byli starymi znajomymi.

- Pan był w komisariacie od samego początku?

- Tak, proszę pani.

- I co pan widział?

- To samo, co Frank.

Jej uśmiech przygasł nieco.

- To znaczy?

- Siedziałem przy swoim biurku i spisywałem raport. Kiedy komendant zjawił się w sali ogólnej, zapytałem go, jak wywołać na ekran komputera formularz D Piętnaście. Kiepsko mi jeszcze idzie praca z komputerem.

- Rozumiem - odparła Wagner. - I co było później? Zdenerwowany Morris głośno przełknął ślinę.

- Wtedy w drzwiach frontowych pojawił się Matt. Marla powiedziała do niego coś w rodzaju: „Jesteś wreszcie”. Wtedy doktor Linton krzyknęła.

- To był nieartykułowany krzyk?

- Nie, proszę pani. Krzyknęła: „Jeffrey!”. Chciała ostrzec komendanta.

Negocjatorka wzięła głębszy oddech i w zamyśleniu zagryzła wargi, aż rozmazała jej się trochę szminka.

- A więc możemy mieć do czynienia ze zwykłą pomyłką.

- Jak to? - zdziwił się Wallace.

- Zabójca wziął detektywa Hogana za waszego komendanta. - Powiodła wzrokiem dokoła. - Wiem, że to głupie pytanie, ale czy nie kojarzycie jakiegoś szczególnego zbira, któremu komendant Tolliver dał się we znaki i który byłby zdolny do czegoś takiego?

Lena wyteżyła pamięć, zastanawiając się, dlaczego sama wcześniej na to nie wpadła. Mogła wymienić nawet kilka osób, które żywiły zapiekłą urazę i zapewne pragnęły śmierci Jeffreya, nie wierzyła jednak, by któraś z nich mogła zorganizować taki napad. Zresztą ci, co dużo gadali, zazwyczaj nie spełniali swoich pogroźek. Najgroźniejsi byli ci, którzy milczeli, pozwalali, by zapiekła złość paliła im trzewia aż do granic wytrzymałości, co często kończyło się chwytniem za broń.

- Na pewno niejednen chciał go załatwić - podsumowała po chwili Wagner. - Tak czy inaczej, z punktu widzenia zabójców ich akcja przyniosła skutek. Przyjechali tu, żeby zabić Tollivera, i pewnie są przeświadczeni, że udało im się to już na samym początku. Nie przewidzieli tylko, że odwrót uniemożliwi im właściciel pralni, który wybiegł ze strzelbą na ulicę. Dlatego skłaniałabym się ku wnioskowi, że ich głównym celem będzie teraz znalezienie drogi ucieczki z posterunku.

- Amando? - Nick wkroczył do sali z grubym rulonem światłokopii planów budowlanych. - Mamy schemat systemu wentylacyjnego.

- Doskonale - odparła, rozwijając rulon na stoliku turystycznym. Przez parę sekund uważnie przyglądała się planom, po czym wskazała palcem kanał biegnący po tylnej ścianie nowego skrzydła budynku. - To mi wygląda na najlepsze miejsce. Łatwo będzie się stąd przebić przez płytki podwieszzonego stropu w sali konferencyjnej i wsunąć do środka minikamerę, żeby uzyskać podgląd tego, co się dzieje w środku.

- Nie byłoby łatwiej przewiercić się przez takie płytki bezpośrednio w sali ogólnej? - zapytał Frank.

- Te płytki są bardzo kruche. Pył spadający na podłogę mógłby wzbudzić ciekawość bandytów.

- Nie o to mi chodzi - przerwał jej z naciskiem. - Podwieszany sufit ciągnie się

przez całą długość budynku. Po co wykorzystywać szyb wentylacyjny, skoro można po tylnej ścianie przedostać się na ten sufit i...

- Tym samym wydać wyrok na zakładników - wpadła mu w słowo. - Nie musimy się na razie posuwać do tak dramatycznych rozwiązań, detektywie. Chcemy uzyskać tylko podgląd i podsłuch tego, co się dzieje na komisariacie. Pierwszym krokiem do przejęcia kontroli nad sytuacją musi być poznanie zamierzeń bandytów.

Gestem przywołała do siebie swoich ludzi i wszyscy pochylili się nad planami, radząc, jak najłatwiej wsunąć do środka minikamerę. Lena przysłuchiwała się przez jakiś czas, próbując wyłowić coś z fachowego żargonu i obcych jej nazw specjalistycznych urządzeń. Zwróciła uwagę, że Nick podszedł do niej z dziwnie zatroskaną miną. Na pewno nie mógł się pogodzić z myślą, że to nie on gra teraz pierwsze skrzypce. A może nawet Frank nie znał wszystkich szczegółów tragicznego zdarzenia w Whitfield? Za każdą plotką kryła się w końcu jakaś mroczna prawda. Bóg jeden raczył wiedzieć, co ludzie wygadywali na jej temat, kiedy zrezygnowała ze służby w policji.

Przy drugim stoliku, na którym stał ekspres do kawy, Pat Morris nerwowo przestąpił z nogi na nogę, po czym odezwał się do niej szeptem:

- Rozumiesz coś z tego, o czym gadają? Pokręciła głową.

- Wygląda na to, że dobrze wiesz, co robią - skwitował Morris, a ona tylko przytaknęła w milczeniu, nie chcąc komentować tej uwagi. Ciągnął dalej: - Do tej pory nie mogę się nadziwić, że taki napad zorganizowali chłopcy będący w wieku mojego młodszego brata, który nawet nie ma jeszcze matury.

Odwrociła się do niego, gdy w jej głowie jak gdyby zaterkotały dzwonki alarmowe.

- Mówisz poważnie? Ile mogą mieć lat? Na ile wyglądają?

Wzruszył ramionami.

- Pewnie są starsi, ale ja nie dałbym im więcej niż osiemnaście.

- Dlaczego uważasz, że pewnie są starsi? - W zespole Wagner zapadła nagle martwa cisza, ale nie zwróciła na to uwagi. - Są szczupli, drobnej budowy ciała? Typu androginicznego?

Morris znowu nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

- Trudno mi powiedzieć, Leno. Wszystko wydarzyło się tak szybko.

- Co pani chodzi po głowie, detektyw Adams? - zapytała negocjatorka.

- Przypomniałam sobie ostatnią sprawę, nad którą pracowałam przed

odejściem na urlop - odparła, ledwie mogąc wydobyć z siebie głos przez zaciśnięte gardło.

Nick huknął pięścią w stół i syknął:

- Niech to szlag...

Lenie przyszło na myśl, że musi mieć równie przerażoną minę, jak on. Dobrze znał tamtą sprawę, na własne oczy widział skutki.

- Niemożliwe. Myślicie... - zająknęła się Molly.

- Może jednak raczylibyście wyjawić tę tajemnicę - rzuciła zniecierpliwiona Wagner.

- Chodzi o Jenningsa - wycodziła w końcu Lena, choć brzmienie tego nazwiska sprawiło, że serce podeszło jej do gardła. - Pedofila, który miał wyjątkowy wpływ na dorastających chłopców i potrafił ich nakłonić do odwalenia za niego brudnej roboty.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Poniedziałek

Jeffrey pomógł sanitariuszom sprowadzić po schodach Roberta, który z oślim uporem odmawiał położenia się na noszach. Ilekroć próbowali mu coś wytłumaczyć, jedynie tępo kręcił głową, jakby w ogóle nie chciał z nimi rozmawiać.

- Przyjadę do szpitala, jak tylko porozmawiam z Hossem - rzekł Jeffrey.

Robert po raz setny pokręcił głową.

- Nie trzeba. Nic mi nie jest. Lepiej odwieź Jessie do mamy.

Jeffrey poklepał go po ramieniu.

- Porozmawiamy jutro, kiedy będziesz w lepszym nastroju.

- Nic mi nie jest - powtórzył Robert, a gdy sanitariusze już usadowili go w karetce, powtórzył: - Zaopiekuj się Jess.

Jeffrey wrócił przez podwórze, ale nie wszedł do domu. Usiadł na schodkach werandy, żeby tu zaczekać na Hossa. Clayton Hollister był miejscowym szeryfem jeszcze od czasów ich młodości. Zawiadamiając policję o strzelaninie, Jeffrey dowiedział się, że stary jest na rybach. Musiał tu przyjechać znaną drogą od jeziora Martin od dalonego o jakieś pół godziny drogi. Kiedy w rozmówi telefonicznej z nim zaproponował, że pomoże zabezpieczać ślady na miejscu zbrodni, szeryf kazał mu się w to nie mieszać.

- Przecież zabity nie ożyje do czasu mojego przyjazdu - bąknął.

Jego dwaj zastępcy zaczęli rozpytywać sąsiadów, dobrze wiedząc, że pod

nieobecność szefa nie mają prawa rozpoczynać żadnych czynności. Hoss trzymał miejscową policję żelazną ręką, w stylu, którego Jeffrey nie uznawał. W tej konkretnej sprawie musiał zachować wzmoczoną czujność, bo Robert i Jeffrey prawdopodobnie siedzieliby teraz za kratkami, gdyby nie jego wczesna interwencja. Kiedy mieli po kilkanaście lat, wziął ich pod lupę, bacznie obserwując każdy ruch. Gdy wyjeżdżał z miasta, obowiązki w ramach tego specjalnego projektu szeryfa przejmował któryś z zastępców. Ci zaś jeszcze gorliwiej od niego pilnowali obu chłopaków.

Wtedy Jeffreyowi bardzo doskwierała ta nadzwyczajna troska szeryfa, uważał, że od tego ma ojca, nawet jeśli Jimmy Tolliver więcej czasu spędzał w więzieniu niż w domu. Ale teraz, kiedy sam był gliniarzem, doceniał to wszystko, co Hoss zrobił dla niego w młodości. I to przez niego obaj z Robertem podjęli później służbę w policji. Na swój sposób Hoss stał się dla nich wzorem do naśladowania. Tyle tylko, że obecnie Robert zszedł z wytyczonej drogi życiowej.

Siedząc na werandzie i spoglądając na zastępców szeryfa, Jeffrey zaczął analizować relację Roberta, próbując ustalić prawdę na podstawie tego, co usłyszał. Coś mu nie pasowało, choć temu nie należało się specjalnie dziwić, skoro po latach znów zawitał do Sylacaugi. Nie cierpiał tej zatechłej dziury, brzydził się wrażeniem, że każda upływająca tu sekunda wysysa z niego siły życiowe. Już wcześniej uznał swój pomysł odwiedzin w rodzinnym mieście za idiotyczny, tym bardziej że przywłókł ze sobą Sarę. Przez sześć lat nic się tu nie zmieniło. Opos i Bobby nadal spędzali każdą niedzielę w swoim towarzystwie, przesiadywali nad basenem, gdzie Jessie szybko się upijała, a Neli umilała wszystkim czas kąśliwymi uwagami. Nawet nie wyobrażał sobie, że obecność Sary w tym gronie aż tak bardzo pogorszy sprawę.

Choć swoją decyzję o przyjeździe do Sylacaugi uznał za idiotyczną, nadal nie potrafił sprecyzować swoich uczuć do Sary. Dziwnie zalaża mu za skórę i zaproponował jej wspólny wyjazd na Florydę głównie w nadziei, że zdoła się nią wreszcie śmiertelnie znudzić i raz na zawsze wypędzić ze swego serca. Zwykle kobiety, z którymi się umawiał, chętnie szły z nim do łóżka, ale każdy związek już po kilku miesiącach zaczynał trącić monotonią, co stawało się dla niego doskonałą wymówką do zerwania i poszukania sobie innej. Z Sarą jednak było inaczej. Z pozoru była tego typu kobietą, z jaką pragnął się związać na dłużej, dostrzegał w niej idealne połączenie zmysłowości i niezależności, które odganiało nudę i monotonię w codziennych kontaktach. Ale z drugiej strony zaliczał ją do takich, których powinien

unikać, gdyż musiał wkładać mnóstwo wysiłku w utrzymanie takiego związku. Na każdy temat miała własne zdanie i trudno jej było cokolwiek wyperswadować. Co gorsza, jej matka najwyraźniej uważała go za wcielonego diabła, a siostra z góry uznała za lekkoducha i fircyka, jakim był w rzeczywistości. Roześmiała mu się w twarz, kiedy poprzedniego dnia otworzył drzwi w domu Sary, po czym obrzuciła go od stóp do głowy taksującym spojrzeniem, dając wyraźnie do zrozumienia, że dobrze zna jego reputację.

Zadziałała reguła przekory i postanowił udowodnić im obu, że się mylą. Może właśnie w tym tkwił jego problem, a zarazem źródło zaangażowania. Chciał sobie zaskarbić ich przychyłość. Zależało mu, by ludzie uważali go za porządnego faceta, wywodzącego się z warstwy średniej, wychowanego w rodzinie bogobojnej i miłującej prawo. Teraz jednak była to już sprawa z góry przegrana. Sar” nie tylko patrzyła na niego takim samym wzrokiem jak mieszkańcy Sylacaugi, ale w dodatku uważała go za równie złego, jak jego ojciec.

- Hej - odezwała się, siadając przy nim na stopniach werandy.

Odsunął się nieco.

- Jak tam Jessie?

- Zasnęła na kanapie - odparła tonem pełnym rezerwy, jakby byli sobie obcy.

Objęła rękoma kolana.

- Dałaś jej coś?

- To nie było konieczne. Wygląda na to, że jak tylko minęło podniecenie, górę wzięło to, czym sama naszprycowała się wcześniej. - Popatrzyła na niego uważnie, jakby chciała ocenić jego reakcję.

- O co chodzi?

- Musimy porozmawiać. Ingerowałeś na miejscu zbrodni.

Mimo zmęczenia przemknęły mu przez głowę setki spraw, o których mogła chcieć porozmawiać w takiej chwili, ale to, co usłyszał, podziało na niego jak kubeł zimnej wody.

- Słucham? - wycodził, podnosząc się szybko i stając przed nią, by zasłonić ją przed zastępcami szeryfa. Był pewien, że nie zrobił niczego złego, poczuł się jednak oskarżony. - O czym ty mówisz, do cholery?

- Zostawiłeś otwarte drzwi.

- Kuchenne od podwórka? A niby jak miałem cię wpuścić do domu?

Spuściła głowę, wbijając brodę w pierś. Już wiedział, że to oznacza próbę

zachowania spokoju.

- Mówię o drzwiczkach kredensu. Otworzyłeś je i wetknąłeś z powrotem do środka koszulę, która wypadła na podłogę.

Przypomniawszy to sobie, ale za żadne skarby nie potrafił uzasadnić swojego działania.

- Chciałem tylko... - zająknął się. - Zresztą, sam nie wiem, co chciałem. Byłem zdenerwowany. Ale to przecież niczego nie zmienia.

- Rabuś przystawił jego żonie pistolet do głowy - powiedziała rzeczowym tonem - potem strzelił do niego, a gdy chybił, Robert podbiegł do kredensu po swój pistolet. Sądysz, że w takiej sytuacji myślał o zamknięciu drzwiczek?

Jeffrey próbował znaleźć logiczne uzasadnienie.

- Może zatrzasnął je bezwiednie.

Sam jednak w to nie wierzył. Takie wyjaśnienie było naciągane.

Sara także wstała ze schodków i otrzepała spodnie od piżamy.

- Nie zamierzam w tym współuczestniczyć - oznajmiła surowo, co zabrzmiało jak ostrzeżenie.

- Współuczestniczyć? - powtórzył zdziwiony, mając wrażenie, że się przesłyszał.

- W twoim ingerowaniu w miejsce zbrodni.

- Przecież to śmieszne - burknął, ruszając do środka. Poszła tuż za nim, jakby mu nie dowierzała i nie chciała zostawić samego.

- Dokąd idziesz?

- Zamknąć szafkę z powrotem - odparł, wchodząc do sypialni.

Przystanął jednak na środku. Drzwi kredensu były zamknięte.

Obejrzał się na Sarę, lecz rzuciła pośpiesznie:

- Ja ich nie zamykałam.

Podszedł do kredensu, otworzył drzwiczki i odsunął się. Na ich oczach same powoli się zamknęły. Zaśmiał się z ulgą.

- No i widzisz? - Powtórzył tę samą czynność z identycznym skutkiem, po czym mruknął: - Widocznie podłoga jest nierówna. - Zakołysał się na piętach, sprawdzając ułożenie desek. - Proszę. Kiedy stanie się tutaj, drzwiczki same się zamykają.

W spojrzeniu Sary pojawił się cień wątpliwości.

- Jasne - powiedziała, ale takim tonem, jakby nadal nie była pewna.

- Co jeszcze?

- Sejf był zamknięty?

Jeffrey ponownie otworzył drzwiczki i popatrzył na sejf stojący na górnej półce.

- Ma zamek cyfrowy, ale Robert mógł go nie zamykać. W końcu nie mają dzieci, nie muszą się niczego obawiać.

Obejrzała się na trupa rozciągniętego na podłodze.

- Chciałabym uczestniczyć w sekcji zwłok.

Niemal całkiem zapomniał o obecności ciała w pokoju. Odwrócił się i popatrzył na zabitego. Posklejane krwią blond włosy mężczyzny zakrywały jego twarz. Gołe barki były zabryzgane krwią i szarą tkanką mózgową. Rozwiązane sznurówki tenisówek ciągnęły się po podłodze. Nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego ludzie porównują trupa do śpiącego człowieka. Śmierć zmieniała otaczającą go aurę, nasyciała powietrze czymś ciężkim i niepokojącym. Patrząc na wpół otwarte oczy i rozdziawione usta, trudno się było pomylić co do tego, że mężczyzna nie żyje.

- Chodźmy stąd - mruknął, ruszając do wyjścia. W korytarzu Sara złapała go za rękę.

- Słyszałeś? Chcę asystować przy sekcji zwłok.

- Możesz ją nawet przeprowadzić sama - burknął, uznawszy to za jedyny sposób na zamknięcie jej ust. - Tu nie ma koronera. Facet, który prowadzi zakład pogrzebowy, robi sekcję za sto dolarów od sztuki.

- W porządku - odparła, wciąż jednak spoglądała na niego podejrzliwie.

Przyszło mu na myśl, że gdy tylko znajdzie cokolwiek odbiegającego od normy, poczynając od umiejscowienia rany, a skończywszy na wrośniętym paznokciu u nogi, wykorzysta to, by mu udowodnić, że miała rację.

- Co spodziewasz się znaleźć? - zapytał ostro, lecz przypomniał sobie o obecności Jessie w sąsiednim pokoju, dodał ciszej: - Myślisz, że mój najlepszy przyjaciel jest mordercą?

- Przecież sam się przyznał do zastrzelenia człowieka.

Ruszył w kierunku drzwi frontowych, chcąc jak najszybciej wynieść się z tego domu i uwolnić od Sary. Podreptała jednak za nim, nadal nie zamierzając odstąpić choćby na krok.

Po chwili oparła dłonie na biodrach i wycodziła prawdopodobnie takim samym tonem, jakim odnosiła się do swoich pacjentów:

- Tylko się zastanów nad ich opowieścią.

- Nie muszę się nad niczym zastanawiać - odparł, chociaż im więcej gadała, tym bardziej skłaniała go do myślenia i coraz mniej podobały mu się wnioski, jakie stąd wypływały. Zapytał w końcu: - Dlaczego to robisz?

- Bo ich relacja nie pasuje mi do tego, co oboje słyszeliśmy z ulicy.

Pospiesznie zatrzasnął drzwi, by ktoś nie usłyszał tej wymiany zdań. Wyrzął przez okno i popatrzył na zastępców szeryfa rozmawiających z kierowcą karetki, która właśnie podjechała.

- Była dość długa przerwa między okrzykiem a pierwszym strzałem - powiedziała Sara.

Próbował to sobie przypomnieć, jednak miał pustkę w głowie.

- Chyba jednak było inaczej.

- Strzał padł dopiero po kilku sekundach.

- Kilku?

- Może pięciu.

- Na pewno potrafisz wyczuć, ile trwa pięć sekund?

- A ty?

Zauważył samochód Hossa skręcający z ulicy, ten sam wielki stary gruchot, co za jego młodości, nawet z tak samo wyblakłym emblematem z gwiazdą szeryfa na drzwiach. Kiedy Jeffrey i Robert byli w drugiej klasie ogólniaka, musieli tenże samochód co tydzień dokładnie myć w ramach kary za przywiązanie nieszczęsnego pierwszoklasisty do kolumny wodotrysku z wodą pitną w szkole.

- W porządku - odezwał się do Sary, chcąc skończyć niepotrzebną dyskusję. - Niech ci będzie pięć sekund. Nie widzę jednak żadnej sprzeczności z ich zeznaniami. Jessie krzyknęła, Robert odepchnął napastnika, wtedy padł strzał. Przecież mogło to trwać pięć sekund.

Obrzuciła go ironicznym spojrzeniem, jakby chciała okrzyknąć idiotą albo kłamcą. Ale całkowicie go zaskoczyła, mówiąc:

- Prawdę powiedziawszy, zupełnie nie pamiętam, co mówili, czy ona najpierw krzyknęła, czy może on odepchnął rabusia od łóżka. - Zaraz jednak, pewnie tylko po to, żeby mu dopiec, dodała: - Zresztą, miałaś chyba prawo pomóc Robertowi w uporządkowaniu wspomnień przed złożeniem oficjalnych zeznań.

Jeszcze raz wyrzął przez okno. Hoss rozmawiał ze swoimi zastępcami. Miał na sobie wędkarską kamizelkę i stary wymięty kapelusz z powpinanymi w rondo

sztucznymi muchami. Jeffrey poczuł ukłucie lęku na jego widok.

- Ale drugi strzał usłyszeliśmy dopiero wtedy, gdy cię dogoniłem.

Przypominasz sobie? Ile mogło minąć? Dziesięć sekund?

- Nie pamiętam dokładnie. Ale na pewno nie padł od razu po pierwszym.

- Więc Robert mógł w tym czasie sięgać po swój pistolet.

Znowu go zaskoczyła, przyznając:

- To prawda.

- A trzeci strzał padł jeszcze kilka sekund później, zgadza się? - Kiedy nie odpowiedziała, dodał: - Jak myślisz? Dwie albo trzy sekundy po drugim?

- Coś koło tego.

- Więc to też by pasowało - ciągnął. - Rabuś strzelił do Roberta, a ten wyskoczył z łóżka i rzucił się po swoją broń. Po ciemku nie od razu ją znalazł. Zanim sięgnął do kredensu, napastnik zdążył go postrzelić. Mimo zaskoczenia Robert zdołał wymierzyć i odpowiedzieć ogniem.

Pokiwała głową, ale bez przekonania. Szósty zmysł mu podpowiadał, że jest coś jeszcze, co dotąd przed nim ukrywała, a przecież nie mieli już czasu.

- Co znowu? - mruknął, chcąc ją nakłonić do zwierzeń. - Czyżbyś nie wszystko mi powiedziała?

- Nieważne.

- Mówię poważnie, Saro. Coś przede mną ukrywasz. O co chodzi?

W milczeniu zapatrzyła się przez okno na podwórze.

Hoss nadal stał na końcu podjazdu. Kierowca karetki krótko na niego zatrąbił, wyjeżdżając tyłem na ulicę. Odgłos klaksonu jeszcze bardziej podziałał Jeffreyowi na nerwy, kiedy więc Sara odwróciła się, żeby wyjść z pokoju, złapał ją za rękę.

- Co robisz? - syknęła ze złością.

- Nic mu nie mów - ostrzegł, mając wrażenie, że cały świat wali mu się na głowę, a on nie jest w stanie temu zapobiec. Gdyby udało się wywalczyć milczenie Sary choćby na kilka godzin, może zdołałby poskładać wszystko do kupy.

Z wyrazem osłupienia na twarzy próbowała wyszarpnąć rękę z jego uścisku.

- Puszczaj!

- Obiecaj mi, że nic nie powiesz.

- Puść! Słyszysz? - powtórzyła, wykręcając ramię. Ogarnęło go tak bezgraniczne zniechęcenie, że gdy tylko odskoczyła od niego, huknęła pięścią w ścianę. Szarpnęła się do tyłu, jakby naszły ją obawy, że i ją będzie chciał uderzyć. Ale

strach w jej oczach szybko ustąpił miejsca nienawiści.

- Saro - mruknął pojednawczo, unosząc obie ręce. - Nie chciałem...

Zagryzła wargi, a po chwili odezwała się spiętym głosem, jakby ledwo się powstrzymywała, by na niego nie wrzasnąć. Jeszcze nigdy nie widział jej aż tak rozwścieczonej. W całej postawie było coś tak groźnego, że poczuł się, jakby mu przystawiła broń do głowy.

- Posłuchaj, dupku! - syknęła przez zaciśnięte zęby. - Pod żadnym pozorem nie dam ci się zastraszyć.

- Wcale nie zamierzałem... - bąknął. Odsunęła się o krok.

- Jeśli jeszcze raz mnie dotkniesz, gołymi rękami zmiażdżę ci krtań.

Serce podeszło mu do gardła. Sposób, w jaki na niego patrzyła, sprawił, że poczuł się jak żałosna, godna pogardy gnida. Przemknęło mu przez myśl, że wreszcie rozumie, dlaczego ojciec tak znęcał się nad matką przy każdej okazji. Nienawiść musiała go zżerać od środka niczym rak.

Dostrzegł przez okno, że Hoss i jego zastępcy ruszają w stronę domu. Przelknął gorycz dławiącą go w gardle i rzekł, odwołując się do zdrowego rozsądku Sary:

- Na razie oboje mamy poważne wątpliwości. Załatwię ci asystę przy sekcji zwłok, dobrze? A jutro porozmawiamy z Bobbym i Jess. Tylko daj mi trochę czasu na uporządkowanie wszystkiego, zanim ofiarujesz się z pomocą i wyślesz mojego najlepszego przyjaciela na cholerne krzesło elektryczne.

Nawet na niego nie spojrzała, ale dobrze wyczuwał, że kipi z wściekłości.

- Saro...

Hoss zapukał do drzwi i Jeffrey szybko złapał za klamkę, jakby chciał je przytrzymać. Szeryf zająknął przez okno i zmierzył go tak piorunującym wzrokiem, że znów poczuł się jak piętnastolatek przyłapany przed sklepem Bena Franklina z radiem tranzystorowym, za które nie zapłacił.

Sara też sięgnęła do klamki, więc szybko otworzył drzwi.

- Witam. - Hoss wyciągnął do niego rękę i Jeffrey przywitał się, zaskoczony silnym uściskiem dłoni staruszka. Włosy miał już całkiem siwe i zdecydowanie więcej zmarszczek na twarzy, ale poza tym wyglądał dokładnie tak samo jak kiedyś.

- Szkoda, że spotykamy się po latach w tak przykrych okolicznościach, Spryciarzu. - Szeryf uniósł dłoń do kapelusza i rzekł do Sary: - Witam panią.

Otworzyła już usta, żeby odpowiedzieć, ale Jeffrey przedstawił ją pospiesznie:

- Hoss, poznaj Sarę Linton. Saro, to szeryf Hollister.

Hoss zaszczycił ją szerokim uśmiechem.

- Słyszałem już, że opatrzyła pani Roberta. Dziękuję, że zechciała się pani zająć moim chłopcem.

Sztywno skinęła głową, a Jeffrey wyczuł, że tylko czeka na odpowiednią chwilę, by zacząć gadać. Wciąż była tak rozwścieczona, że złość emanowała od niej na kilometr.

- Spiszemy wasze zeznania jutro rano - rzekł Hoss. - Zdaję sobie sprawę, że macie za sobą zarwaną noc.

Jeffrey wstrzymał oddech, oczekując wybuchu Sary.

Odchrząknęła, jakby miała trudności z wydobyciem głosu, po czym zaskoczyła go po raz kolejny, mówiąc:

- Bardzo mi to odpowiada. - Zerknęła z ukosa na Jeffreya i zapytała: - Jak myślisz, Neli nie będzie miała nic przeciwko temu, bym spędziła tę noc na kanapie w ich saloniku?

Wbił wzrok w ziemię, nie zdoławszy się powstrzymać od westchnienia ulgi.

- Myślę, że nie.

Hoss przywołał do siebie jednego z zastępców i rzekł:

- Byłbyś uprzejmy odwieźć panią do domu Oposa? Jeffrey dopiero teraz rozpoznał tamtego, widywał go w kościele, kiedy jeszcze May Tolliver była zdolna w niedzielę tak długo utrzymać się w trzeźwości, by zaprowadzić syna na nabożeństwo.

- Dzięki, Paul - mruknął.

Mężczyzna musnął palcami rondo kapelusza, obrzucając Jeffreya podejrzliwym spojrzeniem, dokładnie takim samym, z jakim ten stykał się tu na każdym kroku od czasu, gdy tylko zaczął chodzić. Co gorsza, Sara obrzuciła go takim samym spojrzeniem, wychodząc z domu bez słowa pożegnania.

Hoss odprowadził ją wzrokiem, nie próbując ukryć zainteresowania jej zgrabnymi pośladkami. Nawet w spranej i zakurzonej piżamie Sara wyglądała bardzo atrakcyjnie.

- Przydałaby się szklanka zimnej wody.

- Jest wściekła - mruknął Jeffrey, doskonale wiedząc, jak Hoss odbierze jego słowa.

- Jasne. Spodziewała się pewnie czegoś zupełnie innego. - Szeryf spojrział na niego. - Co z Jessie?

- Położyła się na kanapie - odparł, po czym dodał: - Zasnęła.

Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że znów musi kłamać, tak jak matce w dzieciństwie.

Hoss smutno pokiwał głową, dając znak, że świetnie rozumie, iż Jessie zasnęła nie tylko z powodu wyczerpania.

- Dzwoniłem już do jej matki i prosiłem, żeby przyjechała i zabrała ją na pewien czas do siebie. Pewnie wiesz, że Faith jest jedyną osobą na świecie, która ma jakiś wpływ na tę dziewczynę.

Obejrzał się na swego drugiego zastępcę, który stał z aparatem fotograficznym zawieszonym na szyi i z jaskrawoczerwoną skrzynką w ręku. Z wyglądu miał najwyżej dwadzieścia lat i prawdopodobnie został obarczony dodatkowymi obowiązkami technika śledczego zbierającego dowody rzeczowe na miejscu przestępstwa. Jeffrey rozpoznał go dopiero wtedy, gdy Hoss zwrócił się do niego:

- Reggie, zaczekaj tu na przyjazd matki Jessie. My zaraz wrócimy.

- Tak jest - odparł regulaminowo, stawiając skrzynkę na ziemi.

Hoss wszedł do środka i rozejrzał się ciekawie po pokoju. Na ścianach wisiły oprawione zdjęcia przedstawiające głównie Jeffreya, Oposa i Roberta z czasów szkoły średniej. Tylko na niektórych były także Neli i Jessie. Na jednej fotografii grupowej Jeffrey i Robert stali z całą uczelnianą drużyną futbolową pod wielkim transparentem z napisem „Mistrzostwa stanu”. Kiedy siedzieli wczoraj nad basenem, Opos nie omieszkał opowiedzieć Sarze o wygranym przez nich finałowym meczu tych mistrzostw z zespołem Comer High, tak wyolbrzymiając i upiększając ich sukces, że Jeffreyowi aż zrobiło się smutno z zakłopotania. Opos zawsze lubił przesadzać.

- Co tu się w nocy stało, do cholery? - zapytał Hoss.

- Przejdźmy lepiej do sypialni - rzekł Jeffrey, jak gdyby bał się odpowiedzieć na to pytanie. - Byłem z Sarą na ulicy, gdy usłyszeliśmy krzyk Jessie.

Przygryzł wargi i pospiesznie ruszył korytarzem, czując, że niedomówienia palą mu trzewia. Jak zwykle szeryf natychmiast się czegoś domyślił.

- Wszystko w porządku, synu?

- Jasne - mruknął Jeffrey. - To tylko efekt nadmiaru wrażeń.

Hoss grzmotnął go w plecy otwartą dłonią, omal nie odbijając mu płuc. Taki miał zwyczaj okazywania męskiej solidarności.

- Jesteś twardy. Poradzisz sobie. - Przystanął w wejściu do pokoju i jęknął: - Boże wszechmogący... Co za jatka.

- Owszem.

Jeffrey podjął próbę spojrzenia na ponurą scenerię świeżym wzrokiem szeryfa. I od razu go uderzyło, że choć wentylator pod sufitem wciąż wirował nierówno, nie ulegało wątpliwości, że został uruchomiony już po zabójstwie, bo między krwawymi śladami na suficie widać było podłużne obszary wolne od plam, osłonięte jego łopatkami. A obok kontaktu przy drzwiach widniały rozmazane czerwone smugi, zapewne ślady palców Roberta, który włączył wentylator. Miało to sens, bo ten model był wyposażony w lampę, zatem mimo odniesionej rany gospodarz w pierwszej kolejności chciał zapalić światło. Pasowało to również do dłuższej przerwy między kolejnymi strzałami. Robert miał do czynienia z bronią palną jeszcze w podstawówce, doskonale wiedział, że nie należy sięgać po pistolet w ciemności. Niewykluczone, że dał sobie nawet parę chwil, żeby wzrok przyzwyczyił się do światła, by dokładnie ustalić miejsce, gdzie znajdowała się Jessie. Znając ją, można było zakładać, że stała w kącie, sparaliżowana strachem. A i Robert nie miał w naturze zbędnego pośpiechu.

Hoss wyjrzał przez okno i mruknął:

- Okiennica jest oderwana.

Jeffrey zmełł w ustach uwagę, że przecież nie wiadomo, czy została oderwana z podwórka, czy może od wewnątrz. Niemniej sam diabeł nie nakłoniłby go do zrobienia choćby jednego kroku w głąb sypialni. Zanotował w myślach, żeby przyjrzeć się wyrwanej okiennicy, kiedy Hoss już odjedzie.

- Co Robert powiedział? - zapytał szeryf.

Jeffrey zbierał się jeszcze, żeby przytoczyć relację przyjaciela, gdy stróż prawa machnął lekceważąco ręką i rzucił:

- Zresztą, dowiem się od niego. - Dostrzegłszy zdumienie malujące się na twarzy Jeffrey'a, dodał: - Ty opowiesz mi swoją wersję jutro rano, gdy przyjdiesz do biura ze swoją dziewczyną.

Sądząc po minie, z jaką Sara stąd wychodziła, ani trochę nie był pewien, czy jutro rano jeszcze będzie miał dziewczynę, wołał jednak to zamilczeć. Przyglądając się, jak Hoss krąży po pokoju, wciąż nie mógł się uwolnić od ściskania w dołku, którego przyczyną była informacja zatajona przez Sarę. Takie rzeczy zaliczał do głównych powodów, dla których na dobre nigdy nie wkroczył na drogę przestępstwa. Tym się zasadniczo różnił od ojca, bo jemu poczucie winy nie dawało spać po nocach. Szybko nauczył się brzydzić kłamstwem, bo wypełniało one całe jego dzieciństwo. Matka nigdy nie potrafiła przyznać nawet sama przed sobą, że Jimmy Tolliver jest winny

jakichkolwiek zarzucanych mu czynów, przez które lądował w więzieniu, on zaś ustawicznie zaprzeczał, jakoby jego żona miała problem alkoholowy. Zanim Jeffrey uświadomił to sobie z całą mocą, zdążył naopowiadać sporo wierutnych kłamstw każdemu, kto tylko chciał go słuchać. Wyjechał z Sylacaugi głównie dlatego, by raz na zawsze zerwać ze swoją przeszłością. Jednak zaledwie znów się tu pojawił, wszystko wróciło. Całkiem dosłownie znalazł się na starych śmieciach.

- Synu? - zagadnął Hoss, podchodząc znowu do okna. Jeffrey zwrócił uwagę, że rozmazał przy tym jeden z krwawych śladów bosych stóp Jessie i rozgniół kilka tabletek, które rozsypały się ze stłuczonej fiołki.

- Słucham - odparł, świadomy, że i szeryf najwidoczniej ma wątpliwości. Po prostu każdy przejawiał je po swojemu.

- Powiedziałbym, że sprawa jest dość prosta.

Hoss trącił czubkiem buta wyciągniętą w jego kierunku stopę zabitego, a Jeffrey na ten widok poczuł, jakby dostał silny cios w brzuch. Wytłumaczył sobie szybko, że przecież szeryf zawsze zachowywał się w ten sposób. Ostro rozgraniczał ludzi dobrych od złych i w celu ochrony tych pierwszych, z drugimi postępował tak, jak uznawał za konieczne. Jego i Roberta zawsze traktował bezkompromisowo, a mimo to był jedynym człowiekiem w mieście, któremu wolno było o nich powiedzieć coś złego.

Hoss kucnął po chwili, żeby lepiej się przyjrzeć zabitemu, choć przetłuszczone długie blond włosy zakrywały leżącemu niemal całą twarz.

- Poznajesz go? - zapytał.

- Nie - odparł Jeffrey, także kucając, żeby lepiej widzieć.

Stąd, z samego wejścia do sypialni, widać było wyraźnie czarne plamki krwi na dywanie układające się wachlarzowato. A zatem Robert musiał zostać postrzelony, kiedy skoczył do drzwi, żeby zapalić światło.

- To Luke Swan - powiedział Hoss, nerwowo postukując kciukiem w swój pas.

Nazwisko obudziło w Jeffreyu mętne skojarzenia, ale nadal nie mógł rozpoznać rysów zabitego.

- Zdaje się, że chodził razem z nami do szkoły.

- Rzucił ją, zanim zrobiliście maturę. Nie pamiętasz? Jeffrey skinął głową, choć nadal nie kojarzył zabitego.

Ostatnie lata nauki w szkole średniej spędził w dość hermetycznym kręgu

piłkarzy i cheerleaderek. Luke Swan był drobnej budowy, chudy i kościsty, na oko ważył nie więcej niż pięćdziesiąt kilogramów.

- Od tamtej pory ciągle pakował się w kłopoty - dodał Hoss smętnym głosem.

- Narkotyki, alkohol. Wiele nocy spędził w celi na posterunku.

- Czy Robert kiedykolwiek go aresztował? Szeryf wzruszył ramionami.

- Do diabła, Spryciarzu, tutaj mamy tylko ośmiu ludzi na jednej zmianie.

Każdy wcześniej czy później musiał mieć z nim do czynienia.

- A Swan wcześniej nikogo nie obrabował? - zapytał Jeffrey. Kiedy Hoss w milczeniu pokręcił głową, dodał: - W końcu napad z bronią w rękę to zupełnie co innego niż ustawiczne kłopoty z narkotykami i alkoholem.

Szeryf skrzyżował ręce na piersi.

- Chcesz mi coś zasugerować? Czyżbym miał się czym martwić?

Jeffrey jeszcze raz popatrzył na trupa. Nadal nie mógł dojrzeć całej jego twarzy, ale posiniałe wąskie wargi i drobna budowa ciała nadawały mu wygląd kilkunastoletniego chłopca.

- Nie. Skądże.

Hoss ruszył do wyjścia, nawet nie patrząc pod nogi.

- Za to odniosłem wrażenie, że twoja panienka ma mi coś do powiedzenia.

- Jest u nas koronerem.

Hoss aż gwizdnął cicho, tyle że z całkiem innego powodu.

- To stać was na opłacanie koronera na pełnym etacie?

- Na pół etatu.

- Drogo sobie liczy?

Jeffrey pokręcił głową, bo nie miał pojęcia, ile wynosi normalna stawka Sary. Sądząc po urządzeniu jej domu i samochodzie, musiała zarabiać dużo więcej niż on. Poza tym wywodziła się z dość bogatej rodziny. On natomiast przez całe życie musiał się liczyć z każdym groszem.

Hoss ruchem głowy wskazał trupa i zapytał:

- Myślisz, że zgodziłaby się zrobić dla mnie sekcję? Jeffrey znowu poczuł ściskanie w dołku.

- Nie wiem. Spytałem ją o to.

- Świetnie. - Szeryf odwrócił się jeszcze, żeby po raz ostatni rzucić okiem na sypialnię. - Bardzo mi zależy, żeby uporać się z tym jak najszybciej i żeby Robert mógł wrócić do służby.

Niespodziewanie, jakby chcąc ukrócić jakiekolwiek dalsze dyskusje, sięgnął do kontaktu i zgasił światło.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Sara obudziła się zrana potem i usiadła tak szybko, że aż zakreśliła jej się w głowie. Rozejrzała się w panice dookoła, usiłując sobie przypomnieć, gdzie jest. Widok porożycy z drużyny z Auburn przyjęła z ulgą. Nawet pomarańczowo-granatowy koc, który Neli przyniosła wieczorem, wydał jej się znajomy. Usadowiła się wygodnie na kanapie, włożyła poduszkę pod głowę i zasłuchiwała się w dobiegające z zewnątrz stłumione odgłosy. W kuchni sapał ekspres do kawy, gdzieś w oddali rozbrzmiał klakson samochodu.

Podciągnęła nogi do brzucha i oparła brodę na kolanach. Już od dawna nie śniła jej się Atlanta, a jednak parę minut temu jakby znów tam była, w łazience przy izbie przyjęć szpitala Grady'ego, gdzie została zgwałcona. Napastnik skuł jej ręce z tyłu kajdankami, po czym zhańbił ją w tak nikczemny sposób, że nie zapomni tego do końca życia, wreszcie dźgnął nożem w brzuch i zostawił na podłodze, żeby się wykrwawiła na śmierć.

To wspomnienie znów ścisnęło ją za gardło, toteż zacisnęła mocno powieki i zaczęła głęboko oddychać, by się uspokoić.

- Wszystko w porządku? - zapytała Neli, stanąwszy w drzwiach pokoju z parującym kubkiem kawy w ręku.

Sara tylko pokiwała głową, niezdolna do wydobywania głosu.

- Opos poszedł otworzyć sklep, a Jeffrey wybrał się na rozmowę z Jessie. Jest głupi, jeśli myśli, że ona zwlecze się z łóżka przed południem. - Urwała, zaniepokojona przedłużającym się milczeniem Sary. - Prosił, abyś była gotowa na ósmą trzydzieści.

Spojrzała na zegar stojący na gzymsie kominka. Było wpół do ósmej.

- W każdym razie kawa jest gotowa - dodała Neli i zostawiła ją samą w pokoju.

Spuszczając nogi z kanapy, uderzyła się dużym palcem o kant swojej walizki. Jeffrey zostawił ją tu przed paroma godzinami, kiedy udawała, że śpi. Podkraść się do niej jak złodziej. Obserwowała go spod przymrużonych powiek, zachodząc w głowę, w co się przez niego wpakowała. Jeffrey Tolliver okazał się innym mężczyzną, niż dotąd sądziła. Nawet jej matka byłaby zaskoczona jego zachowaniem minionej nocy. Sara nie tylko poczuła się zagrożona, ale w pewnej chwili obleciał ją strach, że

naprawdę za chwilę ją uderzy. Nie mogła zaangażować się w związek z kimś takim. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że to, co czuje do Jeffreya, można chyba nazwać miłością, nie oznaczało to jednak, że z tego powodu ma pozwolić, by wciągnął ją w sytuację, w której zacznie się na dobre obawiać o własne życie.

Zagryzła wargi i popatrzyła na oprawioną w ramki stronę tytułową czasopisma, przedstawiającą Jeffreya na boisku. Przemknęło jej przez myśl, że wizyta w rodzinnym mieście dziwnie go odmieniła. Bo człowiek z ostatniej nocy z pewnością nie był tym samym Jeffreyem Tolliverem, którego zdążyła trochę poznać w ciągu trzech miesięcy ich bliższych kontaktów.

Mimowolnie usiłowała znaleźć wytłumaczenie jego działań. Wcześniej nic nawet nie wskazywało, że w ogóle jest zdolny do tak gwałtownych reakcji. Był rozwścieczony. To prawda, że jej nie uderzył, tylko walnął pięścią w ścianę. Może więc odebrała to zbyt emocjonalnie? Może sytuacja doprowadziła go do ostateczności, a ona przecież nie zrobiła nic, by go uspokoić? Brutalnie złapał ją za rękę, ale w końcu puścił. Ostrzegał, żeby nic nie mówiła, lecz gdy już zjawił się szeryf, przed niczym jej nie powstrzymywał. Teraz, po tych kilku godzinach, dobrze rozumiała przyczyny jego wściekłości i frustracji. Pod jednym względem miał rację, w Alabamie nadal obowiązywała kara śmierci, co więcej, wykonywano je tu bez skrupułów, podobnie jak w Teksasie czy na Florydzie. Gdyby sąd uznał Roberta za winnego morderstwa, rzeczywiście czekałoby go krzesło elektryczne.

Mimo przemęczenia próbowała też w myślach odtworzyć to wszystko, co widziała w sypialni Jess i Roberta. Nie była już tak pewna sekwencji odgłosów, jakie słyszała na ulicy. Straciła także pewność co do charakteru obrażenia, którą zyskała podczas krótkich oględzin, kiedy Robert w końcu dał jej obejrzeć ranę. Trwało to bardzo krótko, poza tym skutecznie rozmazał krew wokół otworu wlotowego kuli. Ostatecznie więc zagadka sprowadzała się do pytania, dlaczego z takim uporem zasłaniał dłonią ranę, jeśli nie miał niczego do ukrycia.

Jeśli się nie pomyliła, Robert został postrzelony w chwili, gdy lufa broni była dość wyraźnie uniesiona ku górze, dlatego gorący pocisk zostawił dodatkowo ślad oparzenia poniżej otworu wlotowego. Więc albo człowiek, który do niego strzelił, zrobił to od dołu, klęcząc bądź kucając, albo też Robert sam przytknął sobie broń do brzucha i pociągnął za spust. To drugie wyjaśnienie tłumaczyłoby zarazem, dlaczego nie odniósł poważniejszych obrażeń. Przecież w brzuchu, oprócz kilku istotnych dla życia organów, znajdują się też jelita o łącznej długości około dziesięciu metrów.

Tymczasem kula je wszystkie ominęła.

Sara była gotowa już na miejscu przedstawić szeryfowi swoje wątpliwości, ale wystarczył jej zaledwie rzut oka na Hossa, aby zyskać pewność, że podobnie jak Jeffrey jest gotów uczynić wszystko, byle tylko uwolnić Roberta od zarzutu popełnienia morderstwa. Clayton Hollister miał wszelkie atrybuty dobrego wujaszka, począwszy od przezwiska, a skończywszy na kowbojskich butach. Świetnie znała mechanizmy działania takich ludzi. Jej ojciec - chociaż miał zupełnie inny charakter, bo nie znosił robienia przysług właśnie dlatego, że musiał je robić - nie należał co prawda do grona wpływowych osobistości w Heartsdale, lecz stale grywał z nimi w karty. W dodatku poznała te metody na własnej skórze, kiedy już w pierwszym tygodniu pracy na stanowisku koronera usłyszała od burmistrza, że władze miejskie mają podpisany kontrakt na wyłączne dostawy środków medycznych z firmą jego szwagra, niezależnie od dyktowanych przez niego cen.

Dlatego bardzo chciała dzisiaj jeszcze raz obejrzyć dokładnie ranę Roberta, a gdyby Jeffrey nie mógł czy też nie chciał spełnić obietnicy i załatwić jej asystowania podczas sekcji zwłok zabitego rabusia - a może ofiary, w zależności, jak na to patrzeć - była gotowa sama się o to postarać. Potem zaś chciała jak najszybciej wyjechać z Sylacaugi i znaleźć się daleko od Jeffreya. Potrzebowała czasu, żeby wszystko to sobie poukładać i na nowo ocenić swoje uczucia do Jeffreya w świetle jego gwałtownego wybuchu w nocy.

Wstała ostrożnie, przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Stopy ją piekły od biegania boso po szorstkim asfalcie, a na prawej pięcie zdarła sobie kawałek skóry o coś ostrego. Postanowiła więc w pierwszej stacji benzynowej po wyjeździe na autostradę kupić plastry opatrunkowe.

Kiedy, kuśtykając, weszła do kuchni, Neli powitała ją skąpym uśmiechem.

- Dzieciaki wstaną dopiero za godzinę - powiedziała.

- Ile mają lat? - zapytała Sara, siłąc się na uprzejmość.

- Jared dziesięć, a Jennifer jest o dziesięć miesięcy młodsza.

Sara uniosła brwi.

- Nie martw się, kazałam sobie podwiązać jajniki, jak tylko ją urodziłam. -

Neli podniosła z blatu kubek na kawę. - Pijesz czarną? - Sara przytaknęła ruchem głowy. - Jen jest dużo bystrzejsza. Nie zdradź Jaredowi, że ci to powiedziałam, ale wyprzedziła go już w szkole o rok nauki. To zresztą wyłącznie jego вина. Wcale nie jest głupi, tylko bardziej interesuje go sport niż nauka. To normalne, że chłopcy w

jego wieku nie potrafią usiedzieć na miejscu. Pewnie znasz to ze swojej pracy. -
Postawiła przed nią kubek i napełniła go kawą z dzbanka. - Mam wrażenie, że ty też
byś chciała mieć dom pełen dzieci, jak już wyjdiesz za męża.

Sara popatrzyła na parę unoszącą się nad kubkiem i odparła:

- Prawdę mówiąc, nie mogę mieć dzieci.

- O rety - syknęła Neli. - Zatem znowu powinnam sobie wetknąć nogę do ust.

Wygląda na to, że uwielbiam smak brudnych podeszew.

- Nic się nie stało.

Gospodyni usiadła naprzeciwko niej przy stole i głośno westchnęła.

- Przepraszam za swoje wścibstwo. To jedyna prawdziwa rzecz spośród tych,
jakie wygadywała o mnie matka.

Sara uśmiechnęła się teatralnie.

- Naprawdę nic się nie stało.

- Nie będę wypytywać o szczegóły - mruknęła Neli, chociaż nie ulegało
wątpliwości, że z przyjemnością by ich wysłuchała.

- To skutek ciąży pozamacicznej - odparła, nakazując sobie przemilczeć całą
resztę.

- Jeffrey o tym wie? Pokręciła głową.

- No cóż, zawsze można adoptować dzieci.

- Matka powtarza mi to na okrągło - rzekła Sara, po czym niemal wbrew sobie
po raz pierwszy wyjawiała przed kimkolwiek powody własnej niechęci do adopcji: -
Wiem, że zabrzmi to okropnie, ale po całych dniach opiekuję się cudzymi dziećmi.
Kiedy więc wracam do domu...

- Dobrze wiem, co czujesz. - Neli sięgnęła przez stół i ścisnęła jej dłoń. -
Jeffrey nie przejmuje się takimi sprawami.

Odpowiedziała skąpym uśmiechem i gospodyni błyskawicznie się
wyprostowała, głośno wzdychając.

- Cholera. Nie powiem, że tego nie przewidziałam, ale miałam nadzieję, że
potrwa to trochę dłużej.

- Przykro mi.

- Nie ma o czym mówić. - Neli plasnęła dłonią o udo i wstała od stołu. -
Między nami to niczego nie zmienia, a strata Jeffrey'a to mój zysk. Możesz mi
wierzyć, że coś podobnego jeszcze nigdy go nie spotkało.

Sara zapatrzyła się na kubek z kawą.

- Zjesz racucha?

- Dziękuję, nie jestem głodna - odparła, chociaż burczało jej w brzuchu.

- Ja też - odparła Neli, wyciągając blachę do racuchów. - Chcesz trzy czy cztery?

- Cztery.

Wstawiła blachę do piecyka, włączyła go i zaczęła rozrabiać ciasto z mąki i mleka. Sara patrzyła na nią, rozmyślając, że setki razy obserwowała matkę przy tych samych czynnościach. Jak zwykle pobyt w kuchni działał na nią kojąco i szybko zaczęła zapominać o koszmarnych przeżyciach minionej nocy.

- Cześć, głupku! - rzuciła Neli, machając znad zlewu ręką komuś za oknem. Trzasnęły drzwi, doleciał stłumiony odgłos uruchamianego samochodu. - Wyjeżdża na całe weekendy z jakąś dziwką, którą poznał w Birmingham. Zaraz sama zobaczysz - wskazała kciukiem przez ramię, chcąc przyciągnąć uwagę Sary. - Jak tylko wykręci na ulicę, psy zaczną szczekać i nie ucichną, dopóki nie wróci koło dziesiątej wieczorem. - Wychyliła się, stanęła na palcach i wyciągnęła szyję, żeby widzieć przez okno sąsiednie podwórko. - Rozmawiałam z nim już wiele razy, żeby sporządził tym biednym stworzeniom jakieś schronienie. Opos zaofiarował się nawet, że zbije im budę z desek. Żebyś słyszała, jak wyją, stojąc cały dzień na deszczu.

Rzeczywiście, psy jak na komendę zaczęły ujadać. Chcąc podtrzymać rozmowę, Sara zapytała:

- Nie mają nawet żadnego daszku, pod którym mogłyby się schronić?

Gospodyni pokręciła głową.

- Nie. Na początku puszczał je wolno, ale gdy nauczyły się przeskakiwać ogrodzenie, zaczął je trzymać na łańcuchu. I co dzień rano, jak w zegarku, przewracają swoje miski z wodą, więc muszę sięgać przez parkan i ustawiać je na nowo, żeby dać im pić. - Postawiła przed Sarą kartonik jaj oraz miseczkę i rzekła: - Wykorzystam cię. - Po chwili ciągnęła: - W dodatku boksery są paskudne. Nawet nie chodzi o to, że się ich boję. Diabelnie się ślinią. Ile razy podejdem do płotu, wracam obryzgana, jakbym wyszła spod prysznicza.

Sara zaczęła wybijać jajka do miseczki, nie tyle słuchając jej narzekań, ile samego brzmienia głosu. Wciąż rozmyślała o Jeffreyu, próbując logicznie uzasadnić to, co się stało w nocy. Doskonale wiedziała, że zarówno jej mocną stroną, jak i największą słabością jest to, że patrzy na wszystko, jakby świat był czarnobiałym. A jednak teraz, chyba po raz pierwszy w życiu, miała wrażenie, że jej odczucia zlewają

się w monotonna szarość. To prawda, była przemęczona i podenerwowana tym, co się stało. Tym bardziej nie miała teraz żadnej pewności, czy naprawdę widziała ślady oparzeń pod raną Roberta. A im więcej o tym myślała, tym bardziej była przekonana, że jej się tylko zdawało. Niemniej instynkt nakazywał dalej kierować się pierwszymi wrażeniami. W dodatku nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Robert tak uporczywie zasłaniał ranę podkoszulkiem, skoro nie miał nic do ukrycia?

- Saro? - zagadnęła Neli, jakby w oczekiwaniu na jej odpowiedź.

- Przepraszam, zamyśliłam się. O co pytałaś?

- Czy Robert rozpoznał tego człowieka? Pokręciła głową.

- Chyba nie. W każdym razie nic nie mówił.

- W gazetach nic jeszcze nie ma. Tu publikuje się wiadomości z tygodniowym opóźnieniem, więc pewnie coś napiszą dopiero w niedzielnym wydaniu. Słyszałam jednak, gdy wyszłam rano do sklepu, że to był Luk Swan. Tobie pewnie to nazwisko nic nie mówi, ale on chodził razem z nami do szkoły. Mieszkał niedaleko stąd. -

Wskazała kciukiem w kierunku podwórza na tyłach. - To dom rodzinny Oposa, ja wychowywałam się po drugiej stronie ulicy. Mówiłam ci już o tym? - Sara pokręciła głową. - Przeprowadziliśmy się tutaj dopiero po śmierci jego matki. Nie znosiłam tej kobiety... - Trzy razy zastukała od dołu w blat pod zlewem. - Ale zawsze to miło z jej strony, że zostawiła nam dom. Na początku miałam obawy, że brat Oposa będzie nam bruździł, lecz wszystko się jakoś ułożyło. - Urwała dla zaczerpnięcia oddechu. - O czym to ja mówiłam?

- O Luke'u Swanie.

- Ach, tak. - Odwróciła się z powrotem do kuchni. - No więc po tym, jak rzucił szkołę, mieszkał w domu rodzinnym jeszcze przez kilka lat, dopóki jego ojciec nie stracił pracy, a potem przeniósł się na drugi koniec miasta, za szkołę. Nie należał do naszej paczki.

Sara mimowolnie przypomniała sobie paczkę w swojej szkole. Ona również nigdy do niej nie należała, miała nawet tyle szczęścia, że nikt nie próbował jej wciągnąć.

- Słyszało się nieraz, że miał kłopoty - mówiła dalej Neli - ale kto wie, jak było naprawdę. Ludzie wygadują różne rzeczy po śmierci człowieka. Gdybyś słyszała, co Opos mówi o swojej matce, pomyślałabyś, że to druga Mary Poppins, tymczasem nigdy w życiu ani przez chwilę nie była szczęśliwa. Pod tym względem bardzo przypominała Jessie. - Wysunęła blachę z pieca i wylała ciasto do zagłębien. -

Słyszałam też, że Jessie przeniosła się na razie do swojej matki.

- Owszem - potwierdziła Sara.

- Dobry Boże... - mruknęła Neli, zabierając miseczkę z wybitymi jajkami.

Pospiesznie rozbiła je trzepaczką i wylała na patelnię.

Mimo że Sara była w gronie najlepszych na egzaminie wstępnym do jednej z najbardziej obłożonych uczelni medycznych w kraju, zawsze czuła się nieswojo w obecności kobiet, które potrafią gotować. Jedyny obiad, jaki próbowała przygotować na spotkanie ze swoim poprzednim chłopakiem, skończył się wyrzuceniem dwóch przypalonych garnków i całkiem nowego kosza na śmieci.

- Wciąż mam mieszane uczucia w stosunku do niej - ciągnęła Neli. - Pewnie dlatego, że ze względu na Roberta i Oposa bardzo często się widzimy, co ich zdaniem powinno nas uszczęśliwiać. Czasami dochodzę do wniosku, że wcale nie jest taka zła, kiedy indziej zaś mam ochotę wybić jej dziurę we łbie, żeby nalać przez nią trochę oleju. - Zamieszała jajka na patelni widelcem i odłożyła go na serwetkę. - Teraz jest mi jej po prostu żal.

- Rzeczywiście, przydarzyło im się coś straszego. Neli wysunęła blachę z piecyka i łyżką przerzuciła racuchy na drugą stronę.

- Bobby to niby porządny facet, ale jak to z facetami: nigdy nie wiadomo, co się kryje w środku, dopóki się ich nie przyniesie do domu i nie rozpakuje. Może przy niej pokazuje pazurki? Opos też próbował kilka lat temu, ale szybko się uspokoił, jak mu zagroziłam, że go stłukę pałką na kwaśne jabłko.

Wyjęła racuchy z piecyka, położyła na talerzu obok porcji jajecznicy i postawiła przed Sarą.

- Chcesz do tego smażonego boczku?

- Nie, dziękuję.

Neli wyciągnęła spod papierowej serwetki trzy osuszone z tłuszczu plasterki boczku i dołożyła jej na talerz.

- Serdecznie jej nienawidziłam jeszcze parę miesięcy temu, do czasu, aż poroniła. Później zaglądałam do niej codziennie, żeby sprawdzić, czy nie zrobiła czegoś głupiego. I od tamtej pory jakoś się nawzajem tolerujemy. Jessie zawsze bardzo chciała mieć dzieci, mówiła o tym otwarcie jeszcze w szkole średniej. Ale jakoś nigdy nie zdołała donosić ciąży.

Sara polala racuchy syropem klonowym, zwracając uwagę, że są idealnie koliste i w każdym miejscu mają tę samą grubość.

- Do jakiej głupoty, twoim zdaniem, Jessie mogłaby się posunąć?

- Na przykład, wziąć za dużo pigułek - odparła Neli, nakładając cztery racuchy na drugi talerz. - Kiedyś już coś takiego zrobiła. Wydawało mi się, że tylko po to, żeby zwrócić na siebie uwagę. Co prawda, nie zauważyłam, żeby Robert ją lekceważył, ale nigdy nic nie wiadomo.

- Zgadza się - mruknęła Sara z pełnymi ustami. Ona też nigdy by się nie spodziewała, że kiedykolwiek usłyszy od Jeffreya pogróżki. Miała wrażenie, że wciąż czuje na twarzy pęd powietrza, gdy tuż przed jej nosem walnął pięścią w ścianę. - Czy Jessie zdradzała Roberta?

Neli zaśmiała się głośno, nakładając sobie jajecznicę na talerz. Usiadła przy stole naprzeciwko niej i grube poląła racuchy syropem. - Gdyby nawet chciała, musiałyby znaleźć sobie kogoś, powiedzmy, na Alasce. Bo Robert wie o wszystkim, co się dzieje w tym mieście, pewnie zostałby szeryfem, gdyby ten stary piernik zdecydował się w końcu pójść na emeryturę. Hoss rządzi tutaj chyba od czasu pierwszych osadników i będzie rządził, dopóki nie wyniosą go z biura nogami do przodu. Zresztą, o ile znam tutejszych mieszkańców, to głosowaliby na niego nawet po jego śmierci.

- W ogóle nie macie tu policji, tylko biuro szeryfa? Neli włożyła do ust duży kęs jajecznicy.

- Czy ty wiesz, ile tu mieszka ludzi? Gdybyśmy oprócz szeryfa mieli jeszcze policję, nie byłoby już komu pracować na stacji benzynowej. - Wstała od stołu. - Chcesz soku?

- Nie, dziękuję.

Gospodyni i tak wyjęła z szafki dwie szklanki i postawiła je na stole.

- Skoro już o tym mowa, gdyby Jeffrey tu został, Hoss dawno byłby na emeryturze.

- Dlaczego?

Napełniła szklanki sokiem.

- Bo wszyscy widzieli w nim jego następcę. Ojciec Roberta był zwykłym nieudacznikiem, ale zawsze lepszy nieudacznik niż ktoś taki jak Jimmy Tolliver. To był dopiero potwór. Jeffrey w ogóle nie chce o tym rozmawiać, ale ta blizna na jego ramieniu to pamiątka po tatusiu.

Sara widziała tę bliznę, wołała jednak o nią nie pytać, bojąc się jak ognia rozmowy o bliznach.

- Jak to się stało?

Neli znowu usiadła przy stole.

- Widziałam wszystko na własne oczy. - Odgryzła duży kęs racucha i zaczęła go powoli przeżuwać. Sara nie mogła się doczekać dalszego ciągu. Wreszcie Neli przełknęła i kontynuowała: - May powiedziała coś niezbyt przyjemnego i Jimmy po prostu rzucił się na nią, jakby wpadł w furję. Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś podobnego. I mam nadzieję, że już nigdy nie zobaczę. Odpukać.

Zabębniła trzy razy pięścią w stół. Sara aż głośno przełknęła ślinę, chociaż skończyła już jeść.

- Uderzył ją?

- Kochana, tłukł ją bez przerwy, traktował jak prywatny worek treningowy. Jeffreyowi także się dostawało, jeśli tylko był w domu. Na szczęście bywał rzadko. Większość czasu spędzał w kamieniołomach, gdzie czytał książki aż do zmierzchu. Czasem nawet tam sypiał, jeśli było ciepło, dopóki Hoss go nie znalazł. Później pozwalał Jeffreyowi sypiać na posterunku, w areszcie. - Upiła nieco soku. - W każdym razie tamtego dnia, gdy rodzice wzięli się za fby, próbował ich rozdzielić i tak dostał od starego pięścią w szczękę, że poleciał, dosłownie poleciał w drugi koniec kuchni i rozharatał sobie ramię o ostry koniec poręczy przy kuchence, na którym nie było gałki. Może pamiętasz, jakie wtedy były kuchenki, takie z poręczami, ciężkimi żelaznymi gałkami i ostrymi kantami, nie takie jak teraz, zaokrąglone, z elektronicznymi programatorami.

Po krótkim milczeniu Sara bąknęła:

- Nie wiedziałam.

Bezskutecznie próbowała sobie wyobrazić rodzinę, w której Jeffreyowi przyszło się wychowywać. Ale z własnej praktyki pediatrycznej sporo już wiedziała na temat przemocy w domu. Chyba nic jej tak nie rozwścieczało, jak tchórzliwy ojciec, który wyżywa się na bezbronnym dziecku. Gdyby to od niej zależało, pakowałaby takich rodziców na długie lata do więzienia.

- Jeffrey potrafi się opanować, niełatwo go wyprowadzić z równowagi - ciągnęła Neli. - Podejrzewam, że to dobrze, choć może nie zawsze, bo wtedy trzeba ciągle myśleć, jak uwolnić go od tego wszystkiego, co nosi w sercu. Poza tym nie lubi się kłócić. Zawsze taki był. Mówił ci, że dostał pełne stypendium naukowe w Auburn?

- Jeffrey? - zdumiała się Sara, lekko oszołomiona tą wiadomością.

- W jakimś stopniu ze względu na futbol, ale nigdy nie dają takiego stypendium zawodnikowi, który tylko grzeje ławkę rezerwowych. - Zaśmiała się i pokręciła głową, jakby sama nie wierzyła, że to sformułowanie przeszło jej przez usta.

- Tylko nie mów Oposowi, że ci to powiedziałam, ale taka jest prawda. Tyle że gdy Jeffrey rozpoczął studia w Auburn, znenawidził futbol. Chciał odejść z drużyny, jednak Hoss go namówił, żeby został.

- A co szeryf miał z tym wszystkim wspólnego? Neli odłożyła widelec.

- Wiesz, dlaczego Jeffrey nazwano Spryciarzem?

- Łatwo się domyślić. Gospodyni prychnęła pogardliwie.

- Rzeczywiście jest sprytny, to trzeba mu przyznać. Ale przezwisko wzięło się stąd, że niezależnie od tego, w jakie kłopoty się wpakował, zawsze potrafił wykręcić się sianem.

- Jakie to były kłopoty?

- Och, nic poważnego, wzięwszy pod uwagę to, co zdarzyło się dzisiejszej nocy. Parę razy został przyłapany na kradzieży w sklepie albo podczas jazdy bez dokumentów samochodem matki, której podkładał kluczyki, gdy się upiła i zasnęła. Jego ojciec zaczynał pewnie od tego samego, kiedy był w jego wieku, to znaczy miał dziesięć czy dwanaście lat. Nie jesz już? - Sara pokręciła głową i Neli wzięła z jej talerza ostatniego racucha. - Jeffrey był na najlepszej drodze, żeby pójść w jego ślady, gdyby nie interwencja Hossa.

- I cóż on takiego zrobił?

- Zamiast pakować chłopaka na parę dni za kratki, kazał mu na przykład strzyć trawę na placu przed posterunkiem. Kiedy indziej zabrał go na rozmowę z kilkoma zbirami, którzy akurat trafili do aresztu. Krótko mówiąc, napędził mu niezłego strachu. Robertowi także, ale on zawsze we wszystkim naśladował Jeffreya, więc gdy ten się ustatkował, Robert również.

- Całe szczęście, że napotkali Hossa na swojej drodze.

- Czasem takie rzeczy się zdarzają - mruknęła Neli, przysuwając kubek z kawą. - Zastanawia mnie tylko, skąd Jeffrey ma takie miękkie serce. Bo chyba sama to zauważyłaś?

Sara nie odpowiedziała, zachodząc w głowę, czy gospodyni na pewno dobrze go ocenia. Przecież wiele mogło się wydarzyć w ciągu sześciu lat jego nieobecności w mieście, a nawet w ciągu jednej nocy.

- Zawsze sądziłam, że zostanie nauczycielem, może trenerem szkolnej drużyny

piłkarskiej. Bardzo się zmienił, gdy Jimmy dostał wyrok dożywocia i poszedł siedzieć. Może wstąpił do policji, aby jakoś zrekompensować to, że jego ojciec jest kryminalistą? A może chciał uszczęśliwić Hossa?

- Jak szeryf to przyjął?

- Pewnie byś nie uwierzyła.

Sara dostrzegła przez okno Jeffreya idącego w stronę domu. Pospieszenie wstała od stołu i rzuciła:

- Przepraszam, muszę się ubrać.

Jeffrey wszedł kuchennymi drzwiami i stanął, jak gdyby zaskoczony, że obie jedzą razem śniadanie.

- Właśnie zamierałam się ubrać - powiedziała Sara. Obrzucił ją przelotnym spojrzeniem i rzekł:

- I tak świetnie wyglądasz.

Wciąż miała na sobie cienką bawełnianą piżamę, w której wybiegła z domu jego matki.

- Jak się czuje Jessie? - zapytała Neli.

- Nieszczególnie. - Wskazał stojące na stole talerze i dodał: - Apetycznie pachnie.

- Nie wyszłam za Oposa, żeby gotować dla ciebie - mruknęła Neli, wstając od stołu. - W misce zostało sporo ciasta na racuchy, a jajecznica nie zdążyła jeszcze wystygnąć. Ja muszę sprawdzić, czy te głupie psy sąsiada nie powywracały misek z wodą.

Gdy wyszła, w kuchni zapadła grobowa cisza. Nie bardzo wiedząc, co z sobą począć, Sara znów usiadła przy stole. Miała wrażenie, że racuchy szybko rosą jej w żołądku. Resztką kawy w jej kubku była już całkiem zimna, zmusiła się jednak, żeby ją dopić.

Jeffrey włożył do ust plasterki smażonego boczku i nalał sobie kawy.

Odstawił dzbanek na rozgrzany blat ekspresu, ale zaraz znów go zdjął i wyciągnął w jej kierunku z niemym pytaniem. Pokręciła głową, toteż odstawił go na miejsce, wziął drugi plasterki boczku i zapatrzył się na kran przy zlewie.

Sara podniosła widelec i w zamyśleniu zaczęła rysować esy-floresy w syropie rozlanym na talerzu, zastanawiając się, co powiedzieć. Doszła jednak do wniosku, że to on powinien się pierwszy odezwać. Odłożyła widelec, odchyliła się na oparcie krzesła i z rękoma skrzyżowanymi na piersiach popatrzyła na niego.

Odchrząknął nerwowo i zapytał:

- Co zamierzasz powiedzieć w czasie przesłuchania?

- A co powinnam mówić, twoim zdaniem? Zamierzasz znowu mi grozić?

- Przepraszam. Nie powinienem był tego robić.

- Zgadza się, nie powinieneś - odparła, czując, że znów wzbiera w niej złość. -

Przyznam otwarcie, że po tym, co usłyszałam od twojej matki, i po twoich groźbach, powinnam natychmiast stąd wyjechać, nie oglądając się za siebie.

Wbił wzrok w podłogę, do głębi zawstydzony. Chciał coś powiedzieć, ale głos uwiązł mu w gardle, toteż jeszcze raz odchrząknął i wydusił z siebie:

- Nigdy w życiu nie uderzyłem kobiety. Przyjęła to w milczeniu.

- Prędzej odrąbałbym sobie ręce, niż miałbym coś takiego zrobić - dodał, w zakłopotaniu przygryzając wargi, jak gdyby nie mógł nad nimi zapanować. - Niemal każdego dnia widziałem, jak ojciec katuje matkę. Czasami doprowadzała go do furii, ale kiedy indziej robił to tylko dlatego, że mu na to pozwalała. - Odwrócił głowę i spojrzał za okno. - Wiem, że nie masz żadnego powodu, by mi wierzyć, ale naprawdę nigdy bym cię nie skrzywdził. Kiedy nadal nie odpowiadała, zapytał:

- A właściwie co powiedziała ci moja matka wczoraj wieczorem?

Nie odważyłaby się powtórzyć na głos jej słów.

- Nieważne - burknęła.

- Owszem, ważne - rzekł z naciskiem. - Przepraszam za nią. W ogóle przepraszam, że cię tu przywiozłem... - Kiedy odważył się zerknąć na nią, zauważyła, że ma zaczerwienione oczy. - Chciałem ci tylko pokazać... - Znowu urwał. - Do cholery, sam już nie wiem, co ci chciałem pokazać. Pewnie to, kim naprawdę jestem. Teraz już chyba widzisz. Wylazło szydło z worka.

Na chwilę zrobiło jej się go żal, ale natychmiast ofuknęła się w myślach.

Odsunął krzesło, na którym siedziała Neli, ustawił je jakiś metr od stołu bokiem do niej i usiadł.

- Dziś rano Bobby w ogóle nie chciał ze mną rozmawiać.

Czekała w milczeniu na ciąg dalszy.

- Kiedy wszedłem do sali, właśnie się ubierał przed powrotem do domu. - Zamilkł na chwilę. Łatwo można było wyczuć, że walczy z poczuciem bezradności. - Powiedziałem, że chcę z nim porozmawiać, a on odrzekł krótko: „Nie”. Tylko tyle. Jakby miał coś do ukrycia.

- Może i ma. Zabębniła palcami o stół.

- Była z nim Jessie? - zapytała.

- Nie. Spała jeszcze, kiedy po drodze wpadłem do domu jej matki, by sprawdzić, jak się czuje.

Sara przygryzła wargi, zastanawiając się, czy powiedzieć mu o swoich spostrzeżeniach.

- Śmiało - mruknął. - Zdradź wreszcie, co cię tak zaniepokoiło i co uszło mojej uwagi. - Wzburzony, uderzył otwartą dłoń w brzeg stołu. - Na miłość boską, przecież nie robię tego celowo, Saro. Niezależnie od upływu lat, Robert nadal jest moim najlepszym przyjacielem. Myślisz, że łatwo jest być gliniarzem w tej sytuacji?

Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. Mrugnęła odruchowo, kiedy uderzył w stół, i ledwie się powstrzymała, żeby od razu nie wstać i nie wyjść. Tłumaczyła sobie, że to, iż Jeffrey wychowywał się wśród przemocy, jeszcze nie czyni z niego brutalnego człowieka, lecz mimo wszystko nie potrafiła już patrzeć na niego innym wzrokiem. Jego szerokie ramiona oraz imponujące mięśnie, które jeszcze niedawno wydawały jej się tak pociągające, teraz tylko przypominały, o ile jest silniejszy od niej.

Musiał wyczuć jej nastrój, gdyż dodał znacznie łagodniejszym tonem:

- Proszę, nie patrz na mnie w ten sposób.

- Ja tylko... - zająknęła się. Odczekał chwilę.

- Co?

Spuściła głowę, nie czując się gotowa do tej rozmowy. Postanowiła zwrócić jego uwagę z powrotem na dręczącą ją sprawę i oznajmiła:

- Chcę jeszcze raz dokładnie obejrzeć ranę Roberta.

- Po co?

- Nie mam pewności, ale... - Zamilkła na chwilę, uświadomiwszy sobie, że jednak jest pewna. - Dostrzegłam ślady oparzenia poniżej otworu wlotowego po kuli.

- Nie masz pewności?

- Źle się wyraziłam. Jestem tego pewna, tylko chciałabym, żeby było inaczej.

Zaśmiał się gardłowo.

- Przecież z uporem zasłaniał ranę ręką.

- I wykorzystał podkoszulek, żeby rozmazać krew wokół niej.

- Pozwolił ci obejrzeć ślady na podkoszulku? Pokręciła głową. Nie musiała tłumaczyć, że gdyby pocisk został wystrzelony z broni przytkniętej do ciała, ślady osmalenia musiałyby być doskonale widoczne na materiale.

- Podejrzewam, że w szpitalu już wyrzucili ten podkoszulek - rzekł.

- Albo Robert zrobił to sam.

- Niewykluczone. - Jeffrey pokręcił głową. - Gdyby tylko chciał ze mną porozmawiać, wyjaśnić, co się naprawdę stało...

- I co mamy teraz zrobić? Jeszcze raz pokręcił głową.

- Dlaczego nie chciał mi nic powiedzieć? Woląca mu nie podsuwać oczywistego wyjaśnienia.

- Jest całkiem prawdopodobne, że Luke Swan rzucił się za nim. Jego zwłoki leżały nie tak daleko od ściany.

- Jakiś metr, może półtora.

- A jeśli Robert go odepchnął? Swan mógłby wtedy przykucnąć albo nawet przykleknąć.

- To prawda.

Zwróciła uwagę na wyczuwalne w jego głosie napięcie, kiedy na własną rękę próbował tłumaczyć postępowanie przyjaciela.

- Powiedzmy, że Swan usłyszał, jak Robert sięga po broń, dlatego skoczył za nim. Jeśli w tym momencie trzymał pistolet nisko z lufą uniesioną ku górze... - Zademonstrował przypuszczalną pozycję rabusia, wyciągając przed siebie rękę z palcami ułożonymi na kształt broni. - A kiedy postrzelił Roberta, ten wypalił mu prosto w głowę.

Sara próbowała znaleźć luki w tej poszlace. Przyznała jednak:

- To możliwe.

Popatrzył na nią z wyraźną ulgą.

- Lepiej zaczekajmy na wyniki sekcji zwłok, dobrze?

Na razie zachowajmy te domysły dla siebie. Może autopsja wykaże, co się naprawdę wydarzyło.

- Pytałeś, czy będę mogła przy niej asystować?

- Hoss chce, żebyś sama ją przeprowadziła.

- W porządku.

- Saro...

- Jestem już spakowana - powiedziała, wstając od stołu. - Chcę wyjechać, jak tylko podpiszemy zeznania. - Po chwili, jakby w celu przekonania samej siebie, dorzuciła: - Chcę wracać do domu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

13.32

Natrętny dzwonek telefonu przypominał tarcie gwoździem po szkolnej tablicy. Sara zaczynała mieć omamy słuchowe, bo wydawało jej się, że dzwonienie to cichnie, to znów przybiera na sile, niczym wycie policyjnej syreny. Dla zabicia czasu postanowiła odliczać sekundy między kolejnymi dzwonekami, lecz raz traciła rachubę, kiedy indziej przerywała odliczanie, pewna, że telefon umilkł na dobre, chociaż terkot rozlegał się na nowo. W dodatku był to staroświecki dzwonek, a nie elektroniczne popiskiwanie nowoczesnych aparatów cyfrowych. Czarny aparat miał tyle lat, że należało się dziwić, iż nie ma także obrotowej tarczy z dziurkami. Na obudowie nie było żadnych lampek ani przełączników. Tak bardzo przyzwyczała się już do telefonów komórkowych, aparatów bezprzewodowych i cyfrowych sygnałów, że prawie zapomniała, jak brzmi dzwonek klasycznego telefonu.

Wierzchem dłoni otarła pot z górnej wargi. Z chwilą odłączenia prądu do słabo wietrzanej sali ogólnej komisariatu zaczął się przesączać letni żar. Teraz, po upływie więcej niż godziny, panujący tu zaduch przyprawiał o mdłości. Co gorsza, trupy leżące po całej sali zaczynały cuchnąć.

Brad był bez spodni i koszuli, którymi Smith zatkał wyloty systemu wentylacyjnego, pewnie po to, by uniemożliwić dostęp policyjnym kamerom i mikrofonom podsłuchowym. Siedział, mając na sobie tylko białe bokserki i czarne skarpetki, szybko zapomniawszy o wstydzie. Z nieodgadzionych powodów jako jedyny cieszył się zaufaniem bandytów i miał pewną swobodę ruchów. Sara zdołała po kryjomu przekazać mu portfel Jeffreya, kiedy wyprowadzała dziewczynki do ubikacji. Nie miała pojęcia, gdzie go ukrył, mogła jedynie liczyć na to, że zrobił to skutecznie.

Dwie spośród trójki dziewczynek ostatecznie się uspokoiły i spały teraz z główkami na jego kolanach. Marla siedziała w pewnej odległości od reszty grupy i z otwartymi ustami wpatrywała się tępo w podłogę. Sara bardzo się bała, że staruszka podejmie próbę wyproszenia sobie wolności i powie Smithowi, kim naprawdę jest ranny policjant. Bo ona sama była całkowicie przekonana, że gdyby przyszło jej wybierać, uczyniłaby wszystko, byle tylko osłonić Jeffreya.

Oparła głowę o ścianę, pozwalając sobie spojrzeć na Smitha. Krążył nerwowo po sali, mamrocząc coś pod nosem. Zdjął skórzaną kurtkę, dzięki czemu doskonale było widać jego atletyczną budowę oraz imponujące mięśnie rozpychające krótkie rękawki bawełnianej koszulki. Na prawym bicepsie miał wytatuowany duży

granatowy wizerunek orła, a ilekroć zawracał, Sara próbowała odczytać wypisane poniżej słowa.

Obaj bandyci nosili spodnie panterki i ciężkie wojskowe buty. W tym upale gruba kuloodporna kamizelka z kevlaru musiała im krępować ruchy niczym kaftan bezpieczeństwa, ale żaden nie odważył się jej zdjąć. Z każdą kroplą potu ze Smitha sączyła się dzika, zwierzęca agresja, jednakże Sarę jeszcze bardziej przerażał Jego małomówny kumpel. Posłusznie wypełniał wszystkie rozkazy, robił dokładnie to, co Smith mu kazał, czy chodziło o strzelanie do małych dzieci, czy wykonanie wyroku na policjancie strzałem w głowę. Tego typu osobowość nie była niczym niezwykłym wśród chłopców w tym wieku, wojsko właśnie taką ceniło u rekrutów szczególnie, ale w połączeniu z agresją Smitha dawała nadzwyczaj groźny efekt. Gdyby coś się stało Smithowi, tamten nadal byłby bardzo groźny, niczym żądło skorpiona, które potrafi ukłuć śmiertelnie, nawet gdy kadłub zostaje pozbawiony łba.

Jeffrey poruszył się na jej kolanach, toteż szybko położyła dłoń na jego zdrowym ramieniu i mruknęła cicho:

- Wszystko w porządku.

Potań oczy jak zaspane dziecko. Na jego policzku odcisnęła się fałda materiału jej sukienki. Miała straszną ochotę pokryć ją pocałunkami.

- Która godzina? Spojrzała na zegarek.

- Wpół do drugiej - odparła, zgarniając mu włosy z czoła. - Pamiętasz, gdzie jesteśmy?

Zaczerpnął głęboko powietrza i wypuścił je z westchnieniem.

- Śniła mi się ta noc, kiedy po raz pierwszy kochałem się ze swoją żoną.

Sara zagryzła wargi. Miała tak wielką ochotę znaleźć się teraz w tym miejscu z jego snu, że aż łzy napływały jej do oczu.

- Byliśmy w moim domu rodzinnym, siedzieliśmy na podłodze mojej sypialni...

- Ciii - syknęła, bojąc się, że powie za dużo.

Zrozumiał, ale zamknął na chwilę oczy, jakby pragnął zachować to wspomnienie w swoich myślach. Kiedy znów je otworzył, popatrzył na nią z nieopisanym bólem. Nie skarżył się jednak na swoje rany. Powiedział tylko:

- Ten przeklęty telefon doprowadza mnie do szału.

- Tak, wiem - odparła, marząc o tym, żeby go odłączyli, skoro nie zamierzają odbierać. Zaczekała, aż umilknie kolejny dzwonek, i spytała:

- Bardzo cię boli?

Pokręcił głową, wiedziała jednak, że kłamie. Grube krople potu występujące mu na czoło nie były tylko wynikiem panującego upału. Na ranie powstał zakrzep, ale krew mogła się dalej gromadzić wewnątrz ciała. Jego ramię było wyraźnie zimniejsze od reszty ciała, a puls wciąż nitkowaty. Podejrzewała, że kula utkwiła między rozerwaną tętnicą a nerwem. Przy każdym poruszeniu ucisk na nerw musiał wywoływać nieznośny ból. Jednocześnie każdy ruch stwarzał ryzyko przemieszczenia się pocisku. Rana znajdowała się bardzo wysoko, nie było więc sposobu założenia opaski uciskowej. Jediną rzeczą, która uniemożliwiała wykrwawienie się na śmierć, była właśnie kula tkwiąca w jego ciele. Potrzebował natychmiastowej pomocy lekarskiej. Nie potrafiła nawet ocenić, jak długo jeszcze wytrzyma.

- Zastanawiałam się - powiedziała szeptem - jak bardzo... - Umilkła i obejrzała się na Smitha, lecz rozmawiał z kolegą. - Jak bardzo się zmieniłeś.

W jej pojęciu bardzo różnił się od tego mężczyzny, w którym przed laty się zakochała, choć pod wieloma względami pozostał taki sam. Czas łagodził jego charakter, szlifował go jak drogocenny kamień.

- Gdzie oni są? - zapytał, próbując usiąść. Przytrzymała go za ramię, żeby się nie ruszał, i zaniepokoiła ją, że tak łatwo uległ.

- W sekretariacie - odparła. - Zabrali Allison.

- Córkę Ruth Lippman? - zdziwił się, próbując coś dojrzeć.

Obróciła się nieco, umożliwiając mu rzut oka na frontową część posterunku, po czym znów ułożyła go sobie na kolanach. Allison siedziała na kontuarze i machała nogami w powietrzu. Na lewej łydce miała podłużne zadrapanie, ślad po wypadku z ubiegłego tygodnia, kiedy to próbowała dokonać jakiegoś wyczynu na rowerze, ale przewróciła się i zdarła sobie skórę o krawężnik. Sara musiała założyć jej dwa szwy i w zamian za lizaka wymusiła obietnicę, że dziewczynka będzie jeździć ostrożniej.

Smith przestał krążyć z kąta w kąt i zatrzymał się przed Allison, trzymając obrzynek w zgięciu ramienia. Jego kumpel stał po drugiej stronie dziewczynki, pistolet maszynowy wciąż wymierzony w drzwi frontowe leżał na kontuarze. Smith obejrzał się na nich, a Sara odniosła wrażenie, że słyszy każde słowo, jakie między sobą wymieniali.

- Martwię się o twoje ramię - szepnęła do Jeffreya.

- Wszystko w porządku - mruknął, znowu próbując się podnieść.

- Nie wstawaj - syknęła. - Proszę. Nie powinienes się ruszać więcej, niż to

absolutnie konieczne.

Musiał zwrócić uwagę na troskę w jej głosie, gdyż zrezygnował z dalszych prób.

- Powiedzieli już, czego żądają? - zapytał. Pokręciła głową, usiłując unikać świdrującego spojrzenia Smitha. Pediatryczne doświadczenie nasuwało jej wniosek, że chociaż bandyta nie jest już dzieckiem, przejawia wszelkie cechy nie w pełni rozwiniętego emocjonalnie dwudziestolatka. Dobrze wiedziała, jak agresywni potrafią być tacy osobnicy, kiedy stają przed jakimś wyzwaniem, zwłaszcza gdy chcą komuś zaimponować. Dlatego obawiała się, że i ona może zarobić kulkę, gdy stanie się przedmiotem rywalizacji między Smithem i jego przyjacielem.

Jeffrey ułożył się wygodniej, toteż znów zaczęła się w duchu modlić, żeby nie pogorszył swojej sytuacji nawet tak drobnym poruszeniem. Spojrzał na nią i zapytał półgłosem:

- Wygląda na to, że jeden z nich cię zna. Rozpoznałaś go?

Pokręciła głową, żałując, że nie potrafi powiedzieć, kim są bandyci i czego chcą. Od jej powrotu z Atlanty do Heartsdale minęło prawie piętnaście lat, lecz na pewno pamiętałaby Smitha, gdyby należał do jej pacjentów. Zresztą, gdyby był jej pacjentem i w ogóle nie znał Jeffrey, to po co miałby organizować zbrojny napad na posterunek, żeby zabić komendanta? A może ci dwaj realizowali jedynie plan ułożony przez kogoś innego? Po raz kolejny wyciągnęła szyję, by przyjrzeć się drugiemu zabójcy. Wciąż miał czapeczkę baseballową nasuniętą głęboko na twarz, ale smuga słońca wpadająca przez uchylone drzwi frontowe pozwoliła dostrzec jego oczy. Były puste jak dwie kałuże mętnej wody.

Uzmysłowiła sobie, że Smith bacznie ją obserwuje, toteż zmusiła się do tego, by posłać Allison uśmiech pocieszenia. Dziewczynka siedziała przygarbiona z rączkami splecionymi na spódniczce wetkniętej między kolana. Łzy spływały jej po buzi. Jej matka, Ruth Lippman, zaczęła uczyć angielskiego w tutejszej szkole, kiedy Sara była już w dziesiątej klasie. Zdążyła ją jednak polubić za to, że była wymagającą i dość surową, lecz bardzo miłą nauczycielką.

- Mówi ze słabym południowym akcentem - mruknął Jeffrey.

Miał rację. Kiedy Smith wykrzykiwał coś z wściekłością, dało się wyczuć, że pochodzi z Południa, ale gdy mówił spokojnie, posługiwał się angielszczyzną bez akcentu. Miała wrażenie, że używał typowo wojskowych określeń, choć może tylko sobie to wmówiła. Sądziła, że pochodził z wojskowej rodziny, mógł być synem

zawodowego oficera, ze względu na kryminalną przeszłość czy też profil psychologiczny wyrzuconego z wojska już na etapie wstępnego szkolenia. Jeffrey zamknął oczy.

- Może spróbowałbyś się przespać?

- Nie powinienem spać - odparł, choć było widać, że powieki mu się kleją.

Sara znowu popatrzyła na Smitha, który obserwował ich z wyteżoną uwagą. Usiłując powstrzymać drzenie głosu, odezwała się do niego:

- On naprawdę potrzebuje natychmiastowej pomocy lekarskiej. Proszę, uwolnijcie go.

Smith wykrzywił usta, jakby się zastanawiał nad jej prośbą. Jego kumpel poruszył się niespokojnie i mruknął coś pod nosem. Smith podszedł do biurka sekretarki i podniósł słuchawkę natrętnie dzwoniącego telefonu.

- Wymienimy starszą panią za kanapki i wodę mineralną w butelkach. Tylko niczego nie kombinujcie. Sprawdzimy wszystko - rzucił ostro, po czym z przekrzywioną głową wysłuchał odpowiedzi. - Nie, to raczej wykluczone.

Znowu słuchał przez chwilę, po czym odwrócił się do Allison i podetknął jej słuchawkę pod nos. Sara nie widziała jego miny, wyczuła jednak, że uśmiecha się do małej. Błagała ją w myślach, żeby mu nie ufała, lecz jak można się było spodziewać, Allison nieśmiało odwzajemniła uśmiech. Smith błyskawicznie uszczypnął ją w nogę. Dziewczynka pisnęła, wtedy znowu przycisnął słuchawkę do ucha i zaśmiał się nieprzyjemnie.

- Zgadza się, proszę pani. Zatrzymamy dzieci. - Obejrzał się i obrzucił czujnym spojrzeniem pozostałych zakładników. - Chcemy też dostać parę butelek piwa.

Jego kumpel spojrzał na niego z ukosa i Sara odniosła wrażenie, że Smith na własną rękę zmodyfikował ustalony z góry plan. Pomyślała więc, że to chyba jednak nie on zorganizował ten napad.

Spoważniał błyskawicznie, jakby otrzymał przez telefon odpowiedź odmowną, po czym warknął:

- Masz na to godzinę, suko! Minuta dłużej i liczba zabitych zacznie szybko rosnać!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Poniedziałek

Pojechali do zakładu pogrzebowego. Sara prowadziła, siedzący obok Jeffrey

wskazywał drogę. W normalnych okolicznościach przed sekcją zwłok spędzała pewien czas w samotności, żeby skoncentrować się przed czekającym ją zadaniem, teraz jednak nie mogła sobie pozwolić na taki luksus. Przed wyjściem zadzwoniła od Neli do matki i uprzedziła ją, że wieczorem wraca do domu.

- To tutaj - powiedział Jeffrey, wskazując długi pawilon w kształcie litery U stojący przy autostradzie.

Dokoła nie było innych budynków, jeśli nie liczyć małego sklepiku z kwiatami po drugiej stronie szosy. Kiedy Sara wysiadła z samochodu, uderzyła w nią z impetem fala rozgrzanego powietrza od przejeżdżającego tira. Gdzieś w oddali przetoczył się grzmot, co idealnie pasowało do jej grobowego nastroju.

Skrzywiła się z bólu, przechodząc przez szosę, kiedy jakiś kamień uraził ją w stopę przez cienką podeszwę sandała.

- Wszystko w porządku? - zapytał Jeffrey. Skinęła głową i skierowała się do wejścia. Paul, zastępca szeryfa, który w nocy odwiózł ją do domu Neli, stał w drzwiach i palił papierosa. Na ich widok zgasił go pośpiesznie o bok kosza na śmieci i ostrożnie położył niedopałek na kupce piasku.

- Pani pozwoli - rzekł, otwierając przed nią drzwi.

- Dziękuję - odparła, zwracając uwagę na podejrzliwe spojrzenie, jakim obrzucił Jeffrey.

- Gdzie pozostali? - zapytał Jeffrey.

- Czekają w korytarzu tylnego skrzydła - odrzekł Paul, patrząc na Sarę.

Ruszyła energicznym krokiem w głąb budynku, nawet się nie oglądając. Tylko rytmiczne dzwonięcie kluczy i poskrzypywanie pasa z grubej skóry świadczyło, że zastępca szeryfa podąża tuż za nią. Tutejszy dom pogrzebowy przypominał typowe biuro federalne, grubo ochlapane tynkiem ściany z pustaków pomalowano na beżowo, a jarzeniówki zalewały wszystko żółtawym blaskiem. Unosił się tu intensywny zapach środka do balsamowania zwłok przemieszany z wonią odświeżacza powietrza, który byłby zapewne przyjemny w pomieszczeniach mieszkalnych albo w biurze, ale tutaj niemal przyprawiał o mdłości.

- Tędy - odezwał się Paul, wyprzedzając ją, żeby otworzyć drzwi na końcu korytarza.

Sara zerknęła przelotnie na Jeffrey, ale nie patrzył na nią, tylko z zaciśniętymi zębami wpatrywał się w salę, do której weszli. Pod regałem pełnym środków do konserwacji i charakteryzowania zwłok stał metalowy stolik na kółkach z leżącym na

nich trupem przykrytym czystym białym prześcieradłem, którego brzegi podrygiwały w strumieniu powietrza wyrzucanym przez hałaśliwy klimatyzator pod oknem. Było tu tak zimno, że przeszył ja dreszcz.

- Witamy - odezwał się Hoss, ruszając w jej kierunku z wyciągniętą ręką. Obróciła się, żeby ucisnąć mu dłoń, za późno się orientując, że chciał tylko położyć jej rękę na ramieniu i wprowadzić w głąb sali. Uzmysłowała sobie, że mężczyźni z jego pokolenia nie ściskali na powitanie dłoni kobietom, chyba że w żartach. Jej dziadek Earnshaw, którego po prostu uwielbiała, również miał taki zwyczaj.

Szeryf przedstawił jej pozostałych mężczyzn.

- To pan White, kierownik domu pogrzebowego. - Puciołowaty człowieczek o marsowym czole i wydatnej łysinie lekko skinął głową. - A to mój zastępca, Reggie Ray.

Ten sam chłopak, który był ostatniej nocy w domu Roberta. Nadal miał na szyi aparat fotograficzny, aż Sarze przemknęło przez myśl, że z nim spał.

- Chyba wczoraj nie miałem okazji ci powiedzieć, Spryciarzu - dodał szeryf - że Reggie to chłopak Marty Ray.

- Naprawdę? - burknął Jeffrey bez specjalnego zainteresowania.

Wyciągnął jednak rękę do tamtego, ale Reggie ucisnął mu dłoń z wyraźnym ociąganiem. Sarę zaciekawiło, dlaczego wszyscy stróże prawa traktują go z taką podejrzliwością.

- Dziś rano Robert złożył zeznania - oznajmił Hoss. Na twarzy Jeffrey'a odmalowało się zaskoczenie. - Sąsiedzi z grubsza potwierdzają to, co powiedział.

Sara była przekonana, że Jeffrey zapyta, co takiego zeznał Robert, ale on pokiwał głową i wbił wzrok w podłogę.

Po chwili niezręcznego milczenia White wskazał drzwi za jej plecami:

- Stroje ochronne trzymamy w magazynku. Proszę się obsłużyć według własnego uznania.

- Dziękuję - odparła, na co sztywno skinął głową. Przemknęło jej przez myśl, że może jest rozdrażniony, iż to jej szeryf zlecił przeprowadzenie sekcji. Kierownik zakładu pogrzebowego w okręgu Grant, przyjaciel z dzieciństwa, z radością przekazał jej obowiązki miejskiego koronera. Ale z miny White'a trudno było cokolwiek wyczytać.

Weszła do magazynku, który okazał się ciasną klitką. Ledwie zdołała zamknąć za sobą drzwi. W tej samej chwili mężczyźni zaczęli rozmawiać z ożywieniem.

Rozpoznała głęboki baryton Hossa przeplatający się z nieco piskliwym głosem Paula. Z tego, co zdążyła się zorientować, tematem dyskusji był przebieg wczorajszego meczu koszykówki w rozgrywkach szkół średnich.

Zdjęła z półki fartuch chirurgiczny i włożyła go, czując się wręcz idiotycznie, jak pies kręcący się w kółko w pogoni za własnym ogonem. Fartuch był bardzo duży, dostosowany rozmiarem do okazałego brzuszka White'a. Kiedy uzupełniła strój o papierowe ochraniacze na buty oraz czepek na włosy, poczuła się jak cyrkowy klaun.

Położyła rękę na klamce, lecz nie od razu otworzyła drzwi. Z zamkniętymi oczami próbowała się błyskawicznie odciąć od wszystkiego, co wydarzyło się w ciągu ostatniej doby. Gdyby skoncentrowała się na przypuszczeniu, że Robert sam się postrzelił, mogłaby nieświadomie dopasowywać do tej poszlaki wyniki sekcji zwłok, a zależało jej na tym, by poznać wyłącznie fakty. W końcu nie była oficerem śledczym. Jej zadaniem było wyłącznie przedstawienie fachowej opinii na temat zabitego, śledztwem zajmie się policja. Zatem jedyną rzeczą, nad którą powinna obecnie zachować kontrolę, było sumienne wywiązanie się z nałożonego na nią obowiązku.

Gdy wróciła do sali, mężczyźni natychmiast umilkli. Wydało jej się, że dostrzega ironiczny uśmiech na ustach Paula, ale chłopak pospiesznie zaczął kartkować swój notatnik, szykując się do robienia zapisków kawałkiem ołówka o mocno pogryzionym końcu. White stanął przy zwłokach, Jeffrey i Hoss zajęli miejsce pod ścianą i skrzyżowali ręce na piersi. Reggie przy zlewie ustawiał coś w aparacie fotograficznym. W sali panowała atmosfera wyczekiwania, Sara odnosiła jednak mętne wrażenie, że tak naprawdę wszyscy traktują obecność podczas sekcji jak przykry rutynowy obowiązek.

- Gdzie są zdjęcia rentgenowskie? - zapytała. White zerknął na szeryfa, po czym odparł:

- Robimy prześwietlenia tylko w wyjątkowych okolicznościach.

Próbowała ukryć zdumienie, bo nie chciała, by odnieśli wrażenie, że uznaje ich za bandę tępych wieśniaków. Dla niej zdjęcia rentgenowskie należały do standardowej procedury autopsji, w dodatku miały szczególne znaczenie w przypadku ran postrzałowych głowy. Skoro kula przebiła kość i zagłębiła się w tkankę mózgową, tylko ułożenie odłamków kości na prześwietleniu umożliwiało prawidłową ocenę toru lotu pocisku. Rozcinanie rany postrzałowej groziło zniekształceniem śladów i mogło prowadzić do całkowicie błędnych wniosków.

- Znaleźliście kulę?

- W jego głowie? - zapytał zdumiony Reggie. - Wyciągnąłem ze ścian dwa pociski kalibru dwadzieścia dwa. Ale w okolicach jego głowy nie znalazłem niczego oprócz... resztek głowy.

- Pocisk może nadal tkwić w środku - powiedziała. Hoss odchrząknął i wtrącił uprzejmie:

- Może Reg po prostu go przeoczył. Na pewno go znajdziemy przy powtórnych oględzinach pokoju.

Reggie najwyraźniej poczuł się lekko urażony, lecz zanim szeryf na niego spojrział, zdążył przyjąć obojętną minę. Wzruszył tylko ramionami, jakby chciał dać do zrozumienia, że to niewykluczone.

- Czasami tkanka mózgowa spowalnia pocisk do tego stopnia, że nie wydostaje się on po drugiej stronie - powiedziała Sara, starannie dobierając słowa.

- Przecież całą prawą stronę głowy ma zmienioną w krwawą miazgę - zauważył szeryf.

- To może być skutek uderzenia o podłogę. - Wiedząc, jakiej amunicji używa policja, zwróciła się do Reggiego: - Chodzi o pocisk dziewięćmilimetrowy, jak się domyślam?

Przerzucił parę kartek w notatniku i odczytał:

- Beretta była załadowana nabojami kalibru dwadzieścia dwa o klasycznych szpiczastych pociskach, a dziewięćmilimetrowy glock typowymi kulami z tępo ściętym końcem.

- Takie pociski mają wystarczającą siłę przebicia, żeby wychodząc z czaszki, roztrzaskać spory fragment kości i oderwać kawałek skalpu - podsumowała, przemilczając uwagę, że zdjęcie rentgenowskie od razu by to wykazało.

- Zgadza się - przyznał Hoss.

Myślała, że powie coś jeszcze, ale gdy zamilkł, ściągnęła prześcieradło i odsłoniła zwłoki. Przemknęło jej przez myśl, iż nie powinna być ani trochę zdziwiona, że ciało leży na wznak. Miała tylko nadzieję, że z jej miny nie zdołali odczytać poirytowania. W ten sposób plamy opadowe, które musiały się utworzyć w tylnej części głowy, mogły dodatkowo zaciemnić obraz w okolicach rany wylotowej po kuli. Z pewnością nie dało się już oszacować, czy na tylnej powierzchni czaszki nie było jakichś dodatkowych urazów poza wyraźnymi zadrapaniami czy rozcięciami skóry. Ewentualne siniaki lub stłuczenia, będące na przykład skutkiem ciosu w głowę,

musiały zniknąć pośród licznych zaciemnień skóry od gromadzącej się krwi.

Z powodu stężenia pośmiertnego zwłoki były nienaturalnie wyprężone. Pozlepiane potem i krwią włosy zakrywały większą część twarzy, dało się jednak dostrzec na wpół otwarte oczy i szeroko rozdziawione usta. Rozległy, siny ślad na policzku oznaczał miejsce, gdzie twarz zabitego stykała się z dywanem. Na wątlej klatce piersiowej pod skórą rysowały się żebra. Plamy krwi na zapadniętym brzuchu układały się łukiem, jakby pasek spodni zwisał mu luźno, co mogło świadczyć, że Swan ostatnio znacznie schudł. Nikt też nie pomyślał, żeby zabezpieczyć mu workami foliowymi dłonie, na których mogły pozostać ważne dowody z miejsca zbrodni, na przykład ślady prochu czy jakiegokolwiek włókna, nie mówiąc już o ewentualnych przedmiotach znajdujących się w dłoniach, zwłaszcza że prawa ręka była zaciśnięta w pięść.

- Próbowałem mu rozewrzeć palce, ale nie dałem rady - wyjaśnił Reggie.

- Nic nie szkodzi - odpowiedziała, pomyślawszy, że gdyby nawet teraz chciała szukać śladów prochu na skórze, i tak już nie potrafiłaby odróżnić, czy były one pierwotnie na dłoniach zabitego, czy też zostały przeniesione przez zastępcę szeryfa. - Są już gotowe zdjęcia z miejsca zbrodni?

Reggie pokręcił głową.

- Przyniosłem tylko swoje szkice - rzekł, wyciągając z kieszeni munduru szarą kopertę. Wyjął ze środka trzy kartki papieru z bardzo schematycznymi rysunkami. Podał je Sarze i rzekł zawstydzony: - Miałem zamiar trochę je poprawić dziś rano.

- Na razie mi wystarczą - odparła, rozkładając szkice na blacie przy zlewie. Dwa wydłużone prostokąty miały zapewne oznaczać tapczan i stojący naprzeciwko niego kredens. W miejscu znalezienia zwłok znajdował się dziecięcy zarys ludzkiej sylwetki z dwoma iksami znaczącymi oczy zabitego. Podgięta prawa ręka była ułożona pod ciałem, natomiast lewa wyciągnięta w bok. - Na pewno leżał na zgiętej prawej ręce?

Reggie pokiwał głową.

- Tak. Gdy go obróciliśmy na wznak, pozostała uniesiona w górę.

- Stężenie pośmiertne wystąpiło wyjątkowo szybko - wtrącił White.

- O której dotarł pan na miejsce?

- Jakies dwie godziny po wypadku.

Sara zwróciła uwagę, że mężczyzna, który w tym miasteczku zajmował się sekcjami zwłok, już teraz nazywa to zdarzenie wypadkiem.

- Mieliście kłopoty z obróceniem trupa?
- Musieliśmy przełamywać stężenie, żeby go ułożyć na noszach.
- W rękach i nogach?

White przytaknął ruchem głowy.

Stężenie zwykle zaczynało występować najpierw w mięśniach dolnej szczęki, skąd rozchodziło się stopniowo w dół ciała. Najczęściej musiało minąć od sześciu do dwunastu godzin, zanim ustąpiło.

- Może działał w panice? - odezwał się po raz pierwszy Jeffrey. - A może był naszpycowany jakimś środkiem przyspieszającym tętno?

- To wykaże profil toksykologiczny.

- Czy mogłaby pani to wyjaśnić tym, którzy nie ukończyli wyższych studiów?

- zapytał uprzejmie Hoss.

- Stężenie pośmiertne pojawia się tym szybciej, im bardziej człowiek był wyczerpany w chwili zgonu. Uszczuplenie naturalnych zapasów trójfosforanu adenozy, czyli ATP, w organizmie powoduje, że mięśnie szybciej sztywnieją.

Szeryf pokiwał głową, lecz po jego minie było widać, że i tak niewiele rozumiał.

Sara otworzyła już usta, żeby dokładniej wyjaśnić cały mechanizm, kiedy nagle uświadomiła sobie, że to bezcelowe. Pod tym względem Hoss tak bardzo przypominał jej dziadka Earnshawa, że aż uśmiechnęła się mimowolnie.

- Tutaj leżały łuski od wystrzelonych naboju - rzekł Reggie, wskazując na szkicu jedno kółko z odchodzącą od niego linią przy drzwiach sypialni i dwa takie same znaczki przy ciele. - Dwie łuski kalibru dwadzieścia dwa znaleźliśmy tutaj, a dziewięćmilimetrową w samym przejściu na korytarz.

Jeffrey odchrząknął, jakby chciał zasygnalizować, że niechętnie zabiera głos.

- Zdjęliście z nich odciski palców?

Reggie obrzucił go pogardliwym spojrzeniem.

- Oczywiście. Podobnie jak z pistoletów. Glock należy do Roberta, to jego służbowy pistolet. A beretta ma spiłowany numer seryjny.

Hoss pokiwał głową i wetknął ręce do kieszeni. Sara zwróciła się do White'a:

- Gdzie są rękawiczki?

Wyjął z szafki pod zlewem całe pudełko. Wszyscy przyglądali się z uwagą, jak Sara wkłada od razu dwie pary, jedną na drugą. Kiedy White podtoczył bliżej stolik z instrumentami, odetchnęła z ulgą na widok dużego noża, nożyczek, rozmaitych

skalpeli i innych narzędzi niezbędnych do wykonania autopsji.

- Pomogę pani - zaofiarował się.

Wspólnie zdjęli i złożyli prześcieradło okrywające zwłoki. Ktoś wcześniej ściągnął ze Swana ubranie, toteż nie miała szans zbadać śladów pozostałych na dżinsach czy bieliźnie.

Zabity był drobnej budowy ciała, na oko miał nie więcej niż sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i ważył niewiele ponad siedemdziesiąt kilogramów. Chociaż blond włosy sięgały ramion, trudno go było nazwać mocno owłosionym. Pod brzuchem ciemniała tylko drobna kępka włosów łonowych. Penis był lekko obrzmiały, spuchniętą mosznę pokrywały ślady jakiejś wybroczyny. Na chudych pałkowatych nogach wyróżniała się długa blizna po zewnętrznej stronie lewego uda, prawdopodobnie pochodząca jeszcze z dzieciństwa. Przed laty musiał więc doznać jakiegoś poważniejszego urazu. Z jakiegoś powodu ten widok nasunął jej skojarzenie z blizną na ramieniu Jeffreya i zaciekało ją, co on czuł, kiedy zranił się o kuchnię, gdy dostał pięścią od ojca.

Zwróciła się do Paula:

- Zechce pan robić notatki?

- Tak, oczywiście - odparł zastępca szeryfa, otwierając notatnik na czystej kartce.

- Ile miał lat?

- Trzydzieści cztery - odrzekł Paul.

Pokiwała głową, gdyż zgadzało się to z jej przypuszczeniami. Zaczęła powtarzać swoje dotychczasowe spostrzeżenia, dając chłopakowi czas na ich zapisanie. W biurze koronera okręgu Grant korzystała z dyktafonu, toteż trudno jej się było dostosować do powolnego tempa robienia na bieżąco notatek.

- Skóra lekko przesuszona, zapewne z powodu braku dbałości o higienę osobistą - powiedziała, wodząc palcami po ciele trupa. - W zgięciu prawego ramienia liczne ślady po igle, prawdopodobnie pochodzące sprzed kilku lat. - Tknięta nagłym przecuciem, skoncentrowała się na stopach. - Jeszcze liczniejsze świeże ślady między palcami nóg.

- Co to za ślady? - zaciekał się Hoss.

- Wbijał sobie strzykawkę między palce nóg, żeby widoczne ślady na ciele nie zdradziły, że bierze narkotyki - wyjaśnił Jeffrey, po czym rzekł do Sary: - To by wyjaśniało niski poziom ATP.

- Owszem, choć to jeszcze zależy od tego, co brał. - Spojrzała na White'a. -
Pobraliście próbki krwi i moczu?

Skinął głową.

- Ale wyniki będą najwcześniej za tydzień. Sara przygryzła wargi, lecz
wyrezywał ją Jeffrey:

- Nie można przyspieszyć analiz?

- To będzie kosztowało - burknął szeryf.

Jeffrey wzruszył ramionami, a Hoss skinął głową White'owi, dając znak, że się
na to zgadza.

Sara szybko dokończyła oględzin, nie znajdując więcej nic szczególnego poza
kolejną blizną, niedużą, w kształcie gwiazdy, powyżej kostki prawej nogi.

- Może mi pan pomóc rozewrzeć pięść? - spytała White'a.

Ten włożył gumowe rękawiczki i zaczął się mocować ze stężałymi palcami.
Wszyscy patrzyli uważnie, jak zapierając się mocno, z trudem odchyła kciuk
zaciśniętej pięści milimetr po milimetrze. Kiedy wreszcie napał ramieniem, palec
wyłamał się z głośnym trzaskiem. Dalej poszło już trochę łatwiej, chociaż wszystkie
palce trzeba było wyłamywać, czemu towarzyszył nieprzyjemny dźwięk
przypominający łamanie suchych gałęzi.

- Nic w niej nie ma - oznajmił, zajrzawszy w dłoń trupa, po czym odsunął się,
robiąc miejsce Sarze.

Długie paznokcie pozostawiły wyraźne ślady po wewnętrznej stronie dłoni, ale
w pięści rzeczywiście niczego nie było.

- Myśli pani, że to tylko śmiertelny skurcz? - zapytał.

- To się rzadko zdarza - odparła, przyglądając się uważnie skórze na boku, pod
którym leżała ręka. - Przygniótł pięść całym ciężarem ciała, a stężenie pośmiertne
prawdopodobnie zablokowało palce w takiej pozycji. - Rozejrzała się po sali i
wskazując stojącą w rogu lampę na stojaku, poprosiła: - Czy mógłby pan podtoczyć ją
bliżej, żebym lepiej widziała?

White odplątał kabel owinięty wokół stojaka i podsunął lampę do stołu, a Paul
wetknął wtyczkę do kontaktu. Mocna żarówka zamigotała parę razy, ale w końcu jej
stabilne światło padło na rozwartą dłoń trupa.

Wykorzystując ostry koniec pesety, Sara zaczęła wydłubywać zza paznokci
suche kawałki skóry wraz z jakimiś większymi płatkami niewiadomego pochodzenia.
Razem z kilkoma odłamkami paznokci przeniosła je wszystkie do szklanej fiolki na

dowody rzeczowe i wręczyła Paulowi, który kawałkiem zielonej taśmy samoprzylepnej zakleił korek.

Następnie zaczęła przykładać linijkę do blizn i innych znaków szczególnych na ciele trupa, podczas gdy Reggie Je fotografował. Kiedy doszli do głowy, ostrożnie usunęła z okolic rany postrzałowej kilka odłamków kości i fragmentów szarej tkanki, zsunęła pozlepiane włosy z twarzy Swana i odsłoniła otwór wlotowy pocisku.

Jeffrey, który od dłuższego czasu milczał, natychmiast zauważył:

- Tatuaz prochowy.

Powiedział to jednak tak cicho, że Sara nawet nie była pewna, czy rzeczywiście to słyszała, czy tylko odezwał się głos w jej myślach.

Tatuaz był jednak doskonale widoczny. Skóra na sporym obszarze wokół rany była upstrzona brunatnymi cętkami, śladami po oparzeniu gorącymi drobinami prochu, które wydostały się z lufy broni. Znow sięgnęła po linijkę, żeby Reggie zrobił zdjęcia, po czym zaczęła delikatnie rozsuwać włosy wokół rany, szukając innych charakterystycznych śladów.

- Ale nie widzę sadzy - mruknęła.

- Krew nie mogła zmyć? - zapytał Jeffrey, podchodząc nieco bliżej.

- Nie z tej strony głowy - odparła, czując wyraźną ulgę. Włosy pozlepiane krwią i resztkami tkanek bardzo utrudniały oględziny bezpośredniego sąsiedztwa rany, ale jasne światło lampy pozwoliło jej się pozbyć wątpliwości. Obecność na skórze tatuazu prochowego przy jednoczesnym braku poprzyklejanych do niej grudek sadzy była dowodem, że strzał oddano z pewnej odległości, wylot lufy musiał się znajdować co najmniej pół metra od głowy zabitego.

- Jakimi kulami był załadowany glock Roberta? - zapytał Jeffrey.

Paul przerzucił parę kartek w notatniku i odparł:

- Z dostaw federalnych, z prochem typu sto piętnaście.

- A więc granulowanym - rzekł Jeffrey także z wyraźną ulgą, po czym objaśnił szeryfowi: - Proch granulowany daje większą prędkość wylotową kuli, stąd można szacować, że w chwili strzału Robert stał od zabitego w odległości od pół do półtora metra.

- To by się zgadzało z jego zeznaniami - oznajmił szeryf. - Powiedział też, że miał opóźniony zapłon po naciśnięciu spustu.

- Opóźniony zapłon? - zdziwiła się Sara, ale nie dlatego, że nie знаła tego pojęcia, tylko wydało jej się niewiarygodne, by przydarzyło się coś tak rzadko

spotykanego. Opóźniony zapłon oznaczał bowiem, że minął pewien czas od chwili naciśnięcia spustu do uderzenia iglicy w splotkę naboju i wystrzelenia pocisku.

- Powiedział, jak długo to trwało? - zapytał równie zdumiony Jeffrey.

- Nie był pewien. Oszacował, że jakieś pół sekundy. Jeffrey spojrzał na Sarę, która pomyślała, że musi mieć równie zbaraniałą minę jak on. Nie istniała żadna metoda na obalenie bądź potwierdzenie tezy, że pistolet wypalił z opóźnieniem, nie wpływało to ani na kształt kuli, ani na rodzaj zniszczeń poczynionych przez nią po trafieniu w cel. Można jednak było w ten sposób tłumaczyć wszelkie nieścisłości między stwierdzoną odległością wylotu lufy od celu a torem lotu pocisku.

Sara wróciła do oględzin głowy, zaczęła wyciągać spomiędzy włosów odłamki kości oraz różne śmieci i odkładać je na blaszaną tackę. Próbowwała na nowo skoncentrować się na wykonywanym zadaniu, ale głowę zaprzętała jej drażniąca myśl, że wszyscy bardzo szybko znajdowali wytłumaczenie dla wszelkich rodzących się wątpliwości. Była pewna, że gdyby role się odwróciły i na stole przed nią leżały teraz zwłoki Roberta, obecni w sali mężczyźni na siłę staraliby się znaleźć dowody, że Luke Swan popełnił morderstwo z zimną krwią.

Jak gdyby czytając w jej myślach, Jeffrey zapytał Hossa:

- Gdzie teraz jest Robert?

- Przy Jessie w domu jej matki. Dlaczego pytasz?

- Pomyślałem, że mógłbym go odwiedzić i sprawdzić, jak się czuje.

- Nic mu nie jest. - Szeryf spojrzał na zegarek. - Sekcja przeciąga się trochę dłużej, niż myślałem. Muszę iść na zebranie.

- Chcesz, żeby Paul spisał nasze zeznania?

Hoss zrobił taką minę, jakby całkiem o tym zapomniał. Po chwili odparł:

- Nie, sam się tym zajmę. Spotkajmy się na posterunku koło trzeciej.

- Planowaliśmy wcześniej wyjechać - odrzekł Jeffrey.

- Nie ma sprawy. - Hoss huknął go otwartą dłonią w plecy. - W takim razie wpadnijcie do mojego biura, jak będziecie wyjeżdżać. Przecież to nie zajmie nam dużo czasu.

Ledwie zamknęły się za nim drzwi, Paul rzucił pośpiesznie:

- Przepraszam, ale i ja mam trochę pilnej roboty papierkowej.

Pożegnał Sarę skinieniem głowy i również wyszedł. Następnym był White, który wymówił się umówionym spotkaniem na lunch, jakby nie zauważył, że ścienny zegar pokazuje dopiero godzinę dziesiątą.

Reggie zdjął wreszcie aparat z szyi i pochylił się nad zlewem, żeby umyć ręce. Jego kwaśna mina mówiła aż nadto wyraźnie, że nie ma się czym wykłamać, a nawet gdyby było inaczej, nie ufa Jeffreyowi na tyle, by zostawić go przy zwłokach.

Jeffrey pogorszył jeszcze sytuację, gdy zapytał:

- Co Robert zeznał?

Zastępca szeryfa wzruszył ramionami.

- A czemu cię to interesuje?

Jeffrey odpowiedział takim samym wzruszeniem ramion.

Nie mając pewności, jak Reggie zareaguje, Sara powiedziała szybko:

- Nie chcę rozcinać czaszki w poszukiwaniu kuli-

Lepiej zaczekać na prześwietlenie i uniknąć groźby zniszczenia dowodów.

- W sypialni naprawdę nigdzie nie było tej kuli - odparł nieco podenerwowany Reggie. - Dokładnie sprawdzałem. Znaleźliśmy w ścianach tylko te dwa pociski kalibru dwadzieścia dwa i trzy łuski na podłodze, w miejscach, które zaznaczyłem na rysunku.

Jeffrey chyba również wyczuł, że nie warto zaogniać atmosfery, gdyż zapytał ostrożnie:

- Jaki model pistoletu Robert ma w zapasie? Zastępca szeryfa popatrzył na niego w osłupieniu.

- Pocisk kalibru dwadzieścia dwa, który ma znacznie mniejszą prędkość od dziewięćmilimetrowego, prawie na pewno pozostałby w obrębie czaszki.

Reggie z rozdziawionymi ustami zaczął przenosić wzrok z Jeffrey'a na nią i z powrotem.

- W takim razie myślę, że lepiej będzie jeszcze raz przeszukać sypialnię - bąknął w końcu.

- Zgadza się - przyznał Jeffrey, kiwając głową.

Sara szybko wciągnęła świeżą parę gumowych rękawiczek i choć zdawała sobie sprawę, że nie została do tego upoważniona, zaczęła ostrożnie obmacywać zgruchotaną czaszkę po drugiej stronie głowy, wiedząc, że to jedyny sposób, aby już teraz poznać prawdę. Rana była tak rozległa, że pobieżne oględziny nie pozwalały na określenie otworu wylotowego kuli. Nie chciała jednak dłużyć w niej pęsetą z obawy, że metalowy instrument może porysować lub zatrzeć charakterystyczne ślady na znajdującej się tam ewentualnie kuli.

- Nic - powiedziała w końcu. - Może utkwiła gdzieś głębiej.

- Hoss nie zezwoli na transport ciała na prześwietlenie - rzekł Reggie.

- Nazywał się Luke Swan - przypomniał mu Jeffrey. - Czy kiedykolwiek aresztowałeś go i odwoziłeś na Posterunek?

- Do diabła, setki razy - prychnął chłopak.

- Za co?

- Głównie za włamania i kradzieże. Ale dotąd zawsze się upewniał, że w domu nikogo nie ma. Bardzo często włamywał się, gdy ludzie byli na nabożeństwie w kościele.

- Wczoraj była niedziela.

- Ale kościelny zamyka drzwi na klucz o ósmej. Nawet jeśli Swan był naćpany, musiał widzieć samochód stojący przed domem.

- Czy kiedykolwiek wcześniej znaleźliście przy nim broń?

- Nigdy.

- A dopuścił się kiedyś napaści?

- Też nie. - Reggie zamyślił się na krótko. - Był tylko drobnym złodziejaszkiem, zwykle zabierał jedynie to, co dał radę wynieść w poszewce od poduszki. Ale z takimi nigdy nic nie wiadomo, prawda? Mogę się założyć, że to samo ludzie mówili o twoim ojcu, zanim się spiknął z tymi bandziorami, którzy zabili mojego wujka Dave'a.

Sara spostrzegła, że Jeffrey zagryzł wargi i z trudem przełknął ślinę.

- Nigdy nie wiadomo, do czego tacy są zdolni - ciągnął śmieiej Reggie. - Zaczynają od wykradania kosiarek do trawy, a kończą na mordowaniu z zimną krwią zastępców szeryfa.

Poczuła się zobligowana, żeby coś powiedzieć, ale w głowie miała pustkę. Jeffrey nerwowo zaciskał i rozwierał pięści, jakby chciał się rzucić na chłopaka. Tymczasem Reggie zaczętnie uniósł brodę, najwyraźniej próbując sprowokować Jeffrey'a do bójki.

- Czy mógłbyś teraz ty zająć się robieniem notatek? - zwróciła się do niego Sara.

Reggie z ociąganiem oderwał wzrok od Jeffrey'a.

- Oczywiście, proszę pani - mruknął, sięgając po notatnik. Zerknął jeszcze raz na Jeffrey'a i dodał: - Przecież po to tu jestem, żeby pani pomóc.

Zacząła dalej dyktować swoje spostrzeżenia, choć nie pamiętała dokładnie, na czym Paul skończył notować. Zależało jej jednak, by jak najszybciej doprowadzić

sekcję do końca i bez dalszej zwłoki wyjechać z tego odrażającego miasteczka. Kilka razy zerknęła fachowym okiem na Jeffreya wpatzonego w zwłoki Swana, zastanawiając się, o czym myśli. Nie wiedziała dotąd, że w strzelaninie, w którą był zamieszany jego ojciec, zginął policjant. Słowa Reggiego padły na podatny grunt i sądząc po minie Jeffreya, jego wściekłość na zastępcę szeryfa szybko przerodziła się w bezdenny smutek, niemalże namacalny, jakby oprócz nich w sali znajdowała się jeszcze czwarta osoba.

Reszta autopsji przebiegła na tyle rutynowo, na ile rutynowa mogła być sekcja ofiary zabitej z broni palnej. Nie stwierdziła niczego, co podważyłoby prawdziwość lakonicznej relacji Roberta na miejscu zbrodni. Wiele śladów pozwalało wnioskować o długotrwałym zatruciu narkotykami, a liczne zwapnienia w sercu świadczyły o niezdrowej tłustej diecie Swana. Jego wątroba była dość znacznie powiększona, ale wobec obecności niestrawionego alkoholu w żołądku nie należało się temu dziwić. Ostatnią zagadką pozostawała kula z pistoletu, która albo znajdowała się gdzieś w sypialni Roberta, przeoczona przez Reggiego, albo tkwiła w głowie zabitego. Mimo że miała na to ochotę, postanowiła jednak nie otwierać czaszki, w nadziei, że ewentualne zdjęcia rentgenowskie nakłonią Hossa do wznowienia śledztwa w przypadku jakichkolwiek wątpliwości.

Zaszywała już rozcięcie w klatce piersiowej, kiedy przypomniała sobie o ubraniu. Zapytała o nie.

- Zostało w plastikowym worku na posterunku - odparł Reggie.

- Nie ma go tutaj? - zdziwiła się.

- Hoss z samego rana włączył je do dowodów rzeczowych - wyjaśnił zastępca szeryfa, kartkując notatnik; - Była tam para dżinsów marki Levis, rozmiar dwadzieścia dziewięć łamane przez trzydzieści, sportowe buty marki Nike, białe skarpetki i portfel z sześcioma dolarami oraz unieważnionym prawem jazdy.

- Nie nosił żadnej bielizny? - zapytała Sara. Chłopak ponownie zajrzał do notatek.

- Wygląda na to, że nie.

- A kluczyki od samochodu?

- Nie mógł sam prowadzić. Jakies trzy lata temu unieważniono mu prawo jazdy za prowadzenie po pijanemu.

- To, że nie miał ważnego prawa jazdy, nie oznacza jeszcze, że nie prowadził - zauważył Jeffrey.

Reggie wzruszył ramionami.

- W każdym razie nigdy nie przyłapaliśmy go za kierownicą. Zresztą, mógłby jeździć tylko samochodem swojej babci, a to stuknięta stara wiedźma. Hoss parę razy przyłapał ją, jak jechała pod prąd. A któregoś dnia nie zatrzymała się pod znakiem stopu u wylotu Hendersona, władowała się pod ciężarówkę i rozwalila cały przód auta, które od tamtej pory rdzewieje na podwórku. Nawet gdyby Swan chciał nim jeździć, pewnie w ogóle by go nie uruchomił.

Sara zaczęła ściągać rękawiczki.

- Czy mogłabym gdzieś usiąść, żeby napisać raport?

- Zaraz zapytam White'a - odparł Reggie. - Na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu, by skorzystała pani z jego biura.

Sara podeszła do zlewu, żeby umyć ręce. Czowała na sobie wzrok Jeffreya. Obejrzała się, chcąc spojrzeć mu w oczy, lecz w tej samej chwili odwrócił głowę, bo do sali wszedł White.

- Proszę - rzekł, wyciągając w jej kierunku plik papierów. - Jak się domyślam, jest pani obeznana z tymi dokumentami.

Sara rzuciła okiem na formularze.

- Tak, dziękuję.

- Zwykle wypełniam je tutaj - dodał White, podsuwając krzesło do blatu przy zlewie.

- To mi wystarczy.

- Zaczekam na parkingu przy samochodzie - rzucił Jeffrey.

- Zostawię panią z tą robotą - mruknął White.

Kiedy usiadła przy blacie, Reggie stanął nad nią i zerkając ponad jej ramieniem, zaczął dyktować dane personalne zabitego. Wpisała w odpowiednim miejscu adres zamieszkania i domowy numer telefonu Swana, następnie rozmiary i wagę poszczególnych organów, wreszcie zaczęła opisywać znaki szczególne znalezione na ciele. Spisywała już swoje wnioski końcowe, gdy zastępca szeryfa głośno odchrząknął. Obejrzała się na niego, oczekując niezbyt miłej tyrady na temat Jeffreya.

- A więc sprawa przedstawia się prosto, prawda? - zaczął nieśmiało.

Nie bardzo wiedząc, do jakiego stopnia może mu zaufać, odparła wymijająco:

- Żadna śmierć od kuli z broni palnej nie jest prostą sprawą.

- To prawda - przyznał tak samo ostrożnie. - Od jak dawna zna pani Jeffreya

Tollivera?

Mimowolnie poczuła chęć wstawienia się za Jeffrey'em.

- Od jakiegoś czasu. Dlaczego pan pyta?

- Z czystej ciekawości.

- Czyżby coś było niejasne?

Pokręcił głową, więc pochyliła się nad formularzami.

Ale po parę sekundach znowu odchrząknął i ponownie obejrzała się na niego.

- Beretta mieści w magazynku siedem nabołów - powiedział.

- To znaczy, że powinno ich zostać pięć.

- Sześć, jeśli doliczyć jeden nabój w komorze. Spojrzała mu w oczy, mając wrażenie, że i on nabrał jakichś wątpliwości.

- A ile ich było w magazynku?

- Sześć.

Odłożyła długopis.

- Chce mi pan coś powiedzieć, Reggie?

Pod skórą na jego policzkach zagrały mięśnie zaciśniętej szczęki, podobnie jak u Jeffrey'a, kiedy wpadał w złość. Sprzykrzyło jej się wyciąganie na siłę wiadomości od tutejszych mężczyzn.

- Jeśli chce pan coś powiedzieć, to proszę, słucham - wycodziła.

Poniewczasie uświadomiła sobie, że musi to odnieść odwrotny skutek do zamierzonego, ale nie miała dłużej ochoty przejmować się odczuciami innych.

- Reggie, jeśli uważasz, że jest coś podejrzanego w sprawie tego zabójstwa, musisz jasno wyrazić swoje wątpliwości. Moim zadaniem jest tylko wypełnienie tych formularzy po zakończonej sekcji. Nie jestem ani oficerem śledczym, ani twoją matką.

- Proszę wybaczyć - mruknął wyraźnie roztrzęsionym głosem - ale chyba nie ma pani pojęcia, w co się tu wpakowała.

- Mam to traktować jak groźbę?

- Raczej jak ostrzeżenie - rzekł. - Wydaje mi się pani dość miłą osobą, lecz ani trochę nie ufam ludziom, z którymi się pani zadaje.

- Dziękuję. Wyraziłeś się dostatecznie jasno.

- Proszę się dobrze zastanowić, dlaczego ostrzegłem panią przed nim. -

Skłonił się sztywno, musnął palcami rondo kapelusza i mruknął: - Pani wybaczy.

Odwrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Żar zwałił się na nią nieznośnym ciężarem, gdy tylko otworzyła drzwi domu pogrzebowego. Wszystko wskazywało na to, że burza nie przejdzie bokiem, ale nawet spiętrzone ciemne chmury nie mogły sprawić, by powietrze się orzeźwiło. Miała wrażenie, że jej skóra gwałtownie się skurczyła na słońcu, ale zanim podeszła do Jeffreya stojącego przy samochodzie, pierwsze krople potu już ściekały jej po karku. Mimo to zaproponowała:

- Chodźmy się trochę przejść.

O nic nie pytał, dopóki nie dotarli do końca cmentarza na tyłach budynku. W stojącym nieruchomo powietrzu zaczęli pokonywać łagodny stok wzgórza, aż zakręciło jej się lekko w głowie. Szła jednak dalej, w milczeniu rejestrując punkty orientacyjne terenu na drodze do widniejącej przed nimi ściany lasu. Jeffrey wyprzedził ją i otworzył furtkę w ogrodzeniu cmentarza.

Kiedy dotarli do linii drzew, niebo groźnie pociemniało, nie umiała jednak rozsądzić, czy na skutek nadciągającej burzy czy z powodu zbitej powłoki listowia. Tak czy inaczej, w cieniu było o dobrych kilka stopni chłodniej, co przyjęła z ulgą.

Idąc przodem wąską ścieżyną, Jeffrey odchyłał zwieszające się nisko gałęzie i skopywał z drogi większe kamienie. Ptaki świergotały im nad głowami, a powietrze wypełniało monotonne bzyczenie, cykanie świerszczy, a może syk żmij, zależnie od tego, jak dalece popuszczała wodze wyobraźni.

Wreszcie postanowiła przerwać milczenie.

- Wiem, że to głupie pytanie, wzięwszy pod uwagę, że jesteśmy w Alabamie, ale czy ktokolwiek raczył się zastanowić, dlaczego Luke Swan był nagi do pasa?

Jeffrey ułamał suchą gałązkę zwieszającą się nad ścieżką i rzekł:

- Mam wrażenie, że nikt już nie zamierza o nic pytać. - Zerknął na nią przez ramię. - W ogródku pod oknem nie ma żadnych śladów stóp. - Jak gdyby po głębszym namyśle dodał: - Sucha ziemia jest mocno udeptana, więc można by się upierać, że nawet dużo cięższy człowiek nie zostawiłby na niej śladów.

- A mnie się zdaje, że jak dotąd poczyniono wszystko, by przymknąć oko na wiele szczegółów.

Skrzywiła się, nadepnąwszy na wystający korzeń. Jeffrey stanął i odwrócił się do niej.

- Nie potrafiłem też stwierdzić, czy okiennica została oderwana od podwórka, czy wypchnięta od środka.

- I co powinniśmy zrobić z tymi wątpliwościami?

- Cholera - syknął, rzucając gałązkę w zarośla. - Nie mam pojęcia.

Przyklęknął i zaczął rozwiązywać adidasy.

- Co robisz?

- W tych cienkich sandałkach jest ci chyba jeszcze gorzej, niż gdybyś chodziła boso - wyjaśnił, podając jej but. Popatrzyła na niego z niedowierzaniem, więc dodał: - Całowałem każdy centymetr twojego ciała, Saro. Myślisz, że nie zauważyłem, że masz stopy mniej więcej tego samego rozmiaru jak moje?

- Wcale nie są takie duże - mruknęła skonsternowana, ale oparła się na jego ramieniu dla utrzymania równowagi, pozwalając, by włożył jej but na nogę.

Ku jej zakłopotaniu but okazał się tylko trochę za duży. Spojrzała w dół, żeby sprawdzić, czy i on to zauważył. Uśmiechnął się szeroko.

- Uwielbiam, kiedy się tak rumienisz.

- Wcale się nie zarumieniłam - odparła, chociaż wyraźnie czuła żar palący policzki.

Pomógł jej włożyć drugi but. Chciała kucnąć, żeby je zawiązać, ale pośpiesznie zrobił to za nią.

- Ja też ciągle czekam, aż ktoś coś wreszcie powie. Bo nie chce mi się wierzyć, że wszyscy kupili bajeczkę Roberta.

- Wydaje mi się, że Reggie ma sporo wątpliwości - odparła, przyglądając się, jak starannie zawiązuje sznurowadła na kokardkę.

Miał duże, masywne dłonie, wiedziała jednak, że ich dotyk potrafi być bardzo delikatny i czuły. Z jakiegoś powodu wygasła cała złość, jaką jeszcze rano czuła do niego, i teraz w głowie kołatała się tylko myśl, że jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu była gotowa zakochać się w tym człowieku bez pamięci. I choć teraz bardzo pragnęła zmienić to nastawienie, po prostu nie umiała na zawołanie zapomnieć o swoich uczuciach.

- Proszę - rzekł, wstając i wyciągając w jej kierunku sandały. - Teraz lepiej?

Zrobiła niepewnie parę kroków i bąknęła:

- Są za duże.

- Masz rację - rzucił obojętnym tonem, ruszając dalej w samych skarpetkach. - Reggie wspominał ci, że chodziłem z jego siostrą?

- Nie musiał. I tak wiem, że umawiałaś się z każdą dziewczyną w mieście.

Zerknął na nią z ukosa.

- Przepraszam - dodała pospiesznie, bo zrobiło jej się głupio. Przez pewien czas szli w milczeniu, wreszcie zapytała: - Dlaczego ludzie tutaj tak bardzo cię nie lubią?

- Mój ojciec nie należał do tutejszego Klubu Rotariańskiego.

- To nie tylko to - mruknęła, zastanawiając się, co jeszcze przed nią ukrywa. Ona także miała swoje tajemnice, toteż nie czuła się uprawniona do narzekania na jego małomówność.

Znów się zatrzymał i odwrócił do niej.

- Chciałbym tu zostać jeszcze do jutra.

- W porządku.

- Ale z tobą.

- Nie mam ochoty...

- Jesteś tu jedyną osobą, która nie traktuje mnie jak kryminalistę.

- Przecież możesz liczyć na względy Hossa.

- I on będzie przeciwko mnie, gdy złożę zeznania.

- A co zamierzasz powiedzieć? - spytała zdumiona.

- Dokładnie to samo, co ty, to znaczy tylko prawdę. - Ruszył dalej. - Może myślałbym inaczej, gdyby Robert chciał ze mną rozmawiać.

Obejrzał się i wskazał coś ponad jej ramieniem. Sara popatrzyła na ciemną linię wznoszących się na horyzoncie gór.

- To Przełęcz Pasterska - wyjaśnił. - Tam mieszkają wszyscy bogacze, włączając w to rodzinę Jessie.

Sara osłoniła oczy dłonią, żeby lepiej widzieć.

- Może stąd wygląda dość niepozornie, ale to już przedgórze Appalachów. Teraz widoczność nie jest najlepsza, ale tam - wskazał nieco w lewo - przy dobrej pogodzie widać pasmo Cheaha. - Ruszył dalej ścieżką. - A pod nami na obszarze ponad pięćdziesięciu kilometrów rozciąga się płyta z najbielszego i najtwardszego marmuru na świecie. Sięga do głębokości ponad stu dwudziestu metrów.

Zapatrzyła się na jego plecy, zachodząc w głowę, dlaczego jej to mówi.

- Naprawdę? - bąknęła.

- Z tutejszego marmuru jest zrobiony pomnik Waszyngtona i elewacja gmachu Sądu Najwyższego - ciągnął. - Pamiętam, że gdy byłem mały, szyby w oknach ciągle dzwoniły od wybuchów w kamieniołomach.

Przestąpił nad zwalonym drzewem i wyciągnął rękę, by pomóc jej przejść.

Jego skarpetki były już prawie całkiem czarne, ale najwyraźniej nic sobie z tego nie robił.

- Jest też podziemna rzeka, która przepływa pod miastem - mówił dalej. - Na obszarze między tą rzeką a kamieniołomem utworzyło się wiele otworów odpływowych w skałach. Kilka lat temu powstała tak wielka dziura, że cała tylna część kościoła baptystów zapadła się jakieś trzy metry w ziemię.

- Jeffrey... Znowu przystanął.

- Chciałem, żebyś zrozumiała, co czuję. Mam wrażenie, że całe to miasto po prostu się zapada, a ja pogrążam się razem z nim. - Zaśmiał się chrapliwie. - Mówi się, że nie można upaść niżej niż na ziemię, ale to jest chyba jedyne miejsce na świecie, gdzie można.

Westchnęła ciężko i wyrzuciła z siebie jednym tchem:

- Nie mogę mieć dzieci.

Nie odzywał się przez dłuższy czas, wreszcie odparł:

- Nie ma sprawy.

- Jak się domyślam, powinniśmy oboje udawać, że wcale nie powiedziałeś tego, co padło ostatniej nocy... - machnęła ręką w powietrzu - ...zanim rozpętało się to całe piekło.

- Nie. - Zatrzymał ją na miejscu. - Powiedziałem dokładnie to, co słyszałaś. - Wyznał to takim tonem, że serce jej się ścisnęło.

Nie miała podstaw, aby mu nie wierzyć.

- W takim razie wyjaśnij mi, dlaczego Reggie ani trochę ci nie ufa.

Pierwsze krople deszczu zaszeleściły o liście nad ich głowami. Sara spojrzała w niebo, lecz w tej samej chwili lunęło na dobre. W ciągu paru sekund oboje przemokli do suchej nitki. Ulewa do tego stopnia przesłoniła widoczność, że Sara złapała Jeffreya za rękę, żeby nie zgubić się w lesie.

- Tędy! - zawołał, przekrzykując szum deszczu. Zaczął iść szybciej, a gdy niebo rozświetliła błyskawica, ruszył truchtem. Otaczające ich wysokie drzewa, które jeszcze przed chwilą wydawały się takie piękne, teraz przypominały gigantyczne, rozbłyskujące pochodnie, toteż i Sara przyspieszyła kroku, chcąc jak najszybciej znaleźć schronienie, zanim burza rozszaleje się na dobre.

Zrobiło się prawie ciemno. Bezradnie rozglądała się po niebie, kiedy Jeffrey przystanął i pociągnął ją w dół. Rozchylił grube zwisające pędy dzikiego wina, za którymi ukazały się stare przegniłe deski. Kiedy je odsunął, ujrzała ponadmetrowej

szerokości mroczny wylot jaskini. Ze środka wionęło niemal lodowatym powietrzem. Pochylona ostrożnie, weszła do środka, usiłując cokolwiek dojrzeć. Pieczara była niska, nie mogła w niej stanąć na wyprostowanych nogach. Zgięta w pół, wyciągnęła przed siebie ręce, żeby namacać ewentualne przeszkody, lecz Jeffrey śmiało poprowadził ją w głąb. Poczwała tylko, że wolna przestrzeń wokół niej się poszerza, i po paru krokach mogła już iść wyprostowana. Mimo to nadal się garbiła i wciskała głowę w ramiona, z obawy, że się uderzy.

Z głębi pieczary dolatywał stłumiony szmer deszczu i wzmocnione przez echo rytmiczne pluskanie. Przez dziurawą zaporę z przegniłych desek i zasłonę z dzikiego wina przesączało się do środka trochę światła, ale i tak czuła się nieswojo. Nawet gdy oczy przywykły już do ciemności, nadal nie mogła dostrzec dna jaskini.

- Nic ci nie jest? - zapytał Jeffrey.

- W porządku - odparła, chociaż wstrząsnął ją dreszcz, i to wcale nie z chłodu. Wyciągnęła rękę w górę i oparła dłoń o skałę, czując, jak powoli ogarniają klaustrofobia.

- Boże, jak tu cuchnie - mruknął, zawracając w stronę wylotu.

Kopniakami wywalił parę desek, wpuszczając do środka trochę więcej światła, lecz i ono nie rozproszyło wiecznego mroku.

Sara zamrugła szybko, jakby nie wierzyła własnym oczom, gdy z boku ujrziała szeroką kanapę, będącą chyba tylnym siedzeniem z jakiegoś samochodu. Przez dziury w obiciu wylaziły sprężyny i kawałki winylowej pianki. Przed kanapą stał wysłużony kawiarniany stolik z blatem obitym dookoła grubą konopną liną, w wielu miejscach powycieraną, jakby opierano o nią nogi. Jeffrey strzepnął jakieś śmieci z włosów, podszedł, usiadł na kanapie i sięgnął pod nią. Jego śmiech rozbrzmiał głucho, odbity od skał.

- No proszę, nadal tu są - rzekł, wyraźnie zadowolony.

Zbliżyła się do niego na krok, wciąż niepewnie czując się w ciemności. W zatęchłym powietrzu unosił się fetor zgnilizny i rozkładu. Przyszło jej do głowy, że jaskinia może być zamieszkała przez jakieś zwierzę, które właśnie wraca do legowiska, uciekając przed deszczem.

Jeffrey potarł zapałką o draskę i na chwilę zajaśniał płomyk, który szybko zgasał. On też musiał stać przygarbiony, nie mógł się w pełni wyprostować. Ale w przeciwieństwie do Sary czuł się tu całkiem swobodnie. Aż się poczuła zakłopotana, że obleciał ją strach. Nigdy dotąd nie bała się ciemności, lecz w ciasnej przestrzeni

pieczary odczuwała coś, czego nawet nie potrafiła dokładnie określić.

Potał drugą zapałką, lecz płomyk zgasł równie szybko, jak poprzednio.

- Pewnie zawilgotniały - mruknął.

- Nie podoba mi się tutaj - powiedziała mimowolnie Sara.

- Burza szybko przejdzie - rzekł, biorąc ją pod rękę, żeby podprowadzić do kanapy. - Nie bój się. Często przychodziliśmy tu po szkole.

- Po co? - zapytała, nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że wszystko tu budzi w niej obrzydzenie.

Nawet gdy usiadła, nie uwolniła się od idiotycznego przeświadczenia, że skały na nią napierają. Pospiesznie złapała Jeffreya za rękę.

- Naprawdę nie ma się czego bać - powtórzył, wyczuwając jej lęk. Objął ją za ramiona i pocałował w skroń.

Przytuliła się do niego.

- Jak odnalazłeś tę jaskinię?

- Jesteśmy niedaleko kamieniołomów - rzekł. - Robert ją odkrył któregoś dnia, gdy szukaliśmy w lesie grotów strzał.

- Grotów?

- W tej okolicy mieszkało sporo Indian, najpierw z plemienia Creek, a potem Shawneesów. Nazywali tę dolinę Chalakagay. W kronikach de Soto jest wzmianka o indiańskim miasteczku założonym w początkach szesnastego wieku. - Zamilkł na chwilę. - Oczywiście po utworzeniu Stanów Zjednoczonych, w roku tysiąc osiemset trzydziestym szóstym, władze federalne wygnały stąd Indian na zachód. - Znowu urwał. - Wcale nie zależy mi na dzieciach, Saro.

Szum deszczu przybierał na sile, wypełniał jaskinię monotonnym szmerem, jakby setkimiotłów zmiatały jej wnętrze.

- Prawdę mówiąc, nawet nie miałbym skąd zaczerpnąć wzorców do wychowywania dzieci. Poza tym, kto wie, jaki skutek przyniosłyby moje geny w następnym pokoleniu.

Przytknęła mu palce do warg.

- Lepiej opowiedz mi jeszcze coś o Indianach. Pocałował jej dłoń:

- Czyżbyś chciała usłyszeć bajkę na dobranoc? Zaśmiała się cicho, uprzytamniając sobie nagle, że mogłaby tak siedzieć przy nim w nieskończoność i słuchać jego głosu.

- Opowiedz - powtórzyła.

Zawahał się, jakby szukał w myślach tematu.

- Teraz tego nie widać, ale nawet tutaj jest pełno marmuru. Nie opłaca się go eksploatować, lecz skały są wszędzie poprzetykane białymi lśniącymi żyłkami. To dlatego jest tu tak zimno. Nie zmarzałaś?

- Nie, tylko przemokłam.

Przytulił ją mocniej do siebie. Oparła głowę na jego ramieniu, rozmyślając, że wszystko dobrze się skończy, jeśli tylko zdołają przetrwać razem do końca burzy.

- Wykradliśmy tę kanapę z samochodu odstawionego na złomowisko - ciągnął. - Opos pewnie do dzisiaj ma na tyłku ślady zębów psa, który pilnował placu. A stół znaleźliśmy przy drodze, musiał wypaść z ciężarówki wywożącej śmieci. Tazaczyliśmy go aż pięć kilometrów wzdłuż autostrady, żeby przynieść tutaj. - Zaśmiał się ironicznie. - Myśleliśmy, że to będzie fajne miejsce.

- Mogę się założyć, że potem przyciągałeś tu różne dziewczyny.

- Żartujesz? Za bardzo się bały pajaków.

- Są tu pajaki? - zapytała, prostując się gwałtownie.

- Tylko mi nie mów, że ty też się ich boisz.

- Boję się wszystkiego, co mogłoby mnie obleźć niepostrzeżenie. - Wstał z kanapy, więc dodała szybko: - Dokąd idziesz?

- Zaczekaj. - Oddalił się ostrożnie, sunąc dłonią po ścianie pieczary. -

Trzymaliśmy tu puszkę po kawie... - Rozległ się brzęk metalu. - Aha, i ona wciąż tu jest. Opos zostawił w niej kiedyś zapalniczki dołączone w promocji do jakiegoś komiksu. Miały być impregnowane.

Sara podciągnęła pod siebie nogi i odchyliła się na oparcie kanapy.

Natychmiast ogarnął ją bezpodstawny strach, że za chwilę ktoś albo coś złapie ją od tyłu.

- Już mam - powiedział Jeffrey.

Potań z zapalniczką i ta zapłonęła mocnym, stabilnym płomieniem. W jego lekko rozchybotanym blasku Sara dostrzegła w ręku Jeffrey'a krótką świeczkę. Płomyk zamigotał, toteż wstrzymała oddech, dopóki nie zajął się knot.

- Aż nie chce się wierzyć, że po tylu latach te zapalniczki dają się jeszcze zapalić.

W słabym świetle dostrzegła nagle jakąś ciemną sylwetkę za jego plecami. Serce skoczyło jej do gardła i tak gwałtownie wciągnęła powietrze, że Jeffrey aż podskoczył na miejscu i walnął głową w sklepienie jaskini.

Obejrzał się i wrzasnął:

- Jezus! Maria!

Skoczył w stronę wylotu, ale potknął się o nogę stolika i młóćąc rękami powietrze, rozciągnął się jak długi na ziemi.

Sara w panice złapała świeczkę i choć poparzyła sobie palce gorącą stearyną, nie wypuściła jej z ręki, tylko osłoniła płomyk dłonią, żeby się jeszcze lepiej rozpałił. Serce tukało jej się w piersi, jakby chciało się wyrwać na zewnątrz.

- Chryste... - mruknął Jeffrey, otrzepując spodnie z kurzu. - Co to jest, do jasnej cholery?!

Zmusiła się do tego, żeby wstać z kanapy i podejść bliżej szkieletu, który tak bardzo ich przeraził.

Ludzkie szczątki spoczywały na fragmencie skały wysuniętym w głąb jaskini niczym fotel. Chociaż szkielet był poźółkły ze starości, w kilku miejscach zachowały się poprzyklejane do niego resztki ciała, zapewne utrwalone przez panującą w pieczarze niską temperaturę. Brakowało lewej nogi od kolana w dół, łącznie ze stopą, jak również kilku palców prawej ręki. Nawet w mętym blasku wątego płomyka łatwo było dostrzec ślady zębów jakichś drobnych gryzoni, które oczyściły kości z resztek ciała. Sara uniosła świeczkę nad głowę i popatrzyła na czaszkę zaklinowaną w szczelinie między dwoma głazami. Z prawej strony była wgnieciona i zapadnięta a spora jej część musiała się wykruszyć prawdopodobnie pod wpływem bardzo silnego ciosu zadanego twardym narzędziem.

Obejrzała się na Jeffreya w samą porę, by dostrzec jak chowa coś do kieszeni.

- O co chodzi? - pytał lekko podniesionym głosem.

Popatrzyła jeszcze raz na szkielet

- Wydaje mi się, że ten człowiek został zamordowany.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

13.58

Lena zagryzała zęby tak mocno, że rozbolały ją szczęki. Wagner mówiła cicho, półgłosem, przez co wrzaski dolatujące z telefonu były aż nadto wyraźnie słyszalne dla wszystkich obecnych w sali pralni.

- Dlaczego nie chcesz powiedzieć, jak masz na imię? Odpowiedział jej gromki śmiech.

Kiedy zapytała, jak się czują dziewczynki, z posterunku dotarł głośny okrzyk jednej z nich, który zabrzmiał tak rozpaczliwie i przejmująco, że Lena z trudem się powstrzymała, żeby nie zasłonić uszu.

Wagner zachowała jednak zimną krew.

- Mam przez to rozumieć, że chcecie zatrzymać dzieci?

Padła jakaś niewyraźna, bełkotliwa odpowiedź, lecz ostatnie żądanie zabójcy rozległo się głośno i wyraźnie, zwłaszcza że negocjatorka trzymała aparat odsunięty na parę centymetrów od twarzy.

- Masz na to godzinę, suko! Minuta dłużej i liczba zabitych zacznie szybko rosnać!

Mimo tej groźby, Wagner uśmiechnęła się, składając telefon.

- Słyszeliście - powiedziała. - Chcą piwa.

Lena otworzyła już usta, żeby ponownie zgłosić się na ochotnika, lecz agentka uciszyła wszystkich, podnosząc dłoń, po czym zwróciła się do Franka i Nicka:

- Panowie, czy możecie mi poświęcić chwilę na osobności?

Wszyscy troje weszli do kantorku Billa Burgessa, a tuż przed zamknięciem drzwi Wagner uśmiechnęła się do Leny. To nie był szczery uśmiech, choć trudno było powiedzieć, czy należy go potraktować jak wyraz politowania, czy jak ostrzeżenie. Tak czy inaczej, Lena była gotowa walczyć kłami i pazurami o to, by zyskać prawo wejścia na teren posterunku. To było jej zadanie, skoro Jeffrey postanowił przyjąć ją z powrotem do służby niezależnie od wszelkich plotek krążących po mieście. Największą zbrodnią było to, że teraz leżał martwy w komisariacie, podczas gdy ona wciąż żyła.

Molly Stoddard, która dotąd wciąż pochylała się nad planami rozpostartymi na stoliku, wyprostowała się nagle i zapukała do drzwi kantorku. Weszła, nie czekając na odpowiedź, i zamknęła za sobą drzwi.

Lena popatrzyła na agentów z Atlanty, czekając na ich reakcję, ale wciąż stali z obojętnymi minami. Jeden z nich rozmawiał przez telefon komórkowy, przy czym mówił tak cicho, że można było odnieść wrażenie, iż tylko bezgłośnie porusza wargami. Dwaj pozostali wpatrywali się w plany posterunku, wskazując sobie nawzajem różne punkty, jakby układali jakiś plan działania. Nie dali rady wprowadzić minikamery do kanału wentylacyjnego, gdyż okazało się, że bandyci pozapychali kratki wylotów ubraniami.

Podeszła bliżej, żeby się zorientować, co planują. Trzeci agent skończył właśnie rozmawiać przez telefon i powiedział głośno:

- Jennings zginął w ubiegłym roku w karambolu na autostradzie pod Friendswood w Teksasie.

- Żartuje pan - jęknęła, jakby nagle zabrakło jej

- Razem z nim jechało dwóch chłopaków - dodał. - Jeden z nich wyszedł cało z wypadku. To dobra wiadomość, prawda?

- Owszem - mruknęła Lena, do głębi przekonana, że chłopak wcale nie uważał się za szczęściarza.

Na własne oczy widziała skutki poczynań Jenningsa i po prostu nie mieściło jej się w głowie, żeby ten potwór mógł umrzeć zwyczajną śmiercią wskutek wypadku samochodowego.

Otworzyły się drzwi kantorku, do sali wróciła Amanda Wagner, za nią wszedł Frank. Nick i Molly zostali jeszcze w środku, przez otwarte drzwi Lena zdążyła dostrzec, że Molly korzysta z telefonu stojącego na biurku właściciela pralni. Stała z nisko pochyloną głową, trzymając lewą rękę na karku, jakby chciała zachować tę rozmowę w tajemnicy przed wszystkimi.

Agent GBI powtórzył negocjatorce wiadomość o śmierci Jenningsa. Wagner skwitowała ją krótko:

- To była i tak mało prawdopodobna poszlaka. - Skinęła ręką na Lenę i powiedziała: - Pani pozwoli ze mną.

Weszły razem do kantorku i Nick zamknął za nimi drzwi. Molly popatrzyła na nią wyraźnie poirytowana i rzuciła do słuchawki:

- Skarbie, mamusia musi już kończyć, dobrze? - Urwała na chwilę, po czym odparła: - Ja też cię kocham.

Lena nie знаła jej nawet bliżej, widywały się tylko sporadycznie w pobliżu przychodni dla dzieci. Jakoś nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, że pielęgniarka Sary może mieć dziecko. Teraz jednak pomyślała, że zapewne jest dobrą matką, troskliwą i opiekuńczą. Chyba w ogóle nie miała w sobie ani odrobiny egoizmu. Cóż, niektórzy ludzie byli wprost stworzeni do takiego życia.

- Detektyw Adams - zaczęła Wagner. - Wybraliśmy panią na wysłanniczkę do komisariatu.

- Chcę jeszcze raz podkreślić, że jestem temu przeciwny - warknął Nick.

- Wiem, co... - zaczęła Lena defensywnym tonem, ale przerwał jej ostro:

- Nie jestem przeciwko tobie, tylko jej!

- Chwileczkę - mruknęła z ociąganiem Lena, zrozumiawszy w końcu, na jaki pomysł wpadła Molly. - Ona ma iść ze mną?

- Wyślemy was w przebraniu sanitariuszek mających nieść pierwszą pomoc -

wyjaśniła Wagner.

- Przecież powiedziała pani, że Barry zapewne nie żyje.

Molly spojrzała na Nicka i powiedziała:

- Ale nie wiemy, w jakim stanie są dzieci. Sara może potrzebować mojej pomocy.

Shelton mocno zacisnął wargi. Lena nie mogła zrozumieć, dlaczego aż tak bardzo jest przeciwny temu projektowi. Wyglądało na to, że jego obiekcje mają charakter bardziej osobisty niż zawodowy.

- Gwoli ścisłości, ja mam pewne zastrzeżenia co do pani udziału w tym zadaniu, detektyw Adams - dodała Wagner - ale Nicky zapewnił mnie, że na pewno pani podoła.

Lena przełknęła złośliwą uwagę, którą miała już na końcu języka.

Zapominając o swojej dumie, zaczęła ostrożnie:

- Jeśli nie jest pani pewna... - próbowała dobrać właściwe słowa, a zarazem pohamować narastającą złość. - Jeśli sądzi pani, że ktoś się do tego lepiej nadaje, chętnie ustąpię miejsca.

- Właśnie w tym tkwi problem - wycodziła negocjatorka. - Nie mamy nikogo bardziej odpowiedniego. Gdybym wysłała kogoś ze swoich chłopców, bandyci natychmiast by się domyślili, co jest grane. Moim zdaniem najlepszym wyjściem będzie wysłanie was obu. Na pewno inaczej potraktują kobiety.

- Co nie znaczy, że nie włączą was do grona zakładników - wtrącił Nick. - Albo od razu nie zastrzelą.

- To prawda - przyznała Wagner. - Nic ich nie powstrzyma przed zrobieniem jednego bądź drugiego. - Skrzyżowała ręce na piersiach. - Czy nadal jest pani gotowa wejść na posterunek?

Lena nie zawahała się ani na chwilę.

- Tak.

Wszyscy popatrzyli na Molly.

- A pani, panno Stoddard? - zapytała negocjatorka. Molly ponownie wymieniła szybkie spojrzenia z Sheltonem.

- Tak.

- Wydaje mi się jednak, że nie jest już pani tak pewna, jak poprzednio - zauważyła Wagner.

- Nieprawda. Jestem gotowa.

14.15

Kiedy Lena myła ręce w łazience Centrum Medycznego okręgu Grant, zauważyła, że wyraźnie jej się trzęsą, ale nie było to nic nowego. To samo zjawisko powtarzało się już od dwóch lat, to znaczy od czasu jej porwania. Próbowwała sobie tłumaczyć, że to wynik fizycznych urazów, jakie zadał jej napastnik, chociaż lekarze powtarzali, że nerwy nie zostały uszkodzone.

- Wszystko w porządku? - zapytała Molly Stoddard, wpatrując się w jej roztrzęsione ręce, jakby chciała z nich wyczytać jej historię.

- Tak, w porządku - odparła, urywając kawałek papierowego ręcznika.

- W tej sytuacji zdenerwowanie to rzecz naturalna. Prawdę mówiąc, nawet czuję się różnie, że nie tylko ja jestem zdenerwowana.

- To prawda.

Lena wzięła leżący na blacie pielęgniarzki fartuch i weszła do kabiny, żeby się przebrać.

- Jestem nawet bardzo zdenerwowana - rzuciła za nią Molly, a kiedy nie uzyskała odpowiedzi, burknęła: - W porządku.

Lena zdjęła bluzę mundurową i powiesiła ją na haczyku. Rozpinała właśnie koszulę, kiedy rozległo się pukanie do drzwi łazienki.

- Jesteście już ubrane? - zapytał z korytarza Nick Shelton.

- Tak - odpowiedziała Molly.

- Nie - zawołała Lena.

- Przepraszam - mruknęła Molly.

Ale Nick wszedł już do środka. Usiadła więc na klozecie, nie zamierzając się dalej rozbierać w jego obecności, mimo że rozdzielały ich zamknięte drzwi kabiny.

- Chciałem tylko powiedzieć... - zająknął się. - Chciałem tylko...

- Damy sobie radę - zapewniła Molly, jakby świetnie wiedziała, co go martwi.

Lena zerknęła przez szparę w drzwiach i zauważyła, że Molly tuli się do niego.

- Wszystko będzie w porządku - szepnęła.

- Nie musisz tego robić - rzekł.

- Gdybym to ja tam była, a Sara...

- Na Sarę nie czeka w domu dwoje dzieci. Na pewno dokładnie to by ci powiedziała, gdyby tu była.

Molly obejrzała się na zamkniętąabinę, więc i Lena zaczęła się szybko

przebierać, żeby nie pomyśleli, że ich podgląda. Kiedy spuściła spodnie, scyzoryk, który zawsze nosiła w tylnej kieszeni, zabrzęczał o kafelki podłogi. Znow wyjrzała przez szparę, żeby sprawdzić, czy Molly i Nick nie zwrócili na to uwagi. Nadal porozumiewali się szeptem, nie przejmując się jej obecnością. Shelton ewidentnie chciał namówić Molly do zmiany decyzji. Trudno go było za to winić. Nikt przecież nie mógł zagwarantować, że bandyci nie powitają z radością następnych zakładniczek.

Otworzyła scyzoryk i przeciągnęła palcem po ostrzu. Miało zaledwie osiem centymetrów długości, ale i tak można nim było zranić człowieka. Pozostawało tylko pytanie, gdzie mogłaby go ukryć na wypadek rewizji na posterunku.

- Za łatwo się na to zgodzili - powiedział głośniejszym głosem Nick, żeby i ona słyszała. - Zwykle ci, co przetrzymują zakładników, są bardzo nerwowi, trudno przewidzieć ich reakcje. Trzeba z nimi pertraktować jakiś czas i zdobyć ich zaufanie, zanim się na coś takiego zdecydują. Tymczasem ci od razu postanowili wypuścić Marłę.

Lena wciągnęła spodnie od stroju pielęgniarki. Były co najmniej o jeden numer za duże, ale i tak spodziewała się czegoś gorszego.

- Może po prostu zgłodnieli - rzuciła przez drzwi.

- Chyba jednak nie o to chodzi - mruknął Shelton. - Najwyraźniej doskonale wiedzą, co robią. Przecież nie pozatykali otworów wentylacyjnych dla zabawy. Świetnie wiedzą, że dysponujemy minikamerami i że wprowadzenie ich do szybu wentylacyjnego jest standardową procedurą. Boję się, że to może być pułapka dla pozyskania dalszych zakładników.

Lena zsunęła miękki pantofel, wrzuciła do niego scyzoryk, wsadziła nogę i pokręciła stopą, żeby ułożył się w podbiciu.

- Leno? - zagadnął Nick.

- Zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństwa - odparła, nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że traktuje ją jak dziesięciolatkę, a nie doświadczoną policjantkę.

Wciągnęła bluzę, która z kolei okazała się trochę za ciasna w biuście. Na naszywce kieszonki było wypisane nazwisko MARTIN. Zaczęła się zastanawiać, czy to strój wyjątkowo szczupłego mężczyzny, czy też dziewczyny z wątlm biustem.

Kiedy otworzyła drzwi kabiny, Molly pospiesznie odskoczyła od Nicka, jakby została przyłapana na gorącym uczynku. Lena spojrzała na swoje odbicie w lustrze i przemknęło jej przez myśl, że w tej bluzie wyraźnie rozchodzącej się na biuście wygląda jak dziwka z podrzędnego filmu pornograficznego. Zresztą, wzięwszy pod

uwagę niektóre pielęgniarki z tutejszego szpitala, które często widywała w nocnych lokalach, nawet pasowałyby do tego środowiska.

- Domyślam się, że nie ufasz Wagner - odezwała się do Nicka.

- A wiesz dlaczego? - zapytał i nie czekając na odpowiedź, dodał: - Na pewno słyszałaś plotki, ale wyznam ci to wprost. To ja się wtedy wahałem. Nie ona. Bo ona nigdy się nie waha. Jest jak bryła lodu. I powiem ci jeszcze coś. - Zerknął przelotnie na Molly. - Ona nie lubi kobiet.

Lena głośno fuknęła z pogardą.

- To prawda - rzekł Shelton. - Z chęcią wykorzystuje kobiety do roli przynęty. I dokładnie to samo wykombinowała teraz, jakkolwiek by na to patrzeć. Coś podobnego stało się w Ludowici. Wysłała z misją przebraną policjantkę, którą bandyci dołączyli do zakładników. A dziesięć minut później zastrzelili.

- I wszystko przez to, że ty się zawahałeś? - spytała z niedowierzaniem Lena, ale domyśliła się po jego spojrzeniu, że dręczy go poczucie winy, i szybko pożałowała swych słów głównie dlatego, że naraziła się Molly Stoddard, do tego w sytuacji, która była i tak bardzo stresująca.

- Przygotuj się na to, że nie wszystko pójdzie po twojej myśli - ciągnął Shelton. - Służysz w policji wystarczająco długo, by zdawać sobie sprawę, że coś tu jest nie tak. Powinnaś to wyczuwać intuicyjnie. I na pewno wyczuwasz.

- Zaczekam na zewnątrz - rzuciła Lena, doszedłszy do wniosku, że dobrze będzie dać im jeszcze trochę czasu sam na sam.

Wyszła z łazienki i omal nie zderzyła się z jednym z agentów negocjatorcki. Huknęłyby głową w jego pierś twardą jak ściana, gdyby nie złapał ją za ramiona. Przytrzymał ją jednak nieco za długo, toteż wyszarpnęła rękę, starając się pohamować wściekłość. Podeszła do Wagner, która rozmawiała przez telefon komórkowy u wylotu korytarza. Na jej widok szybko skończyła rozmowę.

- Co masz w bucie? - zapytała ostro.

- Nic. Jest tylko za ciasny - odparła Lena. - Podobnie jak ta bluza.

- Lepsza za ciasna niż za luźna - orzekła negocjatorcka. - Co się stało z twoją wargą?

Odruchowo uniosła dłoń do ust, jeszcze zanim zdała sobie sprawę, że zdradziła się tym ruchem.

- Drobnny wypadek - burknęła, choć nawet dla niej samej zabrzmiało to jak wymówka.

Wagner zmierzyła ją krytycznym spojrzeniem, ale nie skomentowała tego.

- Nie ufam pani, Adams, ale powierzam pani to zadanie, bo dobrze zna pani posterunek, a poza tym, powinna pani wzbudzić zaufanie bandytów.

- Dzięki za zaufanie.

- Moje zaufanie nie jest pani do niczego potrzebne - wycodziła ostrzej negocjatorka. - Proszę posłuchać uważnie: Ma pani tylko dostarczyć na komisariat żywność i wyprowadzić stamtąd Marłę Simms tak szybko, jak tylko będzie to możliwe.

- Rozumiem.

- Nie oczekuję żadnych bohaterskich wyczynów i nie chciałabym, żeby dołączyła pani do grona zakładników.

Lena wbiła wzrok w ziemię, usiłując zachować obojętną minę. Miała wrażenie, że Wagner czyta jej w myślach.

- Jeśli nawet wydaje się to pani dobrym pomysłem, to jest pani o wiele bardziej przydatna tutaj niż na posterunku. Ma pani dużo doświadczenia w reagowaniu na zagrożenie. Będę potrzebowała pani fachowej pomocy.

Zabrzmiało to szczerze, toteż Lena zdecydowała się powiedzieć otwarcie, co jej leży na sercu.

- Mam wrażenie, że próbuje mi pani zamydlić oczy. Wagner uśmiechnęła się krzywo, uniosła nieco brwi i popatrzyła jej prosto w oczy. Lena widziała już nieraz podobne spojrzenie u ludzi, którzy dochodzili do wniosku, że jej nie doceniali.

- Może trochę, ale pracowała pani z Bradem Stephensem. Niewykluczone, że będzie miał pani coś do przekazania. Dobrze wiem, że policyjni partnerzy wypracowują sobie własny kod porozumienia.

- Brad nie był moim partnerem.

- Nie mamy czasu na korygowanie pani mniemania o sobie - upomniała ją negocjatorka. - Zależy mi, żeby po powrocie z posterunku naniósł pani szczegółowo na planie, gdzie wszyscy się znajdują. Muszę wiedzieć, ile biurek i regałów barykaduje drzwi i jak bandyci są uzbrojeni. Bo chyba potrafi pani odróżnić siga od Smitha i wessona albo glocka? Detektyw Wallace przypuszcza, że obrzynek jest marki Wingmaster. Nie wiemy jednak, ile mają do niego amunicji i jakiego kalibru. Czy wciąż noszą kamizelki kuloodporne? Jak się zachowują? Może któryś z nich zaczyna powoli robić w gacie? Może dałoby się go przekonać i nastawić przeciwko koledze? Chciałabym znać wszystkie ich słabe strony, a nie zdobędę żadnych

informacji, jeśli pani stamtąd nie wróci.

Lena pokiwała głową. Rzeczywiście potrzebowali dokładnych danych, a przecież Molly Stoddard zapewne nie potrafiłaby odróżnić broni kalibru dwadzieścia dwa °d pistoletu dziewięciomilimetrowego, nie mówiąc już o dokonaniu choćby pobieżnej oceny siły ognia, jaką dysponują zabójcy.

- Czy powinnam im coś zasugerować? - zapytała.

- Nie. Jeszcze nie teraz. Na tym etapie musimy tylko nawiązać stabilny kontakt. Na pewno obszukają panią od stóp do głowy. - Jeszcze raz spojrzała na jej białe pantofle. - Jeśli cokolwiek znajdą, na pewno doprowadzi ich to do wściekłości, którą będą chcieli na kims wyładować. Niekoniecznie na pani. Dlatego przed podjęciem jakiegokolwiek ryzyka proszę się dobrze zastanowić, czy warto stwarzać dodatkowe zagrożenie dla ludzi, którzy i tak są w bardzo trudnym położeniu.

- Jasne - odparła Lena, przestępując z nogi na nogę.

- Jestem gotowa.

Wagner spoglądała na nią jeszcze przez chwilę, po czym uśmiechnęła się z politowaniem.

- Moja droga, możesz mi napluć w twarz, tylko nie wmawiaj mi, że to deszcz. Została zdemaskowana, ale za nic w świecie nie mogła się do tego przyznać.

Wagner jeszcze raz zerknęła na jej pantofle i mruknęła:

- Bądź ostrożna.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Poniedziałek

Jeffrey szedł przez las, a przy każdym kroku jego przemoczone skarpetki z mlaskaniem lepiły się do błota. Wreszcie oparł się ramieniem o drzewo i ściągnął je z nóg. Deszcz już prawie ustał, nad ziemią unosiły się pasma mgły z szybko parującej w słońcu wilgoci. Wierzchem dłoni otarł pot z czoła i ruszył dalej w kierunku cmentarza. Na otwartej przestrzeni słońce operowało chyba jeszcze mocniej niż przed burzą i w jego blasku stok usiany rzędami białych nagrobków przypominał rozwartą paszczę z błyszczącymi zębami jakiegoś monstrualnego potwora.

Na parkingu Reggie siedział w otwartych drzwiach auta z papierosem zwisającym spomiędzy warg. Nawet się nie ruszył na jego widok. Rozgrzany asfalt parzył bosa stopy, ale Jeffrey nie zamierzał niczego po sobie okazywać.

Zastępca szeryfa z ociąganiem popatrzył na ociekające błotem białe frotowe skarpetki i uśmiechnął się ironicznie, lecz Jeffrey nie dał mu dojść do słowa.

- Zawieź mnie na posterunek - rzucił, wsiadając do radiowozu.

Reggie po raz ostatni zaciągnął się dymem, usiadł za kierownicą i zatrzasnął drzwi. Przekręcił kluczyk w stacyjce i chcąc trochę rozgrzać silnik na wolnych obrotach, zapytał:

- Gdzie twoja dziewczyna?

- Nic jej nie jest - burknął Jeffrey.

Sara, pokonawszy śmiertelne przerażenie, jakie ogarnęło ją po odkryciu szkieletu, zaczęła nalegać, aby zostawił ją w jaskini i sam poszedł po pomoc.

Reggie jeszcze na chwilę zastygł z ręką na dźwigni biegów, zanim w końcu przestawił ją i ruszył z miejsca. Bez pośpiechu wykręcił na autostradę i pojechał w stronę miasta, po drodze rygorystycznie trzymając się przepisowej prędkości i machając ręką napotykanym ludziom, jak gdyby nie miał nic ważniejszego do roboty. Jeffrey starał się nie okazywać zniecierpliwienia, świetnie wiedząc, że Ray robi to celowo, ale gdy znaleźli się na Main Street i minęli szkołę średnią z prędkością niecałych czterdziestu kilometrów na godzinę, uznał, że musi upuścić nieco pary, bo inaczej zaraz eksploduje.

- Jest jakiś powód, dla którego tak się wleciesz?

- Owszem. Żeby cię wkurzyć, Spryciarzu.

Jeffrey zapatrzył się przez boczną szybę, rozmyślając czy jeszcze coś gorszego może go dzisiaj spotkać.

- Zamierzasz mi wreszcie powiedzieć, o co chodzi? zagadnął Reggie.

- Nie.

- Cóż, to twój przywilej. Jeffrey cicho gwizdnał przez zęby.

- Co za słownictwo!

- Chciałem ci zaimponować.

- Siostra cię tego nauczyła?

- Lepiej nie wspominać o niej.

- Właśnie, jak się miewa Paula?

- Powiedziałem, żebyś się zamknął, kutasie! - syknął ostrzegawczo Reggie. -

Dlaczego nie zapytasz, jak się miewa moje stryjeczne rodzeństwo? Jak mu się żyje bez ojca? Jak to jest, kiedy siadamy wszyscy do uroczystego obiadu, a nie ma już z nami wujka Dave'a?

Jeffrey doskonale wiedział, że zrani chłopaka, ale nie zdołał się opanować i rzekł:

- Nie jestem aniołem stróżem mojego ojca.

- Ach, tak - mruknął Reggie, skręcając na parking przy posterunku. - Cóż za wspaniała wymówka. Powiem to mojej kuzynce Jo, kiedy na jesieni będzie kończyła studia i nie odbierze gratulacji od ojca. Na pewno sprawi to, że od razu poczuje się lepiej.

Jeffrey podniósł skarpetki z podłogi i wysiadł z radiowozu, zanim Reggie zdążył wyłączyć silnik. Wmaszerował do środka i nawet nie oglądając się na sekretarkę i drugiego zastępcę stojącego przy jej biurku, skierował się prosto do gabinetu Hossa i otworzył drzwi bez pukania.

Szeryf ledwie zdążył podnieść wzrok znad gazety, gdy Jeffrey już zamknął za sobą drzwi.

- O co chodzi, synu?

Miał ochotę usiąść, ale coś go powstrzymało. Oparł się tylko ramieniem o ścianę, gdyż nagle opadły go najgorsze przeczucia. Rozejrzał się szybko po gabinecie. Podobnie jak sam szeryf, niewiele się tu zmieniło w ciągu minionych lat. Na ścianach wciąż wisiały spreparowane trofea wędkarskie i fotografie przedstawiające Hossa na łodzi, na szafce pod oknem nadal spoczywał złożony gwiazdzisty sztandar, który szeryf zdjął z trumny brata przetransportowanej samolotem z Wietnamu. Zaraz po pogrzebie Hoss również chciał się zaciągnąć do armii, ale został odrzucony z powodu płaskostopia. Od tamtej pory zawsze żartował, że strata armii amerykańskiej stała się zyskiem Sylacaugi, lecz Jeffrey doskonale wiedział, że nie lubi rozmawiać na ten temat, jakby płaskostopie czyniło z niego człowieka podrzędnego gatunku.

- Jeffrey? - zagadnął Hoss.

- Znaleźliśmy szkielet.

- Szkielet? - powtórzył zdumiony, powoli składając gazetę.

- W tej starej jaskini, gdzie często przesiadywaliśmy z chłopakami, kiedy jeszcze chodziliśmy do szkoły.

- Tej na brzegu kamieniołomu? To może szkielet niedźwiedzia albo...

- Przecież Sara jest lekarzem. Na pewno nie pomyliłaby ludzkiego szkieletu ze zwierzęcym. Do diabła, nawet gdyby jej tam nie było, i tak bym się przeraził, bo szkielet dziewczyny siedzi na skalnym występie, jakby zapadła tam w drzemkę.

- Dziewczyny? - zapytał podejrzliwie Hoss, z trudem łapiąc powietrze.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- O co chodzi? - rzucił głośniejszym głosem szeryf. Reggie zajrzał do środka.

- Chciałem tylko...

- Zostaw nas na chwilę - warknął Hoss tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Jeffrey usłyszał tylko stuk zamykanych drzwi, bo bez przerwy wpatrywał się w szeryfa, który wyglądał tak, jakby w jednej chwili postarzał się co najmniej o kilka lat.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął łańcuszek, który znalazł w jaskini, i uniósł go wysoko, żeby złoty wisiołek w kształcie serduszka zabłyś w promieniach słońca.

- To jeszcze o niczym nie świadczy - rzekł Hoss. - Chodziła do tej jaskini setki razy. Wszyscy o tym wiedzieli. Do cholery, sama się tym przechwalała.

- Sara nie popuści tej sprawy.

- Przecież mieliście wyjechać dziś po południu.

- Namówiłem ją, żebyśmy zostali do jutra, jeszcze zanim znaleźliśmy szkielet. Zresztą i bez tego na pewno chciałyby nadzorować tę sprawę.

- Nie jestem pewien, czy powinienem jej na to pozwolić.

Jeffrey wyczuł kryjące się za tym ostrzeżenie.

- Ja nie mam nic do ukrycia - odparł, zwracając uwagę, jak fałszywie pobrzmiwa w jego głosie ta udawana brawura.

- Nie chodzi o to, co kto ma do ukrycia, Spryciarzu, lecz o odcięcie się od przeszłości i zaczęcie życia na nowo. Dotyczy to tak samo ciebie, jak i Roberta.

- Niezależnie od tego, jaką suką jest Lane Kendall, to ma przecież prawo znać prawdę.

- Jaką prawdę? - zdziwił się szeryf. Wstał zza biurka i podszedł do okna, które tak samo, jak w gabinecie Jeffreya, wychodziło na parking. - Przecież niczego jeszcze nie wiemy na pewno.

- Sara i tak szybko się dowie.

- O czym?

- Szkielet ma z boku wgniecioną czaszkę. Ktoś ją zamordował.

- Może upadła? - podsunął Hoss. Stał tyłem do Jeffreya sztywno wyprostowany, ze ściągniętymi ramionami. - Nie brałeś pod uwagę takiej możliwości?

- W takim razie powinniśmy zezwolić Sarze na - szczegółowe oględziny.

- Nie wiadomo nawet, czy to jej szkielet. - Szeryf odwrócił się do niego, jakby ta myśl przyniosła mu ulgę, i wyciągnął rękę po łańcuszek.

Jeffrey podał mu go i rzekł:

- Nosiła to stale. Wszyscy go widzieli.

- Owszem.

Hoss wyciągnął scyzoryk i wetknął czubek ostrza w rozcięcie wisiorka. Otworzył serduszko, przekręcił je na dłoni, po czym wyciągnął w kierunku Jeffreya. Wewnątrz znajdowały się nierówno wycięte nożyczkami i przyklejone do połówek serduszka zdjęcia dwójki dzieci. Na tym po lewej był umocowany kosmyk blond włosów z końcówkami związanymi kawałeczkiem grubej białej nitki.

- Dwójka zupełnie różnych dzieci - mruknął Jeffrey.

Jedno zdjęcie było kolorowe, drugie czarno-białe, lecz mimo to już na pierwszy rzut oka było widać, że dziecko na prawej fotografii ma kędzierzawe kruczoczarne włosy, natomiast to z lewej proste i jasne.

Hoss obrócił wisiorek do siebie i jeszcze raz spojrzął na zdjęcia. Westchnął ciężko, zamknął serduszko i wyciągnął rękę do Jeffreya.

- Zatrzymaj go na razie.

Nie miał na to ochoty, ale z ociąganiem wziął łańcuszek i schował do kieszeni.

- Kazałem Reggiemu zaczekać na wasz powrót do domu pogrzebowego - odezwał się Hoss.

- Po co?

- Powinieneś porozmawiać z Robertem.

- Dziś rano nie był zainteresowany rozmową.

- Ale teraz jest. Dzwonił do mnie, szukając ciebie.

- Sara została przy szkielecie w jaskini.

- Ja po nią pojedę.

- Na pewno nie popuści tej sprawy - powtórzył Jeffrey.

- Niby z jakiego powodu? - zapytał szeryf. - Przecież to mogą być szczątki jakiegoś włóczęgi, który schronił się tam na noc, ale przewrócił się i rozwalił sobie głowę. Mogło się wydarzyć wiele różnych rzeczy, prawda? - Kiedy Jeffrey nie odpowiadał, mruknął: - Przecież podobno nie masz nic do ukrycia.

Nadal milczał. W końcu obaj doskonale wiedzieli, że nie skłamał. Tyle że sprawy przybrały zły obrót i zaczęły się toczyć w takim tempie, iż nie mógł już za nimi nadążyć.

Hoss walnął go dłonią w plecy i rzekł:

- Czy kiedykolwiek dopuściłem, żeby stało ci się coś złego, synu?

Jeffrey pokręcił głową, myśląc, że ani trochę nie ułatwia mu to życia. A szeryf rzeczywiście nieraz udowodnił, że jest nawet gotów nagiąć prawo, byle tylko uchronić

jego i Roberta przed kłopotami.

Hoss wyszczerzył zęby w uśmiechu, co mu się rzadko zdarzało, i mruknął:

- Wszystko będzie dobrze.

Otworzył drzwi, gestem nakazał Reggie'emu wejść do środka, po czym zapytał Jeffreya:

- Co się stało z twoimi butami?

Jeffrey spojrział na swoje bose stopy i pomyślał, że powinien brodzić teraz w złocistym piasku plaży na Florydzie, a jego jedynym zmartwieniem byłoby wcieranie olejku do opalania w każdy centymetr powierzchni skóry Sary, która zaśmiewałaby się z jego dowcipów i patrzyła na niego rozjaśnionym wzrokiem.

- Jaki rozmiar nosisz? - zapytał szeryf.

- Dziesiąty.

- Ja mam jedenaście i pół. - Spojrział na swego zastępcę. - A ty?

Reggie spieszył się wyraźnie, jakby jego odpowiedź mogła zakłócić miłą atmosferę.

- Dziewięć.

- To już lepiej weź moje. - Szeryf wyjął z kieszeni kluczyki od samochodu i rzucił je Reggie'emu. - Przynies z bagażnika moje zapasowe buty wędkarskie.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Buty cuchnęły, jakby szeryf brodził w nich po kostki w wypatroszonych rybich wnętrznościach. Wziąwszy pod uwagę liczbę zeschniętych łusek, jakie były do nich przyklejone, to wyjaśnienie wcale nie musiało być dalekie od prawdy. Miały grube i wysokie skórzane cholewy oraz żelazne wzmocnienia na czubkach, były ciężkie jak diabli i w ogóle nie przepuszczały powietrza. Jeffrey nawet nie musiał się dokładnie przyglądać, żeby od razu je znienawidzić. Gdyby to tylko było możliwe, pozostałby boso.

W młodości zawsze musiał nosić używane ciuchy i buty, najczęściej kupowane za grosze na kwartalnych wyprzedazach organizowanych przy kościele baptystów. Brzydził się nimi, toteż gdy tylko trochę podrośł, zaczął kraść, najczęściej w domu handlowym Belka w Opelika. Wyczekiwał, kiedy w stoisku z butami robił się tłok i sprzedawcy nie nadążali upilnować, kto wziął jaką parę do przymierzenia. Właśnie w ten sposób zdobył swoją pierwszą parę leżących na nim jak ulał miękkich czarnych pantofli wartych piętnaście dolarów. Wyszedł w nich ze sklepu dumny jak paw, choć o mało nie wywinął orła, bo nowiutkie podeszwy ślizgały się na

wypolerowanych płytach marmuru, a serce waliło mu w piersi jak młotem, ale gdy nazajutrz pokazał się w nich w szkole, poczuł się tak, jakby wygrał milion na loterii.

W butach szeryfa czuł się natomiast tak, jakby miał nogi unieruchomione w dwóch masywnych blokach cementu, do tego źle wylanych, bo o półtora numeru za dużych, więc stopy się w nich ślizgały. Już po paru krokach poczuł, że robi mu się pęcherz na pięcie. W dodatku coś go uwierało w podbicie, jakby w środku pozostał kawałek oprawianej ryby.

Reggie powiózł go z powrotem przez miasto w takim samym żółtym tempie jak poprzednio, a nawet jeszcze wolniej, gdyż utknęli za traktorem i wlekli się za nim dobrych parę kilometrów. Opuścił umocowany przed szybą fotoradar, nastawił radio na stację nadającą muzykę country i prowadził, jedną ręką trzymając kierownicę, a drugą postukując w deskę rozdzielczą w rytm piosenki Hanka Williamsa.

Jeffrey raz i drugi zerknął na niego, odrywając na krótko wzrok od widniejącej w przodzie przełęczy Herd's Gap, gdzie mieszkała matka Jessie. Reggie Ray był średniego wzrostu i raczej wątej postury. Mógł mieć dwadzieścia pięć, najwyżej dwadzieścia sześć lat, mimo to ciemnoblond włosy nad czołem tworzyły już dość głębokie zakola, a nieco bardziej przylizany kosmyk na czubku głowy sugerował, że i tam zaczynają się przerzedzać. Wszystko wskazywało na to, że chłopak wyłusieje jeszcze przed czterdziestką.

Mimowolnie przeciągnął palcami po swojej głowie, myśląc, że jedyną dobrą rzeczą, jaką odziedziczył po ojcu, są gęste włosy. Nawet dobiegając sześćdziesiątki, Jimmy Tolliver wciąż miał gęstą, lekko falującą czuprynę jak w czasach nauki w szkole średniej. Zresztą, do dzisiaj utrzymywał fryzurę modną w tamtych latach, zaczesywał włosy gładko do tyłu. I w pasiastym więziennym stroju wyglądał jak statysta z któregoś filmu z Elvisem Presleyem.

- Co cię tak śmieszy? - zagadnął Reggie.

Dopiero teraz Jeffrey uzmysłowił sobie, że uśmiecha się na wspomnienie ojca, nie zamierzał jednak mówić o tym zastępcy szeryfa, zwłaszcza po krzywdzie, jaką Jimmy wyrządził rodzinie Rayów.

- Nic - mruknął.

- Te buty cuchną jak cholera - rzekł Reggie, opuszczając bardziej szybko. Do auta wdarło się powietrze jak z rozgrzanego pieca. - Co się stało z twoimi butami?

- Zostawiłem je Sarze - odparł, nie chcąc niczego więcej tłumaczyć.

- Zrobiła na mnie wrażenie bardzo miłej babki.

- Owszem - przyznał, po czym, chcąc jeszcze bardziej rozjątrzyć chłopaka, dodał: - Sam się zastanawiam, czemu jeszcze mnie nie rzuciła.

- Amen - podsumował Reggie.

Zsunął kapelusz na tył głowy, kiedy dotarli na szczyt wzniesienia. W oddali ujrzeli sylwetki ludzi krążących po polu golfowym wiejskiego klubu z Sylacaugi. Jeffrey kilka razy najmował się na pomocnika dla wytrawnych graczy, ale szybko znudziło go protekcyjnalne traktowanie ze strony bogaczy. Poza tym w ogóle nie mógł pojąć idei tej gry. Jeśli już miałyby spędzić kilka godzin na świeżym powietrzu, wolałby pobiegać czy wykonać trochę ćwiczeń rozwijających mięśnie, niż uganiać się w śmiesznym elektrycznym samochodziku za małą białą piłeczką.

Reggie odchrząknął, nie ulegało wątpliwości, że chce o coś zapytać. Po chwili wydusił z siebie:

- Co się dzieje?

- Nie rozumiem.

- Dlaczego Robert chce z tobą rozmawiać? Postanowił odpowiedzieć szczerze, ale tylko dlatego, że Reggie i tak by mu nie uwierzył.

- Nie mam pojęcia.

- Aha - mruknął tamten sceptycznie. - Więc dlaczego Hoss kazał mi cię zawieźć, a nie pojechał sam?

To pytanie było trafione w punkt, tyle że Jeffrey nie zastanawiał się dotąd, dlaczego Hoss postanowił osobiście wybrać się po Sarę czekającą w jaskini. W normalnych okolicznościach szeryf na pewno pojechałby z nim na spotkanie z Robertem, a nie wyruszał pieszo przez las na poszukiwanie Sary. Może wykombinował, że zdoła jakoś odwieść ją od powziętego zamiaru. Pozostawało mu więc tylko życzyć szczęścia, które zapewne i tak nie mogłoby mu pomóc w osiągnięciu celu.

- Spryciarzu? - odezwał się znowu Reggie.

- Wolałbym, żebyś mnie tak nie nazywał - odparł Jeffrey z pełną świadomością, że teraz już na pewno pozostanie dla niego Spryciarzem aż do końca swoich dni. - Hoss pojechał po Sarę.

- Zgubiła się w lesie?

- Nie. - Doszedł do wniosku, że nie ma co ukrywać prawdy przed zastępcą szeryfa, który i tak musiał wkrótce ją poznać. - Znalazła coś zagadkowego. A raczej oboje się na to natknęliśmy. Znasz tę jaskinię na samym skraju kamieniołomu?

- Tę z wejściem zabitym deskami? - Reggie musiał pochwycić zdumione spojrzenie Jeffreya, gdyż dodał szybko: - Paula mi o niej opowiadała.

- Jak ją odnalazła? - zdziwił się, bo przecież nigdy nie zabierał siostry Reggiego do jaskini. Już na samym początku ustalili z Robertem i Oposem, że nie będą do niej przyprowadzać żadnych dziewczyn. Tylko raz zrobili wyjątek, ale to była ich wspólna tajemnica.

Reggie wzruszył ramionami, chcąc dać do zrozumienia, że nie zna odpowiedzi.

- I co tam znaleźliście?

- Ludzki szkielet - odparł Jeffrey, uważnie obserwując reakcję młodego gliniarza.

- No, proszę - mruknął Ray, zerkając na niego. - Masz najwyraźniej bardzo kiepski tydzień, prawda, Spryciarzu? - Zachichotał chrapliwie i zaraz ryknął głośnym śmiechem. - Rety! Coś takiego! - Poklepał się Po nodze.

- To bardzo profesjonalne zachowanie, Reggie - syknął Jeffrey, choć w głębi duszy poczuł ulgę.

Skręcili w Elton Drive. Matka Jessie była w ogródku, podlewała kwiaty na grządkach przed piętrowym białym domem z masywnymi kolumnami podtrzymującymi duży taras. Jasper Clemmons był już pewnie na emeryturze, kiedyś pracował jednak jako kierownik zmiany w tutejszym młynie i ten dom świetnie odzwierciedlał jego pozycję społeczną. Kiedy Jeffrey ujrzał go po raz pierwszy, natychmiast skojarzył z dworkiem z Przemienięto z wiatrem. Teraz jednak przypominał mu jedynie tani domek jednorodzinny do wynajęcia, jakich całe osiedla stały na przedmieściach dużych miast. I choć ściany były świeżo odmalowane, a frontowy ogródek wypielęgowany, jego wytrawne oko bez trudu dostrzegło, że dom okres świetności ma dawno za sobą, co idealnie odzwierciedlało sytuację materialną rodziny Jessie.

Faith Clemmons nigdy go nie lubiła. Pomimo obiegowej opinii, wcale nie chodził ze wszystkimi dziewczętami w mieście, a kobieta najwyraźniej czuła się urażona, że ani razu nie próbował umówić się z jej córką. Owszem, Jessie mu się podobała, nawet bardzo - do dzisiaj była piękna - ale miała w charakterze coś, co jego zdaniem nazbyt trąciło desperacją. Nigdy nie przepadał za dziewczętami trzymającymi się kurczowo matczynej kiecki, w dodatku już jako nastolatek bez trudu rozpoznawał kobiety o przesadnie wygórowanych potrzebach.

Początkowo był niepokieszony, gdy Jessie zagieła parol na Roberta, jednak szybko się przekonał, że tworzyli wręcz idealną parę - jeśli można w ten sposób określić ludzi, którzy potrzebują się nawzajem o wiele bardziej, niż się kochają. Ale Robert zawsze lubił ratować innych z opresji, uwielbiał uchodzić za dobrego faceta, który postępuje właściwie. Jessie, będąca wiecznie księżniczką w potrzebie, była dla niego wspaniałą wymówką, by dosiadać swego białego rumaka i ruszać jej na ratunek. Niektórzy faceci doskonale się czują w podobnej roli, ale dla niego sama myśl o takim postępowaniu była równoznaczna z założeniem sobie stryczka na szyję.

- Witaj, Faith.

- Jeffrey! - wycedziła, nie przerywając podlewania dzielącej ich grządki. -

Robert jest w domu.

- Dzięki - rzucił, choć zdążyła się już odwrócić do niego tyłem.

Reggie uśmiechnął się krzywo i bąknął:

- Jeszcze jedna z twoich gorących miłośniczek. Jeffrey zignorował tę uwagę i wszedł do domu. Bąbel na pięcie zaczynał go już niemiłosiernie piec, ale był gotów chodzić choćby na rękach, byle nie okazać słabości wobec Reggiego.

Chcąc zapomnieć o bólu, powędrował myślami do Sary czekającej w jaskini. Hoss lada chwila powinien do niej dotrzeć. Co zamierzał jej powiedzieć? Jaka bajeczkę przedstawić, by chronić Jeffreya? Nie miał żadnych wątpliwości, że Sarę to tylko wkurzy. Nie należała do kobiet, które łatwo nabrać na kłamstwa, wydarzenia z ostatniej nocy omal całkiem nie odstraszyły jej od niego. Było jedynie kwestią czasu, kiedy nabierze przekonania, że musi być choć trochę prawdy w tym, co wszyscy mówią. Najbardziej bolało go to, że sam był sobie winny. Pomysł przywiezienia jej tutaj był niemal równoznaczny z połknięciem odbezpieczonego granatu. Teraz pozostało mu już tylko oczekiwać, aż wybuchnie.

Przez siatkowe drzwi zajrzał w głąb korytarza biegnącego przez cały budynek. Dom powstał w czasach, kiedy takie posiadłości miały ogromne znaczenie, stanowiły poważną lokatę kapitału, toteż w niczym nie przypominały pustych pudełek, po których tylko rozchodzi się echo kroków mieszkańców. W młodości był tu zaledwie parę razy, ale pamiętał jeszcze z grubsza rozkład pomieszczeń: przestronny salon oraz biblioteka znajdowały się Po przeciwnych stronach frontowego holu, poza nimi na parterze mieściła się jeszcze jadalnia, kuchnia i olbrzymi pokój dzienny na tyłach. Uniósł już rękę, żeby zapukać, kiedy z kuchni wyszła Jessie. Niosła w ręku szklaneczkę z grubego szkła, a sądząc po kolorze płynu i grzechocie kostek lodu,

upijała się tym razem szkocką whisky.

Reggie także zwrócił na to uwagę i pospiesznie spojrzął na zegarek.

- Dopiero minęło południe - mruknął.

Jeffrey chciał już coś powiedzieć na jej usprawiedliwienie, ale ugryzł się w język.

- Cześć, chłopcy - powitała ich Jessie.

Do jej niewątpliwych zalet należało to, że rzadko plątał jej się język czy też robiła się cikliwa. Przynajmniej do pewnego etapu alkohol jedynie wyostrzał jej zmysły. Bo ta piękność o idealnej figurze i nieskazitelnej cerze w gruncie rzeczy była zgorzkniałą kobietą dostrzegającą wokół samo zło. I miała tę wadę, że alkohol wypychał to jej zgorzknienie na powierzchnię.

- Jest tu Robert? - zapytał Jeffrey.

- Przecież nie możemy jeszcze wracać do domu - odparła, otwierając im drzwi. Odsunęła się nieco, lecz wciąż blokowała przejście, żeby Jeffrey musiał się o nią otrzeć, wchodząc do środka. Reggie nie został potraktowany tak samo. Już w progu obrzuciła go ostrym spojrzeniem, po czym burknęła: - Zaczekajcie w salonie. Pójdę po niego.

Jeffrey odprowadził ją wzrokiem. Podreptała na tak wysokich szpilkach, że wręcz wydawało się niemożliwe, by można w nich było chodzić. Pozostawało niezgłębioną tajemnicą, jak potrafiła utrzymać na nich równowagę, mając już nieźle w czubie.

Reggie odchrząknął. Stał z rękoma skrzyżowanymi na piersi niczym doprowadzony do wściekłości belfer. Oczywiście całkowicie błędnie zinterpretował zainteresowanie Jeffrey'a.

- To przecież żona twojego najlepszego przyjaciela - mruknął z dezaprobatą.

Jeffrey nie odpowiedział, tylko wszedł głębiej do salonu. Tu także niewiele się zmieniło przez lata. Naprzeciwko siebie stały dwie długie sofy przykryte identycznymi jedwabnymi kapami w biało-wiśniowe pasy. Rozdzielał je mały, wąty stolik do kawy. Za dużym panoramicznym oknem wychodzącym na frontowy ogród stały dwa przepaściste fotele zwrócone przodem do ogromnego kominka, w którym można by chyba upiec na ruszcie całego wołu. W rozległej przestrzeni salonu wszystkie meble sprawiały wrażenie kruchych i delikatnych, gotowych się rozsypać przy pierwszym dotknięciu, lecz Jeffrey dobrze je znał. Rozsiadł się na sofie, żeby poczekać na Roberta, i popatrzył na Reggiego wciąż stojącego w przejściu z taką samą

sarkastyczną miną.

Przeniósł wzrok na biały dywan, który wyglądał tak, jakby codziennie odkurzano go z pietyzmem, centymetr po centymetrze. Zostawił na nim swoje ślady w drodze do sofy. Nie był jednak wcale pewien, czy podejrzany zapach wiszący w pokoju pochodzi od zaschniętych rybich wnętrzności na butach Hossa, czy też od mieszaniny herbatników stojących w wazie na stoliku. Znowu powędrował myślami do Sary, zaczął się zastanawiać, co ona teraz robi. Bardzo chciał być przy niej, żeby kontrolować jej odczucia, wpajać jej przeświadczenie, że on wcale nie jest potworem. Gdyby tylko posiadał taką moc, natychmiast strzeliłby palcami, żeby magicznym sposobem znaleźli się gdzie indziej, obojętnie gdzie, byle nie tutaj.

- Matka Jessie również ci wpadła w oko? - zapytał Reggie.

- Co? - zdziwił się Jeffrey, uświadamiając sobie poniewczasie, że w zamyśleniu spogląda przez okno na Faith Clemmons podlewającą grządkę azalii. - Matko Boska, Reggie. Opuść sobie wreszcie, dobrze?

Zastępca szeryfa znowu skrzyżował ręce na piersi.

- Bo co?

Na schodach rozległy się szybkie kroki i ledwie Robert wkroczył do salonu, Jeffrey poczuł, jak opuszczają go resztki pewności siebie. Już rano przyjaciel wyglądał kiepsko, ale teraz można było odnieść wrażenie, że wpadł pod ciężarówkę i tylko cudem uszedł z życiem. Szedł zgarbiony i lewą rękę przyciskał do zranionego boku niemal tak samo, jak w nocy.

Wstał z sofy, nie wiedząc, od czego zacząć.

- Może usiądziesz? - bąknął.

- Nic mi nie jest - odparł Robert. - Reggie, możesz nas zostawić na parę minut?

- Jasne - odparł z wyraźnym wahaniem Reggie. Uniósł jednak dłoń do runda kapelusza i wyszedł z salonu.

Robert odczekał, aż zamkną się za nim drzwi, po czym przemówił:

- Znalazłeś szkielet w jaskini.

Jeffrey przyjął to w osłupieniu. Przyjaciel nawet nie sformułował pytania, tylko stwierdził fakt. Zaraz jednak padło wyjaśnienie:

- Dzwonił do mnie Hoss. - Robert ostrożnie usiadł w fotelu. - Powiedział, że to mogą być zwłoki jakiegoś włóczęgi, który się potknął i rozbił sobie głowę. Ale ty wiesz, że to szczątki Julii Kendall.

To nazwisko naelektryzowało atmosferę w pokoju. Jeffrey poczuł, że mimo działającego klimatyzatora krople potu występują mu na czoło. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął naszyjnik z wisiorkiem w kształcie serduszka.

- Znalazłem to pod naszą kanapą.

Robert wyciągnął rękę i Jeffrey podał mu łańcuszek. Przyjaciel paznokciem kciuka otworzył medalion i popatrzył na zdjęcia dzieci.

Jeffrey spojrzął za okno. Faith odstawiła konewkę i rozmawiała z Reggie. Zapewne oboje świetnie się bawili, wymieniając uwagi na temat dupka, za którego go uważali. Zastępca szeryfa może nawet opowiadał jej o znalezieniu zwłok Julii. Wyglądało na to, że plotki rozejdą się po mieście, zanim on zyska okazję, by cokolwiek wyjaśnić Sarze. A nie miał żadnych wątpliwości, że jeśli usłyszy tę historię od kogoś obcego, zinterpretuje ją błędnie. Odchylił się na oparcie sofy, myśląc, że nie zniesie po raz drugi takiego spojrzenia, jakim obrzuciła go w nocy.

- Co powiedziałaś Sarze? - spytał Robert.

- Nic.

Poczuł nieznośną falę wyrzutów sumienia. Od razu powinien był jej wszystko wyznać, jeszcze tam, w jaskini. Przecież niewykluczone, że widziała, jak znalazł łańcuszek i schował go do kieszeni. Już wtedy powinien jej wszystko wyjaśnić, a nie zachowywać się tak, jakby był czemuś winny.

- Ale ukryłem przed nią łańcuszek - dodał.

- Dlaczego?

- Bo wystarczy, że wszyscy jej tłumaczą, jakim jestem bydlakiem. Nie muszę już sam tego udowadniać.

- A czego to miałyby dowodzić? - Robert oddał mu łańcuszek. Nikt nie chciał go zatrzymać, jakby parzył w palce. Jeffrey był coraz bardziej rozwścieczony, że stale wraca do niego.

- Znów całe to gówno wypłynie na powierzchnię i rozejdzie się smród. Boże, jak ja nie cierpię tego miasta.

Robert spojrzął na swoje dłonie.

- Wszyscy byli zdania, że stąd uciekła.

- Tak, wiem.

Na chwilę obaj zamilkli, prawdopodobnie myśląc to samo. Jeffrey miał dziwne wrażenie, że całe jego życie właśnie wywraca się na nice, a on nie może nic zrobić, żeby temu zapobiec.

- Wiesz, co czeka gliniarzy w więzieniu? - zapytał Robert.

Poczuł, że ściska go w gardle.

- Nie pójdziemy do więzienia - wydusił z siebie. - Nawet gdyby znaleźli jakieś dowody... coś, co pozwalałoby nas z nią łączyć... to przecież minęło tyle lat...

- Źle mnie zrozumiałeś - przerwał mu Robert. - Pytałem o to ciebie. Sam wiem na ten temat tyle, ile widziałem w telewizji, ale i to wystarczy, żeby zmrozić krew w żyłach. Więc powiedz wprost, co czeka gliniarzy w więzieniu.

- Robert...

- Pytam poważnie. Co mnie tam czeka? Czego powinienem się spodziewać?

Jeffrey spojrzał na przyjaciela takim wzrokiem, jakby dopiero teraz go zauważył. Nie licząc kilku zmarszczek w kąciakach oczu, Robert nic się nie zmienił od czasu szkoły średniej. Może trochę wyszczupłał. Ale wciąż tryskał energią. Całkiem nowe było tylko to zgarbienie ramion czy też nerwowe postukiwanie piętą o podłogę. Kiedy wychodzili razem na boisko, Jeffrey był przekonany, że zna każdą myśl, jaka pojawia się w głowie przyjaciela. Teraz jednak za nic nie potrafił odgadnąć, o czym myśli.

- Usiłujesz mi coś powiedzieć, Bobby? - zapytał w końcu ostrożnie.

- Nie usiłuję, tylko mówię. Zastrzeliłem Luke'a. Zabiłem go z zimną krwią.

Jeffrey był pewien, że się przesłyszał.

- Miał romans z Jessie. Osłupienie odebrało mu na chwilę mowę.

- Czyś ty...

Uderzyło go jednak, że przyjaciel mówi spokojnie, rzeczowym tonem, jakby rozmawiali o wybijaniu mrówek w ogródku Neli, a nie o zabójstwie człowieka.

- Poszedłem do sklepu po parę rzeczy, a kiedy wróciłem, zastałem ich razem. Luke... Do cholery, chyba nie muszę ci tłumaczyć, co jej robił.

Tego było za wiele. Jeffrey miał dość rewelacji jak na jeden dzień.

- Dlaczego tak mówisz? Przecież to nieprawda.

- Wyjąłem pistolet z sejfu i zastrzeliłem go z zimną krwią. - Pokręcił głową. - Nawet nie tak. Kiedy ich zobaczyłem, poszedłem po pistolet. Wróciłem do pokoju i wtedy Jessie krzyknęła. Zapytałem, co tu robią, do cholery, a gdy Luke próbował się tłumaczyć, po prostu pociągnąłem za spust. Jeffrey wstał z sofy.

- Niczego więcej nie chcę już słuchać.

- A jego głowa... jak gdyby eksplodowała.

- Zamknij się, do jasnej cholery! Potrzebujesz adwokata.

- Nie potrzebuję adwokata, tylko czegoś, co pozwoliłoby mi o tym zapomnieć. Czegoś, co odegnałoby mi sprzed oczu ten widok jego głowy...

- Robert! - uciął stanowczo Jeffrey. - Nie musisz mi nic więcej mówić.

- Owszem. Muszę. Składam przed tobą zeznania. Nikt się do nas nie włamał. Ten drugi pistolet to mój zapasowy. Sam się z niego postrzeliłem. Sara od razu się domyśliła, kiedy obejrzała ranę. Jezu, postąpiłem jak idiota. Ale jestem winny. Działalem bezmyślnie. Nie miałem czasu. W sąsiednich domach już zapalały się światła. Pewnie byłeś wzywany do podobnych wypadków i myślisz teraz: Boże, co za pieprzony idiota! Ale prawda jest taka, że gdy sięga się po broń, nie ma już czasu do namysłu. Może kieruje człowiekiem szok albo strach czy jakieś inne, równie głupie pobudki, jednakże zawsze popełnia się błędy. Nikt nie chce, żeby go złapano, ale zarazem nie sposób klarownie myśleć, co zrobić, żeby nie dać się złapać. - Wskazał drugi fotel. - Siadaj. Denerwujesz mnie, kiedy tak stoisz.

Jeffrey klapnął ciężko na fotel.

- Dlaczego to robisz?

- Bo muszę postępować słusznie. Kiedy rozmawiałem dziś rano z Hossem, powiedziałem mu mniej więcej to samo, co tobie w nocy. Ale poczułem się tak, jakbym znowu był w szkole średniej. Pamiętasz? Znajdował luki w każdej bajeczce, jaką próbowaliśmy mu mydląc oczy.

- Więc jeszcze nie wie o tym, co mi powiedziałeś?

- Nie. Chciałem, żebyś dowiedział się pierwszy. Jestem ci to winien.

- Robert... - zaczął Jeffrey, myśląc, że przyjaciel wyrządził mu niedźwiedzią przysługę. Opowieść brzmiała sensownie, ale nie potrafił dać jej wiary. Przecież wychowywali się razem, wspólnie długimi godzinami słuchali muzyki, rozmawiali o dziewczynach, snuli plany na temat samochodów, które sobie kupią, jak tylko skończą szesnaście lat.

- Muszę odpowiedzieć za swoje czyny - ciągnął Robert. - Ten człowiek zginął przeze mnie, ponieważ nie umiałem nad sobą zapanować, dałem się ponieść wściekłości i nienawiści... Po prostu mnie poniosło, a gdy doszedłem do siebie, on leżał już martwy na podłodze. - Zaczął szlochać. - Zabiłem go. Nie wytrzymałem. Sypiał z moją żoną i go zastrzeliłem.

Jeffrey przycisnął palcami skronie, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Wiedziałeś, że kilka miesięcy temu Jessie poroniła?

Jeffrey odchrząknął, żeby móc wydobyć z siebie głos przez zaciśnięte gardło.

- Nie - wychrypiał.

- To byłby chłopiec. I co ty na to? Tylko ta jedna rzecz wreszcie by ją uszczęśliwiła, tymczasem Bóg na to nie pozwolił.

Jeffrey poważnie wątpił, czy cokolwiek naprawdę uszczęśliwiłoby Jessie, lecz mruknął tylko:

- Bardzo mi przykro.

- I to też przeze mnie - rzekł Robert. - Mam w sobie coś takiego... Sam nie wiem, Spryciarzu. To coś, co ani trochę jej nie służy. Jak trucizna.

- Nieprawda.

- Nie jestem dobrym człowiekiem. Nie jestem dobrym mężem. - Westchnął głośno. - Nigdy nie byłem. Ludzie błędzą z różnych powodów, ale koniec końców... - Podniósł wzrok. - Nawet dla ciebie nie byłem zbyt dobrym przyjacielem.

- Nieprawda.

Robert wpatrywał się w niego wzrokiem pełnym desperacji. Osunął się jeszcze bardziej w fotelu, jakby już nie miał siły siedzieć prosto. Lekko wodził oczami, jak gdyby czytał coś z jego twarzy.

- To przeze mnie - dodał po chwili. - Wszystko przeze mnie. Zabiłem Swana. A wcześniej zabiłem także Julię.

Jeffrey poczuł się tak, jakby zabrakło mu tchu.

- Cała reszta... to też moja wina...

- Niemożliwe - odparł z naciskiem. Co on wygadywał, do cholery?! Przecież na pewno nie mógł nikogo zamordować z zimną krwią!

- Uderzyłem ją kamieniem w głowę - wyjaśnił Robert. - Wszystko stało się tak szybko.

- Nie mogłeś tego zrobić - syknął Jeffrey głosem drżącym ze strachu i wściekłości. Miał tego zdecydowanie dosyć. - Wszyscy sądzili, że uciekła z miasta. Sam to powiedziałeś nie dalej, jak pięć minut temu.

- Kłamałem - odparł. - Teraz mówię prawdę. Wyrzuciłem ten kamień do kamieniołomu. Pewnie go nigdy nie znajdziecie, ale moje zeznania powinny wystarczyć.

- Dlaczego mi to mówisz?

Robert wstał powoli, krzywiąc się z bólu.

- Lepiej idź po Reggiego.

- Nigdzie nie pójde, dopóki mi nie powiesz, po co to wszystko zmyśliłeś.

Ale Robert zapukał w szybę i gestem przywołał zastępcę szeryfa.

- Chcę, żeby to on mnie zawiózł na posterunek.

- Przecież...

- Tak będzie lepiej, Spryciarzu. Łatwiej. Teraz wszystko jest wreszcie jasne.

Możemy z tym skończyć. - Wytarł łzy z twarzy. - Patrz, płaczę jak głupia smarkula. -
Zaśmiał się sztucznie. - Jak Reggie mnie zobaczy w takim stanie, jeszcze pomyśli, że
jestem ciotą.

- Chrząż Reggiego - burknął Jeffrey, kiedy już zastępca szeryfa stanął w
przejściu.

Reggie zmierzył go nienawistnym spojrzeniem, unosząc brwi, ale na szczęście
nie odezwał się ani słowem. Robert wyciągnął w jego kierunku obie ręce.

- Musisz mnie zakuć.

Reggie z osłupiałą miną popatrzył na jednego, potem na drugiego.

- To jakiś głupi dowcip?

- Dziś w nocy zastrzeliłem Luke'a Swana.

Robert sięgnął do kieszeni. Nie wiadomo czemu Jeffrey owi przemknęło przez
głowę, że zamierza dobyć broni, ale przyjaciel wyciągnął na otwartej dłoni pocisk z
pistoletu.

Zastępca szeryfa przyjrzał mu się uważnie.

- Z dostaw federalnych - rzekł w końcu, co oznaczało, że nabój pochodził z
tego samego źródła, co kule wystrzelone ze służbowego glocka.

- Wystawał mu z głowy - wyjaśnił Robert, wskazując miejsce za uchem. -
Wyraźnie go było widać. Nigdy bym nie przypuszczał, że pocisk może roztrzaskać
czaszkę, przejść przez całą głowę i utkwąć w skórze, jakby ktoś go tam przykleił.
Nawet nie musiałem go wydłubywać.

Reggie nadal spoglądał na niego z niedowierzaniem. Chciał oddać pocisk
Robertowi, ten jednak cofnął rękę.

- Robicie mnie w konia, prawda? - zaśmiał się sztucznie. - Wymyśliłeś jakiś
nowy kawał, Bubba? Chcesz mi znowu narobić kłopotów u Hossa?

- Przestań się wreszcie wymądrzać, gówniarzu - syknął ostro Robert, czym
zaskoczył nawet Jeffrey'a. Był przełożonym Reggiego, toteż najwyraźniej postanowił
mu wydać rozkaz, gdyż wycedził: - Masz mnie zakuć i odczytać mi moje prawa!
Zgodnie z przepisami!

Do pokoju weszła Jessie z kolejną porcją whisky w szklaneczce.

- Może się czegoś...

Urwała gwałtownie, spostrzegłszy, że wyjątkowo nie jest tu główną postacią. Spojrzała na męża i w jej oczach na krótko pojawiły się błyski przerażenia. Opanowała się szybko, ale oparła dłoń na kłamce, jakby musiała się czegoś przytrzymać, żeby nie upaść.

- Co im powiedziałaś?

Robertowi znowu łzy napłynęły do oczu. Dziwnie miękkim głosem odparł:

- Prawdę, kochanie. Tylko prawdę. - Ponownie wyciągnął obie ręce w kierunku Reggiego. - Luke Swan miał romans z moją żoną. Po powrocie do domu przyłapałem ich w łóżku i zabiłem go. - Potrząsnął rękoma. - No, dalej, Reggie. Skończmy wreszcie z tym.

- Jezu... - syknęła Jessie.

- Skuj mnie! - nakazał Robert.

Zastępca szeryfa sięgnął do pasa za plecami, ale nie wyciągnął kajdanek.

- Nie będę cię skuwał - odrzekł. - Zabiorę cię na posterunek, żebyś pogadał z Hossem, ale nie zamierzam cię skuwać.

- To rozkaz, Reggie!

- Nie ma mowy. Nawet z przyjemnością powiozłbym cię w kajdankach przez miasto, wolę jednak, żeby Hoss nie wyżywał się na mnie za to, co zrobiłeś - i dodał po chwili: - W każdym razie nie dzisiaj.

- Musisz postępować zgodnie z przepisami - powiedział Robert.

Reggie był jednak nieprzejednany.

- Pójdę uruchomić samochód, może w tym czasie trochę ochłoniesz.

Wyjdiesz sam, jak będziesz gotów.

- Już jestem gotów - wycodził Robert. Kiedy Jeffrey zrobił dwa kroki, żeby mu towarzyszyć, zatrzymał go szybko, podnosząc rękę. - Nie, zostań. Pozwól, że sam to załatwię.

Jessie wciąż stała jak wmurowana w przejściu, toteż musiał się precyzyjnie przycisnąć obok niej. Pochylił się szybko i cmoknął ją w policzek, a ona skrzywiła się przelotnie, wciąż próbując robić dobrą minę do złej gry. Jeffrey miał ochotę złapać ją za ramiona i potrząsnąć z całej siły albo wręcz powalić na ziemię i okładać pięściami, dopóki jeszcze będzie zipała, za to, jak potraktowała swojego męża. Bo wciąż nie mógł uwierzyć, żeby Robert był zdolny kogoś zabić z zimną krwią. Nie kupował jego bajeczki. Coś mu się tu nadal nie zgadzało.

Robert obejrzał się na niego i poprosił:

- Zaopiekuj się Jess, dobrze? Skinął głową, a po chwili rzekł:

- Później przyjadę na posterunek.

- Jess, daj mu kluczyki od mojej półciężarówki. - Uśmiechnął się smutno. -

Wygląda na to, że na razie nie będę jej potrzebował.

- Z nikim nie rozmawiaj, nawet z Hossem - ostrzegł go Jeffrey. - Musimy najpierw znaleźć ci dobrego adwokata.

Ale Robert bez słowa wyszedł z pokoju. Chwilę później stuknęły siatkowe drzwi prowadzące na ganek.

- Cholera - mruknęła Jessie i uniosła pełną szklankę do ust. Kiedy ją w końcu opuściła, pozostały w niej jedynie kostki lodu. Jeffrey przyglądał się temu z rosnącą pogardą, nie mogąc zrozumieć, jak ona może być tak spokojna, kiedy jej mężowi grozi oskarżenie o morderstwo.

Wzięła do ust kostkę lodu, possała przez chwilę, po czym wypluła z powrotem do szklaneczki.

- To musi być najwspanialszy dzień dla tego wieśniaka. - Popatrzyła na niego, jakby oczekiwała, że coś powie. Ale napotkawszy jego milczenie, dodała: - Reggie przez tyle lat czekał jak wygłodniały sęp, aż Robertowi powinie się noga. Jestem pewna, że już jutro zacznie się podlizywać Hossowi, by dostać awans, który tak długo go omijał.

- A ja odnoszę wrażenie, że to nie Robertowi powinęła się noga - powiedział w końcu, starając się zawrzeć w tych słowach jak najwięcej goryczy dławiącej go w gardle. W końcu to ona była winna. To ona ściągnęła klątwę na głowę Roberta. Klątwę na nich wszystkich.

- Cudownie, Spryciarzu. Można się było tego spodziewać. Przecież to on pociągnął za spust i zabił człowieka, a ty mimo wszystko znajdujesz powody, by mnie oczernić?

- Czemu go zdradzałaś? - zapytał ostrzej. - Dlaczego?

Wzruszyła ramionami, jakby to była normalna rzecz. Nie potrafiła jednak ukryć zdenerwowania, była wręcz roztrzęsiona.

- Przecież był dla ciebie taki dobry.

- Tylko nie próbuj wchodzić mi na głowę. Chyba zapominasz, z kim rozmawiasz.

- Ja nigdy nikogo nie zdradziłem - rzekł z obrzydzeniem w głosie, lekceważąc

jej ironiczne spojrzenie. W końcu nie kłamał, jeśli nawet można go było uznać za kobieciarza, to przecież zawsze dbał o to, by kobiety, z którymi się zadawał, doskonale wiedziały, na czym stoją i czego powinny oczekiwać. - Kiedy komuś coś obiecuję, zawsze dotrzymuję słowa. I za nic w świecie nie skakałbym tak wokół żony, jak on to robił.

- Łatwo ci mówić - mruknęła, dopijając resztki whisky spomiędzy kostek lodu. Oblizła wargi i dodała: - Jesteś jeszcze gorszy od niego, bo myślisz, że tobie coś takiego nie mogłoby się przydarzyć.

- Ani trochę cię nie obchodzi, że pójdziesz do więzienia? W tym stanie nadal obowiązuje kara śmierci, Jessie.

Popatrzyła na szklaneczkę i zagrzechotała kostkami lodu.

- Jak to się zaczęło? - spytał. - Robert kupował narkotyki od Swana?

- Narkotyki? - Popatrzyła na niego zdziwiona. - Robert?

- Wszyscy wiedzą, że Luke ćpał. Od tego się zaczęła wasza znajomość? -

Złapał ją za rękę i obrócił zgięciem ku górze, szukając śladów po igle. - Dawaliście sobie razem w żyłę, a potem poszliście dalej?

- Przestań! To boli!

Podwinął jej rękaw i zadarł rękę do góry, żeby zajrzeć pod pachę.

- Dość tego!

Chwytał jej drugą rękę, przez co kostki lodu wysypały się na podłogę.

- Co cię do tego skłoniło, Jessie? Co?

- Do cholery, Spryciarzu! - krzyknęła, odpychając Jeffrey'a. - Kto ci dał prawo tak się zachowywać?!

- Nie mam czasu na uprzejmości - warknął, myśląc jednocześnie, że jeśli zaraz nie odejdzie, rzeczywiście gotów jest zrobić jej krzywdę. Ogarnęło go tym większe obrzydzenie, że przypomniał sobie reakcję Sary w analogicznej sytuacji. Ale teraz zależało mu wyłącznie na tym, żeby wbić Jessie do głowy trochę zdrowego rozsądku.

- Daj mi kluczyki od wozu Roberta - wycedził. Jeszcze przez chwilę spoglądała mu w oczy, po czym mruknęła:

- Są w mojej torebce w kuchni. - Zawiesiła na chwilę głos, dając mu do zrozumienia, że się waha z podjęciem decyzji. Wreszcie dodała: - Pójdę po nie.

Zaczął nerwowo krążyć po holu, czekając na jej powrót. Miał tego wszystkiego powyżej uszu. Mógł cierpliwie znosić złośliwe docinki Reggiego, ale nie zamierzał pozwolić na to samo tej zapijaczonyj ladacznicy.

- Masz. - Jessie wróciła z kuchni z kluczykami w jednym ręku i pełną szklaneczką w drugim.

- Niezła z ciebie sztuka - mruknął, wyciągając rękę po kluczyki.

Obrzuciła go zagadkowym spojrzeniem, którego nie był w stanie rozszyfrować.

- Powinnam była wyjść za ciebie.

- Jakoś sobie nie przypominam, że bym ci to proponował.

Wybuchnęła gromkim śmiechem, jakby usłyszała najlepszy dowcip.

- Uważaj, Spryciarzu.

- Na co?

- Żeby ta twoja Sara nie owinęła cię sobie wokół palca.

- Jej w to nie mieszaj.

- Niby dlaczego? Uważasz, że jest lepsza ode mnie?

Coś w tym było, nie zamierzał jednak ciągnąć dyskusji na ten temat. Już dawno się nauczył, żeby nie oczekiwać logicznego rozumowania od kogoś będącego pod wpływem alkoholu.

- Daj mi te cholerne kluczyki.

- Jeśli się z nią ożenisz, sam zaczniesz skakać wokół niej.

- Nie będę się powtarzał, Jessie.

- Nadejdzie kiedyś taki dzień, gdy zrozumiesz, że już nie jesteś dla niej pępkiem świata, a wtedy znów zaczniesz uganiać się w poszukiwaniu nowych wrażeń. Wspomnisz moje słowa.

Wyciągnął rękę jeszcze dalej, zmuszając się do milczenia.

Z ociąganiem wrzuciła mu kluczyki w otwartą dłoń.

- Wpadnij do mnie za kilka lat.

- Prędej mi kutas zgnije i odpadnie. Uśmiechnęła się szeroko i uniosła szklaneczkę jak do toastu.

- Do zobaczenia.

Okazało się, że Robert wciąż jeździł rozklekotaną półciężarówką Chevrolet, rocznik sześćdziesiąty ósmy, którą kupił jeszcze w szkole średniej. Trzeba było się mocno zapierać, żeby przerzucić biegi, a przy tym sprzęgło wyło i rzęziło. Znacznej sztuki wymagało też samo uruchomienie silnika, o czym przez lata zapomniał. Przed każdym skrzyżowaniem zatrzymywał się gwałtownie, niczym szesnastolatek podczas próbnej jazdy na kursie, po czym silnik oczywiście gasł, a gdy już zdołał go na nowo

zapalić, rozlegał się piekielny zgrzyt, kiedy próbował ruszyć na pierwszym biegu.

Opuściwszy Herd's Gap, zaczął się zastanawiać, dokąd pojechać. Sara była zapewne w domu pogrzebowym, zajęta oględzinami znalezionej szkieletu. Hoss musiał już wrócić na posterunek i pewnie przesłuchiwał teraz Roberta. Przemknęło mu przez myśl, żeby zajrzeć do domu, ale zaraz uświadomił sobie, że o tej porze matka je lunch, a nie miał ochoty patrzeć, jak podbudowuje się tanią wódką przed rozpoczęciem pracy na drugiej zmianie w szpitalu. Miał dość spotkań z alkoholiczkami jak na jeden dzień. Zdecydował więc, że pojedzie do Neli, która musiała już wiedzieć o aresztowaniu Roberta, gdy nagle przypomniał sobie o Oposie.

Niezmiennie od lat, brał go pod uwagę dopiero na końcu. W przeciwieństwie do Roberta, z którym wybiegał razem na boisko i rozumiał się bez słów, Opos traktował zawsze jak piąte koło u wozu, które często tylko niepotrzebnie wlokło się za nimi. Co prawda Opos wyglądał się razem z nimi i pilnie odnotowywał kolejne zdobycze, ale w końcu nie robił tego bezinteresownie. Od czasu do czasu udawało mu się pocieszyć którąś z dziewczyn rzuconych przez Jeffrey'ego czy Roberta.

Jedną nich była właśnie Nell. Jeffrey był nawet bardzo rad, że się od niej uwolnił. Bo już w wieku kilkunastu lat Neli doskonale wiedziała, czego chce, i nigdy nie wahała się powiedzieć tego głośno. Utrapieniem stał się dla niego fakt, że zaczęła się koncentrować na wszystkim, co uznawała za jego potknięcia. A że była bardzo wygadana, często psuła mu dobry nastrój, zaczynając pomstować na jego kolejne wybryki. Gdyby nie to, że w szkole należała do wąskiego grona dziewcząt godnych zainteresowania i nie broniła się specjalnie przed pójściem do łóżka, rzuciłby ją już po pierwszej randce.

Zawsze przyznawał otwarcie, że lubi trudne wyzwania, Neli zaliczał jednak do osób, z którymi nie sposób było wygrać. Ostatecznie pogodził się nawet z tym, że Opos dużo bardziej do niej pasuje, bo nie przeszkadzało mu wieczne dogadywanie i rozkazywanie, niemniej zaskoczyło go, że już miesiąc po wyjeździe do Auburn dotarła do niego wiadomość o ich ślubie. Zaczął się wtedy zastanawiać, co naprawdę działo się tutaj za jego plecami. I już dziewięć miesięcy później przekonał się dobitnie, co to było. Ilekroć wracał do tego myślami, przykra świadomość stawała mu ością w gardle, ale tłumaczył sobie, że przecież to on pierwszy powiedział Neli, iż oboje powinni się zacząć spotykać z innymi. Problem polegał na tym, że w jego mniemaniu ona powinna trzymać się go kurczowo, a nie od razu wskakiwać do łóżka z jego przyjacielem.

Z wysiłkiem wrzucił drugi bieg i skręcił na parking przy sklepie Oposa, przygnębiającej ruderze z dwiema wyblakłymi chorągwiemi zespołu z Auburn po obu stronach drzwi. Tabliczka w witrynie zachwalała zimne piwo i żywą przynętę na ryby, dwa najważniejsze artykuły w każdym małomiasteczkowym sklepiku.

Dzwonek nad drzwiami zadźwięczał przenikliwie, kiedy Jeffrey wszedł do środka. Drewniana podłoga, położona zapewne jeszcze w czasach wielkiego kryzysu, głośno trzeszczała przy każdym kroku, w szczelinach między deskami zalegał sześćdziesięcioletni kurz wnoszony tu na pantofelkach, trampkach i kaloszach.

Poszedł prosto na tyły i wyjął z chłodziarki sześciopak budweissera. Zanim drzwi zamknęły się automatycznie, wyciągnął drugi i zawrócił z nimi do lady.

- Halo! - zawołał, stawiając piwo przy kasie. Był to stary mechaniczny kolos, do którego bez trudu mógłby się włamać. Obok stał automat do rozmienniania banknotów, przez pleksiglasową osłonę widać było, że jest w nim około stu dolarów w monetach. Właściciel jak zwykle polegał na uczciwości swoich klientów.

- Opos?! - zawołał, wyciągając butelkę z kartonowego opakowania. Przymocowanym pod ladą otwieraczem do coca-coli ściągnął z niej kapsel i łakomie pociągnął łyk gorzkawego piwa, mając nadzieję, że spłucze nim gorycz wciąż dławiącą go w gardle. Wszedł za ladę i popatrzył na zdjęcia przyklejone po wewnętrznej stronie plastikowej gabloty z papierosami. Podobnie jak Robert, Opos miał mnóstwo fotografii z czasów szkoły średniej, ale w przeciwieństwie do Roberta, trzymał tutaj wyłącznie zdjęcia swoich dzieci w różnym wieku. Kilka przedstawiało Jennifer, od niemowlęcia w beciku aż po uroczą dziewczynkę, kilka innych Jareda, który wyrósł na wysokiego i wysportowanego chłopaka. Jeffrey pomyślał, że musi mieć teraz jakieś dziewięć lat, i poczuł ogarniającą go falę sympatii. On w tym wieku odznaczał się nieproporcjonalnie długimi oraz chudymi rękami i nogami, przypominał świeżo urodzonego cielaka, który dopiero się uczy stać i chodzić. Jared odziedziczył po matce ciemne włosy i lekko zadartą brodę, chyba w niczym nie przypominał Oposa. Za to Jennifer była wykapaną córeczką ojca. Miała jego oczy i podobnie przygarbione ramiona, znamionujące ciamajdę, choć w przypadku Oposa wcale tak nie było.

Pociągnął spory łyk piwa i mlasnął językiem, żeby wreszcie poczuć jego smak. Pomyślał o piekle, jakie musiał przejść Robert, kiedy Jessie poroniła. Tym bardziej zniechęcało go to do małżeństwa, w którym ciągle następowały jakieś zmiany, jedne powolne, inne bardzo gwałtowne. Kiedy jeszcze pełnił służbę

patrolową, nienawidził wezwań do kłótni rodzinnych, bo prawie zawsze dawały o sobie znać silne więzy łączące małżonków, toteż natychmiast przestawali skakać sobie do oczu i razem obracali się przeciwko człowiekowi, który próbował ingerować w ich życie prywatne, to znaczy wezwanemu policjantowi. Mogli się wydzierać na siebie nawzajem i obsypywać najgorszymi epitetami, a chwilę później rzucali się pod koła radiowozu, byle tylko żadne z nich nie wylądowało w areszcie.

A dzieci dodatkowo komplikowały te współzależności. Podczas interwencji starał się odizolować w pierwszej kolejności. Było to jeszcze trudniejsze zadanie, gdyż większość dzieci wyczuwała intuicyjnie, że może jakoś pomóc rodzicom i ochoczo pakowała się w sam środek awantury. Zbyt często sam próbował rozdzielać rodziców, żeby nie wiedzieć z własnego doświadczenia, jak silne impulsy kierują dziećmi. Ale wiedział też, jak daremne są ich starania. Kiedy rozpoczynał służbę, nie mogło mu się przytrafić nic gorszego niż wezwanie do rodzinnej kłótni i widok dziecka z podbitym okiem albo rozciętą wargą, zanoszącego się płaczem w rogu pokoju. Nieraz przy takich okazjach udawadniał, że on również dysponuje wielką siłą, chociaż świetnie zdawał sobie sprawę, iż wyzywając się na brutalnym rodzicu, daje tylko upust bezsilnej wściekłości wywodzącej się z jego dzieciństwa. Dopiero po kilku latach uznał, że to jeden z największych przywilejów służby w policji.

Rzucił pustą butelkę do kosza i wyciągnął z opakowania następną. Nie chciał mu się iść do otwieracza, toteż odbił kapsel o kant lady, na której liczne zadrapania świadczyły, że właściciel sklepu postępuje tak samo.

Pociągnął tęgi łyk piwa, odchylając głowę daleko do tyłu, aż żołądek zaprotestował głośnym burczeniem. Dopiero teraz uprzytomnił sobie, że od rana nic nie jadł, pominąwszy dwa kawałki smażonego boczku, które podkraść w kuchni Neli. Ale nie przejmował się tym specjalnie. Zamierzał opróżnić butelkę drugim haustem, kiedy usłyszał spuszczaną wodę w toalecie na tyłach.

- Cześć, Spryciarzu - rzucił Opos, wychodząc z łazienki i zapinając spodnie. Spojrzał na butelkę w jego rękę i dodał: - Śmiało, częstuj się do woli.

- Powinieneś się cieszyć, że tego nie zrobiłem. - Jeffrey stuknął palcem w klawisz kasy i wysunęła się szuflada ze starannie poukładanymi w przegródkach banknotami. - Przecież tu jest ze dwieście dolarów.

- Dwieście pięćdziesiąt trzy i osiemdziesiąt jeden centów - rzekł Opos, biorąc sobie także piwo. Otworzył butelkę o kant lady i upił łyczek.

Jeffrey dopił swoje, wyrzucił butelkę i sięgnął po następną. Opos spojrzał na

leżące w koszu dwie puste butelki i cmoknął z niesmakiem.

- Pewnie już słyszałeś o Robercie? - zagadnął Jeffrey.

- Nie. A co się stało?

Jeffreyowi serce podeszło do gardła. Szybko pociągnął łyk piwa, chcąc jak najszybciej doprowadzić swój umysł do stanu, w którym nic już się nie będzie liczyło.

- Oddał się w ręce policji.

Opos o mało co się nie zachłysnął.

- Co?

- Jadę prosto z domu matki Jessie. Przyznał się do winy.

- Jakiej winy?

- Do zabicia człowieka.

- Luke'a Swana? - szepnął Opos. - Boże jedyny...

- Jessie go z nim zdradzała. Opos w osłupieniu pokręcił głową.

- Nie wierzę.

- Nie musisz mi wierzyć, możesz sam pogadać z Robertem. Powiedział, że nakrył ich w łóżku.

- Dlaczego miałyby go zdradzać?

- Bo jest zwykłą dziwką.

- Przestań. To naprawdę nie na miejscu...

- Co jest nie na miejscu? Prawda? - Jeffrey ponownie przechylił butelkę z piwem. - Jezu, ani trochę się nie zmieniłeś przez te lata.

- Dajże wreszcie spokój.

- Spójrz prawdzie w oczy. Zawsze tak postępowałeś. Chowalesz głowę w piasek, a gdy burza przeszła, wyskakiwałeś jak gdyby nigdy nic. - Szybko dopił piwo, witając z radością lekki szum w głowie, gdyż miał nadzieję, że pomoże mu uwolnić się od cierpienia. - Przyznał się też do zabicia Julii.

Opos rozdziawił usta i oparł się o ladę.

- To jakieś szaleństwo...

- Owszem. Całe to cholerne miasto nagle oszalało.

- Ty mu wierzysz?

Zaskoczyło go to pytanie, głównie dlatego, że Opos wcześniej niczego nie kwestionował.

- Nie. Ani trochę.

- Cholera...

Kiedy Jeffrey sięgnął po następną butelkę z otwartego opakowania, Opos złapał go za rękę i mruknął:

- Nie powinieneś trochę przyhamować?
- Już mam jedną matkę.
- To kolejny powód, żeby przystopować.

Nie zdążył się powstrzymać i huknął przyjaciela pięścią w szczękę. Nie trafił precyzyjnie, ale Opos i tak poleciał do tyłu, stracił równowagę i po drzwiach sejfu osunął się na ziemię.

- Zwariowałeś? - syknął bardziej zaskoczony niż rozzłoszczony. Wetknął sobie palec w usta, wyjął go i popatrzył na krew przemieszana ze śliną. - Do cholery, Spryciarzu, omal nie wybiłeś mi zęba.

Jeffrey uniósł już pięść, żeby zadać drugi cios, ale powstrzymało go błagalne spojrzenie przyjaciela. Przypomniawszy sobie, że Opos nigdy nie oddaje. Nigdy się nie wścieka i nie wytyka mu, że postąpił źle.

Sięgnął tylko do kieszeni i wyciągnął garść drobnych

- Nie trzeba - wyseplenił Opos, odsuwając pieniądze. Krew z jego rozciętej wargi kapnęła na ladę. - To na mój koszt.

- Zawsze płacę za siebie - wycedził Jeffrey, rzucając resztę miedziaków na ladę. Wziął resztę butelek i ruszył do wyjścia.

- Posłuchaj, Spryciarzu, może cię odwiozę...
- Spieprzaj - burknął Jeffrey, odsuwając przyjaciela z drogi.

Opos ruszył za nim do drzwi i wyszedł na parking.

- Nie powinieneś prowadzić w takim stanie.

- Jakim? - zapytał, otwierając prawe drzwi półciężarówki Roberta. Postawił piwo na siedzeniu, po czym obszedł maskę, żeby zająć miejsce za kierownicą. Potknął się jednak o krawężnik i złapał lusterka, żeby nie upaść.

- Nie wygłupiaj się, Jeffrey - bąknął Opos.

Ale Jeffrey wdrapał się za kierownicę i zamrugał szybko, bo świat zaczynał mu się kołysać przed oczami. Wyjątkowo szybko uruchomił silnik, wrzucił wsteczny bieg i wycofał wóz z parkingu, w ostatniej chwili zakręciwszy gwałtownie kierownicą, żeby nie staranować dystrybutora stacji benzynowej.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

14.50

Molly wdrapała się na prawe siedzenie karetki i obrzuciła Lenę krytycznym

spojrzeniem.

- Nie mieli już ciaśniejszego stroju?

- Chyba nie - odparła Lena, zdając sobie sprawę, że pielęgniarka chce tylko pokryć zdenerwowanie. Jej też dłonie lepiły się od potu, a nerwy, zwykle wytrzymałe jak postronki, stopniowo zaczynały puszczać. Liczyła na to, że odzyska zimną krew po wejściu na komisariat. Należała do osób, które lubią stawić czoło zagrożeniom. W pełni rozumiała przyczynę tremy, ale po wyjściu na scenę musiała się jej błyskawicznie pozbyć.

Molly wzięła głębszy oddech, a gdy wypuściła powietrze, ramiona jej opadły i cała oklapła jak przekłuty balon. Kurczowo ścisnęła w garści końcówkę stetoskopu, który miała na szyi, i wycedziła:

- W porządku. Możemy jechać.

Lenie tak się trzęsły ręce, że nie mogła wcelować kluczykiem do stacyjki. Po kilku nieudanych próbach Molly wychyliła się z fotela i mruknęła:

- Daj. Ja to zrobię.

- To od urazów - bąknęła Lena, uruchamiając silnik. - Uszkodzenia nerwów.

- Bardzo ci to przeszkadza?

Przycisnęła lekko pedał gazu, żeby poczuć wibracje podłogi.

- Nie. Tylko czasami.

- Dostałaś skierowanie na fizykoterapię?

Nie mogła zrozumieć, dlaczego musi prowadzić tę idiotyczną rozmowę, wolała ją jednak ciągnąć, choćby dla zabicia czasu.

- Byłam na niej trzy miesiące - odparła. - Brałam kąpiele parafinowe, grałam w tenisa, wkładałam na czas różne klocki do otworów...

- To test sprawnościowy - wyjaśniła Molly ze wzrokiem utkwionym nieruchomo przed siebie.

- Zgadza się.

Centrum Medyczne okręgu Grant dzieliło od posterunku nie więcej niż trzysta metrów, lecz im bliżej podjeżdżały, tym dłuższa zdawała się ta droga. Lena miała wrażenie, że zagłębiają się w mroczny tunel prowadzący do czarnej dziury.

- Jakiś czas temu chodziłam na fizykoterapię z powodu urazu kolana - powiedziała Stoddard. - Po urodzeniu drugiego dziecka ledwie mogłam wchodzić po schodach.

- Masz dwójkę dzieci?

- Tak, dwóch chłopaków - odrzekła z dumą.

Lena specjalnie najechała na żelazną klapę studzienki w ulicy, ale ciężki ambulans prawie bez wstrząsu pokonał przeszkodę. Przyszło jej na myśl, że i ona nosi już w łonie dziecko, nie wiadomo tylko, chłopca czy dziewczynkę. Co by się stało, gdyby je urodziła? Była pewna, że gdyby wyszła za Ethana, do końca życia nie zdołałaby się już od niego uwolnić.

- To bliźniaki - dodała Molly.

- Cholera - syknęła, chociaż z zupełnie innego powodu, niż tamta mogłaby podejrzewać. Bliźniaki. Zdwojona odpowiedzialność. Podwójne niebezpieczeństwo. I dwa razy więcej bólu.

- Wszystko w porządku? - zaniepokoiła się Stoddard.

- Dzisiaj są moje urodziny - mruknęła Lena, nie zwracając nawet uwagi, dokąd jedzie.

- Naprawdę?

- Tak.

- Tutaj byłoby dobrze stanąć - rzuciła Molly.

Dopiero teraz spostrzegła, że o mało nie minęła posterunku. Nick nakazał jej tak zaparkować, żeby nie zasłoniła drzwi frontowych, razem doszli do wniosku, że lepiej będzie stanąć od strony salonu odzieżowego, a nie college'u.

Obejrzała się, czy nie cofnąć, ale było już za późno.

- Dobra. Staniemy tutaj.

- Może być - odparła pielęgniarzka, wycierając spocone dłonie o uda. - To powinno być rutynowe zadanie, prawda? Wchodzimy, zostawiamy żywność i zaraz wychodzimy razem z Marlą, tak?

- Zgadza się.

Dłoń ześliznęła jej się z gałki dźwigni biegów, kiedy wprowadzała karetkę do zatoczki. Aż zakłęta pod nosem, usiłując się skupić na wykonywanych czynnościach. Nigdy niczego się nie bała. W ciągu ostatnich paru lat naoglądała się tyłu potworności, ile większość ludzi nie widziała przez całe życie. Czego miała się bać tym razem? Czyżby czekało ją w tym budynku coś jeszcze gorszego, niż spotkało ją przed dwoma laty?

- Posłuchaj - zaczęła z wyraźnym ociąganiem Molly. - Nick prosił, żeby ci tego nie mówić...

Lena popatrzyła na nią.

- Według standardowej procedury mamy ograniczony czas. Jeśli w porę nie wyjdziemy, ruszą do szturm.

- Dlaczego cię prosił, żebyś mi o tym nie mówiła?

- Z obawy, że oni się czegoś domyśla.

- Aha. - Pokiwała ze zrozumieniem głową.

Zatem Nick także jej nie ufał. Tak samo, jak Amanda Wagner. Podejrzewał, że ona zrobi coś głupiego, co przyczyni się do śmierci wszystkich zakładników. Może i miał rację. Lena także się bała, że bezmyślnie może sknocić to zadanie, podobnie jak sknociła całe swoje życie. Trudno było to wykluczyć.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała Molly, biorąc ją za rękę.

W zakłopotaniu Lena spojrzała na zegarek. Molly natychmiast to podchwyciła.

- O, właśnie. Lepiej zsynchronizujmy zegarki. Podetknęła jej pod nos duży i masywny zegarek marki Snoopy. Lena pospiesznie ustawiła według niego swój elektroniczny, zastanawiając się, czemu to ma służyć.

- Ruszą do szturm dokładnie czterdzieści minut po tym, jak wejdziemy na posterunek. - Molly jeszcze raz spojrzała na zegarek. - To znaczy o trzeciej trzydzieści dwie.

- W porządku.

Molly położyła rękę na klamce.

- Wyjdziemy na tyle wcześnie, żeby jeszcze zdążyć zorganizować ci przyjęcie.

- Jakie przyjęcie? - zapytała, nie mając pojęcia, o co jej chodzi.

- Urodzinowe. - Molly uchyliła drzwi na parę centymetrów. - Gotowa?

Skinęła głową, nie mogąc dobyć z siebie głosu. Wsiadły równocześnie i podeszły do tylnych drzwi ambulansu, przy których agenci Wagner ustawili skrzynki z wodą mineralną i kanapkami zakupionymi na stacji benzynowej na obrzeżu miasta. Kiedy ruszyły w stronę wejścia na komisariat, Lena skoncentrowała się na tych kanapkach. Zaczęła odczytywać nalepki na opakowaniach, zachodząc w głowę, kto zapłaci za drogie kanapki z szynka i sałatą na białym chlebie. Miały jeszcze trzy miesiące przydatności do spożycia. A więc z pewnością zawierały tyle konserwantów, żeby uchronić padłego słonia przed rozkładem co najmniej przez rok.

- Wchodzimy - odezwała się głośno Molly, kiedy ktoś uchylił przeszkłone drzwi od wewnątrz.

Lena o mało nie krzyknęła głośno, gdy zwłoki Matta osunęły się po nich na chodnik, przy czym głowa mająca postać krwawej miazgi opadła z donośnym

kłaśnięciem, obryzgując betonowe płyty krwią i strzępami szarej substancji. Rysy twarzy były prawie nierozpoznawalne, lewe oko wisiało na wiązce nerwów jak w gumowej masce na Halloween. Urwana duża część dolnej szczęki ukazywała wnętrze jamy ustnej, zęby, nabrzmiały język, mięśnie i ścięgna.

- Powoli - rzekł mężczyzna stojący w drzwiach.

Miał na głowie czarną wełnianą kominiarkę z owalnymi wycięciami na oczy i usta. Przypominał bohatera tandetnego horroru i Lenę ogarnął tak przemożny strach, że niemal ją sparaliżował. Frank nic nie wspominał o kominiarkach. Należało zakładać, że bandyci naciągnęli je specjalnie, żeby uniemożliwić identyfikację. Tym gorzej wróżyło to zakładnikom, którzy przecież widzieli twarze zabójców.

- Powoli i spokojnie - powtórzył, ruchem ręki nakazując im wejść do środka.

W jednej ręce trzymał strzelbę z odciętą lufą - tego samego wingmastera, którego opisywał Wallace - a w drugiej sig sauera. Kamizelkę kuloodporną miał zapiętą na wszystkie sprzączki, zza pasa wojskowych spodni od panterki wystawała mu kolba następnego pistoletu.

Lena uświadomiła sobie, że gapi się na niego dopiero wtedy, gdy Molly syknęła:

- Lena!

Siłą woli zmusiła się, żeby zrobić kilka kroków. Próbowiła przestąpić nad zwłokami Matta, nie patrząc na nie, ale żołądek ścisnął jej się do tego stopnia, że omal nie złamała się w pół. Pośliznęła się w kałuży krwi.

W środku temperatura była co najmniej o dziesięć stopni wyższa niż na ulicy. Drugi zabójca stał za kontuarem, trzymając dłonie na kolbie leżącego przed nim AK-47. I on miał na głowie kominiarkę, ale dużo luźniejszą, gdyż jej koniec unosił się przy każdym oddechu. Spojrzał na nie pozbawionymi wyrazu, jakby martwymi oczyma, i zaraz odwrócił wzrok.

Ten pierwszy, zapewne Smith, próbował zamknąć za nimi drzwi, ale zablokowało je ciało Matta. Z całej siły huknął skrzydłem w zwłoki, lecz niewiele to pomogło.

- Kurwa - zaklął i wymierzył zabitemu solidnego kopniaka w brzuch.

Miał na nogach wojskowe buty z żelaznymi okuciami na noskach. Rozległ się stłumiony trzask, prawdopodobnie pękającego zebra Matta. Przypominał trzask suchej gałązki pod nogami.

- Chodź, przesuniemy tego fiuta - warknął.

Lena przyglądała się temu jak skamieniała, trzymając w rękach pudło z kanapkami. Molly zerknęła na nią z przerażeniem w oczach i powoli postawiła skrzynkę z wodą na podłodze. Cofnęła się do drzwi, chwyciła Matta za kostki nóg i wciągnęła do lobby.

- Nie tu. Na zewnątrz - rozkazał Smith. - Wy pieprz tego kutasa na ulicę. - Otarł wierzchem dłoni usta zasłonięte kominiarką. - Zaczyna cuchnąć. - Zanim Molly zdążyła okrążyć trupa i złapać go pod ramiona, wymierzył mu jeszcze jednego kopniaka. - Pierdolony kutas - warknął tak groźnie, że pielęgniarka na chwilę zastygła w miejscu.

Jeszcze raz podniósł stopę i kopnął zabitego w krocze. Rozległ się głuchy dźwięk, który Lenie skojarzył się z odgłosem trzepania dywanów rozwieszonych na sznurze do bielizny za domem, jednego z ulubionych zajęć Nan.

Wyładowawszy swą wściekłość, Smith krzyknął na Molly:

- Na co czekasz, do cholery?! Zabieraj go stąd! Pielęgniarka popatrzyła bezradnie na zwłoki, jakby nie wiedziała, jak je chwycić. Matt miał na sobie białą koszulę z krótkimi rękawami i służbowy krawat, który wyszedł z mody, kiedy Jimmy Carter wyprowadził się z Białego Domu. Ale cała koszula była przesiąknięta krwią, pojawiły się nawet nowe plamy na bokach i pod pachami po serii kopniaków bandyty. Te świeżo otwarte rany miały dziwny, czarnopurpurowy kolor i wcale nie krwawiły.

Zniecierpliwiony Smith trącił Molly czubkiem buta. Sam w sobie nie był to groźny gest, ale wzięwszy pod uwagę jego niedawny wybuch, Molly odebrała to jako śmiertelne zagrożenie. Próbowała wyholować Matta za koszulę, lecz tylko wyciągnęła ją ze spodni i oderwała parę guzików, które z brzękiem potoczyły się po posadzce, a oczom wszystkich ukazał się biały brzuch zabitego. Zamknęła więc oczy, chwyciła go pod ramiona i szarpnęła.

Ale ciało nawet nie drgnęło. Smith chciał mu już wymierzyć kolejnego kopniaka, lecz Molly zaprotestowała:

- Nie.

- Co powiedziałaś? - zapytał zdumiony.

- Przepraszam - bąknęła, spuszczając głowę. Bluzę na piersiach miała już pokrytą plamami czarnej, na wpół zakrzepłej krwi. Spojrzała na Lenę. - Na miłość boską, może byś mi pomogła!

Lena rozejrzała się dookoła, jakby nie miała pojęcia, gdzie postawić pudło z kanapkami. Nie chciała nawet dotykać Matta. Brzydziła się już samej myśli, że

miałaby dotknąć trupa.

Smith wymierzył do niej z obrzynka.

- Ruszaj się.

Postawiła pudło na podłodze, mając wrażenie, że płuca jej dygoczą przy każdym oddechu. Zagryzła mocno zęby, żeby nimi nie szczekać. Jeszcze nigdy w życiu tak bardzo się nie bała. Tylko właściwie czego? Ostatecznie w przeszłości bez obaw stykała się ze śmiercią, kilka razy prawie błagała, by do niej przyszła. Teraz jednak śmiertelnie się bała samej myśli, że mogłaby tu zginąć.

Jakimś cudem zdołała uklęknąć przy nogach Matta. Popatrzyła na jego tanie czarne buty, wystrzępione mankiety znoszonych spodni i niedoprane białe frotowe skarpetki z brązowymi plamami. Kiedy Molly odliczyła do trzech, dźwignęły go razem z posadzki. Zsunęła się nogawka, ukazując kostkę lewej nogi i fragment łydki pokrytej białą, pozbawioną owłosienia skórą. Lena nie mogła się uwolnić od bolesnej świadomości stopy zabitego wrzynającej jej się w brzuch. Pomyślała o dziecku w swym łonie, zastanawiając się, czy ma ono świadomość tak bliskiego kontaktu z trupem. Przemknęło jej nawet przez głowę, że może podłapać coś zaraźliwego.

Pod czujnym okiem Smitha ułożyły Matta na chodniku tuż przed komisariatem. Kiedy Lena dostrzegła w oczach bandyty wyraz olbrzymiej satysfakcji, ledwie się powstrzymała, żeby nie zawrócić biegiem do karetki. Ruszyła jednak z powrotem za Molly. Dopiero gdy wkraczały do lobby, uświadomiła sobie, co się stało. Bandyty mieli już potrzebną żywność i wodę. Mogli po prostu nie wpuścić ich już do środka czy nawet zastrzelić z zimną krwią na ulicy. Nie zrobili tego jednak.

- Tak będzie lepiej - oznajmił Smith. - Tolliver zasmradzał cały posterunek.

Molly otworzyła usta ze zdumienia i obejrzała się szybko.

- Co? - warknął zabójca, wymierzając jej pistolet między oczy. - Chciałaś coś powiedzieć, suko? Masz coś do powiedzenia?!

- Nie - odparła za nią Lena, zaskoczona, że zdołała cokolwiek wydusić.

Nawet przez kominiarkę łatwo było dostrzec, że Smith uśmiecha się szeroko. Jego oczy prześliznęły się po jej ciele od stóp do głowy, zatrzymując się nieco dłużej na biuście, a wyraźne błyski satysfakcji świadczyły, że spodobało mu się to, co zobaczył. Dźgnął lufą sig sauera czoło Molly i zwrócił się do niej:

- Tak myślałem. - Trzymanym w ręku obrzynkiem dał jej znak, żeby się obróciła. - Łapy na ścianę.

Nagle rozległ się dzwonek telefonu, którego przenikliwy terkot rozciął

powietrze jak nożem.

- Odwróć się! - powtórzył ostrzej bandyta.

Lena wykonała polecenie, układając dłonie między dwiema fotografiami w ramkach przedstawiającymi obsadę tutejszego posterunku z lat siedemdziesiątych. Byli na nich sami mężczyźni w granatowych mundurach, niemal bez wyjątku z krzaczastymi wąsami. Ben Walker, ówczesny komendant, jako jedyny był gładko ogolony i krótko ostrzyżony, po wojskowemu. A dwa miejsca dalej w prawo wisało zdjęcie aktualne, na którym była również ona. Aż wstrzymała oddech, modląc się w duchu, żeby Smith nie zwrócił na nie uwagi.

- Ukryłaś coś? - Zaczął ją bezceremonialnie obmacywać, przyciskając całym swoim ciężarem do ściany. - A może tutaj? - Wsunął jej łapę pod biust i zaczął szybko rozpinać bluzę pielęgniarzkiego stroju.

Przyjmowała to w milczeniu, czując, jak serce wali jej coraz mocniej. Starła się za wszelką cenę nie patrzeć na przykuwające wzrok zdjęcie, które wisało pół metra od niej. Myślała, że w chwili jego zrobienia była jeszcze młoda i z optymizmem zapatrywała się na swoją przyszłość. Od dzieciństwa pragnęła pójść w ślady ojca i zostać policjantką. Ten dzień, kiedy pozowali do wspólnej fotografii, był jednym z najlepszych dni w jej życiu, teraz jednak mógł się stać przyczyną śmierci.

Smith wsunął rękę pod bluzę i zacisnął dłoń na jej piersi.

- Masz tam coś dobrego? - zapytał. - Bo serce strasznie mocno ci wali.

Zacisnęła powieki, nakazując sobie zachować spokój, kiedy przesunął dłoń na drugą pierś. Czuła na karku jego gorący, przyspieszony oddech, świadczący wyraźnie o przyjemności, jaką czerpał z tej rewizji.

Zaskoczyło ją, że nie czuje już przerażenia. Było coś upiornie znajomego w odczuciach, jakie wywoływał w niej dotyk jego ciała. Smith nie był zbyt wysoki, ale atletycznie zbudowany. Imponujące mięśnie rozpychały krótkie rękawy bawełnianej koszulki. Na swój sposób przypominał jej Ethana. A z nim przecież dawała sobie radę, świetnie wiedziała, co robić, by powstrzymać go od przekroczenia granicy wybuchu wściekłości. Wręcz traktowała jak sport obserwowanie jego reakcji, ciągłe sprawdzanie, jak daleko może się posunąć. Jedyne problem polegał na tym, że zdarzało jej się przesadzić, czego najlepszym dowodem była rozcięta warga.

- Masz tam coś dobrego? - szepnął Smith, dysząc jej prosto do ucha. Jeszcze mocniej przycisnął ją do ściany, jakby chciał unaocznić swoje intencje. Ale i to odebrała spokojnie, mając wrażenie, że jej świadomość odpływa do innego świata, a

tylko ciało pozostaje nadal na posterunku.

- Skończ z tym - rozległ się drugi, jakby trochę nieśmiały głos, którego w pierwszej chwili nie rozpoznała. Ale Smith przeciągnął jeszcze raz dłonią po jej piersiach i cofnął się o krok.

- Ściągaj buty - rzucił groźnie, po czym zwrócił się do Molly. - Teraz ty. Odwróć się i łapy na ścianę.

Molly obrzuciła go załęcznionym spojrzeniem, ale wykonała polecenie i tak samo zaparła się o ścianę między zdjęciami. Lena szybko zapięła bluzę, przyglądając się, jak Smith obszukuje Molly bez przejawiania jakichkolwiek uczuć. Odsunęła się od swojej fotografii na ścianie, usiadła na podłodze i zaczęła rozwiązywać pantofle. Kawałkami plastra przykleiła scyzoryk w podbiciu stopy, miała nadzieję, że nie będzie go widać przez skarpetkę. Starła się ukryć zdenerwowanie, podając Smithowi buty, których cholewki dotąd maskowały ukryty scyzoryk. Powtarzała w myślach, że jeśli nie przeszuka jej ponownie i nie każe zdjąć skarpetek, wszystko będzie dobrze. Obrócił pantofle podeszwami ku górze, popatrzył na nie, po czym zajrzał do środka. To samo zrobił z butami Molly i rzucił obie pary na podłogę. Molly przysunęła swoje, żeby je włożyć, ale ją powstrzymał.

Zaczął grzebać w pudle z kanapkami, szukając kontrabandy, zaraz jednak rozkazał: - Zabierzcie to i zanieście do sali. Lena klęknęła, żeby podnieść pudło, ale z dłonią przyciśniętą do piersi zaczęła, aż Molly dźwignie skrzynkę z wodą i otworzy wahadłowe drzwi prowadzące do sali ogólnej. Wcześniej zdążyła włożyć pantofle, tylko ich nie zawiązała. Stopy także miała spocone, więc tym bardziej wyraźnie czuła scyzoryk przyklejony plastrem pod skarpetką. Jak miała go przekazać zakładnikom? Zresztą, czy mógł im w czymkolwiek pomóc?

Szybko skupiła się na tym, co było w jej mocy, i rozejrzała ciekawie po sali. Panował tu nieopisany bałagan, stwierdziła jednak, że plan sytuacyjny sporządzony przez Franka i Pata dość dobrze zgadza się z rzeczywistością. Z otworów systemu wentylacyjnego wystawały powtykane ubrania, część regałów i szafek na akta została przesunięta w celu zabarykadowania drzwi. Brad stał na środku sali w samych bokserkach i białym podkoszulku, jego chude, słabo owłosione nogi wystawały jak patyki z czarnych skarpetek i służbowych pantofli. Za nim na podłodze siedziały trzy dziewczynki i tuliły się do Marli niczym stadko spłoszonych sikorek. Jeszcze dalej siedziała Sara, oparta plecami o ścianę. Trzymała na kolanach głowę rannego mężczyzny leżącego z nogami wyciągniętymi w kierunku środka sali. Lena aż się

potknęła i z hukiem postawiła pudło na podłodze, gdy rozpoznała w nim Jeffreya.

- Świetnie - odezwał się Brad, który zaczął błyskawicznie oglądać przyniesione kanapki. Podniósł na nią oczy rozszerzone bardziej niż zwykle i dodał głębokim, gardłowym barytonem: - Matt jest ranny w ramię.

- Co?

- Matt - powtórzył, ruchem głowy wskazując Jeffreya. - Został postrzelony w ramię.

- Aha - mruknęła, jakby wszystko rozumiała, choć nie potrafiła sobie wytłumaczyć, o co chodzi.

- To odzyskuje, to znów traci przytomność - wyjaśniła cicho Sara zatroskanym głosem. - Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzyma.

- Możemy mu jakoś pomóc? - wtrąciła Molly. Sara ledwie mogła dobyć z siebie głosu. Odchrząknęła i powiedziała:

- Należałoby go stąd zabrać.

- Nie ma mowy - burknął Smith, przerzucając kanapki i odczytując nalepki na opakowaniach. - Rety, co za gówno.

Robił to wyraźnie na pokaz i Lena doszła do wniosku, że specjalnie dla niej. Sama zaczynała powoli odczuwać mdłości na widok policyjnego munduru, stawała się jedną z tych, które wzywają gliniarzy do awanturującego się chłopaka, a chwilę później są gotowe rzucić się do nóg stróżom prawa i błagać, żeby nie zabierali jej ukochanego do więzienia. Uważała, że istnieje wyodrębniona grupa kobiet, które zachowują się i patrzą na otaczający je świat, jakby oczekiwały kolejnego ciosu. W dodatku roztaczały wokół siebie dziwną aurę, może wydzielają jakieś feromony, które przyciągały facetów uwielbiających pastwić się nad kobietami.

- On potrzebuje natychmiastowej pomocy lekarskiej - wycedziła Sara.

Molly zdjęła stetoskop z szyi i ruszyła w jej stronę.

- A ty dokąd?! - warknął groźnie Smith.

- Chciałam tylko...

- Ach, proszę uprzejmie. - Skłonił się teatralnie i usunął się z drogi. Dostrzegł, że Lena baczenie mu się przygląda, i puścił do niej oko.

Domyśliła się, czego od nich oczekuje, toteż bez namysłu powiedziała cicho:

- Bardzo dziękujemy.

Zaczęła rozpakowywać kanapki i podawać je dzieciom, pytając kolejno, jak się czują. Wciąż jednak czuła się odizolowana od wszystkiego, jakby to ktoś inny się

tym zajmował, a ona, niewidzialna, unosiła się w powietrzu i obserwowała to z boku.

Znowu zadzwonił telefon. Smith cofnął się szybko do biurka sekretarki, podniósł słuchawkę i z hukiem cisnął ją z powrotem na widełki.

Jedna z przestraszonych dziewczynek aż się zdrygnęła.

- Ja chcę do taty.

- Tak, wiem. Cicho - odezwała się do niej łagodnie. - Już niedługo.

Mała jednak zaczęła płakać i Lena pospiesznie wsunęła jej w rączkę otwartą butelkę wody mineralnej, próbując opanować narastającą wściekłość i poczucie bezradności.

- Nie płacz - szepnęła błagalnym tonem, myśląc, że nigdy nie umiała sobie radzić z dziećmi. - Wszystko będzie dobrze.

Marla jęknęła gardłowo, utkwivszy w niej spojrzenie szklistych oczu.

Lena postanowiła wcielić się w rolę pielęgniarki.

- Dobrze się pani czuje? - zapytała, kładąc dłoń na ramieniu sekretarki. -

Wszystko w porządku?

Smith wrócił i stanął nad Molly i Sarą. Najwyraźniej niezadowolony z rozwoju wydarzeń, burknął:

- Wystarczy. Zabierajcie się stąd. I wyprowadźcie tę starą małpę.

- Jemu potrzebna jest pomoc - zaproponowała słabo Molly.

- A mnie? - zapytał bandyta, wskazując zaciśniętą wokół ramienia białą szmatkę z dużą krwawą plamą.

Telefon zadzwonił po raz kolejny. Widocznie Wagner zaczynała robić w gacie, ujrzawszy, jak wynoszą zwłoki Matta na ulicę.

- W karetce są niezbędne środki - powiedziała Molly. - Pozwól Mattowi stąd odjechać, a ja zostanę zamiast niego.

- Oho, znalazły się bohaterki - rzucił ironicznie Smith do swego kumpla.

Lena wciąż klęczała przy Marli i o mało jej nie kopnął, ruszając w kierunku drzwi. Bez słowa złapał jedną z dziewczynek za rączkę i pociągnął za sobą. Mała krzyknęła, ale ścisnął ją silnie za nadgarstek i natychmiast umilkła. Wyszedł z nią do lobby i zaczął się naradzać ze współnikiem. Nie wstając z klęczek, Lena odwróciła się powoli, udając, że ich obserwuje, a jednocześnie powoli wyciągnęła rękę do tyłu, żeby wydobyć ukryty scyzoryk. Nagle ktoś ją złapał za dłoń, nie miała jednak odwagi, żeby się obejrzeć. Brad stał z boku, więc to na pewno nie on. Dziewczynki były zbyt przerażone, żeby się choćby poruszyć. Zatem to Marla musiała błyskawicznie zsunąć

jej skarpetkę i szarpnięciem oderwać scyzoryk.

- Mamy przecież lekarzkę i dwie sanitariuszki. Czemu nie? - odezwał się głośniej Smith.

Jego kolega z rezygnacją pokręcił głową, jakby nie w smak był mu pomysł Smitha. Ten wrócił do sali, ciągnąc za sobą dziewczynkę, i zwrócił się do Leny:

- Idź i przynieś z karetki potrzebne rzeczy.

- Co? - zapytała zdziwiona, jakby nie rozumiała, o co chodzi.

Spojrzał na zegarek - model, który reklamowano we wszystkich czasopismach dla mężczyzn, zachwalając, że właśnie takich używają komandosi z marynarki wojennej - i rzucił:

- Idź po sprzęt i zaraz tu wracaj. - Przystawił małej pistolet do głowy. - Masz trzydzieści sekund.

- Kiedy ja...

- Dwadzieścia dziewięć.

- Cholera - syknęła, podrywając się i ruszając biegiem do wyjścia z mocno bijącym sercem.

Wypadła na ulicę, podbiegła do tylnych drzwi karetki, otworzyła je gwałtownie i zaczęła się rozglądać za czymś, co przypominałoby torbę z zestawem pierwszej pomocy.

- Pani detektyw? - zawołał ktoś z ulicy. Domyśliła się, że to któryś z policjantów czuwających za osłoną wozów patrolowych, lecz wołała nie tracić czasu na oglądanie się w tamtym kierunku.

- Pani detektyw?!

- Wszystko w porządku! - odkrzyknęła w panice. - Nic się nie stało!

Jej wzrok spoczął na dużym plastikowym pojemniku przymocowanym paskami do karoserii. Wiele razy bywała na miejscu wypadku drogowego i natychmiast rozpoznała walizkę, z którą sanitariusze zbliżali się do uszkodzonego. Wskoczyła do środka i roztrzęsionymi rękami zaczęła ją odpinać, mamrocząc pod nosem:

- Kurwa mać! Kurwa mać!

Nie mogła sobie przypomnieć, ile czasu przebywa już poza budynkiem.

- Może w coś pomóc?! - zawołał policjant.

- Zamknij się! - wrzasnęła, otwierając pojemnik.

W środku znajdowały się fiolki z lekami, materiały opatrunkowe i narzędzia.

Pozostawało tylko mieć nadzieję, że to wystarczy. Po chwili namysłu złapała drugi pojemnik i dźwignęła ciężki defibrylator.

Podbiegła do drzwi i wpadła do środka z takim impetem, że aż czuwający za kontuarem zabójca podskoczył na miejscu. Zacisnął palce na kolbie pistoletu maszynowego, ale na szczęście nie zaczął do niej strzelać. Napała ramieniem na drzwi wahadłowe i wskoczyła do ogólnej sali, gdzie Smith wciąż trzymał pistolet przytknięty do głowy dziewczynki. Z takim uśmiechem spoglądał na zegarek, że ogarnęła ją bezgraniczna nienawiść do niego.

Z hukiem postawiła na podłodze przyniesiony sprzęt, złapała małą za ramiona i wyszarpnęła ją z jego uścisku.

Smith przytknął więc pistolet do jej czoła, przez co zastygła bez ruchu. Powoli osunęła się na kolana, a on błyskawicznie kopnął ją w pierś. Poleciała do tyłu i rozciągnęła się na wznak na podłodze. Brad wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wstać, kiedy bandyta wymierzył mu pistolet między oczy i ciężkim butem przycisnął ją do podłogi.

- Wiedziałem, że spróbujesz jakiegoś bohaterskiego wyczynu - syknął.

- Nie - jęknęła Lena, choć pod naciskiem jego buciora ledwie mogła zaczerpnąć tchu.

Przydepnął ją mocniej i zapytał:

- Naprawdę chcesz być bohaterką?

- Nie... Proszę... - wyjąkała, próbując zsunąć jego nogę ze swojej piersi, co tylko skłoniło go, by zwiększyć nacisk. - Proszę... - powtórzyła, nie mogąc się uwolnić od myśli, jak to wpłynie na płód rozwijający się w jej macicy.

Smith fuknął głośno, jak gdyby rozczarowany.

- W porządku - mruknął, zdejmując z niej nogę. - Niech to będzie dla ciebie nauczka.

Brad pomógł jej wstać. Kolana ugięły się pod nią, a żołądek podszedł do gardła. Czyżby doznała jakiegoś wewnętrznego urazu? Połamał jej żebra?

Smith nogą pchnął pierwszy plastikowy pojemnik w stronę Sary.

- To wam powinno wystarczyć - oznajmił. - Obejrzymy sobie zabieg chirurgiczny w warunkach polowych. Jak w telewizji.

Sara pokręciła głową.

- To zbyt niebezpieczne. Nie podejmę się...

- Nie masz innego wyjścia.

- On powinien się znaleźć na sali operacyjnej.

- Ta będzie musiała wystarczyć.

- Może umrzeć. Smith podniósł pistolet.

- Przecież i tak może umrzeć.

- Co masz przeciwko... - Sara urwała nagle, najwyraźniej próbując nad sobą zapanować, gdyż emocje brały w niej górę nad zdrowym rozsądkiem. Po chwili ciągnęła: - Co masz przeciwko nam? Co złego ci zrobiliśmy?

- Nie chodzi o ciebie - mruknął Smith. Podszedł do biurka, podniósł słuchawkę dzwoniącego natrętnie telefonu i wrzasnął do niej: - Czego, do kurwy?!

- Więc co masz przeciwko Jeffreyowi? - rzuciła Sara łamiącym się głosem. Smith nawet na nią nie spojrzał, toteż zwróciła się do drugiego zabójcy: - Co on wam złego zrobił?

Tamten obejrzał się na nią, wciąż mierząc z pistoletu maszynowego w drzwi frontowe.

- Zamknij się, do cholery! - warknął Smith do słuchawki. - Właśnie zamierzamy tu przeprowadzić drobną operację chirurgiczną. W końcu po to przysłałaś sanitariuszki, no nie?

Sara nie zamierzała popuścić.

- No więc? - rzekła głośno. - O co wam chodzi? Czemu to robicie? - zapytała z nutą desperacji w głosie. - Dlaczego?

Drugi zabójca wpatrywał się w nią nieruchomym wzrokiem. Smith przytknął słuchawkę do piersi, jakby był ciekaw, czy jego kumpel odpowie. I tamten odparł cicho, ale na tyle wyraźnie, by wszyscy słyszeli:

- Bo Jeffrey był jego ojcem.

Sara osłupiała, jakby na własne oczy zobaczyła ducha. Wargi jej zadygotały, gdy mruknęła bezwiednie:

- Jared?

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Poniedziałek

Sara w myślach odliczała kolejne sygnały, czekając, aż ktoś odbierze. Ojciec nie cierpiał automatycznych sekretarek, ale po jej powrocie z Atlanty zdecydował się kupić aparat z sekretarką, żeby czuła się bezpieczniej. Kiedy więc po szóstym sygnale urządzenie się włączyło, usłyszała chrapliwy głos ojca proszący o zostawienie wiadomości.

Zaczekała na sygnał i powiedziała:

- Mamo, to ja...

- Sara? - rozległ się niespodziewanie głos Cathy. - Zaczekaj chwilę.

Doleciały ją ciężkie kroki matki, która pobiegła wyłączyć automatyczną sekretarkę stojącą na stoliku w ich sypialni na górze. W domu były tylko dwa aparaty, jeden w kuchni, podłączony dwudziestometrowym kablem, a drugi w sypialni rodziców, do której nie wolno im było nawet wchodzić, gdy obie wkroczyły w etap telefonicznego umawiania się z chłopakami.

Mimo woli obejrzała się na szkielet leżący na tym samym stole, gdzie jeszcze rano dokonywała oględzin zwłok Luke'a Swana. Hoss przywiózł trzy duże kartonowe pudła, żeby przetransportować w nich kości, i choć zrobiło to na niej piorunujące wrażenie, nie czuła się upoważniona, by kwestionować jego metody. Na miejscu pieczołowicie poskładała z powrotem szkielet, szukając jakichkolwiek punktów zaczepienia, które umożliwiłyby identyfikację zwłok. Zajęło jej to parę godzin, ale przynajmniej jednej rzeczy była całkowicie pewna: szkielet należał do dziewczyny, która bez wątpienia została zamordowana.

Po chwili matka odezwała się ponownie:

- Wszystko w porządku? Coś się stało? Skąd dzwonisz?

- Nic mi nie jest, mamo.

- Właśnie wróciłam ze sklepu. Wyskoczyłam, żeby kupić posypkę do babeczek.

Sarę ogarnęło poczucie winy. Matka piekła babeczki tylko wtedy, kiedy chciała jej się przypodobać.

- Ojciec znowu pojechał do Chorskesów - wyjaśniła matka. - Mały Jack po raz kolejny wrzucił do toalety całe pudełko kredek.

- Znowu?

- Znowu - odparła niczym echo matka. - Nie chciałabyś wrócić i pomóc mi przy polewaniu babeczek lukrem?

- Przykro mi, ale na dłuższej utknęłam w Sylacaudze.

- Aha - mruknęła Cathy z rozczarowaniem przepełnionym dezaprobatą.

- Powstał pewien problem - zaczęła nieśmiało, zastanawiając się, czy warto matce wyjawic prawdę. W czasie porannej rozmowy powiedziała o strzelaninie w domu Roberta, przemilczała tylko swoje podejrzenia co do tego, kto pociągnął za spust. Teraz jednak uświadomiła sobie, że nie może utrzymywać wszystkiego w

tajemnicy przed rodzicami, i pospiesznie wyznała wszystko, włącznie z ostrzeżeniami Reggiego na temat Jeffreya i jego podejrzanym zachowaniem w jaskini, gdy w sekrecie przed nią schował coś do kieszeni.

- To była jakaś bransoletka czy coś w tym rodzaju? - zaciekała się Cathy.

- Nie mam pojęcia. Wyglądało na złoty łańcuszek.

- Dlaczego schował go przed tobą?

- Dobre pytanie - mruknęła. - Cały dzień zmitrężyłam nad tym szkieletem.

- I co?

- Szwy ciemniaczkowe w czaszce nie są jeszcze do końca zwapniałe. -

Pochyliła się nad stołem i popatrzyła na zwłoki, zastanawiając się, z jakiego powodu krótkie życie dziewczyny zakończyło się tak tragicznie. - Podobnie główki kości długich nie zdążyły się jeszcze całkowicie wykształcić.

- O czym to świadczy?

- Że dziewczyna była bardzo młoda, mogła mieć najwyżej dwadzieścia lat.

Cathy milczała przez chwilę, po czym mruknęła:

- Współczuję jej matce.

- Dzwoniłam już do szeryfa z prośbą, żeby sprawdził wszystkie zgłoszenia o zaginięciu młodych dziewcząt.

- I co?

- Jeszcze się nie odezwał. Prawdę mówiąc, od rana z nikim się nie kontaktowałam. - Przypomniała sobie, że nawet kierownik domu pogrzebowego, White, zamienił z nią ledwie parę słów, gdy razem z Hossem przywiozła szkielet. - Nie sądzę, żeby w takim małym miasteczku istniała bardzo długa lista osób zaginionych.

- Myślisz, że to świeża sprawa?

- Nie, raczej sprzed dziesięciu, może nawet piętnastu lat - odparła. - Przez ostatnie pięć godzin składałam szkielet. Mam wrażenie, że wiem, co spotkało tę dziewczynę.

- Bardzo cierpiała?

- Nie - skłamała Sara, mając nadzieję, że nie słyhać tego w brzmieniu jej głosu. - W każdym razie nie jestem pewna, czy uda mi się jutro wrócić do domu.

- Zatem zostaniesz jeszcze z Jeffreyem, zgadza się? Przygryzła dolną wargę. Szybko zdecydowała, że skoro powiedziała aż tyle, równie dobrze może wyznać całą prawdę.

- Mam wrażenie, że im więcej złego dowiaduję się o nim od różnych ludzi, tym bardziej...

- Czujesz się z nim związana?

- Nie powiedziałabym tego.

- Chcesz go bronić?

- Mamo... - zająknęła się i po chwili dodała całkiem szczerze: - Sama nie wiem. Martwi mnie, że i wy jesteście tak bardzo przeciwni naszemu związkowi... I że tata aż tak bardzo nienawidzi Jeffreya...

- Pamiętam, że gdy miałaś cztery albo pięć lat... - zaczęła Cathy, a Sara jeszcze mocniej przygryzła wargi, spodziewając się kolejnego moralizatorskiego wykładu -...pojechaliśmy wszyscy nad zatokę, gdzie ojciec zabrał was obie na ryby, chcąc was wreszcie czymś zająć. Przypominasz sobie?

- Nie. - Pamiętała jednak wiele zdjęć z tamtych wakacji, więc miała wrażenie, jakby w jej głowie odżywały również zdarzenia.

- W każdym razie pozakładał wam na wędki gumowe atrapy przynęty, na które nabrały się tylko dwa kraby.

- Matka zaśmiała się głośno. - Z daleka słyszałam jedynie, jak ojciec ciągle na nie wrzeszczy, ponieważ zaciskały szczypce na tych przynętach i nie chciały puścić.

- Urwała na chwilę, jak gdyby chciała pobudzić ją do skojarzeń. - Próbował wszystkiego, nawet walił w nie młotkiem, ale bez skutku. Jak raz zacisnęły szczypce, to koniec, nie dało się z nimi nic zrobić. W końcu poodcinał żyłki z przynętami i wrzucił kraby z powrotem do morza.

Sara westchnęła głośno.

- Porównujesz mnie do takiego upartego kraba czy może jego do nic niewartej przynęty?

- Ciągłe jesteś naszą małą dziewczynką - odparła Cathy. - W końcu przyjdiesz do ojca po pomoc, a on odetnie żyłkę z przynętą i uwolni cię od niechcianej zdobyczy.

- A ty?

Cathy znów się zaśmiała.

- Ja będę pełniła rolę młotka.

Sara aż nazbyt dobrze знаła to podejście.

- Na razie wolę się kierować tym, co mi podpowiada intuicja.

- A co ci podpowiada?

- Że... - zająknęła się, mając już na końcu języka wyznanie, że kocha Jeffreya, ale nie umiała się przemóc, żeby powiedzieć to głośno.

Cathy chyba wyczuła przyczynę jej wahania.

- A co z twoim pieprzeniem się na okrągło?

Nie potrafiła dokładnie nazwać tego, co poczuła, gdy schronili się przed burzą w jaskini, podjęła jednak nieśmiałą próbę:

- Sama nie wiem dlaczego, ale nawet po tym wszystkim, co się tu stało, nadal mu ufam. Czuję się przy nim bezpieczna.

- To już poważna sprawa.

- Owszem. Podejrzewam, że znasz mnie lepiej, niż sądziłam.

- Chyba tak. - Cathy głośno westchnęła z rezygnacją. - Ale i ja powinnam ci bardziej ufać.

Sara zbyła tę uwagę milczeniem.

- W końcu nie mogę cię ochraniać przed całym światem.

- Bo wcale tego nie potrzebuję. Może i chciałabym, ale nie jest mi to potrzebne. - Chcąc nieco osłabić wrażenie, dodała: - Niemniej kocham cię za to, że zawsze jesteś gotowa mi pomóc.

- Ja też cię kocham, dzieciно.

Sara pozwoliła sobie na głośne westchnienie, czując, że wszystko wali jej się na głowę. Zwykle w trudnych sytuacjach zaczynała marzyć tylko o tym, żeby znaleźć się przy matce w kuchni i słuchać jej gadania. Od wczesnego dzieciństwa traktowała matkę jak punkt odniesienia w swoim życiu. Teraz jednak marzyła wyłącznie o tym, by zasnąć z głową opartą na ramieniu Jeffreya. Sama była zaskoczona tą przemianą. Jeszcze nigdy dotąd nie myślała w ten sposób o żadnym chłopaku. Nawet gdy wydawało jej się, że kocha Steve'a Manna, kiedy wszystko traktowała jeszcze tak strasznie emocjonalnie, nigdy nie odczuwała aż tak palącej potrzeby jego towarzystwa. Jeffrey działał na nią jak narkotyk, od którego ciągle bardziej się uzależniała. Czuła się schwyтана w pułapkę bez wyjścia, mogła tylko czekać, żeby się przekonać, co będzie dalej.

- Muszę już kończyć, mam - powiedziała. - Zadzwoń jutro, dobrze?

- Uważaj na siebie - odparła Cathy. - Zostawię ci kilka babeczek.

Zaczekała, aż matka odłoży słuchawkę. Chciała już zrobić to samo, gdy złowiła jakiś szum na linii, szmer czyjś oddechu, a dopiero potem pstryknięcie przerywanego połączenia.

Ktoś podsłuchiwał jej rozmowę.

Podeszła do drzwi i wyjrzała przez szybę na korytarz. Światła w domu pogrzebowym pogasły już dawno temu, kiedy White poszedł do domu. Wiedziała, że jest jeszcze stażysta o imieniu Harold, który mieszka w przybudówce nad garażem, White uprzedził ją jednak, że po godzinach chłopak zamyka się na cztery spusty i nie wychyla nosa na zewnątrz, chyba że musi pomóc przy transporcie zwłok.

Podniosła jeszcze raz słuchawkę i wcisnęła klawisz opatrzony nalepką z napisem „Służb.”.

Dopiero po szóstym sygnale rozległ się zaspany głos:

- Słucham.

- Harold?

- Aha. - Doleciał ją szelest, jakby stażysta usiadł w pościeli. Najwyraźniej go obudziła. Po chwili rzucił głośniejsze: - Halo!

- Nie podnosiłeś przed chwilą słuchawki telefonu?

- Co?

Postanowiła zacząć od początku.

- Mówi Sara Linton. Jestem jeszcze w sali sekcyjnej.

- Ach, tak... - mruknął. - Pan White mówił mi, że zostanie pani po godzinach.

- Zamilkł i sądząc po odgłosie, ziewnął szeroko. - Przepraszam - bąknął, po czym syknął pod nosem: - Jezu...

Rozciągnęła kabel słuchawki na całą długość, żeby jeszcze raz wyrzeć przez okienko w drzwiach na korytarz. Jakiś samochód skręcił na parking i po ścianach głównego holu przesunął się odbłask światła reflektorów. Przeszła szybko do okna i osłoniła oczy dłonią, żeby dojrzeć, kto przyjechał. Auto wykręciło na wolne miejsce obok jej bmw i stanęło, ale światła nie zgasły.

- Halo! - powtórzył wyraźnie poirytowany Harold.

- Przepraszam - powiedziała. - Chciałam właśnie wyjść, tylko...

- Ach, tak. Zaraz zejdem i pani otworze.

- To zbyteczne... - zaczęła, ale już odłożyła słuchawkę.

Ponownie wyjrzała na parking, próbując dostrzec w oślepiającym blasku reflektorów, czy ktoś idzie w stronę drzwi. Minęło jednak kilka minut, zanim w snopach światła dojrzała niewyraźny cień człowieka. Harold zapalił światło w głównym holu i stał przed drzwiami frontowymi, podobnie jak ona osłaniając oczy dłonią i wyglądając na zewnątrz. Był w samej piżamie i ziewał szeroko, kiedy do

niego podeszła.

- Kto to może być, do diabła? - mruknął, wkładając klucz do zamka.

- Zauważyłam tylko... Urwała, gdyż z rozklekotanej półciężarówki wysiadł Jeffrey. Z nastawionego bardzo głośno radia leciała jakaś piosenka country. Zmełła w ustach przekleństwo i rzuciła stażyscie:

- Dziękuję, że zechciałeś mi otworzyć drzwi.

- Nie ma za co - mruknął i po raz kolejny ziewnął tak szeroko, że mogła policzyć plomby w jego zębach trzonowych. Przekręcił klucz i otworzył przed nią drzwi.

Wyszła już przed dom pogrzebowy, lecz odwróciła się i zapytała szybko:

- Czy jest ktoś jeszcze w budynku? Harold zerknął przez ramię.

- Żywego ducha.

Znowu ziewnął szeroko, jednakże częstotliwość jego ziewania nasunęła jej wątpliwości, czy faktycznie spał, kiedy zadzwoniła. Chciała zapytać o to wprost, lecz machnął jej ręką na pożegnanie, zamknął przed nosem oszklone drzwi i ziewnął ponownie, jakby specjalnie dla niej.

Od Jeffrey'a czuć było alkoholem z daleka, jakby się znalazła w pobliżu browaru. W dodatku ruszył jej na spotkanie wyraźnie chwiejnym krokiem. Aż przystanąła pośrodku parkingu. Nie uważała go za abstynenta, ale jak dotąd ograniczał się zawsze do okazyjnej lampki wina czy jednego piwa. Jednak poznawszy jego matkę, nawet za bardzo się nie zdziwiła, chociaż fakt, że postanowił się upić właśnie tego wieczoru, odebrała jak sygnał ostrzegawczy, na który ani trochę nie była przygotowana.

- Cześć - rzuciła ostrożnie.

Uśmiechnął się głupkowato i wyciągnął w górę palec wskazujący, jakby chciał, żeby umilkła i posłuchała płynącej z radia piosenki Wise men say Elvise Presleya.

- Jeffrey...

Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie, podejmując żalosną próbę poprowadzenia jej do tańca.

Spojrzała na półciężarówkę, która prawdopodobnie liczyła więcej lat niż ona. W kabinie spostrzegła tylko Jedną szeroką kanapę, do złudzenia przypominającą tę, którą widziała w jaskini. Z podłogi wystawała masywna dźwignia biegów.

- Prowadziłeś w takim stanie? - zapytała.

- Cii... - syknął, do tego stopnia zionąc piwskim, że aż odwróciła głowę.

- Ile wypiełeś?

Zamruczał w rytm piosenki, po czym podchwycił refren:

- „Falling in love... with... you...”

- Jeff!

- Kocham cię, Saro.

- Bardzo się cieszę - powiedziała, odpychając go lekko. - Ale lepiej wracajmy do domu, dobrze?

- Nie mogę wrócić do Oposa.

Położyła mu dłonie na ramionach, jakby w ten sposób chciała go przytrzymać w pozycji wyprostowanej.

- Owszem, możesz.

- Aresztowali Roberta.

Nieco zaskoczyła ją ta wiadomość, ale powstrzymała się od komentarza.

- Porozmawiamy o tym, jak wytrzeźwiejesz.

- Przecież jestem trzeźwy.

- Jak diabli.

Obejrzała się, żeby sprawdzić, czy Harold stoi jeszcze przy drzwiach.

- Pojedźmy gdzieś - zaproponował Jeffrey i odwrócił się, by usiąść za kierownicą półciężarówki.

- Zaczekaj...

W porę wyciągnęła ręce, żeby go przytrzymać, kiedy poleciał do tyłu. Zapała się o jego plecy, potem o pośladki i wepchnęła go do kabiny auta. Usiadł i wybełkotał:

- To był... strasznie męczący dzień...

- Nie mogę uwierzyć, że w tym stanie usiadłeś za kierownicą.

- A co? Kto mnie tu aresztuje? - wycedził. - Gdyby nie ja, Hoss nawet Roberta nie wsadziłby za kratki. - Położył ręce na kierownicy. - Boże, co za chryja... Całe miasto zwariowało, ledwie się tu pokazałem.

- Spadaj stąd. - Trąciła go łokciem w bok.

- Żaden mężczyzna nie powinien pozwolić kobiecie prowadzić.

Zaśmiała się i pchnęła go mocniej.

- No, rusz się, dryblasie. Jutro rano też będziesz mężczyzną.

Pod jego nogami zadzwoniły puste butelki po piwie, kiedy przesunął się na miejsce pasażera. Schylił się, pogrzebał wśród nich i mruknął:

- Cholera. Piwo się skończyło.

- Jeszcze zdążymy kupić - odparła.

Wsunęła się za kierownicę i zatrzasnęła drzwi. Głośny metaliczny trzask rozszedł się echem po szoferce. Sięgnęła do stacyjki, ale nie było w niej kluczyków.

- Pewnie dostanie wyrok śmierci - rzekł Jeffrey rozpaczliwym tonem. - Jezu...

- Ukrył twarz w dłoniach.

Jeszcze raz obejrzała się na oszklone drzwi domu pogrzebowego, nie mając pojęcia, jak zareagować. Podczas praktyki na izbie przyjęć szpitala Grady'ego nieraz miała do czynienia z pijanymi i świetnie wiedziała, że dyskusje z nimi nie mają żadnego sensu, skoro chwilowo nie są zdolni do logicznego myślenia.

- Gdzie masz kluczyki? - zapytała.

Odchylił się do tyłu, oparł głowę o tylną szybę i zamknął oczy.

- W kieszeni.

Popatrzyła na niego z mieszanymi uczuciami, bo nie wiedziała, czy dać mu po pysku, czy objąć, przytulić i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Po namyśle poprosiła tylko:

- Przesuń się jeszcze trochę.

Kiedy to zrobił, wsunęła rękę do jego kieszeni.

Uśmiechnął się i wepchnął jej dłoń trochę głębiej. Zaskoczyło ją, że nawet po pijanemu okazywał tak silne Pożądanie.

- Już? - mruknął, kiedy odnalazła kluczyki i wyciągnęła rękę z kieszeni.

- Przykro mi - odparła rozbawiona, wkładając kluczyk do stacyjki.

- A co powiesz na małe lizanko? Zaśmiała się głośno.

- Zdaje się, że to ty jesteś pijany, a nie ja. - Przekręciła kluczyk i odetchnęła z ulgą, kiedy silnik zaczął pracować. - Zapnij pas.

- Tu nie ma żadnych pasów - odparł, przysuwając się do niej.

Naparła na dźwignię i wrzuciła wsteczny bieg. Jeffrey usadowił się tak, żeby mieć dźwignię między nogami.

- Ile wypiteś? - spytała z zaciekawieniem.

- Za dużo - przyznał szczerze, pocierając oczy. Kiedy wycofała wóz sprzed wejścia i blask neonu na dachu domu pogrzebowego wlał się do szoferki, naliczyła co najmniej osiem pustych butelek taczających się po podłodze. Jeffrey miał na nogach wielkie czarne buty, których przedtem nie widziała. Podwinęła mu się jedna nogawka dżinsów, odsłaniając owłosioną łydkę.

Wyprowadziła samochód na autostradę i zapytała:

- Kiedy aresztowali Roberta?

- Niedługo po tym, jak się rozstaliśmy - mruknął, rozcierając sobie czoło, którym uderzył w boczną szybę na zakręcie. - Poprosił, żebym przyjechał do niego. Nawet się ucieszyłem, że chce ze mną rozmawiać.

Umilkł na dłużej, toteż zapytała:

- I co ci powiedział?

- Przyznał się do winy. - Jeffrey z rezygnacją machnął ręką. - Stałem na wprost niego w tym wielkim idiotycznym salonie w domu rodziców Jessie, a on, patrząc mi w oczy, przyznał się otwarcie do zabójstwa.

Wyłowiwszy sens z tej chaotycznej relacji, powiedziała cicho:

- Przykro mi.

- Wrócił ze sklepu i zwyczajnie go zastrzelił. O nic nie pytał.

Mogła tylko powtórzyć:

- Przykro mi.

- Miałaś rację.

- To marna pociecha.

- Naprawdę?

Zerknęła na niego. Sprawiał wrażenie, jakby powoli dochodził do siebie, ale z ust wciąż śmierdziało mu tak, że szybko odwróciła głowę i skupiła się na prowadzeniu auta.

- Oczywiście - odparła. Położyła mu rękę na kolanie. - Przykro mi, że tak to się skończyło. Wiem, że robiłeś wszystko, co w twojej mocy, by ratować przyjaciela.

- Coś takiego. Od razu wiedziałas, że Robert kłamie, a ja ci tłumaczyłem, że jesteś w błędzie, ale myślę, że jednak miałaś rację. To znaczy... Moim zdaniem teraz jeszcze bardziej kłamie.

Sara wpatrywała się w drogę.

- Myślisz, że próbuję ratować przyjaciela, ale to nieprawda. Wiem, jak to wygląda z boku. Wiem, że jego relacja trzyma się kupy. Ale to przecież gliniarz. Miał wystarczająco dużo czasu, żeby wszystko przemyśleć i tak dopracować szczegóły, by nie można się było do niczego przyczepić. - Po stu kał się palcem w czoło, nie za każdym razem trafiając. - Mam przecucie. Za długo służę w policji, żeby się nie orientować, kiedy ludzie kłamią.

- Porozmawiamy o tym jutro - odparła, zdając sobie sprawę, że i tak nic nie

wskóra.

Oparł głowę na jej ramieniu i powtórzył:

- Kocham cię, Saro.

Poprzednio zbyła to milczeniem, ale teraz poczuła się zobligowana, żeby odpowiedzieć.

- Chyba rzeczywiście za dużo wypiliśmy.

- Mylisz się - burknął, zionąc piwskim. - Wcale nie wiesz, co naprawdę czuję.

Ścisnęła go lekko za kolano i wrzuciła czwarty bieg.

- Spróbuj się zdrzemnąć.

- Wcale nie chcę spać - zaproponował. - Chcę z tobą rozmawiać.

- Powiedziałam, że porozmawiamy jutro.

Zwolniła przed skrzyżowaniem, usiłując sobie przypomnieć, w którą stronę powinna skręcić. Wielki billboard z reklamą banku wydał jej się znajomy, toteż wybrała drogę w lewo.

- Dobrze jadę? - zapytała.

- Dlaczego ludzie mówią szczerze o swoich uczuciach tylko wtedy, gdy są pijani? - zapytał retorycznie. - Bo przecież alkohol zawsze skłania człowieka do mówienia prawdy.

- Nie wiem, dlaczego tak jest - odparła, z radością witając stację benzynową, którą widziała tego ranka. W sąsiadującym z nią sklepie panowały ciemności, prawdopodobnie już od dawna był zamknięty, podobnie jak wszystkie inne w tym mieście.

- Kocham cię.

Zaśmiała się, nie mając pojęcia, jak zareagować.

- Skręć tutaj - rzekł, a gdy się zawahała, złapał kierownicę i obrócił ją gwałtownie.

- Jeffrey! - krzyknęła, a serce podeszło jej do gardła, gdy spostrzegła, że skierował ją w jakąś polną zwirową drogę.

- Jedź dalej prosto - mruknął, wskazując mrok za przednią szybą.

Zdażyła wyhamować i opanowała samochód.

- Gdzie my jesteśmy? - zapytała.

- Jeszcze kawałek.

Pochyliła się nad kierownicą, próbując dojrzeć coś w przodzie. Zauważyła w

snopach reflektorów zwalone drzewo i zatrzymała wóz.

- Dalej nie pojedziemy.

- Jeszcze tylko trochę.

Przerzuciła na luz, zaciągnęła ręczny hamulec i obróciła się do niego.

- Jeffrey, jest już bardzo późno. Ja jestem zmęczona, a ty pijany...

Pocałował ją szybko, ale nie tak, jak do tego przywykła, tylko pospiesznie i gwałtownie, sięgając do zapięcia jej dzinsów.

- Zaczekaj...

- Tak bardzo cię pragnę.

W to nie wątpiła, widząc silne wybrzuszenie jego spodni, i chociaż jej zmysły zaczynały reagować na jego dotyk, seks był akurat ostatnią rzeczą, jaka chodziła jej teraz po głowie.

- Saro... - szepnął i wpił się ustami w jej wargi tak mocno, że ledwie mogła oddychać.

Udało jej się go trochę odsunąć, a gdy spuścił głowę i zaczął ją całować po szyi, mruknęła:

- Nie tak szybko.

- Pragnę cię. Tak jak ostatniej nocy.

- Wczoraj nie siedzieliśmy w samochodzie stojącym na pustkowiu.

- No to udawajmy, że jesteśmy gdzie indziej. Na przykład na plaży.

Wsunął jej dłonie pod pośladki i szarpnął do siebie, aż pisnęła, gdy nie wiedzieć kiedy znalazła się w pozycji horyzontalnej ze stopami opartymi o jedne drzwi i głową wciśniętą w drugie. Przypomniała sobie, że po raz ostatni znajdowała się w takiej pozycji w szoferce półciężarówki, gdy była w dziesiątej klasie.

Jeffrey próbował się na niej ułożyć, ale wzięwszy pod uwagę, że oboje byli dorosłymi ludźmi dość słusznego wzrostu ściśniętymi na przestrzeni o długości najwyżej półtora metra, kolejne próby kończyły się niepowodzeniem.

- Kochanie - mruknęła, mając zamiar przemówić mu do rozsądku.

Kiedy podniosła mu głowę do góry i spjrzała prosto w oczy, zaskoczyło ją, że dostrzegła w nich jedynie błyski pożądania.

- Kocham cię - rzekł i pochylił się, żeby ją pocałować. Tym razem odwzajemniła pocałunek, mimo wszystko próbując ostudzić jego zapał. Na szczęście nie był już tak gwałtowny. Gdy podniósł głowę dla zaczerpnięcia tchu, powtórzył:

- Kocham cię.

- Wiem - odparła, wodząc dłonią po jego karku. Znowu uniósł głowę i spojrzał na nią takim wzrokiem, jakby po raz pierwszy od spotkania przed domem pogrzebowym ujrzał ją wyraźnie. Miał przy tym zrozpaczoną minę, jakby czuł się odrzucony przez wszystkich i w niej widział jedyną nadzieję dla siebie.

- Tak dobrze? - zapytał. Pokiwała głową, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Tak dobrze? - powtórzył.

- Tak - mruknęła, pomagając mu ściągnąć z siebie dzinsy.

Chociaż fizycznie była na to gotowa, spięła się wyjątkowo, kiedy w nią wszedł. Szybko zastoniła sobie czubek głowy dłonią, żeby nie walić nią w klamkę przy każdym ruchu. Zwróciła uwagę na kartkę wetkniętą za osłonę przeciwsłoneczną, na której kobiecą ręką była spisana lista zakupów. Między ruchami Jeffreya zaczęła odczytywać kolejne pozycje: jajka... mleko... sok... papier toaletowy...

Próbowała się nieco przesunąć, żeby dźwignia biegów nie uwierała jej w bok, przez co jak gdyby zdopingowała go do skończenia, bo zaraz znieruchomiał i legł na niej całym ciężarem.

Przyłożyła sobie dłoń do czoła, zastanawiając się, jak w ogóle mogła do tego dopuścić.

- No cóż, to było nawet romantyczne - mruknęła. Nie odpowiedział, a gdy położyła mu rękę na karku, obrócił głowę i głośno sapnął. Spał jak zabity.

Obudziła się z dotkliwym bólem głowy, który emanował z karku i rozprzestrzenił się pod czaszką, jakby ściskano jej mózg w imadle. Nawet nie umiała sobie wyobrazić, jak tego ranka będzie czuł się Jeffrey, ale w głębi ducha miała nadzieję, że jeszcze gorzej niż ona. Zdarzało jej się miewać nieudane kontakty seksualne, ale wczorajsza przygoda nadawała się z pewnością na pierwsze miejsce tej, na szczęście krótkiej, listy.

Usiadła na kanapie i macając stopami w poszukiwaniu butów, zaczęła się zastanawiać, która może być godzina. Biorąc pod uwagę jaskrawe słońce wlewające się przez okno do pokoju, oceniła, że co najmniej dziesiąta. Ale rzut oka na zegar wystarczył, by się przekonała, że dochodziła dwunasta.

- Niech to... - mruknęła, unosząc w górę ręce. Miała wrażenie, że mięśnie karku zawiązały jej się w ciasny supeł, a kręgosłup pozostał wygięty na kształt litery S od spania w niewygodnej pozycji.

Szeroko wymachując rękoma, wstała i ruszyła do drzwi, by rozejrzeć się za Neli. W kuchni nikogo nie było, umyte talerze i garnki piętrzyły się na suszarce. Przez

okno dostrzegła gospodynię na sąsiednim podwórku, stojącą z siekierą uniesioną wysoko nad głową. Neli wzięła tęgi zamach i uderzyła siekierą w łańcuch, którym psy były przywiązane do drzewa.

- Co to było? - rozległ się za jej plecami czyjś głos.

Odwróciła się na pięcie i popatrzyła na ciemnowłosego chłopaka stojącego w drzwiach. Miał na sobie tylko szorty, bez koszuli. Jego wąska klatka piersiowa była lekko zapadnięta.

- Jared?

- Tak, proszę pani - odparł, rozglądając się po kuchni. - Gdzie mama?

- Na podwórku - wyjaśniła, zachodząc w głowę, czy Neli wyjawiała synowi, co zamierza. Prawdę powiedziawszy, i ją to ciekawiło.

Jared ruszył do wyjścia, szurając butami o podłogę. Sara świetnie знаła to zjawisko występujące prawie u wszystkich chłopców w tym wieku. Dziwnym sposobem większość z nich aż do dwudziestego roku życia nie mogła się nauczyć prawidłowego podnoszenia nóg, tylko ciągała je po ziemi.

Wyszła za nim przed dom, trzymając się parę metrów w tyle, żeby nie ubrudzić sobie nóg w tumanach kurzu wzbijanych przez niego na ścieżce.

Przypominał jej niezgrabnego Pataszona ze starych komiksów.

Przed gankiem domu sąsiada Neli wiązała psy na smyczach. Na widok Jareda zapytała:

- Czemu wstałeś z łóżka?

- Bo się nudzę.

- Powinieneś być o tym pomyśleć, zanim zdecydowałeś, że za kiepsko się czujesz, by iść na wycieczkę. - Uśmiechnęła się do Sary. - Przedstawiłeś się doktor Linton?

- Doktor? - powtórzył wyraźnie przestraszony.

- Lepiej natychmiast kładź się z powrotem, zanim ją poproszę, żeby ci zmierzyła gorączkę.

Sara zwróciła uwagę na dziwnie znaną jej reakcję chłopaka - pogardliwe wygięcie ust i błyski irytacji w oczach. Aż przyłapała się na tym, że gapi się na niego z rozwartymi ustami.

- O co chodzi? - zapytał, zerkając na nią podejrzliwie.

Pokręciła głową, nie mogąc dobrać z siebie głosu. Jego podobieństwo do Jeffrey'a było uderzające.

Neli spostrzegła jej osłupienie i pospiesznie zagnała syna z powrotem do domu:

- No, już, zmykaj stąd. I zabierz siekiere. Podreptał do kuchennych drzwi, wlokąc za sobą ciężką siekiere. Sara przygryzła wargi, żeby nie wyskoczyć z cisnącym jej się na usta pytaniem.

Neli cmoknęła głośno i szarpnęła smyczami. Psy natychmiast się uspokoiły i wlepiły w nią ślepią.

- Masz taką minę, jakbyś chciała coś powiedzieć.

- To nie moja sprawa.

- Mnie to nigdy nie powstrzymywało - odparła Neli, prowadząc oba boksery przed fronton domu. - Jeffrey o niczym nie wie.

Sara pokiwała głową, chcąc dać do zrozumienia, że słyszała, bo nadal nie ufała swoim możliwościom powstrzymania się od komentarza.

Neli odwróciła się przed drzwiami i z głośnym westchnieniem usiadła na schodkach werandy.

- Wzięliśmy z Oposem ślub parę tygodni po wyjeździe Jeffreya do Auburn.

- I nic mu nie powiedziałaś?

- Żeby rzucił studia i ożenił się ze mną? - zapytała, klepiąc psa po łbie. - Nic by z tego nie wyszło. Już po tygodniu skoczylibyśmy sobie do oczu. Ja mu działałam na nerwy, bo zawsze skwapliwie wytykałam wszystkie błędy, a on mnie, bo nigdy nie chciał przyznać, że mam rację.

Sara wpatrywała się w nią w milczeniu.

- Na pewno postąpiłby jak należy - ciągnęła Neli. - A ja nie chciałam, żeby ktoś się ze mną żenił tylko dlatego, że tak należy. - Bokser położył się na grzbiecie, zaczęła go więc drapać po brzuchu. - Poza tym, kocham Oposa. Lubiłam go od początku. A gdy Jeffrey wyjechał, od razu zaczął się do mnie przystawiać. Później urodziłam Jareda, krótko potem Jen... - Uśmiechnęła się niewyraźnie. - Bardzo krótko. No i teraz jesteśmy rodziną, mamy wspólne życie. Opos to dobry człowiek. Jeśli musi zostać choćby na pięć minut po zamknięciu sklepu, zawsze dzwoni i uprzedza, że się spóźni. Nie wstydy się, gdy kupuje dla mnie podpaski albo tampony w supermarkecie i ani razu nie powiedział, że jestem gruba albo źle w czymś wyglądam, nawet jak przez trzy lata po urodzeniu Jen chodziłam tylko w luźnych dresach. Wiem, gdzie jest o każdej porze dnia, i mogę być pewna, że jak puszcze baka w kościele, weźmie za to winę na siebie. - Zmierzyła Sarę uważnym spojrzeniem i

dodała: - Lubię swoje życie takim, jakie jest.

- Nie sądzisz, że Jeffrey ma prawo znać prawdę?

- Po co? To Opos jest ojcem Jareda, to on zmieniał mu pieluchy i nosił na rękach po całym pokoju, gdy ja padałam już z nóg. On podpisuje uwagi w szkolnym dzienniczku i wozi go na treningi ligi juniorów. Na pewno żaden z nich nie chciałby robić burzy w szklance wody, więc nie widzę ku temu żadnego powodu.

- Rozumiem.

- Czyżby?

- W każdym razie ja mu tego nie powiem - zapewniła Sara, nie mając pojęcia, czy zdoła utrzymać coś takiego w sekrecie.

- Źle się złożyło, że Jeffrey wrócił akurat teraz - mówiła dalej Neli. - Bóg jeden wie, jak bardzo się na niego wściekałam, że tak długo się nie pokazuje, ale to już historia. Zbyt wiele się wydarzyło od tamtej pory. - Zrzuciła kapeć i zaczęła palcami stopy drapać po brzuchu drugiego psa, który też domagał się pieszczot. - Jeffrey wyrósł na porządnego faceta. Naprawdę. Jest w nim sporo dobrego, jak u Oposa, tyle że trzeba zedrzyć to, co jest na wierzchu, by się do tego dostać. Nawet nie wiem, jak to określić, ale moim zdaniem, wyrósł na kogoś, kogo zawsze w nim widziałam, pod warunkiem, że zdoła wyrwać się z... - zamilkła i ruchem głowy wskazała ulicę -...z tej zapadłej dziury, gdzie wszyscy myślą, że znają cię na wylot, i nie wahają się ani przez chwilę przed mówieniem głośno, co o tobie sądzą.

- Reggie Ray dał mi tego zasmakować.

- Nie słuchaj tego prostackiego durnia - mruknęła. - To jeden z najgorszych typków. Wciąż powtarza, że urodził się na nowo, ale taki musiałby się rodzić na nowo ze sto razy, zanim zmieniłby się w porządnego faceta.

- Na mnie zrobił całkiem niezłe wrażenie.

- W takim razie za mało jeszcze słyszałaś - ostrzegła Neli. - Są dwie podstawowe rzeczy, które powinnaś wiedzieć o tutejszych mieszkańcach, Saro: Rayowie sądzą, że ich gównu śmierdzi inaczej, a Kendallowie to zwykła hołota. - Skinęła głową w kierunku własnego podwórka i dodała: - Pewnie nie powinnam się za bardzo wymądrzać, biorąc pod uwagę te śmieci, którymi Opos ozdobił nasz dom, ale przynajmniej moje dzieciaki nie chodzą do szkoły w brudnych ciuchach.

- Kim są Kendallowie?

- Prowadzą warzywniak na końcu miasta. To bezwzględne łotry, co do jednego. Nie zrozum mnie źle, nie mam nic przeciwko biedzie, w końcu sami z

Oposem zrobiliśmy z niej dzieło sztuki, ale to przecież nie oznacza, że można puszczać dzieci z karkami zarośniętymi brudem i błotem pod paznokciami. Gdybyś spotkała któreś z nich w sklepie, musiałabyś wstrzymać oddech, tak śmierdzą. - Z dezaprobatą pokręciła głową. - Kilka lat temu któreś przywlokło wszy do szkoły, zaraziło nimi całą dziewiątą klasę.

- Nikt nie powiadomił opieki społecznej? Neli prychnęła pogardliwie.

- Hoss przez lata próbował wygryźć całą tę rodzinę z miasta. Stary budził przerażenie, wyżywał się na żonie, bił dzieci, katował psy. Najlepszą rzeczą, jaką w życiu osiągnął, był atak serca, który powalił go trupem, gdy kosił trawę na placu za sklepem ogrodniczym. - Jeszcze raz pokręciła głową. - Niemniej zostawił żonę w ciąży i właśnie to najmłodsze okazało się najgorsze. Dzięki Bogu, że nie chodzi o jedną klasę z Jaredem. Nie ma dnia, żeby go nie wyrzucili ze szkoły za bójki, kradzieże i Bóg wie, co jeszcze. W ubiegłym tygodniu rzucił się z pięściami na dziewczynkę. Cholerny szczeniak idzie w ślady ojca.

- To rzeczywiście straszne - przyznała Sara, choć w głębi ducha żal jej było chłopaka. Często się zastanawiała, czy takie dzieci miałyby szansę wyrosnąć na porządnych ludzi pod opieką innych rodziców. Nigdy nie wierzyła w teorię „złych genów”, lecz wyglądało na to, że Neli, podobnie jak wszyscy tutaj, jest gorącą zwolenniczką zasady, iż niedaleko pada jabłko od jabłoni.

- Późno wczoraj wróciliście - powiedziała gospodyni, najwyraźniej chcąc zmienić temat.

- Mam nadzieję, że was nie obudziliśmy.

- Ja i Opos byliśmy już na nogach. Ten głupiec walnął wczoraj szczęką o ladę w sklepie. Tylko nie pytaj mnie, jak to zrobił. W każdym razie przez całą noc bolał go ząb. Przewracał się w łóżku, aż miałam ochotę go udusić.

Na ulicy przed domem pojawił się wolno sunący samochód, którym jechała kobieta z dzieckiem. Trzymała na kierownicy rozpostartą kartkę papieru, chyba z planem drogi.

- Jeffrey trochę za dużo wypił - mruknęła Sara. Neli popatrzyła na nią w zdumieniu.

- Jeszcze nigdy nie widziałam go pijanego.

- Przy mnie też mu się to dotąd nie zdarzyło.

Neli utkwiła w niej świdrujące spojrzenie, jakby chciała przeniknąć na wylot jej myśli.

- Poszło o Julię?

- Jaką Julię?

Gospodyni szybko odwróciła głowę i popatrzyła na ulicę. Samochód, który dopiero co zniknął im z oczu, podjechał tyłem i zatrzymał się na wysokości podjazdu.

- Kim jest Julia? - powtórzyła Sara. - Nie powiesz? Neli wstała ze schodków.

- Lepiej porozmawiaj o tym z Jeffreyem.

- O czym?

Pomachała ręką do kobiety wysiadającej z auta i zawołała:

- Trafiła pani!

Tamta uśmiechnęła się szeroko. Chłopczyk od razu podbiegł do psów, objął pierwszego z nich rączkami i przytulił się do niego.

- Wyglądają dokładnie tak, jak na zdjęciach.

- Ten to Henry - wyjaśniła Neli, wskazując pierwszego boksera. - A to Lucinda, ale prawdę mówiąc, reaguje tylko na zdrobnienie Lucy. - Wyciągnęła końce smyczy w kierunku chłopca, który chwycił je ochoczo.

Nieznajoma otworzyła usta, jakby chciała zaprotestować, lecz Neli pospiesznie sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła kilka złożonych banknotów.

- To powinno wystarczyć na ich sterylizację. Jakoś z mężem nie mogliśmy się na to zdecydować.

- Bardzo dziękuję - odparła kobieta, której gotówka z pewnością pomogła w podjęciu decyzji. - Czy mają jakieś szczególne upodobania żywieniowe?

- Nie, żrą wszystko - odparła Neli. - Prawie ciągle są głodne. I uwielbiają dzieci.

- Są wspaniałe! - wykrzyknął chłopczyk z takim entuzjazmem, z jakim dzieci w jego wieku przekonują rodziców, że zostaną kiedyś astronautami czy prezydentami, jeśli tylko dostaną to, czego chcą.

- No cóż... - mruknęła Neli, zerknąwszy na Sarę. - Muszę się zbierać. Trzeba skończyć pakowanie rzeczy. Ludzie od przeprowadzki mają przyjechać o drugiej.

Kobieta uśmiechnęła się do niej.

- Szkoda, że nie będziecie mogli się nimi opiekować w mieście.

- Właściciel domu postawił sprawę jasno. - Neli wyciągnęła rękę na pożegnanie. - Jeszcze raz dziękuję.

- To ja dziękuję - odparła nieznajoma, serdecznie ściskając jej dłoń. Pożegnała się także z Sarą i upomniała chłopca: - Podziękuj pani, kochanie.

Malec wymamrotał nieśmiało „dziękuję”, ale był już całkowicie pochłonięty psami. Pociągnął je w stronę samochodu, a gdy ruszyły, biegł za nimi wielkimi susami, ledwie mogąc utrzymać na smyczy niesforne zwierzaki.

Kiedy kobieta zajęła miejsce za kierownicą, Sara obejrzała się na Neli, lecz ta szybko uniosła rękę, nakazując jej milczenie. Po chwili wyjaśniła:

- Dałam ogłoszenie do gazety. Szkoda, żeby takie psy się marnowały, kiedy są ludzie, którzy zajmą się nimi z ochotą.

- A co powiesz sąsiadowi, kiedy wróci z pracy?

- Że zerwały się z łańcucha. - Wzruszyła ramionami. - Pójdę lepiej zobaczyć, co porabia Jared.

- Neli...

- O nic mnie nie pytaj, Saro. I tak za dużo gadam. A o pewnych sprawach powinnaś się dowiedzieć tylko od Jeffreya.

- Nie za bardzo się pali, żeby mi o czymkolwiek opowiadać.

- Jest teraz u swojej matki - rzuciła Neli. - Nie bój się, stara wróci dopiero za kilka godzin. We wtorki zostaje po lunchu w szpitalu.

- Posłuchaj...

Jednakże Neli powstrzymała ją, unosząc rękę, i poszła do domu.

Przemierzywszy dwukrotnie całą długość ulicy, doszła do wniosku, że może popatrzeć na nazwiska wypisane na skrzynkach na listy, zamiast próbować sobie przypomnieć wygląd rodzinnego domu Jeffreya. Odnalazła tę z napisem „Tolliver” zaledwie pięć posesji od domu Neli i odetchnęła z ulgą, mając nadzieję, że nikt nie widział, jak robi z siebie idiotkę. Poczula się tym bardziej głupio, gdy ujrzała stojącą na podjeździe półciązarówkę Roberta.

W dziennym świetle dom sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zaniedbanego niż wtedy, gdy ujrzała go po raz pierwszy. Ściany, przez lata pokrywane kolejnymi warstwami farby, teraz przypominały powierzchnię wzburzonej i spienionej wody. Na frontowym trawniku dominowało przygnębiająco brązowe zielsko, a rosnące przed gankiem drzewo o powykręcanych konarach wyglądało tak, jakby miało lada chwila runąć.

Zewnętrzne drzwi były otwarte na oścież, a siatkowe tylko przymknięte, lecz mimo to zapukała w nie i zawołała:

- Jeffrey?

Nikt się nie odezwał. Usłyszała jednak gdzieś w głębi domu stukot drzwi,

toteż weszła do środka i powtórzyła:

- Jeffrey?

- Sara? - zdziwił się, wchodząc do saloniku. W jednym ręku trzymał niewielki palnik gazowy, a w drugim klucz francuski.

- Neli powiedziała, że cię tu znajdę.

- Aha - mruknął, spoglądając gdzieś ponad jej ramieniem. Machnął palnikiem i wyjaśnił: - Rura w kuchni pękła już jakieś dwa lata temu, od tamtej pory matka musiała zmywać talerze w łazience. - Kiedy nie odpowiedziała, ruchem ręki zaprosił ją do kuchni. - Muszę skończyć robotę, a potem jadę do aresztu, żeby zobaczyć się z Robertem. Ani trochę nie wierzę w to, co wczoraj wygadywał. Czuję, że jest coś, czego nie chciał mi powiedzieć.

- Strasznie tu tego dużo - mruknęła.

- Czego?

Wzruszyła ramionami, spoglądając na bałagan panujący w kuchni. Rozebrał całą szafkę pod zlewem, żeby wymienić kawałek rury.

- Zakręciłeś przynajmniej wodę? - spytała fachowo.

- A jak myślisz, co robiłem za domem? - odparł, siadając na podłodze.

Podniósł kawałek płótna ściernego i zaczął szlifować końcówkę odcinka miedzianej rury z gorliwością znamionującą amatora. Sara usiadła przy stole, z trudem się powstrzymując, by nie skrytykować wykonanej dotychczas pracy. Pomyślała, że gdyby jej ojciec to zobaczył, ani chybi nazwałby poczynania Jeffreya „babską robotą”.

- Postanowiłem iść na całość i wymienić cały ten odcinek - rzekł z wyraźną dumą w głosie.

- Aha. Nie potrzebujesz pomocy?

Obrzucił ją krytycznym spojrzeniem, nasuwającym wniosek, że podobnie jak prowadzenie pojazdu, również to zajęcie uznaje za wyłącznie męską dziedzinę. Wziąwszy pod uwagę, że razem z siostrą musiała się nauczyć od ojca, jak bezpiecznie obchodzić się z palnikiem, zarówno podłączanym do butli gazowej, jak i z acetylenowym, zanim jeszcze obie potrafiły wymawiać poprawnie ich nazwy, poczuła się z lekka urażona. Przełknęła jednak dumę i mruknęła:

- Nie powiedziałam ci wczoraj wieczorem, że...

- Jeśli o to chodzi - wtrącił pospiesznie - to bardzo przepraszam. Możesz mi wierzyć, że zwykle się tak nie upijam.

- Nie zauważyłam dotąd, żebyś to robił.
- A co do reszty... - zająknął się, a ona przysunęła sobie puszkę z topnikiem, by zająć czymś ręce.

- Niczym się nie przejmuj. Nie zamierzam się upierać przy konsekwencjach.

- Jakich konsekwencjach? Wzruszyła ramionami.

- Tego, co powiedziałeś.

- A co powiedziałem? - zapytał, coraz bardziej zdumiony.

- Nic ważnego - odrzekła, próbując otworzyć puszkę.

- Chodziło mi o to, co zrobiliśmy... - zaczął, lecz szybko skorygował: - Co ja zrobiłem.

- Wszystko w porządku.

- Nieprawda - zaprzeczył, wziął od niej puszkę i otworzył ją. - Nie jestem... - Urwał, jakby szukał właściwego określenia. - Zwykle nie jestem aż taki samolubny.

- Nie ma o czym mówić - odparła, chociaż jego pokrętnie tłumaczenie podniosło ją trochę na duchu. Zanurzyła koniec pędzla w topniku i zaczęła go rozsmarowywać na końcu oszlifowanego już kolanka leżącego na stole. - Chciałam z tobą porozmawiać o tym szkielecie.

Mina mu zrzedła. W oczach pojawiły się błyski rezerwy.

- A konkretnie?

- To szczątki kobiety. W dodatku bardzo młodej.

Popatrzył na nią badawczo.

- Jesteś pewna?

- Kształt czaszki nie zostawia żadnych wątpliwości. Mężczyźni mają zwykle większe głowy. - Sięgnęła po taśmę i zmierzyła odległość między mocowaniami kranu w zlewie a wylotem kurka przy podłodze. - A ich czaszki są cięższe i zazwyczaj mają wałki kostne nad otworami oczodołów. - Odmierzyła tę samą długość na odcinku rury i zaznaczyła miejsce cięcia. - Ponadto mężczyźni mają dłuższe kły i szersze kręgi w kręgosłupie. - Wsunęła rurę pod gilotynę i szybko odcięła potrzebny fragment. - I przede wszystkim mają inną budowę miednicy. U kobiet są one szersze, przystosowane do rodzenia dzieci. - Zaczęła lekko czyścić płótnem ściernym koniec odciętego kawałka rury. - I mają wysuniętą kość łonową. Jeśli jej rozstaw jest mniejszy od dziewięćdziesięciu stopni, mamy do czynienia z kośćmi mężczyzny, a jeśli większy, to na pewno szkielet kobiety.

Jeffrey zaczął pospiesznie smarować koniec rury topnikiem, podczas gdy ona

włożyła okulary ochronne. Z obojętną miną nasunął kolanko na rurę, czekając, aż Sara zapali palnik.

- A skąd wiesz, że zginęła w młodym wieku?

Sara wyregulowała płomień i skierowała go na łączenie, czekając, aż topnik zacznie wrzeć.

- Też po miednicy, której przednie części schodzą się przy kości łonowej. Jeśli ich krawędzie są pomarszczone i nierówne, oznacza to, że mamy do czynienia ze szkieletem młodej osoby. U ludzi starszych krawędzie są wygładzone.

Zgasiała palnik i przytknęła do rozgrzanej rury lut, obserwując, jak się topi i wypełnia łączenie.

- Poza tym, w przedniej części miednicy jest zagłębienie. U kobiety, która urodziła dziecko, pozostaje wyraźna szczelina w miejscu, gdzie kości się rozsunęły, by główka dziecka mogła się między nimi precyzyjnie przesuwać.

Odniosła wrażenie, że Jeffrey na chwilę wstrzymał oddech. Nie doczekawszy się na dalsze wyjaśnienia, zapytał:

- A ona miała dziecko?

- Tak. Na pewno rodziła.

Wyciągnął trzymany kawałek rury przed siebie.

- Kim jest Julia? - zapytała. Westchnął ciężko.

- Neli ci nie powiedziała?

- Kazała zapytać ciebie. Przesunął się, oparł plecami o szafkę, ułożył łokcie na kolanach i zapatrzył się w podłogę.

- To stara historia.

- Jak stara?

- Sprzed dziesięciu lat. Może nawet starsza.

- I co?

- Julia była... Sam nie wiem. Może zabrzmiało to głupio, ale była tutejszą ładaczką. - Otarł dłonią usta. - Robiła różne rzeczy. No, wiesz... dotykała chłopców.

- Zerknął na nią i szybko odwrócił wzrok. - Wszyscy gadali, że bierze w usta, jeśli kupi się jej coś fajnego. Jakiś ciuch, lunch czy coś innego. Była bardzo biedna, więc...

- Ile miała lat?

- Była w naszym wieku. Chodziła ze mną i Robertem do jednej klasy.

Sara zaczęła się domyślać, co będzie dalej.

- Kupiłeś jej kiedyś coś ładnego? Spojrzał na nią z obrażoną miną.

- Nie. Nigdy nie musiałem płacić za takie rzeczy.

- No tak, jasne.

- Chcesz usłyszeć coś więcej, czy nie?

- Chcę usłyszeć, co się z nią stało.

- Po prostu pewnego dnia zniknęła - odparł, wzduszając ramionami. - Kręciła się po ulicach i nagle przepadła.

- Ale na tym nie koniec, prawda?

- Nie mogę... - urwał, a po chwili dodał: - Znalazłem to wczoraj w jaskini. - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął złoty łańcuszek z wisiorkiem.

- Dlaczego od razu mi nie powiedziałeś? Otworzył wisior w kształcie serduszka i spojrzał na jego zawartość.

- Nie wiem. Po prostu... - zawahał się. - Nie chciałem, żebyś dowiedziała się o mnie jeszcze jednej złej rzeczy.

- Jakiej?

- To tylko plotki - bąknął, patrząc jej w oczy. - Zwykłe plotki, Saro. Takie same bzdury, jakich mnóstwo wygadywano o mnie w tym mieście. Wystarczy, że raz się coś przeszkobie, a wszyscy obarczają cię winą za wszystko inne.

- Za co obarczają cię tu winą? Zacisnął łańcuszek w garści.

- Pokazałem go Hossowi, ale nawet nie chciał o tym słyszeć.

Sara popatrzyła na tandetne pozłacane serduszko i wklejone w środku dwie fotografie. Przedstawiały małe dzieci, jeszcze niemowlęta mające najwyżej po kilka tygodni.

- Zawsze nosiła ten łańcuszek - ciągnął Jeffrey. - Wszyscy go widzieli na jej szyi, nie tylko ja. - Zaśmiało się chrapliwie. - Tyle że nikt nie miał pojęcia, co zrobiła, żeby go zdobyć. Na pewno go nie ukradła, bo i skąd. Gdy któregoś dnia przyszła do szkoły w nowej sukience, zaczęliśmy wymyślać najgorsze rzeczy: kto jej kupił i za co. A tym... - Uniósł nieco wyżej wisior - ...przed wszystkimi się chwaliła. To był jej największy skarb. Myślała, że jest sporo wart. A to przecież nawet nie jest złoto, tylko pozłacana blaszka. - Przygarbił się i znowu wbił spojrzenie w ziemię. - Aż nie chce mi się myśleć, co zrobiła, żeby to zdobyć.

- Wygląda dość staro. Może to jeszcze nie antyk, ale ma dużo lat.

Wzduszając ramionami.

- Na zdjęciach to jej dzieci?

Obrócił wisior do siebie i popatrzył na fotografie.

- Nie wiem.

- Zatem już wczoraj w jaskini wiedziałeś, że to jej szkielet? - zapytała, nadal zachodząc w głowę, czemu od razu jej nie powiedział.

- Aż bałem się tak myśleć - odparł. - Przez całe życie dręczyło mnie poczucie winy za coś, czego nie powinienem się wstydzić i na co nie miałem żadnego wpływu. - Jeszcze raz westchnął ciężko. - Za swoich rodziców, dom, w którym się wychowywałem, moje ubrania. Przez ten wstyd za wszelką cenę chciałem wszystkim udowodnić, że jestem lepszy, niż na to wyglądam. - Odwrócił głowę w bok. - Właśnie dlatego wyjechałem, chciałem uciec stąd jak najdalej i nigdy nie wracać. Miałem dość bycia synem Jimmy'ego Tollivera. Miałem dość świdrujących spojrzeń ludzi, którzy obserwowali mnie na każdym kroku, czekając tylko, aż mi się noga powinie.

Sara milczała.

- Ty postrzegasz mnie tylko z tej dobrej strony - dodał.

Przytaknęła ruchem głowy, bo nie mogła zaprzeczyć, choć zdrowy rozsądek podpowiadał jej co innego.

- Dlaczego? - zapytał z naciskiem, jakby nie potrafił tego zrozumieć.

- Bo nie chcę... - urwała i wzruszyła ramionami. - Właściwie to sama nie wiem. Logika podpowiada mi tyle różnych rzeczy, jednak... - Postanowiła wyrazić to jak najprościej. - Czuję to tutaj. - Postukała się palcem w piersi. - Uczucia, które we mnie wzbudzasz, kiedy się kochamy, kiedy starannie zawiązujesz mi buty na kokardkę, żeby się nie rozwiązały, kiedy mnie słuchasz... choćby tak, jak teraz, jak gdybyś cały zamieniał się w słuch, bo naprawdę chcesz wiedzieć, co myślę... - Przypomniała sobie o liście żołnierza, który jej przeczytał dwa dni temu, chociaż miała wrażenie, że od tamtej pory minęły lata. Uznała jednak, że to dobry odnośnik i dodała: - Przecież ty również postrzegasz we mnie tylko to, co dobre.

Chwycił ją za rękę.

- Ta historia ze szkieletem... Pewnie rozpęta tutaj istną burzę.

- Dlaczego?

- Z powodu... Julii - rzekł z ociąganiem, jakby imię dziewczyny nie chciało mu przejść przez gardło. - Jesteś mi potrzebna, Saro. Bardzo pragnę, żeby ktoś widział mnie takim, jakim jestem naprawdę.

- Wyjaśnij mi, o co w tym wszystkim chodzi.

- Nie mogę - rzucił. Wydało jej się, że dostrzega łzy w jego oczach, ale szybko odwrócił głowę i mruknął: - To nazbyt skomplikowane. Myślałem, że może Robert...

- A co on ma z tym wspólnego? Z trudem przełknął ślinę.

- Przyznał się, że ją zamordował.

Sara mimowolnie przytknęła dłoń do piersi.

- Co takiego?

- Powiedział mi to wczoraj.

- Rano?

- Nie, już po tym, jak znaleźliśmy szkielet. - Otworzyła usta, chcąc wyjaśnić, że to nie ma żadnego sensu, lecz dodał szybko: - Pokazałem mu łańcuszek, a on powiedział, że ją zabił, uderzył kamieniem w głowę.

Odchyliła się na oparcie krzesła, zastanawiając się gorączkowo nad tym, co usłyszała.

- Powiedziałeś mi wcześniej, że czaszka jest pęknięta?

- Nie.

- To skąd miałby o tym wiedzieć?

- Może dowiedział się od Hossa. Czemu pytasz?

- Bo to pęknięcie wcale nie było przyczyną jej śmierci. Powstało co najmniej trzy tygodnie wcześniej.

- Jesteś tego pewna?

- Jak najbardziej. Kość to także żywa tkanka. Pęknięcie zaczynało się już zrastać, kiedy zginęła.

- Dla mnie wyglądało tak, jakby ktoś rozłupał jej głowę.

- To jeszcze coś innego. Dziura została wybita w czaszce dużo później. Może ciężki odłamek oderwał się od skały albo jakieś zwierzę... - zawahała się, nie chcąc tłumaczyć, jakich spustoszeń w ludzkich szczątkach potrafią dokonać zwierzęta. - Ze względu na brak skóry i tkanek miękkich nie umiem dokładnie powiedzieć, na ile przed śmiercią odniosła to obrażenie, które mogło być wynikiem uderzenia kamieniem w głowę. To jednak nie ma znaczenia, bo przyczyną śmierci było pęknięcie kości gnykowej.

- Jakiej?

- Gnykowej - powtórzyła, unosząc rękę do gardła. - To taka mała kostka tutaj, w kształcie litery U. Nie mogła pęknąć sama z siebie. Ktoś musiał ją bardzo silnie nacisnąć, chciał udusić dziewczynę, albo uderzył ją w krtań tępym narzędziem. - Popatrzyła na Jeffrey'ego, próbując ocenić jego reakcję. - Ta kostka nie tylko pękła, ale rozłamała się na dwie części.

Wyprostował się.

- Jesteś tego pewna?

- Pokażę ci, jeśli chcesz.

- Nie - mruknął, chowając łańcuszek do kieszeni. - Dlaczego więc Robert twierdzi, że ją zabił, kiedy tego nie zrobił?

- Właśnie chciałam o to zapytać.

- Jeśli kłamie w tej jednej sprawie, równie dobrze może kłamać co do wydarzeń z ubiegłej nocy.

- Tylko dlaczego? Po co miałby kłamać?

- Nie wiem - odparł. - Ale spróbuję się tego dowiedzieć. - Wskazał rozebrany zlew. - Możesz to za mnie dokończyć?

Westchnęła i obrzuciła niechętnym spojrzeniem bałagan w kuchni.

- Chyba tak.

Poderwał się z podłogi, ale w drzwiach jeszcze przystanął.

- Mówiłem zupełnie poważnie, Saro. Spojrzała na niego.

- Nie rozumiem.

- Chodzi mi o to, co ci powiedziałem w nocy. Naprawdę cię kocham.

Uśmiechnęła się mimowolnie, jakby w jednej chwili zapomniała o wszystkich przykrych rzeczach, jakie ją spotkały w ciągu ostatnich dni.

- Jedź porozmawiać z Robertem - powiedziała. - Ja skończę tę robotę i zaczekam na ciebie u Neli.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Wtorek

Jeffrey opuścił osłonę nad przednią szybą półciężarówki Roberta, żeby nie oślepiało go słońce. Nawet nie miał specjalnie kaca, ale dokuczał mu ból głowy, który tkwił gdzieś powyżej nasady nosa. Po matce odziedziczył jedną cenną rzecz: dopóki nie upijał się do utraty przytomności, nigdy nazajutrz nie miewał kaca. Był to swoisty dar, ale zarazem przekleństwo. W college'u, kiedy był jeszcze w stanie przetrzymać wszystkich przy stole, a na dodatek następnego dnia stawić się normalnie na treningu, większość chłopaków z drużyny znacznie przyhamowała z piciem, z obawy, że wylecą z drużyny. Natomiast on wciąż do woli korzystał z życia. Aż do czasu, gdy pewnego dnia obudził się w szpitalu w Tuscaloosa z ręką w gipsie, nie mając najmniejszego pojęcia, jak się tu znalazł. Wtedy poprzysiął sobie raz na zawsze skończyć z piciem.

Kiedy wkroczył do biura szeryfa, ze zdumieniem ujrzał przy biurku dyżurnego Reggiego Raya, który zapytał ostro:

- A co ty tu robisz?

Nie miał czasu na uprzejmości.

- Odpieprz się, zasrańcu.

Tamten poderwał się, przewracając krzesło.

- Śmiesz się tak do mnie odzywać, kiedy jestem na służbie?

Jeffrey minął już biurko, ale przystanął, obejrzał się i odrzekł:

- Wydaje mi się, że zawsze miałem do tego prawo. Przez chwilę obaj spoglądali na siebie z zadziornymi minami, jakby czekając, który pierwszy stchórzy, chociaż powinni już dawno z tego wyrosnąć. Ale nawet mając świadomość, że to dziecinada, Jeffrey nie zamierzał ustępować. Miał naprawdę dosyć podobnego traktowania. Nawet więcej, miał dość tego, że pozwalał innym traktować się w ten sposób. W czasie rozmowy z Sarą uświadomił sobie wreszcie, że wstyd i poczucie winy, które nie opuszczały go przez tyle lat, były zależne wyłącznie od niego. Bo Sara nie widziała w nim syna Jimmy'ego Tollivera. Nawet teraz, po wysłuchaniu od różnych ludzi najgorszych opinii na jego temat, nadal nie patrzyła na niego ich oczami. Znała go stosunkowo krótko, ale wiedziała o nim dużo więcej niż wszyscy tutejsi mieszkańcy razem wzięci, nie wyłączając Neli. Skrzyżował ręce na piersi i zapytał:

- I co?

- Jak to jest, że gdy tylko pojawiaasz się w mieście, musi wydarzyć się coś złego.

- Takie już mam szczęście.

- Nie lubię cię - syknął Reggie.

- Tylko na tyle cię stać? Jeśli chcesz wiedzieć, zasrańcu, ja też cię nie lubię. I to od samego początku, od chwili, gdy zaskoczyłeś mnie, gdy zabawiałem się z twoją siostrą w waszym garażu.

Ray wziął szeroki zamach, ale Jeffrey zatrzymał jego pięść otwartą dłonią. Impet zderzenia był jednak duży i głośny trzask odbił się echem w pustym pokoju. Zwarł palce na przegubie jego ręki i zaczął ją powoli naciskać, dopóki pod Reggielem nie ugięły się kolana.

- Dupek - syknął ten, bezskutecznie próbując się uwolnić z tego uścisku.

Jeffrey szarpnął jego rękaw górę, po czym odepchnął ją silnie, aż Ray

grzmotnął pośladkiem o kant biurka. W tej samej chwili do biura wszedł Opos. Spojrzał na zgiętego wpół Reggiego i posłał przyjacielowi szeroki uśmiech, jak gdyby nic się między nimi wczoraj nie wydarzyło.

- Opos... - zaczął Jeffrey, który poczuł się jak ostatni łajdak na widok zaczerwienionej szramy na brodzie tamtego.

Ale Opos jak zwykle uśmiechnął się jeszcze szerzej i mruknął:

- To nic takiego, Spryciarzu. - Poklepał go po ramieniu i dodał: - Mam dla ciebie resztę z wczorajszych zakupów. Nie zapomnij się o nią upomnieć.

- Nie zapomnę. - Jeffrey miał wrażenie, że jeszcze nigdy w życiu nie czuł się równie głupio.

- Przyjechałeś pogadać z Robertem?

- Właśnie miałem taki zamiar.

- Dziś rano sędzia ustanowił kaucję. - Wyciągnął z kieszeni wypchaną kopertę.

Jeffrey spojrział na gruby plik gotówki w środku, złapał przyjaciela za łokieć i pociągnął w głąb korytarza. Wiedział, że Reggie i tak będzie ich podsłuchiwać, ale wolał go nie widzieć.

- Skąd wzięłeś tyle forsy?

- Pożyczyłem pod zastaw sklepu. Neli mało nie dostała zawału, ale przecież nie możemy pozwolić, żeby Robert gnił za kratkami.

Jeffrey poczuł palący wstyd. Nawet przez chwilę nie brał pod uwagę możliwości wyjścia za kaucją, nie mówiąc już o takiej formie pomocy.

- Rodzina Jessie jest wystarczająco bogata. Powinieneś zostawić to jej.

- Słyszałem już, że nie zamierzają wyłożyć ani centa - odparł Opos, poważniejąc na krótko. - Mówię ci, Spryciarzu, że serce mi się kraje, gdy widzę, jak ona go traktuje. Przecież niezależnie od wszystkiego jest jej mężem.

- Rozmawiałaś z nią.

- Jadę prosto stamtąd. - Ściszył głos. - Już była pijana jak bela, a przecież nie ma jeszcze południa.

- Co ci powiedziała?

- Że dla niej Robert może zgnieć w więzieniu - wycedził z goryczą w głosie. - Dasz temu wiarę? Tyle lat byli razem, a ona już go skreśliła.

- Przecież to wszystko z powodu jej zdrady - przypomniał mu Jeffrey.

- Od jak dawna miała ten romans? - zapytał, a Jeffrey pomyślał, że to bardzo ważne pytanie. Opos ciągnął: - Dla mnie to nie ma najmniejszego sensu. Jeśli nawet

się puszczała, jak mogła to robić tak, by nikt się o tym nie dowiedział i nie zawiadomił Roberta?

- Skąd wiesz, czy nikt nie powiedział? - mruknął Jeffrey, zerkając w stronę Reggiego, który patrzył na nich z nieskrywaną nienawiścią, jakby chciał ich pogryźć.

Opos też musiał to zauważyć, bo wysunął się przed Jeffrey a i zapytał:

- Gdzie mam wpłacić kaucję?

- Na tyłach - warknął Ray. - Zaprowadzę. Poprawił na brzuchu pas z kaburą i oparł dłoń na kolbie pistoletu, jakby chciał przypomnieć Jeffreyowi, że może użyć broni. Ale Jeffrey nie zareagował nawet, kiedy Reggie trącił go ramieniem, przechodząc obok, bo uznał, że sprowokował już w życiu wystarczająco dużo bójek. Kiedy obaj zniknęli mu z oczu, zapukał do drzwi gabinetu Hossa i otworzył, nie czekając na odpowiedź.

- Cześć - rzucił szeryf, podnosząc się zza biurka. Robert siedział przed nim z dłońmi splecionymi na kolanach i nisko spuszczoną głową, jakby czekał na kata.

- Opos już poszedł wpłacić kaucję - rzekł. Robert jakby jeszcze bardziej się przygarbił.

- Nie powinien tego robić.

- Wziął pożyczkę pod zastaw sklepu.

- Jezu... Dlaczego to zrobił?

- Bo nie mógł ścierpieć myśli, że tkwisz za kratkami - odparł Jeffrey, próbując zwrócić uwagę Hossa, który stanął do nich tyłem i wyglądał przez okno na parking. Odniósł wrażenie, że przerwał im ważną rozmowę. - Muszę przyznać, że i mnie dokuczała ta świadomość.

- Nic mi nie jest - bąknął Robert.

Nie doczekawszy się, aż przyjaciel spojrzy na niego, mruknął:

- Bobby?

Ten zerknął tylko przez ramię, ale to wystarczyło, by zauważyć, że ma podbite oko i rozciętą wargę. Jeffrey obszedł krzesło, chcąc się lepiej przyjrzeć jego obrażeniom. Pod rozpiętym pomarańczowym więziennym kombinezonem widać było ponadto krwawe rozcięcia na piersi, a lewą rękę miał zabandażowaną. Jeffrey mimowolnie zacisnął pięści i spytał przez zaciśnięte gardło:

- Co się stało?

Hoss odpowiedział za niego:

- W nocy doszło do małej awantury.

- Dlaczego nie umieściłeś go w oddzielnej celi?

- Bo nie życzył sobie specjalnego traktowania.

- Specjalnego? - powtórzył Jeffrey z nieskrywaną wściekłością. - Dobry Boże, przecież nie chodziło o specjalne traktowanie, tylko o odrobinę zdrowego rozsądku.

- Nie pouczaj mnie, chłopcze - syknął szeryf, oskarżycielsko wymierzając w niego palec. - Nie mogę nikogo zmuszać, żeby robił coś wbrew swojej woli.

- Bzdura! Przecież jest więźniem. Mógłbyś go zmusić, żeby stał po szyję w gównie, gdyby tylko przyszła ci na to ochota.

- Tyle że mnie przy tym nie było! - wrzasnął Hoss. - Nie rozumiesz, do cholery?! Nie było mnie tutaj!

Wierzchem dłoni otarł usta, a Jeffrey pomyślał, że nieszczęście bije od niego na kilometr. Jeśli on czuł się źle w tej sytuacji, to szeryf czuł się o wiele gorzej.

- Kto ci to zrobił? - zwrócił się do Roberta. - Reggie Ray? To ten palant...

- Reggie w niczym nie zawinił - przerwał mu gwałtownie Robert.

- Jeśli to on...

- Sam poprosiłem o umieszczenie w celi ogólnej. Chciałem się przekonać, jak to jest.

Jeffreya aż zatkało.

Hoss poprawił pas na brzuchu, podobnie jak chwilę wcześniej Reggie.

- Lepiej zostawię was samych. Dam ci trochę czasu, żebyś ochłonał.

Powiedział to spokojnie, ale z hukiem zatrzęsął za sobą drzwi, dając wyraźnie do zrozumienia, co o tym myśli.

Jeffrey odwrócił się do Roberta i zapytał:

- Co się stało?

Ten wzruszył ramionami i skrzywił się, gdyż sprawiło mu to ból.

- Spałem, kiedy mnie obudzili i przenieśli do celi zbiorczej.

Jeffreyowi serce się ścisnęło na myśl, że jacyś gliniarze mogli zrobić coś takiego swojemu koledze. Ostatecznie istniała zawodowa solidarność, dlatego nawet w takiej sytuacji Robert nie chciał ujawnić nazwisk tych łobuzów, którzy go wystawili.

- Dlaczego nie zwróciłeś się do nikogo o pomoc?

- Do kogo? - zapytał smutno Robert. - Przecież oni wszyscy tylko na to czekali. - Skinął głową w kierunku sali, gdzie siedzieli zastępcy szeryfa. - Dokładnie tak samo, jak za naszej młodości. Nic się pod tym względem nie zmieniło. Każdy

tutejszy glina tylko czyhał, aż coś spieprzę, żeby móc mnie rzucić na pożarcie lwom. -
Zaśmiał się głucho.

Jeffrey nawet nie umiał sobie wyobrazić, jak koszmarna była ta noc dla przyjaciela. Reszta więźniów musiała uznać, że trafił im się najwspanialszy prezent gwiazdkowy, skoro dostali do swej dyspozycji policjanta na całą noc.

- Przez te wszystkie lata... - zaczął na nowo Robert -...przynajmniej część z nich uważałem za przyjaciół, wobec których się sprawdziłem. - Urwał, z trudem nad sobą panując. - Miałem żonę, rodzinę... Do diabła, prowadziłem nawet zespół juniorów. Wiedziałaś o tym? W ubiegłym roku dotarliśmy do ćwierćfinału mistrzostw stanowych. Niewiele brakowało, byśmy wygrali, gdyby jeden z chłopaków Thompsona nie przestrelił w ostatniej minucie. - Uśmiechnął się na to wspomnienie. - Wiedziałaś o tym? Graliśmy na głównej płycie wielkiego stadionu w Birmingham.

Jeffrey pokręcił głową. Razem się wychowywali, każdy dzień w młodości spędzali ze sobą, a przecież tak mało wiedział o obecnym życiu przyjaciela.

- Po prostu nigdy nie można być pewnym tego, co ludzie o tobie myślą - ciągnął Robert. - Jeździsz z nimi na mecze i na pikniki, obserwujesz, jak dorastają ich dzieci, słuchasz o ich kłótniach i rozwodach, ale to wszystko jest gównem. Bo uśmiechają się do ciebie przyjaźnie, a jednocześnie są gotowi wbić ci nóż w plecy.

- Powinieneś w nocy wezwać Hossa - odparł Jeffrey. - Na pewno by przyjechał i zaprowadził porządek.

- To by tylko pogorszyło moją sytuację jutro czy pojutrze.

- Pogorszyło? - zdziwił się. - Może być coś gorszego od takiego lania? - W jego myślach pojawiła się nagle oczywista odpowiedź i aż przysunął sobie krzesło i usiadł, bo kolana się pod nim ugięły. - Bo chyba nie... - zająknął się.

- Nie - odparł Robert grobowym głosem.

Jeffrey przytknął rękę do brzucha, gdyż zbierało mu się na mdłości.

- Jezu... - szepnął, po raz pierwszy od dwudziestu lat mając ochotę na modlitwę.

Robertowi zaczęły się trząść ręce. Dopiero teraz spostrzegł, że przyjaciel jest skuty kajdankami. Dłonie miał poranione jeszcze gorzej niż twarz, skórę na knykciach poobcieraną i porozcinaną, co świadczyło wyraźnie, że stoczył twardą walkę na pięści. A jego wzrok pozwalał nawet wnioskować, że była to wręcz walka na śmierć i życie.

- Dlaczego siedzisz w kajdankach? - zapytał Jeffrey.

- Przecież jestem niebezpiecznym przestępcą. Zabiłem dwoje ludzi.
- Nikogo nie zabiłeś. Dobrze wiem, że tego nie zrobiłeś. Dlaczego kłamiesz?
- Nie daję rady - mruknął Robert. - Myślałem, że starczy mi sił, ale to

nieprawda.

Jeffrey położył mu dłoń na ramieniu, ale szybko ją cofnął, gdy przyjaciel skrzywił się z bólu. Przemknęło mu przez myśl, że na temat wydarzeń ostatniej nocy Robert także nie mówi prawdy, choć w gruncie rzeczy wcale mu nie zależało, żeby ją poznać.

- Załatwimy ci dobrego adwokata.
- Nie stać mnie. Rodzina Jessie nie zechce mnie nawet oszczać, choćbym stanął w ogniu.

- Ja zapłacę - uciął, zastanawiając się jednocześnie, skąd weźmie aż tyle forsy.

- Nie mam większego majątku pod zastaw, ale mogę spieniężyć swój fundusz emerytalny. Nie jest zbyt duży, ale na początek wystarczy. Razem z Oposem wymyślimy, jak to załatwić. Zacznę brać zlecenia na służbę ochroniarską, a jak będzie trzeba, wezmę nawet drugi etat. - Pomyślał, że przydałby się jakiś konkret. - Mogę się nawet przenieść z powrotem do Birmingham i dojeżdżać tu na weekendy.

- Nie pozwolę ci na to.
- Nikt cię nie będzie pytał o zdanie. Na pewno nie pozwolę, żebyś spędził jeszcze jedną noc w areszcie.

Robert pokręcił głową. Bił od niego nieopisany smutek.

- Nikt mnie nigdy nie pytał o zdanie. Dlatego mam dość takiego życia. Zbrzydło mi wszystko i wszyscy dookoła. - Zamknął oczy. - Jessie definitywnie ze mną skończyła. Zanosilo się na to już od dawna.

- Dlatego, że poroniła? - zapytał Jeffrey, pomyślawszy, że dla kobiety może to być bardzo istotnym powodem do zerwania każdego związku. Bo przecież musiał być ważny powód, dla którego Jessie odwróciła się od męża. Na pewno nie zdradziła go bez przyczyny.

- To zaczęło się jeszcze wcześniej - odparł. - Chyba wtedy, gdy Julia przyszła do szkoły i zaczęła rozpowiadać, że ją zgwałciłem. Od tamtej pory Jessie mi już nie ufała.

- Powiedziałaś jej, co się naprawdę stało? - Jeffreyowi serce zaczęło mocniej bić.

- Nigdy o to nie pytała, jakby sama z siebie dobrze znała prawdę. Ani razu nie

zagaiła rozmowy na ten temat. Dlaczego ludzie nie pytają o tak ważne sprawy?

- Może dlatego, że wolą nie znać odpowiedzi - odparł Jeffrey, targany wyrzutami sumienia, że w tej sprawie i on nie był lepszy. - Ale nie sądzę, żeby Jessie dawała wiarę plotkom. Nikt w nie nie wierzył, kto choć trochę cię znał.

- Za to wszyscy wierzyli plotkom o tobie. - Robert spojrział na niego ze łzami w oczach. - Sam je powtarzałem, jakby to była prawda.

- O jakich plotkach mówisz?

- Że to ty zgwałciłeś Julię. - Robert przyglądał mu się w napięciu, jakby chciał skontrolować jego reakcję. - Ani razu nie zaprzeczyłem, że poszedłeś wtedy z nią do lasu, a wszyscy sobie dośpiewali, że ją zgwałciłeś.

Jeffrey owi zaschło w gardle.

- Chciałem tylko chronić siebie - dodał Robert. - I tak miałeś wyjechać, a ja musiałem tu zostać i żyć z tym brzemieniem, będąc na językach wszystkich, którym się zdawało, że przejrzeni mnie na wylot. - Odwrócił głowę. - Co niedzielę czułem w kościele przenikliwe spojrzenie Lane Kendall, która świdrowała mnie wzrokiem, jakby rzeczywiście mnie znała i dobrze wiedziała, co się stało tamtego dnia.

- A co się stało, Robert? - zapytał z naciskiem Jeffrey, ale nie doczekał się odpowiedzi. - Może jednak powiesz mi wreszcie prawdę? Nigdy wcześniej cię o to nie pytałem, bo wierzyłem w twoją niewinność. Jeśli teraz twierdzisz, że jesteś winny, to chyba możesz mi w końcu powiedzieć, jak było naprawdę.

Robert odchrząknął raz i drugi, po czym wyciągnął skute kajdankami ręce po kubek z wodą stojący na brzegu biurka. Upił łyżeczkę i skrzywił się boleśnie, a grdyka podskoczyła mu kilkakrotnie. Sine ślady na szyi świadczyły wyraźnie, że ktoś próbował go udusić, a przynajmniej zacisnął mu palce na gardle, by uniemożliwić wołanie o pomoc. Były wyraźnie ciemniejsze z przodu, zatem prawdopodobnie został złapany za gardło od tyłu. Co z nim wyprawiano, że aż trzeba go było uciszyć, żeby nie mógł krzyczeć?

- Robert - szepnął Jeffrey, z trudem dobywając głosu. - Powiedz mi wreszcie, co się stało.

Tamten jednak pokręcił głową i mruknął:

- Wracaj do domu, Spryciarzu.

- Nie zostawię cię tutaj.

- Wracaj do okręgu Grant i ożeń się z Sarą. Załóżcie rodzinę, miejcie dzieci...

- Nie ma o czym mówić. Już nigdy więcej nie zostawię cię samego.

- Przecież wcale mnie nie zostawiłeś - syknął Robert, zerkając na niego ze złością. - Uwierz wreszcie, że ją zgwałciłem. Dokładnie tak zamierzam zeznać przed sądem. Zaciągnąłem ją do jaskini i tam zgwałciłem. Kiedy zaczęła krzyczeć i odgrażać się, że wszystkim powie, spanikowałem, podobnie jak poprzedniej nocy. Złapałem kamień i walnąłem ją w głowę. - Obrzucił go ostrym spojrzeniem. - To ci wystarczy?

- Z której strony ją uderzyłeś?

- Do cholery, nie pamiętam. Przyjrzyj się jej czaszce. Uderzyłem ją tam, gdzie jest rozwalona.

- Wcale jej nie zabiłeś - odrzekł spokojnie Jeffrey. - Nie zginęła od ciosu w głowę. Została uduszona.

- Aha - mruknął wyraźnie zaskoczony Robert, ale szybko się opanował. - W takim razie ją udusiłem.

- Nie zalewaj.

- Mówię prawdę. Udusiłem ją. O, tak. - Wyciągnął przed siebie ręce, ułożył palce, jakby zaciskał je na czyimś gardle, i potrząsnął nimi, aż zadzwoniły kajdanki.

- Chrzanisz - burknął Jeffrey. Robert opuścił ręce i przygarbił się.

- Najpierw z nią rozmawiałem, próbowałem być miły - rzekł półgłosem, wpatrując się szklistymi oczyma gdzieś w dal, jakby przywoływał w myślach wspomnienia. - Kiedy się obejrzała, uderzyłem ją kamieniem w głowę. Upadła, a ja skoczyłem na nią i usiadłem jej... na plecach. Zaczęła wrzeszczeć, więc zacisnąłem jej palce na gardle, żeby ją uciszyć. - Jeszcze raz zademonstrował chwyt. - Ale nadal krzyczała, a jej wrzaski doprowadzały mnie do wściekłości, byłem coraz bardziej podniecony, jak... nie wiem co. Zacząłem jedną ręką przyciskać jej kark, a drugą dusić krtań. - Ułożył odpowiednio ręce, jakby rzeczywiście był z Julią w jaskini. - Wiedziałem, że jest coraz bardziej przestraszona, nawet przerażona, ale ja także się bałem. Myślałem tylko o tym, że ktoś może tam wejść i zobaczyć mnie w takiej pozycji, jak jakieś dzikie zwierzę. Nie mogłem jednak przestać. I nie mogłem liczyć na niczyją pomoc. Moje gardło... - Przytknął dłoń do szyi - ...paliło, jakbym połknął garść gwoździ. Nie mogłem oddychać. Nie mogłem nawet wydać z siebie głosu, nie licząc żalonych jęków, a w wyobraźni wciąż słyszałem, jak wszyscy się ze mnie śmieją, drwią ze mnie, jakby to była tylko zabawa, a ich ciekawiło, jak daleko zdołam się posunąć, zanim się załamie. - Ciężko opuścił ręce na kolana, drobnymi spazmatycznymi haustami łapał powietrze. Jeffrey nie potrafił już ocenić, czy nadal

fantazjuje na temat obecności z Julią w jaskini, czy raczej odnosi się do wydarzeń z ostatniej nocy. - W myślach bardzo chciałem uciec gdzieś, gdzie jest bezpiecznie, ale nie mogłem się uwolnić od tego koszmaru i tylko przygryzałem język, modląc się w duchu do Boga, żeby to się jak najszybciej skończyło. - Wargi zaczęły mu dygotać, ale łzy nie napływały do oczu.

- Robert - zaczął ostrożnie Jeffrey, wyciągając rękę, żeby go dotknąć.

Ale ten szarpnął się w bok, jak gdyby z obawy, że zostanie uderzony.

- Nie dotykaj mnie - szepnął. - Proszę. Nie dotykaj mnie.

- Robert - powtórzył Jeffrey, próbując zapanować nad głosem. Gdyby miał przy sobie broń, natychmiast pognałby do aresztu i wystrzelał tych łajdaków co do nogi. Zacząłby od Reggiego i posuwał się dalej w górę hierarchii służbowej aż do... No właśnie. Co? Miałby na koniec przystawić sobie pistolet do głowy i pociągnąć za spust? Czuł się tak samo winny, jak ci wszyscy, którzy brali udział w nocnej „małej awanturze”.

Mimo wszystko musiał znać prawdę.

- Dlaczego mnie okłamujesz w sprawie Julii?

- Wcale nie kłamię - bąknął Robert z wyraźnym rozdrażnieniem. - Naprawdę ją zgwałciłem. - Popatrzył mu prosto w oczy. - Zgwałciłem ją, a potem zamordowałem.

- Wcale nie zabiłeś Julii - odparł z naciskiem. - Więc lepiej przestań to w kółko powtarzać. Nawet nie miałeś pojęcia, jak zginęła.

- A cóż to ma za znaczenie? I tak zasłużyłem na karę śmierci.

- Bzdura. Jeśli się przyznasz do zabójstwa w afekcie, dostaniesz najwyżej siedem lat. Jak wyjdiesz z więzienia, będziesz miał przed sobą jeszcze szmat życia.

- Jakiego życia?

- Pomogę ci zacząć wszystko od nowa - zapewnił go Jeffrey, przynajmniej przez chwilę do głębi przeświadczony, że jest to możliwe. - Przyjedziesz do mnie i wciągnę cię na powrót do służby.

- Nikt nie przyjmie do policji kogoś skazanego za gwałt i zabójstwo.

- W takim razie znajdziemy ci jakieś inne zajęcie. Najważniejsze, żebyś się wyniósł stąd do diabła. Gdzie indziej zaczniesz sobie układać życie od nowa.

- Jakie życie? - powtórzył Robert, skutymi rękoma wodząc na boki. - Myślisz, że mogę jeszcze mieć jakieś życie po tym wszystkim?

- Wrócimy do tego, gdy nadejdzie odpowiednia pora. Na razie tylko przestań

gadać o swojej winie, dobra? Nie rozmawiaj z nikim poza swoim adwokatem, nawet z Hossem. Ściągniemy ci najlepszego prawnika, jakiego tylko uda nam się załatwić.

Polecę nawet w tym celu do Atlanty.

- Nie potrzebuję adwokata - mruknął Robert. - Chcę mieć tylko święty spokój.

- Nie znajdziesz chwili spokoju, jeśli zostaniesz w areszcie. Chyba aż nazbyt dobitnie się o tym przekonałeś?

- Nic mnie to nie obchodzi. Ani trochę.

- Teraz tak mówisz. Po tym, co cię spotkało ostatniej nocy.

- Nic się przecież nie stało - syknął Robert. - Mieliśmy tylko drobne nieporozumienie, nic więcej. Ale na długo zapamiętają nauczkę, jaką dostali.

Jeffrey odchylił się na oparcie krzesła.

- Stłukłem ich, jak się patrzy. - Robert spojrział na niego i wyszczerzył zęby, co zapewne miało być szerokim, triumfalnym uśmiechem, ale wyglądało jak żalosne obnażenie kłów. - Było ich trzech na jednego, a wszyscy dostali tak, że na długo zapamiętają.

- To dobrze - mruknął Jeffrey, uznawszy, że nie ma sensu się sprzeciwiać.

Pomyślał jednak: Trzech na jednego! Zatem Robert nie miał najmniejszych szans.

- Jednemu tak przyłożyłem, że zaczął wzywać mamusię i błagać o litość - ciągnął przyjaciół z teatralną brawurą.

- A więc jesteś górą - rzekł Jeffrey, czując ból w sercu. - Pokazałeś im, Bobby. Nie dałeś się.

Robert wziął głębszy oddech, wyprostował się i nieco wyprężył ramiona.

- No, dobra - mruknął, jakby przywoływał się do porządku. - W końcu nic się nie stało. Kaszka z mleczkiem.

- Tyle że nie musisz z nimi walczyć sam - powiedział z naciskiem Jeffrey. - Zawsze możesz liczyć na mnie. I na Oposa.

- Nie - mruknął Robert z ociąganiem, jakby podejmował ważną decyzję. - To wyłącznie moja sprawa, Jeffrey. Przynajmniej tyle jestem ci winien.

- Za co?

- Za wszystko. - Zerknął na niego z ukosa. - Bo przecież wiem, jak było naprawdę.

Jeffrey odebrał to jak pogróżkę, chociaż nie umiał sprecyzować dlaczego.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Widziałem cię tamtego dnia z Julią w lesie. Szedłem za wami aż do samej

jaskini.

Jeffrey pokręcił głową. Na pewno byli wtedy sami. Dokładnie to sprawdzał.

- I jestem gotów wziąć za wszystko odpowiedzialność - dodał Robert, a w oczach ponownie zabłyśły mu łzy. Po chwili odezwał się lekko roztrzęsionym głosem:
- Powiem, że ja to zrobiłem, wezmę winę na siebie, żebyś mógł pozostać na wolności. Tylko powiedz mi prawdę, Spryciarzu. Zabiłeś ją?

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Sara siedziała w foteliku na werandzie domu Neli, kiedy Jeffrey skręcił na podjazd. Wcześniej zamienił półciężarówkę Roberta na jej bmw, toteż przyjęła z radością, że widzi je całe i nieuszkodzone. Podeszła, gdy wysiadał z auta, i chciała powiedzieć coś miłego, ale ugryzła się w język na widok jego miny.

- Co się stało? - zapytała.

- Nic - burknął, jakby w ogóle nie miał ochoty z nią rozmawiać. - Chodźmy jeszcze raz do domu Roberta.

- W porządku. Powiem tylko Neli, dokąd idziemy. Złapał ją za rękę i pociągnął w stronę ulicy.

- Sama się domyśli.

- Nie ma sprawy - bąknęła, zachodząc w głowę, co mogło się stać.

Skręcił na chodnik i przyspieszył nieco kroku, trzymając ją mocno za rękę. Pojawił się lekki wiaterek i upał był zdecydowanie bardziej znośny, ale nad rozgrzanym asfaltem wciąż falowało gorące powietrze, przypominając jej te dwie ostatnie noce z rzędu, kiedy chciała uciekać pieszo od Jeffreya. A może jej wspomnienia rozbudziło to, że tak kurczowo ścisnął jej dłoń?

- Wszystko w porządku? - zapytała. Pokręcił głową, ale nadal szedł w milczeniu.

- Dlaczego chcesz jeszcze raz obejrzeć miejsce zbrodni?

- Bo nadal coś mi nie pasuje. Coś się nie zgadza.

- Co ci powiedział Robert?

- Nic nowego - burknął. - Nadal bierze całą winę na siebie. Obwinia się za wszystko. - Przygryzł wargi i milczał przez chwilę, po czym dodał: - Na pewno kłamie w sprawie Julii. A to nasuwa podejrzenia, że kłamie też w innych sprawach.

- Jakich? - zdziwiła się, bo dla niej było dość oczywiste, co się naprawdę stało w sypialni Roberta i Jessie poprzedniej nocy. - Wszystkie dowody potwierdzają jego zeznania.

- Ale na wszelki wypadek postanowiłem jeszcze raz rzucić na to okiem. Chcę sam siebie przekonać, że faktycznie tak jest.

- Coś szczególnie zwróciło twoją uwagę?

Puścił w końcu jej rękę, kiedy zbliżyli się do domu Roberta, ale nie odpowiedział. Żółta farba na podmurówce ogrodzenia wyglądała na świeżo położoną, a białe sztachety parkanu sprawiały surrealistyczne wrażenie, jakby to była hollywoodzka makieta wymarzonego domku na wsi.

Drzwi przegradzała jaskrawożółta policyjna taśma. Jeffrey wyjął z kieszeni scyzoryk i paznokciem odchylił ostrze.

- Dzisiaj w nocy został ciężko pobity.

- W areszcie? Przytaknął ruchem głowy.

- Przez kogo?

Jeffrey jednym ruchem przeciął taśmę.

- Nie chciał powiedzieć.

- Jak Hoss mógł do czegoś takiego dopuścić?

- To nie była wina Hossa. - Jeffrey złożył i schował scyzoryk. - Robert wolał nie mówić, kto kazał go przenieść do celi ogólnej, ale mnie się zdaje, że to sprawka Reggiego.

- Nie mógł mu po prostu wymalować na plecach tarczy strzelniczej?

- Jak jeszcze raz ujrzę na oczy tego pieprzonego durnego wieśniaka, urwę mu łeb.

Sara nie bardzo mogła uwierzyć, żeby Ray był zdolny do takiej podłości. Przypomniała sobie jednak, jak Neli tłumaczyła jej, że nie wolno mu ufać.

- Robertowi nic się nie stało? - zapytała.

Jeffrey otworzył drzwi i cofnął się o krok, żeby przepuścić ją do środka.

- Próbowałem go nakłonić, by porozmawiał ze mną szczerze, ale uparcie odmawiał.

- Odniósł poważne obrażenia?

- Nie jest w tej chwili moim największym zmartwieniem - odrzekł, a jego mina dopowiedziała jej całą resztę.

- Niemożliwe... - jęknęła, przykładając dłoń do piersi. - Na pewno nic mu nie będzie?

Zamknął drzwi i odparł:

- W każdym razie tak utrzymywał.

- Jeffrey... - szepnęła, zarzucając mu ręce na szyję. Nawet na nią nie spojrział, tylko zapatrzył się w głąb korytarza, jakby z trudem odzyskiwał panowanie nad sobą.

- Opos też przyjechał dziś rano na posterunek, żeby wpłacić kaucję. Mnie to nawet nie przyszło do głowy.

- Jak zdobył tak szybko pieniądze?

- Widocznie Hoss musiał pociągnąć za sznurki. Ryzyko nie jest duże. Bo i dokąd Robert miałby uciekać?

- Przykro mi - mruknęła, czując, jak udziela jej się jego smutek.

Objął ją, a ona przytuliła się, chcąc przynajmniej w ten sposób go pocieszyć, skoro nie mogła zrobić nic innego.

- Och, Saro... - szepnął, wtulając twarz w jej szyję.

Kiedy poczuła, jak rozluźniają się jego napięte mięśnie, natychmiast o wszystkim zapomniała pod wpływem fali przemożnego szczęścia, jakie przyniosła jej świadomość, że nawet w tak prosty sposób może mu pomóc.

- Chciałbym stąd wyjechać z tobą już teraz - rzekł.

- Wiem - odparła cicho, wodząc palcami po jego karku.

- I chciałbym cię zabrać na dansing - dodał, na co zareagowała śmiechem, gdyż oboje byli świadomi, że porusza się na parkiecie z gracją świeżo urodzonego cielaka. - Chciałbym cię zabrać na spacer plażą i spijać pinakoladę z twojego pepka.

Zachichotała jeszcze głośniej i próbowała się od niego odsunąć, ale jej nie puścił. Pocałowała go więc w szyję, na dłużej przytykając usta do jego skóry. Poczowała na wargach lekko słonawy smak, jakby morskiej wody, przemieszany jednak z piżmowym zapachem wody kolońskiej.

- Jestem przy tobie - mruknęła.

- Wiem - odparł, odsuwając się od niej w końcu. Westchnął ciężko, ruchem ręki wskazał pokój w głębi korytarza i rzekł: - Skończmy wreszcie z tym.

- Szukamy czegoś konkretnego? - zapytała, idąc za nim przez salon.

- Sam nie wiem. - Wyciągnął szufladę stolika do kawy, pogrzebał w niej, po czym zamknął i zapytał: - Gdzie on mógł trzymać zapasowy pistolet?

- Powiedział, zdaje mi się, że w salonie.

- Zatem powinien tu gdzieś być sejf. Jeśli, rzecz jasna, mówił prawdę.

Sara nie była już wcale pewna, czy Robertowi w ogóle można wierzyć.

Otworzyła jednak drzwiczki szafki telewizyjnej i popatrzyła na wielki odbiornik oraz stertę kaset wideo. Kucnęła, zajrzała do szuflad w dolnej części szafki i powiedziała:

- Sam mówiłeś, że skoro nie mają dzieci, mógł go trzymać gdziekolwiek, choćby i w szufladzie.

- Nie był aż tak lekkomyślny. - Jeffrey pochylił nisko głowę i na czworakach zajrzał pod kanapę. - Hoss wbijał nam do głowy, żeby zawsze trzymać broń w bezpiecznym miejscu. - Wyprostował się i usiadł na podłodze. - Poza tym Robert prowadził drużynę juniorów, chłopcy pewnie bardzo często kręcili się po domu. Nie mógł więc trzymać broni w widocznym miejscu.

- A Jessie miała wypadek - wpadła mu w słowo. - Dowiedziałam się od Neli, że gdy poroniła, próbowała się otruć jakimiś tabletkami.

- A więc to kolejny powód, żeby trzymać pistolet w ukryciu.

Sara zaczęła przeglądać leżące w stosiku instrukcje chyba każdego urządzenia elektrycznego i elektronicznego, jakie znajdowało się w domu. Znalazła kilka starych pilotów, garść zużytych baterii, obcinacz do paznokci, lecz ani śladu broni.

- A ty gdzie trzymasz zapasowy pistolet?

- Przy łóżku. Po powrocie do domu służbową broń zostawiam w kuchni.

- Dlaczego właśnie w kuchni?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. - Przeciągnął dłonią pod stolikiem do kawy. - Wydawało mi się to logiczne, że jeden jest na dole, a drugi na górze.

- A gdzie dokładnie w kuchni? - zapytała, ruszając w stronę korytarza.

- W szafce nad zlewem... Cholera!

- Co się stało?

- Wbiłem sobie drzazgę.

- To uważaj - rzuciła, wychodząc z pokoju.

Drzwi sypialni znajdowały się dokładnie na wprost kuchni, ale nie miała odwagi tam zajrzeć. Śwąd zakrzepłej krwi będzie się chyba utrzymywał w pokoju jeszcze długo po tym, jak Robertowi i Jessie uda się znaleźć jakąś firmę, która zrobi generalne porządki. Nawet nie umiała sobie wyobrazić, jak Jessie będzie tu mieszkała po tym, co się stało.

Otworzyła szafkę nad kuchenką i popatrzyła na duży komplet plastikowych pojemników na żywność z pokrywkami starannie poukładanymi obok nich. Wspięła się nawet na palce, żeby zajrzeć głębiej, ale nie dostrzegła niczego przypominającego pistolet. Zaczęła kolejno zaglądać do następnych szafek, ale z takim samym rezultatem. Otworzyła nawet lodówkę, obrzuciła wzrokiem wielką trzylitrową butlę mleka oraz podobną z sokiem i rozmaite produkty żywnościowe, lecz broni tu także

nie było.

- Znalazłaś coś? - zapytał Jeffrey, który stanął w drzwiach, trzymając się za rękę.

- Bardzo boli?

- Da się przeżyć - mruknął, wyciągając rękę w jej kierunku.

Obróciła dłoń do światła i nawet gołym okiem dostrzegła grubą drzazgę.

- Powinni gdzieś mieć pęsetę - powiedziała, zaglądając do szuflady, ale były w niej tylko sztućce i przybory kuchenne. - Sprawdzę w łazience.

Miała już wyjść na korytarz, gdy spostrzegła koszyk z przyborami do szycia, stojący na komódce za stołem w jadalni.

- Podejź. Tu jest więcej światła - powiedziała, zaglądając do koszyka. - To powinno się nadać. - Z pudełka z igłami i szpilkami wyjęła kosmetyczną pęsetę o prostych ostrych krawędziach.

- Może otworzę jeszcze żaluzje - rzekł Jeffrey, pospiesznie kręcąc drążkiem regulacyjnym. Wyrzwał na podwórko i zapytał: - Ładnie tu, prawda?

- Owszem. - Uniosła jego dłoń do oczu. Niekiedy w pracy przy podobnych zabiegach wkładała okulary, ale nawet nie pomyślała, żeby je zabrać na wakacje. - Może trochę boleć.

- Jakoś wytrzymam... O cholera! - Wyszarpnął rękę.

- Przepraszam - mruknęła, ledwie się powstrzymując od szerokiego uśmiechu i przesunęła się jeszcze bliżej okna, żeby lepiej widzieć. - Spróbuj myśleć o czymś innym.

- To nie będzie wcale trudne - burknął ironicznie i skrzywił się, gdy zbliżyła pęsetę do jego dłoni.

- Przecież nawet jeszcze nie dotknęłam.

- Z dziećmi postępujesz tak samo brutalnie?

- Zazwyczaj są trochę odważniejsze.

- Miło to słyszeć.

- Tylko spokojnie - odezwała się łagodnym tonem. - Dam ci lizaka, jak będziesz grzeczny.

- To ja wołałbym ci dać coś innego do lizania.

Uniosła wysoko brwi, lecz nie skomentowała tej propozycji. Powoli zacisnęła końce pesety na wystającej drzazdze z nadzieją, że zdoła wyciągnąć ją w całości.

- Zauważyłaś coś dziwnego w wyglądzie Swana? - zapytał Jeffrey.

- W jakim sensie?

Tylko syknęła, kiedy oderwał się koniec drzazgi.

- Choćby to... - z kolei on syknął, gdy mocniej wbiła mu brzegi pesety w skórę
-...że był dokładnym przeciwieństwem Roberta.

Wzruszyła ramionami.

- Może właśnie o to chodziło? Jessie zapragnęła kogoś zupełnie innego,
diametralnej odmiany?

- Ja też jestem diametralnie inny od facetów, z którymi spotykałaś się przede
mną?

Pochłonięta chwytaniem drzazgi w pęsetę miała dość czasu, żeby wymyślić
celną odpowiedź.

- Nie powiem, żebym się specjalnie nad tym zastanawiała. - Uśmiechnęła się
szeroko, kiedy reszka drzazgi wyszła w całości. - Już po wszystkim.

Błyskawicznie uniósł dłoń do ust, co robiły wszystkie dzieci w podobnej
sytuacji, jakby podświadomie zakładały, że ślina pomoże im oczyścić ranę.

- Zajrzyjmy do sypialni - rzekł Jeffrey.

- Naprawdę sądzisz, że kłamał, mówiąc, że trzymał zapasowy pistolet w
salonie?

- Tak podejrzewam.

- Przecież mógł go trzymać gdziekolwiek, nawet w samochodzie.

- Niewykluczone.

- Co cię jeszcze gryzie? - zapytała wprost, postanawiając, że tym razem nie da
się zbyć. - Nie jestem głupia, Jeffrey, i widzę, że coś nie daje ci spokoju. Nie
wymagam, żebyś mówił mi wszystko, ale mnie nie okłamuj.

Oparł się o parapet i rzekł z ociąganiem:

- W porządku, jest jeszcze coś, co mnie gryzie. Ale nie mogę o tym mówić.

- Rozumiem - odparła zadowolona, że przynajmniej tyle na nim wymusiła. -

W takim razie skończmy to szybko. Może potem wrócimy do Neli i w spokoju
spróbujemy poskładać wszystko do kupy.

Drzwi do sypialni były lekko uchylone, zaskrzypiały, kiedy je pchnęła. Przez
okno wlewał się słoneczny blask i bardzo ją zaskoczyło, że w dziennym świetle pokój
wydaje się zupełnie inny niż tamtej nocy, kiedy zginął Swan. Dziwnym sposobem jej
wyobraźnia wszystko wyolbrzymiała, toteż ilekroć próbowała sobie przypomnieć
wygląd sypialni, wszędzie widziała krew. Teraz, poza wyraźnymi rozbryzgami na

podłodze przy drzwiach i na suficie oraz wielką ciemną kałużą w miejscu, gdzie spoczywały zwłoki, nigdzie indziej nie widać było krwi.

Jeffrey otworzył kredens i zaczął przeglądać rzeczy na półkach, ona zaś podeszła do nocnej szafki stojącej po przeciwnej stronie łóżka. Wszystkie powierzchnie mebli były pokryte drobnym proszkiem do zbierania odcisków palców, który wydobywał wszelkie tłuste plamy i zadrapania. Zakładała, że Reggie zabrał stąd wszystkie niezbędne dowody rzeczowe, ale i tak wołała nie dotykać części obsypanych tym proszkiem. Zresztą, świetnie wiedziała z doświadczenia, jak trudno go zmyć z rąk. Ostrożnie otworzyła drzwi szafki i odskoczyła nagle, gdy na podłogę wypadł jasnoblękitny wibrator.

Jeffrey spojrzał jej przez ramię.

- To sporo wyjaśnia - mruknął porozumiewawczym tonem.

- Niby co? - zapytała, biorąc przyrząd przez papierową chusteczkę, żeby go odłożyć na miejsce. - Wszystkie kobiety, które znam, mają coś takiego w sypialni. Popatrzył na nią zdumiony.

- Ty też?

- Oczywiście, że nie. Ty mi w zupełności wystarczasz.

- Mówię poważnie.

- Daj spokój. - Kucnęła i zajrzała w głąb szafki przed zamknięciem drzwiczek.

Obok wibratora spostrzegła małą tubkę środka nawilżającego, ale wołała już nie mówić o tym Jeffreyowi. - To naprawdę o niczym nie świadczy. Niekiedy pary małżeńskie korzystają z wibratorów. Czego miałyby to dowodzić, według ciebie?

- Nie wiem - odparł z rezygnacją. - Wiem tylko, że Robert nie mówi prawdy.

Chciałbym znaleźć dowody na to, że kłamie, albo na to, że jednak mówi prawdę. - Wzruszył ramionami. - Tak czy inaczej, nie zamierzam go opuścić w potrzebie.

- Czasami ludzie kłamią bardzo sprytnie, umiejętnie przeplatają wymysły z prawdą, tak że ich opowieści brzmią jak najbardziej wiarygodnie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Możliwe, że Robert podsunął ci jakąś ważną informację, która ci umknęła.

Spróbujmy prześledzić wszystko od początku, porównując nasze spostrzeżenia z tym, co usłyszeliśmy od Roberta i Jessie.

- Masz na myśli tę pierwotną bajeczkę, którą usłyszeliśmy zaraz po śmierci Swana?

Przytaknęła ruchem głowy.

- W porządku - odparł, rozglądając się po pokoju. - Więc zacznijmy od chwili, gdy byliśmy jeszcze na ulicy. Usłyszałem strzały i przybiegłem przez podwórko. - Cofnął się i stanął w drzwiach. - Tu zobaczyłem, co się stało. W każdym razie ujrzałem zwłoki na podłodze. Dopiero po chwili Robert jęknął i odwróciłem się szybko. Stał tutaj. - Jeffrey wskazał miejsce pod ścianą za drzwiami. - A Jessie była tam. - Machnął ręką w stronę okna.

- I co dalej?

- Zapytałem Roberta, czy nic mu się nie stało, a gdy odparł, że nie, wybiegłem po ciebie.

- Jasne - podjęła Sara. - Wbiegłam tutaj, a ty poszedłeś do kuchni, żeby zawiadomić policję. Najpierw sprawdziłam puls Swana, potem się cofnęłam, żeby pomóc Robertowi.

- Tyle że nie pozwolił ci obejrzeć rany. A Jessie ciągle się wtrącała, kiedy próbowałem go zmusić do mówienia.

- W końcu jednak wydukali, że byli w łóżku, kiedy Swan wskoczył przez okno do pokoju.

Jeffrey szybko podszedł do okna i wyrzał na podwórko.

- Faktycznie, łatwo się przez nie zakraść do środka.

- Czy Robert przyznał się, że to on oderwał okiennicę? - Urwała, lecz zaraz się poprawiła: - Nie mówię, rzecz jasna, o późniejszej wersji wydarzeń, w której przyznał się do jej wypchnięcia. Czy wtedy, w nocy, powiedział, że sam to zrobił?

- Nie.

I ona rozejrzała się dookoła, próbując sobie przypomnieć, jak to wtedy wyglądało.

- Zatem do środka wskoczył uzbrojony rabuś - kontynuował relację Jeffrey. - Podkraść się do łóżka. Wtedy Jessie się obudziła i zaczęła krzyczeć. Robert go odepchnął i wtedy Swan strzelił do niego.

- Ale chybił - wtrąciła Sara. - Robert podbiegł do kredensu po swój pistolet. - Przesunęła się bliżej kredensu. - Strzelił do Swana, ale broń nie wypaliła.

- Swan strzelił drugi raz, raniąc go w brzuch, a wtedy pistolet Roberta wypalił z opóźnieniem i kula trafiła rabusia w głowę - dokończył Jeffrey.

Sara popatrzyła na zabрызganą krwią dywan. Plamy wcale nie układały się w kierunku kredensu.

- Ale w chwili oddania śmiertelnego strzału musiał się znajdować tutaj. -

Cofnęła się do wyjścia z sypialni i stanęła na wprost układających się wachlarzowato śladów. - To jasne - dodała, kucając i wskazując w kierunku miejsca, gdzie padł Swan. - Robert musiał go zastrzelić stąd.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Strzela. - Wyciągnęła przed siebie rękę z palcami ułożonymi w kształcie pistoletu. - Pocisk trafia Swana w głowę, a krew tryska w kierunku przeciwnym. Przypomnij sobie jedno z podstawowych praw fizyki. Każdemu działaniu odpowiada równe co do siły i skierowane odwrotnie przeciwdziałanie. A więc gdy kula wnika w głowę, krew tryska w przeciwną stronę. Przyjrzyj się ułożeniu plam krwi na dywanie.

Jeffrey stanął obok niej, przekrzywił głowę i popatrzył na dywan.

- Jasne. Już rozumiem. Zatem Robert musiał stać tutaj.

- Zaczekaj - rzuciła i wyszła z sypialni, zanim zdążył zapytać, o co jej chodzi.

Po chwili wróciła z koszykiem z przyborami do szycia. - Może to nie będzie ściśle naukowa metoda...

- Co chcesz zrobić?

Wybrała szpulkę grubych żółtych nici, mając nadzieję, że te będzie najlepiej widać.

- Kropelki krwi także podlegają prawu ciężenia, jak wszystko.

- I co z tego?

- Otóż to... - odparła, otwierając pudełko ze szpilkami - że na podstawie kształtu śladów łatwo można obliczyć, w którym miejscu krew trysnęła. Są inne, gdy kropelki padają pod kątem, a inne, gdy lecą pionowo w dół. - Wskazała dziurę w ścianie za drzwiami wybitą przez kulę. - Przyjrzyj się. Po kształcie tamtych śladów łatwo ocenić, że Robert stał bardzo blisko ściany, gdy pocisk wyszedł z jego ciała. Plamki wokół otworu są niemal idealnie koliste, nie licząc tych znajdujących się najwyżej, które mają kształt lekko łezkowaty. To oznacza, że kula poruszała się po lekko wznoszącym torze.

- Te jednak wyglądają na mocno wydłużone - rzekł, wskazując podłużne, nitkowate ślady rozbryzgów otaczających w pewnej odległości dziurę w ścianie.

- To ślady wtórnych rozbryzgów. Kropelki krwi po zderzeniu ze ścianą także się od niej odbiły - wyjaśniła, pokazując szpilką sposób ich powstania. - Ale główny impet poszedł w najbliższe sąsiedztwo otworu po kuli.

- W porządku - mruknął, choć bez przekonania. - Co można wywnioskować na podstawie kształtu plam na dywanie?

- Patrz. - Chwyciła za koniec nitki i odwinęła parę metrów ze szpulki.

Przytknęła koniec do dywanu i naciągnęła nitkę wzdłuż osi symetrii układających się wachlarzowato śladów. - Nie chcę dokładnie obliczać kąta padania. Zresztą, pewnie trzeba by jeszcze uwzględnić parabolę lotu pocisku, ale...

- O czym ty mówisz?

- To podstawy trygonometrii - odparła, myśląc, że to oczywiste. - Nie mam odpowiedniego sprzętu, więc mogę to zrobić tylko szacunkowo, ale jeśli zastosować równanie, że stosunek szerokości do długości wachlarza płam równa się kątowi uderzenia... - Urwała, widząc jego zbaraniałą minę. - Lepiej idź poszukać jakiejś taśmy samoprzylepnej.

- Jakiej? Izolacyjnej? Przezroczystej?

- Wszystko jedno, byle z klejem.

Kiedy wyszedł z pokoju, zaczęła nitką wyznaczać szacunkowe tory. Przypinała końce nitki szpilkami do dywanu i odrywała kawałki mniej więcej trzymetrowej długości.

- Taka może być? - zapytał, podając jej rolkę taśmy izolacyjnej.

- Tak.

Urwała parę odcinków taśmy i przykleiła je sobie do przedramienia. Następnie wybrała grupę najgęściej ułożonych śladów na szafce przy łóżku i też przymocowała do nich taśmą końce nitek, uważając, żeby nie dotknąć obeschniętych skrawków tkanek przyklejonych do szuflady. Żałowała, że nie włożyła gumowych rękawiczek, ale teraz było już na to za późno.

- Stań tutaj - poleciła Jeffreyowi, wskazując mu miejsce przy łóżku.

- Co zamierzasz?

- Nie mam tu do czego przymocować nitek, więc wykorzystam ciebie.

- W porządku.

Łącznie przygotowała około trzydziestu nitek. Bez przyrządów mogła tylko na oko oceniać kąty padania rozbryzgów krwi, ale starając się to zrobić jak najlepiej, zaczęła naciągać kolejne nitki i luźne końce przypinać szpilkami do ubrania Jeffrey'a. Wreszcie dużym kawałkiem taśmy izolacyjnej zebrała je w miejscu, gdzie się przecinały. Niezle się spociała, uwijając się w dusznym pokoju, ale gdy stanęła i popatrzyła na swoje dzieło, doszła do wniosku, że było warto.

- Jego głowa znajdowała się tutaj - powiedziała, wskazując miejsce przecięcia się nitek.

Przyszło jej na myśl, że gruby zwitek czarnej taśmy izolacyjnej na pęczku żółtych nitek przypomina pająka na pajęczynie, tym bardziej przerażającego, że symbolizującego punkt, w którym pocisk wbił się w głowę Swana, wyrzucając strugi krwi, szarej tkanki mózgowej i odłamków kości.

Sara miała już brudne dżinsy od uwijania się po zaplamionym dywanie, lecz mimo to zawahała się, nim klękła przed łóżkiem w miejscu, gdzie leżały zwłoki Swana. Nie ulegało jednak wątpliwości, że w chwili strzału on też musiał klęczeć przed łóżkiem, tyle że w odległości około metra od niego.

- Był trochę niższy ode mnie - powiedziała - poza tym są to jedynie szacunki, więc należy przyjąć, że znajdował się w takiej pozycji z dokładnością do kilkunastu centymetrów.

- Jessie była w łóżku - odezwał się Jeffrey, bojąc się poruszyć ze względu na przytwierdzone do niego końce nitek. - Zatem na pewno klęczał twarzą do niej.

Sara zauważyła na podłodze przy samym tapczanie niewyraźny, rozmazany krwawy ślad dłoni.

- Widzisz?

- Tak. A więc w dodatku opierał się na rękę, zapewne pochylony nad łóżkiem.

- Głowę miał zwróconą tak, jak ja teraz - wyjaśniła Sara, po czym uniosła dłoń do ucha. - Kula trafiła go przecież z tej strony, a wyszła z drugiej, trochę niżej. - Wskazała strzępy tkanek przyklejone do nocnej szafki. - To prawdopodobnie resztki jego ucha.

- Czyli wszystko by się zgadzało - podsumował Jeffrey. - Robert stał tam, za drzwiami pod ścianą, a Swan klęczał przy łóżku, twarzą do tapczanu.

- I pochylał się nad Jessie.

Jeffrey przygarbił ramiona i pęk nitek opadł w dół.

- Wygląda więc na to, że w drugiej wersji mówił prawdę. Nawet go nie ostrzegł, tylko od razu pociągnął za spust.

- Dobra, pozbierajmy to - mruknęła Sara, przystępując do wyciągania szpilek z dywanu. - I tak nadal nie znamy przyczyny.

- Dla mnie jest dość oczywista - mruknął, odpinając nitki od swego ubrania. - Zobaczył, jak inny facet zabawia się z jego żoną. Niewykluczone, że na jego miejscu zareagowałbym podobnie.

- Też byś go zastrzelił?

- Nie wiem, to trudno powiedzieć - przyznał w zamyśleniu. - Ale gdybym

zobaczył kogoś w takiej sytuacji z moją żoną...

- Robert ujrzał ich wcześniej - przypomniała Sara, próbując złożyć poznane fakty do kupy. - Nie miał przy sobie broni, kiedy pierwszy raz zajrzał do sypialni.

- To prawda. Musiał się cofnąć do salonu, a może do samochodu. W każdym razie poszedł po pistolet.

- A gdy wrócił, zastrzelił Swana. To oznacza zabójstwo z premedytacją.

- Tak, wiem - mruknął Jeffrey, wrzucając garść szpilek do pudełka.

Sara pozwijała nitki, zastanawiając się, co powinni jeszcze zrobić. Robert już przyznał się do zabójstwa. A oni przyszli tu, żeby znaleźć jakąś lukę w tych zeznaniach. Tymczasem zdołali jedynie z grubsza potwierdzić jego wersję, świadcząca o popełnieniu morderstwa z premedytacją. W końcu istniała znaczna różnica między wyrokiem dziesięciu lat więzienia z możliwością wcześniejszego wyjścia na wolność a groźbą kary śmierci.

Przed dom zajechał jakiś samochód, zachrzęścił żwir pod kołami.

- Ciekaw jestem... - zaczął Jeffrey, gdy głośno trzasnęły zamykane drzwi.

Oboje wyszli do salonu, żeby zobaczyć, kto przyjechał. Jeffrey otworzył drzwi w chwili, kiedy jakaś kobieta unosiła pięść, żeby w nie załomotać.

- Ty! - wrzasnęła chrapliwym, zgrzytliwym głosem. - Wiedziałam, że cię tu zastanę, ty pierdolony łobuzie!

Jeffrey chciał zamknąć jej drzwi przed nosem, ale kobieta jak burza wpadła do środka. Sarę uderzył bijący od niej smród krwi miesięczkowej, choć już dawno musiała mieć za sobą klimakterium. Była potwornie gruba, z co najmniej pięćdziesięciokilogramową nadwagą. Jej twarz wykrzywiał grymas wściekłości i pogardy.

- Ty pieprzona świni! - ryknęła, waląc obiema pięściami w pierś Jeffreya.

- Lane... - powiedział nieśmiało, zasłaniając się rękoma.

- Zabiłeś moją córkę, ty przeklęty łajdaku! Ty i twoi porąbani kumple już się teraz z tego nie wywiniecie!

Próbował ją wypchnąć z powrotem za drzwi, ale tylko mocniej zaparła się nogami. Po raz drugi walnęła go w pierś, na tyle silnie, że poleciał do tyłu. Klamka drzwi huknęła o ścianę, a Jeffrey stracił równowagę i grzmotnął pośladkami o podłogę.

Sara zastąpiła drogę kobiecie i bez namysłu krzyknęła jej prosto w twarz:

- Dość tego!

Ta obrzuciła ją nienawistnym spojrzeniem, jak gdyby miała przed sobą trędowatą.

- Słyszałam o tobie - warknęła. - Ty pierdolona dziwko. Nawet nie masz pojęcia, z jakim śmieciem się zadajesz.

Jeffrey poderwał się na nogi, ale ciężko dyszał przez zaciśnięte zęby, jakby potężne uderzenie złamało mu kilka żeber.

- Kto to jest?! - syknęła do niego Sara.

- Erie! - wrzasnęła kobieta przez ramię. - Chodź no tutaj! I ty też, Sonny!

Jeffrey oparł się ramieniem o ścianę, jakby ledwie trzymał się na nogach. Sara chciała już zapytać, co się dzieje, lecz jej uwagę przykuło dwóch chłopców wchodzących po schodach na ganek. Wyglądali żałośnie, byli brudni, zaniedbani i wychudzeni. Od razu nasunęło jej się skojarzenie z dwoma nieopierzonymi pisklętami wyrzuconymi przez matkę z gniazda. Na sam ich widok ogarnęła ją wściekłość. Jaka kobieta mogła doprowadzić swoje dzieci do takiego stanu? Kto mógł je w ten sposób traktować?

Gruba chwyciła pierwszego chłopca za kark i pchnęła silnie w kierunku Jeffreya.

- Przywitaj się ze swoim tatusiem, gówniarzu! Sara zdążyła go złapać, nim upadł na podłogę. Poczwała, jak pod brudną szarą koszulką wystają mu żebra.

- To ten dupek, który zgwałcił twoją mamusię! - dodało babsko.

Sarę nagle coś ścisnęło za gardło. Obejrzała się na Jeffreya, ale stał z nisko pochyloną głową.

- Zgwałcił? - wydusiła z siebie, gdyż to słowo zadźwięczało jej w umyśle jak zwielokrotnione echo dzwonu.

- Ty świnió! - wycodziła gruba do Jeffreya. - Mógłbyś się wreszcie zachować jak mężczyzna i przynajmniej raz w swoim zasranym życiu wziąć na siebie odpowiedzialność!

- Proszę... - wycodziła Sara, koncentrując się na sprawach, na które nie miała żadnego wpływu. - Jak może się pani tak wyrażać przy dzieciach?

- Niby jak?! - warknęła tamta. - Przecież chłopcy powinni znać swojego ojca. Mam rację, Erie? Nie chcesz poznać człowieka, który zgwałcił i zamordował twoją mamę?

Erie spojrział z zaciekawieniem na Jeffreya, ale ten stał z kamiennym wyrazem twarzy, bojąc się chyba nawet zerknąć na swego domniemanego syna.

- Wszystko w porządku? - zwróciła się Sara do chłopca, odgarniając mu przetłuszczone i pozlepiane włosy z czoła. Sądząc po wzroście, mógł być rówieśnikiem Jareda, ale wyglądał choro wicie. Miał na rękach i nogach dziwnie wyglądające siniaki. - Coś ci dolega?

- Ma złą krew - odparła kobieta. - Podobnie jak jego gówniany ojciec.

- Wynocha stąd! - warknął groźnie Jeffrey. - Nie macie prawa tu wchodzić!

- Pozwolisz, żeby Robert zapłacił za twoje grzechy, ty przeklęty tchórz?

- Nawet nie wiesz, o czym gadasz.

- Ale wiem, ile mnie kosztuje leczenie twojego gówniarza! - wrzasnęła gruba.

- Nikt w mojej rodzinie nie miał we krwi takiego gówna! - Obrzuciła chłopca nienawistnym spojrzeniem, jakby nie cierpiała nawet jego widoku. - Myślałeś, że śpię na forsie? Że stać mnie na to, żeby go wozić do szpitala na transfuzje, ile razy się przewróci?

- Spieprzaj stąd, bo wezwę Hossa! - odezwał się jeszcze ostrzej Jeffrey.

Oparła ręce na biodrach.

- No, dalej! Ściągnij go! I to szybko! Może wreszcie raz na zawsze wyjaśnimy sobie wszystko!

- Nie ma czego wyjaśniać - odparł. - Nic się nie zmieniło, Lane. Poza tym i tak nie możesz mi już nic zrobić.

- Dlatego, że tak mówisz?! Przecież wszyscy wiedzą, że ją zgwałciłeś!

- Okres przedawnienia w tej sprawie minął trzy lata temu - odrzekł stanowczo, a sam fakt, że znał odpowiedni przepis prawa, wywołał ciarki na grzbiecie Sary. - Nawet gdybyś znalazła jakieś dowody, nie możesz mnie nawet tknąć.

Kobieta wymierzyła tłusty paluch w jego twarz.

- To cię własnoręcznie zabiję, ty pierdolony łobuzie!

- Proszę pani - syknęła znowu Sara, trzymając ręce na ramionach Erica, jakby nie chciała go wypuścić z domu. Przysłuchiwał się tej wymianie zdań z obojętną miną, jakby przywykł, że dorośli zachowują się w ten sposób. Drugi chłopczyk, który został na podwórku, przesuwiał w powietrzu mały plastikowy samochodzik, cichym buczeniem naśladowując warkot silnika. - Jak pani może się tak wyrażać przy dzieciach?

- A kim ty niby jesteś, do cholery?! - ryknęła gruba. - Za kogo się uważasz, co?

Sara ledwo powstrzymała wybuch gniewu.

- To dziecko jest nie tylko chore, ale również brudne i zaniedbane. Jak może

go pani w ten sposób traktować? - Wskazała drugiego chłopca. - Tamten jest w podobnym stanie. Powinnam na panią nasłać opiekę społeczną.

- Śmiało! Nasyłaj! Myślisz, że się przestraszę? Najwyżej będę miała dwie gęby mniej do wyżywienia.

Mimo to wyciągnęła rękę i gestem przywołała do siebie Erica. Chłopiec usłuchał. Kiedy Sara chciała go ponownie złapać za ramiona, wyrwał się, musnęła tylko palcami jego koszulkę, spod której wyłoniły się na chwilę sine pręgi i poczerwiałe siniaki na plecach.

- Twój fagas zgwałcił moją córkę - oznajmiła kobieta.

Sarze aż się zakręciło w głowie. I ona musiała się oprzeć o ścianę, żeby nie stracić równowagi.

- Po tym gwałcie zaszła w ciążę. A kiedy poprosiła go o pomoc, zabił ją, więc na mnie spadło wychowywanie jego zasranego bękarta. - Znowu wymierzyła oskarżycielsko palec w twarz Jeffreya. - To jeszcze nie koniec!

- Owszem. Koniec - odparł.

- Powiedz temu swojemu pierdolonemu koleśowi, że jak go zobaczę na ulicy, będzie trupem.

- Może lepiej opowiem o wszystkim Hossowi i poproszę, żeby cię wpakował do aresztu za te pogróżki?

- Ty pieprzony tchórze! - syknęła po raz kolejny, wyginając usta w grymasie bezgranicznej pogardy. Zanim Jeffrey zdążył zareagować, splunęła mu w twarz. - Zobaczysz, że to jeszcze nie koniec! - powtórzyła, chwytając Erica za rączkę.

Mimo że był cały posiniaczony, nawet nie zaprotestował. Drugi chłopczyk błyskawicznie zawrócił w stronę samochodu, mając przy tym taką minę, jakby się cieszył, że teraz matka zawiezie ich na lody.

Jeffrey wyjął chusteczkę, rozłożył ją powoli i wytarł sobie twarz.

Minęło jeszcze parę minut, nim Sara odzyskała zdolność mowy. W uszach wciąż jeszcze miała niewiarygodne oskarżenia kobiety. W końcu wydusiła z siebie:

- Zechcesz mi w końcu powiedzieć, o co tu chodzi?

- Nie.

Rozłożyła szeroko ręce w bezsilnej złości, głęboko urażona.

- Jeffrey, przecież ona twierdzi, że zgwałciłeś jej córkę.

- A ty jej uwierzyłeś? - zapytał, patrząc jej prosto w oczy. - Naprawdę uwierzyłeś, że mógłbym kogoś zgwałcić? A potem zamordować?

Była zanadto oszołomiona, żeby się w ogóle zastanawiać nad taką możliwością. Oskarżenia pod adresem Jeffreya spadły na nią jak ciosy młotem, po których ciągle nie mogła dojść do siebie.

- Saro?

- Nie wiem... - Pokręciła głową. - Sama już nie wiem, w co mam wierzyć.

- W takim razie nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

- Zaczekaj! - zawołała i wybiegła za nim przed dom. - Jeffrey! - Ale nawet się nie obejrzał. Musiała podbiec, żeby go dogonić. - Powiedz coś.

- Po co? Wygląda na to, że już wyrobiłaś sobie opinię.

- Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, co się stało? Stał i odwrócił się do niej.

- A dlaczego ty nie możesz sobie odpuścić? Dlaczego nie umiesz mi po prostu zaufać?

- Tu nie chodzi o zaufanie - odparła. - Na Boga, ta kobieta się upiera, że zgwałciła jej córkę. Według niej Erie jest twoim synem.

- Gówno prawda! - warknął. - Myślisz, że mógłbym nie wiedzieć o tym, że mam syna? Wykluczone.

Natychmiast przypomniała sobie Jareda i ledwie się powstrzymała, by w przyływie złości nie wyjawić mu sekretu Neli.

- No co? - burknął, biorąc jej osłupienie za przejaw czegoś gorszego. - Wiesz, co ci powiem? Mam to wszystko gdzieś! - Ruszył dalej ulicą, kipiąc z wściekłości. - Łudziłem się, że jesteś inna. Miałem nadzieję, że tobie można zaufać.

- Powtarzam, że to nie jest kwestia zaufania.

- Kwestia! - syknął, przedrzeźniając ją. - Mam to gdzieś!

- Tak, to rzeczywiście odpowiedzialne zachowanie - mruknęła i podobnie przedrzeźniając go, dodała: - Mam to gdzieś!

Nie zareagował. Kiedy próbowała go złapać za rękę, wyszarpnął się i burknął:

- Może byś jednak zechciała zostawić mnie w spokoju?

- Niby dlaczego? Czyżbyś i mnie chciał zgwałcić? A potem udusić?

Widziała go już doprowadzonego do ostateczności, ale tym razem popatrzył na nią z tak zboląłą miną, że natychmiast pożałowała swoich słów.

Otworzyła już usta, żeby przeprosić, ale pokręcił tylko głową i uniósł palec, jak gdyby zamierzał jej pogrozić. Nie odezwał się jednak, tylko jeszcze raz pokręcił

głową i ruszył dalej, najwyraźniej zmierzając do domu matki.

- Cholera - syknęła Sara, opierając dłonie na biodrach.

Dlaczego wszystkie sprawy między nimi musiały się aż tak komplikować? Jak tylko zaczynało być dobrze, natychmiast pojawiał się ktoś, kto to niweczył. Mogła znieść wszystko, co ludzie o nim wygadywali, ale nie taką jego reakcją. Dlaczego nic nie chciał jej powiedzieć? Dlaczego bał się jej zaufać? Czyżby z tych samych powodów, dla których i ona nie do końca jemu ufała?

Neli siedziała na schodkach werandy, kiedy Sara skręciła z ulicy. Na jej widok podniosła się szybko, wyciągnęła ręce, jakby chciała ją zatrzymać, i rzekła:

- Widziałam samochód Lane Kendall przed domem Roberta. Co ci powiedziała ta stara krowa?

Sara chciała już odpowiedzieć, ale ku własnemu zaskoczeniu tylko się rozpląkała.

- Och, biedactwo - mruknęła Neli, biorąc ją pod rękę i prowadząc do drzwi. - Chodź. Tutaj. - Pociągnęła ją do saloniku i pchnęła w stronę kanapy. - Usiądź.

Sara klapnęła ciężko, a Neli usiadła obok i objęła ją. Sara poczuła się niezręcznie, ale zarazem była bardzo wdzięczna Neli za ten gest. Zapragnęła wyrzucić z siebie wszystko, co przed minutą chciała powiedzieć Jeffreyowi, ale wstrząsana spazmami szlochu, wychlipała tylko:

- Biedne... dzieci...

- Tak, wiem.

- Wyglądały na... takie brudne... i wygłodzone. - Neli cmoknęła i pokręciła głową. - Nawet boję się... o nich myśleć.

- Już dobrze - szepnęła Neli, głaszcząc ją po głowie. - Uspokój się.

- Co się stało? - spytała Sara błagalnym tonem. - Błagam, powiedz mi, co tu się stało.

- Spokojnie - powtórzyła Neli, sięgając po pudełko z papierowymi chusteczkami. Wyciągnęła jedną i podała ją Sarze. - Masz. Wytrzyj nos.

Posłusznie wysiękała nos, zawstydzona swoim wybuchem. Po chwili wyprostowała się, wzięła drugą chusteczkę, osuszyła oczy i szepnęła:

- Boże... Strasznie przepraszam...

- To cud, że nie załamałaś się wcześniej - odparła Neli, sama również ocierając oczy.

- Te dzieci... - mruknęła Sara. - Biedni chłopcy...

- Tak, wiem. I mnie coś skręca w środku, ilekroć ich widzę.

- Naprawdę nikt nie może nic na to poradzić?

- Mnie nie pytaj. Dałabym ogłoszenie do gazety, gdyby wierzyła, że ktoś zechce się nimi zaopiekować.

Sara miała ochotę się roześmiać, lecz nie dała rady.

- A co z opieką społeczną?

- Chcesz usłyszeć coś zabawnego? Popatrzyła na gospodynię.

- Ona sama kiedyś pracowała w opiece społecznej.

- Niemożliwe.

- Ale to prawda. Jakies piętnaście lat temu była rejonowym inspektorem Wydziału do spraw Rodzinnych i Opieki nad Dziećmi. Ale podczas któregoś wyjazdu na kontrolę miała wypadek samochodowy i zaskarżyła władze okręgowe, stanowe i chyba każde inne, jakie tylko mogła. Doszło do jakiejś ugody i od tamtej pory żyje z renty, w każdym razie nie brak jej pieniędzy.

- Więc na co je wydaje?

- Na pewno nie na dzieci - odparła z goryczą Neli. - Sęk w tym, że Lane świetnie zna przepisy i doskonale potrafi wykorzystywać tę wiedzę na własną korzyść. Opieka społeczna po prostu się jej boi. Gdyby Hoss nie zaglądał do niej od czasu do czasu, pewnie zamknęłaby obu chłopców w komórce i wyrzuciła klucz.

- Co jest temu młodszemu?

- Ma jakąś skazę krwi. Od najwcześniejszych lat trzeba mu było robić transfuzje.

- To hemofilia? - zapytała Sara, zachodząc w głowę, czy gospodyni nie pomyliła transfuzji z kroplówkami. Ale przecież nawet w takim miasteczku jak Sylacauga musieli być lekarze, którzy znali prawdę.

- Nie, to coś podobnego, ale nie hemofilia - odparła Neli. - Niemniej sędzę, że wszystkie rachunki są pokrywane z państwowej kasy.

Sara odchyliła się na oparcie kanapy, czując przemożne zmęczenie. Przez jakiś czas siedziały w milczeniu, wreszcie z niewiadomych powodów oznajmiła:

- Ja też zostałam zgwałcona. Wyjątkowo Neli skwitowała to milczeniem.

- Nigdy nikomu o tym nie mówiłam. To znaczy... nie mówiłam o gwałcie. Zawsze używałam innych określeń, że zostałam napadnięta albo pobita... - Na chwilę przygryzła wargi. - Ale to był gwałt.

Gospodyni nadal milczała.

- Zdarzyło się to, kiedy pracowałam w Atlancie - dodała Sara. - Jeffrey o niczym nie wie. - Zaczęła nerwowo skubać róg poduszki.

Neli dała jej jeszcze chwilę, po czym odparła cicho:

- Wygląda na to, że obie mamy przed nim swoje sekrety.

- Nigdy też nie czułam czegoś podobnego w stosunku do żadnego mężczyzny.

W stosunku do nikogo... - Gorączkowo usiłowała dobrać właściwe słowa. - Mam wrażenie, że przy nim tracę panowanie nad sobą, jakby niezależnie od tego, co mi podpowiada zdrowy rozsądek, gdzieś z podświadomości zawsze wypływał stanowczy nakaz: „Nie słuchaj ich. Przecież nie możesz żyć bez niego”.

- Wiem, jak on działa na kobiety.

- Chciałam tylko... - rozłożyła bezradnie ręce. - Sama już nie wiem, czego chciałam. - Znowu zaczęła skubać róg poduszki. - Nawet nie umiem powiedzieć mu prosto w oczy, że go kocham, ale ilekroć go widzę czy choćby o nim pomyślę...

Neli wyciągnęła z pudełka następną chusteczkę i podała ją Sarze.

- Nigdy w to nie wierzyłam - powiedziała. - W to, co wygadywali o nim i Julii.

- To znaczy?

- Że Jeffrey i Robert zgwałcili ją w lesie.

Sara przygryzła dolną wargę. Neli powiedziała to spokojnie, wyważonym tonem, ale jej słowa i tak wywarły piorunujący efekt. Słowo „gwałt” samo z siebie kojarzyło się Sarze z najbardziej wulgarnym rodzajem przekleństwa.

- Julia była dziwką - ciągnęła Neli. - Choć to niczego nie wyjaśnia. Do diabła, moja siostra Marinell puszczała się chyba bardziej od niej, ale przynajmniej się tym nie chwaliła na lewo i prawo.

- Powiedz mi całą prawdę - poprosiła Sara. - Bo Jeffrey w ogóle nie chce rozmawiać na ten temat.

Neli wzruszyła ramionami.

- Po prostu zabawiała się z chłopakami. Nie wiem, może teraz to brzmi strasznie, ale wtedy nikt nie przywiązywał do tego aż takiej wagi. - Urwała na chwilę, po czym dodała: - Prawdę mówiąc, wszystkie to robiłyśmy, tyle że w tajemnicy.

- Tak, chyba rozumiem - wtrąciła Sara, przypomniawszy sobie, jak długo strach nie pozwalał jej pójść do łóżka ze Steve'em Mannem i jak palący wstyd pozbawił ją wszelkiej rozkoszy, kiedy się w końcu na to zdecydowała.

- Julia nie była zbyt ładna - mówiła dalej Neli. - Nie była też brzydka, tylko miała w sobie coś, co zniechęca chłopców do dziewcząt, jakiś rodzaj desperacji, który

kazał jej Ignąć do każdego, kogo tylko, jak jej się wydawało, mogła uszczęśliwić. - Obejrzała się na wiszące na ścianie rodzinne fotografie. - Czasem gdy patrzę na Jen, serce mi się ściska, bo wyczuwam u niej taką samą potrzebę. Jest na to jeszcze za młoda, ale już byłaby gotowa zrobić wszystko, byle tylko zaskarbić sobie naszą aprobatę.

- Większość dziewcząt w tym wieku reaguje podobnie.

- Poważnie?

- Oczywiście. Tylko niektóre lepiej to ukrywają.

- Ciągle jej powtarzam, że jest ładna. A Opos ma kompletnego świra na jej punkcie. Na zakończenie szkoły w ubiegłym roku porwał Jen do tańca i nie chciał jej puścić. A żebyś widziała, jak wyglądał w błękitnym smokingu.

Sara zaśmiała się mimo woli, wyobrażając sobie Oposa w takim stroju.

- Na razie wciągnęło ją uprawianie sportów. Koszykówka, baseball. Znalazła sobie coś, czym może się odróżniać od innych dziewcząt.

Sara pokiwała głową, przypomniawszy sobie wyniki badań psychologicznych, według których dziewczęta uprawiające sport mają zdecydowanie więcej pewności siebie.

- Kiedy myślę o swojej młodości - powiedziała - to dziękuję Bogu, że mam taką matkę. - Znów zaśmiała się cicho. - Kiedyś nie wierzyłam w ani jedno jej słowo, chociaż wciąż powtarzała, że będę mogła w życiu zdobyć wszystko, co mi się tylko zamarzy.

- Najwyraźniej utkwilo to gdzieś w twojej podświadomości - odparła Neli. - Trudno się dostać na studia medyczne tylko za ładne oczy.

Sara poczuła, że się rumieni lekko.

- W każdym razie - ciągnęła Neli, składając i rozkładając papierową chusteczkę - Julia była takim typem luzaczki. I nie robiła z tego żadnej tajemnicy. Uważała to za powód do dumy, że chłopcy chcą z nią chodzić, jakby myślała, że wszyscy ją kochają albo że staje się przez to kimś wyjątkowym. Tymczasem zwyczajnie obciążała chłopakom po lekcjach na tyłach sali gimnastycznej i nie było w tym niczego wyjątkowego. Oczywiście, pomijając fakt, że się tym przechwalała.

- Czy kiedykolwiek chodziła z Jeffreyem?

- Mam powiedzieć prawdę?

Sara w osłupieniu przytaknęła ruchem głowy.

- Otóż prawda jest taka, że nie wiem. Nie widzę jednak powodu, dla którego

miałby z nią chodzić. Wtedy już dość regularnie sypialiśmy ze sobą. - Neli zaśmiała się nerwowo. - Ale z chłopakami w tym wieku nigdy nic nie wiadomo, prawda? Słyszałaś, żeby szesnastolatek przepuścił okazję pójścia z kimkolwiek do łóżka? Do cholery, większość dorosłych facetów nie przepuściłaby takiej okazji. Seks to seks, a oni są gotowi prawie na wszystko, żeby dopiąć swego.

- I nigdy go nie pytałaś, co się naprawdę stało?

- Prawdę mówiąc, nie miałam odwagi. Teraz na pewno zapytałabym bez wahania, ale wiesz, jak to jest, kiedy się ma kilkanaście lat. Człowiek boi się powiedzieć cokolwiek, co mogłoby ich wkurzyć, bo a nuż natychmiast zerwą i poszukają sobie nowej zdobyczy.

- Kto miałby być tą nową zdobyczą?

- Wtedy myślałam, że Jessie, chociaż teraz jestem pewna, że nigdy nie zrobiłby takiego świństwa Robertowi. - Neli podwinęła pod siebie nogi i usiadła po turecku. - Jeśli chcesz znać moją prywatną opinię, to sądzę, że w ogóle nie byłby zdolny do gwałtu. Już wtedy odznaczał się intuicją, jakimś szóstym zmysłem, który zawsze pozwalał mu odróżnić dobro od zła.

- A myślałam, że bez przerwy pakował się w kłopoty.

- Bo i tak było, ale świetnie wiedział, że postępuje źle. To mnie właśnie przy nim trzymało. Wiedziałam, że ma pełną świadomość tego, co robi, tylko musi dojrzeć do etapu, kiedy wreszcie zacznie słuchać wewnętrznego głosu rozsądku. - Zamilkła na krótko i dodała: - Bo głos rozsądku każdego człowieka jest dużo mądrzejszy, niż mu się wydaje.

Sara nagle przypomniała sobie wieczorną rozmowę z matką.

- Mój głos rozsądku podpowiada mi, że powinnam mu zaufać.

- Mój też - odparła Neli. - Pamiętam, jak Julia przyszła do szkoły i zaczęła rozpowiadać na lewo i prawo, że poprzedniego dnia została zgwałcona. To było okropne. Mówiła o tym każdemu, kto tylko chciał jej słuchać. I jak to z plotkami bywa, jeszcze przed przerwą śniadaniową byliśmy wszyscy przeświadczeni, że jest podrapana i posiniaczona. - Znów urwała na chwilę. - Kiedy ją w końcu zobaczyłam w korytarzu, od razu mnie uderzyło, że wcale nie wygląda na zmartwioną. Raczej cieszyła się, że wzbudza powszechne zainteresowanie. - Wzruszyła ramionami. - Sęk w tym, że od początku kłamała. Właśnie po to, żeby zwrócić na siebie uwagę i wzbudzić litość. Dlatego nikt jej nie wierzył. Podejrzewam, że ona sama nie wierzyła w swoją bajeczkę.

- Co dokładnie powiedziała?

- Że Robert zaciągnął ją do jaskini i spoił piwem, żeby ją rozluźnić.

- Nie było przy tym Jeffreya?

- Nie, pojawił się w tej opowieści dopiero później. Bo cała ta bajeczka, jak to zwykle bywa, szybko zaczęła żyć własnym życiem. Jeffrey zarzekał się, że był z Robertem w tym czasie, kiedy miało dojść do gwałtu, i dopiero wtedy Julia podchwyciła, że niech sobie gada, co chce, bo przecież on także był przy tym i zgwałcił ją po Robercie.

- Zmieniła swoją historyjkę?

- Przynajmniej tak słyszałam, ale wiesz, jak to jest z plotkami.

Niewykluczone, że od początku gadała, że zrobili to obaj, tylko do mnie dotarła trochę inna wersja.

W każdym razie zrobiło się zamieszanie. Pod koniec dnia krążyły już plotki, że to był zbiorowy gwałt bandy chłopaków z Comer. Paru takich w gorącej wodzie kąpanych chciało już organizować wyprawę, żeby dać tamtym nauczkę. Ludzie są przeczuleni w pewnych sprawach.

- A policja? - zaciekała się Sara. - Hoss...

- Jasne, że wezwano Hossa. Któryś z nauczycieli usłyszał, że doszło do gwałtu, i wezwał szeryfa.

- I co?

- Hoss przypuszczalnie ją przesłuchał. Doskonale wiedział, gdzie mieszka Julia. Tuż przed śmiercią jej ojca chyba nie było weekendu, żeby nie musiał interweniować z powodu awantur i bójek między nim a Lane.

- Rozmawiał też z Jeffreyem i Robertem?

- Raczej tak - burknęła Neli, jakby nie była pewna. - W każdym razie Julia bardzo szybko odszczekała swoje oskarżenia po interwencji Hossa. W ogóle przestała w szkole mówić o gwałcie, przestała się nawet zachowywać jak ciężko pokrzywdzona. Niektórzy próbowali jeszcze coś z niej wyciągnąć, wcale nie dlatego, że się nią przejmowali, tylko po to, żeby narobić większego skandalu, ale z nikim nie chciała rozmawiać. Do nikogo się nie odzywała. A jakiś miesiąc później wyjechała.

- Dokąd?

- Chyba gdzieś, gdzie mogła w spokoju urodzić dziecko. Lane już wtedy była strasznie gruba i nikt niczego nie podejrzewał, gdy zaczęła rozpowiadać, że znowu jest w ciąży. Dopiero co owdowiała i wszystkim było jej żal. - Neli zawiesiła głos. -

Bogiem a prawdą, ludzie odetchnęli z ulgą, gdy stary Kendall umarł. To był chodzący koszmar, Lane nawet do pięć mu nie dorasta. Moim zdaniem, był jeszcze gorszy niż ojciec Jeffreya. Zwyczajny, odrażający zbir.

- Ile mieli dzieci?

- Według ostatniej rachuby sześcioro.

- Ten chłopczyk, którego dziś widziałam, Sonny, to najmłodsze?

- Nie, to ich kuzyn. Nie potrafię zrozumieć, jak ktoś mógł go oddać pod opiekę Lane. Bo ona wzięła go pewnie po to, by mieć wyższą rentę.

- To niewiarygodne - przyznała Sara, zachodząc w głowę, jak w ogóle można było dopuścić, żeby ktoś taki wychowywał dzieci.

- Julia wróciła po dziewięciu czy dziesięciu miesiącach i razem z nią pojawił się Erie, z pozoru jej młodszy braciszek.

- Naprawdę nikt niczego nie podejrzewał?

- A jeśli nawet, co by z tego przyszło? - zapytała Neli. - Zresztą, po kilku tygodniach Julia znowu zniknęła. Ludziom łatwiej się było pogodzić ze świadomością, że to Lane jest matką Erica, a Julia po prostu gdzieś wyjechała. Dan Phillips, jeden z zawodników ówczesnej drużyny piłkarskiej, też zniknął mniej więcej w tym samym czasie, więc na nowo pojawiły się plotki. Ale szybko ucichły. Nikt nie chciał sobie tym zawracać głowy.

Neli wychyliła się z kanapy i podniosła jeden z albumów ze zdjęciami, leżących na półce pod stolikiem. Przerzuciła kilka kartek, aż znalazła zdjęcie, którego szukała.

- To ona. Ta z tyłu.

Sara popatrzyła na fotografię przedstawiającą Oposa, Roberta i Jeffreya na trybunie stadionu. Wszyscy mieli na sobie piłkarskie koszulki z wielkimi numerami i nazwiskami na piersi. Jeffrey obejmował Neli, a ona tuliła się do jego ramienia. Wyglądali jak zakochane gołąbki. Mimo woli poczuła ukłucie zazdrości.

- Ten łotr nigdy nie pozwolił mi włożyć swojej koszulki - powiedziała Neli.

Sara zaśmiała się, ale w głębi ducha przyjęła to z ulgą. W szkole średniej noszenie sportowej koszulki chłopaka było cenione tylko niewiele mniej od noszenia jego sygnetu. Był to nie tylko symbol uczucia łączącego parę, ale przede wszystkim sposób wzbudzania zawiści koleżanek.

Jakby czytając w jej myślach, Neli zapytała:

- A ty czyj sygnet nosiłaś?

Sara znów poczuła, że się rumieni, ale tym razem ze wstydu. Przypomniała sobie sygnety Steve'a Manna, ciężki kawałek złota z wytłoczoną podobizną króla szachowego, który nie mógł się nawet równać z sygnetami chłopaków z drużyn futbolowych czy koszykarskich. Nie znosiła go i ściągnęła z palca raz na zawsze, jak tylko przeniosła się do Atlanty. Minęły aż trzy miesiące, nim zebrała się na odwagę i zapakowała do koperty razem z krótkim liścikiem, w którym zawiadamiała Steve'a o zerwaniu. Na swą korzyść zaliczała to, że przeprosiła go osobiście rok później, i prawdopodobnie zapomnieliby o całej sprawie, gdyby nie musiała wracać do okręgu Grant po tym, co ją spotkało w Atlancie.

Neli chyba mylnie odebrała jej milczenie, najwyraźniej doszła do wniosku, że Sara nie miała podobnych doświadczeń w szkole średniej, gdyż mruknęła:

- No cóż, może to i głupota. Jeffrey nie nosił jeszcze wtedy sygnetu, nie było go na to stać, ale wszystkie dziewczyny paradowały z nimi na palcach, jakby to były pierścionki zaręczynowe. - Zaśmiała się krótko. - Był tylko jeden sposób, żeby utrzymać go na palcu. Trzeba było podkleić go od środka taśmą samoprzylepną, zużywając na to co najmniej pół rolki.

Sara uśmiechnęła się szeroko, bo stosowała dokładnie tę samą metodę.

Neli znów pochyliła się nad albumem i pokazała palcem:

- To Julia.

Z tyłu za trójką chłopców stała trochę niewyraźna postać dziewczyny.

Sądząc po opisie Neli, Sara spodziewała się raczej odpychającego widoku, ale Julia wyglądała jak przeciętna nastolatka z tamtego okresu. Miała proste włosy, długie do pasa, i była ubrana w letnią sukienkę w kwiatki. Uderzał dziwny smutek malujący się na jej twarzy i tak jak przed chwilą poczuła ukłucie bezpodstawnej zazdrości, teraz ogarnęło ją współczucie dla biednej dziewczyny. Neli podniosła głowę znad albumu i zauważyła:

- Kiedy patrzę na nią po latach, wcale nie wygląda tak źle, prawda? Tyle że wygląd nic nie mówi o osobowości człowieka.

- To prawda - przyznała Sara, uznając Julię za dość atrakcyjną. Nie mogła się jednak uwolnić od myśli o tym, w jakich warunkach się wychowywała. - Wobec niej ojciec też stosował przemoc?

- Tłukł ją przy byle okazji.

- Nie o to mi chodziło.

- Ach, rozumiem... - Neli zamyśliła się na chwilę. - Nie mam pojęcia, ale

wcale by mnie to nie zdziwiło.

- Masz jakieś podejrzenia, kto mógł być ojcem jej dziecka?

- Żadnych. Gdyby spisać listę wszystkich, z którymi się zadawała, znalazłaby się na niej połowa mieszkańców tego miasta. - Spojrzała na nią z uniesionymi brwiami. - Nie wyłączając Reggiego Raya.

- Przecież był dużo młodszy od niej.

- I co z tego?

Sara zamyśliła się na chwilę i powiedziała:

- Z tego, co mówiła Lane, Erie często trafia do szpitala na zabiegi. Musi mieć jakiś problem z krzepliwością krwi. Albo jest to efekt recesji autosomalnej, albo przenoszona cecha dominująca. - Dostrzegłszy zdumienie na twarzy Neli, wyjaśniła szybko: - Przepraszam. Chodzi o to, że prawdopodobnie jest to zaburzenie genetyczne. Jego podłoże musi tkwić w zaburzeniach produkcji jednego z dwóch białek odpowiadających za krzepliwość krwi.

- Czy coś z tego wynika?

- Zaburzenia krzepliwości krwi zwykle dziedziczy się po rodzicach.

- Aha.

- Nie wiesz, czy Julia też cierpiała na coś podobnego?

- Nie sądzę - odparła gospodyni. - Pamiętam, jak kiedyś na zajęciach plastycznych wbiła sobie w palec czubek nożyczek. Nie wiem, czy był to wypadek, w każdym razie nie krwawiła dłużej niż każdy inny zdrowy człowiek.

- Gdyby miała coś w rodzaju choroby von Willebranda, urodzenie dziecka bez specjalistycznego nadzoru lekarskiego zagrażałoby jej życiu. Poza tym jej rodzeństwo także musiałyby mieć podobne zaburzenia, a sądząc z tego, co mówiła Lane, w ich rodzinie nie było podobnych przypadków.

- A więc zmierzasz do wniosku, że mały odziedziczył tę chorobę po ojcu? - podchwyciła Neli. - Nie słyszałam, by ktoś inny w mieście miał tego typu problemy. - Urwała na chwilę i dodała: - Na pewno nie Robert. Nieraz odnosił różne kontuzje na boisku i zawsze szybko się z nich wylizywał.

- Jeffrey też ich nie ma - rzekła z naciskiem Sara. Przypomniała sobie, jak niedawno pobierała mu krew do badania. Miejsce ukłucia krwawiło tylko chwilę. Znów ogarnął ją wstyd. W głębi ducha była przeświadczona o niewinności Jeffrey'a, mimo to przyjęła z wielką ulgą, że ma na to niezaprzeczalny dowód.

- Jak chcesz, mogę popytać - zaproponowała Neli.

- Takie schorzenia często ujawniają się stopniowo. Część ludzi może nawet nie wiedzieć, że coś im dolega. Kobiety dowiadują się znacznie szybciej ze względu na cykl menstruacyjny. Zazwyczaj wtedy wychodzą na jaw problemy z krzepliwością krwi. Tym bardziej należy więc zakładać, że Erie odziedziczył to schorzenie po ojcu.

- Zatem byłoby to jak szukanie igły w stogu siana - podsumowała Neli. - Kto wie, może Dan Phillips cierpi na taką chorobę? To ten, który wyjechał mniej więcej w tym samym czasie, co Julia. - Znowu przerzuciła parę kartek w albumie. - O, to on. - Wskazała chłopaka stojącego w drugim rzędzie na grupowym zdjęciu drużyny piłkarskiej.

- Nie prezentuje się jak zawodnik - oceniła Sara. Phillips należał do najszcuplejszych na zdjęciu. Miał gęste ciemne włosy zaczesane gładko do tyłu. Wyglądał na zdrowego i normalnie rozwiniętego, chociaż na podstawie jednej fotografii trudno było o czymkolwiek przesądzać.

- Brał głównie udział w treningach do pozoracji bloku przeciwnika. Dla niego przynależność do drużyny i dżersejowa koszulka piłkarska były już szczytem marzeń. Gdy w dniu rozgrywek wchodziło się do jakiegokolwiek sklepu, faceci nie gadali o niczym innym, tylko o meczu, jakby chodziło o finał mistrzostw kraju.

- Takie to były czasy - odparła Sara, wspominając identyczne dyskusje w Heartsdale. Odwróciła kartkę i popatrzyła na dalsze zdjęcia. Zwróciła uwagę na czarno-białą fotografię Jareda pochodzącą sprzed kilku lat. - Wyrósł na bardzo przystojnego chłopaka.

- Nie chcesz chyba powiedzieć o nim Jeffreyowi, prawda? - zapytała Neli, uśmiechając się smutno. - Zresztą, nie musisz odpowiadać. - Wzięła od niej album, zamknęła go i odłożyła na półkę pod stolikiem. - Nadal chcesz jak najszybciej stąd wyjechać?

- Sama nie wiem.

- Zostań jeszcze. - Neli poklepała ją po kolanie. - Upiekę dzisiaj placek kukurydziany.

- Gdzie jest Robert?

- Opos zabrał go do sklepu, żeby kupić jakieś ubrania, bo Robert nie chciał nawet słyszeć o powrocie do domu, a Bóg jeden wie, co Jessie zrobiła z jego rzeczami u matki.

- A co z nim?

- Wylize się.

- Nie o to mi chodziło. Rozmawialiśmy tylko o Jeffreyu. Czy kiedykolwiek podejrzewałaś, że Robert mógł mieć coś wspólnego z tym, co spotkało Julię?

Neli zamyśliła się głęboko.

- Zawsze był bardzo tajemniczy.

- W tej sprawie?

- Może „tajemniczy” to złe słowo, jakby rzeczywiście miał coś do ukrycia. Był dyskretny. Rzadko mówił o swoich uczuciach.

- Podobnie jak Jeffrey.

- Nie, zupełnie inaczej. Jak gdyby nie życzył sobie, by ktoś za bardzo się do niego zbliżył. - Wyprostowała się i odchyliła na oparcie kanapy. - Wszyscy uważali, że z tej trójki to Opos trzyma się trochę na uboczu, ale teraz myślę, że bardziej od niego izolował się Robert. Nigdy do końca nie wpasował się do tej paczki. Co prawda Jeffrey traktował go jak brata, ale Robert zawsze reagował tak, jak ci już wcześniej mówiłam. Czekał, żeby zobaczyć, co Jeffrey kombinuje, dopiero później przyłączał się do niego.

- To dość normalne u nastolatków.

- Ale w ich relacji było coś więcej. Kiedy Jeffrey pakował się w kłopoty, Robert zawsze był gotów wziąć winę na siebie. Z własnej woli robił z siebie zawór bezpieczeństwa, a Jeffrey z ochotą się na to godził. - Neli spojrzała na nią. - I gdy tylko Jeffrey wyjechał, Robert w taki sam sposób związał się z Hossem. Gotów był za każdego z nich nadstawić głowę. Wcale nie przesadzam.

Sara zamyśliła się na chwilę.

- Zeznał wczoraj, że to on zamordował Julię.

Na twarzy Neli odmalował się dziwny wyraz, którego Sara nie potrafiła jednoznacznie zdefiniować. I również dość dziwnym głosem Neli mruknęła:

- O tym jeszcze nie słyszałam.

- Ja też dowiedziałam się dopiero dzisiaj.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Jeffrey odnalazł starego chowoleta matki na parkingu przed szpitalem. May Tolliver mogła śmiało chodzić do pracy na piechotę, wołała jednak nie tracić ani jednej bezcennej minuty do swojego pierwszego drinka po zakończeniu pracy w szpitalnym bufecie.

Jak zwykle wóz miał opuszczone szyby, żeby, stojąc na słońcu, nie nagrzał się za bardzo w środku. Ale i tak ledwie Jeffrey otworzył drzwi, uderzyła go fala gorąca

przepelnionego zatęchłym odorem dymu papierosowego. Wiedział, że matka zawsze trzyma zapasowe kluczyki w schowku pod deską rozdzielczą i wygrzebał je szybko spod sterty religijnych broszurek i reklamówek, które zapewne wyciągała zza wycieraczek. Była nałogową palaczką i alkoholniczką, ale zawsze starała się utrzymywać wokół siebie porządek.

Silnik zaskoczył dopiero po dłuższym czasie, gdy kilka razy docisnął pedał gazu do podłogi. Strzepnął popiół z osłony skrzyni biegów, zanim włączył wsteczny. Szyby były aż poszarzałe od nikotyny, toteż przetarł je trochę chusteczką, wyjeżdżając powoli z parkingu. Wiedział, że jeśli nawet nie zdąży wrócić przed wyjściem matki ze szpitala, to ona z pewnością skojarzy brak samochodu z jego pobytem w mieście i nie zgłosi kradzieży. W młodości często pożyczał sobie jej wóz i nigdy nie usłyszał z tego powodu jednego złego słowa. Nawet wtedy, gdy dwa razy zastępcy szeryfa zatrzymali go za prowadzenie bez prawa jazdy, zawsze twierdziła stanowczo, że zgodziła się, by skorzystać z jej samochodu.

Ruszył powoli przez miasto, nie mając przed sobą żadnego konkretnego celu. Wszystko się w nim kurczyło, jakby właśnie dowiedział się o śmierci bliskiej osoby. Znowu doskwierało mu stare przeświadczenie, że życie wymyka mu się spod kontroli. Był niczym oko cyklonu, który przynosi wyłącznie zniszczenie.

Nie mógł się pogodzić z tym, że przez tyle lat Robert żył z podejrzeniami, iż to on zabił Julię Kendall. Jeszcze w gabinecie Hossa, kiedy Robert zapytał o to wprost, był zbyt oszołomiony, żeby zareagować inaczej jak wściekłością. A później, gdy stanowczo zaprzeczył i próbował wytłumaczyć, jak było naprawdę, przyjaciel tylko smutno pokręcił głową, jak gdyby nie chciał słuchać żadnych bajeczek wymyślonych naprędce w celu ukrycia prawdy.

- To bez znaczenia - powtórzył w końcu. - I tak wezmę wszystko na siebie.

Uprzytomnił sobie, że dotarł do domu pogrzebowego, w ostatniej chwili szarpnął kierownicą i zjechał z autostrady. Wjechał na prywatny parking na tyłach budynku, mając nadzieję, że White nie każe odholować chevroleta. Pomyślał, że ma już dość korzystania z cudzych samochodów albo czyichś butów, do czego był ostatnio zmuszony. Marzył mu się powrót do własnego domu i spędzenie nocy we własnym łóżku. Chciał znowu być sam. Pewnie dlatego pomyślał o jaskini, jedynym miejscu tutaj, gdzie mógł znaleźć trochę spokoju.

Nikt nie wyszedł z budynku, żeby zwrócić mu uwagę, toteż wysiadł i ruszył przez cmentarz. Gdzieś na tym wzgórzu znajdował się grób jego dziadka, ale ojciec

nigdy mu go nie pokazał. Dobrze znając charakter ojca, mógł się domyślać, że zaczerpnął on wzorce wychowywania dzieci od swojego ojca, toteż o dziadku również nie potrafił myśleć z życzliwością. Nigdy nie odczuwał kierującej wieloma mężczyznami potrzeby przekazania swojego genotypu następnemu pokoleniu, będącej motorem tęsknoty za synem. Może w jego wypadku natura dążyła do skorygowania błędu i dlatego zaliczał się do mężczyzn, którzy w ogóle nie chcieli mieć dzieci.

Idąc przez las, nie potrafił się uwolnić od myśli o Sarze i o tym, jak go potraktowała. Oczywiście dała wiarę we wszystko, co usłyszała od Lane Kendall, nawet nie biorąc pod uwagę możliwości, że tamta kłamie jak z nut. Wciąż palił go ów wstyd, który stara zwałała mu na głowę przed laty, rozpowiadając na lewo i prawo po całym mieście, jakby nie miała nawet cienia wątpliwości, że naprawdę zgwałcił jej córkę, chociaż opowieść Julii od początku nie trzymała się kupy, w dodatku zmieniała ją tyle razy, że sama nie mogła za tym nadążyć.

Bo czym, w gruncie rzeczy, był gwałt? Ludzie wyobrażali go sobie jako brutalne i bezwzględne działanie obłąkanego psychopaty, zmuszającego ofiarę do rozłożenia szeroko nóg pod groźbą uczynienia jej straszliwej krzywdy. Julia zadawała się z wieloma chłopakami i nie było się co łudzić, że wszystko robiła z własnej i nieprzymuszonej woli. Desperacko poszukiwała miłości i zrozumienia, traktując seks jako jedną z podstawowych metod osiągnięcia celu. Prawdopodobnie większość jej partnerów zdawała sobie z tego sprawę, ale w wieku kilkunastu lat nikt się tym nie przejmował. Jeśli tylko dziewczyna zaudowała, każdy brał to, na czym mu zależało. Parę ciepłych słów pod adresem Julii czy przytulenie jej na kilka minut całkowicie wystarczało do osiągnięcia celu. W szkole krążyły nawet dowcipy na ten temat, chłopcy robili zakłady, któremu szybciej uda się ściągnąć z niej majtki. Ale nawet takie żarty urwały się jak nożem uciął, gdy dziewczyna przyszła do szkoły z tym cholernym wisiorkiem na szyi i zaczęła się zachowywać tak, jakby wreszcie znalazła upragnioną miłość. Ten biedny palant, który dał jej łańcuszek, pewnie narobił w gacie, jak tylko zaczęła się nim przechwalać.

Może ktoś poczuł się winny, że bezczelnie ją wykorzystał i na przykład spuścił jej się w usta, mając pełną świadomość, że nie sprawiło jej to wielkiej radości? Każdy mężczyzna miał zapewne kiedyś do czynienia z kobietą nie do końca gotową na jego przyjęcie. On sam poprzedniego wieczoru, mimo że był nieźle wstawiony, jakimś cudem zdołał nakłonić Sarę do uległości. Był po prostu tak zdesperowany, że w chwili, gdy wszystko zaczęło układać się po jego myśli, musiał sobie ulżyć, ani trochę

nie licząc się z tym, że ona tylko wyrządza mu przysługę.

Julia Kendall nazywała to właśnie „wyrządzeniem przysługi”. Jeffrey wciąż pamiętał, jak patrzyła na niego tamtego dnia, gdy obracając w palcach pozłacany wisiołek, zagadnęła:

- Cześć, Spryciarzu. Nie chcesz, żebym wyrządziła ci przysługę?

Wyszedł z lasu i stanął przed wylotem jaskini. Deski zasłaniające wejście były wyłamane, zapewne zrobił to Hoss, gdy przyjechał po szkielet. Po szczątki Julii. Ta myśl sprawiła, że zawahał się, jakby miał wejść do otwartego grobu, w który przemieniła się jego kryjówka z dzieciństwa. Po chwili wkroczył jednak ostrożnie do środka, nadal przekonany, że to teraz najlepsze miejsce dla niego.

Usiadł na kanapie i znowu powędrował myślami do Sary. W końcu dlaczego miałyby nie wierzyć w jego winę? Ludzie na każdym kroku mówili jej o nim najgorsze rzeczy, w dodatku niektóre prawdziwe. Bóg jeden raczył wiedzieć, co Neli wkładała jej teraz do głowy. Kiedy Julia zniknęła, ona również zaczęła go traktować inaczej, wyraźnie odsunęła się od niego, jak gdyby przekonana, że nie może mu już ufać. Trzy tygodnie przed końcem roku szkolnego całkiem z nim zerwała, wrzeszcząc na niego na sali gimnastycznej jak na bezpańskiego kundla. I od tamtej pory pałała do niego nienawiścią, chociaż nadal nie wiedział, o co jej chodziło.

Kiedy wówczas wybiegł z sali gimnastycznej, omal nie zderzył się z Julią. Wróciła właśnie po dłuższej nieobecności i szła do domu, żeby pomóc matce zajmować się najmłodszym braciszkiem. Lane Kendall niedawno owdowiała i potrzebowała każdej pomocy, jaką tylko mogła uzyskać. Nawet po tych fałszywych oskarżeniach o gwałt, jakimi Julia wcześniej obrzuciła jego i Roberta, kiedy nagle wpadł na nią - prawie dosłownie, gdyż stała tuż za drzwiami - zapytała słodkim głosikiem, czy nie chce, żeby mu wyrządziła przysługę. Rzucił wtedy z głupia frant:

- Jasne!

O rzekomym gwałcie nikt już nie pamiętał, bo plotki szybko przycichły, kiedy wyjechała z miasta. Zresztą i tak nikt za bardzo w to nie wierzył. W końcu sypiała z tyloma chłopakami, że wydawało się nieprawdopodobne, by nie robiła tego z własnej woli. A po co ktoś miałby ją gwałcić, jeżeli nie trzeba było wiele zachodu, żeby oddała się dobrowolnie?

- Przepraszam za to, co kiedyś wygadywałam - powiedziała, gdy szli przez las do jaskini. - Nie chciałam cię wpakować w żadne kłopoty.

- I nie wpakowałeś. Zaśmiała się.

- Tego byłam pewna. Stary Hoss nie pozwoli nikomu zrobić ci krzywdy.

Nie odpowiedział. Kiedy wyszli na polanę, odgarnął pędy winorośli.

- Ale tam jest ciemno - zaprotestowała.

- Więc jak? Chcesz to zrobić czy nie? - zapytał, popychając ją lekko do środka.

Miał wtedy siedemnaście lat i całkiem obca była mu sztuka misternego uwodzenia kobiet. Kiedy krew zaczynała mu szybciej krążyć w żyłach, nie był w stanie nawet myśleć logicznie. Kiedy stał przed jaskinią i myślał tylko o tym, że za chwilę Julia zrobi to, czego Neli uparcie mu odmawiała, tak się podniecił, że spodnie nagle stały się za ciasne, ledwie mógł się w nich ruszać.

- Wciąż jesteś na mnie zły? - zapytała z tajemniczym uśmieszkiem, zerkając właśnie na jego spodnie wybrzuszone w kroku. - To może nie powinnam tu z tobą wchodzić?

- Jak sobie chcesz - mruknął i dał nura do jaskini, już niemal tak obolały w kroku, że z trudem łapał oddech.

Teraz rozejrzał się, próbując sobie przypomnieć, co czuł, kiedy przyprowadził tu Sarę. Na pewno był przy niej dużo swobodniejszy niż przed laty przy Julii. Bo ta, gdy tylko weszła za nim do środka, od razu zaczęła płakać, tłumacząc, jak zabagniła sobie życie, przeprasząc za oskarżenia skierowane pod adresem jego i Roberta. Wpadł wtedy w złość, bo ani w głowie mu była rola jej powiernika. Zależało mu wyłącznie na tym, żeby go obsłużyła.

Kiedy poprosiła, by ją pocałował, odmówił. Jej grube pełne wargi wydawały mu się odrażające, poza tym nie mógł się uwolnić od myśli, ilu chłopaków wtykało między nie swoje członki. Po paru minutach kazał jej się wynosić i zostawić go w spokoju, a gdy nie chciała wyjść, sam wybiegł z jaskini. To było jego ostatnie spotkanie z Julią Kendall. Kiedy znów ujrzał ją tutaj po latach, była już tylko szkieletem na wpół leżącym na występie skalnym, jakby wtedy postanowiła się zdrzemnąć na chwilę i zaczekać na jego powrót.

Teraz najważniejsze pytanie brzmiało: czy Robert naprawdę ją zamordował? Wszyscy słyszeli, z jaką nienawiścią się o niej wypowiadał, kiedy rozpowszechniała plotki o gwałcie. W przeciwieństwie do Jeffreya, który uznał po prostu, że Julia chce za wszelką cenę ściągnąć na siebie uwagę, Robert wściekał się na nią, pozwalając, by coraz bardziej paląca nienawiść stopniowo zżerała go od środka. Jeffrey zaś w ogóle nie wziął sobie do serca tych oskarżeń, świetnie wiedząc, że są całkiem

bezpodstawne. Zresztą, miał już w perspektywie wyjazd do college'u w Auburn. Kiedy teraz o tym rozmyślał, przyszło mu do głowy, że nienawiść Roberta mogła być wynikiem poczucia winy. Przecież ktoś w końcu musiał być ojcem dziecka Julii.

Zaczerpnął głęboko powietrza i westchnął głośno. Nie, Robert nie mógł jej zabić. Przecież nawet nie wiedział, jak zginęła. Zamordował ją ktoś inny, kto również przyprowadził Julię do tej jaskini. Może się pokłócili? A może zabójca po prostu się nią znudził? Wiele razy miał do czynienia z podobnymi wypadkami, kiedy służył w policji w Birmingham. Aż trudno było uwierzyć, do jak idiotycznych wyjaśnień uciekali się ludzie próbujący uzasadnić fakt, że odebrali komuś życie. Niewykluczone, że morderca regularnie chodził w każdą niedzielę do kościoła i po pracy, na podwórku za domem grywał ze swoimi dziećmi w piłkę, wmówiwszy sobie, że wcale nie jest złym człowiekiem, bo Julia Kendall sama się o to napraszała. Na tę myśl Jeffreya aż ścisnęło w gardle.

Położył nogi na stoliku i rozejrzał się po mrocznej jaskini. Kiedy ją odkryli, pomyślał, że to najwspanialsza kryjówka na świecie. Teraz wydawała mu się tylko zimną i wilgotną jamą w skale, tym bardziej odpychającą, że ktoś zamienił ją w grobowiec.

Wstał i wyszedł na zalaną słońcem polankę.

Nie spiesząc się zbytnio, ruszył przez las z powrotem w kierunku domu pogrzebowego, zastanawiając się, co dalej robić. Chciał znaleźć odpowiedzi na dręczące go pytania, raz na zawsze wyjaśnić wszystkie zagadki.

Nie miał co liczyć na szczerłość Roberta, ale był przecież gliniarzem nawykłym do braku współpracy ze strony głównego podejrzanego. Pomyślał więc, że powinien tak właśnie działać, czyli patrzeć na wszystko oczyma policjanta i zapomnieć o chęci ratowania za wszelką cenę przyjaciela z opresji. I od razu nasunął mu się wniosek, że pominął najważniejszy etap dochodzenia: rozmowę z rodziną ofiary.

* * *

Kilka lat przed przeprowadzką do Heartsdale Jeffrey urządził sobie dwutygodniową wycieczkę po całym południu Stanów Zjednoczonych i odwiedził wiele spośród historycznych budowli, o których czytał w młodości. Wyruszył na nią pod wpływem nagłego impulsu, pragnąc się wyrwać na jakiś czas z Birmingham, gdy asystentka prokuratora okręgowego zaczęła na niego mocniej naciskać, mimo że tłumaczył jej wielokrotnie, iż pod żadnym pozorem się z nią nie ożeni. Wspominał

tamtą wyprawę jako jeden z najprzyjemniejszych okresów w życiu.

Zwiedził wtedy między innymi słynną posiadłość Vanderbiltoów w Biltmore „Belle Monte” oraz dom Tomasza Jeffersona „Monticello”. Obejrzał zabytkowe okręty i pola słynnych bitew. Przeszedł szlak, którym Grant zdobywał Atlantę. Wędrując po śródmieściu po odwiedzeniu słynnej „Ruiny” - starej kamienicy, która przestała być ruiną, gdy podniesiono ją do rangi zabytku, ponieważ tam właśnie Margaret Mitchell napisała *Przeminęło z wiatrem* - natknął się na klasycystyczny dworek o nazwie „Swan House”.

Rodzina Inmanów, podobnie jak większość najznamienitszych rodów w Georgii, dorobiła się na plantacjach bawełny i postanowiła wznieść dom, który będzie symbolizował jej bogactwo. Zaangażowała miejscowego architekta, niejakiego Philipa Trammella Shutzego, ten zaś stworzył prawdziwą perłę architektury. Właśnie w „Swan House” Jeffrey mógł podziwiać najpiękniejsze pomieszczenia, w jakich do tej pory bywał, między innymi łazienkę wyłożoną aż po sufit różowym marmurem, tak pomalowanym, by przypominał biały kamień, bo pani domu nie podobał się jego pierwotny kolor. Kiedy już cała grupa wyszła z budynku, wśliznął się do ogromnej biblioteki tylko po to, by popatrzeć na zgromadzone tam stare książki. Nigdy wcześniej nie widział ich aż tylu, jednakże oprócz zachwyty niezwykłym księgozbiorem poczuł jeszcze coś innego, olbrzymią pokorę.

W przeciwieństwie do tamtej rezydencji, dom Luke’a Swana był rozsypującą się ruiną już wiele lat temu. Kiedy inspekcja budowlana zarządziła eksmisję, rodzice Luke’a przenieśli się do przyczepy mieszkalnej, zaparkowanej na podjeździe. Do dziś na werandzie leżały wysokie sterty pożółkłych gazet, toteż wystarczyłaby jedna iskra, żeby stary barak stanął w płomieniach. Z daleka emanował biedą i beznadzieją, skłaniając do wniosku, że nie całe ubogie rolnicze Południe wyszło obronną ręką z okresu odbudowy.

Ledwie zatrzymał wóz na bitej drodze przed domem, od razu podbiegło do niego sześć czy siedem wychudzonych psów, pełniących tu rolę swoistego systemu alarmowego. Wręcz majestatyczna skrzynka na listy, która wznosiła się przy podjeździe co najmniej na półtora metra, miała na boku krzywo wymalowany numer. Niezbyt pewny, czy dobrze trafił, jeszcze raz spojrzął na adres widniejący na kartce, którą wyrwał ze zniszczonej książki telefonicznej w budce. Pochodziła co najmniej sprzed dziesięciu lat, wiedział jednak, że mieszkańcy Sylacaugi nie zmieniają zbyt często adresu. Znalazł w niej dwóch ludzi o tym nazwisku, ale nie trzeba było

specjalnej wyobraźni, by zgadnąć, że rodzina Luke'a nie może mieszkać w pobliżu wiejskiego klubu.

Z przyczepy mieszkalnej wyjrzała staruszka, wspierając się na grubej drewnianej lasce, zeszła na pustak pełniący rolę schodka pod drzwiami i zawołała:

- Do nogi!

Wszystkie psy natychmiast skupiły się wokół niej. Mocno zapadnięte policzki kobiety świadczyły, że zostawiła swoją sztuczną szczękę prawdopodobnie w szklance z wodą.

- Pan od kabla? - zapytała.

- Kabla?... - Obejrzał się na samochód matki, zdziwiony, że staruszka wzięła go za technika telewizji kablowej. - Nie, proszę pani. Przyjechałem porozmawiać z panią na temat Luke'a.

Powykręcaną artretyzmem kościstą dłonią zgarnęła połę szlafroka. Kiedy podszedł bliżej, zauważył, że mruży załzawione oczy, jakby słabo na nie widziała. Niemal czytając w jego myślach, wyjaśniła:

- Mam kataraktę.

Mówiła z tak silnym akcentem, że musiał wyteżać słuch, by ją zrozumieć.

- Przykro mi.

- Przecież to nie pańska wina, prawda? - skwitowała łagodnym tonem. - Proszę wejść. Tylko niech pan uważa na stopień. Mój wnuczek miał go poprawić, ale teraz... Cóż, chyba już pan wie, co się z nim stało.

- Tak, proszę pani.

Jeffrey spojrział z boku na pustak. Deszczówka spływająca z rynny przyczepy mieszkalnej podmyła go z jednej strony, dlatego się bujał. Bez namysłu zgarnął nogą trochę ziemi i żwiru pod jeden róg i wszedł za staruszką do środka.

- Trochę tu ciasno - powiedziała, zdobywając się na jeden z największych eufemizmów, jakie w życiu słyszał.

W rzeczywistości wewnątrz przyczepy wyglądało jak chlew, wąskie i kiszkowate pomieszczenie mogło przyprawić o klaustrofobię. Pod ścianami leżały stosy gazet i czasopism, aż cisnęło się na usta pytanie, po co staruszcze tyle makulatury.

- Mój zmarły mąż bardzo lubił czytać - wyjaśniła, wskazując sterty papierzysek.

- Po jego śmierci jakoś nie mogłam się tego pozbyć. Zabrała go rozedma płuc. Pan nie pali, prawda?

- Nie, proszę pani - odparł, przeciskając się za nią do środkowej części będącej połączeniem kuchni z jadalnią i salonikiem, choć mającej najwyżej trzy metry długości i niewiele ponad metr szerokości. Panował tu zaduch, w powietrzu unosiła się woń potu, kurzego łożu i jakichś maści przeciwbólowych powszechnie stosowanych przez ludzi w jej wieku.

- To dobrze - mruknęła, wyciągając przed siebie ręce, żeby wymacać kant stołu i dojść do krzesła. - Palenie to straszny nałóg. Sprowadza na człowieka okrutną śmierć.

Za nią na półce dostrzegł plik czasopism poświęconych broni palnej, jak również kilka wydawnictw przeznaczonych wyłącznie dla mężczyzn. Aż zerknął ciekawie na kobietę, zastanawiając się, czy ona w ogóle ma pojęcie, że tuż przy niej leży gwiazdkowe wydanie „Penthouse’a” z 1978 roku.

- Proszę siadać, jeśli znajdzie pan kawałek wolnego miejsca - powiedziała. - Niech pan coś zgarnie na bok. Mój Luke zawsze siadał po tamtej stronie stołu, aby mi poczytać. - Wyciągnęła rękę do tyłu, żeby wymacać za sobą krzesło. Jeffrey szybko wziął ją pod rękę i pomógł usiąść. - Bardzo lubię „National Geographic”, ale Reader’s Digest” jest jak dla mnie zbyt liberalny.

- Ma pani kogoś, kto teraz będzie mógł się panią zaopiekować?

- Nie, miałam tylko Luke’a. Jego matka uciekła z komiwojażerem, a ojciec, to znaczy mój najmłodszy syn, Ernest, zawsze był nic niewart. Zmarł w zakładzie karnym.

- Przykro mi - rzekł Jeffrey, ostrożnie stawiając stopy na lepiącym się dywaniku. Początkowo chciał usiąść przy stole, ale się rozmyślił i tylko oparł o niego.

- Często pan przeprosza za różne rzeczy, które nie mają z panem nic wspólnego - zauważyła staruszka, macając ręką po stole. Stał na nim talerzyk z krakersami, tyle że Jeffrey nie miał pojęcia, jak ona zamierza je gryźć. Kobieta włożyła jednego do ust, ale wcale nie próbowała gryźć, tylko roztarła go językiem o podniebienie. Wypluwając istną fontannę okruszków, poinformowała: - Kabel nie działa już od dwóch dni. Oglądałam właśnie mój ulubiony teleturniej, kiedy ekran zgasł.

Chciał znowu powiedzieć, że mu przykro, ale ugryzł się w język.

- Mogłaby mi pani opowiedzieć o swoim wnuku?

- To był bardzo dobry chłopak - wycedziła i wargi jej lekko zadrżały. - Wciąż trzymają go w domu pogrzebowym?

- Nie wiem. Chyba tak.

- Nie mam pojęcia, skąd miałabym wziąć pieniądze, żeby go pochować.

Dostaję tylko zasiłek z opieki społecznej i tych parę marnych groszy emerytury z młyna.

- Pracowała pani w młynie?

- Tak, dopóki jeszcze trochę widziałam - odrzekła, oblizując wargi. Obróciła jeszcze w ustach rozkruszonego krakersa i przełknęła. - To było jakieś cztery, może pięć lat temu.

Wyglądała na sto lat, ale przecież nie mogła mieć aż tyle, skoro jeszcze niedawno pracowała.

- Luke chciał mnie zawieźć na operację - mówiła dalej, wskazując swoje oczy.

- Ale ja nie wierzę lekarzom. I nigdy nie byłam w szpitalu. Nawet tam nie rodziłam - oznajmiła z dumą. - Zawsze powtarzam, że trzeba brać obowiązek, jaki Bóg nakłada na człowieka, i iść z nim przez życie.

- To bardzo mądre podejście - przyznał Jeffrey, choć nie mieściło mu się w głowie, że ktoś mógł wybrać ślepotę do końca życia.

- Dobry chłopak, bardzo się mną opiekował. - Sięgnęła po następnego krakersa, a Jeffrey obejrzał się na maleńką kuchenkę, zachodząc w głowę, czy staruszka ma jeszcze coś do jedzenia oprócz nich.

- Czy Luke nie napytał sobie ostatnio jakichś kłopotów? - zapytał. - Może zadał się z niewłaściwymi ludźmi?

- Zarabiał, robiąc porządki u innych. Mył okna, czyścił szamba. Nie mógł mieć żadnych kłopotów, bo uczciwie pracował po całych dniach.

- Tak, ma pani rację.

- Wcześniej miał trochę kłopotów z prawem, ale który chłopak ich nie ma? Ale jak tylko w coś wdepnął, szeryf zawsze traktował go bardzo dobrze. Pozwalał mu wyrównywać straty, jakie ludzie przez niego ponieśli. - Włożyła krakersa do ust i zaczęła go rozcierać. - Żałuję tylko, że nie znalazł sobie porządnej kobiety, by się ustatkować. Bo niczego więcej nie potrzebował, tylko kogoś, kto by go przypilnował.

Jeffrey pomyślał, że Luke Swan potrzebował jednak o wiele więcej, ale zachował to dla siebie.

- Słyszałem, że zadawał się z żoną jednego z zastępców szeryfa.

- Ano tak mówią. Zawsze miał swoje sposoby na kobiety. - Z niewiadomych powodów uznała to za zabawne, uderzyła się dłonią w kolano i zarechotała głośno,

pokazując mu różowe bezzębne dziąsła i rozkruszonego krakersa na języku.

Kiedy spoważniała, zapytał:

- Czy Luke mieszkał tu z panią?

- Tam, z tyłu. Ja śpiam tu, na kanapie, a czasem nawet na krześle. Niewiele mi już trzeba, żeby zasnąć. Kiedy byłam mała, lubiłam sypiać na tamtym drzewie przed domem. Ojciec wychodził czasem w nocy i krzyczał: „Dziewczyno, złaż mi natychmiast z tego drzewa!”. Ale ja i tak lubiłam tam spać. - Po raz kolejny oblizła wargi. - Chce pan zobaczyć pokój Luke’a? Bo ten drugi zastępca szeryfa obejrzał go dokładnie.

- Który zastępca?

- Reggie Ray - odparła. - To też dobry człowiek. Czasami śpiewa w kościelnym chórze. Może mi pan wierzyć, że głos ma jak anioł.

I tym razem Jeffrey zachował dla siebie własną opinię, zastanowił się tylko, dlaczego Reggie dotąd nie wspomniał ani słowem, że oglądał pokój Luke’a Swana. Wziąwszy pod uwagę, że był zastępcą szeryfa, prawdopodobnie przeprowadził tylko rutynową kontrolę. Niemniej nasuwało to kolejne pytanie bez odpowiedzi.

- Nie wie pani, czy coś tam znalazł?

- Nic nie mówił. Ale może pan sam pójść i się rozejrzeć.

- Będę bardzo wdzięczny - rzekł, poklepał staruszkę po ramieniu i ruszył na tył przyczepy.

Musiał zamknąć drzwi toalety, żeby precyzyjnie się dalej wąskim przejściem, zdążył jednak rzucić okiem na najbrudniejszy klozet, jaki kiedykolwiek w życiu widział. W ciasnej klitce ściany wyłożone arkuszami plastiku tłoczonymi w namiastkę kafelków były gęsto zachlapane Bóg wie czym. Dałoby się wyczyścić chyba tylko palnikiem.

- Zobaczył pan coś? - zawołała staruszka.

- Jeszcze nie - odpowiedział, starając się oddychać przez usta.

Pchnął kolejne drzwi harmonijkowe, myśląc, że chyba nie czeka go nic gorszego niż smród wiszący w korytarzyku przy toalecie. Mylił się jednak. Pokoik Luke’a Swana wypełniał podobny fetor. Pościel skopana w kąt odsłaniała wielką, zaschniętą plamę na środku tapczanu. Wisiała nad nim goła żarówka zwieszająca się spod sufitu na poskręcany kablu. Aż trudno było uwierzyć, że Jessie mogła nawiązać romans z człowiekiem mieszkającym w takim chlewie. Musiała być piekielnie zdesperowana. Trudno mu było się do tego przyznać, ale uważał dotąd, że

ma trochę więcej klasy.

Dwie plastikowe skrzynki przy tapczanie mieściły całą garderobę Luke'a. Jeffrey pomyślał z wdzięcznością, że są przejrzyste, toteż nie musi tam niczego dotykać. Pod tapczaniem było pełno pajęczyn i kłębow kurzu gromadzącego się od wielu lat. Poza jedną, niegdyś białą, a teraz prawie czarną skarpetką, niczego tam nie zauważył.

W kącie stała blaszana szafka ubraniowa, mniej więcej taka, jakie widuje się w szkołach czy szatniach obiektów sportowych. Na górnej półce leżały zmięte, brudne podkoszulki i skarpety, na dolnej - koszule i dżinsy. Wsunął głowę do środka, próbując dojrzeć, czy nie ma czegoś za ubraniami, bo wciąż nie chciał tu niczego dotykać. Już przez sam pobyt w tej norze miał wrażenie, że obłazi go jakieś robactwo. Wreszcie zacisnął zęby i szybkim ruchem zgarnął ubrania na podłogę, mając nadzieję, że nic go nie ugryzie w palec. Ale na dnie szafki nie znalazł niczego, jeśli nie liczyć pary rozerwanych w kroku elastycznych spodenek.

Obejrzał się i jeszcze raz obrzucił spojrzeniem cały pokoik. Nie miał ochoty tknąć materaca na tapczanie, nawet gdyby leżała na nim kartka z informacją, że pod spodem zostały ukryte jakieś skarby. Pewnie i tak Reggie już tam zaglądał. Gdyby znalazł coś podejrzanego, z pewnością od razu powiedziałby o tym Robertowi.

Nogą upchnął z powrotem ubrania do środka, ale po chwili zmienił zdanie i wygarnął je ponownie. Znowu zacisnął zęby i mając nadzieję, że nie podłapie jakiejś zarazy, złapał za wycięcia wentylacyjne po bokach szafki i wysunął ją nieco z kąta.

Nóżki donośnie zazgrzytały o podłogę, aż zatrzęsa się cała przyczepa.

- Wszystko w porządku?! - zaniepokoiła się staruszka.

- Tak, proszę pani - odparł, ale wystarczył mu jeden rzut oka na to, co kryło się za szafką, żeby zrozumieć, że jednak nie wszystko jest w porządku. - Jak... - zaczął, lecz głos u wiązał mu w gardle.

Bezsilnie klapnął na brzeg tapczanu i wpatrywał się w znalezione jak urzeczony, gorączkowo usiłując w myślach znaleźć jakieś wytłumaczenie, które mogłoby świadczyć o niewinności przyjaciela, a nie obciążać go jeszcze większą winą. Ale raz za razem dochodził do tego samego wniosku i nagle zapragnął się napić, znowu dać sobie w gaz, żeby większą dawką alkoholu zmyć to, co dławilo go w gardle.

- Nie - powiedział na głos, jakby chciał w ten sposób uwiarygodnić swoje odkrycie. - Nie! - powtórzył z naciskiem, a po chwili, wręcz mimowolnie, zapytał

cicho: - Robert, coś ty zrobił?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

15.09

- Jared? - powtórzył Smith, ciskając słuchawkę na widelki. - Kto to jest Jared?

Sara popatrzyła na niego z przerażeniem w oczach. Chcąc odwrócić jego uwagę, Lena wtrąciła szybko:

- Obiecałeś, że wypuścisz Marłę.

- Zamknij się! - warknął, ruszając w stronę Sary. - Kto to jest Jared? O kim mówiłaś?

Sara zagryzła wargi, zastanawiając się, jak długo jeszcze zdoła go oszukiwać. Bandyta podetknął jej lufę obrzynka pod ucho.

- Zapytam jeszcze tylko raz - mruknął groźnie. - Kto to jest Jared?

Niespodziewanie odezwał się Jeffrey zachrypniętym głosem:

- Syn Jeffrey'a.

Lena uznała w pierwszej chwili, że to jedynie wyraz niepewności, zaraz jednak uświadomiła sobie, że w gruncie rzeczy sformułował to jako pytanie skierowane do Sary.

- On o niczym nie wiedział - odparła, przyciskając go lekko dłonią za zdrowe ramię. - Jared ma drugiego ojca, który go wychowuje od małego.

Smith podniósł karabin i oparł go sobie o ramię.

- A to kutas - burknął i obejrzał się na swego kumpla. - Słyszałeś, Sonny? Miał jeszcze jedno dziecko.

Lena nie mogła oderwać wzroku od Sary, która miała taką minę, jakby dostała jakiegoś ataku. Ona już wie, przemknęło jej przez myśl. Wie, kim są bandyci.

Sonny z nieskrywaną wściekłością wycedził przez zęby:

- Bardzo ci dziękuję, Erie.

Smith podbiegł do niego i zaczęli się naradzać głośnym szeptem. Lena wyczuła słuch, ale nie zdołała wyłowić ani słowa. Zerknęła na Marłę, która popatrzyła na nią z porozumiewawczym błyskiem w oku. Uświadomiła sobie nagle, że sekretarka tylko udawała zrezygnowaną i osowiałą. Odważyła się spojrzeć na jej rękę, zastanawiając się, gdzie starsza pani ukryła szczyryk.

- Spierdalaj! - ryknął Smith, a Sonny tak silnie go odepchnął, że ten poleciał do tyłu, stracił równowagę i jak długi grzmotnął na podłogę.

Coś pod nim zazgrzytało o kafelki, kiedy poderwał się błyskawicznie. Zerwał

z głowy kominiarkę, co przyprawiło Lenę o gwałtowne ukłucie strachu, jakby ktoś sięgnął do jej piersi i mocno ścisnął serce. Spoglądając z nienawiścią na Sonny'ego, Smith zaczął go obrzucać najgorszymi obelgami, a to nasunęło jej myśl, że teraz już niechybnie wszyscy zginą. Skoro bandyta odsłonił twarz, to znaczyło, że nie obchodzi go, czy zostanie rozpoznany, ponieważ zakładał, że nikt nie wyjdzie stąd żywy.

- Spuść głowę! - krzyknęła Sara. - Nie patrz na niego!

Molly posłusznie opuściła głowę, jednakże Lena nie zdążyła. Bandyta obrócił się na pięcie, aż odłamki szkła zazgrzytały mu pod butami, i spojrzał jej prosto w twarz. Lenie przemknęło przez myśl, że jeszcze nigdy nie widziała u nikogo oczu aż tak pozbawionych wyrazu, jakby martwych. Ruszył energicznym krokiem w kierunku zakładników. Kiedy przechodził obok niej, próbowała go złapać za rękę, ale błyskawicznie uwolnił się od niej jak od natrętnej muchy.

- Nie patrz na niego! - powtórzyła Sara, nim wziął szeroki zamach i uderzył ją w twarz. Trzymając się za policzek, jeszcze raz ostrzegła pielęgniarkę: - Nie patrz na niego! Zamknij oczy!

Smith wymierzył jej kopniaka w brodę, rozcinając wargę.

- Co robisz?!

- Ona cię nie widziała! - krzyknęła Sara, dźwigając się na łokciu z podłogi. - Molly cię nie widziała! Zamknęła oczy!

Wyciągnęła rękę, ale zdążyła tylko musnąć kolano pielęgniarki, bo Smith brutalnie je rozdzielił.

- Ona ma dwoje dzieci - powiedziała Sara głosem łamiącym się z przerażenia. - Dwóch małych chłopców. Pozwól jej stąd wyjść. Nie widziała cię.

Molly siedziała bez ruchu, jak skamieniała, wciąż trzymając rękę Jeffreya. Z całej siły zaciskała powieki, jakby modliła się w duchu.

- Nie widziała cię - powtórzyła Sara. - Puść ją. Pozwól jej odejść.

Bandyta popatrzył z góry, przenosząc wzrok z jednej na drugą. Widać było, z jakim trudem przychodzi mu podjęcie decyzji. Zerknął przez ramię na współnika, ale nawet nie był ciekaw jego opinii w tej sprawie.

- Przecież mógłbyś ją wypuścić - odezwała się Lena. - Wyprowadziłaby Marłę. Smith milczał jeszcze przez chwilę.

- A co z moją ręką? - zapytał, odwracając się do Molly, która nadal siedziała z nisko spuszczoną głową i zamkniętymi oczyma. - Powiedziałeś, że możesz mi zeszyć ranę.

- Potrzebowałabym lidokainy - odparła nieśmiało. - Poza tym... - Zwróciła się do Leny i poleciła wyraźnie, wymawiając z naciskiem poszczególne słowa: - Daj mi trzydzieści trzy mililitry dwu procentowej lidokainy. - Po chwili powtórzyła ostro i dobitnie: - Trzydzieści trzy mililitry dwuprocentowej.

Po twarzy Sary przemknął grymas osłupienia. Lena zwróciła uwagę na jej uniesione brwi, ale Smith okazał się nie w ciemni bity.

- Chcesz mnie zwalić z nóg? - zapytał, trącając Molly czubkiem buta. - Co?

- Nie - odparła cicho.

Nadal nie podnosząc wzroku na bandytę, spojrzęła ukradkiem na zegar wiszący na ścianie, jakby chciała w ten sposób przypomnieć Lenie, że trzydzieści dwie minuty po trzeciej policja przystąpi do szturm. Ta zrozumiała i odpowiedziała ledwie zauważalnym skinieniem głowy. Pozostało im jeszcze dwadzieścia minut.

Smith wymierzył karabin w twarz Molly, która aż podskoczyła na miejscu.

- Wynoś się stąd - burknął. - Nie ufam ci. I zabieraj tę staruchę.

Molly wstała z podłogi. Kiedy Sara także zaczęła się podnosić, syknął:

- A ty dokąd?

- Chciałam pożegnać się z przyjaciółką. - Objęła pielęgniarkę i powiedziała: - Przekaż moim rodzicom... - Urwała jednak, gdyż głos uwiązał jej w gardle.

Molly odwróciła się do Marli i wyciągnęła rękę, żeby pomóc jej wstać, ale sekretarka wyglądała na śmiertelnie przerażoną, jakby bała się nawet poruszyć.

- Wszystko w porządku - mruknęła Lena, biorąc ją z drugiej strony pod ramię.

Sekretarka przechyliła się i chcąc ją objąć w pasie, przeciągnęła ręką po jej pośladku. Lena zrobiła zdziwioną minę, lecz zaraz uświadomiła sobie, że Marla wsunęła jej scyzoryk do tylnej kieszeni spodni. Zerknęła ukradkiem na Smitha, ale niczego nie spostrzegł. Mogła tylko liczyć na to, że Sonny wciąż wpatruje się w drzwi frontowe.

- No, dobra - syknął bandyta, wskazując im wyjście. - Jazda stąd. - Machnął karabinem w kierunku Marli i dodał groźnie: - Ruszaj się, bo jeszcze zmienię zdanie.

Molly ze spuszczoną głową poprowadziła sekretarkę do drzwi. Cała się trzęsła ze strachu. Zapewne nie mogła się uwolnić od myśli, że jej plecy będą stanowić idealny cel, dopóki nie znajdzie się w bezpiecznej odległości na ulicy.

Smith podreptał za nimi z karabinem skierowanym ku ziemi. Bąknął coś pod nosem, czego Lena nawet nie chciała usłyszeć. Starając się zachować obojętną minę, rozmyślała, jak niepostrzeżenie wyciągnąć scyzoryk z kieszeni, otworzyć go i wbić

bandycie prosto w serce.

- Pst - syknął Brad.

Tylko lekkim ruchem głowy dała mu znak, że słyszy.

- O co jej chodziło?

- Godzina - odparła niemal bezgłośnie. Brad zamyślił się na krótko.

- Trzecia trzydzieści dwie? - zapytał szeptem, a gdy przytaknęła ruchem głowy, dodał: - Na twój znak.

- Przygotuj się - polecił Smith współpracownikowi. Sonny pochylił się nad kontuarem, zacisnął palce na kolbie pistoletu maszynowego i wymierzył w drzwi.

- Dobra!

Lena domyśliła się, co zamierzają. Skoczyła w ich stronę, krzycząc:

- Nie!

W tej samej chwili padł strzał.

Jeszcze jakieś dwa metry dzieliły ją od Smitha, toteż bandyta zdążył się spokojnie odwrócić i sparować jej cios. Ze znudzoną miną odepchnął ją silnie, jakby była naprzykrzającą się muchą. Błyskawicznie poderwała się na nogi, ale nie ponowiła ataku, tylko spojrzała przez szklane drzwi frontowe na Molly klęczącą przy Marli. Już na ulicy sekretarka została postrzelona w plecy. Na chodniku zaroilo się nagle od ubranych na czarno gliniarzy z brygady antyterrorystycznej, którzy osłaniając obie kobiety, pospiesznie wycofali się z nimi w kierunku pralni.

- Marla - szepnęła Lena, wyglądając w osłupieniu na ulicę. - Zabili Marłę - powtórzyła głośnie.

Odwróciła się do Smitha, unosząc pięści.

- Ty pieprzony łotrze! - wrzasnęła, waląc go ile sił w pierś.

Ale podobnie jak Ethan, przyjął to bez mrugnięcia okiem. Miał klatkę piersiową niczym ze stali.

- No, no - mruknął z podziwem, cofając się o krok. Błyskawicznie unieruchomił jej ręce w żelaznym uścisku i zaśmiał się w głos. - Krewka jesteś. - Złapał ją wpół i przyciągnął do siebie. - Lubisz takie siłowania? Lubisz, jak mężczyźni biorą cię siłą?

Lena zazgrzytała zębami.

- Zabiłeś ją! - syknęła, wbijając mu paznokcie w ramię. - Zabiłeś tę starszą panią!

Pochylił się do jej ucha i szepnął:

- Ciebie też mogę zabić, kochanie, ale nie przejmuj się, najpierw się trochę zabawimy.

Szarpnęła się i mimowolnie zerwała szmatkę, którą miał przewiązane przedramię. Z obrzydzeniem cisnęła ją na podłogę i wytarła ręce o spodnie, jakby się bała czymś zarazić.

- Ty łajdaku - rzuciła. - Przeklęty morderco. Przycisnął dłonią zranione miejsce, a po chwili krew zaczęła mu się przesączać między palcami.

- Niedobrze - mruknął.

Sonny odłożył karabin i wyciągnął z kieszeni drugą taką samą białą szmatkę.

- Trzymaj.

- Obwiąż mi rękę - rozkazał ten, wyciągając szmatkę do Leny.

- Spierdalaj! - syknęła.

Nawet nie zauważyła, kiedy trzasnął ją otwartą dłonią w policzek, aż poleciała na podłogę.

- Zawiążuj! - rzucił ostrzej.

Wstała i wzięła od niego szmatkę. Od razu spostrzegła, że choć rana jest powierzchowna, bardzo obficie krwawi. Ułożyła na niej prowizoryczny opatrunek i z całej siły zacisnęła supeł, wyobrażając sobie, że wiąże mu tę szmatę na gardle.

- Na co się tak gapisz? - warknął Smith do Sary, odpychając Lenę i ruszając w głąb sali ogólnej.

Sonny podniósł karabin i posłał Lenie ostrzegawcze spojrzenie, zanim skupił się na drzwiach frontowych.

- Na co się tak gapisz?! - powtórzył głośniejszym głosem Smith.

- Na nic - odparła Sara, klękając obok Jeffrey'a. Kiedy przyłożyła mu dłoń do policzka, poruszył się, ale nie otworzył oczu. - Trzeba go zabrać do szpitala.

- Zajmiemy się nim tu, na miejscu - oznajmił bandyta. Nogą przysunął do niej plastikową walizkę z karetki i nakazał Lenie: - Przynieś resztę tego gówna.

Schyliła się po defibrylator i zestaw do kroplówki, zerkając jeszcze przez ramię na Sonny'ego. Zauważyła, że Brad ukradkiem przesunął się w jego stronę, ale wciąż był za daleko.

- Nie jestem chirurgiem naczyniowym - odparła Sara.

- I tak to zrobisz - warknął Smith, biorąc od Leny resztę sprzętu.

- Kula uszkodziła mu tętnicę pachową - próbowała jeszcze tłumaczyć Sara. - Nie dostanę się do niej.

- Mało mnie to obchodzi - odparł, także klękając obok Jeffreya.

- W tych warunkach nie dam rady założyć bloku. Poza tym nie jestem anestezjologiem.

- Za dużo gadasz, gotów jestem pomyśleć, że nie chcesz ratować mu życia. - Z hukiem postawił zestaw do kroplówki na podłodze.

- Co robisz?

- Mogę go przynajmniej trochę rozruszać - odparł Smith, rozpinając Jeffreyowi koszulę.

- Może jednak ja się tym zajmę? - zaproponowała Sara, ale ją odepchnął.

Zapytała więc ostrzej: - Dlaczego to robisz?

- A dlaczego nie? - Wzruszył ramionami, podwijając rękaw koszuli. - I tak nie mam nic lepszego do roboty.

Zerknął przez ramię na Lenę, co kazało jej się zastanowić, czy urządza to przedstawienie tylko ze względu na nią, czy po prostu lubi takie zabawy. A może i jedno, i drugie?

- Najpierw powinienes przymocować rurkę... - zaczęła Sara, lecz uciszył ją nienawistnym spojrzeniem.

Lena przyglądała się, jak pospiesznie zaciska gumowy wężyk na przedramieniu Jeffreya. Nie miał w tym żadnej wprawy, ale i tak udało mu się wbić igłę w żyłę już przy trzeciej próbie.

Zaśmiał się z własnej nieudolności i rzekł:

- Dobrze, że jest nieprzytomny.

- Na pewno nieraz widziałeś, jak to się robi - powiedziała Sara. - Jak często sam musisz brać kroplówkę?

Spojrzał na nią. Lena zwróciła uwagę, że na krótko w jego oczach pojawiły się alarmujące błyski, które szybko zamaskował wyrazem rozbawienia. Przez kilka sekund oboje wpatrywali się w siebie w milczeniu, wreszcie Smith znów zaśmiał się w głos.

- Dość późno się zorientowałaś - rzekł.

- Jesteś w błędzie - rzekła z naciskiem Sara. Lena nie miała najmniejszego pojęcia, o czym ona mówi. - Jesteś w wielkim błędzie.

- Możliwe - burknął, spoglądając na swego współnika.

Tamten wciąż wpatrywał się we frontowe drzwi, jakby w ogóle go nie obchodziło, co się tu dzieje. Lena wiedziała jednak dobrze, że obserwuje ich kątem

oka. Sonny, czy jak się tam nazywał, należał do tych, którzy mają oczy z tyłu głowy.

Smith podłączył kroplówkę i przywołał ją do siebie.

- Przytrzymaj to - rozkazał, podając jej torebkę z płynem. - Przynajmniej na coś się przydasz.

Lena wzięła od niego torebkę i usiadła pod ścianą, chowając prawą rękę za siebie. Smith klęczał nie dalej niż pół metra od niej, nadal jednak nie miała pojęcia, jak miałyby go unieszkodliwić.

Otworzył walizeczkę z zestawem pierwszej pomocy i rzekł:

- Powiedz, co mam ci podać.

- Nie mogę tego zrobić - powtórzyła Sara.

- Nie masz wyboru, ślicznotko - odparł Smith. Usiadła na podłodze i pokręciła głową.

- Odmawiam.

- Zacznę co minutę zabijać jedną dziewczynkę, jeśli tego nie zrobisz - warknął, a gdy nie zareagowała, wyciągnął zza paska pistolet i wymierzył w siedzące najbliżej dziecko.

Brad błyskawicznie przesunął się w bok, zasłaniając je sobą.

- Na ciebie też przyjdzie kolej.

- I co potem? - zapytała Sara. - Pozabijasz ich wszystkich i zostawisz tylko mnie?

Ruchem głowy wskazał siedzącą z tyłu Lenę.

- Przychodzi mi na myśl jeszcze parę innych pomysłów. Wzięłaś to pod uwagę, pani doktor? Chcesz sobie popatrzeć?

- Nie ośmielisz się - mruknęła Sara, ale bez przekonania.

- Nigdy nie pomyślałaś, że i takie skłonności mogą być dziedziczne? - zapytał.

Sara spuściła głowę, jak gdyby zawstydzona. Lena nie zdołała się powstrzymać.

- O czym wy mówicie?

- Jeszcze się nie domyślasz? No tak, skąd miałybyś to wiedzieć. Przecież się nie ogłaszał w gazetach, że jest pieprzonym gwałcicielem.

- Kto? - zdziwiła się Lena. Jednocześnie Sara rzuciła ostro:

- Nie.

- A co? Nie podoba ci się? - Smith wymierzył z pistoletu w Brada i zapytał: - Więc może ty, chudzielcu, chciałbyś poznać prawdę?

Brad pokręcił głową.

- To nie jest prawda.

- Co nie jest prawdą? - zapytała Lena. Smith popatrzył na Sarę.

- Powiedz im. Niech się w końcu dowiedzą, dlaczego tu jesteśmy.

- Nie - powtórzyła Sara. - Jesteś w błędzie. Smith uśmiechnął się ironicznie, spojrzał na Lenę i wyjaśnił:

- Twój szef. Wielki komendant Tolliver, który leży na ulicy z wielką dziurą w głowie. Zgwałcił kiedyś moją matkę, a ja jestem bękartem, który przez całe życie musiał za to płacić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Wtorek

Sara ocknęła się łagodnie, tym razem niewybudzona przez żaden koszmar senny. Leżała na małym tapczaniku Jareda i miała przed oczami zawieszoną na grubym drucie jedną z maskotek uniwersytetu z Auburn, ciężkiego gumowego orła naturalnej wielkości. Nie mogła zrozumieć, jak chłopak mógł spać z czymś takim nad głową, przecież to w każdej chwili mogło się na niego zwalić. Wytłumaczyła sobie jednak, że chłopcy w tym wieku miewają dziwne upodobania, czego najlepszym dowodem był legwan, przyglądający się jej łakomie wyłupiastymi ślepiami zza szyby akwarium.

Usiadła i przetarła zaspane oczy. Klimatyzator był włączony, ale i tak się spociła w popołudniowym upale. Nigdy nie lubiła zasypiać w środku dnia i jakby na przypomnienie tego faktu natychmiast poczuła pod czaszką tępe pulsowanie.

Zeszła do kuchni, znalazła butelkę coca-coli i fiolkę aspiryny. Miała nadzieję, że kofeina w połączeniu z łagodnym środkiem przeciwbólowym pomoże jej odegnać widmo czegoś, co zapowiadało się na dokuczliwą migrenę. Może z powodu bliskości przedzalni bawełny albo zapyłających powietrze kamieniołomów, od początku pobytu w Sylacaudze doskwierał jej ból głowy.

Poczłapała na tył domu, czując się dokumentnie rozbita. Takie krótkie drzemki w ciągu dnia, które teoretycznie powinny uwalniać od zmęczenia, na nią działały wręcz odwrotnie. A może i śniło jej się coś złego, tylko już nie pamiętała? Jeśli koszmar był na tyle odpychający, że jego skutki odczuwała we wszystkich mięśniach, mogła się jedynie cieszyć, że uleciał jej z pamięci jeszcze przed obudzeniem.

Neli ostrzegała ją przed korzystaniem z dziecięcej łazienki. Wystarczył jeden

rzut oka, żeby się przekonać dlaczego. Cała podłoga była zavalona ręcznikami i ubraniami, a w brodziku kabiny prysznicowej wałała się imponująca liczba gumowych zabawek, wzięwszy pod uwagę wiek Jennifer i Jareda.

Kiedy weszła do głównej sypialni, zaskoczyło ją, że Neli odznacza się zdumiewająco dobrym gustem, jeśli nie musi czegoś wykańczać w kolorach pomarańczowym i granatowym. Wielkie małżeńskie łóże przykryte własnoręcznie zrobioną kapą było tak ustawione, że zapewniało piękny widok na skąpany w słońcu ogród. Róg pokoju zajmował duży staroświecki fotel na biegunach, na bieliźniarce stał duży telewizor.

Podobnie jak w sypialni, również w łazience panował idealny ład i porządek. Ręczniki pasowały odcieniem zarówno do kapy na łóżku, jak i chodniczków na podłodze. Sara postawiła butelkę z coca-colą na zlewie i skorzystała z toalety, zasłaniając wierzchem dłoni usta podczas szerokiego ziewnięcia. Chciała już oderwać kawałek papieru toaletowego, kiedy usłyszała, że ktoś oprócz niej jest w domu. Przemknęło jej przez myśl, że zostawiła otwarte na oścież drzwi łazienki. Podtarła się błyskawicznie i zaczęła podciągać majtki razem ze spodniami, gdy w saloniku rozległ się głośny łoskot. Otworzyła już usta, żeby zawołać i spytać, czy może w czymś pomóc, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język, gdyż odgłosy wydały jej się podejrzane.

Ostrożnie wyjrzała do sypialni, gdy rozległ się kolejny stukot, tym razem w kuchni, a po chwili następny. W jej pamięci odżyły podobne odgłosy, gdy wczoraj w domu Jessie i Roberta przeszukiwała kuchnię. I tu trzaskały drzwi szafek, jakby ktoś czegoś szukał w popłochu.

Rozejrzała się w panice, uświadamiając sobie, że jest odcięta w tylnej części domu. Z sypialni mogła jedynie wyjść na korytarz, bo nie brała pod uwagę możliwości wyskoczenia przez okno. I wtedy ciężkie stąpanie rozległo się w korytarzu. Dała nura z powrotem do łazienki i wskoczyła do kabinki prysznicowej, chowając się za zasłonką. W tej samej chwili intruz wszedł do sypialni.

Nie ulegało wątpliwości, że czegoś szuka. Stuknęły drzwi szafy, rozległ się szelest ubrań zrzuconych z półek na podłogę. Kiedy chwilę później zajrzał do łazienki, Sara poczuła, jak gruba kropla potu ścieka jej po skroni.

Dostrzegła przez zasłonkę cień wysokiego człowieka stojącego przy klozecie, zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od jej kryjówki. Mimo że zdawała sobie sprawę, iż jej nie zauważył, poczuła się zagrożona, jakby właśnie po nią tu przyszedł.

Spostrzegła, jak powoli podnosi coś z krawędzi umywalki. Butelka coca-coli! Musiał zwrócić uwagę, że jest jeszcze oszroniona, a napój w środku zimny, świeżo wyjęty z lodówki.

- Kto tu jest? - zapytał.

Odruchowo wyciągnęła ręce do tyłu i oparła się o chłodne kafelki.

Natychmiast przypomniała sobie łazienkę w szpitalu w Alabamie, gdzie napastnik zostawił ją przykutą kajdankami do ramy kabiny. Nie mogła zapomnieć takiego samego dotyku zimnych kafelków, z którymi stykały się jej kolana. Wpatrywała się w te kafelki prawie w nieskończoność, czekając, aż ktoś ją tam znajdzie. Usta miała zaklejone taśmą samoprzylepną, toteż nie mogła nawet krzyknąć, jedynie obserwować z przerażeniem, jak z każdą kroplą krwi z rany w brzuchu wycieka z niej życie.

Zasłonka odsunęła się w bok z głośnym brzękiem kółek na rurce. Aż podskoczyła na miejscu, przywierając plecami do glazury.

Robert obrzucił ją wściekłym spojrzeniem, trzymając w ręku butelkę z coca-cola.

- Co tu robisz?

Sara przyłożyła dłoń do piersi i głośno odetchnęła z ulgą. Zaraz jednak na nowo obleciał ją strach, gdy uświadomiła sobie, że nie tylko ona jest intruzem w tym domu. Co Robert tu robił? Czego szukał?

- Ja właśnie... - zaczęła nieśmiało.

Rozejrzał się szybko, jakby chciał znaleźć wyjaśnienie wśród wyposażenia łazienki.

- Wychodź stąd - rzucił ostro.

Chciała usłuchać, ale nogi miała jak z waty, nie była w stanie zrobić ani jednego kroku.

- Czego tu chcesz? - warknął.

Nie odpowiedziała, toteż odstawił butelkę z powrotem na brzeg umywalki i zaczął przetrząsać zawartość szafki.

- Neli powinna zaraz wrócić - wydusiła z siebie w końcu, gdy zaczął wyrzucać ręczniki i różne pudełka na podłogę.

Zerknął na nią przez ramię.

- Opos zabrał całą rodzinę do kina i na kolację w barze.

Zdołała się w końcu odkleić od ściany, tłumacząc sobie, że przecież Robert jej nie skrzywdzi, bo jest znajomą Jeffreya. Powoli uniosła nogę, postawiła stopę na

zewnątrz brodzika i powiedziała:

- Jeffrey powinien...

- On też nie wróci tak szybko - mruknął. - Nigdzie nie odchodź.

Odważyła się jednak zrobić jeszcze krok w kierunku drzwi.

- Ja tylko...

- Nie ruszaj się! - huknął, aż jego okrzyk rozszedł się echem po całym domu.

Na podstawie dzikich błysków w oczach domyśliła się, że jest w stanie skrajnej desperacji.

Stłumiła jednak narastającą w niej panikę.

- Muszę już iść.

Skoczył w bok i zagroził jej drogę.

- Dokąd?

- Jeffrey na mnie czeka.

- Gdzie?

- Na posterunku.

Wbił w nią świdrujące spojrzenie.

- Kłamiesz. Dlaczego próbujesz mnie oszukać? - Kiedy nie odpowiedziała, wrzasnął: - Co tutaj robisz, do jasnej cholery?! Skąd się tu wzięłaś?!

- Ja... - wycedziła, gorączkowo usiłując znaleźć jakieś wytłumaczenie. Nigdy dotąd nie czuła strachu przed Robertem, ale teraz spadło na nią jak grom z jasnego nieba, że jest przecież oskarżony o morderstwo z premedytacją. Patrząc na niego, próbowała ocenić, czy Jeffrey mógł się aż tak bardzo mylić w jego ocenie. Może przyparty do muru był jednak zdolny do popełnienia najcięższej zbrodni.

- Chodź ze mną - rzekł, chwytając ją za rękę. Wyciągnął ją do sypialni, pchnął w stronę fotela na biegunach i burknął: - Siadaj.

Nie miała ochoty wykonywać jego poleceń, ale kolana się pod nią ugięły i ciężko klapnęła na fotel.

Robert podszedł do komody pod oknem, stojącej na tyle blisko, że mógł bez trudu ją złapać, gdyby rzuciła się do ucieczki. Nad telewizorem wystawała prowizoryczna antena zrobiona z wygiętego drucianego wieszaka na ubrania owiniętego folią aluminiową. Kiedy zaczął energicznie wyciągać szuflady, towarzyszył temu nieprzyjemny szelest tej folii.

- Czego szukasz? - zapytała. - Pieniądzy? Potrzebujesz pieniędzy? Mogę ci dać...

W jednej chwili stanął nad nią, zacisnął palce na poręczach fotela i pochylony, syknął jej prosto w twarz:

- Nie chcę twoich pieprzonych pieniędzy! Myślisz, że pieniądze rozwiążą mój problem?! Tak uważasz?!

- Ja...

- Do cholery! - Odskoczył, aż fotel zakołysał się gwałtownie. Jak gdyby natychmiast się uspokoił i wrócił do przetrząsania szuflad komody. Sara przyglądała się w milczeniu, jak z najniższej szuflady wyciąga płaskie czarne pudełko.

Natychmiast rozpoznała etui na pistolet.

Wyskoczyła z fotela, lecz zamarła w bezruchu, gdy obrócił się błyskawicznie w jej kierunku z grymasem wściekłości na twarzy. Przywarła plecami do ściany, mając zamiar przemknąć się do wyjścia, kiedy będzie próbował otworzyć cyfrowy zamek. Nie potrafiła zrozumieć, co spowalnia jej ruchy. Dlaczego jeszcze nie rzuciła się biegiem do drzwi? Co ją powstrzymywało?

Wyraźnie się uspokoił, znalazłszy to, po co przyszedł.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał.

- Po co ci broń?

- Uciekam z miasta - odparł, kciukiem obracając cylinder zamka cyfrowego.

Kiedy wieczko odskoczyło, wyjął ze środka pistolet i oznajmił z dumą: - Sześć trzynaście, wynik naszego ostatniego meczu w mistrzostwach przeciwko drużynie z Corner.

- Powinnam... Wymierzył do niej.

- Lepiej tu zostać, Saro.

W jej pamięci odżyły wspomnienia z tamtego koszmaru, który przeżywała w łazience szpitala Grady'ego, krwawiąc z wielu miejsc, niezdolna poruszyć ręką ani nogą, nie mogąc również wezwać pomocy. Za żadne skarby nie mogła dać się uwięzić jak wtedy. Po raz drugi by tego nie przeżyła.

- Siadaj - rozkazał, wskazując fotel.

Z całej siły próbowała zachować spokój, ale nie mogła zapanować nad sercem bijącym jak oszalałe.

- Nikomu nie powiem - rzuciła w desperacji błagalnym tonem.

- Nie mogę ci zaufać - odparł, ruchami pistoletu nakazując cofnąć się na fotel.

- Chodź tu i siadaj. - Popatrzył na nią uważnie, a gdy nadal stała jak wmurowana,

dodał: - Przepraszam za swoje zachowanie. Nie powinienem był na ciebie krzyżeć.

Utkwiła spojrzenie w wylocie lufy pistoletu, mając nadzieję, że się nie myli.

- Nie jest naładowany.

Robert z głośnym brzękiem pociągnął do siebie pokrywę zamka.

- Teraz już jest.

Nadal nie mogła się ruszyć z miejsca.

- Co zamierzasz?

- Nic - odrzekł. - Chcę cię tylko związać.

Serce podeszło jej do gardła. Nie mogła do tego dopuścić. Chybaby oszalała, gdyby dała się skrępować. Usiłowała wziąć głębszy oddech, ale i z tym miała kłopoty. Traciła panowanie nad sobą.

- Muszę zacząć od początku - wyjaśnił, chociaż wcale o to nie prosiła. Znowu machnął pistoletem w stronę fotela i rzekł: - Odsuń się od drzwi, Saro, bo cię zastrzelę.

- Dlaczego? - zapytała, próbując się odwołać do jego logiki, świadoma jednak, że zapewne taki sam widok miał przed oczami Luke Swan, zanim kula roztrzaskała mu czaszkę.

- Nie chcę cię skrzywdzić - powiedział, jakby to miało ją uspokoić, mimo że wciąż mierzył do niej z pistoletu. - Boję się, że natychmiast powiadomisz Jeffreya, a on mnie odnajdzie.

Poczuła, jak drżą jej ręce. Miała świadomość, że grozi jej hiperwentylacja, jeśli zaraz nie zapanuje nad oddechem.

- Przecież ja nawet nie wiem, gdzie on jest.

- Ale na pewno niedługo wróci - rzekł, pochylając się znowu nad szufladą komody, ale nie przestawał do niej mierzyć. Wyciągnął niewielką skrzynkę z narzędziami. - Na pewno nie zostawi cię tutaj. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby się tak zaangażował.

Kątem oka oszacowała odległość dzielącą ją od drzwi sypialni. Robert był bardzo sprawny fizycznie, musiałyby popędzić, ile sił w nogach. Oczywiście nie miała szans uciec przed kulą, ale musiała podjąć ryzyko. Zrobiła maleńki kroczek, przesuwając się o parę centymetrów wzdłuż ściany.

Robert jedną ręką z trzaskiem otworzył skrzynkę. Obejrzał się i patrząc na nią, po omacku wyciągał ze środka rolkę srebrzystej taśmy izolacyjnej.

Otworzyła szeroko usta, ale nie była już w stanie zaczerpnąć powietrza.

Napastnik z Atlanty zakneblował ją dokładnie taką samą taśmą, żeby była cicho,

kiedy ją gwałcił. Tylko dlatego wszystko odbyło się w przerażającej ciszy.

- Żałuję, że nie mam czegoś bardziej stosownego - rzekł Robert. - Ta taśma dość mocno trzyma, będzie bolało podczas odrywania.

- Proszę - jęknęła roztrzęsionym głosem. - Lepiej zamknij mnie w szafie.

- I tak byś tam krzyczała.

- Nie będę - obiecała, a kolana zaczęły jej tak silnie dygotać, jakby miała się lada moment przewrócić. - Przysięgam, że nie będę. - Łzy pociekły jej po twarzy na samą myśl, że za chwilę ta przerażająca taśma dotknie jej skóry. Jakimś cudem zdołała przesunąć się jeszcze o krok w stronę drzwi. Wyciągnęła ręce do Roberta i powtórzyła błagalnie: - Obiecuję, że będę cicho. Nie pisnę ani słówka.

To, że była na granicy utraty panowania nad sobą, chyba jeszcze bardziej go uspokoiło. Odezwał się spokojnie i rzeczowo:

- Naprawdę nie mogę ci zaufać. Chlipnęła głośno.

- Proszę, Robert. Wszystko, tylko nie to. Błagam...

- Przestań...

Rzuciła się nagle do wyjścia i wypadła na korytarz. Robert poderwał się na nogi i skoczył za nią, lecz zdołał ją jedynie musnąć palcami, gdy skręcała do wyjścia. Nie obejrzała się nawet, tylko bez namysłu dała nura do saloniku. Sięgała już do klamki frontowych drzwi, kiedy złapał ją wpół i pchnął na stolik do kawy. Piłkarskie pamiątki Oposa posypały się ze ścian, kiedy blat rozpekł się równo na pół pod ich wspólnym ciężarem. Impet upadku zaparł Sarze dech w piersi, poczuła, jakby jej płuca stanęły w ogniu.

- Do diabła! - syknął Robert, ciągnąc ją za pasek spodni w górę.

Na oślep zamachała rękoma i zaczęła szybko przebierać nogami, próbując na nich stanąć, lecz tylko porozrzucała po podłodze odłamki szkła, gdy powlókł ją jak szmacianą lalkę z powrotem do sypialni.

- Proszę... - wymamrotała, wbijając mu paznokcie w wierzch dłoni. Próbowwała się czegoś złapać, ciągała rękami po ścianach, zrzucając oprawione w ramki zdjęcia i kwiaty doniczkowe. Zaciśnęła palce na klamce, ale szarpnął nią mocniej i jedynie połamała sobie paznokcie.

- Matko Boska... - jęknął, rzucając ją na podłogę, gdy rozorała mu skórę na ramieniu. Próbowwała się szybko podnieść, ponaglana histerycznym krzykiem, który rozbrzmiewał jej w głowie, bo przez zaciśnięte gardło nie potrafiła dobyć z siebie głosu. Ręce miała mocno zakrwawione, ale była gotowa dalej się bronić, jeśli zajdzie

potrzeba.

- Przestań! - krzyknął, po raz kolejny zwalając ją z nóg. Popęzła więc na czworakach do drzwi, ale znowu schwycił ją i pociągnął z powrotem.

Zdołała wreszcie krzyknąć:

- Puszczaj!

Pchnął ją na podłogę, i to tak silnie, że huknęła głową o deski. Złapał ją skurcz żołądka, a powieki zaczęły nerwowo trzepotać.

- Sara - jęknął przestraszony, dźwigając ją w górę. Oparł jej głowę na swoich kolanach i przemówił spokojnie: - Przestań. Nie chcę cię skrzywdzić.

- Robert... proszę... - wyszeptała, próbując opanować coraz silniejsze nudności. Chciała wstać, ale nagle jakby całkiem opadła z sił. Wszystkie mięśnie miała niczym z waty, nie mogła skupić wzroku na żadnym przedmiocie.

Położył ją delikatnie na podłodze i przyciągnął z kąta sypialni fotel na biegunach.

- Nie chciałem ci zrobić nic złego - powtórzył, podnosząc ją z podłogi. Bezwładnie przelewała mu się przez ręce, gdy sadzał ją na fotelu. Czuła, jak treść żołądkowa podchodzi jej do gardła. Cały pokój wirował przed oczami.

- Tylko nie mdlej - szepnął błagalnie, jakby mógł w ten sposób powstrzymać ją od utraty świadomości. Jeszcze nigdy dotąd nie zemdląca, ale bardzo silne zawroty głowy skłaniały ją do wniosku, że mogła się nabawić jakiegoś poważniejszego urazu.

Zaczęła oddychać głęboko i rytmicznie, chociaż bolały ją zebra. Robert patrzył na nią uważnie, wyczulony na każde poruszenie. Upłynęło jednak parę minut, nim Sara odzyskała stopniowo ostrość widzenia, a skurcz żołądka ustąpił.

- Upadek cię po prostu ogłuszył - powiedział z wyraźną ulgą. Mimo to przytrzymał ją jeszcze na fotelu, jakby się obawiał, że nie zdoła siedzieć o własnych siłach. Po raz ostatni obrzucił ją uważnym spojrzeniem, po czym zaczął odwijać taśmę izolacyjną. Zsunął jej nieco skarpetkę i unieruchomił nogę przy poręczy fotela.

Obserwowała jego poczynania, nie mogąc im w żaden sposób zapobiec.

- Nie mogę iść do więzienia - wyjaśnił. - Myślałem, że jakoś to zniósę, ale się pomyliłem. Nie dam rady spędzić za kratkami jeszcze jednej takiej nocy jak ostatnia.

Przytwierdził jej drugą nogę do fotela, który lekko się rozkołysał. Znowu zaczęło jej się zbierać na mdłości, lecz Robert szybko wytłumił bujanie, przysiadł na piętach i popatrzył jej w oczy.

- Chcę, byś przekazała Oposowi, że zwrócę mu całą forszę, jak tylko się

urządę. Mnóstwo wysiłku włożył w ten swój sklep, nie mogę więc dopuścić, by go stracił przez to, że złamałem warunki zwolnienia za kaucją.

Sara poruszyła nogami, żeby sprawdzić więzy, a zarazem przywrócić krążenie w łydkach i stopach.

- Robert, proszę, nie rób tego.

Oderwał następny kawałek taśmy izolacyjnej.

- Połóż ręce na poręczach.

Nawet nie drgnęła. Złapał ją za nadgarstek i ułożył rękę na poręczy.

- Nie zniosę tego - powiedziała, znowu mając wrażenie, że powoli wycieka z niej życie. - Nie zniosę.

Popatrzył na nią z zaciekawieniem, jakby miał przed sobą histeryczkę.

- Nie zakleję ci ust, jeśli mi obiecasz, że nie będziesz krzyczała.

Mimo woli znów wybuchnęła płaczem, tak wdzięczna za to ustępstwo, że była gotowa obiecać mu wszystko, czego tylko sobie zażyczy.

- Nie płacz, proszę - mruknął, sięgając po chusteczkę, żeby wytrzeć jej łzy. Od razu przypomniał jej się Jeffrey, który zawsze nosił przy sobie czystą chusteczkę. I zawsze był dla niej taki delikatny. Na tę myśl zaczęła jeszcze bardziej szlochać.

- Jezu... - szepnął Robert, traktując jej płacz jak swoistą karę dla siebie. - To nie potrwa długo. Przestań się mazać, Saro. Nie stanie ci się żadna krzywda. - Zrobił zdziwioną minę i dodał: - Rozciąłaś sobie brew.

Zamrugła szybko, dopiero teraz zauważywszy, że to krew przesłania jej wzrok.

- Do diabła, tak mi przykro - rzekł, ostrożnie wycierając jej oko. - Naprawdę nie chciałem, żeby coś ci się stało. Nie zamierzałem cię skrzywdzić.

Głośno przełknęła ślinę, czując, że wracają jej siły. Mimo wszystko postanowiła go przekonać, że nie będzie krzyczała i nikogo nie zawiadomi, jeśli tylko zostawi jej nieskrępowane ręce.

Starannie złożył chusteczkę na czworo. Zaczęła się gorączkowo zastanawiać, jak go przechytryć, dać do zrozumienia, że nic mu nie grozi z jej strony.

- Powiem Oposowi o pieniądzach - szepnęła. - Co jeszcze? Z kim więcej powinnam rozmawiać w twojej sprawie? Co z Jessie?

Schował chusteczkę do kieszeni i ponownie sięgnął po taśmę izolacyjną.

- Próbowałem napisać do niej list, ale nigdy nie byłem w tym dobry.

- Na pewno będzie chciała wiedzieć, co próbowałeś jej napisać. Powiedz mi,

przekażę jej.

- Ja już jej ani trochę nie obchodzę.

- Nieprawda. Wiem, że się mylisz.

Westchnął ciężko i pomógł sobie zębami, by oderwać kawałek taśmy.

Sara aż do krwi przygryzła wargi.

- Staralem się, żeby wszystko było jak najlepiej - powiedział, układając jej drugą rękę na poręczu.

Próbowała ją wyszarpnąć, ale przycisnął silnie. Zapatrzyła się na swoje palce, czując tak otepiającą bezsilność, że omal znów nie zaczęła się dusić.

Robert przysiadł na piętach.

- Widzisz, że wcale nie jest tak źle? - Wyciągnął rękę w kierunku jej ust. - Rozkrwawiłaś sobie wargę.

Odruchowo szarpnęła się do tyłu, a po jego twarzy przemknął grymas żalu, jakby to nie on był za wszystko odpowiedzialny.

- To nie jest tak, jak myślisz - rzekł. - Naprawdę ją kochałem.

- Proszę, uwolnij mnie - szepnęła błagalnie.

Wytarł spocone ręce o spodnie. Pistolet leżał na podłodze obok niego, ale Sara nie miała najmniejszych szans, żeby się uwolnić i go chwycić. Była unieruchomiona na fotelu.

- Naprawdę ją kochałem - powtórzył cicho. Wpatrywała się w pistolet, jakby samą siłą woli mogła go podnieść z podłogi. Próbując zapanować nad drzeniem głosu, odezwała się:

- Powiedziałeś jednak, że już jej nie obchodzisz.

- Nie wiem, co poszło nie tak. - Uśmiechnął się smutno. - A co ci podpowiada w głębi serca, że kochasz Jeffreya?

- Trudno powiedzieć - odparła, nie mogąc oderwać wzroku od pistoletu.

Zmusiła się w końcu, żeby spojrzeć na Roberta. - Proszę. Nie zostawiaj mnie tak. Nie zniosę tego. Naprawdę nie zniosę.

- Nic ci nie będzie.

- Proszę... Błagam...

- Powiedz mi, co sprawia, że kochasz Jeffreya - powtórzył, jakby był to element przetargowy. - Skąd wiesz, że to miłość?

- To trudno zdefiniować.

- Postaraj się - powiedział łagodnie.

Przyszło jej na myśl, że próbuje się w ten sposób uspokoić, by łatwiej zrealizować do końca swój plan.

- Nie wiem - mruknęła. - Robert...

- Przecież coś musi być - odrzekł z naciskiem, siląc się na uśmiech, jak gdyby byli Bogu ducha winnymi ludźmi, a tylko przypadek sprawił, że znaleźli się w takich okolicznościach. - Nie powiesz mi, że wszystko jest zasługą jego wspaniałego poczucia humoru albo ujmującej osobowości.

Zastanowiła się wreszcie nad odpowiedzią, usiłując wymyślić taką, która skłoni go, by ją rozwiązał i puścił wolno. Ale nic nie przychodziło jej do głowy.

- Naprawdę nie wiesz?

Przypomniała sobie niedawną rozmowę z gospodynią.

- Decydują o tym drobiazgi. To samo Neli mówiła o swoim związku z Oposem. Zwyczajne drobiazgi.

- Poważnie?

- Tak - odparła, próbując sięgnąć pamięcią głębiej do tamtej rozmowy, aby opanować narastającą panikę.

Własny głos wydawał jej się dziwnie stłumiony, jakby rozchodził się pod wodą. - Mówiła, że kocha go za to, że zawsze wraca punktualnie do domu i nie wstydzi się robić dla niej zakupów w supermarkecie.

Robert uśmiechnął się smutno, wstając z podłogi.

- Może i ja powinienem był robić zakupy dla Jessie. Miała przeczucie, że z tego, co powiedział, wypływa jakiś ważny wniosek, tylko nie potrafiła go jeszcze zdefiniować. Za wszelką cenę pragnęła przeciągnąć rozmowę.

- Na pewno kiedyś robiłeś.

Oderwał jeszcze jeden długi kawałek taśmy izolacyjnej, pomagając sobie zębami, ale rolka spadła mu przy tym na podłogę.

- Nie, nigdy - odparł, oklejając taśmą jej klatkę piersiową i przytwierdzając do oparcia fotela. - Zawsze powtarzała, że lubi robić zakupy, bo ma w ten sposób poczucie, że się o mnie troszczy.

- Naprawdę nigdy nie wychodziłeś do sklepu? - zdziwiła się Sara, gdy nagle przypomniała sobie, co usłyszała od Jeffrey'a poprzedniego wieczoru. Serce zabiło jej mocniej, a jednocześnie poczuła przyływ spokoju.

Robert zaczął się rozglądać za rolką taśmy.

- Cholera - syknął, klękając, żeby zajrzeć pod łóżko. Skrzywił się i przycisnął

rękę do rany w brzuchu. - Potoczyła się pod tapczan - mruknął, zapierając się o jego brzeg i próbując do niej sięgnąć.

- Naprawdę nigdy nie wychodziłeś do sklepu? - powtórzyła Sara, przyglądając mu się uważnie. Widok jego rozczapierzonych palców na brzegu materaca przypomniawszy jej rozmazany krwawy ślad na podłodze w jego sypialni.

- Nigdy - zapewnił, siadając przy tapczanie dla zaczerpnięcia tchu. - Cholera, ale boli.

Pomijając fakt, że była unieruchomiona na fotelu, uznała, że powoli zaczyna przejmować kontrolę nad sytuacją.

- Jessie często korzystała z twojej półciężarówki?

- Dziwne pytanie - bąknął. - Owszem. Nie cierpiała jej, ale gdy parkowałem na podjeździe za jej samochodem, łatwiej jej było wziąć mój wóz niż przestawiać oba.

Ukradkiem naprężyła rękę, sprawdzając, jak bardzo ciasne są więzy.

- A więc to nie ty pojechałeś do sklepu w noc zabójstwa, prawda? To Jessie. To ona wzięła twój samochód.

Spuścił głowę, udając, że jest zajęty odmierzaniem kolejnego odcinka taśmy izolacyjnej. Wyczuła instynktownie, że i on ma ochotę kontynuować rozmowę.

- Mówię o tej nocy, kiedy zginął Luke - podjęła ochoczo. - To była niedziela. Czy to Jessie w niedzielę pojechała twoim wozem do sklepu?

Oderwał za długi odcinek i gdy jeden koniec wysliznął mu się z palców, taśma się skleiała. Próbował ją rozdzielić, ale trzymała mocno.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - burknął.

- To Jessie była w twoim samochodzie - powtórzyła Sara, coraz bardziej pewna siebie. - To ona tamtej nocy pojechała do sklepu. Widziałam w waszej lodówce pełne butle mleka i soku, a za osłoną przeciwsłoneczną półciężarówki tkwiła kartka z listą zakupów, obejmującą między innymi mleko i sok.

Wciąż w zamyśleniu skubał palcami sklejoną taśmę, jakby za nic nie chciał wyrzucić tego kawałka.

- A więc to Jessie pojechała do sklepu i to ona niespodziewanie wróciła do domu. Na samym początku mówiłeś prawdę, tylko zamieniłeś rolami osoby. To Jessie niespodziewanie wróciła do domu, a ty byłeś... - urwała na chwilę, zaskoczona -...ty byłeś w sypialni ze Swanem, nie ona.

Robert zaśmiał się nienaturalnie, zgniatając wreszcie taśmę w kulkę.

Postanowiła naciskać dalej, całkiem już przeświadczona, że poznała jego

tajemnicę.

- Klęczałeś na podłodze w sypialni, oparty o brzeg tapczanu.

- Może jeden kawałek wystarczy - mruknął, odkładając rolkę.

- Czy Luke klęczał za tobą, kiedy został zastrzelony?

Po krótkim namyśle oderwał jeszcze krótki kawałek taśmy.

- Chyba jednak będę musiał ci zakleić usta. Znowu obleciał ją strach, ale silniejsze było pragnienie odkrycia prawdy.

- Przecież możesz mi powiedzieć, co się naprawdę stało. To nie ty go zabiłeś. Jestem tego pewna. Czy to Jessie strzelała? Nakryła was w sypialni? Komuś powinieneś wyjawić prawdę. Nie możesz tak zostawić tej sprawy.

Już trzymał taśmę na wysokości jej ust, ale jeszcze się zawahał. Sara wpatrywała się w niego z napięciem, dostrzegłszy, że coś go powstrzymuje przed zakneblowaniem.

Po chwili cofnął się o krok i przysiadł na brzegu tapczanu, najwyraźniej speszony. Zapatrzył się na taśmę, którą trzymał ostrożnie czubkami palców, jakby się bał, że eksploduje mu w rękach.

Nie wiedząc, jak daleko może się posunąć, Sara zapytała ściszym, miękkim głosem:

- Byłeś ze Swanem tamtej nocy, prawda?

Nadal z uporem wpatrywał się w swoje dłonie, jakby wierzył, że ona weźmie jego milczenie za odpowiedź twierdzącą.

- Czy Jessie wcześniej o tym wiedziała? - Odczekała chwilę, po czym zagadnęła jeszcze ciszej: - Robert?

Ospale pokręcił głową.

- Tak bardzo mi na niej zależało - powiedział cicho. - Była jedyną kobietą na świecie, dla której mógłbym być pełnowartościowym mężem. - Odwrócił głowę i zapatrzył się na podwórko za oknem. Sara pomyślała, że wyobraża sobie własne przyjęcia przy rozpalonym grillu i zabawy z synem, którego się nie doczekał. - Miała wyjechać na dłużej - podjął po chwili. - Powiedziała, że jedzie do matki, a potem jeszcze do sklepu nocnego, jak robiła to prawie w każdą niedzielę.

- I co się stało?

- Pokłóciła się z matką. - Westchnął głośno. - Dlatego wróciła do domu wcześniej. Miała nawet czas, żeby pochować zakupy w kuchni. Kiepski ze mnie glina, prawda? W ogóle nie słyszałem, jak wróciła.

- Zaskoczyła was w sypialni?
- Myślała, że jestem jeszcze u Oposa i oglądam mecz w telewizji.
- Zaskoczyła was? - powtórzyła Sara.

- Ukrywałem to starannie, przez tyle lat - wyznał, nie odpowiadając na jej pytanie. Potarł palcami oczy. - Zawarłem z Bogiem umowę. Obiecałem Mu, że nie będę tego więcej robił, jeśli pozwoli Jessie mieć dziecko. - Ręce mu opadły. - Niczego więcej nie potrzebowaliśmy, żeby stworzyć pełną rodzinę. Byłbym naprawdę dobrym ojcem.

Najwyraźniej oczekiwał potwierdzenia, bo znowu odwrócił głowę, gdy Sara się nie odezwała.

- Widocznie Bóg zdecydował, że musiało się tak stać. Może doskonale wiedział, że nie zdołam dotrzymać słowa.

- Bóg z nikim nie zawiera takich umów.
- Masz rację. A już na pewno nie z takimi jak ja.
- To, że jesteś gejem, jeszcze nie czyni z ciebie złego człowieka.

Skrzywił się z niesmakiem, słysząc to słowo.

Sara po raz kolejny odchyliła nogi w bok, żeby sprawdzić, czy ma jakąkolwiek szansę na uwolnienie się z więzów.

- Wszystko, co robiłem, obracało się wniwecz - rzekł i z niewiadomych powodów uśmiechnął się szeroko. - Chyba wiesz, jak to jest, kiedy człowiek zakocha się po raz pierwszy w życiu?

Nie odpowiedziała.

- Dan Phillips... - mruknął. - Boże, jaki on był piękny. Wiem, że według ciebie żaden chłopak nie powinien tak myśleć o innym chłopaku, ale gdy wspomnę te jego niewinne, niebieskie oczy... - Odruchowo zasłonił sobie usta dłonią, ale zaraz ją opuścił i zapytał: - Nie robi ci się niedobrze, gdy tego słuchasz?

- Nie.

- A mnie tak - wyznał. - Julia przyłapała nas za salą gimnastyczną. Do diabła, nigdy nie korzystałem z jej usług. Dan również. Obaj nie mieliśmy jeszcze pojęcia, co robi, gdy spotyka się z chłopakami. - Zaśmiał się gardłowo. - To był nasz pierwszy raz. Pierwszy i ostatni.

- Jak zareagowała?

- Zaczęła wrzeszczeć jak opętana. Nigdy w życiu się tak nie wstydziłem.

Potem wymiotowałem przez cały tydzień, gdy tylko sobie przypominałem, jakim

wzrokiem na nas popatrzyła. Jakbyśmy byli najgorszymi śmieciami. Bo i byliśmy. Dan od razu uciekł. Wyjechał z miasta. Po prostu nie chciał mnie już nigdy więcej widzieć.

- I dlatego ją zabiłeś?

Spojrzał na nią z bolesną miną, jakby go obraziła.

- Jeśli chcesz tak myśleć, proszę bardzo.

- Chcę znać prawdę. Popatrzył jej prosto w oczy.

- Nie zabiłem jej. Przez jakiś czas myślałem, że zrobił to Jeffrey, ale... -

Pokręcił głową. - On też tego nie zrobił. Co najmniej połowa miasta nienawidziła Julii z takiej czy innej przyczyny. Ale Jeffrey nie miał powodu, żeby ją zabijać.

- Więc na pewno także jej nie zgwałciłeś.

- Nie. Rozpowszechniając plotki o gwałcie, chciała się tylko na mnie zemścić.

Chyba miała nadzieję, że przyznam się otwarcie, kim jestem, że wyjawię prawdę o sobie, próbując się bronić przed oskarżeniem o gwałt. - Wykrzywił usta w pogardliwym grymasie. - Jak miałbym to zrobić? Prędzej bym się zabił, niż ujawnił prawdę.

- A dlaczego oskarżyła Jeffreya? - zapytała niemal wbrew sobie.

- Pewnie myślała, że spróbuję go bronić. Widzisz, jaki ze mnie przyjaciel?

Pozwoliłem ludziom myśleć, że Jeffrey ją zgwałcił, byle tylko nie wydała się moja tajemnica. - Zamilkł na chwilę i powtórzył z naciskiem: - Jak już powiedziałem, Saro, prędzej bym się zabił, niż ujawnił prawdę.

Znowu spojrzał jej prosto w oczy, toteż odebrała to jak groźbę.

Musiła jednak skłonić go do dalszych wyznań.

- I z tego samego powodu wzięłaś na siebie winę za śmierć Luke'a Swana?

Przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu.

- Wszystko wydarzyło się tylko z tego jednego powodu.

- To znaczy?

- On też przypadkiem odkrył moją tajemnicę.

- Luke?

- Któregoś wieczoru odwoziłem go do aresztu, gdy został przyłapany na próbach wymuszania opłat parkingowych na placu przy kręgielni. - Znowu odwrócił głowę i zapatrzył się na podwórko. - Był zmarznięty, więc dałem mu swoją kurtkę. Od tego się zaczęło. Dalej sprawy potoczyły się już same. Nawet nie wiem, jak do tego doszło. Pamiętam tylko, że było mi z nim bardzo dobrze. A następnego dnia czułem

się koszmarnie.

Sara dostrzegła bolesny grymas cierpienia na jego twarzy i wbrew woli zrobiło jej się go żal.

- Też nie wiem, jak to się stało, że zdobył moją koszulkę piłkarską. Może w chwili mojej nieuwagi wykradł mi ją z samochodu. Niezależnie od wszystkiego, było na niej wypisane wielkimi literami moje nazwisko. Następnego ranka zadzwonił do mnie na posterunek. Zagroził, że zacznie w niej paradować po mieście i mówić wszystkim, że jest moją dziewczyną. - Prychnął pogardliwie. - Od tamtej pory wodził mnie za nos, jakbym rzeczywiście był panienką do podrywania. - Zazgrzytał zębami ze złości i zapatrzył się na swoje ręce.

- Nie mogłeś mu powiedzieć, żeby się odczepił? - zapytała Sara. - Przecież i tak nikt by mu nie uwierzył.

- Tutaj to nie takie proste - mruknął.

Uświadomiła sobie, że ma rację. W małych miasteczkach plotki są brane za dobrą monetę. Nawet najbardziej niewiarygodne pogłoski wygrywają z monotonią szarej codzienności.

- Co się stało potem? - zapytała.

Zwlekał z odpowiedzią, jakby prawda była dla niego o wiele straszniejsza od kłamstw, którymi się zasłaniał w ostatnich dniach.

- Byłem słaby. Bardzo mi zależało na znalezieniu pociechy, na tym, żeby przy kimś znowu poczuć się dobrze. - Znów spojrzał jej w oczy, jakby się bał, że lada chwila da wyraz swojemu obrzydzeniu. - Zadzwoniłem do niego i poprosiłem, żeby przyszedł. Powiedziałem, że chcę się z nim kochać. Jak ci się to podoba? Bo chyba już wiesz, co robiliśmy? Dawaliśmy sobie nawzajem dupy jak dwa stare pedały.

Patrzyła na niego z poważną miną.

- Kochałeś go?

- Nienawidziłem - syknął tonem pełnym bezgranicznej pogardy. - Czułem się przy nim, jakby mi podtykał lustro, żebym zobaczył, kim naprawdę jestem, żebym ujrzał całą swoją ohydę. - Urwał na chwilę, po czym dodał szeptem: - Pieprzony pedały.

- I dlatego go zabiłeś?

Za oknem zachrząścił zwir pod kołami samochodu, po paru sekundach głośno trzasnęły drzwi pobliskiego domu. Jeśli sąsiad Neli nawet zauważył zniknięcie psów, ani trochę się tym nie przejął.

- No więc? - ponagliła Sara. Robert znowu się zawahał.

- Jessie nas przy tym zaskoczyła - odparł w końcu. - Usłyszała hałasy, bo wcale nie staraliśmy się być cicho. - Zerknął na nią, jakby chciał sprawdzić jej reakcję. - W rękę trzymała już pistolet, bo sądziła, że ktoś się włamał do naszego domu. Nawet nie pomyślała o tym, żeby wezwać policję. - Nagle zmienił temat. - Z tego samego powodu pokłóciła się z matką i wcześniej wróciła do domu.

Sara milczała, nie bardzo umiając powiązać te fakty.

- Matka zrobiła jej dziką awanturę, bo Jessie przyjechała do niej zdrowo wstawiona. Bardzo często się tak otumania, czy to whisky, czy tabletkami. A Faith za jej stan ciągle obwinia mnie, chociaż sama po całych dniach chodzi wstawiona, nawet do ogrodu nie ruszy się bez butelki. Dla Jessie był to jedyny sposób, żeby ze mną wytrzymać, znosić moje kolejne porażki. Garściami brała leki, żeby zapomnieć o złamanym sercu.

Za oknem znowu stuknęły drzwi. Sara aż wstrzymała oddech, mając nadzieję, że sąsiad zajrzy tutaj, żeby zapytać, co się stało z psami. Usłyszała jednak warkot uruchamianego silnika i odgłos auta wyjeżdżającego z powrotem na ulicę.

- To mnie Jessie chciała zastrzelić - rzekł Robert, spoglądając za okno, prawdopodobnie obserwując oddalający się wóz sąsiada. - Bez namysłu pociągnęła za spust, bo była zaszokowana. Nawet nie myślała o tym, co robi. Wiem jednak, że chciała zabić mnie, a nie jego. Tak mi przynajmniej później powiedziała. Przyznała, że była tak pijana, iż w pierwszej chwili pomyślała, że jej się dwoi przed oczami, że jakimś cudem zdołałem się rozdzielić, żeby samemu się wypieprzyć w dupę. - Nerwowo oblizwał wyschnięte wargi. - A ja nawet się nie zorientowałem, kiedy weszła do pokoju. Usłyszałem tylko, jak Swan mówi: „I co ty na to? Chcesz się przyłączyć do zabawy?”. Nie mogłem zrozumieć, o co mu chodzi. Dopiero po jakimś czasie zrozumiałem, że mówił do niej. Prowokował ją, choć przecież musiał zauważyć, że ma pistolet w ręku. Do wszystkich się tak odnosił.

Zaczepiał, podjudzał i tylko czekał, aż ktoś straci cierpliwość.

- I Jessie go zastrzeliła.

- Miałem na sobie koszulę, ale... - zająknął się i z trudem przełknął ślinę. - Poczułem tylko wilgotne rozbryzgi na plecach, jakby ktoś mnie ochlapał prysznicem. Dopiero później dotarł do mnie huk wystrzału, po jakichś dwóch lub trzech sekundach... Nie, to nie mogło tyle trwać. Po prostu mój mózg pracował na zwolnionych obrotach. Pewnie wiesz, jak to jest?

Pokiwała głową. Wiedziała z własnego doświadczenia, jak traumatyczne przeżycia spowalniają wszystkie odczucia, jak gdyby ludzka podświadomość pragnęła się nacieszyć cierpieniem, zamiast je odrzucić.

- W pierwszej chwili usłyszałem tylko dziwne mlaśnięcie, jakby coś ciężkiego wpadło do wody. - Zacerpnął głęboko powietrza. - I Luke zwałił się na mnie całym ciężarem. Poczułem wilgoć na plecach... - Pokręcił głową na to wspomnienie. - A on osunął się po mnie na podłogę.

Sara przypomniała sobie, z jakim uporem stał tamtej nocy pod ścianą i nie chciał usiąść, nerwowo ściskając w palcach brzeg podkoszulka. Pewnie całe plecy miał zabryzgane krwią.

- Potem wszystko potoczyło się już szybko. Niezwykle szybko, biorąc pod uwagę, że wcześniej toczyło się jak na zwolnionym filmie.

- Co się stało?

- Jessie strzeliła do mnie.

- Ale chybiła. - Sara przypomniała sobie ślad na ścianie nad łóżkiem.

- Rzuciłem się do kredensu po swój zapasowy pistolet. Sejf był otwarty. Po tym, jak straciliśmy dziecko... - Znowu pokręcił głową, ewidentnie pragnąc pominąć ten temat. - Też działałem bez zastanowienia. Żałowałem tylko, że nie trafiła, strzelając do mnie. - Urwał na krótko. - Opuściła broń, jakby mimo wszystko nie mogła mnie zabić, choć przekonała się na własne oczy, kim jestem. I ja zamarłem na parę sekund, nim uświadomiłem sobie z całą mocą, co się stało. Zrozumiałem, że jeśli ktoś dowie się prawdy, wyjdzie również na jaw, kim jestem. Dlatego przytknąłem sobie pistolet do brzucha i pociągnąłem za spust.

- Miałeś szczęście, że kula nie wyrządziła większych szkód.

- To stało się tak szybko - powtórzył. - Nie miałem nawet czasu, żeby pomyśleć. To było jak... - strzelił palcami.

Sara milczała, mając wrażenie, że słyszy jeszcze echo wystrzału z pistoletu.

- Nawet za bardzo nie bolało - dodał. - Myślałem, że będzie gorzej. Dopiero po pewnym czasie poczułem nieznośny ból.

- To Jessie wpadła na pomysł, żebyś wziął winę na siebie?

- Nie, skądże - odparł szybko, nasuwając rym samym podejrzenia, że kłamie. - Podeszła do nocnej szafki i wysypała sobie na rękę całą fiolkę tabletek. Część rozsypała po podłodze. A ja zacząłem się gorączkowo zastanawiać: „Do jasnej cholery, co mam teraz zrobić?”.

- I co zrobiłeś?

- Chyba miałem już pełną świadomość tego, co robię, pociągając za spust, ale minęło trochę czasu, zanim mój umysł zaczął pracować normalnie. Podniosłem z podłogi pistolet rzucony przez Jessie i starłem z niego odciski palców. Chwilę później usłyszałem, że ktoś wyważa kuchenne drzwi. Rzuciłem wszystko na podłogę i zostałem tylko z tym pistoletem w dłoni. Jeffrey wpadł do środka i wrzasnął: „Co się stało?”. A gdy wybiegł z powrotem po ciebie, kazałem Jessie otworzyć okno i wypchnąć okiennicę. Chyba po raz pierwszy w życiu zrobiła to, co jej kazałem, o nic nie pytając.

- A co z pociskiem z głowy Swana? - zapytała Sara, nawiązując do kuli, którą dał Reggiemu, składając zeznania.

- Jessie później go wyciągnęła. Nawet nie wiem kiedy, w każdym razie podała mi go, mówiąc, że wystawał z głowy Luke'a. Powiedziała, że będę miał wspaniałą pamiątkę.

Sara przypomniała sobie, że Jessie tylko na parę minut została sama w sypialni, kiedy ona razem z Jeffreyem wyszła na ganek, żeby poczekać na przyjazd Hossa. Widocznie wtedy wyciągnęła kulę wystającą z głowy zabitego.

- Jessie jest o wiele sprytniejsza, niż wszystkim się wydaje - ciągnął Robert. - Kiedy przybiegliście oboje, zaczęła udawać zbyt pijaną, żeby mieć świadomość tego, co się stało. A ja spanikowałem. Gorączkowo usiłowałem wymyślić bajeczkę, która by wszystko wyjaśniała, nie bacząc nawet, że fakty niezbyt do siebie pasują. Ona zaś przyjmowała to obojętnie, wiedząc doskonale, że tylko pograżam się coraz bardziej i sam sobie kręcę stryczek.

- Ale dlaczego? - spytała zdziwiona. - Czemu nas okłamałeś?

- Bo wolę być bezwzględnym mordercą niż pedałem.

Ciężar tego stwierdzenia jak gdyby na dłużej zawisł w powietrzu. Sarze jeszcze nigdy nikogo nie było aż tak żal.

- Po prostu nie jestem prawym człowiekiem. - Urwał na chwilę, z trudem nad sobą panując. - Gdybym miał nóż i mógł to z siebie wyciąć, nie wahałbym się przez chwilę. Wyciąłbym swoje cholerne serce, byle tylko być normalnym.

- Jesteś normalny. Nic ci nie dolega.

- I tak już za późno.

- Przecież możesz odwołać swoje zeznania, choćby i zaraz. Nie musisz uciekać. Jesteś niewinny, Robercie. Nic złego nie zrobiłeś. Śmierć Swana to nie twoja

wina.

- We wszystkim zawiniłem - powiedział z naciskiem. - Zgrzeszyłem, Saro. Sprzeniewierzyłem się Bogu. Złamałem daną Mu obietnicę. Zadawałem się z innym mężczyzną. I z całego serca życzyłem mu śmierci. Jessie tylko pociągnęła za spust, ale to ja wydałem na niego wyrok. Ja go sprowadziłem do naszego domu. Nie ma już dla mnie drogi odwrotu.

- Jesteś, jaki jesteś - podjęła jeszcze jedną próbę, chociaż nie wierzyła, że zdoła go przekonać. - Nie masz się czego wstydzić.

- Owszem, mam - rzekł, sięgając po pistolet.

- Boże...

Wymierzył jej w twarz. Sara zamknęła oczy, wędrując myślami do tych wszystkich rzeczy, których nie zdążyła jeszcze w życiu zakosztować. Nie wiedziała, jak rodzice zniosą jej śmierć. Tessa nadal jej potrzebowała, a Jeffrey... Tyle jeszcze chciała mu powiedzieć. Oddałaby teraz wszystko, byle tylko znaleźć się przy nim, znowu móc się do niego przytulić.

- Nie jesteś mordercą - wydusiła przez zaciśnięte gardło.

- Bardzo mi przykro - rzekł, podchodząc tak blisko, że poczuła bijącą od niego woń potu.

Kiedy dźgnął ją lufą w czoło, znów zaczęła szlochać. Bała się otworzyć oczy. Jej uszy wypełnił szcęk przestawianego bezpiecznika i jeszcze jedno, ledwie słyszalne przeprosiny.

- Proszę - szepnęła. - Nie rób tego. Proszę. - Przyszło jej nagle do głowy, że jest sposób, aby go przechytryć. Rzuciła desperacko: - Jestem w ciąży.

Jeszcze przez parę sekund czuła na czole zimny dotyk metalu. A potem doleciało ją stłumione przekleństwo Roberta.

Otworzyła oczy. Stał tyłem do niej. Ramiona mu dygotały. Pomyślała, że płacze, ale gdy się odwrócił, ogarnęło ją przerażenie. Chichotał bezgłośnie.

- Jesteś w ciąży? - powtórzył, jakby to był świetny dowcip.

- Robercie...

- Jemu wszystko przychodzi z łatwością.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak wielki popełniła błąd.

- Nie chciałam...

- Jezu... - syknął, znów wymierzając pistolet w jej głowę. Ale tym razem ręka silnie mu się trzęsła. Opuścił ją szybko. - Kurwa mać!

- Jeffrey jeszcze o tym nie wie - powiedziała, desperacko usiłując poprawić swoją sytuację. - Nic jeszcze nie wie.

- I się nie dowie! - Ponownie do niej wymierzył.

- Dowie się! - krzyknęła. - Po sekcji zwłok! - Robertowi szczęka opadła, zaczęła więc mówić pospiesznie: - Naprawdę chcesz, żeby się dowiedział właśnie w taki sposób? Chcesz, żeby poznał prawdę dopiero po mojej śmierci? Bo na pewno ją pozna. Ostatecznie i tak się dowie.

- Dość! - rozkazał ostro, przytykając jej lufę do czoła. - Ani słowa więcej!

- To chłopiec! - pisnęła histerycznie, coraz bardziej przerażona. - Mielibyśmy chłopca. Jeffrey miałby syna.

Znowu opuścił broń, ale teraz nie było mu już do śmiechu.

- Dobrze wiesz, jak to jest, kiedy straci się dziecko - wydukała, trzęsąc się tak silnie, że cały fotel dygotał wraz z nią. - Dobrze wiesz, jak to jest.

Wolno pokiwał głową, jakby wcale jej nie słuchał, tylko prowadził milczący dyskurs z samym sobą. Raz i drugi poruszył wargami, lecz nie wydobył się spomiędzy nich żaden dźwięk. W końcu zabezpieczył pistolet i wetknął go za pasek spodni. Znowu sięgnął po rolkę taśmy izolacyjnej.

Patrzyła na niego w osłupieniu, mając świadomość, że za chwilę zaklei jej usta, by spokojnie zabić ją bez słowa protestu.

- On mnie kocha - jęknęła, naprężając mięśnie, żeby oswobodzić przynajmniej rękę.

Oderwał kawałek taśmy.

- Chcesz go pozbawić tego wszystkiego? - zapytała jednym tchem. - Chcesz mu odebrać syna? Jeszcze nienarodzonego? - Strach coraz silniej ścisnął ją za gardło, ale nie mogła przestać, mając świadomość, że już nigdy nie będzie miała okazji wymówić tych słów. - Przecież to nasze dziecko - starała się włożyć w te słowa jak najwięcej miłości. - Nasze dziecko.

Chyba uderzyła go namiętność wyczuwalna w jej głosie, bo nagle znieruchomiał.

- Noszę w sobie jego dziecko - powtórzyła, czując, jak niespodziewanie ogarnia ją spokój, jak gdyby już się pogodziła z tym, co ją czeka. Jeśli nawet nie umiała tego logicznie wyjaśnić, to przynajmniej uwolniła się od strachu. - Nasze dziecko.

- On i tak cię skrzywdzi - rzekł Robert. - Wszyscy, którzy go kochają,

wcześniej czy później kończą ze złamanym sercem.

- Kiedy się kogoś naprawdę kocha, podejmuje się takie ryzyko.

W zamyśleniu musnął palcem jej usta, jakby chciał zetrzeć krew z rozciętej wargi. Zanim zdążyła się zorientować, pochylił się szybko i ją pocałował. Był to chyba najdelikatniejszy i najbardziej niewinny pocałunek, jaki w życiu dostała, zresztą była zbyt zaskoczona, żeby zareagować.

- Przepraszam - powiedział, po czym błyskawicznie zakleił taśmą jej usta. Odsunął się o krok, skrzyżował ręce na piersi i dodał: - Wybacz, że cię skrzywdziłem. Już tyle osób skrzywdziłem w swoim życiu. - Zasepił się, jakby głos rozsądku podpowiadał mu co innego. - Jeffrey pewnie pomyśli, że chciałem się na nim odegrać. Powiedz mu, że to nieprawda, dobrze? Nigdy nie potrafiłem czuć do niego żadnej urazy. Nawet przez chwilę.

Pokiwała głową, nie mogąc już odpowiedzieć.

- I powiedz mu, że będzie świetnym ojcem, a ja nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym go pozbawił tej możliwości. Chcę, by wiedział, że zawsze był moim najlepszym przyjacielem i że nigdy nie czułem do niego nic więcej.

Sara jeszcze raz pokiwała głową, usiłując zrozumieć, co się zmieniło w jego planach.

- Przykro mi, że musiałem cię zakneblować, chociaż obiecywałem, że tego nie zrobię.

Odwrócił się i szybko wyszedł z sypialni. Parę sekund później trzasnęły drzwi samochodu i rozległ się odgłos uruchamianego silnika. Po głośnym warkocie i zgrzytaniu skrzyni biegów Sara domyśliła się, że Robert wyjeżdża swoją półciężarówką na ulicę.

Zapadła cisza.

Znowu zanosła się szlochem, ale tym razem z ulgi. Nie pamiętała, kiedy dotąd wylała aż tyle łez. Pocięło jej z nosa, toteż chlipnęła raz i drugi, nie mogąc oddychać ustami. Z powodu knebla radość minęła jak nożem uciął, gdyż naszyły ją obawy, że się udusi. Minęło dobrych kilka sekund, zanim zwalczyła w sobie narastającą klaustrofobię. Musiała się jakoś uwolnić. Nie mogła tak siedzieć w fotelu i czekać, aż Neli z Oposem czy też Jeffrey przybędą jej na ratunek. Nie mogła dopuścić, by ktokolwiek, a zwłaszcza Jeffrey, odnalazł ją w takim stanie. Już nigdy więcej nie mogła się nikomu taka pokazać.

Rozejrzała się gorączkowo w poszukiwaniu czegoś, co mogłaby wykorzystać

do uwolnienia się z więzów. Gdyby rozkołysała fotel w przód i w tył, zapewne przewróciłaby się na twarz i znalazła w jeszcze gorszym położeniu. Zaczęła więc rytmicznie kiwać się na boki i w końcu zdołała go przeważać przez jeden biegun. Huknęła głową o podłogę, aż pociemniało jej w oczach. Natychmiast wróciły wcześniejsze sensacje, dzwonienie w uszach, mgła przed oczami i silne mdłości. Na szczęście zdominował je ostry ból w ramieniu, którym uderzyła o podłogę. Jednocześnie poczuła, że poręcz fotela nieco się obluzowała. Zaczęła szarpać ręką w przód i w tył, mając nadzieję jeszcze bardziej nadwerżyć starą konstrukcję, ale nic to nie dało. Przyszło jej na myśl, że ten fotel, zapewne dużo od niej starszy, jest najlepszym przykładem, jak solidne meble kiedyś produkowano.

Uspokoiła oddech, próbując wymyślić, co dalej robić. Ciężkie masywne bieguny fotela nie pozwalały na zmianę pozycji. Robert przytwierdził jej ręce w nadgarstkach, toteż swobodnie poruszała palcami. Gdyby zdołała przynajmniej pochylić się mocno do przodu, prawdopodobnie udałoby jej się odkleić taśmę z ust. A gdyby pozbyła się knebla, mogłaby zacząć wzywać pomocy. Desperacko chwyciła się tej myśli. Nieważne, czy ktoś by ją usłyszał, bo gdyby tylko zaczęła krzyczeć, od razu poczułaby się lepiej.

Zebrawszy w sobie wszystkie siły, spróbowała ciągnąć rękę w kierunku ust. Po kilku minutach spociała się na tyle, że mogła już w niewielkim zakresie przesunąć rękę pod taśmą, która zrolowała się w cienki zwitek wrzynający się głęboko w skórę. Podbudowana tym efektem, zaczęła energiczniej szarpać ręką w przód i w tył, nie zważając na to, że coraz boleśniej obciera sobie nadgarstek. Kiedy klej z taśmy pościerał się w masę lepkich czarnych kulek, z całej siły pchnęła rękę do przodu, naciągając zrolowany plastik o parę centymetrów. Ale gdy chciała cofnąć rękę, wbił jej się tak głęboko w skórę, że aż pociekła krew.

Zaczęła rozpatrywać swoją sytuację jak równanie matematyczne z kilkoma niewiadomymi, z których jedną stanowiła przede wszystkim jej własną wytrzymałość. Wygięła się tak mocno do przodu, jak tylko pozwalała jej taśma krępująca pod pachami i mocowanie przy poręczy fotela, przy czym aż jęknęła cicho, tak zabolowało stłuczone ramię. Powtarzała jednak raz za razem ten sam ruch, dopóki nie poluzowała na tyle więzów, że mogła wreszcie dotknąć ust czubkami palców. Dłoń zsiniała jej już z braku krążenia, zanim zdołała paznokciem środkowego palca zahaczyć o brzeg taśmy.

Zrobiła sobie krótką przerwę i odliczyła powoli do sześćdziesięciu. W ciągu

tej minuty nieprzyjemne świerzbiecie w ramieniu i na całej długości ręki znacznie osłabło. Kiedy ponownie zgięła się w pól i sprawdziła, że naprawdę może dosięgnąć brzegu taśmy, na nowo wstąpiła w nią nadzieja. Znow zaczęła się szarpać, jednocześnie poruszając obślinionymi wargami, żeby zmniejszyć powierzchnię styku kleju ze skórą. Przy którejś próbie udało jej się w końcu zacisnąć kciuk i palec wskazujący na oderwanym brzegu taśmy. Szarpnęła głową do tyłu.

Nie wystarczyło to jednak, żeby odkleić knebel.

Z trudem oddychała przez nos, pokój znow zaczynał wirować przed oczami, przekonywała się jednak w myślach, że nie powinna teraz rezygnować, kiedy jest już tak blisko celu. Mięśnie bolały ją od wysiłku, ale zmusiła się do jeszcze większego, ponownie zacisnęła palce na brzegu taśmy i szarpnęła głową do tyłu. Tym razem się udało. Otworzyła szeroko usta i zaczerpnęła wielki haust powietrza, jakby wynurzyła się spod wody po długim nurkowaniu.

- Ha! - wykrzyknęła z dumą. Na pewno osiągnęła to, że pokonała paralizujący strach. Niemniej wciąż była unieruchomiona w przewróconym fotelu, leżała twarzą przy podłodze, nie mając innego wyboru, jak spokojnie czekać na czyjąś pomoc.

- Cóż - mruknęła do siebie. - Nie ma przecież powodu, żeby się poddawać.

Właśnie ten sposób myślenia pomógł jej skończyć studia medyczne, toteż i teraz nie zamierzała z niego rezygnować.

Patrząc na rękę, zaciekawiła się, czy zdoła dosięgnąć taśmy zębami. Więzy kępujące ją przez pierś już wrzynały się w żebra. Mogła sobie tylko wyobrazić, ile siniaków będzie miała, ale przecież nie były to groźne obrażenia.

Nagle usłyszała jakiś hałas przed domem. Odruchowo chciała już zawołać pomocy, lecz w ostatniej chwili się rozmyśliła. A jeśli Robert zmienił zdanie i wrócił, żeby dokończyć dzieła?

Usłyszała chrzęst potłuczonego szkła w saloniku pod czyimiś stopami, ale nikt się nie odezwał. Sądząc po odgłosach, człowiek bez pośpiechu zaglądał do kolejnych pomieszczeń. Doleciał ją jakiś stuk z kuchni, wyteżyła więc słuch, ciekawa, co będzie dalej. Czyżby Robert czegoś zapomniał? Kiedy wszedł tu po raz pierwszy, wyraźnie czegoś szukał. Może nie tylko o broń mu chodziło? Gdyby teraz pojawił się ktoś z domowników, na pewno podniósłby już alarm.

Zacisnęła zęby, żeby nie jęknąć z bólu, kiedy po raz kolejny z całej siły pchnęła ręką w górę. Szarpała się i wykręcała w fotelu jak tylko mogła, żeby sięgnąć zębami do ciasno zrolowanej taśmy na nadgarstku. Ani trochę nie dbała, że rama

fotela musi rysować polakierowaną podłogę w sypialni.

- Saro? - Jeffrey stanął w drzwiach z siekierą w ręku. - Jezus, Maria!

Rozejrzał się błyskawicznie po pokoju, jakby liczył na to, że zaskoczy intruza, który narobił takiego bałaganu w całym domu.

- Już uciekł - powiedziała Sara, nie zaprzestając prób.

Rzucił siekierę na podłogę i podbiegł do niej.

- Nic ci się nie stało? - Przytknął jej dłoń do twarzy. - Jesteś zakrwawiona. - Jeszcze raz rozejrzał się po sypialni. - Kto to zrobił? Kto...

- Uwolnij mnie - syknęła, myśląc, że jeśli będzie musiała spędzić choćby jeszcze parę sekund przywiązana do tego fotela, zacznie wrzeszczeć na cały głos i nic jej nie uciszy.

Jeffrey wyciągnął z kieszeni scyzoryk, otworzył go i bez dalszych pytań błyskawicznie przeciął wszystkie więzy.

- Boże... - jęknęła, wytaczając się z fotela. Wyciągnęła się na wznak na podłodze, niezdolna do najmniejszego wysiłku. Stłuczone ramię przeszywał ostry ból, czuła się poobijana i posiniaczona.

- Wszystko w porządku - rzekł Jeffrey, rozmasowując jej zdrętwiałe ręce.

- Robert...

Nawet się nie zdziwił, usłyszawszy imię przyjaciela. Zmarszczył tylko brwi i zapytał:

- Skrzywdził cię? Chyba nie...

Przypomniała sobie natychmiast o wszystkim, co doprowadziło Roberta do ostateczności.

- Nie, tylko napędził mi strachu.

Znów przytknął jej dłoń do twarzy i dokładnie obejrzał rozcięcia nad okiem i na dolnej wardze. Pocałował ją delikatnie w czoło, potem w zamknięte powieki i szyję, jakby sądził, że od tych pocałunków ona od razu poczuje się lepiej. Niemniej podniosło ją to na duchu. Bez namysłu zarzuciła mu ramiona na szyję i ze wszystkich sił przytuliła się do niego.

- Już dobrze - mruknął, wodząc dłonią po jej karku. - Wszystko w porządku.

- Nic się nie stało - potwierdziła, z całą mocą powtarzając sobie w duchu, że to prawda.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

15.17

Smith z uśmiechem na ustach obserwował jej reakcję.

- Zgwałcił moją matkę - powtórzył. - A potem ją zabił, żeby na zawsze zamknąć jej usta.

Na Lenie nie zrobiło to żadnego wrażenia.

- Niemożliwe - odparła, chyba niczego dotąd nie będąc tak pewną. - Dobrze znam typ ludzi zdolnych do takich rzeczy. Jeffrey do nich nie należy.

- A skąd ty to możesz wiedzieć? - zaciekawił się Smith.

- Wiem, i tyle. Cmoknął głośno.

- Nic nie wiesz - bąknął jak nadąsane dziecko, po czym zwrócił się do Sary: - Bierzmy się do roboty.

- Nie dam rady założyć blokady - powtórzyła. - Splot barkowy jest zbyt skomplikowany.

- To jej nie zakładaj - rzekł. - I tak jest nieprzytomny.

- Bez żartów.

- Licz się ze słowami, paniusiu - warknął. Zaczął przerzucać rzeczy w walizce pierwszej pomocy, którą Lena przyniosła z karetki. Znalazł fiolkę lidokainy i wyciągnął ją na dłoń. - Użyj tego. - Wyjął latarkę, poświecił Jeffreyowi w oczy i dodał: - A to ci da więcej światła.

Nawet nie drgnęła.

- No, już! - rozkazał z grymasem pogardy na twarzy.

Sara najwyraźniej chciała po raz kolejny odmówić, ale coś jej podpowiedziało, żeby nie przeciągać struny. Może uzmysłowiła sobie, że stan Jeffreya jest na tyle poważny, iż przyda mu się każda pomoc, a może po prostu postanowiła grać na zwłokę. W każdym razie nie ulegało wątpliwości, że ani trochę nie jest pewna, czy potrafi przeprowadzić zabieg.

Wyjęła z pudełka gumowe rękawiczki i zaczęła je naciągać. Lena nie miała wątpliwości, że działa pod wpływem strachu, toteż i ją naszły obawy, jak Sara zdoła wydłubać kulę z rany, jeżeli będzie to robiła z taką niewiarą w siebie.

Ale ręce nawet jej nie zadrżały, gdy zaczęła nożyczkami rozcinać koszulę Jeffreya. Jeśli nawet się ocknął, nie dawał tego po sobie poznać. Można się było tylko cieszyć, że nie widzi, co się szykuje.

- Leno - mruknęła Sara. - Chciałabym wiedzieć, czy to naprawdę lidokaina.

Lena pojęła, jak wielką wagę ma to pytanie.

- Nie mam pojęcia - mruknęła.

- Dlaczego Molly próbowała robić z tego taką doniosłą sprawę?
- Nie wiem - odparła, głęboko żałując, że nie może powiedzieć prawdy. -

Może sądziła, że naprawdę zdoła pozbawić go przytomności - dodała, mając na myśli Smitha.

Sara podniosła buteleczkę i ściągnęła kapturek ochronny. Rozpakowała strzykawkę, wbiła igłę w korek i nabrała do niej płynu.

Spojrzała na Smitha i poleciła:

- Wylej mu na ranę całą porcję betadyny.

Nie zaprotestował. Posłusznie odkaził okolice rany środkiem antyseptycznym i nawet pościerał wacikiem jego nadmiar. Przy okazji zmyła się rozmazana krew i Lena popatrzyła na niewielki otwór wlotowy po kuli w ramieniu Jeffreya.

Sara podniosła strzykawkę w górę, zbliżyła ją do rany, ale zapytała ją jeszcze raz:

- Jesteś pewna?

- Naprawdę nie wiem - odparła Lena, starając się samym spojrzeniem dać jej znak, że wszystko w porządku. Smith świdrował ją przenikliwym wzrokiem, toteż szybko spuściła oczy na ramię Jeffreya, mając nadzieję, że niczego nie zauważył.

Kiedy Sara wbiła igłę w sam środek rany, Lena mimowolnie syknęła przez zaciśnięte zęby. Pospiesznie odwróciła głowę, bo czuła się tak, jakby i jej w to samo miejsce na ramieniu ktoś wbił igłę. Zauważyła, że Brad przesunął się jeszcze trochę w kierunku Sonny'ego. Oblizwał wargi, spoglądając gdzieś ponad jej ramieniem. Od razu się domyśliła, że patrzy na zegar na ścianie, i aż ciarki przeszły jej po plecach, gdy uświadomiła sobie, jak mało czasu im zostało.

Smith uniósł wysoko latarkę, żeby poświecić w głąb rany. Lena popatrzyła na jego wodoodporny zegarek, jakich używali komandosi marynarki wojennej. Miał dziesiątki różnych przycisków i okienek, a jeśli wierzyć reklamom w prasie, był zsynchronizowany z zegarem atomowym w Kolorado i wskazywał czas z dokładnością do milisekundy czy innej, równie zaniedbywanej wartości. Był ogromny i zapewne ciężki. W głównym okienku pośrodku czarnej tarczy cyfrowy wyświetlacz pokazywał godzinę.

3:19:12.

Zostało jeszcze dwanaście minut. Tylko czyjego zegarek wskazywał tę samą godzinę, co jej, Molly lub Nicka? Nie miała jednak odwagi spojrzeć na swój zegarek ani nawet obejrzeć się na zegar na ścianie. Smith pewnie natychmiast by się domyślił,

co się święci, i po prostu zabił ich wszystkich.

- Skalpel - poleciała Sara, wyciągając rękę.

Smith włożył jej skalpel w dłoń. Zaczęła ostrożnie rozcinać skórę i tkankę łączną, chcąc się dostać śladem pocisku w głąb ciała. Jeszcze raz wbiła igłę gdzieś głębiej i niemal opróżniła strzykawkę, po czym spryskała resztką cieczy okolice rany. Lena miała ochotę odwrócić wzrok, ale wbrew sobie wpatrywała się jak urzeczona w odsłonięty fragment mięśnia w ramieniu Jeffreya. Sara ewidentnie wiedziała, co robi, chociaż Lena nie potrafiła sobie wyobrazić, jak przy takich czynnościach zdołała zachować zimną krew. Można było odnieść wrażenie, że przeistoczyła się w kogoś innego.

- Potrzebuję więcej światła - oznajmiła.

Smith przysunął się nieco, kierując promień latarki w głąb rany. Sara pochyliła się nad nią nisko i poleciała:

- Bliżej.

Ale bandyta nie zareagował. Zakłęła więc tylko pod nosem i górną częścią przedramienia otarła sobie pot z czoła. Wygięta w niewygodnej pozycji niemalże dotykała rany nosem.

Jeffrey jęknął cicho, ale się nie ocknął.

Sara zwróciła się do niej:

- Pilnuj jego oddechu.

Lena przytknęła dłoń do piersi Jeffreya, żeby lepiej czuć słabe ruchy klatki piersiowej. Ostrożnie obróciła rękę, próbując spojrzeć na zegarek. W sali było piekielnie duszno, i ona pocila się już nad miarę. Na śliskiej skórze pasek przesunął się pod wpływem ciężaru zegarka i nie miała najmniejszych szans, żeby odczytać godzinę.

Sara szarpnęła się nagle do tyłu, kiedy strumień krwi strzelił jej w twarz. Szybko otarła ją przedramieniem i pochyliła się z powrotem, po czym rzuciła do Smitha:

- Szczypce.

Obrócił się, żeby jedną ręką sięgnąć do walizki, drugą trzymając latarkę nad raną. Sara otarła wacikiem jej okolice i mruknęła:

- Nadal nie widzę kuli.

- Tym gorzej dla ciebie - odparł ironicznie, jakby się doskonale bawił.

- Przecież nie wyciągnę kuli, jeśli jej nie widzę.

- Spokojnie - mruknął Smith, podając jej szczypce podobne do dużej pesety. - Masz. - Pomachał nimi w powietrzu.

Wzięła od niego szczypce, ale zastygła bez ruchu.

- Widzę, że i ty chcesz się nacieszyć każdą chwilą. - Po raz kolejny poklepał wacikiem okolice rany. - Na pewno ją znajdziesz - dodał przytulnym tonem. - Wierzę w ciebie.

- Ale mogę go przy tym zabić.

- Przynajmniej wiesz, co ja czuję - odparł, uśmiechając się szeroko. - Do roboty.

Sara przez chwilę spoglądała na niego z taką miną, jakby chciała odmówić, ale wsunęła palce w otwory szczypiec i ostrożnie zanurzyła ich koniec w ranie. Kiedy znów pociekło więcej krwi, rzuciła:

- Zacisk.

Smith nie zareagował, więc popatrzyła mu w twarz i syknęła:

- No, już! Dawaj zacisk, do cholery!

Sięgnął do walizki i podał jej zacisk. Sara wyszarpnęła szczypce i z brękiem rzuciła je na podłogę. Spłaszczony pocisk potoczył się po kafelkach. Błyskawicznie wsunęła zacisk w głąb rany, z której krew tryskała obfitym strumieniem. Nagle krwawienie ustało.

Lena spojrzała na zegarek Smitha.

3:30:58.

- To było niezłe - rzekł z uznaniem, najwyraźniej bardzo zadowolony. Z szerokim uśmiechem podniósł wyżej latarkę, kierując strumień światła w głąb rany, jak małe dziecko, które odniosło drobne zwycięstwo w sporze z rodzicami.

- Ma jakieś dwadzieścia minut - oznajmiła Sara, zakrywając ranę dużym zwitkiem gazy. - Jeśli w tym czasie nie znajdzie się w szpitalu, trzeba mu będzie amputować rękę.

- Myślę, że ma poważniejsze problemy niż ten - odparł Smith, odkładając latarkę na podłogę. Ułożył dłonie na kolanach, przez co Lena wciąż mogła odczytywać godzinę na jego zegarku.

3:31:01. 3:31:02.

- Na przykład jakie? - zapytała Sara.

Lena kątem oka dostrzegła, że Brad przesunął się jeszcze o krok w stronę drugiego bandyty. Znowu popatrzył na zegar, myśląc zapewne to samo, co ona: że nie

zdołają dokładnie skoordynować działań, jeśli będą korzystać ze wskazań różnych czasomierzy. Co by się stało, gdyby zaatakowała za wcześniej? Albo gdyby dała Bradowi znak w niewłaściwej chwili? Zginęliby oboje tuż przed wtargnięciem do środka brygady antyterrorystycznej?

- Nie - szepnęła mimowolnie, za późno uświadomiwszy sobie, że Smith musiał to słyszeć.

Wyszczrzył do niej zęby w szerokim uśmiechu.

- Ona już się domyśliła prawdy - powiedział. - Mam rację, kochanie?

Szybko pokręciła głową, sięgając do tylnej kieszeni spodni. Kiedy wyczuła scyzoryk pod palcami, zganiła się w myślach, że za dużo kombinuje. Liczyło się tylko zgranie z Bradem. Mieli przecież za sobą element zaskoczenia.

- Widzisz? Niektórzy tutaj wcale nie uważają mnie za takiego idiotę jak ty - zwrócił się Smith do Sary.

- Wcale nie uważam cię za idiotę - odparła.

Lena po raz kolejny zerknęła na jego zegarek. Zostało im pół minuty. Brad nagle zaczął chodzić tam i z powrotem wzdłuż przejścia do sekretariatu, jakby nie mógł wytrzymać rosnącego napięcia. Może faktycznie był w silnym stresie? Może nie należało na niego liczyć?

- Dobrze wiem, co o mnie myślisz - odrzekł Smith. Starając się poruszać jak najwolniej, Lena wsunęła rękę do kieszeni. Serce waliło jej jak młotem, jakby chciało się zrównać z odgłosem nerwowych kroków Brada w drugim końcu sali.

- Myślę, że jesteś niezbyt zrównoważonym młodym człowiekiem - wyjaśniła Sara. - Moim zdaniem potrzebujesz fachowej pomocy.

- Uznałaś mnie za śmiecia, jak tylko ujrzałaś mnie po raz pierwszy.

- Nieprawda.

- Robiłaś wszystko, co w twojej mocy, żeby zniszczyć mi życie.

- Chciałam ci tylko pomóc, nic więcej.

- Więc czemu mnie nie zabrałaś? - zapytał. - Przecież pisałem do ciebie listy. Pisałem i do niego. - Wskazał nieprzytomnego Jeffreya, ale Sara udała, że tego nie dostrzega.

- Nie dostaliśmy ani jednego listu od ciebie - odparła spokojnie.

Lena już ledwie ją słyszała, jej uszy wypełniał coraz głośniejszy szum krwi w żyłach.

Smith ponownie wskazał rannego, nie zostawiając wątpliwości, że dobrze wie,

kim jest.

Lena ścisnęła scyzoryk w garści i kciukiem podważyła ostrze. Zaparła je o podeszwę buta, pociągnęła i z radością złowiła ciche stuknięcie, z jakim zablokowało się w pozycji otwartej.

Zaraz wstrzymała oddech, mając nadzieję, że Smith nie zwrócił uwagi na ten odgłos. Ale ten był zbyt skupiony na Sarze. Od jak dawna wiedział, że ranny to Jeffrey? Kiedy się domyślił, że to wcale nie Matt leży przed nim na podłodze, ale człowiek, którego poprzysiągł zabić?

- Cały czas czekałem na wasz przyjazd - powiedział. - Czekałem, aż zabierzecie mnie od niej. - Jego głos stał się nieco piskliwy jak u przestraszonego dziecka. - Masz w ogóle pojęcie, co ona ze mną wyprawiała? Wiesz, ile musiałem przy niej wycierpieć?

Lena kołatała się w głowie tylko jedna myśl: on wie, że to Jeffrey! Silnie zaciskała jednak wargi, żeby mimowolnie nie pisnąć ani słowa. Nie miała pojęcia, jaką grę Smith toczy z Sarą, ale musiała ona potrwać jeszcze parę sekund. Bo za parę sekund wszystko miało się skończyć.

Utkwiła spojrzenie w jego zegarku.

3:31:43.

- Nie mogliśmy ci pomóc - odezwała się Sara. - Zrozum, Erie, Jeffrey nie jest twoim ojcem.

Lena zerknęła na Brada, który ledwie zauważalnie uniósł brwi, jakby chciał jej przekazać: „Jestem gotów. Czekam tylko na twój znak”.

- Jesteś zakłamaną suką - warknął Smith.

- Wcale nie kłamię - odparła Sara z naciskiem. - Powiem ci, kto jest twoim ojcem, jeśli zgodzisz się go wypuścić.

- Wypuścić? - Bandyta sięgnął po pistolet tkwiący za paskiem spodni, drugą rękę wciąż trzymając opartą na kolanie.

3:31:51.

Lena z trudem przełknęła ślinę, całkiem zaschło jej w ustach. Kątem oka dostrzegła, że Brad stanął w pobliżu Sonny'ego.

- Niby kogo mam puścić? - zapytał leniwie Smith, najwyraźniej czerpiąc coraz więcej satysfakcji z tej rozmowy. Spojrzał z uśmiechem na Jeffrey'a. - Masz na myśli jego? Matta? - wycedził, silnie akcentując imię.

Sara zawahała się o ułamek sekundy za długo.

- Tak.

- Przecież to nie Matt - rzekł Smith, odbezpieczając broń - tylko Jeffrey.

- Teraz! - krzyknęła Lena, rzucając się w jego kierunku.

Tyle siły włożyła w ten jeden cios, że palce zsunęły jej się z korpusu szczyzoryka na ostrze, które jednak wniknęło głęboko w szyję bandyty.

Sara skoczyła tuż za nią i kopniakiem wytrąciła ciężkiego sig sauera z ręki Smitha. Padł strzał, lecz kula zaryła się w ścianę w drugim końcu sali. Trzy dziewczynki zaczęły histerycznie piszczeć. W tej samej chwili z trzaskiem wyleciały szklane drzwi frontowe posterunku.

Do środka wpadli agenci GBI, ale przywitał ich Brad, który stał nad Sonnym z nogą opartą na jego piersi, mierząc mu z pistoletu maszynowego prosto w twarz.

- Wstawaj! - krzyknęła Sara do Leny, spychając ją z rozciągniętego na podłodze Smitha.

Ta chciała się podnieść, lecz pośliznęła się w kałuży krwi i klapnęła pośladkami na podłogę. Sara obróciła bandytę na wznak.

- Wezwijcie karetkę! - krzyknęła, przykładając obie dłonie do jego szyi, żeby powstrzymać krwotok. Wiedziała już jednak, że toczy z góry przegraną bitwę. Krew wypływała spomiędzy palców licznymi strumieniami niczym woda ze szczelin pękającej tamy. Lena pomyślała, że jeszcze nigdy w życiu nie widziała aż tyle krwi. Wyglądało na to, że nic nie zdoła zahamować krwotoku.

- Pomóż mi - wychrypiał Smith, co wydało jej się śmieszną prośbą, biorąc pod uwagę jego wcześniejsze dokonania.

- Nic ci nie będzie. Wyjdiesz z tego - powiedziała łagodnym tonem Sara.

- Przecież to zabójca - zaprotestowała Lena, nabierając podejrzeń, że Sara zwariowała. - Usiłował zabić Jeffreya.

- Wezwijcie karetkę! - powtórzyła Sara. - Proszę. - Popatrzyła na swoje palce zasłaniające rozcięte gardło bandyty. - Proszę. On potrzebuje natychmiastowej pomocy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Wtorek

Jeffrey klapnął ciężko na jedno z krzeseł stojących rzędem przed gabinetem Hossa w biurze szeryfa. Po ostatnich trzech dniach doskonale rozumiał, co ludzie mają na myśli, mówiąc, że cały świat zwałił im się na głowę. Miał wrażenie, że jemu zwały się nawet dwa światy, a żaden z nich nie był nazbyt cywilizowany.

Sara usiadła obok i zapytała:

- Wiesz, jak dobrze będzie nareszcie wrócić do domu i zapomnieć o tych trzech dniach?

- Owszem.

Miał ochotę wyjechać z tego miasta już parę minut po tym, jak się tu znalazł, ale teraz był przeświadczony, że wszystko, czego naprawdę potrzebuje, ma nadal przy sobie. Sara jak zwykle musiała odgadnąć jego myśli, bo położyła mu dłoń na kolanie. Splótł palce z jej palcami, zastanawiając się, jak to możliwe, że nawet gdy sprawy całkiem się pogmatwały, może czuć się przy niej aż tak dobrze.

- Nie powiedział, jak długo to potrwa? - zapytała, mając na myśli Hossa.

- Wydaje mi się, że gdzieś w głębi duszy oczekuje, iż powiem mu, że to był tylko kiepski żart.

- Jestem pewna, że jakoś się ułoży - powiedziała, ściskając go za rękę.

Popatrzył wzdłuż korytarza w kierunku aresztu, mając nadzieję, że tym razem zaważą uczucia. Sara potrafiła być tak piekielnie logiczna, że aż zaczynał się tego bać. Jeszcze nigdy nie spotkał nikogo tak bardzo oddanego idei niesienia pomocy wszystkim potrzebującym, że zastanawiał się, jakie naprawdę miejsce zajmuje w jej sercu.

Przerwała mu pytaniem, które dotąd nie zaświtało mu w głowie:

- Nie sądzisz, że homoseksualne skłonności Roberta stawiają wiele spraw w innym świetle?

Wzruszył ramionami.

- Jeff?

Pocałował ją w rękę, bardzo chcąc zmienić temat.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, co poczułem, jak zobaczyłem cię przywiązaną do fotela. Jakie myśli przysły mi do głowy.

Spokojnie czekała na wyjaśnienie.

- Nawet nie umiem sprecyzować swoich uczuć - mruknął i zaraz dodał z ożywieniem: - Miałem straszną ochotę skopać mu dupsko za to, co ci zrobił. Za coś takiego... - pokręcił głową, jakby bał się to powiedzieć głośno. - Przysięgam na Boga, że jeśli kiedykolwiek jeszcze go zobaczę, zapłaci mi za to.

- Był zdesperowany - odrzekła. Popatrzył na nią zdumiony, jakby nie potrafił zrozumieć, że ona jeszcze broni Roberta. - Co według ciebie jest gorsze, to, co mi zrobił, czy to, że jest gejem?

Nie umiał tego rozstrzygnąć.

- Dla mnie najgorsze jest to, że przez tyle lat mnie okłamywał.

- A teraz, gdy poznałeś prawdę, chciałbyś się z nim jeszcze zadawać?

- O tym i tak nigdy nie będziemy mieli okazji się przekonać.

Sara przyjęła to w milczeniu.

- Kiedy zobaczyłem koszulkę Roberta w kącie za szafą Swana... - Jeffrey urwał, odchylił się na oparcie krzesła i skrzyżował ręce na piersi.

On do dziś trzymał swoją koszulkę na dnie szafy, bo chociaż nigdy jej nie wkładał, nie potrafił ani wyrzucić, ani oddać na cele dobroczynne. Był do niej przywiązany, jakby chciał w ten sposób zachować młodość.

- Sam nie wiem - mruknął. - Zobaczyłem tę koszulkę i uświadomiłem sobie nagle, że coś może łączyć Roberta ze Swanem. Ta myśl tylko na moment zaświtała mi w głowie, bo zaraz powiedziałem sobie: To niemożliwe, przecież Robert nie może być... - Westchnął ciężko, jakby to słowo w ogóle nie chciało mu przejść przez gardło. - Potem przyjechałem na posterunek, żeby pogadać z Hossem, ale go nie zastałem.

Nie przyznał się, że w pierwszej kolejności po wyjściu z domu Swana chciał odszukać ją, a do biura szeryfa pojechał tylko po to, by udowodnić sobie, że wcale jej nie potrzebuje. Gdyby nie jego ośli upór, pewnie zdołałby w porę powstrzymać Roberta, a ją uchronić przed związaniem.

Nic o tym nie wiedząc, zapytała:

- Bardzo ci doskwiera świadomość, że Robert jest gejem?

- Nie potrafię tego jeszcze wyodrębnić. Przede wszystkim jestem wściekły na niego za to, co ci zrobił. I za to, że nie powiedział prawdy o Jessie, tylko pozwolił, żeby znów rozszedł się stary smród, jakby jego nic to nie obchodziło. Jestem wściekły, że złamał warunki zwolnienia za kaucją i zostawił Oposa na lodzie.

- Obiecał, że zwróci mu pieniądze.

- Już to widzę. Zaraz po powrocie zadzwonię do komendy stanowej i zobaczę, ile będę mógł wyciągnąć z mojego funduszu emerytalnego.

Przypomniał sobie, jak niemal bez powodu zdzielił Oposa w szczękę i z jakim lekceważeniem tamten przyjął jego zdawkowe przeprosiny. Za nic w świecie nie mógł dopuścić, żeby Opos sam ponosił finansowe konsekwencje ucieczki Roberta. To byłoby nie w porządku.

- To wszystko? - zapytała Sara. - Za nic więcej nie jesteś na niego wściekły?

Wstał i zaczął krążyć po korytarzu.

- Także za to, że o niczym mi nie powiedział. - Spojrzał w kierunku aresztu, skąd doleciał stek wykrzykiwanych przekleństw. - Gdyby nie twoja rozmowa z nim w domu Neli, pewnie do tej pory bylibyśmy przekonani, że uciekł, bo naprawdę jest winny zabójstwa. Nie mielibyśmy pojęcia o roli Jessie w tej sprawie ani o jego... związku ze Swanem, czy jak też to nazwać. Uważalibyśmy go po prostu za zbiega poszukiwanego przez policję. - Zatrzymał się przed nią. - Powinien był mi zaufać.

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem, jakby dobierała w myślach odpowiednie słowa.

- Mój kuzyn, Hare, miał w college'u olbrzymie kłopoty. Wcześniej był przez wszystkich lubiany, ale gdy wydała się jego orientacja seksualna, zaczęto mu grozić śmiercią.

Całkiem zapomniał o jej kuzynie. Przyszło mu do głowy, że próbuje tłumaczyć postępowanie Roberta, chcąc po części usprawiedliwić Hare'a.

- W jaki sposób się wydała?

- Ludzie sami się domyślili. Hare związał się ze współlokatorem z akademika, stali się nierozłączni. A kiedy zaczęto o nich plotkować, nawet nie próbował niczego ukrywać. Był bardzo zaskoczony, że kogoś to w ogóle obchodzi.

- Naiwniak.

- Niestety, masz rację. Podejrzewam, że zawiniło to, iż oboje wychowywaliśmy się w dość daleko posuniętej izolacji. Nasi rodzice nigdy nie dali nam odczuć, że jest coś złego w tym, iż ktoś jest gejem, ma słabe wykształcenie, jest czarny albo cokolwiek innego. Hare był zdruzgotany, gdy wszyscy jego przyjaciele nagle odwrócili się od niego.

Jeffrey mógł to sobie wyobrazić.

- Jak go potraktowali?

- Sprawa wyszła na jaw pod koniec pierwszego roku studiów, więc w czasie letnich wakacji emocje trochę przycichły.

Urwała i było widać po jej minie, jak nieprzyjemnie wspomina tamte wydarzenia. Mimo wszelkich sporów i konfliktów, Sara była bardzo związana z rodziną i najwyraźniej myśl o cierpieniu kogoś bliskiego była dla niej po prostu nie do zniesienia.

- Mieliliśmy nadzieję, że wszystko rozejdzie się po kościach - ciągnęła - lecz oczywiście stało się inaczej. Już pierwszego dnia po wakacjach został pobity, ale na szczęście był dobry w walce na pięści i rozkwaśił kilka nosów. Słyszałam, jak ci

opowiadał, że musiał zrezygnować z gry w futbol z powodu kontuzji kolana, ale to nieprawda. Kazano mu odejść z drużyny.

Jeffrey znowu usiadł.

- Trudno mi powiedzieć, czy nie potraktowałbym tak samo Roberta, gdybym wtedy poznał prawdę.

- A teraz?

- Teraz... - Pokręcił głową. - Cholera, przede wszystkim chciałbym go chronić. Nawet nie umiem sobie wyobrazić takiego życia, gdy wszyscy są przekonani, że jest się kimś, kim się nie jest.

- Wygląda na to, że właśnie tak wyglądała twoja młodość.

Zaśmiał się krótko, bo nigdy dotąd nie myślał o sobie w tych kategoriach.

- To prawda.

- Co powiedział Hoss, kiedy relacjonowałeś mu wszystko przez telefon?

- Nic. Chyba nawet nie był specjalnie zaskoczony.

- Myślisz, że on wiedział?

- Może coś podejrzewał. Trudno powiedzieć. - Zerknął na nią z ukosa. - Wierz mi, że takie sprawy na zawsze pozostają w cieniu, jeśli ktoś ich celowo nie wyciągnie na światło dzienne.

- I co teraz będzie?

- Jessie trafi do aresztu. - Syknął przez zaciśnięte zęby. - To może być nawet zabawne. Jestem pewien, że Reggie Ray dostanie niezły wycisk za całą tę sprawę.

- Ale to cię chyba za bardzo nie martwi.

- Gdyby teraz pojawił się w tych drzwiach, wynieśliby go stąd na noszach.

- A co z Julią Kendall?

- A co ma być?

- Muszę ci coś powiedzieć. - Wzięła go za rękę. - Powinniśmy porozmawiać o tym, co wygadywała Lane Kendall.

- Przecież...

- Nie, źle się wyraziłam - sprostowała Sara. - Chcę ci wyjaśnić, dlaczego tak zareagowałam, kiedy ona oskarżyła cię o gwałt na Julii.

- Nie zrobiłem tego - odparł szybko. - Przysięgam ci, że nigdy bym czegoś takiego nie zrobił.

- Tak, wiem - odparła, ale z tak dziwną miną, że zabrzmiało to mało wiarygodnie.

Znowu wstał z krzesła.

- Powtarzam, że jej nie zgwałciłem. W ogóle nic mnie z nią nie łączyło.

- Wiem o tym - powtórzyła.

- Ale patrzysz na mnie tak, jakbyś nadal mi nie wierzyła.

- Przykro mi, że tak to odbierasz - burknęła, jakby zależało jej tylko na tym, żeby się zamknął.

Znów zaczął nerwowo krążyć po korytarzu, zaniepokojony i dręczony poczuciem winy, choć powtarzał sobie, że nie zrobił przecież nic złego. Po głowie krążyła mu tylko jedna myśl, że oto i Sara zaczęła mieć w stosunku do niego poważne wątpliwości, podobnie jak wszyscy tutaj. A od tego nie było już odwrotu.

- Jeff - syknęła ze złością. - Przestań tak łązić w kółko.

Zatrzymał się, choć był niezwykle podminowany, jakby przez jego ciało płynął prąd elektryczny.

- Możemy darować sobie tę część - powiedział. - Nieważne, czy mi zaufasz, czy nie, ja nie zamierzam...

- Przestań! - ucięła ostro.

- Naprawdę myślisz, że byłbym do tego zdolny? Myślisz, że... - urwał, nie mogąc znaleźć właściwych słów. - Matko Boska! Jeśli uważasz, że byłbym zdolny kogoś zgwałcić, to co jeszcze tutaj robisz?

- Wcale nie uważam, że to zrobiłeś! Cały czas próbuję ci to wytłumaczyć! - rzuciła rozpaczliwym tonem. - Nawet gdybym cię o to podejrzewała, choć tak nie jest, to z czysto biologicznych powodów Eric Kendall nie może być twoim dzieckiem.

Zapatrzył się na nią, czekając na wyjaśnienia.

- Nie masz w rodzinie nikogo z zaburzeniami krzepliwości krwi, prawda? - zapytała z taką miną, jakby rozmawiała z pierwszoklasistą.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- O zaburzeniach krzepliwości krwi - powtórzyła, jakby przez sam ten fakt coś mogło do niego wreszcie trafić. - Lane Kendall powiedziała, że Erie ma poważne schorzenie krwi.

Nie mógł zrozumieć, do czego ma to prowadzić. Od razu wyrzucił z pamięci zajście z Lane Kendall i za nic w świecie nie zamierzał teraz do niego wracać.

- Nie badałam chłopaka, ale na podstawie tego, co usłyszałam od Neli, mogę przypuszczać, że cierpi na chorobę von Willebranda.

Nadal czekał w milczeniu.

- Jego krew nie chce krzepnąć.

- To coś jak hemofilia?

- Mniej więcej - odparła. - Ale może mieć dość łagodny przebieg. Niektórzy ludzie latami nie zdają sobie sprawy, że cierpią na tę chorobę. Sądzą po prostu, że należą do takich, którzy obficie krwawią przy byle zadrapaniu. Zauważyłam, że siniaki Erica są nabrzmiące niczym guzy. To jeden z objawów tej choroby.

Jeffrey miał wrażenie, że jeżą mu się włosy na karku.

Sara musiała coś zauważyć po jego minie, bo zapytała szybko:

- O co chodzi?

Pokręcił głową, tłumacząc sobie, że cała ta sprawa z Robertem sprawiła, iż stał się zanadto podejrzliwy.

- Chłopak nie mógł odziedziczyć tej choroby po kimś z rodziny Lane'ów? Na przykład po ojcu Julii?

- Mógł - odparła, choć sądząc po jej tonie, bardzo w to wątpiła. - Ogólnie rzecz biorąc, kobiety wiedzą, że coś im dolega. O chorobie świadczą nadzwyczaj obfite miesiączki. W wielu wypadkach kończy się to zupełnie niepotrzebnym usunięciem macicy. Tę chorobę naprawdę trudno zdiagnozować, wielu lekarzy rodzinnych nawet nie potrafi skojarzyć objawów. Przy tylu dzieciach, ile urodziła Lane, na pewno kłopoty ujawniłyby się dużo wcześniej. Każde zaburzenie krzepliwości krwi stwarza ogromne ryzyko w przypadku ciąży.

Jeffrey spoglądał na nią coraz bardziej rozszerzonymi oczami, mając wrażenie, że nasuwający mu się wniosek jest jak nóż wbity głęboko w brzuch.

- Czy objawami mogą też być częste krwawienia z nosa?

Zmarszczyła brwi.

- O kim myślisz?

- Po prostu odpowiedz.

- Oczywiście. Krwawienia z nosa, z dziąseł. Drobne skaleczenia, które nie chcą się zabiżnić.

- Jesteś pewna, że to choroba genetyczna?

- Tak.

- Cholera - syknął. Sytuacja, która wydawała mu się zła jeszcze parę minut temu, teraz wyglądała na tak tragiczną, że nawet nie potrafił tego określić właściwym słowem.

- O co ci...

Sara urwała, gdyż otworzyły się drzwi frontowe.

- Przepraszam, że musieliście tak długo czekać - rzucił Hoss, wyciągając z kieszeni klucze do swego gabinetu.

Jeffrey stał jak wmurowany.

Szeryf spojrział uważnie na Sarę, taksującym wzrokiem mierząc jej zadrapania i siniaki.

- Nigdy bym nie pomyślał, że Robert mógłby skrzywdzić kobietę - mruknął. - Wydaje mi się, że przez wiele lat brałem go za kogoś innego, niż był w rzeczywistości.

- Nic mi nie jest - odparła, siląc się na uśmiech.

- To dobrze. - Hoss otworzył drzwi, zapalił światło, podszedł do swego biurka i zaczął w pośpiechu przerzucać jakieś papiery. - Wejdźcie, proszę. Postaramy się jak najszybciej zakończyć tę sprawę.

Sara spojrzała pytająco na Jeffreya, a ten ledwie zauważalnie skinął głową.

Szeryf zwrócił uwagę, że oboje wciąż stoją w korytarzu przed drzwiami.

- O co chodzi, Spryciarzu?

Sara położyła dłoń na ramieniu Jeffreya i zapytała:

- Wolisz, żebym zaczekała na zewnątrz?

- Nie. Dlaczego? - zdziwił się Hoss, myśląc, że było to skierowane do niego.

- Lepiej zaczekam na zewnątrz.

Lekko ścisnęła jego ramię, a Jeffrey, podbudowany świadomością, że odzyskał jej zaufanie, śmiało wszedł do środka. Zamknął za sobą drzwi i usiadł na krześle przed biurkiem.

- Chyba miała ostatnio trochę za dużo ciężkich przeżyć - mruknął szeryf, przekonany, że Sara po prostu nie chce wracać pamięcią do traumatycznych przeżyć. Wyciągnął raport, przebiegł go wzrokiem i zaczął: - Wysłałem Reggiego, żeby zgarnął Jessie. Chryste, co za szambo. Jestem pewien, że zębami i pazurami będzie się broniła przed aresztowaniem.

- Wciąż nic nie wiadomo o zabójstwie Julii.

- Mamy przecież zeznania Roberta.

- Przyznał się do wielu rzeczy, których nie zrobił.

- To prawda. Trudno dać wiarę choćby w jedno jego słowo po tym, co wyszło na jaw.

- Chcesz powiedzieć, że skoro okazał się gejem, można tym samym uznać, że

był zdolny do popełnienia morderstwa?

- Według mnie był zdolny do wszystkiego - odparł Hoss, odwracając kartkę, żeby przeczytać zapiski na drugiej stronie. - Można by otworzyć na nowo kilka jego starych spraw, żeby się przekonać, co naprawdę kombinował.

To tylko rozwścieczyło Jeffreya.

- Robert był uczciwym policjantem.

- I pieprzoną ciotą - mruknął szeryf, nie podnosząc wzroku znad raportu.

Wziął długopis i złożył swój podpis na dole strony. - Aż nie chce mi się myśleć, co jeszcze może mieć na sumieniu. Kilka lat temu zaginął tu chłopiec. Robert prowadził dochodzenie z takim zapałem, jakby chodziło o jego syna.

- Sugerujesz, że jest także pedofilem? - syknął Jeffrey przez zaciśnięte zęby.

Hoss podniósł z biurka kolejny raport.

- Takie zbrocenia często idą w parze. Jeffrey zmierzył go piorunującym wzrokiem.

- Trenował drużynę juniorów - dodał szeryf. - Już wezwałem na rozmowę rodziców niektórych chłopców.

- Przecież to bzdura! Robert kochał dzieci.

- Aha - bąknął Hoss. - Wszyscy jemu podobni kochają dzieci.

Jeffrey starał się gorączkowo tak dobrać słowa, by wykazać szeryfowi, jak idiotyczny jest jego punkt widzenia.

- Skoro podejrzewasz go o pedofilię i skłonności do małych chłopców, to czemu miałby zabijać Julię, kiedy oboje mieli po kilkanaście lat?

- Trudno powiedzieć, co może się urodzić w chorym umyśle. Skoro kiedyś udusił niewinną dziewczynę, teraz równie dobrze mógł zastrzelić człowieka za to, że sypiał z jego żoną.

Te słowa, które niemal zadudniły głośnym echem w głowie Jeffreya, były dla niego ostatnim kluczem do złożenia w całość wszystkich kawałków układanki.

- Nie przypominam sobie, bym ci mówił, że Julia została uduszona.

Hoss obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem.

- Twoja dziewczyna mi to powiedziała.

- Czyżby? - Jeffrey zrobił taki ruch, jakby chciał wstać z krzesła. - Mam ją zapytać, kiedy to zrobiła?

Szeryf zawahał się wyraźnie.

- Może usłyszałem to gdzieś na mieście.

Jeffrey miał wrażenie, że cisza w pokoju zaczyna mu działać na nerwy.

Wszystko mu idealnie pasowało.

- Przecież wiesz, że Robert tego nie zrobił. Hoss podniósł na niego wzrok znad papierów.

- Niby skąd?

- Erie Kendall cierpi na poważne schorzenie krwi. Szeryf pospiesznie spuścił głowę, udając pochłoniętego raportem.

- Naprawdę? - bąknął.

- To twoje dziecko, prawda?

Nie odpowiedział, tylko ręce zaczęły mu drżeć.

- Opowiadałeś mi kiedyś, że po śmierci brata chciałeś się zaciągnąć do wojska, ale komisja cię odrzuciła ze względów zdrowotnych - ciągnął Jeffrey.

- I co z tego?

- Z jakiego powodu cię odrzucili? Hoss wzruszył ramionami.

- Płaskostopia. Wszyscy o tym wiedzą.

- Na pewno nie było innej przyczyny? Takiej, która pozbawiłaby cię nawet stanowiska, gdyby wyszła na jaw?

- Chyba zwariowałeś, chłopcze - syknął z wściekłością szeryf, jakby chciał dać do zrozumienia, że uważa tę rozmowę za skończoną.

Jeffrey był jednak niewzruszony.

- Ciągłe dokucza ci krwawienie z nosa. Działa ci krwawia bez żadnego konkretnego powodu. Widziałem kiedyś, jak rozciąłeś sobie skórę kartką papieru i przez dwa dni krwawiłeś z drobnej ranki. Szeryf uśmiechnął się krzywo.

- To jeszcze nie oznacza...

- Nie kłam - rzucił ostro Jeffrey, powstrzymując się z trudem od wybuchu wściekłości. - Wiesz, że przy mnie możesz powiedzieć wszystko, i zostanie to tylko między nami, ale nie waż się kłamać mi w żywe oczy.

Hoss wzruszył ramionami, chcąc zbagatelizować sprawę.

- Puszczaj się na lewo i prawo. Sam dobrze o tym wiesz.

- Miała zaledwie szesnaście lat.

- Siedemnaście - skorygował szeryf. - Nie złamałem prawa.

Jeffrey poczuł do niego obrzydzenie. Szeryf musiał to wyczytać z jego miny, bo zaczął z zupełnie innej beczki.

- Zrozum, to były zupełnie inne czasy. Ktoś musiał się zatroszczyć o tę

dziewczyne.

Słując w policji, dziesiątki razy słyszał podobne deklaracje z ust starych obleśnych dziadów, dlatego teraz podobne tłumaczenia Hossa odebrał jak osobistą zniewagę.

- I twoja troska objawiła się tym, że zaciągnąłeś ją do łóżka?

- Licz się ze słowami - syknął szeryf, jakby jeszcze się łudził, że zasługuje na szacunek. Po chwili dodał łagodniejszym tonem: - Daj spokój, Spryciarzu. Naprawdę się nią opiekowałem.

- Jak?

- Przede wszystkim trzymałem ją z dala od ojca. Poza tym, jak ci się zdaje, kto zapłacił za wszystko, żeby mogła stąd wyjechać i w spokoju urodzić dziecko?

- Twoje dziecko.

Hoss wzruszył ramionami.

- Kto to wie? Może moje, a może twoje.

- Pieprzysz.

- Zmierzam do tego, że każdy mógł być ojcem. Puszczala się przecież z połową miasta. - Wyciągnął z kieszeni gruby zwitek ligniny i wytarł nos. - Ale nie wykluczam, że to może być i moje dziecko.

Jeffrey zapatrzył się na czerwoną plamkę na ligninie. Hoss zawsze sprawiał wrażenie bardzo twardego, wyglądało jednak na to, że pod wpływem stresu bardzo często dostawał krwotoków z nosa.

- Od ciebie dostała ten wisiołek w kształcie serduszka, prawda?

Szeryf także popatrzył na ligninę i pospiesznie przytknął ją znowu do nosa.

- Został mi po mamie. Chyba tamtego dnia poczułem przypływ wielkoduszności.

Jeffrey zaczął się zastanawiać, co szeryf naprawdę czuł do Julii. Gdyby zależało mu wyłącznie na seksie, nie robiłby jej przecież prezentów, zwłaszcza z rodzinnej pamiątki.

- Dlaczego się z nią nie ożeniłeś?

Hoss ryknął gromkim śmiechem, aż dziesiątki drobnych kropelek krwi trysnęły na ligninę.

- Oprzytomniej, Spryciarzu. Jak można się ożenić z kimś takim? - Wskazał drzwi gabinetu. - Na żonę nadaje się taka kobieta jak twoja. Z kimś w rodzaju Julii idzie się tylko do łóżka, modląc się zarazem do Boga, żeby nie złapać czegoś, czego

nie dałoby się wyleczyć penicyliną.

- Jak możesz mówić o niej w ten sposób? Przecież urodziła ci syna.

- Nie rób mi tu wykładów o moralności.

- Jak mam to rozumieć?

- Jak sobie chcesz - mruknął, choć Jeffrey był przekonany, że kryło się za tym coś więcej. - Przyjmij, że po prostu spędziliśmy ze sobą miłe chwile.

- Była za młoda nawet na to, żeby uznać je za miłe - rzucił, podnosząc się z krzesła, bo miał już dość tej wymiany zdań. - Zabiłeś ją?

- Aż nie chce mi się wierzyć, że o to pytasz.

Czekał w milczeniu, odczytawszy prawdę w spojrzeniu szeryfa. Znowu cały jego świat wywrócił się do góry nogami. Człowiek, którego uważał za wzór uczciwości i przyzwoitości, okazał się kimś takim. Teraz mógł się tylko cieszyć, że jest gliniarzem zdolnym do ujawnienia prawdy. Gdyby siedzieli w pokoju przesłuchań na jego posterunku w Heartsdale, zapewne nie zdołałby się teraz powstrzymać i sprząby Hossa po pysku.

- Nawet nie masz pojęcia, jak to jest - zaczął nieśmiało szeryf. - Przez trzydzieści lat dobrze służyłem temu miastu.

- Tyle że zamordowałeś siedemnastoletnią dziewczynę - wtrącił Jeffrey, ledwie mogąc nad sobą zapanować. - A może będziesz próbował mi wmówić, że i w tym wypadku nie złamałeś prawa, bo miała nie siedemnaście, tylko osiemnaście lat?

Hoss rzucił zwitek ligniny na biurko i poderwał się na nogi.

- Próbowałem tylko chronić Roberta.

- Roberta? - zdumiał się Jeffrey. - A cóż on miał z tym wszystkim wspólnego?

Szeryf zaparł się o brzeg biurka i pochylił w jego stronę.

- Rozповідаła przecież, że ją zgwałcił. Nie mogłem dopuścić, żeby przez takie brednie miał zmarnowane życie.

- Plotki ucichły już po tygodniu, a nawet wcześniej. Hoss spuścił głowę.

- Nieprawda. Ludzie wciąż gadali. Całe to miasto nie żyje niczym innym, tylko plotkami. Ludzie wygadują na siebie nawzajem różne kłamstwa, jakby świetnie wiedzieli, co jest słuszne, a co nie, podczas gdy naprawdę nic nie wiedzą. - Otarł nos wierzchem dłoni, rozmazując na niej smużkę krwi. - A ja muszę dbać o swoją reputację, bo ci ludzie mnie potrzebują. Muszą pamiętać, kto tu rządzi. Robiłem to dla ich dobra.

- Ty idioto - wycedził Jeffrey. - Stary, samolubny idioto.

Szeryf obrzucił go ostrym spojrzeniem.

- Nie masz prawa...

- Co takiego zrobiła? - przerwał mu. - Wysłałeś ją stąd, żeby urodziła dziecko, ale wróciła. Czyżbyś się łudził, że nie wróci?

Hoss lekceważąco machnął ręką, odwrócił się i stanął przy oknie.

- Myślisz, że jesteś nietykalny? - ciągnął Jeffrey. - Że ochroni cię odznaka, za którą się ukrywasz?

Szeryf uparcie milczał.

- Wróciła i co potem? Czego chciała? Pieniędzy? Hoss zgarbił się i ułożył dłoń na sztandarze przywiezionym z pogrzebu brata.

- Myślała, że się z nią ożenię. Dobrze, nie? Chciała zostać moją żoną. - Zaśmiał się cicho. - Szlag by to...

- I dlatego ją zabiłeś?

- Nie zabiłem jej - mruknął skruszonym głosem, choć zapewne nie z powodu wyrzutów sumienia, a tylko dlatego, że sprawa się wydała. - To był wypadek.

- No pewnie. Jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś został uduszony wskutek wypadku.

- Zagroziła, że wszystkim rozpowie - odparł Hoss nienaturalnie piskliwym głosem. - Wróciła z dzieciakiem na ręku jak jakaś przeklęta najświętsza dziewica i powiedziała, że chce, abym zrobił z niej przyzwoitą kobietę. Dasz wiarę? Łudziła się, że kupię cały ten tort, w który wszyscy wtykali paluchy, żeby spróbować kremu. Wystawiłbym się na pośmiewisko, gdybym się ożenił z taką dziwką.

- Nie nazywaj jej tak - rzucił ostro. - Nie masz do tego prawa.

- Mam pełne prawo - odrzekł równie ostro. - Sprawiała same kłopoty. Nawet ciebie oskarżyła o gwałt. Podobało ci się to?

- Aha - mruknął Jeffrey, zrozumiałwszy, do czego Hoss zmierza. - Więc teraz będziesz mnie przekonywał, że zabiłeś ją dla mojego dobra?

- I Roberta.

Z trudem przychodziło mu maskować coraz większe osłupienie. Chciał jednak poznać całą prawdę.

- Co się stało?

- Przyszła do biura. - Wskazał biurko, wykrzywiając usta w grymasie pogardy.

- Wyobrażasz sobie? Tu, do mojego biura!

- I co?

Hoss odwrócił się znowu i jął w zamyśleniu wodzić palcami po drewnianym pudełku mieszczącym sztandar.

- Było już dość późno, mniej więcej tak jak teraz. Prawie nikogo nie było na posterunku. - Urwał na chwilę. - Zaczęła się do mnie jak zawsze przymilać, ale nagle przerwała. Niezłe z niej było ziółko.

Jeffrey nie odpowiedział.

- Wszczęła dyskusję na temat naszej przyszłości.

- Zgwałciłeś ją?

- Skądże. Sama mi się oddawała. Ona zawsze była chętna.

- I co dalej?

- Powiedziała, że pragnie, bym się z nią ożenił, bo nie chce zostawiać Erica pod opieką matki.

Dopiero teraz wzrok Jeffrey'a przykuła mosiężna tabliczka przykręcona do drewnianego pudełka ze sztandarem. Widywał ją setki razy, ale dopiero teraz skojarzył. Było na niej wyryte nazwisko JOHN ERIC HOLLISTER. Julia wywieriała na niego nacisk na różne sposoby, nie mając pojęcia, że naciska zdecydowanie za mocno.

- Pokłóciliście się? - zapytał.

- Owszem. Zaproponowałem jej pieniądze, ale cisnęła mi je w twarz.

Powiedziała, że sama weźmie sobie dużo więcej, jak się pobierzemy. - Znowu zaśmiał się gardłowo. - Dasz wiarę, że była aż tak głupia? Naprawdę myślała, że się z nią ożenię. Sądziła, że nadaje się do czegoś więcej niż tylko obciążania facetom i dawania im dupy.

Jeffrey o mało nie zazgrzytał zębami. Ilekroć Hoss wypowiadał się na temat Julii, miał ochotę dać mu w mordę.

- Zaczęła mnie szturchać i zasypywać pogroźkami. Nie nawykłem, żeby ktoś mi groził.

- Dlatego ją zabiłeś?

- Jeszcze raz powtarzam, że to był wypadek. Chciałem tylko przemówić jej do rozsądku, otworzyć oczy. - Odwrócił się z kwaśnym uśmiechem na ustach, jakby oczekiwał, że Jeffrey poprze jego stanowisko. - Gdy to nie przyniosło efektu, chciałem ją wyrzucić z gabinetu. Wziąłem ją za ramiona i popchnąłem do wyjścia. I zanim się zorientowałem, rzuciła się na mnie. I co ty na to? Po prostu wskoczyła mi na plecy, zaczęła wierzgać, drapać i wrzeszczeć wniebogłose. Przestraszyłem się, że

ktoś ją usłyszy i zajrzy tu, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Jeffrey ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Sam nie wiem, kiedy zacisnąłem jej palce na szyi. - Hoss wyciągnął przed siebie ręce z zakrzywionymi palcami, dokładnie tak samo, jak Robert, kiedy się przyznawał do zabicia Julii. Tyle że szeryf zrobił to z zaangażowaniem człowieka, który naprawdę udusił dziewczynę, jakby walczył z demonicznymi wspomnieniami wpływającymi mu z pamięci. Z nosa pociekł mu silniejszy strumyk krwi, lecz chyba nawet tego nie zauważył.

- Próbowałem ją tylko uciszyć. Nie zamierzałem skrzywdzić. Chciałem, żeby przestała krzyczeć. No i w końcu przestała. - Zapatrzył się w jakiś punkt na ścianie ponad ramieniem Jeffreya. - Potem próbowałem ją ratować. Robiłem sztuczne oddychanie i masaż serca. Ale wszystko na nic. Po prostu osunęła się bezwładnie na podłogę... Musiałem jej niechętnie skrócić kark czy coś w tym rodzaju.

Jeffrey milczał jeszcze przez chwilę, wyobrażając sobie przebieg zdarzenia. Jeszcze kilka lat temu wzięłby słowa Hossa za dobrą monetę, może nawet pomógłby mu zatrzeć ślady zbrodni. Ale teraz patrzył na to zupełnie innym wzrokiem, dostrzegał tylko stek kłamstw mających ukryć straszliwą prawdę i pozwolić staremu spokojnie spać po nocach. Zbliżył się do niego o krok.

- Udusiłeś ją.

- Nie chciałem.

- Ile to trwało? - zapytał, podchodząc jeszcze o krok. Z dochodzenia, jakie prowadził rok temu, świetnie wiedział, że wcale nie tak łatwo jest udusić człowieka, zwłaszcza gdy ten próbuje się bronić wszelkimi możliwymi sposobami, co zapewne czyniła Julia. - Ile czasu ścisnąłeś ją za szyję, zanim osunęła się bez czucia na podłogę?

- Nie wiem. Niezbyt długo.

- A dlaczego ukryłeś zwłoki w jaskini?

- Zrobiłem to bez zastanowienia - bąknął, lecz błyski w jego oczach zdradzały, że jednak czuje się winny.

- Wszyscy wiedzieli, że to nasza kryjówka - ciągnął Jeffrey. - Gdyby ktoś odnalazł zwłoki, musiałby pomyśleć, że to sprawka moja albo Roberta, albo nawet nas obu.

- Nie o to mi...

- Wcześniej rozpowiadała, że ją zgwałciliśmy. Nie minął nawet rok.

Mielibyśmy oczywisty powód, żeby się na niej mścić, prawda? Każdy musiałby dojść do takiego wniosku.

- Chwileczkę - syknął Hoss, mając odwagę spojrzeć mu wreszcie w oczy, chociaż wiele go to kosztowało. - Sugerujesz, że zrobiłem to specjalnie, żeby zrzucić winę na ciebie i Roberta?

- Oczywiście.

Szeryf nie wytrzymał i wrzasnął:

- Przecież mówiłem, że to był wypadek!

- Więc powiesz to teraz publicznie - wycedził Jeffrey. Hoss nagle pobladł. - Powiesz to White'owi, Thelmie z banku, Reggiemu Rayowi, jak już przywiezie tu Jessie...

Po twarzy starego przemknął grymas paniki.

- Nie zrobisz mi tego.

- Tak myślisz? Nie wiem, jak dla ciebie, ale dla mnie policyjna odznaka znaczy coś więcej niż bon na darmowe śniadania w miejskim ratuszu.

- Sam cię nauczyłem szacunku dla odznaki.

- Niczego mnie nie nauczyłeś.

Hoss wymierzył wskazujący palec w jego twarz.

- Siedziałbyś teraz w więzieniu i razem ze swoim ojcem zmywał podłogi, gdyby nie ja, synu!

- To niczego nie zmienia. Nadal stoję w jednym pokoju twarzą w twarz z mordercą.

- Tobą też ktoś musiał się zaopiekować - dodał Hoss roztrzęsionym głosem. - Przez tyle lat robiłem wszystko, by chronić ciebie i twojego ciotowatego przyjaciela. - Zanim Jeffrey zdążył odpowiedzieć, szeryf chwycił się tej myśli. - O, właśnie. Jak byś się czuł, gdybym rozpuścił wiadomość, że łączyło cię z Robertem coś więcej niż tylko przyjaźń?

Jeffrey parsknął śmiechem.

- Jak zdążyłem się przekonać - ciągnął Hoss - to całkiem prawdopodobne...

- Masz rację.

- Dawaliście sobie dupy? - prychnął z obrzydzeniem. - I co? Chcesz, żeby teraz całe miasto się o tym dowiedziało? A może sam powiesz o tym swojej matce? Nie wątpię, że ktoś uczynny zaraz doniesie ojcu.

- Będziesz miał okazję powiedzieć mu to osobiście, gdy sam trafisz za kratki,

nadęty stary durniu.

- Licz się ze słowami!

- Bo co?

- Ochraniałem cię! - wrzasnął szeryf. - Myślisz, że twój ojciec zrobiłby dla ciebie tyle, co ja? Że ten łobuz kiwnąłby palcem, żeby ci pomóc?

Jeffrey huknął pięścią w biurko.

- Nie prosiłem cię o żadną pomoc!

- Ale jej potrzebowałeś! - Krew kapała mu z nosa na koszulę, ale nie zwracał na to uwagi i krzyczał z twarzą poczerwieniałą z wściekłości: - To ja cię wychowywałem, chłopcze! To ja zrobiłem z ciebie prawdziwego mężczyznę!

Dźgnął go palcem w pierś.

- Sam na takiego wyrosłem! Byłbym prawdziwym mężczyzną i bez twojego udziału! - Ciarki przeszły Jeffreyowi po plecach. - Tyle że byłeś dla mnie ideałem. Uważałem cię za wzór godny naśladowania.

Hossowi wargi zadrżały, jakby usłyszał najwspanialszy komplement.

Ale Jeffrey postanowił wyjaśnić wszystko do końca.

- Tymczasem ty wykorzystałeś nieletnią dziewczynę, a potem pozbawiłeś jej dziecko matki.

- Ale...

- Niedobrze mi się robi. - Jeffrey zawrócił do wyjścia.

Hoss oparł się ciężko o kant biurka, jakby nogi się pod nim ugięły.

- Nie zostawiaj mnie teraz, Spryciarzu. Zaczekaj - jęknął w skrajnej desperacji.

- Co zamierzasz zrobić? Co chcesz powiedzieć ludziom?

- Prawdę - odparł spokojnie Jeffrey.

Nie potrafił już patrzeć na szeryfa jak na swego mentora czy zastępczego ojca, widział w nim jedynie przestępcę, zakłamanego starca, niszczącego ludzi, których powinien był ochraniać.

- Nie wygłupiaj się - szepnął błagalnie Hoss. - Nie zrobisz tego. To by oznaczało mój koniec. Chyba wiesz, co się stanie, jeśli wyjdiesz na ulicę i zaczniesz... Proszę, Spryciarzu. Nie rób mi tego. - Zrobił krok do przodu, jakby chciał go zatrzymać. - Równie dobrze mógłbyś mi przystawić pistolet do głowy. - Uśmiechnął się smutno. - Daj spokój, synu. Nie patrz na mnie takim wzrokiem.

- A jak miałbym na ciebie patrzeć? - zapytał Jeffrey z ręką na klawiszu. - Nie rozumiesz, że nie mogę już znieść twojego widoku?

Wcale nie trzasnął drzwiami, tylko w jego wyobraźni cichy stuk rozbrzmiał niemal ogłuszająco. Sara poderwała się z krzesła, nerwowo splatając palce.

Nie wiedział nawet, co jej powiedzieć. Miał wrażenie, że nigdy nie znajdzie właściwych słów, żeby opisać swoje prawdziwe uczucia. Był jak okręt bez steru, w jednej chwili utracił wszystko, co pozwalało mu wytyczać swoją drogę życiową.

- Wszystko w porządku? - spytała zatroskana Sara, a niepokój w jej głosie podziałał na jego duszę jak kojący balsam.

- Przyjechał do mnie zaraz po tym, jak aresztowali ojca - rzekł.

- Kto? Hoss?

- Studiowałem wtedy w Auburn, szykowałem się do egzaminu magisterskiego. Pamiętam to jak dziś.

W jego pamięci odżył tamten pogodny dzień, kiedy drzewa stały we wszystkich kolorach jesieni. Siedział w swoim pokoju w akademiku i zastanawiał się, skąd wziąć pieniądze na studia doktoranckie, jeśli jego praca magisterska zostanie przyjęta. Chciał być nauczycielem historii, mieć skromną, ale stałą pensję i cieszyć się poważaniem lokalnej społeczności, której mógłby wreszcie dać coś od siebie.

- Zapukał do drzwi - podjął przerwana relację. - W akademiku nikt nigdy nie pukał, każdy wchodził jak do siebie. Myślałem, że ktoś się wygłupia. - Oparł się ramieniem o ścianę i ciągnął: - Pukał i pukał, aż musiałem wstać i otworzyć mu drzwi. Popatrzył na mnie z dziwną miną. Potem opowiedział, że mój ojciec poszedł na ugodę z prokuratorem i zgodził się wydać współników, żeby uniknąć kary śmierci. Wiesz, jak go wtedy nazwał?

Sara pokręciła głową.

- Tchórzliwym zdrajcą. Oznajmił mi, że muszę być dzielny, bo zabawa się skończyła. Użył dokładnie tego słowa, zabawa, jakbym przez cały czas nauki w college'u nic nie robił, tylko się bawił. I podsunął mi wniosek. Już wypełniony.

- O przyjęcie do akademii policyjnej?

- Tak. Podpisałem go bez namysłu i na tym się skończyło.

Chyba po raz pierwszy w życiu Jeffrey zaczął się zastanawiać, jak potoczyłoby się jego życie, gdyby wtedy odmówił. Na pewno nie spotkałby Sary. Pewnie nadal mieszkałby tu, w Sylacaudze, zmagając się bezustannie z kąśliwymi uwagami i podejrzliwymi spojrzeniami, jakimi zaszczytowało Roberta.

- Nie mam pojęcia, jak to załatwić - mruknął.

- Zostanę z tobą tak długo, jak tylko zechcesz.

- Aż boję się o tym myśleć - przyznał szczerze. Obawiał się nawet powtórzyć Sarze to, co usłyszał od Hossa.

- Wszystko będzie w porządku - szepnęła.

W tej samej chwili w gabinecie szeryfa huknął strzał.

Sara odwróciła się błyskawicznie i otworzyła drzwi, bo Jeffrey stał jak wmurowany. W końcu musiał sobie nakazać w myślach, żeby spojrzeć w głąb pokoju.

Stary siedział na krześle za biurkiem, w jednym ręku trzymał rewolwer, drugą miał opartą na drewnianej skrzynce ze sztandarem. Musiał przystawić broń do skroni i pociągnąć za spust. Jeffrey nie miał najmniejszych wątpliwości, że Hoss nie żyje, lecz gdy Sara ostrożnie obeszła biurko i przytknęła mu dwa palce do szyi, popatrzył na nią pytająco.

- Przykro mi - odparła. - Nie żyje.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

15.50

- Cholera - syknęła Lena, z trudem powstrzymując odruch cofnięcia ręki, gdy Molly wbiła igłę w ranę.

- Przepraszam - mruknęła pielęgniarka, patrzyła jednak ponad jej ramieniem na Sarę i Jeffreya.

Lena też się obejrzała. Komendanta pakowano właśnie do karetki.

- Wyjdzie z tego?

Molly pokiwała głową, lecz dodała cicho:

- Mam nadzieję.

- A co z Marlą?

- Jest na sali operacyjnej. Mimo podeszłego wieku robi wrażenie bardzo odpornej. - Popatrzyła na jej skaleczoną dłoń. - Trzeba będzie to zeszyć.

- Nie ma mowy - odparła Lena. Mniej się przejmowała piekącym rozcięciem od ostrego jak brzytwa scyzoryka niż perspektywą szycia.

- Już ci znieczuliłam rękę. Wystarczy tylko ściągnąć brzegi rany.

- Byle szybko - syknęła, zagryzając zęby. Poczowała krew na języku i przypomniała sobie o rozciętej wardze. Molly powtórnie wbiła igłę w dłoń.

- Chryste, jak ja tego nie cierpię.

- Jeszcze chwileczkę.

- Boże... - Odwróciła głowę, żeby nie widzieć.

Dostrzegła Wagner rozmawiającą z Nickiem. Oboje patrzyli w głąb sali pralni

chemicznej, w ich kierunku.

- Już po wszystkim - powiedziała Molly. - Za kilka minut powinnaś poczuć świerzbienie.

- Całe szczęście.

Lena zapatrzyła się na ulicę, po której kręciło się z pięćdziesięciu agentów biura śledczego, sprawiających takie wrażenie, jakby żaden nie wiedział dokładnie, co ma robić. Smith wyzionął ducha, a Sonny na tylnym siedzeniu wozu patrolowego odjechał do Macon, gdzie zapewne czekał go niezły wycisk od tamtejszych gliniarzy. W piekle było zarezerwowane specjalne miejsce dla zabójców policjantów.

Spojrzała, jak Molly otwiera zestaw do zakładania szwów, który wyjęła z walizeczki pierwszej pomocy.

- A gdzie dziewczynki? - zapytała.

- Już z rodzicami. Nawet nie umiem sobie wyobrazić, przez co przeszli. Mam na myśli rodziców. Mój Boże, jak tylko o tym pomyślę, krew mi tężeje w żyłach.

Lena uświadomiła sobie, że mimowolnie napręża wszystkie mięśnie. Rozluźniła się, zwracając uwagę na coraz silniejsze świerzbienie dłoni.

- Jak? Lepiej? - zapytała Stoddard.

- Tak. Dzięki, że zgodziłaś się zrobić to tutaj. Nie cierpię szpitala.

- To zrozumiałe. - Molly cienkim strumykiem płynu ze strzykawki zaczęła przemywać ranę. - Trzeba ci założyć trzy, najwyżej cztery szwy. Sara na pewno zrobiłaby to dużo lepiej ode mnie.

- Jest twardsza, niż myślałam.

- Chyba wszyscy musieliśmy się wykazać odpornością - mruknęła pielęgniarka. - O mało nie dałam się nabrać na przedstawienie, jakie zrobiłaś, gdy tylko weszłyśmy na posterunek.

- Zauważyłam - odparła Lena, chociaż komplement był całkiem chybiony, bo naprawdę była śmiertelnie przerażona.

Molly zacisnęła szczypce na końcu łukowato wygiętej igły i wbiła jej czubek w skórę przy rozcięciu. Lena patrzyła na to z zaciekawieniem, rozmyślając, że to bardzo dziwne uczucie, gdy widzi się igłę wbijaną w ciało, a w ogóle nie czuje się bólu, poza drobnym nieprzyjemnym szarpaniem, z jakim nić chirurgiczna przesuwana się przez skórę.

- Od jak dawna spotykasz się z Nickiem?

- Niedługo - odparła Stoddard, zawiązując końce nici. - Ciągłe przychodził i

próbował się umówić z Sarą, więc traktuje mnie pewnie jak nagrodę pocieszenia.

Lena zaśmiała się cicho, wyobraziwszy sobie tę parę.

- Przecież Sara jest o dobrą głowę od niego wyższa.

- A przede wszystkim kocha Jeffrey'a - przypomniała Molly, jakby rodziło to jakiś wątpliwości. - Boże, pamiętam, jak pierwszy raz zobaczyłam ich razem. - Zrobiła drugi szew i ściągnęła nicią brzegi rany. Lena nadal nie czuła bólu, jedynie delikatne szarpnięcia. - Nigdy wcześniej nie widziałam jej tak frywolnej.

- Frywolnej? - zdziwiła się Lena, jakby to określenie zabrzmiało obraźliwie.

Według niej Sara zaliczała się do najpoważniejszych osób, jakie w życiu poznała.

- Owszem - potwierdziła Molly. - Zachowywała się jak mała trzpiotka. -

Ściągnęła drugi szew, zapatrzyła się na ranę i mruknęła: - Chyba zrobię jeszcze jeden.

- Nigdy nie myślałam o nim w ten sposób.

- O Jeffrey'u? Jest wspaniały.

- Pewnie tak. - Lena wzruszyła ramionami. - Ja czułabym się przy nim tak, jakbym poszła na randkę z własnym ojcem.

- Może dla ciebie jest istotnie za stary. - Molly przewlekła nić w trzecim miejscu, ściągnęła brzegi rany, zawiązała supełek i odcięła nić tuż nad nim. - Proszę bardzo. Gotowe.

- Dzięki.

- Nie powinno za bardzo boleć.

- Tym się nie martwię - odparła Lena, ostrożnie zginając dłoń. Jej palce zaciskały się posłusznie, lecz w ogóle nie miała w nich czucia.

- Weź tabletkę przeciwbólową, gdyby za bardzo piekło. Jak chcesz, poproszę Sarę, żeby ci coś przepisała.

- Nie trzeba. Ma teraz dużo ważniejsze sprawy na głowie.

- Zrobi to bez pytania.

- Naprawdę nie trzeba. Dzięki.

- Jak chcesz. - Molly zaczęła pakować zestaw do szycia. Cicho jęknęła, podnosząc się na nogi. - Najwyższa pora wracać do domu, do dzieci, na dużą lampkę wina.

- Brzmi zachęcająco - przyznała Lena.

- Mam nadzieję, że moja matka nie pozwoliła im oglądać wiadomości w telewizji. Nie mam pojęcia, jak miałabym im opowiedzieć o tym, co się tu stało.

- Na pewno coś wymyślisz. Molly uśmiechnęła się do niej.

- Uważaj na siebie.
- Jeszcze raz dziękuję - mruknęła Lena, zsuwając się ze stolika.

Nick ruszył do frontowych drzwi pralni. Przechodząc obok niej, rzekł:

- Jutro będziemy chcieli cię przesłuchać.
- Wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Wagner stała oparta o kontuar z telefonem komórkowym przy uchu. Na widok Leny rzuciła do aparatu:

- Zaczekaj chwilę. - Spojrzała na nią i powiedziała: - Dobra robota, detektywie.

- Dzięki - burknęła Lena.
- Jeśli kiedyś będziesz chciała dołączyć do sfory groźnych psów, zadzwoń do mnie.

Lena spojrzała przez szybę na agentów kręcących się leniwie po ulicy, jakby byli na wczasach. Pomyślała o Jeffreyu i drugiej szansie, którą jej dał. Bogiem a prawdą, była to już piąta albo szósta szansa.

Uśmiechnęła się do Wagner i odparła:

- Dziękuję, ale nie skorzystam. Lepiej zostanę tu, gdzie moje miejsce.

Agentka wrzuciła ramionami, widocznie mało jej na tym zależało. Odwróciła się i znów zaczęła mówić do telefonu:

- Oczywiście będziemy chcieli przesłuchać go jeszcze dzisiaj. Wolałabym, żeby nie kontaktował się wcześniej z innymi więźniami i nie wbił sobie do głowy, że będzie potrzebował adwokata.

Lena pchnęła drzwi, wyszła na ulicę i skinieniem głowy odpowiedziała na pozdrowienia kilku tutejszych mieszkańców. Tak, to jej miasto. Czuła się jego częścią. Poza tym, znów była partnerką Franka. I policjantką. Do diabła, może nawet kimś więcej.

Ruszyła w stronę college'u. Teraz, gdy kryzys już minął, ochroniarz siedział z powrotem w szoferce furgonetki tarasującej wjazd na teren kampusu. Nie znała go, lecz gdy z uśmiechem uniósł dłoń do daszka czapki, odpowiedziała mu skinieniem głowy.

Przyjemny wiaterek owiał jej twarz, gdy skręciła w główną alejkę prowadzącą do akademików. Przytknęła dłoń do brzucha, zastanawiając się, czy naprawdę jest w ciąży i jaką matką byłaby dla swego dziecka. Po dzisiejszym dniu skłonna była uważać, że nie wszystko jest nierealne.

Kampus sprawiał wrażenie wyludnionego, większość studentów siedziała pewnie z nosami w telewizorach albo odsypiała zaległości, ciesząc się z niespodziewanej przerwy w zajęciach. Całe śródmieście wciąż było odcięte, pewnie dopiero za kilka godzin studenci wylegną na ulice i przechodząc obok komisariatu, spróbują choć trochę wczuć się w dramat, jaki się tu rozegrał. Wyobrażała sobie, że będą dzwonić do rodziców i tłumaczyć w podnieceniu, jak strasznie to przeżywali. A i dziekana pewnie czekały dziesiątki telefonów od podenerwowanych rodziców, jakby on był czemuś winny.

W akademiku, w którym obecnie mieszkał Ethan, było dużo spokojniej niż w poprzednim, gdzie się poznali. Przeszkadzały mu całonocne balangi i weekendowe popijawy, toteż specjalnie wkraść się w łaski dyrektora administracyjnego, żeby uzyskać przeniesienie do innego budynku.

Wbiegła po trzech stopniach na betonowy ganek i minęła w drzwiach grupkę wychodzących studentów. Ethan mieszkał w pokoju urządzonym w dawnej łazience i choć władze uniwersyteckie nie miały skrupułów co do powierzchni mieszkalnej przypadającej na jednego słuchacza, nikt nie odważył się przydzielić komuś aż tak ciasnej klitki. Ethan kiedyś zmierzył pokój w jej obecności i oboje byli zaskoczeni, że ma on aż trzy i pół metra na dwa i pół, bo wydawał się o wiele mniejszy.

Zapukała i nie czekając na odpowiedź, nacisnęła klamkę. Ethan siedział na łóżku z książką rozłożoną na kolanach. Mały telewizor na półce naprzeciwko był nastawiony na kanał informacyjny, ale głos wyciszono.

- Co ty tu robisz? - zapytał zdziwiony.

- Przecież chciałeś, żebym do ciebie przyszła po służbie.

- Chciałem - odrzekł z naciskiem. - Ale już nie chcę. Za późno.

Lena oparła się o framugę drzwi.

- Masz pojęcie, przez co dzisiaj przeszedłam?

- A ty masz pojęcie, przez co ja przeszedłem? - syknął, z trzaskiem zamykając książkę.

- Ethan...

- „Zajmę się tym” - rzucił ze złością, małpując ją. - Tak mi powiedziałaś. „Zajmę się tym”.

- Nie chciałam...

- Naprawdę jesteś w ciąży?

Popatrzyła na niego, czując narastające ściskanie w dołku. Po raz pierwszy od

czasu, kiedy się poznali, nie chciała spędzić tego wieczoru sama, nawet jeśli to oznaczało pogodzenie się z wszelkimi stawianymi przez niego warunkami.

- Odpowiesz mi czy nie? Po namyśle burknęła:

- Nie jestem.

- Kłamiesz.

- Nie kłamię - odparła z naciskiem, podjąwszy ostateczną decyzję. - Dostałam miesięczki zaraz po naszej rozmowie. Opóźniła się pewnie z powodu stresu.

- Powiedziałaś, że zajmiesz się tym, gdyby się okazało, że jesteś w ciąży.

- Na szczęście nie jestem.

Zsunął się z łóżka i podszedł do niej. Poczowała przyływ ulgi, za późno jednak dostrzegła, że kurczowo zaciska pięści. Uderzył ją w brzuch. Kiedy zgięła się wpół, złapał ją za kark i przytrzymując jej głowę nisko pochyloną, szepnął:

- Gdybyś kiedykolwiek naprawdę chciała się zająć czymś, co jest moje, chyba bym cię zabił.

- Och... - jęknęła, z trudem łapiąc oddech.

- Wynoś się stąd - warknął, wypychając ją na korytarz. Trzasnął drzwiami z taką siłą, że tablica informacyjna wisząca na korytarzu z hukiem spadła na podłogę.

Lena oparła się o ścianę, próbując dojść do siebie. Dokuczliwy ból przenikał całe jej ciało, aż oczy zaszyły jej łzami.

W głównym holu spotkała dwóch studentów, toteż przeszła obok nich, usiłując zachować wyprostowaną postawę. Jakoś zdołała zejść po schodkach i skręcić na tyły budynku, żeby ukryć się w parku.

Oparła się ramieniem o drzewo i powoli osunęła się na ziemię. Trawa była wilgotna, ale jej to nie obchodziło.

Włączyła telefon komórkowy i z niecierpliwością czekała na sygnał połączenia się z siecią. Kiedy wreszcie rozbrzmiał, pospiesznie wybrała numer. Łzy mimo woli spływały jej po twarzy, gdy zasłuchiwała się w sygnał wywołania na drugim końcu linii.

- Halo?

Otworzyła usta, lecz z jej gardła wydobył się tylko cichy jęk.

- Halo! - powtórzył zniecierpliwiony Hank, lecz doszedłszy zaraz do wniosku, że nikt inny nie może do niego dzwonić o tej porze i popiskiwać jak rozhisteryzowane dziecko, zapytał: - Lee? To ty, kochanie?

Lena zdławiła szloch i wychrypiała:

- Hank... Jesteś mi potrzebny.

EPILOG

Sara siedziała na masce samochodu i spoglądała na cmentarz. Przez minionych dziesięć lat dom pogrzebowy White'a nic się nie zmienił, jeśli nie liczyć tego, że został wykupiony przez jakąś dużą firmę. Nawet łagodne zbocze za nim wyglądało dokładnie tak samo, a wyłaniające się z niego białe nagrobki przypominały z daleka zęby w rozwartej paszczy jakiegoś monstrum.

Nie mogła się uwolnić od myśli, że chyba jeszcze długo będzie musiała odwiedzać cmentarze. Przez cały miniony tydzień brała udział w pogrzebach ofiar Sonny'ego i Erica Kendallów. Marilyn Edwards jakimś cudem przeżyła postrzał w łożence na posterunku i wszystko wskazywało na to, że wyzdrowieje. Należała jednak do mniejszości. Reszta ofiar strzelaniny zginęła.

- Miasto wygląda całkiem inaczej - rzekł Jeffrey.

Pomyślała, że chyba tylko w jego oczach. Bo naprawdę był teraz zupełnie innym człowiekiem niż wtedy, gdy przywiózł ją tu po raz pierwszy.

- Na pewno nie chcesz zadzwonić do Oposa i Neli? Pokręcił głową.

- Chyba nie jestem jeszcze na to gotowy. - Umilkł, wędrując myślami do swego syna i zastanawiając się, jak powinien postąpić w stosunku do Jareda. - Ciekawe, czy Robert o nim wiedział.

- Ja zauważyłam podobieństwo.

- Ale z tobą sypiałem, a z Robertem nie - rzekł. - Zastanawiam się czasem, jak ułożył sobie życie.

- Możesz spróbować się dowiedzieć.

- Gdyby chciał, żebym wiedział, gdzie jest, sam by się ze mną skontaktował.

Mam tylko nadzieję, że zdołał znaleźć choć trochę spokoju.

- Zrobiłeś w jego sprawie wszystko, co było w twojej mocy - powiedziała, chcąc go pocieszyć.

- Ciekaw jestem, czy kontaktował się z Jessie.

- Pewnie już wyszła z więzienia.

Jak można było oczekiwać, odsiedziała tylko kilka lat za nieumyślne spowodowanie śmierci. Co prawda, uzależnienie od alkoholu i leków było poważnym czynnikiem obciążającym, lecz zdaniem Neli na tak łagodnym wyroku zaważyła kwestia orientacji seksualnej jej męża. Sara była przekonana, że dzisiaj podobne zabójstwo zostałoby potraktowane dużo bardziej surowo, chociaż nadal mogła

decydować małomiasteczkowa świadomość przysięgłych.

- Owszem, wróciła do Herd's Gap - odrzekł. - Przysłała mi świąteczną kartkę w tym roku, kiedy wyszła na wolność.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- Bo wtedy nie rozmawialiśmy ze sobą - wyjaśnił, dając do zrozumienia, że musiało to być krótko po ich rozwodzie.

- Lane Kendall zmarła trzy dni przed tym, jak po mnie przyszli - dodał.

- Skąd to wiesz? - zapytała, gdyż Sonny Kendall odmówił składania jakichkolwiek zeznań w sprawie swojej rodziny.

- Od szeryfa.

- A od kiedy to Reggie Ray dobrowolnie przekazuje ci informacje?

Odwrócił się do niej z tajemniczym uśmiechem.

- Nie słyszałaś o jego najstarszym synu, Ricku?

- Nie.

- Prowadzi zajęcia teatralne w szkole średniej w Comer.

Sara wybuchnęła tak gromkim śmiechem, że zawstydzona szybko zasłoniła usta dłonią. Nie miała wątpliwości, że nawet gdyby Rick miał żonę i dwanaścioro dzieci, Reggie traktowałby go tak, jak pracującego w zakładzie fryzjerskim transwestytę.

- Przyjechał z przedstawieniem... - Jeffrey urwał nagle, bo lekko wzruszył ramionami i aż skrzywił się z bólu. Nadal powinien nosić rękę na temblaku, do czego zmuszała go każdego ranka.

- Ciekaw też jestem, co się stało z listami, które pisał do nas Erie.

- Może Lane wcale ich nie wysyłała, tylko wyrzucała do śmieci - podsunęła.

- To do niej podobne.

- O tym Sonny też nie chciał nic powiedzieć?

- Nie - odparł Jeffrey. - Słyszałaś, że wojsko chce go przejąć po zakończeniu procesu? Dostał przepustkę na pogrzeb Lane i nie wrócił z niej o czasie. Pewnie uszłoby mu to na sucho, gdyby nie...

Sara znów popatrzyła na cmentarz.

- Całkiem o nich zapomniałam - przyznała cicho. - Miałam straszny mętlik w głowie, kiedy wracaliśmy do domu, i przez te wszystkie lata ani razu o nich nie pomyślałam.

- Może powinienem był powiedzieć wszystko Lane? Tyle że ona mnie tak

śmiertelnie nienawidziła...

- Nie sądzę, by ci uwierzyła - rzekła Sara, wspominając, że dokładnie taki sam wniosek wyciągnęła przed laty.

Całe życie Lane Kendall było wypełnione zawiścią i nienawiścią, nie zmieniłyby tego żadne jego wyznania. Niemniej, już wtedy Sara była przekonana, że nie można pozwolić, by Hoss zabrał swoje tajemnice do grobu. Uległa pod naciskiem Jeffreya, który tłumaczył, że omawianie z Reggie Rayem wszystkiego, co stary powiedział mu przed śmiercią, byłoby syzyfową pracą. Bez żadnych konkretnych dowodów nikt nie dałby wiary w jego słowa, zwłaszcza wobec ucieczki Roberta.

W głębi duszy była jednak pewna, że tak naprawdę Jeffrey postanowił przemilczeć faktyczne powody samobójstwa Hossa, bo nie potrafił się zmusić, by oskarżać starego, gdy ten nie mógł się już bronić. W ostatecznym rozrachunku łatwiej mu było dalej brać winę na siebie, niż stwarzać masę problemów poprzez ujawnienie prawdy. W końcu nie mieszkał już w Sylacaudze i nie miał ochoty włączać się do trwających tu nadal starych potyczek. Ci, na których mu zależało, poznali prawdę, a dla całej reszty nie miała ona większego znaczenia. Reggie Ray napisał w raporcie, że szeryf zmarł na skutek tragicznego wypadku podczas czyszczenia broni, i nikt nie kwestionował jego opinii. Tylko morderstwo Julii Kendall pozostało nadal sprawą niewyjaśnioną.

Jeffrey skubnął palcami temblak i mruknął:

- Cholera, jak ja tego nie cierpię.
- Ale musisz nosić - odparła surowym tonem.
- Już mnie nie boli.

Musnęła palcami jego kark i wyjaśniła z uśmiechem:

- Wolalabym, żebyś miał tę rękę w pełni sprawną.
- Naprawdę? - zapytał z udawanym zdziwieniem i też się uśmiechnął.

Zapragnęła go nagle, i to tak bardzo, że zawstydzona szybko cofnęła dłoń.

- Tak. Właśnie tę.
- Czyżbyś ją specjalnie lubiła?
- Lubię obie.
- Pamiętasz, kiedy po raz pierwszy wyznałaś mi miłość?
- Aha... - mruknęła, jakby się namyślała, choć dokładnie pamiętała tamtą

chwilę.

- Jak tylko wróciliśmy stąd do Heartsdale. Pamiętasz?

- Owszem. Zająłem się rozpakowywaniem walizki, a ty mi gdzieś zniknęłaś.
- Zgadza się.
- Kiedy wróciłeś, zapytałam, co robiłeś, a ty powiedziałeś...
- Że z twojego kubła na śmieci cuchnęło tak, jakby była w nim jakaś padlina.
- I właśnie wtedy powiedziałam, że cię kocham.
- Pewnie dlatego, że wcześniej żaden mężczyzna nie wynosił ci śmieci.
- Nie - przyznała. - Ale też od nikogo tego nie oczekiwałam, oczywiście poza tobą. - Popatrzyła na jego szeroki uśmiech i dodała: - Naprawdę bardzo mi zależy, abyśmy byli razem.

Spoważniał natychmiast.

- Więc co stoi na przeszkodzie?
- Nic - rzuciła pośpiesznie, pragnąc mieć trochę czasu do namysłu. - Tak długo walczyłam ze sobą. Od chwili, kiedy cię poznałam, próbowałam stłumić w sobie tę miłość. Bałam się tego, że za bardzo mi na tobie zależy.

- Coś się zmieniło? Odpowiedź była oczywista. - Ty.
- A ty nie - odparł. - Ani trochę się nie zmieniłaś.
- Czyżby? - zapytała, zastanawiając się, jak to wyrazić, by nie poczuł się obrażony.

- Nie musiałaś - dodał. - Już wtedy byłaś idealna. Zaśmiała się krótko.

- Powiedz to mojej matce.

Przyglądał się jej uważnie, a gdy spoważniała, rzekł:

- Dziękuję.

- Za co?

- Że zechciałaś poczekać, aż dorosnę. Musnęła palcami jego policzek.

- Cierpliwość zawsze była moją mocną stroną.

- Nigdy bym nie zgadł.

- W każdym razie warto było czekać.

- Powiesz mi to samo za dziesięć lat.

- Powiem - obiecała. - Jeszcze się przekonasz.

Spojrzał na zranioną rękę, jakby chciał zdjąć ją z temblaka. Miała już zamiar go powstrzymać, gdy wziął jej dłoń i popatrzył na swój sygnet drużyny piłkarskiej z Auburn, który wciąż nosiła na palcu. Zabrała mu go, jak tylko zaczęła się strzelanina na posterunku, by utrudnić bandytom identyfikację. W szpitalu, jeszcze zanim się ocknął z narkozy, omal nie starła sobie palca do krwi, z takim zapałem pocierała

niebieskie oczko sygnetu, jakby to był talizman, który ma mu zapewnić szybki powrót do zdrowia.

- Chcesz go z powrotem? - zapytała. Spojrzał na nią podejrzliwie.

- A chcesz mi oddać?

Popatrzyła na sygnet, rozmyślając o wszystkich powodach, dla których znowu zawitali do Sylacaugi. Może to było głupie, ale przyszło jej na myśl, jak wiele dla Jeffrey'a znaczy widok tego kawałka metalu na jej palcu, jakby znowu mieli po kilkanaście lat.

- Nigdy go nie zdejmę - odparła.

Uśmiechnął się, a jej po raz pierwszy od bardzo dawna przemknęło przez myśl, że teraz może wreszcie wszystko się między nimi ułoży.

Musiał chyba wyczuć jej nastrój, bo zaproponował ironicznie:

- Chyba jednak powinnaś go zdejmować, na przykład do pracy w ogródku za domem.

- Owszem, to niezła myśl.

W zamyśleniu potarł kciukiem niebieskie oczko.

- Albo jak będziesz pomagała ojcu.

- Jeśli wykleję go od środka taśmą samoprzylepną, będzie lepiej trzymał się na palcu.

Uśmiechając się lekko, poruszał sygnetem, by jej pokazać, że nieduża jest groźba, iż sam zsunie się z palca.

- Wiesz, co mówią o dużych dłoniach? - zapytał, a gdy nie odpowiedziała, dodał: - I o dużych stopach?

- Cha, cha - wycedziła, ujmując w dłonie jego twarz.

I po chwili bez namysłu zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła do niego ze wszystkich sił, jakby od tego zależało jej życie. Ilekroć przychodziło jej na myśl, jak niewiele brakowało, żeby go straciła, ogarniała ją tak silna desperacja, że aż czuła klucie w sercu.

- Wszystko w porządku - mruknął, po części jakby sam do siebie. Chyba cały czas nie potrafił się uwolnić od myśli, w jakim celu tu przyjechali.

Zmusiła się, by go puścić, i zapytała:

- Gotów?

Obejrzał się na cmentarz i dzielnie wyprężył ramiona.

Zsunęła się z maski samochodu, lecz powstrzymał ją szybko:

- Nie. Chciałbym to zrobić sam.

- Na pewno?

Pokiwał głową i ruszył w stronę cmentarza.

Wsiadła do auta, zostawiając drzwi szeroko otwarte, by nie było zbyt duszno. Popatrzyła na sygnety i obróciła go na stronę, gdzie widniał nierówno wygrawerowany wizerunek piłki futbolowej. Jak większość tego typu sygnety był po prostu brzydki, wielki i toporny, ale w tej chwili odnosiła wrażenie, że to najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziała.

Podniosła głowę i zapatrzyła się na Jeffreya wchodzącego powoli pod górę. Nerwowo skubał palcami temblak, wreszcie ściągnął go i schował do kieszeni.

- Jeffrey - mruknęła z naganą w głosie, chociaż nie mógł jej usłyszeć. Zdawała sobie sprawę, że on nie tyle nie znosi samego temblaka, ile słabości, jaką utożsamia.

Zatrzymał się przed nowym białym nagrobkiem w samym rogu cmentarza. Znała Jeffreya na tyle dobrze, że mogła się domyślić, iż snuje teraz mętne rozważania o słynnym białym marmurze z Sylacaugi, o płynącej pod miastem podziemnej rzece, o tutejszych przedziałniach bawełny i kamieniołomach. Wiedziała też, że przedmiot, który wyjął z kieszeni, jest małym pozłacanym wisiorkiem w kształcie serduszka.

Przyglądała się, jak otwiera go, po raz ostatni patrzy na wklejone w środku zdjęcie Erica, po czym kładzie wisiorek na świeżym nagrobku Julii i energicznym krokiem rusza z powrotem.

PODZIĘKOWANIA

Sylacauga to urocze małe miasteczko w środkowej Alabamie, u stóp pasma górskiego Cheaha. Jest tam zatrudniony na pełnym etacie szeryf oraz komenda policji w pełnym składzie. Wielu spośród dwunastu tysięcy mieszkańców zapewne przeczyta tę książkę i zacznie się zastanawiać, czy kiedykolwiek tam byłam. Mogę zapewnić, że tak, proszę tylko mieć na uwadze, że moja powieść jest fikcją literacką, skorzystałam więc z prawa dowolnego rozmieszczenia i nazwania ulic, budynków czy charakterystycznych punktów terenowych, żeby ułatwić sobie pracę. Jak w większości podobnych miasteczek na całym świecie, tak i w Sylacaudze mieszkańcy stanowią szczególną mieszaninę ludzi dobrych i przyjaznych z niewielkim dodatkiem tych złych. Wszyscy się mogą o tym przekonać, odwiedzając miasto czy choćby zaglądając na stronę Sylacauga.net. Jeśli zdecydują się państwo podłączyć do sieci, radzę wpisać do wyszukiwarki nazwisko Billy'ego Jacka Gaithera, żeby się przekonać, jak mogą wyglądać ciemne strony małomiasteczkowego życia.

Pomysł napisania tej powieści dręczył mnie od dawna. Jak tylko skończyłam pracę nad *Blindsight*, wiedziałam już, że kiedyś będę musiała wrócić do przeszłości Jeffrey'a i Sary, toteż w kolejnych książkach zostawiałam drobne wskazówki na użytek tych czytelników, którzy uważnie śledzą losy moich bohaterów. To im należą się przede wszystkim moje serdeczne podziękowania za to, że towarzyszą mi od samego początku i umożliwiają robienie tego, co najbardziej lubię, to znaczy pisanie następnych powieści.

Moja agentka, Victoria Sanders, jest wspaniałą przyjaciółką i wielką orędowniczką mojej twórczości. Meaghan Dowling i Kate Elton to najlepsze redaktorki, jakie mogłabym sobie wymarzyć. Ron Beard, Richard Cable, Jane Friedman, Brian Grogan, Cathy Hemming, Lisa Gallagher, Gail Rebeck i Susan Sandon są moimi prawdziwymi bohaterami. Zespołom dystrybucji, projektów graficznych i marketingu również należą się moje podziękowania za hojne wsparcie. Powinam tu wymienić mnóstwo ludzi, poczynając od pań ze Scranton, a skończywszy na kierowcach ciężarówek dostawczych, ale ze względu na ograniczone miejsce pragnę tylko przekazać wszystkim, że jestem bardzo im wdzięczna za zaangażowanie.

Dan Holod sprawdzał dla mnie szczegóły dotyczące uzbrojenia, lecz za jakiegokolwiek błędy należy winić tylko mnie, przy czym jeszcze raz pozwolę sobie przypomnieć, że jest to fikcja literacka, a nie instrukcja obsługi. I po raz kolejny przyszedł mi z pomocą doktor David Harper, dzięki któremu Sara może się wypowiadać jak prawdziwy lekarz. Steve Asher i jego przyjaciele z Krajowej Fundacji do Walki z Hemofilią pomogli mi z pewnymi zawiłymi drobiazgami i mam nadzieję, że niczego nie przekreśliłam. Patricia Hawkins, Amy Place oraz Debbie Hartsfield (czyli wcześniejsze siostry Smart) dostarczyły mi wiele interesujących szczegółów na temat ich rodzinnego miasta, toteż liczę na to, że dzięki nim udało mi się przedstawić jego specyficzną atmosferę.

Koledzy po piórze pomogli mi zachować twarz. Nie będę ich tu wymieniać z nazwiska, większość z nich mogą państwo znaleźć w *Like a Charm*, powieści w odcinkach, którą publikowałam w trakcie pracy nad *Niezatartą przeszłością*. Specjalne podziękowania należą się Markusowi Wilhelmowi, jak również Harlanowi Cohenowi, jednemu człowiekowi na świecie, który ma prawo nazywać mnie drugą po sobie.

Wyznam na końcu, iż pozwoliłam Sarze we wszystkich powieściach jeździć bmw w nadziei, że przemili dyrektorzy z Monachium odwdziczą mi się za to

nowiutkim srebrzystym modelem 330 CI. Jak dotąd nie spotkało mnie to szczęście, ale będę próbowała dalej. Podobnie jak z Tomem Jonesem i Shelby Lynne. Nie dzwonicie, nie piszecie...